

Potwór

Kellerman Jonathan



calibre 0.9.43

Jonathan Kellerman

POTWÓR

(Monster)

Przekład Wojciech Szypuła

Specjalne podziękowania dla doktora Spencera Etha i doktor Shoby Srinivasan

Olbrzym znalazł Richarda Nixona. Milo zamarł w napięciu. Bardzo wysoki, siwiejący blondyn kuśtykając podszedł bliżej. Wyglądał jak przechylona na bok góra ciała ubrana w strój barwy khaki. Spojrzałem na Franka Dollarda, ciekaw jego reakcji. Wydawał się nieporuszony. Muskularne ramiona miał swobodnie opuszczone, na ustach, pod siwymi i pożółkłymi od tytoniu wąsami, błąkał się łagodny uśmiech. Zaciśnięte w szparki oczy wyglądały tak samo, jak wtedy, gdy stał przy głównej bramie.

Olbrzym wybuchnął basowym śmiechem i odgarnął z oczu przetłuszczone włosy. Jego splątana broda miała kolor kukurydzy. Doleciał mnie jego zapach – kwaśny, przesycony hormonami. Facet musiał mieć ze dwa metry wzrostu i ważyć ponad sto trzydzieści kilogramów. Rzucił bezkształtny cień, wystarczająco szeroki, by nas przesłonić.

Postawił kolejny, chybotliwy krok. Tym razem Frank Dollard błyskawicznym ruchem wyciągnął ku niemu ramię.

Nie wyglądało na to, by potężny mężczyzna cokolwiek zauważył – po prostu stał z ręką Dollarda zaciskającą mu się wokół pasa. Na podwórzu znajdowało się jeszcze kilkunastu innych mężczyzn w ubraniach koloru khaki. Większość stała nieruchomo, kilku się przechadzało, kilku kołysało, paru przyciskało twarze do drucianej siatki. Nie tworzyli żadnej grupy, jakby każdy żył w swoim świecie. Nad nimi rozciągał się bezkresny błękit, na którym mściwe słońce wypaliło chmury. Gotowałem się w garniturze.

Olbrzym westchnął i lekko się zgarbił, a Dollard cofnął ramię; twarz wielkoluda była sucha. Zgiął palce na kształt pistoletu, wycelował w nas i parsknął śmiechem. Miał ciemnobrązowe oczy, ze zmarszczkami w kącikach powiek. Ziemiste białka z pewnością nie oznaczały dobrego zdrowia.

– Tajna służba. – Grzmotnął się pięścią w tors. – Tajne służby królowej Wiktorii w garderobie pod przykryciem w cywilu rozglądają się za starym dobrym Nixonem RMN eremen zawsze chciał być emerytem lubił pogadać uciąć sobie spacer do Białego Domu nocnego domu urządzali prywatki na okrągło z Kurtem Vonnegutem Salingerem rodziną Glassów z każdym kto nie miał nic przeciwko polityce i gorącej kuchni napisałem *Kocią kołyskę* sprzedałem ją Vonnegutowi za dziesięć dolców „Billy Bathgate” przepisał rękopis na maszynie raz wyszedł przed drzwi frontowe doszedł do Las Vegas wielkie zamieszanie z Aniołami Piekiel o jakieś szpary na dolary Vonnegut chciał rozmiąć dług państwowy eremen się zgodził Anioły się wpieniły musieliśmy go wyciągnąć ja i Kurt Vonnegut Salingera tam nie było Doctorow szyl *Kocią kołyską* a to niedobre koty zabiłyby go poniosły osły oswald harvey.

Schylił się i podciągnął lewą nogawkę spodni. Poniżej kolana widać było kość osłoniętą tylko lśniącą białą tkanką blizny, jakby większość mięśni łydki zdarto. Żywa proteza.

– Postrzelili mnie broniłem eremena – powiedział i wypuścił materiał z ręki. – I tak umarł biedny Richard, żaden kalendarz nie wie co się stało nie mogłem go powstrzymać.

– Chet... – Dollard wyciągnął rękę i poklepał mężczyźną po ramieniu.

Olbrzym się wzdrygnął. Małe guzki mięśni na zuchwie Mila drgnęły, gdy zacisnął szczęki i przesunął dłoń tam, gdzie miałyby broń, gdyby nie oddał jej przy bramie.

– Nie poszedłbyś dziś do świetlicy, Chet? – dokończył Dollard.

Olbrzym zachwiał się lekko.

– Ech...

– Myślę, że powinieneś pójść do świetlicy, Chet. Będzie film o demokracji. Zaśpiewamy „Gwiazdzisty sztandar”. Przydałby się ktoś z dobrym głosem.

– Taak, Pavarotti – rzucił olbrzym, nagle rozweselony. – On i Domingo byli w Pałacu Cezara nie podobał im się sposób w jaki to się skończyło eremen nie ćwiczył głosu la la la li li li bez żółtka co wyglądzi krtań to wkurzyło Pavarottiego i nie kandydował na urząd publiczny.

– Jasne, stary – Dollard mrugnął do mnie i Mila.

Olbrzym odwrócił się tyłem do naszej trójki i zagapił na nagą brunatną powierzchnię dziedzińca. Niski, przysadzisty, ciemnowłosy mężczyzna spuścił spodnie i załatwiał się, wzbijając mały kłęb kurzu. Żaden z pozostałych facetów w khaki nie zwrócił na to uwagi. Twarz olbrzyma skamieniała.

– Mokro – powiedział.

– Nie przejmuj się tym, Chet – odparł delikatnie Dollard. – Wiesz, że Sharbno ma słaby pęcherz.

Olbrzym nie odpowiedział, ale Dollard musiał dać komuś znać, bo z kąta dziedzińca przytruchtało dwóch sanitariuszy. Jeden biały, drugi czarny, obaj muskularni jak Dollard, ale o wiele młodszy. Mieli na sobie takie same uniformy: sportowe koszulki z krótkimi rękawami, dżinsy, trampki i identyfikatory ze zdjęciem przyczepione do kołnierzyka. Pod wpływem gorąca i wysiłku ich twarze spływały potem. Sportowa kurtka Mila przesiąkła na wylot pod pachami, ale Chet nie uronił ani kropelki potu.

Patrzył na mężczyźną, który skończył, strzepnął ostatnie krople moczu, i kaczym krokiem ruszył przez podwórze ze spuszczoneymi spodniami owiniętymi wokół kostek. Twarz Cheta tężała coraz bardziej.

– Mokro.

– Damy sobie z tym radę, Chet – uspokoił go Dollard.

– Podciągnę mu te spodnie – odezwał się czarny sanitariusz. Podszedł niedbałym krokiem do Sharbna. Biały został obok Cheta. Dollard jeszcze raz klepnął olbrzyma w ramię i odeszliśmy.

Dziesięć metrów dalej odwróciłem się. Sanitariusze stali po obu stronach Cheta. Olbrzym uniósł

ramiona, wyciągnął dalej głowę, gapiąc się w przestrzeń, gdzie jeszcze przed chwilą stał Sharbno.

– W jaki sposób udaje się wara kontrolować tak wielkiego faceta? – zdziwił się Milo.

– My go nie kontrolujemy – odpowiedział Dollard. – To klozapina. W ciągu ostatniego miesiąca, po tym jak sprzął na kwaśne jabłko innego pacjenta, podwyższono mu dawkę. Połamał facetowi kości.

– Może potrzebuje jeszcze większej... – dorzucił Milo.

– Dlaczego?

– Nie gada zbyt sensownie.

Dollard zachichotał.

– Sensownie! – Zerknął na mnie. – Wie pan, ile dostaje dziennie, doktorze? Tysiąc czterysta miligramów. Nawet przy takiej wadze, to całkiem sporo, prawda?

– Najwyższa dawka to zwykle dziewięćset – wytłumaczyłem Milowi. – Większości wystarcza jedna trzecia tego.

– Był na tysiącu stu, gdy pogruchotał twarz innemu pacjentowi. – Dollard głośno wypuścił powietrze. – Przekraczamy maksymalne zalecenia przez cały czas; psychiatrzy powiedzieli nam, że to żaden problem. – Wzruszył ramionami. – Może nawet dostanie więcej. Jeśli znów coś zbroi.

Przeszliśmy następne kilkanaście metrów, minęliśmy dalszych pacjentów – mieli potargane włosy, otwarte usta, puste spojrzenia, poplamione szpitalne ubrania. Żadnych napakowanych byczków, których można spotkać w więzieniach. Ci tutaj torsy mieli miękkie, jak gdyby zapadnięte, plecy przygarbione. Poczułem, że ktoś mnie obserwuje; zerknąłem w bok i zobaczyłem mężczyznę o nawiedzonych oczach i czarnej, opadającej na pierś brodzie. Gapił się na mnie. Powyżej bujnego zarostu jego policzki były zapadnięte i brudne. Nasze spojrzenia się spotkały. Ruszył w moim kierunku; ramiona miał sztywne, głowa podskakiwała mu na boki. Otworzył usta. Nie było w nich zębów.

Nie znał mnie, ale w jego oczach płonęła nienawiść.

Zacisnąłem pięści i przyspieszyłem kroku. Dollard zauważył to i podniósł głowę. Brodaty mężczyzna zatrzymał się nagle w pełnym słońcu, jakby zapuścił korzenie. Czerwony symbol na furcie, oznaczający wyjście, znajdował się sto pięćdziesiąt metrów dalej. Zabrzęczały klucze Dollarda. W zasięgu wzroku nie było żadnego innego sanitariusza. Szliśmy dalej. Niebo było piękne, ale puste, bez ptaków. Zazgrzytała jakaś niewidoczna maszyna.

– Chet jest rozkojarzony – odezwałem się – ale w tym wszystkim tkwi odrobina sensu.

– Niby dlaczego? Bo mówi o książkach? – zapytał Dollard. – Pewnie, zanim zwariował, studiował gdzieś w college'u. Podejrzewam, że pochodzi z wykształconej rodziny.

– Co się stało, że trafił tutaj? – spytał Milo, zerkając za siebie.

– To samo, co z resztą. – Dollard przyglądał wąsy, nie przyspieszając kroku.

Dziedziniec był rozległy. Znajdowaliśmy się teraz w połowie drogi. Mijaliśmy kolejne martwe spojrzenia, puste twarze, dzikie oczy, od których widoku włosy jeżyły mi się na karku.

– Nie zakładaj niczego w kolorze khaki albo brązowym – powiedział mi wcześniej Milo. – To noszą pacjenci. Nie chcemy, żebyś tam utknął, chociaż to byłoby interesujące, nie? Lekarz od czubków, który próbuje ich przekonać, że sam nie jest czubkiem?

– To samo co z resztą? – zdziwiłem się.

– Niezdolność do poniesienia odpowiedzialności karnej – odrzekł Dollard. – Paragraf tysiąc dwadzieścia sześć to podstawa.

– Ilu tu ich masz? – zapytał Milo.

– Tysiąc dwustu, czy coś koło tego. Przypadek starego Cheta jest trochę smutny. Mieszkał na szczycie góry w pobliżu granicy z Meksykiem, coś w stylu pustelnika. Spał w jaskiniach, jadł korzonki i takie tam. Grupka turystów po prostu miała pecha – trafili do niewłaściwej pieczary w niewłaściwym czasie i go obudzili. Rozerwał ich – dosłownie; rzucił się na nich z gołymi rękoma. Zdołał oderwać oba ramiona dziewczynie i właśnie to samo próbował zrobić z jedną z jej nóg, gdy go znaleźli. Jakiś strażnik parku czy szeryf wpadł do środka i postrzelił go. W nogę, dlatego tak wygląda. Nie stawiał oporu przy aresztowaniu, po prostu siedział sobie obok kawałków ciała, jakby przestraszony, że ktoś może go uderzyć. Przy czymś takim dostać tysiąc dwadzieścia sześć to żadna sztuka. Jest tu od trzech lat. Pierwsze sześć miesięcy nic nie robił, tylko siedział skulony, płakał i ssał kciuk. Musieliśmy go karmić dożylnie.

– A teraz bije ludzi – rzucił Milo. – To postęp.

Dollard rozprostował palce. Był dobrze po pięćdziesiątce, krępy, o ogorzałej skórze, bez grama zbędnego tłuszczu. Miał wąskie, spierzchnięte usta ukryte pod wąsami. Wydawało się, że ciągle się uśmiecha.

– A co według pana powinniśmy z nim zrobić? Wywlec go stąd i zastrzelić?

Milo odchrząknął.

– Tak, wiem, co pan sobie myśli: dobry świr to martwy świr. Byłby pan szczęśliwy w plutonie egzekucyjnym – rzekł Dollard. Zachichotał i dorzucił: – Gliniarski sposób myślenia. Przez dziesięć lat chodziłem w patrolu w Hemet i to samo bym powiedział, zanim tu zacząłem. Kilka lat na oddziale i wiem, jak jest w rzeczywistości: niektórzy z nich naprawdę są chorzy. – Dotknął wąsów. – Stary Chet to nie Ted Bundy. Miał tyle samo wpływu na to co robi, co dziecko brudzące pieluchę. To samo dotyczy starego Sharbna, tego, który sikał na ziemię. – Dollard popukał się w skroń. – Obwody puszczają i niektórzy ludzie po prostu zmieniają się w chodzące śmiecie. A to miejsce to wysypisko.

– Dlatego właśnie tu jesteśmy – stwierdził Milo.

Dollard uniósł brwi.

– O tym nie wiedziałem. Nasze śmieci nie podlegają wywozowi. Nie bardzo wiem, jak możemy pomóc panu w sprawie doktor Argent. – Ponownie splótł place. Miał żółte, zgrubiałe paznokcie. – Lubiłem ją. Naprawdę miła kobieta. Ale tam przyszedł na nią koniec. – Machnął ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. – Tam, w „cywilizowanym” świecie.

– Pracował pan z nią?

– Nie na stałe. Czasem rozmawialiśmy o przypadkach. Mówiła mi, kiedy pacjent czegoś potrzebował. Miła kobieta. Trochę naiwna, ale w końcu była nowa.

– Jak to naiwna?

– Zaczęła prowadzić nową grupę. Trening podstawowych umiejętności, cotygodniowe dyskusje... W założeniu miały pomóc facetom poradzić sobie z życiem. Tak jakby którykolwiek z nich miał stąd kiedyś wyjść.

– I prowadziła to sama?

– Z pielęgniarką.

– Którą pielęgniarką?

– Heidi Ott.

– Dwie kobiety kierowały grupą morderców?

Dollard się uśmiechnął.

– Władze mówią, że to bezpieczne.

– A pan myśli inaczej?

– Nie płacą mi za myślenie.

Zbliżyliśmy się do ogrodzenia.

– Nie ma pan pomysłu, dlaczego ktoś mógł zabić doktor Argent w tym „cywilizowanym” świecie?
– odezwał się Milo. – Pytam pana jako byłego glinę.

– Z tego, co mi powiedziano – mam na myśli okoliczności, w jakich ją znaleźliście: w bagażniku, wszystko wysprzątane – powiedziałbym, że jakiś socjopata, nie? Ktoś, kto cholernie dobrze wie, co robi, i robi to z przyjemnością. Raczej tysiąc trzysta sześćdziesiąt osiem niż tysiąc dwadzieścia sześć – zwykły kryminalista z półświatka, który próbuje udawać świra, bo mylnie wyobraża sobie, że tutaj

będzie mu lepiej niż w więzieniu. Mamy dwie, trzy setki takich gości na czwartym piętrze. Może trochę więcej. Ładują tu i gadają od rzeczy, ślinią się, rozsmarowują gówno na ścianach, a potem szybko się ucza, że nie uda im się wykiwać lekarzy. Mniej niż jeden procent daje radę. Oficjalnie obserwacja trwa dziewięćdziesiąt dni, ale większość z nich prosi o wcześniejsze przeniesienie.

– Doktor Argent pracowała na czwartym piętrze?

– Nie. Zajmowała się tylko tymi z tysiąc dwadzieścia sześć.

– Poza zupełnymi świrami i tymi z obserwacji, kogo jeszcze tu macie?

– Paru przestępców z zaburzeniami psychicznymi na tle seksualnym – odpowiedział Dollard. – Pedofile, i takie śmiecie. Ze trzydziestu. Mieliśmy ich trochę więcej, ale wciąż zmieniają się przepisy: trzymamy ich tutaj, potem do więzienia, znowu pomyłka, wracają do nas, też źle, do więzienia i tak w kółko... Doktor Argent też nie miała z nimi do czynienia, przynajmniej nic o tym nie wiem.

– Więc to, co jej się przytrafiło, nie miało związku z pracą.

– Właśnie. Nawet gdyby któryś z jej chłopców wyszedł – a żaden nie wyszedł – nie byłby w stanie zabić jej i upchnąć w bagażniku. Nie potrafiłby tak dobrze tego zaplanować.

Zatrzymaliśmy się przy furtce. Opaleni mężczyźni stali nieruchomo, jak przerośnięte figury szachowe. Odległa maszyna znów zaczęła hałasować.

– Nie twierdzę, że ci faceci są zupełnie nieszkodliwi, nawet po tym, jak nafaszerujemy ich tą całą chemią. – Dollard machnął ręką w stronę dziedzińca. – Jak im odbije, to zrobią wszystko. Ale oni nie zabijają dla zabawy. Z tego, co widziałem, nie mają wiele przyjemności z życia, i tyle. O ile w ich przypadku można mówić o życiu. – Odchrząknął i przełknął ślinę. – Czasem się człowiek zastanawia, po co Bóg kłopotczy się tworzeniem takiego bagna.

Dwa ciała w bagażnikach. Claire Argent była druga. Osiem miesięcy wcześniej znaleziono ciało dwudziestopięcioletniego, niedosłego aktora Richarda Dady. Zostawiono go w bagażniku jego własnego volkswagena garbusa w przemysłowej dzielnicy na północ od Centinela i Pico, wśród sklepów z narzędziami, farbami, samochodami i częściami zapasowymi. Dopiero po trzech dniach ktoś zwrócił uwagę na samochód Dady – pracownik porządkowy poczuł smród. Miejsce zbrodni znajdowało się w niewielkiej odległości od posterunku West L. A., ale Milo podjechał tam samochodem.

Za życia Dada był wysoki, śniady i przystojny. Morderca zerwał z niego ubranie, gładko przeciął go w pasie narzędziem o ząbkowanym ostrzu, wrzucił każdą część z osobna do dwóch grubych, czarnych, plastikowych worków, zawiązał je, ukrył w volkswagenie, podjechał do wysypiska śmieci – prawdopodobnie nocą – i uciekł, bez najmniejszego hałasu. Przyczyną śmierci było wykrwawienie. Mężczyźnie podcięto gardło. Brak śladów krwi w torbach i samochodzie świadczył o tym, iż dalszej rzezi dokonano gdzie indziej. Patolog nie miał wątpliwości, że Dada był już martwy, gdy przecięto go na pół.

– Długie nogi – powiedział Milo, kiedy pierwszy raz rozmawiał ze mną o tej sprawie – więc może chodziło o rozwiązanie problemu transportu. Albo była to część zabawy.

– Albo jedno i drugie – zauważyłem. Zmarszczył brwi.

– Wykluto mu też oczy, poza tym żadnych innych obrażeń. Coś ci przychodzi do głowy?

– Morderca podjechał do wysypiska samochodem ofiary – odparłem. – Może mieszka w pobliżu i wrócił pieszo. Albo autobusem, a wtedy mógłbyś przesłuchać kierowców i sprawdzić, czy nie zauważyli czegoś niezwykłego tej nocy.

– Już z nimi rozmawiałem. Nie pamiętają żadnych dziwacznym pasażerów. To samo z taksówkarzami. Żadnych nocnych kursów w tej okolicy. I tyle.

– Mówiąc „niezwykły” nie miałem namyśli „dziwacznego” – stwierdziłem. – Morderca najprawdopodobniej nie wygląda dziwnie. Podejrzewam, że wręcz przeciwnie: spokojny, metodyczny, pochodzący z klasy średniej. Ale mógł być trochę nakręcony po tym, jak dopiero co porzucił garbusa. Kto jeździ autobusami o tej porze? Przede wszystkim kelnerzy z nocnej zmiany, sprzątaczkę biurowe, paru bezdomnych. Ktoś lepszy wyglądałby podejrzanie.

– Może i racja, ale nikt nie zapadł kierowcom w pamięć.

– Dobra. Trzecia możliwość: był jeszcze inny samochód, gotowy, by zabrać mordercę. Wyjątkowo precyzyjne planowanie. Albo współnik.

Milo potarł twarz, jakby chciał ją umyć bez wody. Popijaliśmy kawę, siedząc przy jego biurku

w pokoju wydziału rozbojów i zabójstw na posterunku West L.A., naprzeciwko rzędu jasnopomarańczowych szafek. Kilku innych detektywów pisało na maszynach i podjadało. Miałem za dwie godziny stawić się w centrum na rozprawie o kuratelę nad dzieckiem, więc zatrzymałem się na lunch, ale Milo wolał pogadać o sprawie Dady niż jeść.

– Pomysł ze współnikiem jest interesujący – stwierdził. – Tak jak i sprawdzenie naszego terenu. Dobra, czas wziąć się do roboty. Pokręcę się trochę i sprawdzę, czy jakiś cwaniak, który w San Quentin uczył się rzeźnictwa, nie jest na warunkowym. I spróbuję dowiedzieć się czegoś o tym biednym chłopaku: czy przypadkiem sam nie prosił się o kłopoty.

Trzy miesiące później poszukiwania doprowadziły do odgrzebania najróżniejszych szczegółów z życia Richarda Dady, ale nie przybliżyły Miła nawet o krok do rozwiązania zagadki. Po pół roku akta sprawy odłożono na półkę.

Wiedziałem, że dopiekło mu to do żywego. Specjalizował się w wyjaśnianiu starych spraw, a nie w ich mnożeniu. Miał w tym roku najwyższy wskaźnik wykrywalności wśród wszystkich detektywów w West L. A., a może nawet w całym departamencie. To nie przysporzyło mu popularności – jako jedyny w policji przyznał otwarcie, że jest gejem. Kumple nigdy nie zapraszali go na grilla. Wyniki dawały mu jednak poczucie bezpieczeństwa, wiedziałem więc, że potraktuje niepowodzenie jako zawodowe zagrożenie.

A także jako osobisty grzech. Jedną z ostatnich rzeczy, którą powiedział przed odłożeniem akt do archiwum, było:

– Ta sprawa zasługuje na więcej uwagi. Kiedy jakiś skretyniały bandzior zostaje obity kijem bilardowym, to jedno, ale to... Sposób, w jaki ten chłopak był pokrojony... Kręgosłup przecięty równiutko, Alex. Patolog twierdzi, że cięcie wskazuje prawdopodobnie na piłę taśmową. Ktoś przeciął go czysto i zręcznie, tak jak kroi się mięso.

– Jakież inne ślady? – zapytałem.

– Nie. Żadnych obcych włosów, obcych płynów ustrojowych... O ile mi wiadomo, Dada nie miał żadnych problemów: zero powiązań z narkotykami, nieodpowiedniego towarzystwa, przeszłości kryminalnej. Po prostu jeden z tych głupich dzieciaków, który chciał być bogaty i sławny. Przez cały tydzień pracował w centrum zabaw dla dzieci. A nocami... Zgadnij!

– Był kelnerem.

Milo palcem odhaczył w powietrzu punkt dla mnie.

– Bar z grillem w Toluca Lake. Był najbliżej kariery aktorskiej, gdy wygłaszał kwestie typu: „Jaki sos pan sobie życzy?”.

Siedzieliśmy we dwójkę w miłym barze na tyłach hotelu „Luxe” na zachodnim skraju Beverly Hills. W pobliżu nie widziałem ani jednego kija bilardowego, a ewentualne bandziory nosiłyby

włoskie garnitury. Żyrandole przyćmione do pomarańczowego migotania, puszyste dywany, klubowe, przytulne fotele... Na marmurowym barze przed nami stały dwie przydymione szklanki whisky chivas gold i kryształowy dzban lodowatej wody źródlanej. Tania panatela Mila gryzła się z kubańskimi cygarami i churchillami palonymi przez innych. Kilka miesięcy później władze miejskie zakazały palenia w knajpach, ale wtedy jeszcze dym nikotynowy stanowił część wieczornego rytuału.

Przyszliśmy tam, żeby się napić – i jeśli chodzi o Mila, to odwałał kawał niezłej roboty.

Pieściłem moją pierwszą szkocką, kiedy on skończył już trzecią i popił szklanką wody.

– Dostałem tę sprawę, bo porucznik zakładał, że Dada był gejem. Takie obrażenia... Wiesz, kiedy homoseksualiści świrują, to na całego i takie tam. Tylko że w przypadku Dady nie znalazłem ani śladu powiązań ze środowiskiem gejów, a jego starzy twierdzą, że w domu spotykał się z trzema dziewczynami.

– A jakieś dziewczyny tutaj?

– Nic takiego nie znalazłem. Mieszkał sam w pracowni w pobliżu La Brea i Sunset. Maleńkie, ale czyste lokum.

– To niepewna okolica.

– Niby tak, ale budynek ma parking zabezpieczony kratą i chronione wejście. Właścicielka mieszka na miejscu i stara się dobierać solidną klientelę. Powiedziała, że Dada był spokojnym dzieciakiem; nigdy nie widziała, żeby przyjmował gości. Nie było śladów włamania czy kradzieży. Nie znaleźliśmy jego portfela, ale nie zarejestrowano żadnych wypłat z jedynej karty kredytowej, jaką miał – Discover z czterystudolarowym limitem. W mieszkaniu nie natrafiliśmy na ślady narkotyków. Jeśli Dada brał, on albo ktoś inny sprzątnął każdą plamkę.

– Morderca? – spytałem. – To pasuje do czystego cięcia i precyzyjnego planowania.

– Możliwe, ale jak już mówiłem, Dada lubił porządek. Czynsz wynosił siedem stów, z obu prac miesięcznie dostawał dwa razy tyle. Większość pieniędzy wysyłał do domu. – Milo się przygarbił. – Może po prostu wszedł w drogę jakiemuś psychopacie.

– Według FBI takie obrażenia oka sugerują coś więcej niż przypadkową znajomość.

– Wyślij do FBI formularz z opisem zbrodni, a otrzymasz z powrotem pokrętny bełkot i zalecenie sprawdzenia znajomych denata. Sęk w tym, że nie mogę dotrzeć do żadnych przyjaciół Dady. W Kalifornii był dopiero od dziewięciu miesięcy. Widocznie praca na dwóch etatach nie sprzyja kontaktom towarzyskim.

– Albo prowadził podwójne życie.

– To co, rzeczywiście był gejem? Sądzę, że bym to odkrył, Alex.

– Niekoniecznie gejem – odrzekłem. – Mam na myśli jakikolwiek sekret.

– Skąd ten pomysł?

– Idealny lokator nie daje się po prostu przeciąć na pół na ulicy.

Mruknął i piliśmy dalej. Wszystkie kelnerki były cudownymi blondynkami; nosiły ludowe, białe bluzki i długie spódnice. Nasza miała obcy akcent – czeski, jak się okazało, gdy Milo o to zapytał. Zaproponowała, że przytnie mu cygaro, ale on już odgryzł koniec. Mieliśmy środek lata, ale ogień buzował w kamiennym kominku, a dzięki klimatyzacji w sali panował rześki chłód. Dwie inne piękności przy barze musiały być dziwkami. Mężczyźni, którzy im towarzyszyli, wyglądali na ostrych zawodników.

– Toluca Lake jest w pobliżu Hollywood – powiedziałem. – I niedaleko studiów w Burbank. Może więc Dada próbował wyrobić sobie znajomości w światku filmowym.

– Też tak myślałem, ale jeśli miał jakąś pracę, to nie w studiu. Znalazłem w kieszeni jednej z jego marynarek ogłoszenie drobnym drukiem z „Weekly”: otwarty casting do filmidła zatytułowanego „Krwawa przechadzka”. Data na miesiąc przed morderstwem. Próbowałem wysledzić wytwórnię, która dała to ogłoszenie. Telefon był odłączony, ale wcześniej numer należał do firmy Thin Line Productions. Znalazłem centralę, która już nie obsługiwała Thin Line. Ich adres to skrytka pocztowa w Venice, już dawno nieaktualna. Na tym trop się urywa. Nikt w Hollywood o nich nie słyszał, scenariusz nigdzie nie był zarejestrowany, nie ma żadnych śladów, że film kiedykolwiek nakręcono. Rozmawiałem o tym z Petrą Connor. Powiedziała, co było do przewidzenia, że w tym przemyśle nie brakuje jednodniowych firemek, a większość castingów donikąd nie prowadzi.

– „Krwawa przechadzka”... – mruknąłem.

– No właśnie. Z tym, że to było cały miesiąc wcześniej. I dalej nie mam jak tego pociągnąć.

– A co z tą drugą pracą Richarda? Gdzie jest to centrum zabaw?

– Róg Pico i Doheny.

– Co on tam robił?

– Od czasu do czasu zabawiał dzieciaki, głównie na przyjęciach urodzinowych. Właściciel twierdzi, że Richard był świetny: cierpliwy, porządny, uprzejmy. – Milo strzelił sobie następną whisky. – Cholerny harcerzyk, a został zaszlachtowany. W tym musi być coś więcej.

– Jakiś krwiożerczy szczeniak, pełen pretensji, bo musiał czekać w kolejce do Księżycowej Kolejki?

Milo prychnął i zaczął bawić się pustą szklanką.

– Mówiłeś, że wysyłał pieniądze do domu – ciągnąłem. – To znaczy dokąd?

– Do Denver. Ojciec jest cieślą, matka nauczycielką. Przyjechali tutaj na kilka dni po jego śmierci. Sól ziemi. Okropnie przybici, ale nie miałem z nich pożytku. Richard uprawiał sport, dostawał

czwórki, trójki, grał we wszystkich szkolnych przedstawieniach. Skończył dwa lata college'u, ale go nie cierpiał. Zaczął pracować u ojca.

– Czyli szkolił się w stolarstwie. Może spotkał swojego mordercę na takich zajęciach?

– O ile wiem, nie był na żadnym kursie.

– Dziecko stolarza, a pocięto go piłą – mruknąłem.

Milo odstawił szklanę, starając się nie robić hałasu. Wlepił we mnie badawcze spojrzenie. Jego oczy, zwykle niesamowicie zielone, w przydymionym świetle wydawały się brunatne. Duża twarz była tak blada, że wyglądała jak przyprószona talkiem, biała jak baczki. Ślady po trądziku, które znaczyły jego policzki, czoło i podbródek, wydawały się głębsze i wyraźniejsze.

Odgarnął włosy z czoła.

– Dobra – powiedział cicho. – Poza ironicznym popisem, co jeszcze miałeś na myśli?

– Sam nie wiem – odparłem. – Wszystko to wydaje mi się zbyt sielankowe.

Zmarszczył brwi i potarł przedramieniem o kant stołu, jakby chciał się podrapać. Uniósł szklanę po dolewkę, podziękował kelnerce, małymi łyżkami wysączył połowę trunku i oblizał wargi.

– Sam nie wiem, po co o tym gadamy. Nie zakończę tej sprawy szybko, jeśli w ogóle mi się uda. Mam takie przeczucie.

Nawet nie próbowałem się sprzeciwiać. Jego przewidywania się sprawdzały.

Dwa miesiące później Milo dostał sprawę morderstwa Claire Argent i natychmiast do mnie zadzwonił. Był wściekły, ale i pełen energii.

– Mam coś nowego. Sprawa intrygująco podobna do przypadku Dady, ale zarazem zupełnie inna. Ofiarą była kobieta, trzydziestodwuletnia pani psycholog Claire Argent. Nie znałeś jej przypadkiem?

– Nie.

– Mieszkała w Hollywood Hills, ale znaleziono ją na terenie West L. A. Rozebrana do naga i wepchnięta do bagażnika własnego buicka regala, na tyłach rampy wyładunkowej za Stereos Galore, w wielkim centrum handlowym w La Cienega.

Ta strona La Cienega stanowiła wschodnie pogranicze West L.A.

– To ledwie twój rejon.

– Właśnie, trafił mi się prezent od św. Mikołaja. Na razie dowiedziałem się tyle: centrum

zamykają o jedenastej, ale od strony rampy nie ma ogrodzenia i każdy może tam podjechać – tym bardziej, że zaraz z tyłu biegnie uliczka. Na zachód od niej znajduje się wielopoziomowy parking, zamykany na noc. Dalej już same rezydencje, prywatne domy i apartamentowce. Nikt nic nie widział ani nie słyszał. Jakiś urzędnik znalazł samochód o szóstej rano, wezwał kogoś do odholowania, a kiedy kierowca montował hol, usłyszał, że coś turla się w środku. Był na tyle sprytny, że się tym zainteresował.

– Była przecięta na pół?

– Nie, w jednym kawałku, ale zawinięta w dwa worki na śmiecie, tak jak Dada. Gardło miała też poderżnięte, a oczy poważnie uszkodzone.

– To znaczy?

– Posiekane jak kotlet.

– Ale nie wyjęte.

– Nie – zgodził się poirytowany Milo. – Jeśli moja teoria na temat trudności z upchnięciem Richarda w bagażniku była słuszna, to mielibyśmy wytłumaczenie, dlaczego Claire nie została przecięta. Miała metr sześćdziesiąt trzy i z łatwością mieściła się w buicku. Zgadnij, gdzie pracowała, Alex: w szpitalu Starkweathera.

– Ciekawe – mruknąłem.

– Centrum upiorów. Byłeś tam kiedyś?

– Nie – odparłem. – Nie miałem powodu. Żaden z moich pacjentów nikogo nie zabił.

Wiosną tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku w Azusa, we własnym łóżku, w wieku siedemdziesięciu sześciu lat zmarł Emil Rudolf Starkweather. Był kawalerem i nie pozostawił po sobie spadkobierców. Pięćdziesiąt lat poświęcił pracy na rzecz społeczeństwa – dziesięć jako inżynier w elektrowni wodnej, czterdzieści jako senator.

Skąpy pod każdy innym względem, Starkweather nieugięcie walczył o fundusze na placówki psychiatryczne i przeforsował projekt budowy licznych ośrodków tego typu w całym stanie. Według niektórych życie z psychotyczną siostrą i opieka nad nią zrobiły zeń humanitarystę, choć tylko pod tym jednym względem. Siostra zmarła pięć miesięcy przed jego zawałem. Po jej śmierci senator szybko podupadł na zdrowiu.

Niedługo po jego pogrzebie rewidenci stanu odkryli, że zasłużony senator przez czterdzieści lat systematycznie sprzeniewierzał wywalczone na kampanię fundusze. Część pieniędzy poszła na całodobową opiekę nad siostrą i rachunki za leczenie, ale większość na nieruchomości: Starkweather stworzył imperium, obejmujące ponad jedenaście tysięcy akrów w Kalifornii – były to głównie puste posiadłości w podupadłej okolicy, z których sam nie miał pożytku.

Nie kupował koni wyścigowych, nie zakładał kont w Szwajcarii, nie utrzymywał potajemnie kochanki; na pierwszy rzut oka nie miał żadnych korzyści materialnych. Ludzie zaczęli zastanawiać się nad zdrowiem psychicznym Emila Starkweathera.

Wrzawa podniosła się, gdy odczytano publicznie testament. Wszystko, co miał, senator przekazał stanowi Kalifornia, z jednym wszakże zastrzeżeniem: przynajmniej 100 akrów „Jego” ziemi miało zostać przeznaczone pod budowę „dużego ośrodka higieny psychicznej, który uwzględni najnowsze badania i postępy w psychiatrii oraz naukach pokrewnych”.

Prawnicy uznali, że testament prawdopodobnie jest nieważny, ale rozstrzygnięcie w sądzie zawilości, które stworzył Starkweather, mogło ciągnąć się latami. Jednakże, pod pewnym względem, moment był idealny dla nowo wybranego gubernatora. Nie przepadał za Starkweatherem, którego uważał za nieznośnego, zdziwaczałego, starego pryka. Swoją kampanię oparł na wizerunku pogromcy przestępczości, potępiającego politykę drzwi obrotowych, przez które wypuszcza się niebezpiecznych maniaków z powrotem na ulice. Zapamiętałe konsultacje z ekspertami przyniosły plan działania. Z Sacramento posłano w teren ludzi, by szukali bezwartościowych działek należących do stanu.

Nie trzeba było długo czekać na okazję: znalazł się dawno opuszczony teren, daleko na wschód od granic Los Angeles – kiedyś pole naftowe, potem wysypisko śmieci, teraz trujące bagno. Gleba była skażona, chemikalia wżarły się w skały, wszystkiego osiemdziesiąt dziewięć akrów, ale kto by to liczył?

Na drodze zawartego kompromisu, skradzione przez Starkweathera parcele wróciły do władz stanu, a budowa „dużego ośrodka higieny psychicznej” dla kryminalistów uznanych za niezdolnych do

poniesienia odpowiedzialności karnej została zatwierdzona. Bezpieczne schronienie dla seryjnych morderców, wampirów, kanibali, sodomitów, gwałcicieli dzieci i zombich, zbyt szalonych i niebezpiecznych, żeby trafić do więzień w San Quentin, Folsom bądź Pelican Bay.

Dziwny to był czas na budowę nowego szpitala. Stanowe przytułki dla niedorozwiniętych i niegroźnych psychotyków zamykano w coraz szybszym tempie na skutek niezwykłego, wykalkulowanego porozumienia pomiędzy prawicowymi sknerami, którzy nie chcieli wydawać pieniędzy, i lewicowymi ignorantami, którzy wierzyli, że psychotycy to więźniowie polityczni, zasługujący na uwolnienie. Kilka lat później wypłynął „problem bezdomnych”, który zaskoczył czcicieli ekonomii i mistrzów inżynierii społecznej, ale wtedy rozmontowanie całego systemu leczenia zamkniętego wydawało się sprytnym rozwiązaniem.

Mimo to wymarzony przez gubernatora śmietnik dla wariatów powstał w ciągu dwóch lat.

Nazwisko starego pryka przylgnęło doń na dobre.

Stanowy Szpital dla Chorych Psychiczenie Przystępców, zwany szpitalem Starkweathera, składał się z jednego głównego budynku – czteropiętrowego cementowego bloku z otynkowaną na szaro wieżą – który otaczało wysokie na sześć metrów ogrodzenie z drutu kolczastego podłączonego do prądu. Na betonie wytrącały się w postaci plam związki mineralne i toksyczny brud. Ośrodek był rozpaczliwie brzydki.

Zjechaliśmy z autostrady numer dziesięć, przemknęliśmy koło Boyle Heights i ciągnącego się na przestrzeni kilku mil parku przemysłowego, minęliśmy ciąg martwych szybów naftowych, zamaryłych na kształt gigantycznych modliszek. Migwały nam za szybą szare ściany rzeźni i przetwórnicy, opuszczone rampy załadunkowe i dalszy kawał pustkowie, na odległość cuchnącego martwym interesem.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł Milo, wskazując boczną odnogę szosy z tabliczką „Starkweather Drive”. Drugi znak głosił: „Placówka stanowa”.

Droga niepostrzeżenie wciniała się w szarozielony zagajniczek eukaliptusów, które błogosławiły nas miętowym cieniem, zanim ponownie wynurzyliśmy się na sierpniowe słońce i biały blask tak przenikliwy, że moje okulary przeciwsłoneczne okazały się bezsilne.

Przed nami wznosiła się wysoka siatka, podłączona do prądu kablami grubymi i czarnymi jak węże morskie. Zestaw angielskich i hiszpańskich znaków ostrzegawczych w zatwierdzonych przez władze stanowe barwach poprzedzał oszkloną stróżówkę i stalowe ramię szlabanu. Strażnik okazał się zwalistym, młodym, obojętnym mężczyzną. Odsunął szybę, wysłuchał wyjaśnień Mila, a potem niespiesznie wyszedł z budki. Wolno, jakby w mękach, sprawdził nasze dokumenty, zabrał wszystkie papiery do szklanego domku, wrócił, zapytał, ile sztuk broni lub noży mamy przy sobie, i w końcu skonfiskował służbowy rewolwer Mila i mój szwajcarski scyzoryk.

Kilka minut później szlaban powoli się podniósł i wjechaliśmy na teren ośrodka. Przez całą drogę Milo był wyjątkowo milczący; teraz wyglądał, jakby coś go zaniepokoiło.

– Nie martw się – rzuciłem. – Nie masz na sobie nic w kolorze khaki, to cię wypuszczą. Tylko nie gadaj za dużo.

Parsknął śmiechem. Ubrany był w kasztanową bluzę, szare sztruksy o szerokich prążkach, szarą koszulę, wymięty krawat z czarnego poliestru i beżowe, podniszczone buty turystyczne z podeszwami w kolorze gumki do ścierania. Przydałaby mu się w najbliższym czasie wizyta u fryzjera; ciemne koguciki sterczały mu na czubku głowy we wszystkie strony, mocno kontrastując z siwymi już baczkami. Poprzedniego dnia wspominał, że upodabnia się do skunksa.

Droga z początku biegła lekko pod górę, a potem stała się zupełnie płaska. Dotarliśmy do parkingu pod gołym niebem, zapchanego niemal do ostatniego miejsca. Dalej była następna siatka, a za nią szeroki pas ziemi o żółtawym, siarczanym odcieniu. Za ogrodzeniem stał potężnie zbudowany mężczyzna w kraciastej sportowej koszuli i dżinsach. Jakiś dźwięk sprawił, że odwrócił się i obrzucił nas badawczym spojrzeniem.

– Nasz komitet powitalny – stwierdził Milo i zaczął szukać identyfikatora. – Co u diabła sprawia, że ktokolwiek chce tu pracować?

– Tak w ogóle, czy masz na myśli doktor Argent?

– Jedno i drugie. Ale przede wszystkim chodzi mi o nią. Dlaczego wybrała to miejsce?

Minął dopiero dzień, odkąd do mnie zadzwonił, więc nie widziałem jeszcze akt doktor Argent.

– Są gusta i guściki – odrzekłem. – Poza tym w służbie zdrowia coraz trudniej o pracę. Możliwe, że nie miała wyboru.

– Wprost przeciwnie. Zrezygnowała z pracy naukowej w szpitalu okręgowym, neuro-coś tam.

– Może tutaj też prowadziła badania.

– Może, ale miała drugi stopień specjalizacji w psychologii, do pracy w służbie cywilnej, a dyrektor, niejaki Swig, nawet nie wspominał o badaniach. Czemu miałaaby zrezygnować ze szpitala okręgowego na rzecz czegoś takiego?

– Jesteś pewien, że jej nie zwolnili?

– Jej były szef, doktor Theobold, twierdzi, że odeszła.

– Myron Theobold.

– Znasz go?

– Spotkaliśmy się parę razy na kongresach. Co jeszcze powiedział?

– Niewiele, jakby za dobrze jej nie znał. Albo coś zataił. Może byś z nim pogadał.

– Nie ma sprawy.

W tym momencie Milo dostrzegł przejazd w ogrodzeniu, ostro skręcił i zahamował gwałtownie. Szarpnięciem odpiął pasy i zerknął przez przednią szybę. Mężczyzna w kraciastej koszuli otworzył drugą bramę i podszedł bliżej. Pomachał do nas. Milo odpowiedział mu tym samym. Facet miał około pięćdziesiątki, siwe włosy i także wąsy.

Milo wziął marynarkę z tylnego siedzenia i schował kluczyki do kieszeni. Zapatrzył się na ograniczone drutami pustkowie za plecami mężczyzny w kraciastej koszuli.

– Spędzała tu osiem godzin dziennie, w towarzystwie obłąkanych, pokręconych skurczybyków o morderczych instynktach. A teraz nie żyje... Czyż to nie doskonały teren łowiecki dla policjanta?

Dollard wpuścił nas przez tylną furtkę. Zeszliśmy z dziedzińca na cementową ścieżkę. Szary budynek przypominał chmurę burzową; był ogromny, miał płaski dach i front jak lita płyta betonu. Ani śladu schodów czy podjazdu, po prostu brązowe, metalowe drzwi umieszczone na parterze. Małe kanciaste litery głosiły: „Starkweather: Bud. główny”. Rzędy drobnych okien – bez krat – znaczyły betonową ścianę. Szyby zdawały się okropnie mętne, jakby zasnuwane jakąś maskującą warstwą. Nie były ze szkła, lecz z grubego, nietłukącego się plastiku, zmatowionego przez mieciony wiatrem piach. Być może widok krajobrazu na nic się nie zda, kiedy człowiek ma mętlik w głowie.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Dollard pchnął prawe skrzydło i weszliśmy do małej, zimnej recepcji, gdzie unosił się zapach pieczonego mięsa. Łososiowe ściany i czarne linoleum wyglądały blado w niebieskawym świetle jarzeniówek. W górze przewody klimatyzacyjne wydawały dźwięk, który przywodził na myśl szept ludzkich głosów.

Otyła kobieta koło trzydziestki, w okularach, siedziała za dwoma drewnianymi biurkami ustawionymi w kształt litery L i rozmawiała przez telefon. Miała na sobie żółtą włóczkową bluzkę bez rękawów i, podobnie jak Dollard, identyfikator ze zdjęciem. Na biurkach stały dwie tabliczki: „Punkt 1: Mam zawsze rację. 2: Patrz punkt 1” oraz „L. Schmitz”. Między nimi leżała sterta broszur.

Telefon obsługiwał kilkanaście linii. W tej chwili błyskały na nim cztery lampki. Na ścianie za biurkiem wisiało kolorowe zdjęcie Emila Starkweathera, rozpromienionego wyborczym uśmiechem – arcydziełem sztuki protetycznej. Nad nim znajdowała się nalepka z prośbą do pracowników o datki na zabawki dla dzieci z domów dziecka i United Way. Na lewo wisiała wypaczona półeczka z trofeami sportowymi i triumfalne zdjęcia grupowe z podpisami sławiącymi sukcesy „Miotaczy”, pracowniczej drużyny kręglarskiej szpitala Starkweathera – w ciągu dziesięciu lat siedmiokrotnie zajmowali pierwsze miejsce w rozgrywkach. Na prawo ciągnął się długi, jasny korytarz o ścianach upstrzonych tablicami ogłoszeń i dalszymi brązowymi drzwiami.

Dollard podszedł do biurka pani Schmitz, która jeszcze przez chwilę rozmawiała, aż wreszcie odłożyła słuchawkę.

- Dzień dobry, Lindeen. Ci panowie są umówieni na dziesiątą z panem Swigiem.
- Ciągłe rozmawia, ale zaraz powinien skończyć. Kawy?
- Nie, dziękuję – odpowiedział Dollard, zerkając na zegarek.
- Jeszcze minutkę, Frank.

Milo wziął dwie broszurki i podał mi jedną. Lindeen zerknęła na niego i wróciła do telefonu, przytakując niechętnie. Odłożyła znowu słuchawkę i zapytała:

- Jesteście panowie z policji? W sprawie doktor Argent?

– Zgadza się. – Milo oparł się o biurko. – Znała ją pani?

– Tylko z widzenia. To straszne, co się jej przytrafiło.

I znów wróciła do telefonu.

Milo przez dłuższą chwilę nie odstępował od biurka. Lindeen posłała mu przelotny uśmiech, ale nie przerwała rozmowy. Podał mi ulotkę. Obaj zatopiliśmy się w lekturze.

Najpierw przejrzałem krótką historię szpitala stanowego Starkweathera, potem spisana tłustym drukiem „Deklarację zamierzeń” z mnóstwem zdjęć Emila Malwersanta i otoczonego wianuszkami bezimiennych dygnitarzy gubernatora, wbijającego w ziemię poślacane ostrze pierwszej łopaty. Dalej szła historia budowy, od wykopów po wykończenie – dźwigi, buldożery, robotnicy w kaskach, uwijający się jak mróweczki – w końcu szeroka perspektywa budynku pod prześlicznym niebem, równie sztucznym, jak zęby Starkweathera. Ściany budowli już wtedy były poplamione. W dniu otwarcia szpital wyglądał przygnębiająco.

„Deklarację zamierzeń” napisał William T. Swig, doktor medycyny, dyrektor ośrodka. Podkreślał w niej potrzebę humanitarnego traktowania pacjentów, a zarazem konieczność ochrony społeczeństwa. Szeroko rozwodził się o celach, wytycznych, zamiarach, przekuwaniu teorii w praktykę. Kto uczył biurokratów pisać?

Złożyłem broszurę na pół i wsunąłem do kieszeni w momencie, kiedy Lindeen powiedziała:

– W porządku, jest wolny.

Ruszyliśmy za Dollardem i znaleźliśmy się w korytarzu. Na paru drzwiach pod szkłem znajdowały się tabliczki z nazwiskami, większość okienek była jednak pusta. Tablice ogłoszeń pokrywała warstwa urzędowych papierów: dyrektyw, notatek, ustaw, regulaminów. Nikt inny nie szedł korytarzem. Zdałem sobie sprawę, że wokół panuje zupełna cisza, jeśli nie liczyć syku przewodów nad naszymi głowami.

Drzwi do gabinetu Swiga nie różniły się od pozostałych, a jego tabliczka z nazwiskiem była równie nietrwała, jak wszystkie inne. Dollard zapukał jeden raz i wszedł, nie czekając na odpowiedź. Przeszliśmy do sekretariatu, gdzie siedziała kolejna recepcjonistka, starsza i większa od Lindeen.

– Śmiało, Frank.

Trzy wazony z wielkimi żółtymi różami, niewątpliwie z własnego ogrodu, stały na biurku. Z ekranu komputera patrzyła na nas Mona Lisa, robiąca za wygaszacz ekranu. Uśmiechała się, potem marszczyła brwi, znów uśmiechała, znowu marszczyła brwi...

Dollard wszedł prosto do gabinetu. Swig podał nam rękę na powitanie.

Był młodszy, niż się spodziewałem – miał góra trzydzieści pięć lat – szczupły i prawie zupełnie łysy. Miał okrągłą buzię dziecka, upstrzoną kilkoma złowróbnymi pieprzykami na policzkach

i podbródka. Odrobina włosów, która mu pozostała, miała kolor blond i przypominała delikatny puszek. Ubrany był w niebieską koszulę z krótkimi rękawami, krawat w kratkę, granatowe spodnie i mokasyny.

– Bili Swig – rzekł, podając nam po kolei zimną, drobną dłoń.

Nastąpiła ogólna prezentacja. Biurko Swiga było nieco większe niż jego sekretarki, ale nie przesadnie; żadnych dowcipnych tabliczek, tylko przybornik na ołówek i pióro, parę książek i folderów, kilka zwróconych tyłem do nas zdjęć w ramkach. Z prawej na ścianie wisiało zdjęcie przedstawiające Swiga w ciemnym garniturze, z kobietą o kręconych włosach i ostrym podbródkiem i dwoma ładnymi dziewczynkami w wieku około czterech–sześciu lat. Obie miały lekko orientalne rysy. Kilka książek i mnóstwo spiętych gumkami papierów leżało na półkach w jedynej gablotce. Z plastikowego okna roztaczał się oleisty widok na dziedziniec szpitala.

– Masz do mnie coś jeszcze? – spytał Dollard.

– Nie, dziękuję, Frank – odparł Swig i Dollard pośpiesznie wyszedł. – Siadajcie, panowie. Proszę mi wybaczyć, że kazałem panom czekać. To prawdziwa tragedia, ta historia z doktor Argent. Wciąż jestem w szoku.

– Domyślam się, że niełatwo pana zszokować – odezwał się Milo.

Swig się zmieszał.

– Mam na myśli pańską pracę – wyjaśnił Milo. – To, co pan widzi na co dzień.

– Och! To niezupełnie tak wygląda, panie Sturgis. W zasadzie to spokojne miejsce, pewnie bezpieczniejsze niż ulice Los Angeles. Zwłaszcza od kiedy naprawiono klimatyzację. W istocie równie łatwo mnie zaskoczyć, jak każdego innego.

– Klimatyzację? – zdziwił się Milo.

– Mieliśmy problem – odrzekł Swig. – Przed paru laty wysiadły nam skraplacze. – Rozłożył ręce. – Mój poprzednik nie zdołał ich naprawić. Jak się pan zapewne domyśla, wygoda naszych pacjentów nie ma najwyższego priorytetu w Sacramento. W końcu personel zaczął się wykruszać i coś drgnęło. Napisałem raport i wreszcie mamy nowy system. Dzisiejszy dzień jest doskonałym przykładem – może pan go sobie wyobrazić bez klimatyzacji?

– Jak radzili sobie z tym pacjenci?

Swig usiadł w fotelu.

– Była to dla nich swoista... próba. Ale... W czym mogę panom pomóc?

– Ma pan coś do powiedzenia na temat zabójstwa doktor Argent?

Swig pokręcił głową.

– Rozumiem pańskie podejrzenia, że miało coś wspólnego z pracą, ale osobiście uważam, iż to niemożliwe. Z jednego prostego powodu: pacjenci doktor Argent są tutaj, a ją zabito na zewnątrz. – Wskazał ręką na okno. – Dodajmy do tego fakt, że jej praca przebiegała bez zakłóceń. Nie ma punktu zaczepienia, prawda?

– Wzorowa pracownica?

– Byłem pod dużym wrażeniem jej osoby. Spokojna, zrównowazona, troskliwa. Wszyscy ją lubili, pacjenci także.

– Mówi pan, jakby pacjenci zachowywali się rozsądnie – zauważył Milo.

– Słucham?

– Lubili ją, więc by jej nie skrzywdzili. Myślałem, że ci faceci nie kierują się żadną logiką. Czy żaden z nich nie mógł usłyszeć głosu, który kazał mu poderżnąć gardło doktor Argent?

Milo ani słowem nie wspomniał o oczach; była to informacja poufna. Swig zacisnął usta.

– Tak... Cóż, są psychotyczni, ale większość z nich jest w bardzo dobrym stanie. Zresztą co to zmienia? Sęk w tym, że nikt stąd nie wychodzi.

Milo wyjął notes i bazgrał w nim przez chwilę. To zawsze wywołuje jakąś reakcję. Swig uniósł brwi. Były jasnoblond, prawie niewidoczne, a ruch ten spowodował utworzenie się dwóch łukowatych zmarszczek nad jasnymi, niebieskimi oczami.

Długopis się zatrzymał.

– Nikt nigdy stąd nie wychodzi? – spytał Milo.

Swig poprawił się na krześle.

– Nie twierdzę, że nigdy. Ale bardzo, bardzo rzadko.

– Jak rzadko?

– Tylko dwa procent w ogóle stara się o uzyskanie zwolnienia, a i tak większość z nich nie przechodzi przez sito naszej komisji rewizyjnej. Z tych, którzy stają przed komisją, z pięć procent dostaje zwolnienie warunkowe. To oznacza zakwaterowanie pod obserwacją i opiekę, regularne leczenie pozaszpitalne, losowe analizy moczu, które pozwalają sprawdzić, czy pacjent przyjmuje leki. Poza tym nie może wykazywać żadnych objawów niebezpiecznego nawrotu choroby. Każde, nawet najmniejsze załamanie – i wraca do nas. Z tych, którzy wychodzą, z powrotem trafia tutaj jakieś osiemdziesiąt procent. Odkąd tu jestem, żaden zwolniony pacjent nie popełnił zbrodni. Z czysto praktycznych względów podobne rozważania prowadzą donikąd.

– Od jak dawna pan tu jest?

– Od pięciu lat.

– A wcześniej?

– Wcześniej były pewne problemy.

– Właśnie – rzekł Milo, przeglądając notatki. – Przy tak małej liczbie zwolnionych, można łatwo śledzić ich dalsze losy.

Swig klasnął cicho.

– Owszem, ale wymagałoby to nakazu sądowego. Nawet nasi ludzie mają jakieś prawa; nie możemy na przykład przeglądać ich korespondencji bez przekonujących dowodów nasilenia się choroby.

– Możecie ich szprycować, ale nie szpiegować?

– Różnica jest taka, że szprycowanie stosuje się dla ich dobra. – Swig przysunął się z krzesłem bliżej. – Proszę posłuchać, nie chcę panu utrudniać pracy, ale nie bardzo wiem, do czego pan zmierza tymi pytaniami. Mogę zrozumieć pana początkowe przypuszczenia: doktor Argent pracowała z niebezpiecznymi typami, a teraz została zamordowana. Z pozoru wydaje się to logiczne. Ale jak już mówiłem, w szpitalu jest prawdopodobnie bezpieczniej niż w pańskim rewirze.

– Czyli muszę pogrzebać w papierach, żeby się dowiedzieć, kogo zwolniono?

– Obawiam się, że tak. Proszę mi wierzyć, że gdyby istniało jakieś oczywiste zagrożenie, natychmiast bym pana powiadomił. Chociażby dla własnego dobra. Nie możemy pozwolić sobie na błędy.

– W porządku – rzekł Milo tak spokojnie, że aż na niego spojrzałem. – Lećmy dalej. Co może mi pan powiedzieć o doktor Argent?

– Nie znałem jej za dobrze – odpowiedział Swig. – Była kompetentna, cicha, konkretna. Nie miała konfliktów z personelem ani pacjentami. – Wziął do ręki leżącą na biurku teczkę i przejrzał jej zawartość. – Tu jest coś, co mogę panu dać. Jej akta.

– Dziękuję panu. – Milo oddał mi teczkę i wrócił do robienia notatek. W środku znajdowało się podanie Claire Argent o pracę, skrócony życiorys i zdjęcie legitymacyjne. Życiorys miał pięć stron: kilka publikacji, neuropsychologia, badanie czasu reakcji u alkoholików, same poważne pisma. Poza tym prowadziła wykłady w klinice. Dlaczego odeszła i trafiła tutaj?

Zdjęcie przedstawiało ładną, nieco szeroką twarz, rozjaśnioną nieśmiałym półuśmiechem; przytrzymywane białą opaską gęste, ciemne włosy do ramion, wywinięte na końcach, z przodu tworzyły puszystą grzywkę; jasnoniebieska bluzeczka bez kołnierzyka; czysta cera, prawie bez makijażu, duże, ciemne oczy. Pierwsze określenie, które przyszło mi do głowy, to „zdrowa dziewczyna”. Może wyglądała trochę zbyt niewinnie jak na swój wiek, zwłaszcza że sprawiała wrażenie trzydziestolatki, a nie kobiety pod czterdziestkę. Z metryki wynikało, że miała trzydzieści

dziewięć lat.

Na zdjęciu nie było daty, więc mogło zostać zrobione kilka lat wcześniej. Dziesięć lat temu doktor Argent obroniła pracę doktorską – może przy tej okazji zrobiła zdjęcie? Dalej przyglądałem się jej twarzy – najlepiej prezentowały się błyszczące, ciepłe oczy.

Teraz zmasakrowane. Czyżby miały stać się dla kogoś cennym trofeum?

– Obawiam się, że niewiele mam do powiedzenia – odezwał się Swig. – Jest tu ponad setka pracowników, w tym ponad dwudziestu psychologów i psychiatrów.

– Reszta to personel pomocniczy, tak jak Dollard?

– Sanitariusze, lekarze innych specjalności, pielęgniarki, sekretarki, kucharze, hydraulicy, elektrycy, strażnicy.

– I nie wie pan, czy któryś z tych ludzi utrzymywał jakąś znajomość z doktor Argent poza pracą?

– Nie mam pojęcia.

– Czy współpracowała z kimś na stałe?

– Musiałbym to sprawdzić.

– Bardzo proszę.

– Oczywiście. To potrwa kilka dni.

Milo wziął ode mnie teczkę, otworzył ją i przewertował papiery.

– Doceniam fakt, że udostępnił pan nam te dane, panie Swig. Kiedy ją zobaczyłem, wyglądała zupełnie inaczej.

Jakby odpierając komentarz, Swig zwrócił się do mnie:

– Pan jest psychologiem, doktorze Delaware? Sądowym?

– Kliniknym. Czasami udzielam konsultacji.

– Długo pan pracował z niebezpiecznymi psychotykami?

– Zaliczyłem staż w Atascadero. To wszystko.

– W tamtych czasach Atascadero musiało być dla pana ciężkim doświadczeniem.

– To prawda.

– Taaak. Zanim powstał Starkweather, Atascadero było najcięższym miejscem. Teraz trzymają tam

głównie przestępców seksualnych – mówił dalej pobłażliwym tonem.

– Też macie paru takich, prawda? – wtrącił się Milo.

– Kilku – przytaknął Swig. – To recydywiści, których skazano akurat w okresie odwilży, gdy sąd zarządzał hospitalizację. Teraz idą do więzienia. Nie przyjęliśmy nikogo takiego od lat.

Zabrzmiało to tak, jakby szpital był college'em.

– Czy przestępców seksualnych umieszcza się razem z typowymi pacjentami, czy na górze, z tymi z tysiąc trzysta sześćdziesiąt osiem? – zapytałem.

– Z typowymi. – Swig dotknął jednego z pieprzyków na twarzy. – Ci z tysiąc trzysta sześćdziesiąt osiem są w zupełnie innej sytuacji. Są naszymi gośćmi, nie stałymi mieszkańcami. Sąd nakazuje nam ich prześwietlić. Trzymamy ich osobno na czwartym piętrze.

– Żeby nie dawali złego przykładu tym z tysiąc dwadzieścia sześć?

Swig się zaśmiał.

– Nie sędzę, żeby tak łatwo dało się wpłynąć na tych z tysiąc dwadzieścia sześć. Nie, chodzi o bunt i ryzyko ucieczki. Przyjeżdżają i wyjeżdżają autobusem szeryfa; nie chcą się leczyć, marzą o tym, żeby się stąd wydostać. – Swig rozparł się wygodnie na fotelu, musnął dłonią pieprzyki na policzku. Dotykał ich delikatnie, jak niewidomy człowiek, czytający alfabet Braille'a. – Mówimy o kryminalistach i symulantach, którzy myślą, że śliniąc się unikną San Quentin. Oceniamy ich i odsyłamy z powrotem. – Podniósł głos i lekko się zaczerwienił.

– Straszne zawracanie głowy – stwierdziłem.

– Odciąga nas od naszego głównego zadania.

– Czyli od opieki nad tysiąc dwadzieścia sześć – rzucił Milo.

– Od leczenia chorych psychicznie morderców i trzymania ich na uboczu. Każdy z naszych pacjentów popełnił jakąś okrutną zbrodnię. Na zewnątrz słyszy się różne bzdury: „Każdy, kto zabija, musi być wariatem”. Pan, doktorze, na pewno zdaje sobie sprawę, że to idiotyzm. Większość morderców jest w zupełności normalna. Nasi pensjonariusze to wyjątek. Przerażają społeczeństwo ewidentną przypadkowością zbrodni. Mają motyw, ale nie taki, który przemawia do ludzi. Jestem pewien, że pan mnie rozumie, doktorze Delaware.

– Głosy w głowie – odrzekłem.

– Właśnie. Z tym jest tak samo, jak z produkcją kiełbasy: im mniej społeczeństwo wie o tym, co robimy, tym lepiej dla nas i dla niego. Dlatego mam nadzieję, że śmierć Claire nie ściągnie na Starkweather powszechnego zainteresowania.

– Nie ma ku temu powodów – uspokoił go Milo. – Im szybciej wyjaśnię sprawę, tym prędzej

zniknę z pańskiego życia.

Swig pokiwał głową i podrapał się w kolejny pieprzyk.

– Macie panowie coś jeszcze?

– Co dokładnie robiła tutaj doktor Argent?

– To co każdy psycholog. Indywidualnie dobierany trening behawioralny, trochę konsultacji, terapia grupowa – szczerze mówiąc, nie orientuję się w szczegółach.

– Słyszałem, że prowadziła grupę, która miała na celu trening podstawowych umiejętności.

– Zgadza, się – przyznał Swig. – Przed paroma miesiącami poprosiła o pozwolenie na zorganizowanie zajęć.

– Po co, jeśli pacjenci stąd nie wychodzą?

– Starkweather to też społeczność. W niej również trzeba umieć sobie radzić.

– Ilu mężczyzn liczyła grupa?

– Nie mam pojęcia. Doktor Argent podejmowała samodzielnie decyzje o przyjęciu.

– Chciałbym się spotkać z tymi ludźmi.

– Po co?

– Na wypadek, gdyby coś wiedzieli.

– Nie wiedzą – stwierdził Swig. – Skąd mieliby... Nie, obawiam się, że nie mogę się na to zgodzić. To zbyt poważna ingerencja. Nie jestem pewien, czy którykolwiek zdaje sobie sprawę, co się z nią stało.

– Ma pan zamiar ich poinformować?

– To byłaby decyzja terapeutyczna.

– Czyli czyja?

– Głównego klinicysty, prawdopodobnie jednego z naszych starszych psychiatrów. Jeśli to wszystko...

– Jeszcze jedno – przerwał Swigowi Milo. – Doktor Argent zajmowała dobre stanowisko w szpitalu okręgowym. Ma pan jakiś pomysł, dlaczego zmieniła pracę?

Swig pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– Naprawdę to pan pyta, dlaczego porzuciła wspomniały świat medycyny akademickiej dla naszego małego wariatkova. Gdy ubiegała się o pracę u nas, wspomniała, że chce zmienić tempo życia. Nie dopytywałem się więcej. Byłem szczęśliwy, że trafił mi się ktoś z takimi kwalifikacjami.

– Czy w czasie tej rozmowy powiedziała jeszcze coś, co mogłoby mi pomóc?

Swig ściągnął usta.

– Była bardzo zamknięta w sobie... Nie nieśmiała, raczej... opanowana. Ale miła, bardzo miła. To straszne, co ją spotkało.

Wstał, więc i my wstaliśmy. Milo mu podziękował.

– Chciałbym móc zrobić dla pana coś więcej.

– Właściwie... – stwierdził Milo. – Miło by było, gdybyśmy mogli rozejrzeć się tutaj trochę, tyle żeby poczuć atmosferę tego miejsca. Obiecuję, że nikogo nie zdenerwujemy, ale może moglibyśmy uciąć sobie pogawędkę z kimś z personelu, kto współpracował z doktor Argent?

Białe brwi znów się uniosły.

– Oczywiście, dlaczegoż by nie? – Swig otworzył drzwi do sekretariatu. Sekretarka układała róże w wazonie.

– Letty, zadzwoń, proszę, po Phila Hattersona. Detektyw Sturgis i doktor Delaware chcą się trochę rozejrzeć.

Phil Hatterson był niskim, podobnym z sylwetki do gruszki, mężczyzną w średnim wieku. Miał gumiąstą twarz i przerzedzone brązowe włosy. Mysiej barwy delikatne wąsy nie były w stanie skryć pełnych, ciemnych warg. – Miło mi panów poznać – przywitał nas, podając mocną, pewną dłoń, godną przewodniczącego klubu towarzyskiego.

Oczy miał piwne, czujne i wścibskie, ale przy tym łagodne, jak u oswojonej sarny.

Jego koszula i spodnie były barwy khaki.

Szliśmy za nim w pewnej odległości.

– Na parterze są tylko biura – oznajmił radośnie. Dziwnie się poruszał: drobił nogami jak tancerz i zmuszał nas do zwolnienia kroku. – Ale nie gabinety lekarskie, tylko administracja. Lekarze mają gabinety na oddziałach.

Jego uśmiech domagał się uwagi i aprobaty. Zmusiłem się do lekkiego uśmiechu; Milo nie zdobył się nawet na tyle uprzejmości.

Przy końcu korytarza po prawej znajdowały się windy o podwójnej szerokości, jedna obsługiwana za pomocą klucza z napisem „Tylko dla personelu”, druga z guzikiem, który Hatterson przycisnął. Milo obserwował go uważnie. Wiedziałem dokładnie, co sobie myśli: Pacjenci prowadzą szpital.

Winda nie zareagowała, ale Hatterson nie przejął się tym. Przeszł z nogi na nogę jak dziecko, czekające na deser. Nad windą nie wyświetlał się numer piętra, nie słyszeliśmy zgrzytu trybów. Nagle ze ściany – a właściwie z małego kwadratu stalowej siatki otaczającej guzik – dobiegł nas męski głos:

– Słucham? – Głos był elektronicznie zniekształcony i obojętny.

– Hatterson, Philip Duane.

– Numer identyfikacyjny.

– Pięć, dwa, jeden, sześć, osiem. Przed chwilą puściłeś mnie na dół na spotkanie z dyrektorem Swigiem. Dyrektor Swig dzwonił przed chwilą, żeby potwierdzić mój powrót na górę.

– Poczekaj. – Minęły trzy uderzenia serca. – Dokąd idziesz?

– Po prostu na pierwsze piętro. Mam zabrać dwóch panów – policjanta i lekarza – na przechadzkę.

– Poczekaj – powtórzył głos. Sekundę potem drzwi windy się rozsunęły.

– Panowie przodem – powiedział Hatterson.

Zastanawiając się, do kogo odwracam się plecami, wszedłem do windy. Była wyłożona grubą warstwą pianki i miała dodatkowy zamek. Słodkawy, budzący mdłości odór środka dezynfekującego unosił się w powietrzu.

Drzwi się zamknęły. Kiedy ruszyliśmy, Hatterson powiedział:

– Do góry, do góry i jeszcze dalej.

Stał pośrodku kabiny; ja wcisnąłem się w kąt, tak samo zrobił Milo.

Wysiedliśmy z windy i znaleźliśmy się w kolejnym łososiowym korytarzu: dwuskrzydłowe brązowe drzwi, zamki, głośnik – taki sam, jak na dole przy windzie. Napis nad drzwiami głosił „Oddział A”. Hatterson przycisnął guzik, z kimś porozmawiał i drzwi otworzyły się z cichym szcękaniem.

Na pierwszy rzut oka piętro wyglądało jak każdy oddział w szpitalu, oprócz dyżurki pielęgniarek, w całości ogrodzonej plastikiem. Tabliczka głosiła: „Kolejka po leki. Prosimy się nie przepychać”. Trzy ubrane na biało kobiety siedziały w środku pogrążone w rozmowie. Nieopodal, pod ścianą, stały nosze na kółkach; na białym prześcieradle widniały brunatne plamy.

Czarne linoleum i brązowe drzwi znaleźliśmy już z parteru. Sufit znajdował się tu bardzo nisko, na wysokości niewiele ponad dwóch metrów. Postaci w piżamach koloru khaki włoczyły się po korytarzach. Wyżsi pacjenci chodzili przygarbieni – niektórzy niżsi zresztą też. Kilku siedziało na białych plastikowych ławkach, przyśrubowanych do podłogi. Inni kołysali się w miejscu, jeszcze inni po prostu stali bez ruchu. Podłokietniki fotelików miały wywiercone całowe otwory. Na kajdanki.

Próbowałem rozejrzeć się po oddziale, nie rzucając się przy tym w oczy.

Czarni mężczyźni, biali mężczyźni, brunatni, żółci.

Chłopcy o blond włosach i sylwetkach mistrzów surfingu, wystarczająco nieopierzeni, by jeszcze mieć trądzik, ale patrzący na świat oczami starców. I starzy, bezzębni ludzie o zapadłych twarzach i nienaturalnie ruchliwych językach. Katatonicy o rozdziawionych ustach. Obdarte, mamroczące widma, niewiele różniące się od żebraków z Westside. Niektórzy, tak jak Hatterson, wyglądali względnie normalnie.

Każdy z nich zniszczył komuś życie.

Przeszliśmy szpalerem psychotyków, narażając się na ciekawskie spojrzenia. Hatterson nie zwracał uwagi na pacjentów, tanecznym krokiem prowadząc nas dalej.

Jeden z młodych uśmiechnął się wyzywająco i zrobił krok w naszym kierunku. Głowę i brodę pokrywały mu kępki włosów, przedramię zdobiła swastyka. Na obu nadgarstkach miał obrzmiałe, białe blizny. Zachwiał się, uśmiechnął, zanucił coś bezgłośnie i ruszył dalej. Mężczyzna o hiszpańskim typie urody, z warkoczem sięgającym poniżej pasa, pił coś z papierowego kubka.

Zakaszłał, kiedy przechodziliśmy koło niego, rozbryzgując różowy płyn. Ktoś puścił bąka. Ktoś inny się roześmiał. Hatterson przyspieszył kroku. Mijaliśmy brązowe drzwi, oznaczone jedynie numerami. Na większości z nich znajdowały się małe, prostokątne zaślepki. Zakrywały judasze.

W połowie korytarza dwóch czarnych pacjentów z brudnymi, splecionymi w niechlujne dredy włosami, mierzyło się wzrokiem spod przeciwległych ścian. Z daleka wydawało się, że rozmawiają, ale kiedy podeszliśmy bliżej, zobaczyłem, że ich twarze są nieruchome, a martwe oczy patrzą ślepo w dal.

Stali dokładnie naprzeciwko siebie. Mężczyzna z prawej trzymał rękę w rozporoku i widziałem, że gwałtownie porusza nią pod materiałem. Hatterson też to zauważył i rzucił Murzynowi zgorzone spojrzenie. Kilka metrów dalej facet w typie dobrego, podstarzałego wujaszka, około siedemdziesiątki, siwy jak Emil Starkweather, w okularach bez oprawek, białym pulowerze i beżowej koszuli, stał oparty o ścianę i czytał „Chrześcijański Przegląd Naukowy”.

Ktoś krzyknął, ktoś się zaśmiał.

Powietrze było zimne, sporo chłodniejsze niż u Swiga w biurze. Minęliśmy tęgiego, siwego mężczyznę na ławce, jego mięsiste ręce miały grubość moich ud. Zaczerwieniona, potwornie zniekształcona twarz przywodziła na myśl przejrzały melon. Nagle zerwał się z ławki i jego nalana twarz znalazła się tuż przy mojej. Poczulem gorący, kwaśny oddech.

– Jeśli się zgubiłeś, to tam jest wyjście. – Wskazał na jedno z brązowych drzwi.

Zanim zdołałem odpowiedzieć, zjawiała się młoda kobieta i wzięła go za łokieć.

– Jeśli się zgubiłeś... – zaczął znowu mężczyzna.

– W porządku, Ralph, nikt się nie zgubił – uspokoiła go pielęgniarka.

– Jeśli się zgubiłeś...

– Starczy już, Ralph – zabrzmiał jej ostry, wysoki głos. Mężczyzna zwiesił głowę.

Miała znaczek w zielone paski, z napisem „H. Ott, psych.-terap.”.

Pielęgniarka z grupy terapeutycznej Claire. Miała na sobie delikatną bluzkę z długimi rękawami podwiniętymi do łokci, wpuszczoną w dopasowane dzinsy, które ciasno opinały się jej na biodrach – niezbyt postawna kobieta, metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, drobna, tak na oko jakies dwadzieścia pięć lat, zbyt młoda, by sprawować tu władzę. Nieokreślonej barwy włosy zebrała w ciasny węzeł, eksponując pociągłą twarz o symetrycznych rysach i nieco zbyt wyrazistych szczękach. Miała szeroko rozstawione niebieskie oczy i czystą, różowawą karnację wiejskiej dziewczyny. Ralph był od niej prawie o głowę wyższy i dobre sześćdziesiąt pięć kilogramów cięższy, ale spotulniał, nie próbując się wyrwać.

– Dobrze już – powiedziała do niego. – Może byś trochę odpoczął. – Obróciła go; poruszała się gładko, z wdziękiem. Ładne krągłości, drobny biust, długa, smukła szyja. Oczami wyobraźni

widziałem, jak gra w siatkówkę na plaży. A co widzieli ci goście w khaki?

Ralph spróbował jeszcze raz:

– Jeśli się zgubiłeś, to tam jest... – Zakaszła przy ostatnim słowie.

– Nikt się nie zgubił. – Głos Heidi Ott zabrzmiał głośniejszym i pewniej.

Po policzku Ralpa spłynęła łza. Heidi Ott pchnęła go delikatnie i mężczyzna ruszył. Kilku innych pacjentów przyglądało się tej scenie, ale większość wydawała się obojętna.

– Przepraszam – odezwała się do nas panna Ott. – Wydaje mi się, że jest przewodnikiem wycieczki. – Niebieskie oczy spoczęły na Hattersonie. – Wciąż jesteś zajęty, Phil?

Hatterson wyprężył pierś.

– Oprowadzam ich, panno Ott. To jest detektyw Sturgis z policji z Los Angeles, a to doktor... Przepraszam, zapomniałem, jak się pan nazywa.

– Delaware.

– Miło mi panów poznać – odrzekła dziewczyna.

– A co do Ralpa, to krążył po autostradach, zabierał ludzi, którzy mieli kłopoty z samochodem – mówił dalej Hatterson. – Oferował im pomoc, a potem...

– Phil! – przerwała mu Heidi Ott. – Wiesz, że szanujemy tu prywatność.

Hatterson burknął cicho i odął wargi: zirytował się, ale nie czuł skruchy.

– Przepraszam – bąknął.

– Jesteście tu w sprawie doktor Argent? – Z tym pytaniem Heidi zwróciła się do Milo. Zaciśnięta wargi tak mocno, że zbieleły. Na młodej skórze pojawiły się wywołane przez napięcie zmarszczki.

– Tak, proszę pani – odparł Milo. – Pracowałyście razem, prawda?

– Pracowałam z grupą, którą prowadziła. Stykałyśmy się też z powodu kilku innych pacjentów. – Mrugnęła dwa razy. Mówiła już spokojniej i wreszcie wyglądała na swoje lata.

– Jeśli ma pani chwilę, chciałbym... – zaczął Milo.

Za nimi rozległy się krzyki i odgłosy uderzeń. Błyskawicznie się odwróciłem.

Dwaj mężczyźni z dreadami turlali się po podłodze, niczym derwisz w dwóch osobach, miotając się, okładając pięściami, drapiąc i gryząc. Poruszali się wolno, z namysłem, w milczeniu. Jak bulterierzy.

Pacjenci zaczęli im kibicować. Starszy mężczyzna z „Chrześcijańskim Przeglądem Naukowym” klepnął się w kolano i roześmiał w głos. Tylko Phil Hatterson sprawiał wrażenie przestraszonego: poblądł i wyglądał tak, jakby szukał miejsca, gdzie można się schować.

Heidi Ott wyciągnęła z kieszeni gwizdek, dmuchnęła mocno i ruszyła w kierunku bijatyki. Nagle u jej boku pojawiło się dwóch sanitariuszy. We troje w mgnieniu oka rozdzielili walczących.

Mężczyźni z dredami zostali postawieni na nogi. Jeden miał rozcięty lewy policzek, drugi zadrapanie na przedramieniu. Nie zmęczyli się zbytnio. Sprawiali wrażenie spokojnych, niemal pogodnych.

– Co jest grane, psiakrew? – zaprotestował starszy gość z gazetą.

Heidi wzięła krwawiącego mężczyznę pod rękę i zaprowadziła go do dyżurki. Przycisnęła guzik, coś pstryknęło i z otworu w przednim okienku odebrała tampony i maść z antybiotykiem. Podczas gdy opatrywała pacjenta, mężczyźni w khaki trochę się ożywili: zmieniali pozycję, rozprostowywali ramiona, rozglądali się dookoła.

W korytarzu pachniało agresją. Phil Hatterson przesunął się w bok, żeby stanąć bliżej Mila, ale ten zmroził go spojrzeniem i zacisnął pięści.

Jeden z sanitariuszy, niski, krępy Filipińczyk, przerwał milczenie:

– W porządku, panowie. A teraz się uspokójcie.

Na korytarzu zapadła cisza.

Hatterson odetchnął głośno, z wyraźną ulgą.

– Nie cierpię, gdy zdarzają się takie głupoty. Gdzie w tym sens?

Heidi popędziła zakrwawionego Murzyna na drugą stronę dyżurki, gdzie zniknęli pacjentom z oczu.

– Panowie? – ponaglił nas Hatterson.

Kontynuowaliśmy wycieczkę. Naszemu przewodnikowi wróciły na twarz rumieńce, a ja doszedłem do wniosku, że w jego przypadku najgorszym zaburzeniem byłoby chyba wazeliniarstwo; działał na nerwy, ale zachowywał się rozsądnie. Wiedziałem, że leki bardzo pomagały niektórym psychotykom. Czyżbym miał przed sobą żywy przykład skuteczności chemii?

– To jest moje ulubione miejsce, świetlica z telewizorem – odezwał się Hatterson.

Oddział się skończył i stanęliśmy przed otwartymi drzwiami do jasnego pokoju pełnego plastikowych krzesełek. Z przodu, niczym ołtarz, stał ogromny telewizor.

– Kiedy wybieramy, co oglądać, robimy to demokratycznie: kto chce, to głosuje. Większość rządzi. Jest dość spokojnie – mam na myśli wybieranie programów. Bardzo lubię wiadomości, ale niezbyt

często udaje mi się je obejrzeć. Na szczęście lubię też sport i prawie wszyscy głosują na sport, więc z tym jest w porządku. A to nasza skrzynka pocztowa.

Wskazał na solidne, plastikowe pudło, przytwierdzone do ściany. Miało zaokrąglone kanty i było zamknięte na łańcuch.

– Nasza korespondencja jest objęta tajemnicą, chyba że okoliczności usprawiedliwiają jej naruszenie.

– Jakie okoliczności? – spytałem.

– Kiedy ktoś rozrabia. – Pytanie przestraszyło Hattersona.

– To się często zdarza?

– Nie, nie. – Kilka razy szybko zamrugał. – Lekarze odwalają tu kawał dobrej roboty.

– Doktor Argent też? – wtrącił Milo.

– Pewnie.

– Więc ją znasz.

Hatterson poruszył rękoma. Oblizwał wargi, które nabrały koloru surowej wątroby.

– Nie mieliśmy zbyt wielu konsultacji, ale wiedziałem, kim jest. Bardzo miła pani. – Znow się oblizwał. – To znaczy, musiała być bardzo mądra. I miła.

– Wiesz, co się z nią stało?

Hatterson wbił wzrok w podłogę.

– Jasne.

– A inni?

– Nie mogę mówić za wszystkich, proszę pana. Ale pisali w gazecie.

– Pozwalają wam czytać gazety? – zapytał Milo.

– Pewnie, możemy czytać, co chcemy. Ja lubię „Time’a”; wszystkie informacje w schludnym, małym pakiecie. To tyle, jeśli chodzi o oddział A. Oddziały B i C są w zasadzie podobne. Na C jest kilka kobiet. Nie ma z nimi żadnych problemów.

– Są trzymane osobno?

– Nie, przemieszane. Po prostu jest ich niewiele. Nie mamy z nimi kłopotów.

– A co z czwartym piętrem? – zapytał Milo.

– Och, tysiąc trzysetki – rzucił Hatterson. – Nie, nie mamy z nimi kontaktu poza momentami, kiedy przez okno widać, jak szeryf ich przywozi. Mają na sobie więzienne drelichy, jadą prosto na górę osobną windą. Oni...

Wzruszył ramionami.

– Oni co? – zapytałem.

– Symulują. Nie zagrzewają tu miejsca. A w ogóle mamy całkiem ładne pokoje, pozwólcie, że wam pokażę – tu jest jeden otwarty, możemy rzucić okiem.

Sala była spora, pusta i czysta jak baraki piechoty morskiej. W rogach stały cztery łóżka – materace osadzone w odlanych z plastiku ramach, przytwierdzonych do podłogi. Przy każdym z nich stolik nocny z takiego samego tworzywa.

Jedno matowe okienko o powierzchni kilkunastu centymetrów kwadratowych wpuszczało do środka trochę miękkiego światła.

Trzy łóżka były porządnie pościelone, wierzchnie prześcieradła gładko przylegały do materaców. Jedno było skotłowane. Żadnych szafek. Pozbawione drzwi przejście prowadziło do maleńkiej białej toalety: muszla bez deski, biała urny walka – żadnej apteczki, przyborów toaletowych, szczoteczek do zębów. Wszystko mogło stać się groźną bronią.

– Dają nam jednorazówki – powiedział Hatterson, jakby czytał w moich myślach. – Płyn po goleniu, pędzle, krem... Maszynki tylko pod nadzorem. Niektórzy używają golarek elektrycznych, które się sterylizuje i używa ponownie. – Popatrzył z dezaprobatą na nie pościelone łóżko. – Ktoś ma ciężki dzień... Nie możemy niczego wieszać na ścianach, bo mogłoby zostać podpalone. Dlatego nie ma rodzinnych zdjęć i tym podobnych. Ale nie jest źle, prawda?

Milo odchrząknął.

Hatterson skrzywił się, ale obstawał przy swoim:

– Dostajemy trzy posiłki, jedzenie jest całkiem smaczne.

Prawdziwy prezes Izby Handlowej imienia Starkweathera. Rozumiałem już, dlaczego Swig go wybrał. Hatterson wyprowadził nas z pokoju.

– I to by było na tyle, panowie.

– Czy we wszystkich pokojach mieszka po kilka osób? – spytałem, zastanawiając się, jak dobierani są współmieszkańcy.

– Poza SiP-ami i izolatkami. SiPy, czyli stłumienie i powstrzymanie, są pojedyncze. Łatwo zorientować się, które to, bo mają S po numerze. – Wskazał ręką. – Ogólnie rzecz biorąc, są takie

same, tyle że mniejsze, bo dla jednego pacjenta.

– Czy „stłumienie i powstrzymanie” oznacza kaftany bezpieczeństwa? – odezwał się Milo. – I miękko wyściełane ściany, tak jak w windzie?

Wąsy Hattersona poruszyły się niespokojnie.

– Nie ma obić, ale pewnie, jak komuś potrzebny kaftan, to się znajdzie. Mam nadzieję, że jeśli dobrze się zachowujesz po tym, jak zarobisz na SiP, to szybciotko cię wypuszczają. Nie mogę tego powiedzieć z własnego doświadczenia, ale tak sobie wyobrażam.

Promieniał dumą. Widziałem wstręt w oczach Mila, Staliśmy w pustym pomieszczeniu. Hatterson paplał o jedzeniu: w piątce dalej dawali im rybę, mimo że papież dopuścił podawanie mięsa, poza tym pigułki z witaminami. Dobrze dbali tu o pacjentów.

Jak zarządca; w każdym środowisku się taki trafi. Poza tym plotkarz, aż się palił, żeby opowiedzieć nam o kryminalnej przeszłości Ralpa. Czyżby był wtyczką Swiga? Ryzykowna zagrywka na oddziale pełnym morderców.

Równie dobrze mogę to wykorzystać, pomyślałem.

– Na których oddziałach pracowała doktor Argent?

Hatterson przystanął.

– Wydaje mi się, że wszędzie. Wszyscy lekarze tak pracują: krążą z miejsca na miejsce. Większość z nich nie ma nawet stałego gabinetu, po prostu dzielą się biurkami, kiedy trzeba zrobić wykres.

– Gdzie się trzyma te wykresy?

– W dyżurce.

– Co dokładnie robiła tu doktor Argent? – dopytywałem się.

– Wydaje mi się, że była konsultantem.

– Co wiesz o jej grupie treningu podstawowych umiejętności?

– Tyle że uruchomiła ją kilka miesięcy temu. I wzięła do niej kilku dziwnych facetów.

– Dziwnych? Co przez to rozumiesz?

– Pokręconych – odpowiedział Hatterson i popukał się w skroń. – Wie pan, takich, co źle funkcjonują.

– Ale po co? – odezwał się Milo. – I tak nikt stąd nie wychodzi, prawda?

Hatterson pobladł. Głowa zaczęła mu opadać i pozostała nisko, jakby udręczona niewiarygodnym ciężarem. Pełne wargi zadrżały.

– Prawda – przytaknął.

– Nie mam racji?

– Nie, nie, to prawda.

– Czy uczestnicząc w grupie doktor Argent, ktoś mógłby zasłużyć na zwolnienie? – zapytał Milo.

– O niczym takim nie słyszałem, proszę pana.

– Czy którykolwiek z uczestników grupy wyszedł?

Hatterson pokręcił głową.

– Nie, to była po prostu... nauka robienia różnych rzeczy samodzielnie. Doktor Argent chciała pomóc im poczuć się lepiej z samymi sobą.

– Poprawić ich samoocenę – odpowiedział Milo.

Hatterson się rozpromienił.

– Pan to rozumie. Nie możesz kochać innych, jeśli nie kochasz samego siebie. Ona wiedziała, co robi. Lekarze tutaj są sprytni. Dobra, zadzwonię i jedziemy na B.

Dwa wyżej umieszczone oddziały miały identyczny rozkład jak A. Na C korytarz był zatłoczony, ale nie widziałem żadnej pacjentki. Przeszliśmy szybko. Obeszło się bez bijatyk i nieprzyjemnych spotkań: ta sama mieszanka sflaczałych ciał, stuporu i zubożenia. Czasem tylko ktoś posłał nam mroczne spojrzenie paranoika; tu i ówdzie węzowe ruchy języka i drżenie mięśni zdradzały działanie neuroleptyków. Hatterson szybko przeprowadził nas przez oddział – skończyło się radosne szczebiotanie. Był zawiedziony, prawie jakby się na nas obraził.

Kiedy zabrakło jego paplaniny, w korytarzach zalegała zupełna cisza. Pacjenci nie rozmawiali między sobą.

Tutaj każdy człowiek był wyspą.

Doszedłem do wniosku, że Swig ma rację; jego pupilami łatwiej się sterowało niż zwykłymi przestępcami. Wystarczyło raz zapanować nad gwałtownymi impulsami, by psychoza stała się sprzymierzeńcem lekarza. Neurochemiczne tłumienie aktywności i tępienie inicjatywy skutecznie tłamsiło iskierkę ożywienia.

Leki też pomagały. Cała sztuka przy kontakcie z agresywnymi psychotykami polegała na tym, żeby znaleźć specyfik, który ukoiłby przypadkową przypieczoną synapsę, odsunął furię i wyciszył ciche głosy, podsuwające wizje rzezi.

Jednakże odebranie agresji nie równa się uzyskaniu pogody ducha. To, co zostaje, psychiatria nazywa negatywnymi objawami psychozy: apatia, stłumiony głos, powolne ruchy, zubożenie myślenia, język pozbawiony niuansów i poczucia humoru – życie wyzute z niespodzianek i radości.

To tłumaczyło otaczającą nas ciszę. Brak hałasu nie równał się spokojowi. Oddział przypominał grobowiec.

Minął nas sanitariusz, wioząc na wózku jedzenie. Z przyjemnością nastawiłem uszu na brzęk naczyń.

Hatterson zabrał nas do windy oddziału C.

– Jedźmy na czwarte – zaproponował Milo.

– Przykro mi, ale nie mam pozwolenia. Nikt nie ma, nawet lekarze, chyba że mają polecenie zdiagnozować jakiegoś tysiąc trzysta.

– Bardzo dużo wiesz o tym miejscu – zauważyłem.

Hatterson wzruszył ramionami. Kiedy czekaliśmy na windę, przypatrywałem się przez plastikowe szybki w drzwiach ruchowi na oddziale. Ludzie z personelu poruszali się pewnie i swobodnie, bez broni. Czarna pielęgniarka wynurzyła się z dyżurki z notatnikiem i szybkim krokiem ruszyła w głąb korytarza, kołysząc biodrami. Pacjenci w ogóle niewiele robili.

Przypomniałem sobie, jak Heidi Ott poradziła sobie z Ralphem i walczącymi Murzynami. W więzieniu taka potyczka mogłaby doprowadzić do rozruchów na pełną skalę.

Starkweather był jak trzymany żelazną ręką statek ze sprawdzoną załogą – i mnóstwem pasażerów z biletem w jedną stronę.

Co z kolei znaczyło, że szansę na to, iż praca Claire Argent miała coś wspólnego z jej śmiercią, rzeczywiście były znikome.

Ale może ten idealny system nawalił w jakiś sposób? Zwolniono człowieka, który potem „odreagował” pobyt w najgorszy możliwy sposób?

Kto wie, może Heidi Ott coś więcej by nam powiedziała. Pracowała z Claire Argent w grupie treningowej... Ze źle funkcjonującymi, jak mówił Hatterson. O czym myślała Claire, kiedy organizowała spotkania?

Dlaczego w ogóle zaczęła tu pracować?

– Oto i nasi lekarze – oznajmił Hatterson.

Trzech mężczyzn weszło do pokoju. Mieli na sobie koszule, krawaty pod szyją, nie nosili białych fartuchów i wyróżniały ich tylko plakietki z żółtymi paskami. Nie sposób było po nich poznać, czy przejęli się śmiercią koleżanki, którą zaszlachtowano i upchnięto do bagażnika samochodu.

– Przepraszam – odezwał się Milo. Mignął lekarzom odznaką i wyjaśnił cel naszej wizyty. Mężczyzna idący w środku był wysokim, jasnym blondynem, miał twarz ogorzałą od wiatru i dobiegał sześćdziesiątki. Ubrany był w zieloną koszulę w kratę i żółty krawat.

– To okropność – powiedział. – Życzę panu powodzenia.

V. N. Aldrich, dr med., psychiatra III.

– Jeśli któryś z panów mógłby mi powiedzieć cokolwiek, co mogłoby pomóc... – zaczął Milo.

Bez odpowiedzi. Dopiero po chwili łysy, ciemnobrody mężczyzna rzekł:

– Claire sprawiała wrażenie bardzo miłej, ale nie mogę powiedzieć, żebym ją znał.

Doktor C. Steenburg.

Trzeci mężczyzna był niski i czerwony na twarzy: D. Swenson, dr med. Pokręcił głową.

– Była stosunkowo nowa, prawda, Vern?

– Pracowała dopiero kilka miesięcy – przytaknął Aldrich. – Byłem jej oficjalnym przełożonym przy kilku przypadkach. Dobrze się spisywała.

– Oficjalnym? – spytałem.

– Jestem starszym psychiatrą dziennego dyżuru, więc formalnie to mnie podlegała. Ale nie potrzebowała specjalnej opieki. Była bardzo błyskotliwa. Strasznie mi przykro z powodu tego, co się stało. Nie tylko mnie zresztą.

Wszyscy trzej pokiwali głowami.

– Czym się tutaj zajmowała? – ciągnąłem.

– Głównie terapią behawioralną: – tworzenie losowego systemu nagradzania, nagrody za dobre zachowanie, odbieranie przywilejów za naruszenia... Tego typu rzeczy. – Aldrich się uśmiechnął. – Nie uważam się za eksperta w tym, co robiła. Jesteśmy tu dość samodzielni. Claire miała świetne przygotowanie, pracowała wcześniej w szpitalu okręgowym.

– Nie wiecie, panowie, dlaczego tu przeszła?

– Mówiła, że potrzebuje odmiany. Miałem wrażenie, że nie chce o tym rozmawiać. Według mnie miała po prostu dość tego, co robiła. Ja na przykład miałem prywatną praktykę, przeszedłem na emeryturę, znudziłem się golfem i przyszedłem tutaj.

– Czy miał pan wrażenie, że potrzebowała więcej kontaktu z ludźmi, niż to w neuropsychologii możliwe? – naciskałem dalej. To było raczej pytanie psychologa niż gliny i Aldrich przyjrzał mi się uważnie.

– Niewykluczone – przyznał. – W każdym razie trudno mi sobie wyobrazić, żeby to wszystko miało coś wspólnego z tym, co ją spotkało.

– Dlaczego? – zdziwił się Milo.

– Zabito ją tam. – Aldrich wskazał na ścianę – W tym cudownym, demokratycznym, normalnym świecie. – Rzucił okiem na Hattersona, jakby dopiero teraz zauważył małego człowieczka. Splótł ręce za plecami i obejrzał go od stóp do głów. – Znow się włóczysz, Phil?

– Pan Swig prosił mnie, żebym panów oprowadził, doktorze Aldrich.

– Rozumiem. W takim razie zrób to. – Aldrich przeniósł wzrok na Mila. – Naprawdę chciałbym panu pomóc, ale jesteśmy w kropce.

– Zatem rozmawialiście o tym, co się stało?

Trójka lekarzy spojrziała po sobie.

– Tak, oczywiście – odparł Aldrich. – Wszystkich nas to poruszyło. Przekonaliśmy się, że żaden z nas nie znał doktor Argent. To zmobilizowało nas do większego zaangażowania w życie towarzyskie. Życzę szczęścia w rozwikłaniu tajemnicy.

– Jeszcze jedno... – dorzucił Milo. – Chodzi mi o grupę, którą prowadziła doktor Argent, trening podstawowych umiejętności. Czy jest możliwość spotkania się z pacjentami?

– Musiałby pan porozmawiać na ten temat z administracją – odparł Aldrich.

– Czy widzi pan w tym jakiś problem? Z medycznego punktu widzenia?

Aldrich obciągnął krawat.

– Zajmę się tym. Chciałbym mieć pewność, że... nikogo nadmiernie nie zaniepokoiimy.

– Byłbym zobowiązany. – Milo dał jemu i pozostałym lekarzom wizytówki.

Przyjechała winda.

– Niech panowie zjadą pierwsi – rzekł Aldrich. – My pojedziemy następną.

Kiedy byliśmy już na dole, Hatterson się odezwał:

– Doktor Aldrich jest bardzo, bardzo mądry.

– Jak długo tu jesteś, Phil? – zagadnął Milo.

Hatterson wciągnął głowę w ramiona, jak zółw szturchnięty kijem. Nie dosłyszeliśmy, co odmruknął.

– Co powiedziałaś, Phil?

Zaczął gładzić palcami wąsy. Zagryzł dolną wargę. – Bardzo długo.

Został w windzie i pomachał nam na pożegnanie.

– Kurczę – rzucił Milo, kiedy wracaliśmy do recepcji. – Nie mieliśmy okazji porozmawiać z tą dziewczyną, Ott. Trzeba będzie wydębić skądś jej domowy telefon i pociągnąć poszukiwania. Wszędzie słyhać tę samą śpiewkę: tutaj jest bezpiecznie jak u mamusi. Kupujesz to?

– Przerwali bójkę całkiem sprawnie.

– Tak, zgadza się, powiedzmy, że wariaci są pod kontrolą. Widzisz coś, co mogłoby zwabić tu Claire?

– Może cała struktura – podpowiedziałem. – Żadnych więcej podań o stypendia, koniec z akademickimi gierkami. Aldrich mówił, że chciała odmiany.

– Nie wiem, co ona widziała w Starkweatherze, ale tu ciarki przechodzą mi po plecach. Nawet nie zadrapaliśmy powierzchni, prawda?

– Może pod powierzchnią nic nie ma.

Nie odpowiedział. Minęliśmy biuro Swiga. Drzwi były zamknięte.

– Dobra, wezmę numer do Heidi Ott, a potem spadamy stąd. Jeśli masz czas, mogę pokazać ci dom doktor Argent. Na zewnątrz, w tym złym, porąbanym, normalnym świecie. Im dłużej tu jestem, tym bardziej tęsknię za jego szaleństwem.

Lindeen Schmitz znów wisiła na telefonie; ledwie podniosła na nas wzrok. Milo zatrzymał się przed biurkiem i pochylił nad nią, ograniczając jej swobodę ruchów. Gdzie staje poirytowany gliniarz, który ma bez mała metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ponad sto kilo żywej wagi? Gdzie chce.

Próbowała dalej przytakiwać, niby to oficjalnie, chociaż widać było, że to ewidentnie prywatna rozmowa. W końcu rzuciła:

– Muszę kończyć. – I odłożyła słuchawkę.

– Czym mogę służyć?

Milo wyszczerzył się do niej w uśmiechu.

– Muszę kontynuować dochodzenie zjedną z waszych pracownic, Heidi Ott. Czy mógłbym dostać jej domowy telefon?

– Hmm, nie jestem pewna, nie mogę tego zrobić bez zezwolenia. A pan Swig wyszedł... A co mi tam, w końcu jesteście z policji. I tak go macie w jakiejś tajnej książce telefonicznej, nie? – Spuściła powieki, wstała zza biurka i nonszalanckim krokiem popłynęła w stronę najbliższych brązowych drzwi. Wróciła z blankietem telefonicznym i podała go Milowi: na karcie wydrukowano nazwisko i numer, razem z kierunkowym 213. Milo uklonił się lekko.

– Dziękuję pani bardzo.

– Nie ma sprawy, proszę pana. – Znow zatrzepotała rękami. – Mam nadzieję, że znajdziecie tego, kto to zrobił.

Milo podziękował jej jeszcze raz i skierowaliśmy się do głównego wejścia.

– Dlaczego chcecie rozmawiać z Heidi? – zapytała jeszcze Lindeen.

– Pracowała z doktor Argent.

Wzięła do ręki ołówek i postukała w blat biurka.

– Nie sądzę, żeby były przyjaciółkami, czy coś w tym stylu. Doktor Argent nie miała chyba żadnych przyjaciół. Była naprawdę cicha i spokojna. Kiedy całą paczką szliśmy na drinka, namawialiśmy ją, ale ona zawsze odmawiała, więc przestaliśmy. Sądzę, że była nieśmiała. Niemniej to straszne, co się stało. Kiedy o tym usłyszałam, nie mogłam wprost uwierzyć... Widzisz kogoś dzień w dzień i nagle po prostu... – Strzeliła palcami. – Każdego ranka punkt ósma przechodziła tędy, szybko, mówiła „dzień dobry” i szła dalej, jakby miała na ten dzień wielkie plany. To takie... potworne.

– Ma pani rację – przyznał Milo. – Więc nie miała żadnych znajomych?

– Nie zauważyłam. Miła, ale straszny pracuś. Mam nadzieję, że to wyjaśnicie.

Sięgnęła po telefon.

– Przepraszam, jeszcze tylko jedna rzecz, która mnie zaciekała, proszę pani – wtrącił Milo.

Jej ręka zatrzymała się na słuchawce.

– Słucham?

– Facet, który nas oprowadzał... Hatterson. Za co tu jest?

– A, ten – mruknęła. – Były z nim jakieś problemy?

– Nie. A sprawa kłopoty?

– On? – zachnęła się. – Ależ skąd.

– Pytam, bo nie wygląda na obłąkanego. Po prostu ciekaw jestem, jaki facet zostaje przewodnikiem po szpitalu.

– Phil... – powiedziała, wymawiając jego imię z wyraźnym niesmakiem. – Phil zgwałcił małą dziewczynkę. Trzeba jej było potem zrobić operację rekonstrukcyjną.

Frank Dollard czekał na nas na dworze. Przeprowadził nas przez dziedziniec bez słowa komentarza. Olbrzymi Chet stał w rogu i gapił się na drucianą siatkę. Sikający Sharbno zniknął. Kilku mężczyzn zamarło w bezruchu, kilku innych siedziało na ziemi. Słońce grzało chyba jeszcze bardziej.

Dollard poczekał, aż odbierzemy broń Mila i mój nóż. Zewnętrzna brama się otworzyła.

– Pozwól, że zapytam cię o jedną rzecz, Frank – rzekł Milo. – Taki facet jak Hatterson... w pierdlu zjedliby go na śniadanie.

– Chce pan wiedzieć, jaka jest tu jego pozycja? – Dollard się uśmiechnął. – Niska. Taka sama, jak wszystkich pozostałych. Podejrzewam, że inni faceci nawet nie wiedzą, co zrobił. Rzecz w tym, że niezbyt przejmują się innymi. Nie czują się z nikim związani.

Kiedy jechaliśmy przez eukaliptusowy zagajnik, Milo wybuchnął śmiechem.

– Co jest? – zdziwiłem się.

– Jak ci się podoba taka historyjka: łapiemy złego faceta, okazuje się, że to jakiś cwaniaczek, którego oni wypuścili przez pomyłkę. Usprawiedliwia się niepoczytalnością... i z powrotem tam trafia.

– Sprzedaj to w Hollywood... Albo nie, nie jest dość głupie.

Opuściliśmy lasek i wjechaliśmy w biały blask dnia.

– No dobrze, twierdzisz, że nasz chłoptaş prawdopodobnie nie zachowuje się ani nie wygląda jak wariat, więc może powinienem zapomnieć o tym miejscu?

– Przypuszczam, że nasz chłoptaş bardziej przypomina lokatorów czwartego piętra.

– Czyli sprawdzanie ostatnio zwolnionych wychowanków ze Starkweathera to tylko zawracanie głowy? A co z grupą prowadzoną przez Claire? Po co słabo funkcjonującym facetom podstawowe umiejętności? Chyba że miała przecucie, iż niektórzy z nich skończą na zewnątrz.

– Może kierowała się czystym altruizmem – zasugerowałem. – Pomyliła się czy coś... Może rozmowa z Heidi Ott rzuci nieco światła na tę sprawę. Ott powie ci też, czy któryś z pacjentów Claire został ostatnio zwolniony.

– Tak, Heidi to zdecydowanie numer jeden na mojej liście. Twarda jest ta mała... Pamiętasz, jak sobie poradziła z tym Ralphem? Potrafisz sobie wyobrazić kobietę, która przychodzi tu dzień w dzień?

Zjechał ze Starkweather Drive i wrócił na drogę dojazdową do autostrady. Pojawił się nagi, szary obszar ziemi, potem pierwsze przetwórnice, ogromne i poplamione sadzą. Błękitne niebo, przezierające zza widmowych budowli i kominów, wyglądało jak rzucona nam w twarz obelga.

– Zanedbuję podstawową zasadę detektywa: połów fundamenty. Poznaj ofiarę. Kłopot w tym, że przy Claire mam podobne wrażenie, co w przypadku Dady: jakbym łapał powietrze. Mieszkała sama, na razie nie mamy żadnych oczywistych punktów zaczepienia, przyjaciół, których mógłbym odszukać, nikogo z rodziny w okolicy. Słyszałeś, jak ją opisują u Starkweathera: miła, robiła swoje, trzymała się na uboczu. Nikogo nie uraziła. Duchowa siostra Richarda. I co my tutaj mamy: psychopatę, który napada na nieszkodliwych ludzi?

– Jeśli założymy, że sprawy są powiązane, to może to ktoś, kto wybiera samotników.

– W takim razie zagrożona jest połowa L.A.

– Gdzie mieszka rodzina Claire?

– W Pittsburghu. Tylko rodzice, bo była jedynaczką. – Milo przygryzł sobie policzek. – Zawiadomiłem ich oficjalnie przez telefon. Wiesz, jak to jest: rujnę im życie, oni płaczą, ja słucham. Przyjeżdżają w tym tygodniu, może dowiem się więcej niż przez telefon: nie miała wrogów, wspinała córka, cudowna dziewczyna. One zawsze są cudowne.

Przecieliśmy przemysłowe nieużytki. Sterty rdzewiejącego złomu, stosy żużlu, błotniste rowy, połacie tłustawej ziemi. Pod szarym niebem ten teren mógłby uchodzić za piekło, dziś wyglądał po prostu jak coś, czego za żadne skarby nie pokazuje się wyborcom.

Milo nie zwracał uwagi na krajobraz. Obie ręce zaciskał na kierownicy, aż mu knykcie zbieleły.

– Samotni ludzie – mruknął. – Poczekaj, aż zobaczysz jej dom.

Całą drogę do autostrady pędził jak wariat. Gdy wpadliśmy na wjazd, odezwał się:

– Spędziłem tam znaczną część wczorajszego dnia, rozglądałem się po ulicy, rozmawiałem z sąsiadami. Dużo kobiet ginie w domu, więc kazałem chłopakom z dochodzeniówki się nie spieszyć. Niestety, wygląda na to, że tracili tylko czas. Rano dostałem wstępne wyniki: brak śladów krwi, nasienia i oznak włamania. Wszędzie mnóstwo odcisków palców, jak w każdym domu, ale na razie wszystkie pasują do Claire. Ostateczną sekcję zaplanowano na jutro, jeśli dopisze nam szczęście i nie będzie żadnych przestojów.

– A co mieli do powiedzenia sąsiedzi?

– Zgadnij.

– Trzymała się na uboczu i nie sprawiała problemów.

– Powinieneś występować w teleturnieju „Wiem wszystko”. – Milo dodał gazu. – Nikt nie

zamienił z nią więcej niż dwa słowa; nikt nawet nie znał jej imienia.

– Przyjmowała gości?

– Nikogo nie widziano. Tak jak u Richarda. Miała jednak męża, byłego męża. Nazywa się Joseph Stargill. Jest prawnikiem, mieszka teraz w San Diego. Nagrałem mu się na sekretarce z prośbą o spotkanie.

– Jak go znalazłeś?

– Przypadkiem wpadły mi w ręce papiery rozwodowe, które trzymała w domu. Dzwoniłem dziś rano do doktora Theobolda, będzie zachwycony, jeśli utniecie sobie fachową pogawędkę. Słabo pamięta rozwód Claire; dowiedział się o nim tylko dlatego, że co roku członkowie personelu aktualizują swoje życiorysy. Dawniej w rubryce „stan cywilny” Claire pisała „mężatka”; w tym roku wymazała to i wpisała „rozwidziona”.

– Czyli rozeszli się niedawno. Theobold jej o to nie pytał?

– Powiedział, że nie była typem osoby, z którą od razu łapie się osobisty kontakt.

– Może to jest powód, dla którego podjęła pracę w Starkweatherze.

– Co masz na myśli?

– Wielką ucieczkę. Przychodzisz na czas, nie wychylasz się i nikt się ciebie nie czepia. Jak powiedział doktor Aldrich, personel ma dużo swobody. Może chciała pracować jako klinicystka, ale obawiała się związków z pacjentami. Otaczając się psychotykami nie musiała się już tym przejmować i dopóki żaden z nich nie stał się agresywny, mogła robić z nimi, co chciała. Ucieczka doskonała.

– Tylko od czego?

– Od świątka naukowców. Zaangażowania emocjonalnego. Dopiero co się rozwiodła. To że o tym nie mówiła, nie znaczy, że nie czuła się zraniona. Ludzie, którzy przechodzą poważne zmiany, czasem chcą uprościć sobie życie.

– Widzisz w Starkweatherze uproszczenie?

– W pewnym sensie tak.

Milo nie odpowiedział, tylko jeszcze przyspieszył. Kilka kilometrów dalej odezwał się:

– Z drugiej strony, z kimś się jednak związała. Z osobą, która poderznęła jej gardło.

Dom był taki sam, jak wiele mu podobnych.

Parterowy, biało tynkowany – chociaż tynk zestarzał się i przybrał szarawy kolor kwaśnego mleka – dach z czarnych, polimerowych dachówek. Przy nim dobudowany garaż na jeden samochód, od frontu miejsce parkingowe dla dwóch aut zamiast podwórza. Jeden z tych prostych domków z późnych lat pięćdziesiątych, które stoją na zboczach wzgórz i udają nowoczesne, a w rzeczywistości są produktem ograniczonego budżetu twórców. Ulica nazywała się Cape Horn Drive – krótka, prosta alejka, ślepo kończąca się na ogromnym drzewie. Podobne olbrzymy nachylały się z obu stron nad chodnikiem. Chodnik był wyblakły i suchy w miejscach, gdzie nie padał cień gałęzi.

Budynek stał w drugim rzędzie, trzeci od końca – w sumie znajdowało się tu osiem domów, niewiele różniących się od tego, w którym mieszkała Claire Argent. Bardzo niewiele samochodów stało przy krawężnikach, ale zamknięte drzwi garaży sprawiały, że trudno było ocenić, co to naprawdę oznacza. Osiedle usytuowano z dala od skrzyżowania autostrad czy dzielnicy handlowej; człowiek musiał naprawdę się postarać, żeby chcieć tu mieszkać.

Na tej wysokości odczuwało się podmuchy lekkiej bryzy. W letnim oświetleniu drzewa typu jakby się rozpląwały, ich paprociowate liście szeleściły cicho na wietrze. Przekorne stworzenia, traciły liście na wiosnę, kiedy wszystko rozkwita. Kiedy inne gałęzie zaczynały gubić liście, typu obsypywały się żółtym kwieciami. Ale jeszcze nie teraz. Jedyne przebłyski koloru wycierały ze skrzynek z kwiatami i donic w ogródkach. W innych domach, nie u Claire.

Podeszliśmy do drzwi, skąd roztaczał się uroczy widok. Do autostrady było wprawdzie daleko, ale słyszeliśmy hałas przemierzających ją samochodów. W dzisiejszych czasach trudno się od niego uwolnić.

Na drzwiach wisiała plomba policji z Los Angeles. Milo miał klucze, więc weszliśmy bez problemu. Znaleźliśmy się w ciasnej, pustej przestrzeni, zbyt małej, by zasługiwała na miano przedpokoju. Dwie białe ściany ustawione pod kątem prostym kierowały gości do salonu.

W którym chyba nikt nie mieszkał.

Puste ściany, goła podłoga z twardych desek i ani jednego mebla.

Milo zrobił ze trzy kroki, które odbiły się echem, i stanął na środku pokoju. Nad jego głową wisiał zyrandol – tani, mleczny klosz wyglądał całkiem oryginalnie.

Zrobione szydełkiem zżółkłe firanki wisiały w oknach. Ściany były czyste i gładkie, lecz z wolna szarzały, podobnie jak zewnętrzne ściany domu.

Podłoga przyciągnęła moja uwagę: lakierowana na wysoki połysk, bez żadnych rys, zadrapań, bruzd po obcasach. Jakby mieszkańcy raczej unosili się w powietrzu, niż chodzili po ziemi.

Miałem wrażenie, że się duszę. Dom nie miał żadnego zapachu – ani odoru śmierci, ani aromatów życia. Nie pachniało tu jedzeniem, potem, perfumami, ciętymi kwiatami ani odświeżaczem powietrza. Nie czułem nawet woni stęchlizny, jaka towarzyszy nie zamieszkanym pomieszczeniom.

Opuszczone miejsce; jakby pozbawione powietrza, kompletnie niezdatne do życia.

Zmusiłem się do wzięcia głębszego oddechu. Milo wciąż stał pośrodku pokoju i bębnił palcami rąk o uda.

– Przytulnie tu – rzuciłem. Rozumiałem już, dlaczego Milo mnie tu przywiózł.

Powoli odwrócił się i obrzucił badawczym spojrzeniem otwartą przestrzeń po lewej, gdzie znajdowała się mała kuchnia: dębowy taboret w kącie jadalnym, biały stolik z laminatu, ozdobiony złotym szlaczkiem – pusty, jeśli nie liczyć smug proszku do zdejmowania odcisków palców. Tak samo wyglądały pozostałe blaty i szafki. Na przeciwległej ścianie wisiała pusta drewniana półka na przyprawy, obok stała czteropalnikowa biała kuchenka, przynajmniej dwudziestoletnia, i lodówka w podobnym kolorze i wieku. Żadnych innych sprzętów.

– Jogurt, winogrona, dwa jabłka, soda oczyszczona... – stwierdził Milo otworzywszy lodówkę. – Soda odświeża. Claire lubiła porządek. Tak samo jak Richard... Ta prostota.

Zaczął zaglądać do szafek.

– Białe naczynia z porcelany, serwis na cztery osoby... sztuce ze stali nierdzewnej, także dla czworga... Wszędzie pełno proszku do odcisków... Jedna patelnia, jeden rondel, solniczka, pieprzniczka i żadnych innych przypraw... Nijakie to życie, prawda? – Przeszedł do kuchenki i podniósł kratkę. – Czysto. Albo nigdy nie gotowała, albo naprawdę była chorobliwie pedantyczna. Ona lub ktoś inny.

Obejrzałem się na pusty pokój od frontu.

– Czy chłopcy z dochodzeniówki zabrali meble do laboratorium?

– Nie, tylko ubrania. Tak tu było, jak weszliśmy. W pierwszym odruchu pomyślałem, że ktoś wyczyścił dom albo była w trakcie przeprowadzki. Jednak nie znalazłem niczego, co wskazywałoby na wyprowadzkę, a według akt wynajmu mieszkała tu ponad dwa lata.

Wskazałem na dziewiczą podłogę.

– Albo planowała przemeblowanie, albo w ogóle nie zwracała sobie głowy meblami.

– Jak już mówiłem: łapiemy powietrze. Chodź, rzuć okiem na resztę domu.

Korytarz po lewej prowadził do łazienki i dwóch małych sypialni – w jednej z nich urządzono gabinet. Nie było dywanów, tylko to samo nietknięte drewno na podłodze. Nasze kroki dudniły przeraźliwym echem.

Milo przyklęknął i przeciągnął palcem po gładkiej, czystej dębinie.

– Może zdejmowała buty, jak to robią Japończycy.

Zaczęliśmy od sypialni: skrzynia z materacem na podłodze, bez wezgłowia, czteroszufladowa

komoda w orzechowej okleinie, taki sam stolik nocny do kompletu, na nim pudełko chusteczek higienicznych, ceramiczna lampa – biała, jajowata, w kształcie wielkiego kokonu. Ślady proszku policyjnego, mnóstwo pozornie niewidocznych odcisków.

– Pościel jest w laboratorium – powiedział Milo. – Razem z ubraniami.

Odsunął materac. Otworzył szafę. Pusto. Tak samo w komodzie.

– Byłem przy tym, jak pakowali jej bieliznę. Żadnych wstydliwie skrywanych niegrzecznych ciuszków, po prostu zwykła biała bawełna. Mała garderoba: sukienki, swetry, spódnice, wszystko w dobrym guście, trochę z tanich sklepów, nic drogiego.

Ułożył z powrotem materac, spojrzął na sufit i znowu na pustą szafę.

– Ona się nie wyprowadzała, Alex. Ona tu żyła. Jeśli można to tak nazwać.

W gabinecie złożył ręce jak do modlitwy i powiedział: – Daj mi Boże coś, nad czym mógłbym popracować!

– Myślałem, że już tu buszowałeś.

– Nie całkiem. Nie mogłem, kiedy wszędzie pełno było tych z dochodzeniówki. Tylko to – wskazał tekturowe pudełko, stojące na podłodze. – Tu znalazłem papiery rozwodowe. Niemal na samym wierzchu.

Podszedł do biurka i zajrzał do tanich szafek ze sklejk, zasłaniających dwie ściany – zapchane do granic możliwości półki uginały się pod ciężarem książek z zakresu psychologii, psychiatrii, neurologii, biologii, socjologii i oprawionych roczników pism ułożonych chronologicznie. Wszędzie biały proszek i odciski palców.

Milo opróżnił najwyższą szufladę ze spinaczy, klipsów, kawałków papieru i szmatek i zabrał się do przetrząsania następnej.

– O! A co my tu mamy?! – Pomachał oprawioną w czerwony skaj książeczką oszczędnościową. – Century Bank, Sunset, Cahuenga... No, no, chyba nieźle jej się powodziło.

Podszedłem i zerknąłem na stronę, którą mi pokazał – stan konta: dwieście czterdzieści tysięcy z groszami. Cofnął się do pierwszej stronicy. Pierwsza transakcja miała miejsce trzy lata temu – przeniesienie z poprzedniej książeczki, suma o dziewięćdziesiąt osiem tysięcy mniejsza.

W trzy lata odłożyła blisko sto tysięcy dolarów. Powtarzał się ten sam schemat oszczędzania: żadnych wypłat, a pod koniec każdego miesiąca wpłata w wysokości trzech tysięcy.

– To pewnie część jej pensji – stwierdziłem.

– Theobold mówił mi, że na rękę dostawała około czwórki, więc prawdopodobnie odkładała do

banku trzy, a tysiąc miała na wydatki. Wygląda na to, że w Starkweather nic się nie zmieniło. Co zresztą ma sens. Dostawała porównywalną pensję.

– Oszczędna kobieta – rzuciłem. – Jak płaciła rachunki? I podatki? Miała książeczkę czekową?

Milo znalazł ją chwilę później w tej samej szufladzie.

– Co miesiąc wpłata, pięć stów... W ostatni piątek miesiąca, tego samego dnia, co na rachunek oszczędnościowy. Jak w zegarku... Wygląda na to, że zwykle wypisywała чеки na małe sumy – prawdopodobnie zakupy domowe. Może miała kartę kredytową, a resztę wydatków pokrywała gotówką. Czyli około pięciuset dolców trzymała w domu czy w portmonetce. Dla niektórych ćpunów całkiem ładny zarobek. A portmonetki nie znaleziono. Ale to nie wygląda na napad rabunkowy, nie uważasz?

– Fakt – przytaknąłem. – Mimo to ludzie ginęli z powodu mniejszych pieniędzy. Jak zidentyfikowaliście ją bez portfela?

– Nazwisko mieliśmy z dokumentów rejestracyjnych wozu. Wzięliśmy jej odciski placów, porównaliśmy z tymi z licencji psychologa... Głupie włamanie ćpunów, coś wspaniałego, nie? Wyszła na zakupy, dostała po łbie dla pieniędzy. Ale jaki nawalony ćpun zadałby sobie tyle trudu, żeby upchnąć ją do bagażnika i zostawić samochód w miejscu publicznym, kiedy mógł po prostu rzucić ją gdzieś w krzaki i mieć własne cztery kółka na tę noc? Chociaż... Część tych bandziorów bierze przecież ogłupiające pigułki... Dobra, sprawdźmy, co jeszcze pozostało.

Zaczął pracować nad resztą biurka. Pieniądze znalazły się w zwykłej białej kopercie, wepchniętej w głąb dolnej lewej szuflady: dziewięć pięćdziesięciodolarowych banknotów, pod czarnym, oprawionym w skaj kalendarzykiem, upominkiem od firmy farmakologicznej; miał trzy lata i czyste strony.

– Czyli nosiła przy sobie z pięćdziesiąt dolarów – mruknął Milo. – Cóż za rozrzutność. Nie wygląda mi to na rabunek.

Wzięłem od niego książeczkę oszczędnościową i obejrzałem każdą stronę z osobna. – I co?

– To takie mechaniczne. Dokładnie według wzoru, tydzień po tygodniu. Brak większych wypłat oznacza też brak wakacji i nie zaplanowanych zbytkownych wydatków. Brak innych wpłat niż z pensji – czyli nie miała alimentów. Chyba że odkładała je na inne konto. Nawet w małżeństwie utrzymywała osobny rachunek. A co z podatkami? Rozliczała się z mężem?

Milo przeszedł przez pokój do pudełka z papierami. W środku znajdowały się między innymi formularze podatkowe – stanowe i federalne – za ostatnie dwa lata, starannie poukładane.

– Nie miała innych przychodów oprócz pensji ani nikogo na utrzymaniu... Nie, rozliczała się sama. Coś tu śmierdzi. Wygląda to jakby zaprzeczała własnemu małżeństwu.

– Albo od samego początku miała co do niego wątpliwości.

Milo podszedł do mnie z plikiem papierów i zaczął je przeglądać.

– Rachunki za gaz, elektryczność i tak dalej... o, jest karta kredytowa, Visa... Płaciła nią za jedzenie, ubranie, benzynę do buicka, książki... Niezbyt często, trzy, cztery razy w miesiącu... Nie spóźniała się ze spłatą kredytu. Żadnych odsetek.

Na dnie sterty znajdowały się pokwitowania za ubezpieczenie samochodu. Stawka obniżona za niepalenie i bezkolizyjną jazdę. Nie znaleźliśmy żadnych rozliczeń za buicka, czyli prawdopodobnie była jego właścicielką. Nie mogła podejrzewać, że samochód stanie się dla niej trumną na kółkach.

Milo coś sobie zapisał i włożył papiery z powrotem do kartonu. Myślałem o tym, czego nie znaleźliśmy: pamiętek, zdjęć, korespondencji, kartek z życzeniami. Niczego osobistego.

Nie było pokwitowań za podatek od nieruchomości, kwitów potwierdzających ulgi. Jeśli wynajmowała dom, to dlaczego nie widzieliśmy rachunków za czynsz?

Zapytałem o to.

– Może jej były płacił hipotekę i podatki, taka forma alimentów.

– I teraz, kiedy jej nie ma, facet ma to z głowy. I jeśli jest właścicielem domu, to mamy może motyw. Wiesz, kto dostanie te dwieście czterdzieści tysięcy? Ktoś się zgłosił?

– Jeszcze nie. Mąż wpadł ci w oko?

– Po prostu myślę o tym, co zawsze mi powtarzasz: goń za zapachem forsy.

Milo odchrząknął. Podszedłem znowu do biblioteczki, wyciągnąłem kilka książek: poplamione strony, schludnie wykaligrafowane adnotacje na marginesach. Obok pięciu roczników „Mózgu” znalazłem kolekcję kopii artykułów z różnych czasopism. Artykułów Claire Argent: kilkanaście studiów związanych z neuropsychologią alkoholizmu, sponsorowanych przez Narodowy Instytut Zdrowia. Pisała jasno, zwięźle, tematy się powtarzały, teksty obfitowały w terminy techniczne, ale łapałem ogólny sens.

W czasie studiów i następnych pięciu lat Claire Argent zajmowała się mierzeniem ludzkich zdolności motorycznych i wzrokowych przy różnych poziomach zatrucia alkoholem. Miała ułatwiony dostęp do badanych. Szpital okręgowy był ostatnią deską ratunku dla fizycznie wyniszczonych alkoholików-żebraków, którzy traktowali izbę przyjęć jak własną prywatną klinikę. Lekarze pogotowia nazywali ich SZMIP-ami: Spadaj Z Mojej Izby Przyjęć.

Uzyskiwała logiczne wyniki – alkohol spowalnia; wnioski istotne na poziomie statystycznym, ale niezbyt odkrywczym. Mnóstwo pracowników naukowych robiło skromną karierę na podstawie tego rodzaju badań. Może znudziła jej się taka zabawa.

Jedno mnie zaciekawiło. Claire zawsze publikowała samodzielnie, co jest niezwykle dla medycyny uniwersyteckiej, gdzie opiekunowie naukowci rutynowo doczepiali swoje nazwiska do wszystkiego, co spłodzili ich podwładni.

Może Myron Theobold był w porządku.

I pozwalał Claire robić swoje.

Odwróciłem się, słysząc jakieś grzechotanie za plecami. To Milo przeglądając rzeczy na biurku, rzucił na podłogę pióro wieczne. Podniósł je i odłożył obok kalendarzyka w zielonej plastikowej oprawie: jeszcze jeden gadżet od producenta leków. Też pusty – żadnych notatek o spotkaniach czy choćby lekko podniszczonych kartek.

Takie puste życie.

Książki, głoszące zalety prostoty życia i pogody ducha, robiły ostatnio furorę. Ciekaw byłem, czy ich świeżo wzbogaceni autorzy praktykowali to, co głosili.

Ten dom nie sprawiał wrażenia pogodnego, lecz pustego, bezbarwnego, nijakiego.

Opuściliśmy gabinet i przeszliśmy do łazienki: szampon, mydło, pasta do zębów, witaminy, podpaski. Nie używała pigułek antykoncepcyjnych ani kapturków dopochwowych. Trawertynowa półeczka nad wanną była pusta, nie stały na niej żadne drobiazgi kąpielowe: ani sól kąpielowa, ani płyn, ani gąbka – nic z przyjemności, za którymi kobiety czasem tęsknią. Porcelanę sanitariatów zdobiła bursztynowa żyłka.

– Nie znaleźliśmy śladów krwi w wannie i odpływie, nasienia na ręcznikach czy prześcieradłach...
– rzekł Milo. – Tylko trochę potu, który odpowiada grupie krwi Claire.

Zastanawiając się, czy ktokolwiek poza Claire postawił stopę w tym domu, pomyślałem o trybie pracy, jaki sobie wybrała. Pięć lat wśród moczymordów, potem sześć miesięcy z niebezpiecznymi psychotykarni. Może po dniu unurzonym w brudzie i urojeniach pragnęła ciszy, własnej odmiany Zen.

Tylko że to nie tłumaczyło jeszcze braku listów z domu, nawet fotki rodziców, siostrzeńców, siostrzenic; braku wszelkiego kontaktu.

Najwyższym triumfem w Zen jest zdolność zatracenia własnej tożsamości, rozkwitnięcie w pustce. Próżno by jednak szukać w tym domu śladów zwycięstwa – ot, smutne, małe pudełko... Czy też coś mi umknęło? Sugerowałem się własną potrzebą bliskości?

Pomyślałem, co Claire gromadziła: książki i artykuły.

Może praca była dla niej wszystkim i to jej w zupełności wystarczało.

A jednak rzuciła swoją pierwszą posadę nagle, zrezygnowała z dodatkowych dochodów i zamieniła suchą, lecz przynajmniej trwałą wartość nauki na szansę zapoznania psychotycznych morderców ze sztuką życia codziennego.

I po co to wszystko?

Dalej szukałem powodu, dla którego rzuciła szpital okręgowy dla Starkweathera; nie dawało mi to

spokoju. Nawet przy porównywalnej pensji, praca w publicznej służbie zdrowia była obniżeniem lotów po czystej, laboratoryjnej robocie w okręgówce. Jeśli Claire chciała kontaktu ze schizofrenikami, tam również ich nie brakowało. Z niebezpiecznymi pacjentami? Mieli też oddział więzienny.

Jeżeli zaś zmęczyła się wyścigiem i miała dość filozofii „kto nie publikuje, ten ginie”, czemu nie podjęła prywatnej praktyki? Jej umiejętności były w cenie, a dobrze wyszkolony neuropsycholog mógł zostać biegłym sądowym, udzielać konsultacji prawnikom w sprawach o odszkodowania, uniknąć kontaktu ze służbą zdrowia i zarabiać pięć, dziesięć razy tyle, co w Starkweatherze.

Nawet jeśli nie przejmowała się zanadto pieniędzmi, to co z satysfakcją z pracy? Dlaczego zgodziła się pracować na dwie zmiany w paskudnym budynku z szarego betonu? I jeszcze ten dojazd – dzień w dzień żużlowa pustynia.

Musiał istnieć jakiś inny powód jej samoponizenia – bo inaczej nie mogłem o tym myśleć.

Jakby chciała się za coś ukarać. Tylko za co?

Czyżby przed czymś uciekała? I wreszcie dała się dogonić?

Krótko po czternastej opuściliśmy dom Claire Argent. Powietrze na zewnątrz niesło powiew życia.

Milo wjechał na Laurel Canyon. Wypadek przy Holloway i zwyczajny w takiej sytuacji korek spowolniły tempo jazdy. Dochodziła trzecia, zanim przejechaliśmy przez Beverly Hills i znaleźliśmy się w Beverly Glen. Prawie nie rozmawialiśmy, jakby wszystko zostało już powiedziane. Milo zjechał na ścieżkę, prowadzącą do mojego domu. Wóz Robin stał pod wiatą.

– Dzięki, że poświęciłeś mi swój czas.

– Gdzie teraz jedziesz?

– Do Urzędu Miasta poszukać aktów własności domu. Zobaczę też, co znajdę na temat Stargilla. Potem zadzwonię do Heidi Ott.

Był zmordowany, a ton jego głosu sugerował, że przejawianie optymizmu zakrawałoby na zbrodnię.

– Powodzenia – powiedziałem i odprowadziłem go wzrokiem.

Podszedłem do mojego nowego domu. Minęły trzy lata, a wciąż myślałem o nim trochę jak o intruzie. Poprzedni dom, który kupiłem za pierwsze prawdziwe zarobki, był manierystyczną konstrukcją z sekwojowego drewna. Pewien psychopata, który przyszedł mnie zabić, spalił go na popiół, a potem Robin nadzorowała budowę chałupki białej, przewiewnej, sporo przestronniejszej, praktyczniejszej i niezaprzeczalnie uroczej. Powiedziałem jej, że bardzo mi się podoba – i właściwie nie kłamałem. Pewnego dnia polubię nasz dom.

Spodziewałem się zastać Robin w pracowni, ale była w kuchni. Czytała poranną gazetę. Spike zwinął się w kłębek u jej stóp – brunatne, podpalane cielsko falowało z każdym chrapliwym oddechem, a miękkie wargi wypływały na podłogę. Spike jest buldogiem francuskim, miniaturową wersją buldoga angielskiego; ma odstające, godne nietoperza uszy, i jest tak nadęty, że jego próżnością można by oddzielić całą trupę operową. Podniósł jedną powiekę, kiedy wszedłem – O, to znowu ty – i zamknął z powrotem. Następujące po tym westchnienie przepełnione było najwyższym znużeniem.

Robin wstała i objęła mnie w talii. Oparła głowę o moją pierś. Pachniała drewnem i perfumami, jej loki łaskotały mnie w podbródek. Uniosłem pełną garść kasztanowych pukli i pocałowałem ją w kark. Ma niespełna metr sześćdziesiąt wzrostu, ale przy tym długą, łabędią szyję modelki. Jej skóra była gorąca i lekko wilgotna.

– Jak ci poszło? – zapytała, wsuwając palce w moje włosy.

– Nic odkrywczego.

– Żadnych problemów z pacjentami, co?

– Nie. – Przytuliłem ją mocniej, gładząc napięte mięśnie pleców. Przesunąłem dłoń w dół, ku delikatnym kręgom, magicznym krągłościom i z powrotem w górę. Musnąłem mocno zarysowaną szczękę i jedwabiste powieki.

Odsunęła się o krok i złapała mnie pod brodę.

– Szpital wprowadził cię w tak romantyczny nastrój?

– Robię się romantyczny, gdy tylko go opuszczę.

– Cieszę się, że wróciłeś w jednym kawałku.

– To nie było niebezpieczne – wyjaśniłem. – Ani trochę.

– Pięć tysięcy morderców i żadnego niebezpieczeństwa?

– Tysiąc dwieście, ale kto by to liczył.

– Tysiąc dwieście – powtórzyła. – Jakaż ja jestem głupia, że się o ciebie martwiłam.

Przy ostatnim słowie leciutko podniosła głos.

– Przepraszam – powiedziałem ugodowo. – Naprawdę wszystko było w porządku. Ludzie codziennie przychodzą tam do pracy i nic się nie dzieje. Wszyscy myślą, że w szpitalu jest bezpieczniej niż na ulicach.

– Zwykła racjonalizacja. A tu tymczasem panią psycholog znajdują w bagażniku.

– Na razie nic nie wskazuje na to, że jej praca miała z tym cokolwiek wspólnego.

– To dobrze. Najważniejsze, że wróciłeś. Jadłeś już?

– Nie, a ty?

– Rano napiłam się soku.

– Pracowity dzień?

– Owszem. Próbowалам skończyć tę mandolinę. – Przeciągnęła się. Była w czerwonej koszulce i dzinsowych ogrodniczkach. W uszy wpięła małe, złote kolczyki; nie nosiła ich przy pracy, a więc nie zamierzała wracać do pracowni. – Zgłodniałam. Zgadnij, co to znaczy.

– Chodźmy coś zjeść.

– Czytasz w moich myślach!

– Po prostu wiem wszystko.

Podrzuciliśmy Spike'owi solidną kość i podjechaliśmy do indyjskiej knajpy w Santa Monica, otwartej do wieczora. Zamówiliśmy ryż z soczewicą, pieczywo z nadzieniem cebulowym, szpinak z miękkim serem w curry, oberżyny na ostro i herbatę z mlekiem. Z głośników dobiegała cicha muzyka – męski głos zawodził coś łagodnie, może się modlił. Dwoje chudzielców opuściło sąsiednią łóżę i byliśmy jedynymi klientami. Kelner zostawił nas samych. Pochłonawszy połowę zawartości talerza, Robin się odezwała:

– Wiem, że cię zamęczam, ale jak następnym razem wybierzesz się w takie miejsce, zadzwoń zaraz po wyjściu.

– Aż tak się martwiłaś?

– Przecież tam trzymają seryjnych morderców i Bóg jeden wie, kogo jeszcze!

Przykryłem jej dłoń swoją.

– Ludzie, których dziś widziałem, Rob, są łagodni jak baranki. Może poza tym brodaczem, który podszedł do nas na dziedzińcu. I tymi, którzy bili się na korytarzu. Poza tym okna są z plastiku, a niektórych trzyma się w izolatkach.

– Dlaczego?

– To wpływ leków i usystematyzowanego trybu życia.

Nie dyskutowała ze mną, ale chyba jej nie uspokoiłem.

– Czyli nic się nie dowiedziałeś?

– Na razie nie. Byliśmy potem w domu Claire Argent. – Opisałem dom w kilku zdaniach. – I co ty na to?

– Na co?

– Na to, jak mieszkała.

Robin łyknęła herbaty, odstawiła filizankę i zamyśliła się na moment.

– Czy sama chciałabym tak żyć? Nie cały czas, ale może na krótko tak... Zrobić sobie wakacje; uciec od tych wszystkich komplikacji.

– Komplikacji... – powtórzyłem.

Uśmiechnęła się.

– Nie miałam ciebie na myśli, skarbie. Po prostu... no wiesz, okoliczności. Zobowiązania, terminy, nagromadzenie życiowych konieczności. Tak jak wtedy, kiedy sama pilnowałam całej budowy. Albo teraz – zamówienia się piętrzą i wszystkie są na wczoraj. Czasem życie za bardzo przypomina wieczne odrabianie lekcji. Uproszczenie go nie jest takim głupim pomysłem.

– To coś więcej niż uproszczenie, Rob. Raczej... pustka. I to smutna.

– Była w depresji?

– Za mało o niej wiem, żeby postawić diagnozę, ale takie właśnie odniosłem wrażenie po obejrzeniu jej domu: był jałowy. Nieorganiczny.

– Znalazłeś jakieś ślady, które wskazywałyby, że się zaniedbała?

– Nie. Wszyscy twierdzą, że była sympatyczna i spolegliwa. Trzymała się trochę z boku, ale nie ma mowy o patologii.

– To może i w głowie miała wszystko poukładane, jak należy.

– Może... Jedyne, co gromadziła, to książki. Zastanawiam się, czy stymulacja intelektualna nie była dla niej najważniejsza.

– No i widzisz. Ograniczała zbędne aspekty życia, żeby skoncentrować się na tym, co ważne.

Nic nie odpowiedziałem.

– Nie zgadzasz się ze mną – stwierdziła Robin.

– Wielkie by to było ograniczenie – odparłem. – W całym domu nie znaleźliśmy ani jednego drobiazgu osobistego, nawet zdjęcia rodziny.

– Nie musiała utrzymywać z nimi bliskich kontaktów, wręcz przeciwnie – mogła mieć kłopoty. Tylko że wcale się w tym nie różni od milionów innych ludzi, Alex. Odnoszę raczej wrażenie, że mówisz o typowej... intelektualistce, która ma bogate życie wewnętrzne i nade wszystko ceni sobie prywatność... A jeżeli nawet miała problemy towarzyskie czy społeczne, to co to ma wspólnego z jej śmiercią?

– Może nic. – Nałożyłem sobie jeszcze ryżu, szturchnąłem widelcem parę ziarenek basmati, dziabnąłem kąsek chleba. – Skoro tak potrzebowała bodźców intelektualnych, dlaczego rzuciła pracę naukową na rzecz Starkweathera?

– Jakie badania prowadziła?

– Alkoholizm. Związek z czasem reakcji.

– Coś odkrywczego?

– Dla mnie nie. – Streściłem pokrótce pracę naukową Claire Argent. – Bardzo przeciętne.

– No to może doszła do wniosku, że od czasów szkolnych była grzeczną dziewczynką, robiła to, czego od niej oczekiwano, i się tym zmęczyła. Postanowiła naprawdę komuś pomóc.

– Niełatwą grupę potrzebujących sobie wybrała.

– I z tego właśnie czerpała motywację do pracy, poza tym było to dla niej coś nowego.

– Ludzi, którzy trafiają do Starkweathera, nie da się wyleczyć.

– No to już nie wiem. Skończyły mi się pomysły.

– Nie chcę się kłócić, ale ta kobieta jest dla mnie kompletną niewiadomą. Poza tym myślę, że masz sporo racji. Niespełna rok temu rozwiodła się z mężem. Może chciała zerwać z dawnym życiem na kilku poziomach? Dla kogoś, kto całymi latami brnął w pracę naukową, Starkweather byłby zupełną odmianą.

Robin uśmiechnęła się i pogładziła mnie po twarzy.

– Gdybym miała po stopniu zmarszczenia brwi oceniać twoje zaangażowanie, powiedziałabym, że Milo wykorzystuje cię na maksa.

– Druga rzecz, która nie daje mi spokoju, to ta poprzednia sprawa: zabójstwo Richarda Dady, niedoszłego aktora. Na pierwszy rzut oka niewiele mieli z Claire wspólnego; łączą ich jednak pewne negatywne stereotypy: brak przyjaciół, wrogów, dziwactw... Zamiłowanie do porządku, brak zaangażowania uczuciowego. Samotność... Może chodziło o chęć wypełnienia tej pustki; tak jakby oboje spiknęli się w biurze matrymonialnym z niewłaściwą osobą.

– Facet i kobieta? Morderca byłby biseksem?

– Nie. To by znaczyło, że Dada był gejem, a Milo nie znalazł żadnych śladów, które by to potwierdzały. Zresztą niewykluczone, że seks nie grał tu żadnej roli, a chodziło po prostu o towarzystwo, wspólnotę zainteresowań... Zresztą może nic ich nie łączy. – Uniosłem dłoń Robin do ust i ucałowałem po kolei wszystkie jej palce. – Ależ jestem romantyczny – zauważyłem. – Zmienię chyba temat, bo za chwilę to ty się ode mnie odizolujesz.

Uśmiechnęła się i skinęła mi niedbale dłonią. Cmoknęła w powietrzu.

– Podaj mi szpinak, skarbie – rzekła głosem Bette Davis. – Potem zapłać rachunek i porwij mnie do najbliższego Baskin-Robbinsa. Mam ochotę na krem migdałowy. Później hej! do domu! Serdecznie cię zapraszam, byś wniósł w moje życie nieco zaangażowania.

Milo zadzwonił o ósmej wieczór. – Nie przeszkadzam? – zapytał.

Z przeszkadzaniem spóźnił się o godzinę. Robin leżała w łóżku, czytając książkę, a ja zdążyłem już wziąć Spike'a na krótki spacer. Kiedy zabrzączał telefon, siedziałem na tarasie, starając się wypchnąć z głowy wszystkie znaki zapytania i wsłuchać w szum wodospadu, który zasilał stawek w ogrodzie. Cieszyłem się, że nie słyszę szumu z autostrady.

– Ależ skąd. Co się stało?

– Dowiedziałem się co nieco o Claire i Stargillu. Byli małżeństwem przez dwa lata, rozeszli się blisko dwa lata temu, nie mieli dzieci. Rozmawiałem ze Stargillem. Twierdzi, że rozstali się w przyjaźni. Jest współwłaścicielem niedużej kancelarii prawniczej, przed trzema miesiącami ponownie się ożenił. Dopiero co dowiedział się o Claire. Gazety w San Diego nie zająknęły się ani słowem na jej temat, ale jeden z jego wspólników bawił gdzieś w naszej okolicy, przeczytał i mu powiedział.

– Jak oceniasz faceta?

– Przez telefon? Był zdenerwowany, ale przecież to niewiele znaczy, prawda? Stwierdził, że pewnie nie na wiele mi się przyda, ale chętnie porozmawia. Jesteśmy umówieni na dziesiątą rano.

– W San Diego?

– Nie, wpadnie do nas.

– Skory do współpracy.

– I tak ma tu coś do załatwienia, jakąś transakcję. Robi w nieruchomościach.

– Zatem regularnie odwiedza Los Angeles.

– Też zwróciłem na to uwagę. Chętnie go poznam. Mamy się spotkać w domu Claire. Dom należał do niej. Stargill mieszkał w nim jako kawaler, ale po ślubie przepisał go na nią. Zgodził się też regulować podatki i spłacać kredyt, a ona zrezygnowała z alimentów i udziałów w jego akcjach i obligacjach.

– Kto go teraz odziedziczy?

– To dobre pytanie. Stargill nic nie wie o żadnym testamencie. Twierdzi też, że nie byli wzajemnie ubezpieczeni. Ja zresztą nigdzie nie znalazłem polisy. Claire miała trzydzieści dziewięć lat i pewnie nie myślała o śmierci. Sądzę, że dobry prawnik wygrałby sprawę spadkową: fakt spłaty kredytu da się wykorzystać jako podstawę roszczeń do przynajmniej częściowej własności. Chociaż wydaje mi się, że i tak jej rodzice mieliby pierwszeństwo. Jak ci się wydaje, ile taki dom jest wart?

– Ze trzy stowy. Ile tego będzie po spłaceniu wierzytelności?

– Dowiemy się jutro, jeśli pan Stargill dalej będzie chciał współpracować... Co u licha, znudziło mu się płacenie za nią rachunków?

– Dokuczliwe obciążenie, zwłaszcza odkąd znów się ożenił... i ma kłopoty finansowe. Sprawdź, jak stoi z pieniędzmi.

– Jeżeli chcesz go poznać, przyjedź jutro o dziesiątej. Nagrałem się Heidi Ott na sekretarkę, ale na razie nie oddzwoniła. Dostałem za to następny raport z laboratorium: wszystkie odciski palców należą do Claire. Chyba rzeczywiście z nikim się nie zadawała.

Z rana zadzwoniłem do doktora Myrona Theobolda w szpitalu okręgowym. Zostawiłem mu wiadomość w poczcie głosowej, po czym piętnaście minut przed czasem podjechałem na Cape Horn Drive. Cywilny wóz Mila stał już przy krawężniku, a przed garażem rozparła się ciemnoszara limuzyna bmw z bagażnikiem na narty na dachu.

Drzwi frontowe nie były zamknięte, wszedłem więc do środka. Milo wrócił na swoje ulubione miejsce pośrodku salonu, a przy blacie kuchennym stał mężczyzna po czterdziestce w niebieskim garniturze, białej koszuli, żółtym krawacie w drobniutkie groszki i bordowych, wypolerowanych do połysku półbutach. Miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, krótkie, kręcone rude włosy i takiegoż koloru brodę, w którą wkrały się pierwsze ślady siwizny. Widać było, że dba o formę. Na lewej ręce nosił cienki złoty zegarek, a na palcu serdecznym – złotą obrączkę z diamentami.

– To doktor Delaware, nasz konsultant z zakresu psychologii – przedstawił mnie Milo. – Doktorze, oto pan Stargill.

– Joe Stargill – rzekł nieco chrypliwie mężczyzna i podał mi rękę. Miał suchą dłoń i niespokojne, orzechowe oczy, którymi patrzył jakby przeze mnie, gdzieś w głąb pokoju. Pokręcił głową.

– Pan Stargill mówił właśnie, że wiele się w tym domu zmieniło.

– Było tu zupełnie inaczej, kiedy mieszkaliśmy razem: dywan na całej podłodze, meble... tam stała ogromna skórzana sofa, a pod ścianą taka chromowana gablotka... To się chyba nazywa etażerka, tak przynajmniej mówiła mi Claire. Jako kawaler nie kupowałem wielu bibelotów, za to ona po ślubie ściągnęła tu porcelanę, figurki, makramy, różne takie urocze drobiazgi. – Stargill ponownie pokręcił z niedowierzaniem głową. – Dużo musiało się w jej życiu zmienić.

– Kiedy rozmawialiście po raz ostami? – zapytał Milo.

– Wieki temu, kiedy się wyprowadzałem. Chyba z pół roku przed decyzją sądu.

– Czyli już przed rozwodem byliście w separacji, tak?

Stargill skinął głową i pogładził się po brodzie.

– A ostami raz kontaktował się pan z nią dwa i pół roku temu?

– Zgadza, się.

– Nie omawialiście samego rozwodu?

– Oczywiście, że omawialiśmy: jeden telefon, drugi, żeby dogadać szczegóły. Ale wydawało mi się, że miał pan na myśli autentyczną rozmowę.

– Rozumiem. Po rozwodzie już jej pan nie odwiedzał?

– Nie miałem po co. Między nami wszystko się skończyło, i to na długo przed oficjalnym ogłoszeniem tego faktu. A właściwie chyba nigdy naprawdę się nie zaczęło.

– W małżeństwie szybko coś się popsuło, tak?

Stargill westchnął ciężko i zapiął marynarkę. Miał szerokie, zaczerwienione dłonie, porośnięte włoskami koloru jasnego piwa.

– Niezupełnie. Powiedziałbym raczej, że od początku to była jedna wielka pomyłka. Proszę, coś panom przyniosłem. Znalazłem je dziś rano.

Z portfela z krokodylowej skóry wyjął małe zdjęcie. Milo przyjrzał się fotografii, a potem podał ją mnie: kolorowa fotka Claire i Stargilla, stojących ramię w ramię na tle tablicy z napisem „Młoda Para”. On w płowym ubraniu i brązowej koszuli bez kołnierzyka. Bez brody, bez okularów. Miał gładko ogoloną, kościstą twarz i niepewny uśmiech.

Claire ubrana była w długą, bladobłękitną suknię w fiołki, w rękę trzymała bukiet białych róż. Długie, proste włosy czesała z przedziałkiem pośrodku. Jej twarz była bledsza, a kości policzkowe wydatniejsze niż na zdjęciu legitymacyjnym, które znałem.

Uśmiechała się szeroko.

– Właściwie nie wiem, dlaczego je przyniosłem – przyznał Stargill. – Do dzisiaj nie zdawałem sobie nawet sprawy, że je mam.

– Gdzie je pan znalazł?

– W biurze. Zajrzałem tam rano, zanim przyjechałem tutaj. Przejrzałem wszystkie dokumenty pod kątem tego, co łączyło mnie z Claire: znalazłem papiery rozwodowe, przeniesienie własności domu... Mam je w samochodzie.

Możecie panowie zabrać, co będzie potrzebne. To zdjęcie wypadło z którejś teczki. – Stargill zwrócił się do mnie. – Myślę, że psycholog mógłby to ciekawie zinterpretować; fakt, że wciąż je mam. Może coś oznacza na poziomie podświadomym, bo z pewnością nie przypominam sobie, żebym świadomie je zatrzymał. Zdziwiłem się, widząc je po raz kolejny. Wyglądamy na szczęśliwą parę, prawda?

Jeszcze raz przyjrzałem się fotografii. W tle, pomiędzy Claire i Stargillem, widniał zwiewny

ołtarzyk, przystrojony sreberkiem, czerwonymi serduszkami i różowymi amorkami o policzkach Dizzy'ego Gillespie.

– To Vegas? – zapytałem.

– Reno. W życiu nie widziałem bardziej kiczowatej kaplicy ślubnej. Ceremonię odprawiał jakiś stary przyk, na wpół ślepy i chyba pijany. Zajechaliśmy do Reno dobrze po pomocy i zamykał już interes, ale wsunąłem mu do kieszeni dwie dychy, żeby jeszcze nas obsłużył. Jego żona pojechała już do domu, więc miejscowy cięć, też zresztą staruszek, był naszym świadkiem. Później nawet żartowaliśmy sobie z Claire, że obaj cierpieli pewnie na uwiad starczy i małżeństwo jest nieważne. – Stargill oparł dłonie na blacie i obrzucił wzrokiem kuchnię. – Kiedy tu mieszkałem, wszędzie stał sprzęt domowy: sokowirówka, mikser, ekspres do kawy... Wszystko. Claire kupowała każdy gadżet, jaki wynaleziono. Ciekawe, co z nimi zrobiła. Bo wygląda na to, że pozbyła się ich dokumentnie.

– Nie wie pan, dlaczego miałyby to zrobić?

– Nie. Jak już wspominałem, nie utrzymywałem z nią kontaktu, a prawdę mówiąc, nawet gdy byliśmy razem, nie do końca wiedziałem, czego naprawdę chce. No, poza tym, że uwielbiała chodzić do kina; potrafiła dzień w dzień oglądać filmy. Czasem miało się wrażenie, że sam film nawet jej nie interesuje, tak jakby po prostu lubiła bywać w kinie. Na dobrą sprawę nigdy jej dobrze nie poznałem.

– Gdzie zawarliście znajomość?

– O, to znów prawdziwa romantyczna historia: w hotelowej restauracji. A konkretnie – w „Marriocie” na lotnisku. Miałem się tam spotkać z pewnym klientem z Dalekiego Wschodu, który się nie zjawił; Claire uczestniczyła w jakimś kongresie psychologicznym. Siedziałem przy barze, wkurzony na faceta, który nie pierwszy raz wystawił mnie do wiatru; przez niego straciłem pół dnia. A tu nagle zjawia się Claire i siada parę stołków ode mnie. Wyglądała rewelacyjnie. – Wskazał na zdjęcie. – Sami panowie przyznacie, że mogła wpaść człowiekowi w oko. Nie całkiem w moim typie, ale może właśnie dzięki temu coś zaiskrzyło.

– Nie w pańskim typie? – zdziwiłem się.

– Umawiałem się wtedy z sekretarkami z kancelarii prawniczych, asystantkami, modelkami, niedoszłymi aktorkami... Wiecie, panowie, takie dziewczyny w małym palcu mają modę, techniki makijażu i upiększania ciała.

Tymczasem Claire wyglądała tak, jak powinna: jak naukowiec, kapitalnie, ale bez ekstrawagancji. Tego dnia miała na sobie jedną z tych długich sukienek z nadrukowanym wzorkiem i okulary jak po babci. Cała jej garderoba składała się z takich sukienek, dzinsów i koszulek z krótkim rękawem. Nie miała makijażu, nie nosiła szpilek, tylko płaskie sandały – pamiętam, że zerknąłem na jej nogi; stopy miała śliczne, takie urocze, zgrabne palce... Zauważyła, że się jej przyglądam i parsknęła śmiechem, takim niskim, gardłowym chichotem, strasznie seksownym. Nagle przestałem zauważać okulary i doszedłem do wniosku, że dziewczyna prezentuje się fantastycznie. Zamówiła jakąś oranżadę, ja sącyłem którąś już z rzędu Krwawą Mary. Coś tam bąknąłem, że imprezowa z niej dziewczyna, na co znów się roześmiała, a ja przysiadłem się bliżej. Reszta jest historią. Pobraliśmy się dwa

miesiące później. Z początku myślałem, że znalazłem się w raju.

Stargill miał typową dla rudzielca bladą cerę i teraz wyraźnie pokraśniał na twarzy.

– Ot, i cała historia. Nie wiem, po co tu przyjechałem, ale jeżeli to wszystko...

– Dlaczego w raju? – zagadnął Milo.

Zaróżowione policzki Stargilla pociemniały jeszcze bardziej.

– Kwestia czysto fizyczna. Nie chcę być wulgarny, ale to też się może panom przydać: jedna jedyna rzecz popychała nas ku sobie – seks. Tamtego wieczoru wynajęliśmy pokój w „Marriottcie” i zostaliśmy w nim do północy. Claire była... Inaczej, w życiu nie spotkałem drugiej takiej kobiety. Chemia, jaka się między nami wytworzyła, była niewiarygodna. Inne dziewczyny przypominały przy Claire manekiny. I przy tym zostaliśmy.

– Ale w końcu chemii zabrakło – podsunąłem.

Stargill rozpiął marynarkę, włożył rękę do kieszeni.

– Może za dużo działa się, za szybko; pewnie każdy płomień w końcu się wypala... Sam nie wiem. Na pewno była w tym i moja wina, może nawet głównie moja. Pierwszy raz ożeniłem się już w college’u, ale małżeństwo nie przetrwało nawet roku. Nie szło mi za dobrze w formalnych związkach. Kiedy zamieszkaliśmy z Claire razem, coś nagle... pękło. Nie kłóciliśmy się, nic z tych rzeczy, po prostu żar wygasł. Oboje ciężko pracowaliśmy i nie mieliśmy dla siebie czasu. – Dolna warga zadrżała mu lekko. – Nigdy się nie kłóciliśmy, Claire po prostu straciła zainteresowanie naszym związkiem. Tak, ona pierwsza, chociaż szybko przestałem się tym przejmować. Czułem się tak, jakbym żył z całkiem obcą osobą. Może od początku tak właśnie było.

Schowwał drugą dłoń do kieszeni i zgarbił się.

– Mam czterdzieści jeden lat i trzecią żonę. Na razie jest nam dobrze, jak w miesiącu miodowym, ale kto wie, co będzie dalej?

Zwróciłem uwagę, że łatwo koncentruje się na sobie, zaciekawilo mnie, czy z natury jest egoistą, czy raczej celowo odbiegł od tematu.

– Claire bardzo angażowała się w pracę – powiedziałem. – Cały czas?

– Chyba tak, ale gdyby coś się zmieniło, i tak bym o tym nie wiedział. Nigdy nie rozmawialiśmy o pracy, o niczym nie rozmawialiśmy. To było dziwne: w jednej chwili coś nas bierze, rzuca się na siebie, uprawiamy dziki seks, a za moment każde zajmuje się swoimi sprawami. Próbowałem, parę razy zaprosiłem ją do siebie, do biura, ale zawsze była zajęta. Sama nigdy nie namawiała mnie, żebym wpadł do jej laboratorium. Raz i tak ją tam odwiedziłem. Rety, to było istne zoo, z mnóstwem szurających nogami pijaczków! Nie ucieszyła się na mój widok, jakbym w czymś jej przeszkodził, no i w końcu doszło do tego, że zupełnie się unikaliśmy. Nie jest to trudne, kiedy pracuje się po siedemdziesiąt godzin w tygodniu. Kiedy wracałem do domu, już spała; wstawała wcześniej

i dojeżdżała do szpitala, gdy ja brałem poranny prysznic. Właściwie zostaliśmy ze sobą aż dwa lata tylko dlatego, że oboje byliśmy zbyt zapracowani – albo leniwi – żeby rozpocząć sprawę rozwodową.

– I kto to wreszcie zrobił?

– Claire. Pamiętam, jak mi o tym powiedziała: wróciłem do domu późno, jak zwykle, ale czekała na mnie w łóżku, rozwiązując krzyżówkę. Podała mi plik papierów ze słowami: „Uznałam, że już najwyższy czas, Joe. Co ty na to?”. Poczułem ulgę, chociaż trochę mnie to zabolalo, bo wcześniej nie próbowała nic z tym zrobić. Poza tym przechodziłem przez to już drugi raz i zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle nadaję się do małżeństwa. Wyprowadziłem się, chociaż dokumenty trafiły do sądu dopiero po pół roku.

– Czemu tak późno? – spytał Milo.

– Twierdziła, że nie mogła się zebrać.

– Jak się dogadaliście?

– Bez zgrzytów, wystarczył jeden telefon, żeby dograć detale. Claire sporo zyskała w moich oczach, nie wynajmując prawnika. Nie zamierzała mnie oskubać, choć byłoby z czego: miałem dochody, inwestycje, zabezpieczenie emerytalne, w planach kilka dużych transakcji w nieruchomościach... Mogła mnie do reszty udupić, ale poprosiła tylko, żebym przepisał na nią dom, spłacił kredyt i regulował podatki od nieruchomości. Do reszty nie zgłaszała pretensji. Zostawiłem jej meble; zabrałem tylko ubrania, książki prawnicze i wieżę. – Stargill przetarł chusteczką oczy, odwrócił się, odchrząknął. – Sprawy papierkowe poszły gładko: nie rozliczaliśmy się wspólnie z podatków, pozostała przy swoim nazwisku... Myślałem, że to przejaw feminizmu, ale teraz zastanawiam się, czy w ogóle planowała dłuższy związek.

– Przeszkadzało to panu wtedy?

– Nie, dlaczego? Całe to małżeństwo mało miało z małżeństwem wspólnego; przypominało raczej jednodniowy romans, który nieco się przeciągnął. Nie żebym nie szanował Claire: była wspaniałą kobietą, czułą, miłą – w tym sęk. Lubiłem ją i wiem, że ona też mnie lubiła. Moja pierwsza żona miała dwadzieścia lat, kiedy mnie rzuciła. Przeżyliśmy razem jedenaście miesięcy i czułem, że próbuje mnie usidlić na resztę życia. A Claire była tak cholernie uczciwa... Chętnie zostałbym jej przyjacielem, ale nie złożyło się. Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś mógłby chcieć ją skrzywdzić. Znow otarł oczy.

– Kiedy przeniósł się pan do San Diego?

– Zaraz po rozwodzie. Trafiła mi się oferta pracy, a że miałem już dość L. A., nie zastanawiałem się długo.

– Nie lubi pan tutejszego smogu, tak?

– Smogu, korków, niebezpiecznych ulic. Chciałem zamieszkać przy plaży, więc wynająłem sobie

domek przy Del Mar. W pierwszym roku po rozwodzie przesłaliśmy sobie z Claire kartki bożonarodzeniowe i na tym się skończyło.

– Czy miała jakichś wrogów? – dopytywał się dalej Milo.

– Nie ma mowy. Nigdy nie widziałem, żeby komuś się naraziła. Córyba że jakiś czubek w okręgowce coś sobie ubzdurał, śledził ją czy jak... Do dzisiaj pamiętam tych moczymordów, patrzących spode łba, cuchnących rzygami, szczających w spodnie przy każdym kroku. Nie rozumiałem, jak Claire może z nimi pracować, ale traktowała ich bardzo rzeczowo: przeprowadzała testy, opracowywała wyniki, nigdy się nie zniechęcała. Nie jestem fachowcem, ale skoncentrowałbym się na tym szpitalu okręgowym.

Złożył chusteczkę, a my z Milem, korzystając z jego chwilowej nieuwagi, wymieniliśmy znaczące spojrzenia: Stargill nie miał pojęcia, że Claire przeniosła się do Starkweathera. Albo chciał, żebyśmy tak myśleli.

Milo pokręcił głową: nie teraz.

– Ile pozostało do spłaty domu, panie Stargill? – zapytał. Szybka zmiana tematu czasem wytrąca ludzi z rytmu; Stargill aż cofnął się o krok.

– Około pięćdziesięciu tysięcy. Głównie odsetki. Właściwie myślałem już o tym, żeby spłacić wszystko za jednym zamachem.

– Dlaczego?

– I tak już nie mogę nic odliczać od podatku.

– Kto odziedziczy dom po śmierci doktor Argent?

Stargill posłał mu badawcze spojrzenie. Zapiął marynarkę.

– Nie wiem.

– Nie zawarliście zatem z Claire żadnej umowy, tak? Że w razie jej śmierci dom przechodzi na pana?

– Nie.

– Na razie nic nie słyhać też o testamencie. Pan spisał testament?

– Owszem. Jakie to ma znaczenie dla sprawy?

– Po prostu chcę być dokładny.

Nozdrza Stargilla się rozszerzyły.

– Jestem jej byłym, więc mnie podejrzewacie? Bez żartów! – Parsknął śmiechem. – Jaki miałbym powód, żeby to zrobić? – Znów się roześmiał. Schował ręce do kieszeni i zakołysał się na piętach; tę pozę musiał sobie przyswoić z sali sądowej. – Ten dom jest wart góra trzysta, trzysta pięćdziesiąt tysięcy. Tymczasem po przeprowadzce do San Diego zainwestowałem w nieruchomości nad oceanem; są dziś łącznie warte ze sześć, siedem milionów, więc zamordowanie Claire dla trzystu pięćdziesięciu kawałków brutto byłoby idiotyzmem. – Potarł ręką laminowany blat w kuchni. – Nie byliśmy z Claire wrogami. Lepszej ekszony nie mógłbym sobie nawet wymarzyć, więc dlaczego, do cholery, miałbym ją zabić?!

– Proszę pana – uspokoił go Milo. – Ja muszę zadawać takie pytania.

– Oczywiście, nie ma sprawy. Słucham. Kiedy się dowiedziałem, co się stało, zrobiło mi się niedobrze. Poczułem taką głupią chęć, żeby koniecznie coś zrobić, do czegoś się przydać. Dlatego właśnie przyjechałem tu i przywiozłem panom wszystkie dokumenty. Powinienem był się domyślić, że będę podejrzanym, ale i tak... – Wzruszył ramionami i odwrócił się do nas tyłem. – Cieszę się, że to wasze zadanie, a nie moje. Macie panowie jeszcze jakieś pytania?

– Co może nam pan powiedzieć o rodzinie Claire? – zapytałem. – Albo o jej przyjaciółkach?

– Nic.

– O rodzinie?

– Nigdy ich nie spotkałem. Wiem tylko, że urodziła się w Pittsburghu, studiowała tam na uniwersytecie, a potem na Case Western zrobiła doktorat. Wiem o tym tylko dlatego, że u niej w biurze widziałem dyplomy. Nie chciała mówić o przeszłości.

– Nie chciała, czy po prostu unikała takich rozmów?

– Jedno i drugie.

– O rodzinie też nic nie wspominała?

Stargill okręcił się na pięcie i spojrzał mi w oczy.

– W rzeczy samej. Była jak zamknięta księga. Twierdziła, że nie ma rodzeństwa, rodzice mieli prowadzić jakiś sklep... Poza tym nie wiem o nich absolutnie nic. – Pokręcił głową. – Ja o swojej rodzinie sporo opowiadałem, Claire słuchała chętnie albo przynajmniej udawała, że słucha. Ale nigdy jej nie przedstawiłem rodzicom.

– Dlaczego?

– Nie przepadam za swoją rodziną. Matka była w porządku, taka cicha, spokojna pijaczka, ale nie żyła już, kiedy poznałem Claire. Ojciec i brat to dwa zapijaczone skurczybyki, do których bez kija nie podchodź. Nie było mowy, żebym przedstawiał im narzeczoną. – Stargill uśmiechnął się niewesoło. – Rozumiecie? Jestem jednym z tych dorosłych dzieci alkoholików, i tak dalej, i tak dalej. Sam nigdy nie popadłem w nałóg, ale pilnuję się cały czas. Po samobójstwie matki przeszedłem rzetelną terapię.

Kiedy zobaczyłem, jak Claire zamawia oranżadę, skojarzyłem, że może też ma jakąś alkoholową przeszłość, może coś nas łączy. Skończyło się na tym, że opowiedziałem jej o własnej ciekawej rodzinie. – Uśmiech stał się wyraźniejszy. – Tymczasem ona po prostu lubiła oranżadę.

– Ani słowa o rodzinie przez dwa lata małżeństwa – powtórzyłem. – Nie do wiary.

– Mówiłem już, że nie byliśmy taką przeciętną, typową parą. Kiedy próbowałem zejść na sprawy bardziej osobiste, Claire zmieniała temat. – Stargill podrapał się po głowie. Kąciki ust uniosły mu się ku górze, jakby chciał się znów uśmiechnąć, ale trudno było mi odczytać jego prawdziwy nastrój. – W bardzo ciekawy sposób.

– To znaczy?

– Zaciągała mnie do łóżka.

Stargillowi spieszyło się z powrotem do San Diego, ale Milo przekonał go, żeby oprowadził nas jeszcze po domu. Łazienki nie skomentował, za to w gabinecie powiedział:

- Tu się nic nie zmieniło. Claire spędzała przy biurku masę czasu.
- A gdzie był pański gabinet? – zainteresował się Milo.
- Nie lubię przynosić roboty do domu. Wystarczało mi małe biurko w sypialni.

Właśnie w sypialni naprawdę się zdziwił.

– Żadnych pamiątek. Mieliśmy ogromne małżeńskie łóżce z mosiężnym zagłówkiem, puchową pierzyną i zabytkowymi stolikami nocnymi. Claire chyba naprawdę potrzebowała poważnej zmiany.

– Po jego twarzy widać było, że traktuje tę sprawę bardzo osobiście. Zajrzał do szafy. – Gdzie są ubrania?

- W laboratorium – wyjaśnił Milo.
- Rany... Muszę stąd wyjść.

Złapał się za brodę, jakby szukał oparcia dla trzęsącej się ręki, i wyszedł z pokoju.

Przyniósł nam jeszcze z samochodu karton z dokumentami, a potem hałaśliwie wycofał wóz z podjazdu i z rykiem silnika odjechał.

- Co o nim sądzisz? – zagadnął Milo.
- Facet jest pokręcony, ale nie widzę związku ze sprawą. A jeżeli Claire rzeczywiście była tak bezinteresowna, jak Stargi ją opisuje – albo jeżeli on sam nie jest aż tak bogaty – to gdzie tu motyw?
- Trzysta pięćdziesiąt kawałków, nawet brutto, to wciąż łakomy kąsek. A facet, którego majątek liczy się w milionach, może przecież wpaść w tarapaty. Wezmę się ostro za jego finanse. Ale co masz na myśli, mówiąc że jest pokręcony?

– Lubi się publicznie wywnętrzać; już nam opowiedział historię swojego życia. Może to właśnie pociągało Claire: facet tak zajęty sobą, że nie pakował się w jej sprawy. Opowieść o małżeństwie brzmi jak opis romansu z nieznajomą, który z czasem stracił świeżość. Odkrywamy bardziej impulsywny aspekt charakteru Claire – i nie chodzi tu o sam seks. Stargill twierdzi, że zwykle się unikali, co oznacza, że oboje mogli w tym czasie mieć po kilka romansów. A jeżeli Claire od lat spotykała się z obcymi facetami, aż w końcu trafił jej się jakiś niewłaściwy?

- Sąsiedzi nikogo nie widzieli.

– Sąsiedzi nie wszystko widzą. Można poderwać gościa w barze, przywieźć go do domu w środku nocy... Nikt nic nie zauważy. Albo romansowała poza domem, co tłumaczyłoby, dlaczego znaleziono tylko jej odciski. Stargill opisywał Claire tak samo, jak inni: miła, ale trzymała się na dystans – mówiłem dalej. – Dodał jednak coś od siebie: trochę dominująca. Wprowadza się do jego domu, przejmuje gabinet, jemu pozostaje biurko w sypialni. On opowiada jej o swojej przeszłości, ona niczym się nie odwzajemnia. Kiedy ma go dość, sama podejmuje decyzję o rozwodzie i regulacjach prawnych. To, że w ogóle jej nie naciskał, mówi nam coś o nim samym.

– Uległy prawnik? To byłoby coś nowego.

– Ludzie czasem potrafią oddzielić pracę od życia osobistego. Przypomnij sobie ugodę rozwodową: Claire dostaje dom, on spłaca kredyt, reguluje podatki i jest jej wdzięczny, bo mogła mu zabrać więcej. Nawet ich pierwsze spotkanie było jakies takie skrzywione: ona trzeźwa, on pijany, ona panuje nad sytuacją, on nie. Potem puszcza farbę o ojcu i bracie, alkoholikach, o własnych skłonnościach, nad którymi musi panować. Stanowi jej dokładne przeciwieństwo, każda rozmowa staje się terapią, w której jest pacjentem. Niektóre kobiety na pewno by się zniechęciły. Potem idą na górę i Claire prowadzi go do nieba, a później za każdym razem, kiedy chce, żeby się zamknął, uwodzi go. Widać, że pociągali ją ludzie z problemami. Może odeszła z okręgowego, żeby zapewnić sobie większą dawkę patologii na co dzień.

– Znalazła, świra, który wyszedł ze szpitala, próbowała nad nim zapanować, przycisnęła niewłaściwy guzik... Muszę sprawdzić, czy przez ostatnie pół roku wypuścili kogoś ze Starkweathera. A jeśli nie, to co? – spytał zniechęcony Milo.

– Chciałeś teorii, proszę bardzo, masz teorię. Równie dobrze może się okazać, że podryw jej się nie udał.

Podeszliśmy do mojego seville'a.

– Jest jeszcze coś – rzekł Milo. – Nigdy nie mówiła o rodzinie. Dla mnie to sygnał, że coś było z nimi nie tak, tylko Claire, w przeciwieństwie do Stargilla, nie rozdrapywała starych ran.

– Kiedy przyjeżdżają jej rodzice?

– Za parę dni. Może byśmy razem się z nimi spotkali?

– Nie ma sprawy.

Wsiadłem do samochodu.

– Z pozoru taka miła, grzeczna kobitka, a teraz zaczynamy ją traktować jak pierwszej wody manipulantkę... Wystarczy zatem znaleźć jakiegoś ostro zaburzonego gościa o skłonnościach sadystycznych, któremu podobała się jej karta kredytowa. A właśnie, trzeba by zadzwonić do biura Visy. – Milo zerknął przez ramię na dom. – Może przyjmowała gości, których nikt nie widział, a może tylko jednego rąbniętego kochasia... W salonie byłoby się gdzie zabawić, nie uważasz? Można by tarzać się po podłodze godzinami, jest gładka jak pupcia niemowlęcia. Nie znaleźliśmy na

drewnie śladów płynów ustrojowych, ale kto ją wie?

- Czy jest coś łatwiejszego do oczyszczenia niż lakierowane drewno?
- Masz rację – zgodził się ze mną Milo. – Z dywanu coś byśmy przynajmniej mieli.
- Stargill powiedział, że pozbyła się dywanu.

Milo potarł w zamyśleniu policzek.

– Były pacjent czy były więzień; niegrzeczny chłopczyk, o którym myślała, że może mu rozkazywać.

– I do obu pasuje pomysł schowania zwłok w jej aucie, nie mają własnych czterech kółek.

– Jeszcze raz za kierownicą, tak? – Milo uśmiechnął się blado. – Późna noc, szybki podryw... Od Stargilla wiemy, że nie miałyby nic przeciwko temu. Jadą gdzieś razem, a potem wszystko się chrzani. Nie znaleźli w niej nasienia, więc do żadnego Bara-bara nie doszło... Niegrzeczny chłopczyk kroi ją, chowa do worka, wpycha do bagażnika i zawozi do L. A. Nie kradnie wozu, bo wtedy na pewno by wpadł. Cwany gość. Dokładny. Raczej nie ze Starkweathera. – Skrzywił się. – Czyli tylko tracę tu czas. Wracamy na start.

Rozległ się świergot telefonu komórkowego. Milo odpiął aparat od paska.

– Tu Sturgis – powiedział. – O, witam... Tak, dziękuję. Jak to? Proszę po prostu powiedzieć... Dobra, w porządku. Gdzie mam jechać?

Przycisnął telefon barkiem do policzka, wyjął notes, coś tam zapisał. Rozłączył się.

– Panna Ott – wyjaśnił. – Ma dziś w szpitalu nocny dyżur i chciałaby porozmawiać ze mną przed pracą.

– O czym?

– Nie chciała mi powiedzieć, ale potrafię poznać po głosie, kiedy ktoś się boi.

Poprosiła o spotkanie w parku Plummera w zachodniej części Hollywood. Jechałem za Milem. Minęliśmy plakat z reklamą sali do kick-boxingu: świetnie wyglądająca kobieta w szortach i sportowym topie brała zamach do prawego sierpowego. Pod spodem napis: „Odpoczniesz po śmierci”. Wszędzie ta teologia.

Park był zatłoczony i karłowaty, częściej słyszało się w nim rosyjski niż angielski. Spędzali w nim czas głównie staruszkowie, kulący się na ławkach, grubo opatuleni mimo narastającego upału. Garstka dzieciaków na rowerach jeździła w kółko wokół owalnego placka wyschniętej trawy pośrodku parku. Senni właściciele dawali się prowadzić psom na smyczy, paru niechlujnych koleśków w niebanalnych koszulkach i tanich butach kręciło się przy budkach telefonicznych, pozując

na rosyjskich mafiosów.

Heidi Ott stała sama pod smętnym drzewkiem. Ręce skrzyżowała na piersi i czujnie rozglądała się dookoła. Dostrzegłszy nas, skinęła prawie niezauważalnie dłonią i skierowała się ku jedynej wolnej ławce w zasięgu wzroku; przyczyną braku zainteresowania ławką okazała się sterta świeżego psiego łajna tuż obok. Ott pokręciła nosem, przeszła dalej, aż trafiliśmy w pobliże huśtawek w cieniu starego chińskiego wiązu. Trawa wokół nas była matowa i wygnieciona. Samotna młoda kobieta mechanicznie popychała siedzącego na huśtawce malca; oboje wyglądali na zahipnotyzowanych wahadłowym ruchem.

Heidi oparła się o drzewo i przez chwilę przyglądała matce z dzieckiem. Gdybym nie szukał w jej sylwetce i rysach oznak lęku, niczego bym nie znalazł: ledwie widoczny niespokojny blask w oczach, dłonie na przemian zaciskające się i rozluźniające, oczy wpatrzone nieruchomo w huśtawkę.

– Dziękuję, że zechciała się pani z nami spotkać – zaczął Milo.

– Nie ma za co. Moja koleżanka z pokoju śpi, więc nie mogłam zaprosić panów do siebie.

Oblizwała wargi. Była ubrana w dzinsy biodrówki, prążkowaną koszulkę z krótkimi rękawami i brązowe trzewiki z tępymi noskami. Włosy jak zwykle zaczesła do tyłu, ale nie miała koka, jak w szpitalu, tylko zwykły koński ogon. Założyła delikatne, srebrne kolczyki, lekko się umalowała, nałożyła błyszczak na usta. Zauważyłem, że ma piegi na policzkach. Idealnie czyste paznokcie przycinała króciutko. Pod elastyczną koszulką widać było, że nie ma zbyt bujnych kształtów, za to ręce silne i żylaste.

Odchrząknęła, jakby chciała coś powiedzieć i zbierała się na odwagę, kiedy obok nas przetruchtał wysoki, szczupły mężczyzna z długimi włosami i sapiącym kundlem na smyczy. Pies miał w sobie coś z rottweilera. Facet był ubrany na czarno, a jego splątane włosy miały matowy odcień hebanu. Oczy wbił w ziemię, podobnie jak pies, który przy każdym kroku ledwie zipsał z wysiłku.

Heidi odczekała, aż nas miną, i uśmiechnęła się nerwowo.

– Przypuszczalnie tracicie panowie czas – powiedziała.

– Jeżeli może nam pani powiedzieć coś na temat doktor Argent, to z całą pewnością nie tracimy czasu.

Na moment zmrużyła oczy.

– Mogę najpierw o coś spytać?

– Oczywiście.

– Chodzi mi o Claire... To znaczy doktor Argent; czy z jej oczami było coś nie tak?

Kiedy Milo nie odpowiedział od razu, oparła się mocniej o pień drzewa.

– Coś się z nimi stało, tak? Mój Boże!

– Dlaczego tak się pani przejęła jej oczami, panno Ott?

Dziewczyna pokręciła głową i odruchowo poprawiła koński ogon. Mężczyzna z psem wychodził właśnie z parku – odprowadziła go wzrokiem, a potem wróciła spojrzeniem do kobiety z dzieckiem na huśtawce. Chłopak piszczał właśnie, bo matka ściągnęła go z siedzenia i z trudem wepchnęła do spacerówki. Odeszła, pchając wózek.

Zostaliśmy we troje, jakby specjalnie dla nas opróżniono scenę. Słyszałem śpiew ptaków, dobiegające z daleka słowa wypowiedane w obcym języku, szmer samochodów na Fuller Avenue.

Milo nie spuszczał wzroku z Heidi, rozluźnił mięśnie szczęk i przeniósł ciężar ciała na jedną nogę, przybierając bardziej niedbałą pozę.

– Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale... – zaczęła Heidi. – Trzy dni temu jeden z pacjentów, z którymi pracowała doktor Argent, coś mi powiedział. To było na dzień przed jej śmiercią. Siedziałam nocą na dyżurze i robiłam obchód, kiedy nagle zaczął do mnie mówić. Już samo to jest niezwykle, bo facet ledwie coś tam werbalizuje i nic nie mówił, dopóki z doktor Argent nie zaczęłyśmy... – Urwała w pół zdania, pociągnęła koński ogon do przodu, tak że opadł jej na ramię. Zaczęła bawić się włosami. – Będziecie mnie mieli za dziwaczkę.

– Skądże znowu – uspokoił ją Milo. – Postępuje pani ze wszech miar słusznie.

– No dobrze. Sytuacja przedstawiała się następująco: miałam właśnie wyjść z jego pokoju, kiedy zaczął mamrotać, jakby się modlił. Zwróciłam na to uwagę, bo zwykle prawie się nie odzywa... O normalnym mówieniu nie wspomnę. Nagle umilkł, więc znów zebrałam się do wyjścia. A potem słyszę: „Doktor A”. „Słucham?” – mówię. „Doktor A” – powtarza on, nieco głośniejszym głosem. „Co doktor A?” – nalegam. A on się do mnie uśmiecha, tak trochę dziwnie, tym bardziej że wcześniej też się nie uśmiechał i mówi: „Złe oczy doktor A. w pudełku”. „Co takiego?” – pytam, ale on już wlepia wzrok we własne nogi, milczy i nie chce tego więcej powtórzyć. Wychodzę i jeszcze tylko w drzwiach słyszę, że wydaje takie jak gdyby szczeknięcia. Często się tak zachowywał, ale nigdy nie wiedziałam, co ten rechot może oznaczać. Tym razem wydawało mi się, że się śmieje – ze mnie. Potem ucichł, odleciał jak zwykle, a ja poszłam dalej na obchód.

– „Złe oczy doktor A. w pudełku” – powtórzył Milo. – Mówiła pani komuś o tym?

– Nie, dopiero teraz panom. Chciałam porozmawiać z Claire, ale już się z nią nie spotkałam, bo następnego dnia... – Heidi przygryzła wargę. – W szpitalu nikomu o tym nie wspomniałam, bo doszłam do wniosku, że to normalny bełkot wariata. Gdybyśmy za każdym razem przejmowali się tym, co mają do powiedzenia pacjenci, żadnej roboty nie dałoby się z miejsca ruszyć. Ale kiedy następnego dnia Claire nie przyszła do pracy, a po południu dowiedziałam się, co się z nią stało, mało nie umarłam ze strachu. Nic nikomu nie mówiłam, ponieważ nie bardzo wiedziałam, do kogo się z tym zwrócić... No i jaki niby miałyby to mieć związek? A potem w gazecie przeczytałam, że znaleźli ją w bagażniku samochodu i zaczęłam kombinować: „Bagażnik to przecież także pudełko, nie? To naprawdę niezwykle”. Ale nie pisali nic o oczach, więc może mówiąc „złe oczy” miał na

myśli jej okulary i po prostu bełkotał bez ładu i składu. Tylko dlaczego właściwie w ogóle miałby coś o niej mówić, skoro na co dzień wcale się nie odzywa? Dużo o tym myślałam, ale dopiero gdy wczoraj panów zobaczyłam, doszłam do wniosku, że powinnam zadzwonić. A teraz widzę, że rzeczywiście coś było nie tak z jej oczami.

Heidi odetchnęła głęboko i oblizała wargi.

– Tego nie powiedziałem, proszę pani – zaprotestował Milo. – Pytałem tylko, dlaczego tak się pani przejęła jej oczami.

– Ach tak... – Heidi zgarbiła się i siadła, opierając się o pień wiązu. – Za bardzo się tym przejęłam. Przepraszam, że zabrałam panom tyle czasu. – Zaczęła wstawać, zbierając się do odejścia. Milo złapał ją za nadgarstek.

– Nie musi nas pani przepraszać, panno Ott. Zrobiła pani to, co należało. – Wyjął notes. – Jak się nazywa ten pacjent?

– Zamierza pan podążyć tym tropem? Proszę posłuchać, nie chcę robić zamieszania...

– Na tym etapie śledztwa nie mogę wykluczyć żadnej ewentualności.

– Och... – Heidi obdarła kawałek kory z drzewa, a potem przyjrzała się krytycznie swoim paznokciom. – Nasza administracja nie lubi zainteresowania ze strony opinii publicznej. Nie dadzą mi za to awansu.

– A jakie to kłopoty sprawia opinia publiczna?

– Pan Swig uważa, że brak wiadomości to dobra wiadomość. Fundusze szpitala zależą od polityków, którzy nie patrzą zbyt przychylnie na naszych pacjentów, więc dopóki się nie wychylamy, nie grożą nam cięcia w budżecie. – Wyjęła skrawek kory spod paznokcia. Jeszcze raz skręciła w palcach koniuszki włosów. Wzruszyła ramionami. – Ale niech tam, sama jestem sobie winna, wypuściłam dzina z butelki. Mniejsza z tym, i tak chciałam stamtąd odejść. Starkweather nie spełnił moich oczekiwań.

– W jakim sensie, panno Ott?

– Za duża powtarzalność zajęć. Na dobrą sprawę cały czas niańczy dorosłych mężczyzn, a miałam nadzieję na pracę klinicystki. Wrócę do szkoły, zostanę psychologiem... A Starkweathera potraktuję jako cenne doświadczenie na przyszłość.

– Doktor Delaware jest psychologiem.

– Domyśliłam się. – Uśmiechnęła się do mnie. – Kiedy Hatterson powiedział, że jest pan lekarzem. Przecież nie wzięłyby pan na obchód chirurga, prawda?

– A wracając do tego pacjenta... – wtrąciłem. – Czy miał jakieś szczególne powody, żeby zwrócić uwagę na doktor Argent?

– Nic specjalnego, poza tym, że z nim pracowała. Pomagałam jej. Próbowaliśmy wywołać u niego reakcje werbalne i wymusić silniejszą interakcję z otoczeniem.

– Terapia behawioralna?

– Taki był nasz cel ostateczny – wypracować system nagród, ale nie doszliśmy tak daleko. Doktor Argent po prostu rozmawiała z nim, starając się przygotować raport, czasem prosiła, żebym spędziła z nim trochę czasu. Chciała go wyrwać z izolacji, bo nikt inny się nim nie przejmował.

– Dlaczego?

– Może nikt nie chciał. Pacjent ma dość nieprzyjemne... nawyki. Hałasuje przez sen, nie chce się kąpać, zjada robaki i śmiecie, które znajdzie na podłodze... Robi też gorsze rzeczy. Z tego powodu sypia sam w pokoju. Nawet w takim miejscu, jak Starkweather, jest wyrzutkiem.

– Niemniej jednak Claire uznała, że warto z nim pracować – zauważyłem.

– Chyba tak. Mówiła mi, że traktuje to jak wyzwanie i, muszę przyznać, udało jej się sprowokować jego reakcję. W ostatnich tygodniach czasem zwracał na mnie uwagę, kiwał głową, kiedy zadawałam proste pytania typu tak-nie... Chociaż nie budował normalnych zdań, nigdy nie powiedział czegoś takiego, jak tamtej nocy.

– „Złe oczy doktor A. w pudełku”.

Heidi skinęła głową.

– Ale skąd miałby wiedzieć? To bez sensu... I nic nie znaczy, prawda?

– Może i tak – przytaknąłem. – Czy ten człowiek był w kontakcie z kimś, kto mógłby chcieć zrobić Claire krzywdę? Z jakimś zwolnionym niedawno pacjentem?

– Nie. Nie mógł być z nikim w kontakcie – koniec, kropka. A odkąd pracuję w szpitalu, nikt nie został wypisany. Ze Starkweathera się nie wychodzi.

– Długo pani tam pracuje?

– Pięć miesięcy, przyszedłam zaraz po Claire. Na pana miejscu nie szukałabym przyjaciół tego gościa. Nikt się z nim nie zadaje, tym bardziej że poza problemami natury psychicznej ma kłopoty motoryczne. Późne dyskinezy.

– Co to takiego? – zdziwił się Milo.

– Efekty uboczne działania leków przeciwpsychotycznych, w jego wypadku dość poważne: nogi mu się trzęsą przy chodzeniu, język wysuwa się z ust, głowa chwieje na boki. Czasem ma przyływy aktywności i zaczyna na przykład maszerować w miejscu albo przekrzywia głowę na jedną stronę, o tak. – Zademonstrowała nam, co ma na myśli, wyprostowała się i oparła znów o drzewo. – Nic poza tym nie wiem, więc jeśli nie macie panowie więcej pytań, to poszłabym już do pracy.

– Jak on się nazywa, proszę pani? – upomniał się Milo.

Heidi jeszcze raz nerwowo szarpnęła koński ogon.

– Nie wolno nam ujawniać nazwisk pacjentów, bo w końcu nawet oni mają jakieś prawo do prywatności. Ale chyba w takiej sytuacji... – Spuściła ręce i splotła palce na podbrzuszu, jakby chcąc się osłonić. – No dobrze. Nazywa się Ardis Peake. Mogliście panowie o nim słyszeć. Claire mówiła, że jest nieznośny, gazety nadały mu pseudonim „Potwór”.

Szczęki Mila zwiotczały aż za bardzo; ze wszystkich sił starał się nie okazywać niepokoju.

– Słyszałem o nim – powiedział.

Ja też, dawno, dawno temu. Jeszcze w szkole średniej, czyli co najmniej przed piętnastu laty.

Heidi Ott też zachowała spokój, ale nie musiała udawać. W tamtym czasie chodziła do podstawówki i rodzice z pewnością oszczędzili jej szczegółów.

Przypomniałem sobie, co pisano w gazetach.

Treadway to rolnicza miejscina o godzinę drogi na północ od Los Angeles. Sady orzechowe i brzoskwiniowe, uprawy truskawek i papryki – śliczne miejsce, z rodzaju tych, gdzie można bez obawy zostawić na noc otwarte drzwi. Gazety strasznie tę sprawę rozdmuchały.

Matka Ardisa Peake’a pracowała jako gosposia w domu jednych z największych gospodarzy, młodego małżeństwa – spory majątek w spadku, sylwetki i twarze jak z żurnala, wielki, dwupiętrowy dom... jakżeż oni się nazywali? Nazwisko Peake’a skojarzyłem od razu. Dlaczego?

Zacząłem sobie przypominać strzępy jego biografii. Urodził się w lasach na północy Oregonu, w osadzie drwali. Nie wiadomo, kto został jego ojcem – matka była tam po prostu kucharką.

Niewiele dało się ustalić ze stuprocentową pewnością, ale większość dzieciństwa Ardis spędził z nią, włócząc się po całym wybrzeżu w tę i z powrotem. Nie znaleziono żadnych zapisków ze szkół. Kiedy autobusem dotarli do Treadway, chłopak miał dziewiętnaście lat, nie umiał czytać ani pisać, był chorobliwie nieśmiały i wyraźnie różnił się od rówieśników.

Noreen Peake szorowała podłogi w knajpach, aż wreszcie dostała pracę na ranchu. Mieszkała w domu właścicieli, w służbówce przy kuchni, Ardisa zaś umieszczono w jednoizbowej szopie za sadem brzoskwiniowym.

Był niezdarny, tępy i tak niewiele mówił, że mieszkańcy miasteczka w większości uważali go za niemowę. Nie miał żadnego zajęcia, więc czas poświęcał na żarty i psoty, ale najgorsze, czego się dopuszczał, to wacchanie farby olejnej na tyłach sklepu Sinclaira – w środku dnia, na widoku – czym tylko potwierdził opinię o sobie, że jest niedorozwinięty. Właściciele rancha znaleźli mu wreszcie robotę – łapał szczury, zabijał krety i węże. Ot, taki terier w ludzkiej skórze.

Jego terytorium obejmowało pięć akrów ziemi, przylegających do domu mieszkalnego. Zadanie, które mu wyznaczono, było niewykonalne, ale podjął się go z chęcią i nieraz widywano go, jak do późna w nocy chodził po sadach i polach z metalowym szpikulcem i słoikiem trucizny, czasem wręcz czołgając się po ziemi. Nie można powiedzieć, żeby zadzierał nosa.

Była to zaiste psia praca, ale wyglądało na to, że Ardis znalazł swoje miejsce.

Wszystko skończyło się pewnego chłodnego, niedzielnego poranka, dwie godziny przed świtem.

Pierwszą znaleziono jego matkę – masywna, biodrzasta kobieta w wypłowiałej sukience siedziała przy kuchennym stole. Przed nią stał talerz jabłek, z których część zdążyła obrać i wydrążyć. Cukierniczka, torebka mąki i kostka masła na blacie zapowiadały szarlotkę. W kuchence piekła się wołowina, a dwie poszatowane główki kapusty czekały, by je dodać do sałatki. Noreen Peake cierpiała na bezsenność i nocne posiedzenia kulinarne nie należały u niej do rzadkości.

To jednak przedwcześnie dobiegło końca: ktoś obciął jej głowę. Cięcie było paskudne. Głowa leżała na podłodze, ze dwa metry od krzesła, obok niej znaleziono nóż z resztkami kapusty na ostrzu. Ze stojaka zniknął jeszcze jeden nóż od kompletu – większy i cięższy.

Krwawe ślady tenisówek wiodły do schodów dla służby. Na drugim piętrze młody plantator z żoną leżeli w łóżku, przytuleni i odkryci. Im głów nikt nie obciął, chociaż poszarpane tętnice i tchawice świadczyły, że morderca nie szczędził starań: nóż przebił ciało, ale zatrzymał się na kręgosłupie. Rany miażdżone twarzy dopełniały obrazu makabry. Pokryty zakrzepłą krwią kij bejsbolowy leżał na podłodze u stóp łóżka. Należał do pana domu, który w szkole średniej był lokalnym mistrzem w tej dyscyplinie sportu.

Gazety rozwodziły się nad tym, jak znakomicie prezentowało się młode małżeństwo za życia... Jak oni się nazywali? Ardullo. Tak, państwo Ardullowie. Piękni, wspaniali, mieli fantastyczne życie... Zginęli ze zmasakrowanymi twarzami.

Dalej korytarzem, do pokojów dzieci. Starsze z nich, pięcioletnią dziewczynkę, znaleziono w jej garderobie. Patolog sugerował, że musiała coś usłyszeć i próbowała się ukryć. Zginęła od tego samego ogromnego noża kuchennego – był już zgięty, ale nie pękł. Gazety oszczędziły czytelnikom szczegółów.

Bawialnia oddzielała jej sypialnię od pokoju braciszka, wszędzie na podłodze walały się zabawki.

Chłopiec miał dziesięć miesięcy. Znaleziono tylko puste łóżeczko.

Niknący trop prowadził potem na dół, do pralni i tylnego wyjścia, skąd już tylko kropelki krwi na kamieniach znaczyły drogę mordercy. Ginęły na ubitej ścieżce na skraju warzywnika.

Ardisa Peake'a znaleziono w szopie – szafasie z desek i papy, cuchnącym jak barak dla psów. Nie zamieszkiwały go jednak zwierzęta, lecz Peake – nagi i nieprzytomny leżał na łóżku polowym, otoczony tubkami po kleju, puszkami po farbie i butelkami po taniej meksykańskiej wódce – jedna z nich była pełna moczu. Pod łóżkiem znaleziono plastikową torebkę, a w niej biały, krystaliczny osad: metamfetaminę.

Szczurołap miał zakrwawione usta, ręce czerwone po łokcie, włosy i pościel koloru ciemnego wina. Szarobiałe drobinki we włosach okazały się szczątkami ludzkiej tkanki mózgowej. Z początku wzięto go za kolejną ofiarę.

Tylko że szturchnięty poruszył się, a krew łatwo dała się zmyć.

Spał jak zabity.

W zaduchu szopy dominowała nuta spalenizny.

Peake nie miał u siebie kuchenki, tylko pojedynczą płytę elektryczną, zasilaną ze starego akumulatora samochodowego. Cynowy kosz na śmieci, służący mu za patelnię, wciąż stał na ogniu. Był za cienki, dno zaczynało się w nim przepalać i woń prażonej cyny mieszała się z odorem odpadków, gnijących resztek jedzenia i brudnych ubrań.

I z czymś jeszcze, z jakimś ciężkim zapachem. Jak zapach gulaszu.

Pizama dziesięciomiesięcznego chłopczyka leżała na podłodze. Obsiadły ją roje much.

Ardis Peake nigdy za dobrze nie gotował; matka go karmiła.

Ale tego ranka postanowił sam spróbować.

– Usłyszałam o nim dopiero w Starkweatherze – powiedziała Heidi. – To się stało tak dawno.

– W takim razie wie pani, co zrobił – stwierdził Milo.

– Wymordował jakąś rodzinę, to można wyczytać w aktach. Poza tym Claire mi o tym powiedziała, zanim poprosiła, żebym z nim pracowała. Wprawdzie od czasu morderstwa nigdy nie był agresywny, ale powinnam wiedzieć, z kim mam do czynienia. Zgodziłam się. To, co zrobił, było przerażające, ale do Starkweathera nie trafia się za kradzież w sklepie. Podjęłam tę pracę, bo interesuje mnie przede wszystkim punkt końcowy.

– Punkt końcowy?

– Skrajności. Jak daleko człowiek potrafi się posunąć.

Heidi zwróciła się w moją stronę, jakby szukając poparcia.

– Skrajności tak panią fascynują? – zapytałam.

– Wiele można się z nich nauczyć. Chodziło mi o to, żeby się przekonać, czy naprawdę nadaję się do pracy z psychicznie chorymi. Doszłam do wniosku, że jeżeli poradzę sobie w Starkweatherze, nic mnie nie ruszy.

– Tymczasem praca okazała się nudna – napomknął Milo.

– Mnóstwo w tym rutyny. Byłam chyba naiwna, spodziewając się cudów. Ci ludzie są tak otumanieni lekami i zmęczeni przypadłościami fizycznymi, że prawie cały czas zachowują się jak we śnie. Dlatego mówiłam, że to jak niańczenie dzieci. Staramy się, żeby regularnie dostawali jedzenie,

byli w miarę czyści i nie pakowali się w kłopoty, przeczekujemy wybuchy szału... Jak z dziećmi. I w kółko to samo, dyżur po dyżurze.

– Doktor Argent była tu nowa – wtrąciłem. – Podobało jej się?

– Takie miałam wrażenie.

– Mówiła, dlaczego odeszła ze szpitala okręgowego?

– Nie. W ogóle niewiele mówiła, tyle co o pracy. Nic osobistego.

– Czy ktoś przydzielił jej Ardisa Peake’a, czy sama postanowiła z nim pracować?

– Chyba to drugie... lekarze mają tu sporą swobodę wyboru. My, pielęgniarze, jesteśmy od rutynowych zadań.

– Nie mówiła, czemu Peake tak ją interesuje?

Heidi pogładziła koński ogon. Przeciągnęła się.

– Pamiętam tylko ten tekst o wyzwaniu. Peake funkcjonuje na tak niskim poziomie, że gdyby udało się nam wzbogacić jego repertuar zachowań, poradziłybyśmy sobie już z każdym. To mi się podobało.

– Nauka płynąca ze skrajności.

– Właśnie.

– A co z treningiem podstawowych umiejętności? – zaciekawilem się. – O co tam jej chodziło?

– Chciała, żeby chorzy umieli bardziej o siebie zadbać: uczesać się, zachować odpowiednio, uważać, kiedy się do nich mówi... Mimo psychozy.

– Jak zostali dobrani?

– Claire osobiście ich wyselekcjonowała, ja byłam tylko jej asystentką.

– Robili postępy?

– Nieznaczne. Miałyśmy dopiero siedem sesji, jutro wypadłaby ósma. – Heidi otarła oczy wierzchem dłoni.

– Były z nimi jakieś kłopoty? Z utrzymaniem dyscypliny?

– Nic niezwykłego. Czasem stroją fochy, ale wystarczy wtedy okazać odrobinę stanowczości. Jeśli pyta pan, czy któryś z pacjentów darzył Claire niechęcią, to z całą pewnością tak nie było. Lubili ją. Jak wszyscy.

Znów sięgnęła ręką za włosy. Przygryzła policzek, jeszcze raz się przeciągnęła.

– Paskudna sprawa – dodała. – Była doskonałą, cierpliwą nauczycielką. Nie wierzę, żeby ktoś chciał ją skrzywdzić.

– Wiemy już, że unikała rozmów na tematy osobiste – rzekł Milo. – Może jednak wspominała czasem o życiu prywatnym?

– Nie. Przykro mi... To znaczy, z nią się nie dało tak po prostu pójść na kawę.

Na kawę by nie poszły, a mimo to mówiąc o Claire, Heidi używała jej imienia. Żadnego „pani” – łatwość przechodzenia na „ty” jest typowa dla pokolenia X.

– Żałuję, ale naprawdę nic więcej nie mogę panom powiedzieć. A co do Peake’a... To bez znaczenia, prawda?

– Prawdopodobnie – przytaknął Milo. – Ale i tak chciałbym z nim porozmawiać.

– Z nim się nie rozmawia. – Pokręciła głową. – Nie tak, jak pan to rozumie. Ten człowiek jest oderwany od życia, jakby wiecznie bujał w obłokach. Kilka miesięcy pracowałyśmy z Claire nad tym, żeby w ogóle raczył nas zauważyć.

– Zobaczymy, co z tego wyniknie – powiedział Milo.

Heidi zerwała listek z drzewa i zwinęła go w palcach.

– Chyba się tego spodziewałam. Cóż, przygotuję się na poważną rozmowę ze Swigiem. Zastanawiam się, czy nie powinnam była najpierw się z nim spotkać.

– Chce pani, żebym przy tym był?

– Poradzę sobie. Przynajmniej wiem, że postąpiłam słusznie... A i tak czas zmienić otoczenie. Może popracuję trochę z dziećmi.

– Ile jeszcze nauki pani zostało? – zagadnąłem.

– Rok do licencjatu, a potem magisterka. To płatne studia, więc idą mi powoli. Starkweather ma jedną zaletę: dobrze się tu zarabia. Ale coś sobie znajdę.

– Jest pani zdecydowana odejść, tak? – upewnił się Milo.

– Nie widzę nic, co mogłoby mnie tu zatrzymać.

– To niedobrze. Mogłaby się nam pani przydać.

– Jak to?

– Spróbowałaby pani namówić Peake’a, żeby jeszcze raz się odsłonił.

Zaśmiała się niepewnie.

– Piękne dzięki, panie Sturgis. Wolę się już w to bardziej nie mieszać, a poza tym on ze mną też nie chce rozmawiać.

– A jednak w przeddzień śmierci Claire coś pani powiedział.

– To było... Nie wiem, o co mu chodziło.

Milo się uśmiechnął.

– Nie przekonam pani, co?

Odpowiedziała mu uśmiechem.

– Raczej nie.

– A co ze skrajnościami? Z wyzwaniem?

– Jeżeli znów będą mnie ciągnęły wyzwania, zacznę się wspinać.

– Wspinać... – Milo się wzdrygnął. – Mam lęk wysokości.

– Do wszystkiego można się przyzwycząić. I o to właśnie chodzi. Uwielbiam ryzyko i wysiłek fizyczny – wspinaczkę, skoki ze spadochronem... Kiedy się pracuje w takim miejscu, jak Starkweather, trzeba jakoś dbać o kondycję: z jednej strony człowiek musi cały czas mieć się na baczności, z drugiej – nie ma okazji się poruszać. W każdym razie... – Zerknęła na zegarek. – Naprawdę muszę już iść.

– Nie ma sprawy.

Podowała nam rękę na pożegnanie i sprężystym krokiem wyszła z parku.

– O co chodzi z tym całym Peakiem, do cholery? – mruknął Milo.

– Pewnie o nic. Coś tam sobie zabełkotał, a Heidi nie zwróciłaby na to uwagi, gdyby nie późniejsza śmierć Claire.

– Nie wydaje ci się cokolwiek dziwna? Taka mała panna ryzykantka?

– Co innego skakać ze spadochronem, a co innego – mordować ludzi.

– „Złe oczy doktor A. w pudełku”... A jeśli to coś więcej niż pozbawiony znaczenia bełkot? Powiedzmy, że jakiś kumpel Peake’a wyszedł, a wcześniej wspomniał o tym, co robi z Claire.

– Peake raczej nie ma kumpli, Heidi mówiła, że jest sam w pokoju i nikt nie chce się z nim

zadawać. Ale może coś w tym jest. Chętnie bym go bliżej poznał.

– Ardis Peake. – Milo się zamyślił. – Dużo czasu minęło. Szesnaście lat. Dobrze to pamiętam, bo właśnie zacząłem pracę w wydziale zabójstw i od razu dali mi jakąś skomplikowaną zagadkę. Poce się nad nią, brnę w ślepe uliczki, zaczynam się bać, że się nie nadaję do tej roboty, a tu mniej więcej tydzień potem Peake masakruje ludzi w Gdzieśtam i jakiś wiejski szeryfina jeszcze tego samego dnia go rozpracowuje. Pomyślałem wtedy, że niektórzy po prostu mają szczęście: bandzior sam podał mu się na srebrnej tacy, i to z przybraniem. Parę lat później byłem na szkoleniu w Quantico. Goście z FBI opisywali Peake'a jako modelowego mordercę-szaleńca: chodzi brudny, brak mu piątej klepki, nie podejmuje żadnych wysiłków, żeby zamaskować ślady zbrodni. „Złe oczy doktor A. w pudełku”... Jak to możliwe, że z psychologa stał się prorokiem?

– Mógł podsłuchać słowa innego pacjenta, a potem tylko je powtórzyć. Jakoś nie potrafię go na serio powiązać z zabójstwem Claire. Jest tak niezorganizowany, ma inteligencję na skraju normy... Tymczasem ten, kto zabił Claire, a może także Richarda, wszystko starannie zaplanował.

– Masz rację, przy założeniu, że Peake rzeczywiście jest tak porąbany, na jakiego wygląda.

– A co, myślisz, że przez całe życie udaje?

– To ty mi powiedz, czy to możliwe.

– Wszystko jest możliwe, ale to akurat bardzo mało prawdopodobne. Miałby wchodzić w skład morderczego duetu, tak? To po co by się tym chwalił? A spójrzmy na to inaczej: gość nigdy nic nie mówi, żyje w swoim świecie, ktoś dochodzi do wniosku, że w ogóle nie ma kontaktu z rzeczywistością, przestaje się przy nim pilnować i mówi coś interesującego. Jeżeli tak właśnie było, to może Peake zdoła się na tyle skoncentrować, żeby nam powiedzieć, kto był tym człowiekiem.

– Czyli wracamy do naszego wariatkowa. To słodkie.

Wyszliśmy z parku i udaliśmy się do zaparkowanych nieopodal samochodów.

– Jedno się zgadza z tym, co mówiliśmy na temat Claire – zauważyłem. – Wybrała Peake'a, bo pragnęła kontaktu z silnie zaburzonymi. Nie wiemy tylko, czy po drodze coś się nie wydarzyło. Próbując zgłębić Peake'a, sama się przed nim otworzyła; źle go oceniła i chlapnęła coś na swój temat. W żargonie terapeutów nazywamy to samoujawnieniem. Jesteśmy nauczeni wystrzegać się go, ale ludzie cały czas popełniają błędy; za bardzo koncentrują się na sobie, zamiast na pacjencie. Claire była neuropsychologiem i dopiero zaczynała pracę terapeutyczną.

– To znaczy unikała kontaktów osobistych, ale do Peake'a jakoś się zbliżyła?

– Głównie dlatego, że nie potrafił odpowiedzieć jej tym samym.

– A zatem to ona powiedziała mu coś na temat pudełka i złych oczu... cokolwiek by to znaczyło, a on później bezmyślnie to powtarza.

– Może pudełko ma coś wspólnego z jakimś wiązaniem w łóżku, ostry seks, te rzeczy.

– Dominacja... Naprawdę tak uważasz?

– To tylko domysły. Równie dobrze mogła go wybrać, kierując się współczuciem. Robin ma inne niż ja zdanie na temat jej domu. Uważa, że Claire pragnęła odrobiny prywatności.

– Jest jeszcze coś – rzucił Milo. – Kiedy Heidi wspomniała jego nazwisko, serce zabiło mi żywiej. W Quantico rozdali uczestnikom konferencji kopie akt jego sprawy. Nawet zaprawieni w bojach goście jęknęli, kiedy spojrzeli na zdjęcia, paru wyszło z sali. To było gorsze niż robota przeciętnego rzeźnika ludzi, Alex. Ja też jeszcze nie zdążyłem stać się twardzielem, nie mogłem długo na nie patrzeć.

Milo zatrzymał się w miejscu tak raptownie, że zrobiłem jeszcze kilka kroków, zanim zdążyłem wyhamować.

– Co się stało?

– Jedno ze zdjęć przedstawiało dziecko. Córeczkę, tę starszą. Peake wydłubał jej oczy.

Naprawdę myśli pan, że to coś znaczy? – William Swig nie posiadał się ze zdziwienia.

Było tuż po czwartej, gdy wróciliśmy do jego biura. W wozie Miła kończyła się benzyna, więc zostawiliśmy go w parku i moim samochodem podjechaliśmy do Starkweathera.

Milo dwa razy dzwonił ze swojego telefonu komórkowego. Próba namierzenia szeryfa Treadwaya skończyła się na systemie poczty głosowej prywatnej firmy ochroniarskiej „Bunker Protection”. Milo odczekał kilka minut, połączył się z kimś i chwilę rozmawiał. Pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Nie ma go.

– Szeryfa?

– Nikogo tam chyba nie ma. Szeryf mieszka na osiedlu dla emerytów. Nazywa się to Fairway Ranch, a Bunker jest firmą wynajętą do ochrony. Czuję się, jakbym rozmawiał z jakimś cholernym robotem policyjnym, bo powtarzał w kółko: „Takie pytania należy zgłaszać do głównej siedziby firmy w Chicago”.

Ze Swigiem Milo połączył się bez trudu, ale i tak kiedy zajechaliśmy pod szpital, strażnik przy bramie o niczym nie wiedział. Następny telefon do Swiga otworzył nam w końcu drzwi, lecz musieliśmy jeszcze poczekać na Franka Dollarda, żeby przeprowadził nas przez dziedziniec. Tym razem Dollard ledwie skinął nam głową. Mimo że wieczór zbliżał się szybko, upał wcale się nie zmniejszył. Na dziedzińcu zastaliśmy tylko trzech pacjentów – wśród nich Cheta, który gorączkowo wymachiwał rękoma, opowiadając niebu swoje historie.

Z chwilą, gdy doszliśmy do drugiej furtki, Dollard zostawił nas i sami weszliśmy do szarego gmachu. Swig czekał przy samych drzwiach, skąd pośpiesznie zaprowadził nas do biura.

Teraz zaś złączył dłonie czubkami palców i zakołysał się na krześle.

– Pudełko, oczy... Zwykły bełkot psychotyka. Dlaczego uważa pan, że powinniśmy go potraktować poważnie, doktorze?

– Nawet psychotycy mogą mieć coś do powiedzenia.

– Naprawdę? Nawet gdyby istotnie tak było, nie wydaje mi się to prawdopodobne w tym wypadku.

– Ten ślad może nic nie znaczyć – wtrącił Milo – ale trzeba go sprawdzić.

Zabrzączał interkom. Swig wcisnął guzik i z głośnika rozległ się głos sekretarki:

– Bili? Senator Tuck do ciebie.

– Powiedz mu, że oddzwonię. – Swig zwrócił się ponownie do nas. – Ach tak... Wiecie to panowie od Heidi Ott?

– Nie ufa jej pan?

Znowu rozległ się dźwięk brzęczyka. Swig poirytowany dziabnął palcem w przycisk.

– Bili? – zgłosiła się sekretarka. – Senator Tuck mówi, że nie musisz oddzwaniać. Chciał ci tylko przypomnieć, że w niedzielę twoja ciotka wyprawia przyjęcie urodzinowe.

– Świetnie. I proszę cię, nie łącz żadnych rozmów. – Odsunął się od biurka z krzesłem i założył nogę na nogę, odsłaniając białe skarpetki frotte. Miał niebieskie spodnie i brązowe buty na gumowej podeszwie. – Senator Tuck jest mężem siostry mojej matki – wyjaśnił.

– Powinien mieć pan ułatwiony dostęp do funduszy – zauważył Milo.

– Wprost przeciwnie. Senatorowi wcale się nasz ośrodek nie podoba. Uważa, że pacjentów należałoby wywlec za siatkę i rozstrzelać. Jego poglądy na tę kwestię zaostrzają się, zwłaszcza w okresie kampanii wyborczej.

– Na przyjęciach jest zapewne duszą towarzystwa.

– W istocie – przytaknął kwaśno Swig. – O czym to ja... Ach tak, Heidi. Nie wolno zapominać, że jest nowa w tym zawodzie, a na nowicjuszach byle co potrafi zrobić wrażenie. Może coś słyszała, a może nie; mniejsza z tym. I tak nie wierzę, żeby miało to jakieś znaczenie.

– Nawet biorąc pod uwagę, że chodzi o Ardisa Peake'a?

– Nawet wówczas. Widzicie panowie, trzymamy go cały czas w Starkweatherze. Jest bardzo zamknięty w sobie. – Swig zwrócił się do mnie: – Aspołeczny, cierpi na poważne dyskiinezy, wykazuje masę objawów negatywnych, prawie nie wychodzi z pokoju. Odkąd tu jest, nigdy nie przejawiał choćby cienia niebezpiecznej aktywności.

– Dostaje jakieś listy? – spytał Milo.

– Raczej wątpię.

– Ale nie wyklucza pan takiej możliwości.

– Raczej w to wątpię – powtórzył Swig. – Wiem, że kiedy do nas trafił, przyszło trochę normalnego w takich wypadkach śmiecia: jakieś porąbane kobiety proponowały mu ślub, takie tam rzeczy... Dziś jego dzieje to już prehistoria, i to zapomniana. Tak powinno być. Jedno mogę panom powiedzieć z całą pewnością: od czterech lat, czyli odkąd tu pracuję, Peake'a nikt nie odwiedzał. Jeżeli chodzi o możliwość rozmowy, to ani ja, ani personel nic nie wiemy o tym, żeby przyjaźnił się z innymi pacjentami. A jeżeli nawet coś podsłuchał? Ten, kto to powiedział, też siedzi u nas jak w więzieniu.

– Chyba że jest to ktoś, kogo niedawno wypisaliście.

– Odkąd zatrudniliśmy Claire Argent, nikt nie został zwolniony. Sprawdziłem to.

– Doceniam pańską wolę współpracy.

– Proszę nie dziękować, łączy nas przecież wspólny cel: chcemy chronić obywateli. Niech mi panowie wierzą: Peake nie stanowi już dla nikogo zagrożenia.

– Nie wątpię w prawdziwość pańskich słów, ale gdyby dostawał albo wysyłał listy, nikt z pańskich ludzi by do nich nie zaglądał. Tak samo z rozmowami telefonicznymi – nikt ich nie podsłuchuje...

– Oficjalnie nie ingerujemy w obieg korespondencji, dopóki pacjent za bardzo nie szaleje, ale... – Swig wyprostowanym palcem wybrał na klawiaturze telefonu czterocyfrowy numer. – Artura? Mówi Swig. Czy wiesz coś na temat poczty – listów, paczek, kartek – adresowanej w ostatnim czasie do pacjenta numer trzy, osiem, cztery, cztery, trzy? Peake, Ardis. Nawet jakichś śmieci? Jesteś pewien? Nic, zupełnie nic, jak daleko sięgasz pamięcią? Miej oczy szeroko otwarte, Artura. Nie, nic nie rób. Po prostu daj mi znać, gdyby coś się pojawiło. Dzięki. – Odłożył słuchawkę. – Artura pracuje u nas od trzech lat i twierdzi, że Peake nie dostaje żadnych przesyłek. Telefonów nie mogę tak łatwo sprawdzić, ale proszę mi wierzyć: Peake nie rozmawia przez telefon. Nie rusza się z pokoju. Nie mówi.

– Niski poziom funkcji życiowych.

– Bardzo niski.

– Nie wie pan czasem, dlaczego doktor Argent chciała nad nim pracować?

– Doktor Argent pracowała z wieloma pacjentami, nie wydaje mi się, żeby w jakiś szczególny sposób zajmowała się Peakiem.

Podniósł w górę dłoń z wyprostowanym palcem, zerwał się z krzesła i wyszedł z biura, trzaskając drzwiami.

– Facet stara się nam pomóc, jak może, chociaż doprowadza go to do szału – zauważył Milo.

– Heidi twierdziła, że jego zdaniem zainteresowanie opinii publicznej jest jak śmiertelny pocałunek.

– Zastanawiałem się trochę, jak to się stało, że taki młody człowiek zarządza Starkweatherem. Teraz już wiem: wujcio senator może kręcić nosem na szpital, ale założę się o każde pieniądze, że postarał się, aby siostrzeniec jego żony dostał tę fuchę.

Swig wparował do gabinetu przez nagle otwarte drzwi. W rękach trzymał brązową, tekturową teczkę. Wyminąwszy Mila, wręczył ją mnie i usiadł.

Była to karta choroby Peake'a, wcale nie taka gruba, jak się spodziewałem – dwanaście stron w większości zajmowały adnotacje na temat przebiegu leczenia, dokonane przez różnych psychiatrów. Powtarzały się uwagi na temat dyskinez: „Dyskinezy późne, bez zmian”, „DP nasilają się, nie kontrolowane ruchy języka”, „DP, chwiejny krok”. Zaraz po przyjęciu do Starkweathera Peake'owi podano tioridazynę i od piętnastu lat szprycowano go nią regularnie. Dostawał też środki osłabiające działanie uboczne neuroleptyku – węglan litu, tryptofan, narcan. Nic z tego. Po wpisach typu „Bez zmian”, „Brak zmian w zachowaniu” wszystkie leki kolejno odstawiano, zostawiając tylko tioridazynę.

Na ostatnich dwóch stronach znajdowały się cotygodniowe notki z czterech ostatnich miesięcy – niemal identyczne, dokonane drobnym, równym pismem:

„Sesje indywu. Kontrola umiejętności werb. i społ. Ocena planu behaw. Dr C. Argent, asyst. H. Ott”.

Podąłem kartę Milowi.

– Jak panowie widzicie, doktor Argent obserwowała jego zachowanie i mowę, nie leczyła go. Chodziło jej pewnie o zbadanie reakcji na leki czy coś w tym guście.

– Ilu jeszcze pacjentów miała pod opieką? – zaciekał się Milo.

– Nie znam dokładnej liczby – odparł Swig. – Nie potrafiłbym też podać konkretnych nazwisk bez długiej i żmudnej procedury kontrolnej.

Wyciągnął rękę po kartę Peake'a. Milo przerzucił jeszcze parę stron i ją oddał.

– Czy doktor Argent specjalnie wyszukiwała sobie pacjentów silnie zaburzonych?

Swig podjechał na krześle do biurka i oparł ręce na blacie. Prychnął.

– Zamiast kogo? Nie trzymamy tu ludzi z łagodnym przebiegiem nerwicy.

– Czyli Peake jest po prostu jednym z wielu.

– W Starkweatherze nikt nie jest jednym z wielu. Ci ludzie są niebezpieczni, traktujemy ich jak odrębne jednostki.

– Dobrze, dziękuję, że zechciał nam pan poświęcić trochę czasu. Czy moglibyśmy teraz zobaczyć Peake'a?

– W jakim celu? – Swig poczerwieniał. – Mówiłem przecież, że ten człowiek ledwie funkcjonuje.

– W tej fazie śledztwa sprawdzam każdy ślad – odparł Milo z uśmiechem.

Swig znów prychnął lekceważąco.

– Proszę mnie zrozumieć. Doceniam panów zaangażowanie w sprawę, ale nie mogę sobie pozwolić na to, żebyście zjawiali się w szpitalu za każdym razem, gdy wpadniecie na jakiś nowy pomysł. To zakłóca rytm życia pacjentów, ja zaś nadal twierdzę, że śmierć doktor Argent nie ma nic wspólnego z jej pracą u nas.

– Nie chciałbym nikomu przeszkadzać, jednakże porzucając ten ślad, zaniedbałbym swoje obowiązki.

Swig pokręcił głową, podrapał się w pieprzyk na twarzy i przyglądał puszek, porastający szczyt jego łysej czaszki.

– To nie potrwa długo, panie Swig.

Wbił paznokiec głębiej w skórę i na błyszczącej łysinie pojawił się czerwony półksiężyc.

– Gdybym miał pewność, że na tym kłopoty się zakończą, nie wahałbym się ani chwili. Mam jednak wrażenie, że uparł się pan, żeby w moim szpitalu rozwiązać sprawę.

– Nie, proszę pana, absolutnie nie. Po prostu muszę być dokładny.

– Dobrze już – rzucił nagle rozeźlony Swig i poderwał się z krzesła jak wystrzelony z procy. Poprawił krawat i wyjął z szuflady pęk kluczy na chromowanym kółku. – Chodźmy. Spotkacie się z panem Peakiem.

– Heidi Ott nie będzie miała kłopotów, prawda, panie Swig? – upewnił się Milo, gdy jechaliśmy windą.

– Dlaczego miałyby je mieć?

– Bo powiedziała mi o Peake’u.

– Pyta pan, czy będę się mścił? Chryste panie, skąd ten pomysł? Spełniła tylko swój obywatelski obowiązek. Jako administrator mogę być tylko z niej dumny.

– Panie Swig...

– Niech pana o to głowa nie boli, panie Sturgis. Nadmiar zmartwień zatruwa duszę.

Wysiedliśmy na oddziale C. Swig przepuścił nas przodem w dwuskrzydłowych drzwiach.

– Pokój piętnaście S – poinformował nas. Na korytarzu wciąż panował spory ruch; część pacjentów usunęła nam się z drogi. Swig nie zwracał na nich uwagi, wymijając ich żwawym krokiem. W połowie korytarza przystanął i zaczął szukać właściwego klucza w pęku. Z krótkich rękawów koszuli wyzierały muskularne, żyłaste przedramiona, godne robotnika, a nie urzędnika.

Podwójny rygiel strzegł wejścia do pokoju; nawet otwór do podawania jedzenie zamykany był na klucz.

– Piętnaście S – powtórzył Milo. – Stłumienie i powstrzymanie?

– Peake ich nie potrzebuje – przyznał Swig, bawiąc się jeszcze kluczami. – Ale izolatki są mniejsze, więc czasem umieszczamy w nich samotnych pacjentów. A Peake mieszka sam, gdyż jego higiena pozostawia zwykle sporo do życzenia.

Zaczął przeglądać klucze pojedynczo, aż wreszcie znalazł ten, którego potrzebował. Otworzył obie zasuwę. Zamek szczęknał i Swig uchylił drzwi na piętnaście centymetrów.

– Jest wasz – oznajmił, przymknąwszy je z powrotem.

Dwa na dwa metry, za to – w przeciwieństwie do korytarza – wysoki sufit, około trzech metrów. Pomieszczenie bardziej przypominało postawioną pionowo kwadratową rurę niż pokój mieszkalny.

Wysoko w ścianach osadzono grube, metalowe pierścienie, z których zwisały metalowe kajdany z łańcuchami, teraz podwieszono w górze niczym jakaś fiiturystyczna rzeźba.

Ściany wyłożono miękką, matową pianką i pomalowano na bladoróżowy kolor. Słabe rysy świadczyły o tym, że niełatwo zedrzyć tę okładzinę.

W pokoju panował półmrok, odrobina światła wpadała tylko przez maleńkie okienko z plastiku – niepozorny, stojący w pionie prostokąt, przedrzeźniający kształt pomieszczenia. Dwie okrągłe, wbudowane w sufit lampy o kloszach z grubego pleksi nie świeciły się. Nigdzie na ścianie nie było wyłącznika, światłem sterowało się tylko z zewnątrz, z korytarza. W jednym rogu pomieszczenia zainstalowano plastikową muszlę klozetową bez deski. Przycięte kawałki papieru toaletowego zaśmiecały całą podłogę.

Nie było tu żadnego mebla z prawdziwego zdarzenia – tylko dwie szuflady, odlane z jednego kawałka plastiku i wbudowane wprost w ścianę. Żadnych sprzętów.

Gdzieś spod sufitu sączyła się muzyka, przesycona słodkimi tonami smyczków i rykiem rogów – jakiś zapomniany przebój z lat czterdziestych, pisany w tonacji durowej i grany przez zespół, któremu nie chciało się grać.

Na cienkim materacu, przymocowanym na stałe do plastikowej platformy, siedział... Coś siedziało.

Mężczyzna był nagi od pasa w górę, miał skórę koloru maślanki, bezwłosą i poznaczoną błękitnymi żyłkami, i żebra tak wystające, że przywodziły na myśl ogryzionego indyka po Święcie Dziękczynienia.

Spodnie barwy khaki zwieszały się niczym worki na chudych nogach i naciągały na kolanach kościstych jak ręcznie rzeźbione laski do podpierania. Stopy miał bose i brudne, dawno nie przycinane paznokcie upodobiły się do brunatnych szponów. Był ostrzyżony na zero – chociaż i tak niewiele włosów rosnęło mu jeszcze na głowie – na policzkach zaś i na brodzie sterczał kilkunastu dniowy

czarny zarost.

Jego głowa miała dziwny kształt: szeroka u góry, spłaszczona w najwyższym punkcie, poznaczona żłobieniami, jakby jakieś dziecko przeciągnęło rozczapierzonymi palcami przez świeży kit. Znajdujące się pod sterzącymi łukami brwiowymi, osłonięte zszarzałymi powiekami oczy ginęły w przepastnych kraterach oczodołów. Pod sterzącymi kośćmi policzkowymi zaczynały się zapadnięte policzki, a dalej w dół twarz zwężała się gwałtownie, jak zbyt ostro zatemperowany ołówek.

W pokoju panował nieprzyjemny zaduch; cuchnęło skwaśniałym potem, odchodami, paloną gumą. Padliną.

Taneczna melodia w rytmie walca nie milkła ani na chwilę.

– Ardis? – rzekł Swig.

Peake nie podniósł głowy, schyliłem się więc, żeby zajrzeć mu w twarz. Drobne, zaciśnięte, jakby pozbawione warg usta nagle rozchyliły się i wysunął się spomiędzy nich koniuszek ciemnego jak krwista wątroba języka. Cofnął się i znów pojawił. Policzki nadęły się, sflaczały, a po chwili znów wypełniły powietrzem. Głowa opadła na lewą stronę, oczy zamknęły się, a usta otworzyły. Peake'owi brakowało większości zębów.

Swig podszedł bliżej i zatrzymał się niespełna metr od łóżka.

Peake opuścił głowę i otworzywszy oczy, wbił wzrok w posadzkę. Miał krótki, kościsty nos, jakby chrząstkę porastało bardzo niewiele ciała, złamany i skrzywiony w lewo. Twarz również przywodziła na myśl rzeźbę w kicie, tylko tym razem dziecko musiałoby kapryśnie przebierać paluszkami. Duże, prawie pozbawione płatków uszy sterzczały jak u nietoperza. Wąskie, żyłaste dłonie kończyły się zwinnymi jak macki palcami, obejmującymi teraz kurczowo kolana.

Peake wyglądał jak żywy szkielet. Gdzieś już widziałem taką twarz...

Znów wysunął język i zaczął kołysać się na boki, przekrzywiać głowę i spazmatycznie mrugać. Język poruszył się szybciej – wysunął, schował, jeszcze raz wysunął.

I nagle wargi jakby uległy spłaszczeniu i stały się dwuwymiarowe; pojawiły się wilgotne od śliny, czerwone usta i niczym szczelina rozcięły bladą, trójkątną twarz.

Peake otworzył je szeroko i wysunął język do końca – gruby, purpurowy, poznaczony plamami – przywodził na myśl nagiego ślimaka jaskiniowego. Znieruchomiał, zwinął się, poruszył na boki, a potem błyskawicznie zniknął w ustach.

Pojawił się jeszcze raz. I zniknął.

Peake pokiwał wolno głową na boki.

Przypomniałem sobie nagle, skąd znam tę twarz: z plakatu z reprodukcją „Krzyku” Edwarda

Muncha. Obraz przedstawia bezwłosego mężczyznę, który cierpiąc niewysłowione męki psychiczne, obejmuje dłońmi głowę. Peake mógłby być modelem Muncha.

Nie poruszył rękoma, za to cały jego tułów zachwiał się, wzdrygnął i już, już Peake przewróciłby się na bok, gdy drgawki ustały i usiadł prosto.

I spojrzał w naszą stronę.

Skoro zabił Ardullów w wieku dziewiętnastu lat, teraz musiał mieć trzydzieści pięć. Wyglądał jak starzec.

– Ardis? – powtórzył Swig.

Brak reakcji. Peake patrzył mniej więcej na nas, ale nie mogliśmy nawiązać z nim kontaktu. Zamknął oczy i przechylił głowę. Dalsze dwie minuty trwał osobliwy taniec dyskinetyczny.

Swig spojrzał na pacjenta z niesmakiem i machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: „Sami się o to prosiliście”.

Nie zwracając na niego uwagi, Milo zbliżył się do Peake’a. Ten zaczął się szybciej kołysać, oblizywał wargi, poruszał językiem. Drgnęły mu palce lewej stopy, potem zatrzepotał dłonią.

– Ardis, to ja, pan Swig. Przyprowaździłem ci gości.

Nic.

– Śmiało, detektywie.

Brak reakcji na „detektywa”.

Jeszcze raz schyliłem się, żeby być na poziomie twarzy Peake’a. Milo poszedł w moje ślady. Peake nie otworzył oczu; widzieliśmy tylko, jak gałki oczne poruszały mu się pod zszarzałą skórą. Piers miał bladą, gładką i pokrytą wągrami. Szare brodawki przypominały maleńkie kupki popiołu. Z bliska kwaśny odór potu i spalenizny wyraźnie się nasilał.

– Cześć – odezwał się Milo. Łagodna nuta w jego głosie aż mnie zaskoczyła.

Peake zareagował paroma tikami ręki i ruchami języka, potem przechylił głowę na ramię, podniósł prawą dłoń, utrzymał ją przez chwilę w powietrzu i ciężko opuścił.

– Cześć – powtórzył Milo. – Ardis.

Trzymał twarz dosłownie o dziesięć centymetrów od twarzy Peake’a. Ja też się przysunąłem; nieprzyjemny zapach wzmógł się, ale nie czułem ani śladu ciepła, jakie powinno buchać od ciała człowieka.

– Jestem Milo. Chciałem cię zapytać o doktor Argent.

Bezwolne ruchy Peake'a nie zmieniły się ani na jotę.

– Claire Argent, Ardis. To twoja lekarka. Jestem detektywem z wydziału zabójstw. Zabójstw, Ardis.

Nic, nawet najmniejszego świadomego drgnienia powiek.

– Ardis! – Milo podniósł głos.

Wciąż nic. Minęła dobra minuta, zanim Peake uchylił powieki – najpierw tylko trochę, potem na całą szerokość.

Jego oczy były jak czarne dziury z punkcikiem światła pośrodku; nie umiałbym odróżnić źrenicy od białka.

– Claire Argent – powtórzył Milo. – Doktor Argent. Złe oczy w pudełku. Oczy Ardisa się zamknęły. Zakolebał głową, językiem spróbował smaku powietrza. Tym razem drgnął mu palec u prawej stopy.

– Złe oczy – wyszeptał Milo.

Wyczułem w jego głosie napięcie i zdałem sobie sprawę, że bardzo musi się starać, żeby nie krzyczeć.

– „Złe oczy doktora A. w pudełku”, Ardis.

Dziesięć sekund. Piętnaście. Pół minuty.

– W pudełku, Ardis. Doktor Argent w pudełku.

Neuropatyczny balet Peake'a trwał, taki sam, jak na początku wizyty.

– Złe oczy – łagodnie powtórzył Milo.

Patrzyłem Peake'owi w oczy, starając się dostrzec w nich choćby iskierkę duszy – ale na próżno: wypełniała je bezdenna, pozbawiona światła czerń. Przyszło mi do głowy okrutne porównanie, jakiego używa się czasem na określenie choroby psychicznej: „nikogo nie ma w domu”.

Przed laty wymordował całą rodzinę – w pośpiechu, pożądliwie, niczym zesłana przez Boga plaga w ludzkiej skórze.

I wykuł oczy.

Jego oczy przypominały teraz dwa bulaje na statku płynącym donikąd.

Nikogo nie było w domu.

Jakby ktoś przeciął przewody, łączące ciało z duszą.

Peake znów gwałtownie wystawił język i otworzył usta, lecz nie dobył się z nich żaden dźwięk. Nie odrywałem od niego wzroku, usiłując wydrzeć mu jakąś odpowiedź na nasze wysiłki. Spojrzał przeze mnie na wylot... Chociaż nie, to byłby dla niego zbyt duży wysiłek.

On był tam, a ja tutaj. Zero kontaktu.

Żadnego z nas nie było naprawdę w pokoju.

Otworzył usta jeszcze szerzej, jakby zamierzał ziewnąć – ale zastygł w tej pozycji. Nie zamknął ich, gdy odchylił głowę do tyłu. Przypomniary mi się świeżo narodzone, ślepe gryzonie, które po omacku szukają matczynej sutki.

Z sufitu popłynęły dźwięki „Perfidii”, którą grano zdecydowanie zbyt wolno; ostentacyjne uderzenia perkusji zdawały się nie nadążać za kwaczącymi trąbkami.

– Doktor Argent, Ardis – spróbował jeszcze raz Milo, ciszej, ale z naciskiem. – Złe oczy w pudełku.

Arytmiczne, losowe ruchy dyskinetyczne nie słabły ani na chwilę. Swig przytupywał zniecierpliwiony.

Milo wstał, zatrzeszczało mu w stawach. Ja również się wyprostowałem i spojrzałem prosto na wiszący na ścianie łańcuch, złowrogo zwinięty, jak śpiący pyton.

W pokoju śmierdziało coraz bardziej.

Peake na nic nie zwracał uwagi.

„Brak zmian w zachowaniu”.

12

‘adowoleni? – zapytał Swig, gdy wyszliśmy z izolatki.

? – Może powinniśmy dać szansę Heidi? – zasugerował Milo.

– Pan żartuje.

– Niestety nie, panie Swig.

Swig pokręcił głową, ale skinął na pielęgniarza, stojącego po drugiej stronie korytarza.

– Zawołaj tu Heidi Ott, Kurt.

Kurt oddalił się, my zaś czekaliśmy na jego powrót otoczeni przez pacjentów. Albo więźniów, bo jaka to różnica? Wielu z nich miało objawy późnych dyskinez – drgawki, nie skoordynowane ruchy ust – chociaż nie tak poważne, jak Peake. Niektórzy sprawiali wrażenie, że doskonale wiedzą, co się dookoła nich dzieje, inni znów równie dobrze mogliby znajdować się na jakiejś obcej planecie. Idąc, szurali nogami w papierowych papuciach. Ubrania mieli całe w plamach od jedzenia.

Swig wszedł do dyżurki, zadzwonił gdzieś i zerknął na zegarek. Wrócił do nas w tej samej chwili, gdy podwójne drzwi rozchyliły się i na oddziale zjawiała się Heidi.

– Cześć, Heidi.

– Pan mnie wzywał?

– Uzyskawszy od ciebie pewne informacje, pan Sturgis usiłuje – bezskutecznie, jak dotąd – porozumieć się z Ardisem Peakiem. Ponieważ tobie się to już udawało, może spróbowałabyś jeszcze raz?

– Aleja...

– Nic się nie bój. Nikt nie kwestionuje twojego poczucia obowiązku. Chodzi tylko o to, żebyśmy rozwikłali tę sprawę.

– Ja...

– Jeszcze jedno, zanim do niego wejdiesz. Jesteś pewna, że Peake naprawdę coś powiedział? Wyartykułował słowa, zamiast jak zwykle pochrząkiwać?

– Tak, proszę pana.

– Co dokładnie powiedział?

Heidi opowiedziała mu pokrótce całe zdarzenie.

– Na dzień przed śmiercią doktor Argent?

– Zgadza się, proszę pana.

– Czy Peake wcześniej się do was odzywał?

– Nie mówił nic o doktor Argent.

– A co mówił?

– Niewiele, bełkotał tylko: tak, nie, czasem kiwnął głową, czasem burknął coś do siebie. Zadawałyśmy mu pytania. – Heidi poprawiła włosy. – Nic wielkiego. Tym bardziej zwróciłam uwagę, kiedy powiedział coś składnego.

– Śledziłyście jego postępy w rozwoju mowy.

– Tak, proszę pana. Doktor Argent miała nadzieję, że uda jej się wywołać u niego bogatsze reakcje werbalne i behawioralne w ogóle.

– Rozumiem... Miała jakieś powody, żeby tak się na tym koncentrować?

Heidi zerknęła na nas przelotnie.

– Panom już to mówiłam: Claire twierdziła, że to będzie wyzwanie.

Słaby chrobot, słyszalny od jakiejś chwili, nasilił się: to kilku pacjentów przydreptało bliżej, ale Swig jednym spojrzeniem osadził ich w miejscu. Cofnęli się, a wtedy on uśmiechnął się do Heidi.

– No to chyba może je pani podjąć.

Heidi weszła do izolatki sama, spędziła w niej dwadzieścia minut i wyszła, kręcąc głową.

– Jak długo mam próbować?

– Wystarczy – stwierdził Swig. – To był pewnie tylko przypadkowy, odosobniony incydent. Bełkot. Zdaje się, że Peake tak samo się zachowuje, kiedy jest sam w pokoju. W każdym razie dziękuję ci, Heidi; wracaj do pracy. Właściwie wszyscy wracajmy do pracy.

Kiedy opuszczaliśmy teren szpitala, Milo zagadnął mnie:

– Co, u licha, sprawia, że człowiek zmienia się w coś takiego?

– Jak znajdziesz odpowiedź, masz Nobla jak w banku.

– Ale to musi być kwestia biologiczna, prawda? Stres nie jest w stanie tak silnie działać.

Włączyłem klimatyzację, ale pot ściekał mu po nosie i skapywał na spodnie.

– Nawet w obozach koncentracyjnych ludzie rzadko wariowali pod wpływem cierpienia – przyznałem. – A schizofrenia występuje z tym samym prawdopodobieństwem od dwóch do czterech procent we wszystkich niemal społeczeństwach. Czynniki kulturowe decydują o tym, jak szaleństwo się przejawia, ale same go nie powodują.

– No to o co chodzi? Jakieś uszkodzenie mózgu? Genetyka?

– Do grupy najwyższego ryzyka zalicza się ludzi, którzy w rodzinie mieli kogoś chorego na schizofrenię, chociaż tylko maleńki procent takich ludzi rzeczywiście choruje. Poza tym schizofrenicy minimalnie częściej przychodzą na świat zimą i na wiosnę, kiedy w powietrzu jest podwyższone stężenie wirusów. Niektóre badania wskazują grypę w okresie płodowym jako możliwą przyczynę choroby, ale to wszystko spekulacje.

– Kurczę, może po prostu trzeba mieć pecha.

Milo otarł twarz chusteczką i wyjął z kieszeni cygaro. Odwinął je, włożył do ust, ale nie zapalił.

– Miałem dwie wariatki w rodzinie – powiedział. – Dwie zdziwaczałe ciotki, kuzynki matki. Szalona Letycja uwielbiała wypieki, prawie nie wychodziła z kuchni. Dzień w dzień piekła setki ciastek i ciasteczek. Doszło do tego, że wszystkie pieniądze wydawała na cukier i jajka, z czasem zaczęła się zaniedbywać i próbowała podkraść składniki do ciast sąsiadom. W końcu oddali ją do zakładu.

– To chyba bardziej mania niż schizofrenia – zauważyłem. – Próbowali podawać jej lit?

– To było całe wieki temu, Alex. Zmarła w zakładzie, udławiła się kolacją. Cóż za ironia losu, nieprawdaż? Druga była ciotka Renee: wałęsała się po okolicy, wyglądała jak siedem nieszczęść... Dożyła późnej starości i zmarła w państwowym domu opieki. – Milo parsknął śmiechem. Ależ mam drzewo genealogiczne!

– Mój kuzyn chorował na schizofrenię – odezwałem się.

Brett, syn brata mojego ojca, był o dwa lata starszy ode mnie. W dzieciństwie często się razem bawiliśmy. Był przeraźliwie ambitny i nagminnie oszukiwał. W college'u przeszedł przemianę z młodego republikanina w aktywistę SDS, studenckiego ruchu demokratów. Zanim skończył szkołę, stał się w niedomytym milczkiem i odludkiem i raz po raz trafiał do więzienia za narkotyki. Potem na pięć lat zniknął bez śladu, aż wreszcie skończył w domu opieki w Iowa. Przypuszczałem, że wciąż żyje, chociaż od ponad dwudziestu lat nie miałem z nim kontaktu. Nasi ojcowie nigdy nie byli sobie zbyt bliscy...

– Sam widzisz. Jesteśmy skażeni – stwierdził Milo. – Nadajemy się do Starkweathera.

– Starkweather jest dla wybrańców.

– Małych, wściekłych wariatów. Dlaczego obłąkani zachowują się tak agresywnie?

– Znów pytanie warte Nobla. Główne powody to chyba alkohol, narkotyki i mocno zakorzeniony system urojeń, niekoniecznie paranoja. Psychotyczni mordercy zwykle nie zabijają po to, żeby się przed czymś bronić. Kierują się urojeniami, najczęściej natury religijnej lub paranormalnej – toczą wojnę z szatanem albo ufoludkami.

– Ciekawe, jaką misję miał Peake?

– Bóg jeden wie. Wiemy, że pił, wachał klej i brał amfetaminę. Może widział w Ardullach krwiożercze modliszki z Plutona, a może eksplodowały tłumione przez dziewiętnaście lat i zdeformowane impulsy seksualne. Albo w mózgu nastąpiło nagle krótkie spięcie. Nie wiadomo, dlaczego psychotycy nagle zaczynają zabijać.

– Znakomicie. To znaczy, że roboty mi nie zabraknie.

– Pod pewnymi względami przypadek Peake'a jest typowy. Schizofrenia objawia się gwałtownie najczęściej u młodych dorosłych, a on już na długo przed tym wyskokiem wykazywał objawy osobowości schizotypowej – to taka naukowa nazwa dziwactwa: niezbyt rozbawiony, nieprzystosowany do życia w społeczeństwie, zaniedbany, dziwnie się zachowywał. Jedni ekscentrycy dalej się nie posuwają, u innych rozwija się klasyczna schizofrenia.

– Dziwactwo – powtórzył Milo. – Przejdź się, człowieku, po parku albo wyjdź z restauracji, to dopiero spotkasz dziwnych gości, którzy żebrzą o drobne. Jak poznać, który z nich pewnego dnia zacznie biegać z tasakiem po mieście?

Nie odpowiedziałem, a Milo po chwili mówił dalej:

– Jeżeli Peake w ogóle kiedyś spójnie myślał, musiał być w o niebo lepszym stanie niż dzisiaj.

– Pewnie masz rację, chociaż niewykluczone, że pod zasłoną dyskinez wciąż przebiegają jakieś procesy myślowe.

– Co to właściwie są te dyskinezy?

– Opóźniona reakcja uboczna na tioridazyne.

– Ustępuje po odstawieniu?

– Nie, co najwyżej nie pogarsza się.

– A Peake nadal jest wariatem. Na co mu właściwie tioridazyne?

– Neuroleptyki pozwalają trochę kontrolować urojenia, halucynacje i różne dziwne zachowania, tak zwane pozytywne objawy schizofrenii. Objawów negatywnych – czyli ograniczenia mowy, apatii, kłopotów z koncentracją – nie da się zwykle w ten sposób ograniczyć. Leki nie zwrócą czegoś, czego w człowieku nie ma.

– I dostajemy dobrze wychowane warzywko.

– Peake jest w dodatku przypadkiem skrajnym, przypuszczalnie dlatego, że zaczynał z bardzo niskiego pułapu intelektualnego. Dyskinezy ma poważne. Ale z drugiej strony, wcale nie dostaje jakiejś końskiej dawki tioridazyny. Mimo tego, co mówił nam Dollard o szprycowaniu pacjentów, Peake jest nadal na pięciuset miligramach, czyli w normie. Podejrzewam, że nie muszą go bardziej łądować, bo nie sprawia kłopotów. W sensie psychologicznym prawie nie istnieje.

Milo wyjął cygaro z ust i przytrzymał je palcami wskazującymi.

– Czy gdyby odstawić mu tioridazynę, zacząłby więcej mówić?

– Niewykluczone. Równie dobrze mógłby jednak do reszty się posypać, może nawet znów zareagować agresywnie. Nie zapominaj, że rozmawiając z Heidi był na lekach, czyli w takim stanie też potrafi mówić. Dalej poważnie traktujesz to pudełko?

– Nie... Po prostu nie mogę przestać o tym myśleć. Kurczę blade, może to ja mam omamy, a Peake jest prawdziwym prorokiem, który jedyny wie, że szatan napuścił na nas modliszki z Plutona?

– Szatan w istocie mógłby tak zrobić, ale dlaczego miałby coś mówić Peake'owi?

Milo zaśmiał się, włożył cygaro do ust.

– „Złe oczy doktor A. w pudełku”.

– Możemy się domyślać, że Claire próbowała z nim rozmawiać o morderstwie, którego dokonał, i obudziła jakieś wspomnienia. Pudełko zaś jest tylko symbolem jego własnego uwięzienia albo czegoś jeszcze innego. Albo w ogóle nic nie znaczy.

– Dobra, dobra, wystarczy. – Schował cygaro do kieszeni. – Wracamy do punktu wyjścia: trzeba sprawdzić finanse Claire i Stargilla, jeszcze raz przekopać się przez akta Richarda... Setny raz, ale zawsze mogłem coś przegapić. Jeżeli nie masz jakiegoś urwania głowy, to odwiedź u doktora Theobolda w okręgowym byłyby niegłupim pomysłem, nie uważasz? Mamy szansę, że któryś z nas znajdzie coś, co chociaż z grubsza przypominałoby poszlakę. – Uśmiechnął się. – Bez niej musiałbym się zadowolić barwnymi urojeniami.

Zadzwoiłem do biura doktora Theobolda i umówiłem się na spotkanie następnego ranka, kwadrans po dziesiątej. Za piętnaście dziesiąta jechałem już najszybszym pasem Dziesiątej Wschodniej. Cierpliwie zniosłem pełzanie do wielopoziomowego skrzyżowania i w ślad za smogiem skierowałem się do San Bernardino. Kilka ramp dalej zjechałem na Soto Street we wschodniej części miasta, minąłem kostnicę okręgową i podjechałem pod główną bramę buroszarego molocha, czyli szpitala okręgowego.

Wiecznie niedofinansowany i nadmiernie obciążony szpital jest swoistym cudem świata. Zmęczonym i biednym zapewnia pierwszorzędną opiekę medyczną; obłąkani i zagubieni znajdują w nim bezpieczną przystań. Byłem w nim stażystą, czasem udzielałem się na seminariach, ale od dobrych dwóch lat moja noga nie postąpiła na jego terenie. Na pierwszy rzut oka niewiele się zmieniło. Ujrzałem to samo zbiorowisko brzydkich, przysadzistych budynków, te same tłumy ludzi w lekarskich kitlach, takich samych chorych w wolno posuwających się kolejkach.

Był to jeden z tych gorących dni, gdy niebo jest zachmurzone i wszędzie panuje atmosfera rozkładu, ale po Starkweatherze okręgowka wyglądała świeżo i kwitnąco.

Gabinet Theobolda znajdował się na drugim piętrze w bloku czwartym, w jednym ze sterczących od tyłu kompleksu aneksów, które sprawiały wrażenie, jakby zapomniano o nich podczas budowy i dostawiono je później. Oszłomieni ludzie w rozciętych na plecach piżamach snuli się smętnie po wyłożonych białymi płytkami korytarzach. Dwie pielęgniarki z ponurym wyrazem twarzy prowadziły do drzwi otyłą Murzynkę, która miała do obu rąk podłączone kroplówki. Łzy na jej twarzy zastygły jak krople rosy na asfalcie. Sądząc po odgłosach, gdzieś za rogiem ktoś wymiotował. Z umieszczonych w suficie głośników sączyły się recytowane beznamiętnie nazwiska.

Sekretarka Theobolda siedziała w pokoiku niewiele większym od pokoiku Peake'a, w otoczeniu metalowych szafek na akta. Wypchany Garfield ścisnął kurczowo uchwyt jednej z szuflad. Po drugiej stronie biurka stało puste krzesło, na blacie zaś zastałem karteczkę: „Zaraz wracam”.

Theobold musiał słyszeć, jak wchodziłem, gdyż zaraz wychylił się zza drzwi do gabinetu.

– Pan Delaware? Śmiało, zapraszam.

Poznałem go przed kilku laty i od tego czasu prawie się nie zmienił. Wyglądał na sześćdziesiąt parę lat, był średniego wzrostu i przeciętnej budowy, miał jasne, siwiejące włosy, siwą brodę, olbrzymi nos i blisko rozstawione brązowe oczy. Nosił okulary podobne do lotniczych gogli. Ubrany był w herbacianej barwy sportową marynarkę w jodełkę, z dużymi klapami, beżową kamizelkę w niebieską kratkę, białą koszulę i błękitny krawat.

Wszedłem za nim do gabinetu. Był powszechnie szanowanym neurochemikiem i zajmował stanowisko kierownika kliniki psychiatrycznej, ale jego pokój ledwie przewyższał rozmiarami kłitkę przeznaczoną dla sekretarki. Zastawiono go przypadkowo dobranymi szafkami na akta

i lakierowanymi na brązowo, metalowymi meblami, które ktoś inny chyba wyrzucił przy zmianie wystroju własnego biura. Wszędzie leżało mnóstwo książek. Próba ożywienia wnętrza przez położenie na podłodze podróbki dywanu Indian Navajo spełzła na niczym – i to jakiś czas temu: nitki rozsnuwały się, a kolory szybko blakły. Na blacie kłębiła się istna burza papierów.

Theobold wcisnął się za biurko, ja zaś zająłem jedno z dwóch metalowych krzeseł. Dywan trochę się przy tym pomarszczył.

– Kawał czasu – rzekł. – Wciąż jest pan pracownikiem naukowym, prawda?

– Tylko tytularnym. Nie pobieram pensji.

– Jak dawno osiadł pan na dobre w L. A.?

– Przed paru laty – odparłem. Zmarszczki na twarzy Theobolda pogłębiały się przy każdym uśmiechu. – Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać.

– Ależ nie ma za co. – Rozgarnął papiery leżące przy telefonie. – Nie wiedziałem, że prowadzi pan tak interesujące życie: konsultant policyjny. Dobrze płacą?

– Mniej więcej tak samo, jak Medi-Cal.

Parsknął śmiechem.

– Co poza tym? Nadal udziela się pan w Western Peds?

– Sporadycznie. Udzielam konsultacji, głównie dla prawników. Trafiło mi się kilka przypadków terapii krótkoterminowych.

– Zadaje się pan z pozarządowymi organizacjami zdrowotnymi?

– Unikam ich jak ognia.

Pokiwał głową.

– Sprowadza pana do mnie sprawa biednej Claire. Przypuszczam, że ten policjant sądził, iż odkryję przed panem sekrety, które przed nim postanowiłem zataić, ale naprawdę nie mam nic do dodania.

– Chyba uznał, że lepiej będę wiedział, jakie zadawać pytania.

– Rozumiem. Uparty gość z tego Sturgisa. I bardziej cwany, niż można by sądzić. Próbował mnie rozbroić, grając na mojej świadomości klasowej: „Ja jestem zwykły glina z klasy pracującej, a pan – wielki doktor”. Ciekawe podejście. Działa?

– Statystyki Milo ma niezłe.

– To i dobrze... Sęk w tym, że marnował na mnie swój talent, bo ja niczego nie przemilczałem. Nie mam żadnych szczegółowych informacji o Claire. Znam ją jako naukowca, nie osobę prywatną.

– Wszyscy się o niej tak samo wyrażają.

– No to przynajmniej nie odbiegam od normy. Nikt wam nic ciekawego nie podsunął?

Pokręciłem przecząco głową.

– Myślę, że w tym wypadku to kwestia mojej natury, tego jak prowadzę szpital.

– Co pan ma na myśli?

– Lubię uważać się za dyrektora z ludzką twarzą. Wynajmuję dobrych ludzi, wierzę, że chcą rzetelnie pracować, i nie mieszam się do ich spraw. Nie interesuje mnie ich życie prywatne, nikomu nie matkuję.

Umilkł, jakby czekał na moją ocenę takiego postępowania.

– Claire pracowała dla pana przez sześć lat – zauważyłem. – Musiało jej się tu podobać.

– Tak sędzę.

– Jak ją pan znalazł?

– Złożyłem podanie o przyznanie funduszu, a ona zgłosiła się na stanowisko neuropsychologa. Robiła właśnie habilitację na Case Western, publikowała już od czasów studenckich – i to samodzielnie... Nic oszałamiającego, ale brzmiało zachęcająco. Jej zainteresowania, czyli działanie alkoholu i badanie czasu reakcji, dobrze pasowały do moich, a alkoholików u nas nie brakuje. Miałem nadzieję, że sama zdobędzie dalsze fundusze na badania, i tak też się stało.

Na razie nie mówił nic nowego; wszystko to już wyczytałem w życiorysie Claire.

– Pracowała więc z panem, a zarazem prowadziła własne eksperymenty.

– Poświęcała na nie ćwierć etatu w szpitalu. Resztę zajmowały jej prowadzone pod moim nadzorem długofalowe badania działania neuroleptyków, finansowane przez Instytut Zdrowia Psychicznego: trzy doświadczalne leki plus placebo, podwójnie ślepa próba. Przeprowadzała testy wśród pacjentów, pomagała zbierać i archiwizować dane. Właśnie przedłużyłem jej kontrakt na następne pięć lat. A teraz już przyjąłem nowego człowieka na jej miejsce: Waltera Yee, bystrego chłopaka ze Stanforda.

– Kto jeszcze uczestniczył w tych badaniach?

– Poza Claire? Trzy osoby: dwoje lekarzy i doktor farmakologii.

– Przyjaźniła się z nimi?

– Nie wiem. Mówiłem już, że nie wnikam w życie osobiste podwładnych. Przy takiej współpracy nie spotykamy się raczej po godzinach.

– Przedłużyliście umowę na następne pięć lat... – powtórzyłem. – Czyli nie miała powodów natury finansowej, żeby stąd odejść.

– W żadnym wypadku. Myślę, że mogła równoległe wznowić własne badania. Miała pieniądze z Narodowego Instytutu Zdrowia na prace nad nałogami, a przed odejściem zakończyła program. Wyniki nie były może jednoznaczne, ale prowadziła go rzetelnie. Później jednak nie starała się o wznowienie. – Theobold podniósł wzrok. – Słowem się nie zająknęła, że zamierza porzucić tę robotę po wygaśnięciu kontraktu.

– Czyli już od dawna zamierzała odejść.

– Na to wygląda. Zdenerwowałem się na nią, że chce zostawić te badania i że wcześniej mnie nie zawiadomiła. Byłem też wściekły na siebie, że nie trzymałem ręki na pulsie. Gdyby przyszła z tym do mnie, mógłbym pewnie dać jej cały etat u siebie albo znaleźć coś innego. Nie miałem zastrzeżeń do jej pracy – była solidna, żadnych skarg. Doktora Yee ściągnąłem właśnie na pełny etat, ale jej to nie interesowało... Chyba ma pan rację, chciała stąd odejść. I nie mam pojęcia dlaczego.

– Na nic się nie skarżyła, tak?

– Nigdy. Nawet kiedy poinformowała mnie o zamiarze odejścia, nie spotkaliśmy się osobiście. Przesłała mi podsumowanie danych i wniosków z adnotacją, że wraz z zakończeniem badań kończy się nasza współpraca.

Przyszło mi na myśl, że podobnie zakończyła małżeństwo ze Stargillem.

– Z kim współpracowała przy własnych badaniach?

– Od czasu do czasu brała dorywczo sekretarkę z personelu, ale poza tym sama wszystko prowadziła i analizowała dane. To też mnie irytowało. Na pewno mogła ubiegać się o dodatkowe fundusze i ściągnąć więcej pieniędzy na oddział, ale zawsze wolała pracować sama. Chociaż chyba powinienem jej być za to wdzięczny; sama martwiła się o siebie i nie zwracała mi głowy. Najgorsze, co mogłoby mi się trafić, to prowadzić kogoś za rączkę. Niemniej jednak... Chyba powinienem był zwrócić na nią baczniejszą uwagę.

– Była samotnikiem.

– Jak wszyscy w mojej grupie. Nie sądziłem, że będę sobie dobierał same nietowarzystkie typy, ale może na jakimś poziomie... – Theobold uśmiechnął się szeroko. – A wie pan, że zaczynałem jako psychoanalityk?

– Nie, naprawdę?

– Naprawdę. Klasyczna psychoanaliza, jak z Freuda, z kozetką i tak dalej. Kiedyś i ona – tu pogładził się po brodzie – wyglądała bardzo freudowsko. Po praktykach w szpitalu szkoliłem się

w instytucie psychoanalitycznym. Doszedłem do połowy, czyli spędziłem ładne kilkaset godzin, ćwicząc uczone pochrząkiwania, zanim zdałem sobie sprawę, że to nie dla mnie. W ogóle nie dla ludzi, może poza Woodym Allenem, ale wszyscy wiemy, w jakim on jest stanie. Rzuciłem więc instytut i poszedłem na studia doktoranckie z biochemii na Uniwersytecie Kalifornii Południowej. Z pewnością wybory, których dokonywałem, mają głęboki sens psychodynamiczny, ale wolę nie tracić czasu na ich rozgryzanie. Claire wydała mi się podobna: skoncentrowana na rzeczywistości, oddana nauce, opanowana. Ale musiało jej u nas być bardzo źle.

– Dlaczego tak pan mówi?

– Żeby odejść do takiego miejsca, jak Starkweather... Był pan tam?

– Wczoraj.

– Jak to wygląda?

– Precyzyjna organizacja, dużo leków, wysokie dawki...

– Nowy wspaniały świat... Nie rozumiem, co Claire w nim widziała.

– Może marzyła o pracy klinicznej.

– To nonsens – zaproponował ostro Theobald, po czym dodał z przepaszającym uśmiechem: – To znaczy, jeśli chciała zostać klinicystką, u nas takiej pracy jest pod dostatkiem. Coś jednak chyba przeoczyłem.

– Czy mógłbym porozmawiać z innymi uczestnikami jej programu?

– A czemu by nie? Walt Yee, rzecz jasna, jej nie znał... Myślę, że Shashi Lakshman również nie. To farmakolog, jego laboratorium znajduje się w innym budynku. Ale miała pewnie jakiś kontakt z lekarzami – Mary Hertzlinger i Andym Yelmanem. Pozwoli pan, że zadzwonię najpierw do Shashiego.

Po kilku sekundach rozmowy było już jasne, że doktor Lakshman nawet nie widział Claire. Zeszliśmy więc po schodach na pierwsze piętro, do laboratorium, gdzie Velman i Hertzlinger siedzieli przy komputerach.

Oboje psychiatrzy byli po trzydziestce i mieli na sobie lekarskie kitle. Mary Hertzlinger nosiła pod kitlem krótką brązową sukienkę. Była szczupła, miała krótko ścięte, platynowoblond włosy, skórę bladą jak kość słoniowa i pełne, choć spierzchnięte wargi. Andrew Velman zapiął kitel pod szyją, tak że widziałem tylko kołnierzyk czarnej koszuli i węzeł cytrynowego krawata. Facet był niski i barczysty, miał falujące, czarne włosy i złoty sztyfcik w lewym uchu.

Zapytałem ich, co wiedzą o Claire.

Velman pierwszy zabrał głos:

– Była mi kompletnie obca. – Wyraźnie, ostro wymawiał słowa. – Pracowałem z nią dwa lata i przez ten czas wymieniliśmy może ze dwadzieścia zdań. Zawsze była zbyt zajęta, żeby się z kimś kolegować. Poza tym ja przeprowadzałem strukturalne wywiady kliniczne, a ona testy neuropsychologiczne, więc nigdy nie pracowaliśmy wspólnie z jednym pacjentem.

– Czy nie mówiła panu, dlaczego chce odejść stąd i przenieść się do Starkweathera?

– Nie, nawet nie wiedziałem, że tam pracuje, dopóki Mary mi nie powiedziała. – Zerknął na Mary Hertzlinger, Theobold zresztą również.

Przytrzymując jedną ręką rozchylający się kitel, lekarka powiedziała:

– Poinformowała mnie na kilka dni przed odejściem. – Miała niski, miły głos. – Piętro niżej miałam taki maleńki gabinecik, a ona zapytała, czy nie chciałabym przejąć pokoju po niej. Obejrzałam go, zgodziłam się, a potem pomogłam jej wynieść parę pudełek do auta. Mówiła mi, że pieniądze z funduszu się skończyły i że nie starała się o jego przedłużenie. Napisała tylko notkę dla doktora Theobolda.

– Podała ci jakiś powód odejścia, Mary? – spytał Theobold.

– Nie.

– A w jakim była wtedy nastroju? – wtrąciłem.

– Spokojna, nie denerwowała się, nie martwiła... Tak, spokojna i zdecydowana, jakby planowała taki krok od dłuższego czasu i zdążyła się z nim pogodzić.

– Uznała, że czas zmienić otoczenie – podpowiedział Velman.

– Znała ją pani bliżej?

Hertzlinger pokręciła głową.

– To było tak samo, jak z Andym. Prawie się nie kontaktowaliśmy. Ja pracuję tu dopiero od roku. Spotykałyśmy się czasem w stołówce na kawie – wszystkiego trzy, może cztery razy. Nie jadałyśmy razem lunchu. Co tam, nigdy nie widziałam, żeby w ogóle jadła lunch. Czasem, wychodząc do stołówki, przechodziłam obok jej pokoju i widziałam, że siedzi przy biurku i pracuje. Myślałam sobie nawet, że imponuje mi etyką zawodową i że musi być bardzo produktywna.

– A te kilka spotkań przy kawie... – zainteresowałem się. – O czym rozmawiałyście?

– O pracy, o zebranych danych... Kiedy się dowiedziałam, co ją spotkało, uświadomiłam sobie, że tak niewiele o niej wiem. To jakiś absurd. Czy policja kogoś podejrzewa?

– Jeszcze nie.

– Straszne.

– To musiało mieć coś wspólnego ze Starkweatherem – wtrącił Velman. – Wystarczy spojrzeć, jakimi pacjentami się zajmowała.

– Kłopot w tym, że pacjenci ze Starkweathera nie wychodzą na wolność – zauważyłem.

– Nigdy?

– Tak twierdzi dyrekcja.

Velman zmarszczył brwi.

– Czy mówiła państwu, że zamierza tam pracować? – spytałem.

Velman pokręcił głową, Hertzlinger zaś przytaknęła:

– Mnie tak. Wtedy jak wynosiłyśmy pudełka. Zdziwiłam się, ale nie wypytywałam jej; po prostu taka była i już. Z nią się człowiek nie mógł zaprzyjaźnić.

– Czy mówiła, dlaczego to robi?

– Właściwie nie. Powiedziała tylko coś... niezwykle, jak na nią, żartobliwego. Załadowałyśmy pudła do samochodu, podziękowała mi, życzyła powodzenia, a potem się uśmiechnęła, tak jakos z zadowoleniem.

– To było takie zabawne? – zdumiał się Theobald.

– Właśnie. Powiedziałam coś w tym stylu, że to miło, że będzie mogła realizować swoje plany. A ona na to: „Nie chodzi o radość z realizacji planów, Mary. Tylu szaleńców i tak niewiele czasu”.

Tak jej się cholernie spieszyło, żeby pracować z psychotykami? – zdziwił się Milo.

Było południe. Staliśmy obok mojego samochodu zaparkowanego naprzeciwko posterunku West L. A.

– Psychotyków miała pod dostatkiem w szpitalu okręgowym – zauważyłem. – Chodziło jej raczej o prawdziwych szaleńców.

– Ale dlaczego? Żeby wycisnąć z nich następne parę sylab? Do diabła z tym, na razie powinienem się skoncentrować na nudniej szych rzeczach. Namierzyłem jej skrytkę bankową. Machając świadectwem zgonu, doprowadziłem nawet do tego, że dali do niej zajrzeć. – Nie znalazłem pieniędzy, narkotyków, amatorskich filmów porno, świńskich listów od zaprzyjaźnionych psycholi... Nic. Jeżeli prowadziła podwójne życie, to świetnie się z tym maskowała.

– Chyba powinniśmy cofnąć się dalej w przeszłość: szkoła średnia, okres przed przeprowadzką do Los Angeles. Mógłbym pogadać z kimś z Case Western.

– To niezły pomysł, ale na jutro zaplanowałem coś ciekawszego. Rodzice Claire przylatują dziś nocnym samolotem. Mam z nimi randkę o ósmej rano w kostnicy. Nie muszą identyfikować ciała, próbowałem im więc to wyperswadować, ale uparli się przy swoim. Po tej zabawie spróbuję gdzieś z nimi usiąść i pogadać. Dam ci znać. To będzie pewnie jakoś pod wieczór.

Minęło nas paru młodszych funkcjonariuszy. Milo odprowadził ich wzrokiem, spojrzął na dach seville'a, strzepnął pyłek z plastikowej teczki.

– Lektura akt Richarda dała mi do myślenia. Wydawało mi się, że są grubsze, ale rozmawiałem tylko z jego rodzicami, właścicielką mieszkania, które wynajmował, i obsługą restauracji, w której pracował. Nie ma żadnego wpisu w rubryce „znajomi, przyjaciele”. Czegoś ci to nie przypomina? Próbowałem jeszcze raz zlokalizować tę wytwórnię filmową, w której prawdopodobnie był na castingu, Thin Line. Bez skutku. A wydawałoby się, że nawet najmniejsza taka firemka zostawi jakiś ślad.

– Czemu tak się uczepliłeś tego filmu?

– Przy budowie dekoracji zatrudnia się stolarzy, nie? A ci mają wszelkie możliwe narzędzia, w tym również piły.

– A w restauracjach trzymają mnóstwo noży.

– Może do restauracji też jeszcze wrócę.

– Jest jedna rzecz, którą trzeba sprawdzić w kwestii Thin Line – zauważyłem. – Nawet najmniejsza wytwórnia potrzebuje sprzętu, a mała firma prędzej coś wypożyczy, niż kupi. Proponuję

sprawdzić firmy, które zajmują się wypożyczaniem aparatury.

– Świetny pomysł – zgodził się ze mną Milo. – Dziękuję panu. – Parsknął śmiechem. – W innej sprawie ani przez chwilę nie traktowałbym tego filmu poważnie. Tym razem jednak... Ofiary nie można winić, Alex, ale wydaje mi się nieprawdopodobne, żeby któreś z nich z kimś się związało.

Chciałem jeszcze raz przejrzeć życiorys Claire, więc razem poszliśmy na posterunek i udaliśmy się na piętro. Milo przyniósł mi pudło z rzeczami zabranymi z jej domu. Nie wprowadził ich na razie na listę dowodów rzeczowych, co oznaczało, że sam chce jeszcze się z nimi zapoznać. Zostawił mnie i poszedł po kawę.

Życiorys – starannie wydrukowany i spięty zszywką – znalazłem w samym środku sterty papierów. W rubryce „stan cywilny” widać było ślady korektora. Urodziła się w Pittsburghu i mieszkała tam aż do ukończenia college’u, kiedy to przeniosła się do Cleveland na Case Western.

Dzieciństwo spędziła tysiące kilometrów od rodzinnych stron Richarda Dady i szansa znalezienia tu jakiegoś wspólnego punktu zaczepienia była bliska zeru.

Grzebałem dalej, aż znalazłem pierwszą publikację Claire – wyniki studenckich badań, które takie wrażenie zrobiły na Myronie Theoboldzie. Rzeczywiście, opublikowała je samodzielnie i tylko u dołu pierwszej strony drobnym drukiem załączyła podziękowania: „Funduszowi absolwenckiemu Case Western za materiały i analizę danych; moim rodzicom, Ernestine i Robertowi Rayowi Argentom, za niesłabnące wsparcie przez cały okres nauki; mojemu opiekunowi naukowemu, profesorowi Harry’emu I. Racanowi, za cenne wskazówki”.

Pierwsza po południu w Los Angeles odpowiadała czwartej w Cleveland. Wykręciłem 216 na telefonie Mila, łącząc się z biurem numerów; żaden z siedzących w pobliżu policjantów nie przejął się specjalnie tym, że cywil swobodnie korzysta z ich sprzętu. Spytałem o numer wydziału psychologii na Case Western, po czym zadzwoniłem tam i poprosiłem o profesora Racano.

– Przykro mi – odpowiedziała mi jakaś kobieta. – Nikt taki u nas nie pracuje.

– Przed kilkunastu laty wykładał u państwa.

– Proszę poczekać, sprawdzę w naszej książce telefonicznej. – Minęła dłuższa chwila. – Nie, proszę pana, nie mam takiego nazwiska ani na aktualnej liście, ani wśród profesorów emerytowanych.

– Może mnie pani przełączyć do kogoś, kto pracował na wydziale jakieś dziesięć lat temu.

Na moment zapadła cisza, a potem usłyszałem:

– Proszę zaczekać.

Tym razem upłynęło dobre kilka minut, zanim odezwał się inny kobiecy głos:

– Czy mogę zapytać, o co panu chodzi?

– Dzwonię z posterunku policji w Los Angeles. – W sensie dosłownym nie kłamałem. – Jedna z państwa absolwentek, doktor Claire Argent, została zamordowana. Próbujemy właśnie znaleźć jakichś jej znajomych w Cleveland.

– Och... Zamordowana... Boże, to straszne... Argent. Przykro mi, jestem tu dopiero od sześciu lat, musiała skończyć studia wcześniej... To okropne. Zaraz sprawdzę. – Dobiegł mnie szelest przekładanych papierów. – Tak, mam ją w spisie absolwentów. Mówił pan, że jej opiekunem był profesor Racano?

– Zgadza się, proszę pani.

– Przykro mi to mówić, ale profesor również nie żyje. Zmarł na raka krótko po tym, jak zaczęłam tu pracować. Był takim miłym człowiekiem; zawsze dużo pomagał swoim studentom.

Sam fakt, że tolerował samodzielną publikację Claire, świadczył wyraźnie o pogodnej naturze.

– Czy jest na wydziale ktoś, kto mógł znać doktor Argent, pani...

– Bausch. Nazywam się Bausch. Prawdę mówiąc obawiam się, że mało kto siedzi jeszcze w pracy. W głównym audytorium mamy konferencję; jeden z naszych profesorów dostał właśnie jakąś nagrodę. Mogę się rozejrzeć i oddzwonić, jeśli to coś pomoże.

– Byłbym pani bardzo zobowiązany. – Podałem jej nazwisko Sturgisa. Ledwie wyłączyłem telefon, ten znów zadzwonił. Nie widząc Mila nigdzie w pobliżu, odebrałem:

– Biuro detektywa Sturgisa, słucham.

– Chciałabym zostawić wiadomość... – zabrzmiał znajomy głos.

– Heidi? Mówi doktor Delaware.

– Och... Witam, niech pan posłucha... Przepraszam, że nie udało mi się dziś nic z Peake'a wyciągnąć.

– Nie ma sprawy.

– Nie zyskałam też specjalnie w oczach Swiga, bo kiedy panowie już sobie poszliście, wezwał mnie do gabinetu i przerabialiśmy wszystko od nowa: co Peake powiedział, kiedy, czy jestem pewna i tak dalej.

– Przepraszam, że sprawiliśmy ci tyle kłopotu.

– Fajnie by było, gdybym mogła udowodnić, że się nie mylę... Nieważne. Dzwonię do pana Sturgisa, żeby mu powiedzieć, że za parę tygodni odchodzę ze Starkweathera, ale gdybym mogła jeszcze w czymś być pomocna, proszę dać znać.

– Dziękuję, Heidi. Przekażę mu to.

– Pan naprawdę tam pracuje? Na posterunku?

– Nie, tak po prostu wpadłem.

– Brzmi ciekawie... Popróbuję jeszcze z Peakim, może coś uda mi się od niego wyciągnąć.

– Nie ryzykuj bez potrzeby.

– Z Ardisem? Sam pan widział, w jakim jest stanie; trudno powiedzieć, żeby był groźny. Zresztą zachowam czujność... Myśli pan, że Claire przydarzyło się właśnie coś takiego? Za dużo zaryzykowała?

– Nie mam pojęcia.

– Nie mogę przestać o niej myśleć, o tym, co się z nią stało. To takie dziwne, że coś w ogóle mogło ją spotkać.

– Co masz na myśli?

– Sprawiała wrażenie jednej z tych osób, które żyją szczęśliwe we własnym świecie i cieszą się, że mogą być same. Jakby nikogo nie potrzebowała.

Zadzwoiłem jeszcze do domu. Robin gdzieś wyszła, więc czekała mnie już tylko papierkowa robota: musiałem przygotować raporty w sprawach o opiekę, które już się rozstrzygnęły. Wysłuchałem własnego głosu z automatycznej sekretarki i zostawiłem wiadomość, że wrócę o piątej.

Porozmawiałem sam ze sobą.

Dać psychotykowi telefon komórkowy, a będzie mógł udawać, że jest normalny.

Nie mogłem się otrząsnąć z wrażenia, jakie zrobiło na mnie spotkanie z Ardisem Peakiem.

Potwór.

Jakoś nie umiałem połączyć tej milczącej, wymizerowanej istoty z człowiekiem, który potrafił wymordować całą rodzinę.

Cóż za doskonałe uzasadnienie istnienia zhierarchizowanej instytucji pana Swiga.

Co sprawia, że człowiek zmienia się w coś takiego?

Zrobiłem Milowi skrócony wykład, on zaś okazał się na tyle łaskawy, że się nie skarżył, ale prawdziwej odpowiedzi nie znałem. Nikt jej nie zna.

Znów wróciłem myślami do Claire i jej pomysłu z przejściem do Starkweathera. I do Peake'a, którym zainteresowała się wkrótce po objęciu posady. Co takiego ją w nim pociągało? Miała przecież w czym wybierać.

Drugi problem, który nie dawał mi spokoju, to fakt wyłupienia przez Peake'a oczu córeczce Ardułłów. Czy nie za bardzo się pospieszyłem, lekceważąc jego bełkot i grożące Heidi niebezpieczeństwo?

A może było inaczej, prościej: Claire dowiedziała się o wyklutych oczach, próbowała z nim o tym porozmawiać i obudziła jakieś uczucia: podniecenie, poczucie winy, okrutną tęsknotę?

Złe oczy w pudełku. Czy chodziło o trumnę? Obraz martwego dziecka w umyśle Peake'a. Czy chciał jeszcze raz przeżyć zbrodnię, pożywić się wspomnieniami, jak zabójcy na tle seksualnym?

Wszystko sprowadzało się do tego, że musiałem dowiedzieć się czegoś więcej o Claire; na razie nie potrafiłem schwytać jej ducha.

Żadnych związków, żadnych znajomych... Nic nie mogło przedrzeć się do jej świata.

Z kolei Ardis Peake swego czasu był prawdziwą gwiazdą.

Pojechałem do Westwood, gdzie korzystając z komputerów uczelni zapoznałem się z relacjami z morderstwa Ardullów. Wszystkie gazety w kraju rozpisywały się o tragedii przez dobry tydzień. Indeks artykułów w periodykach zajmował pół strony. Wreszcie znalazłem właściwe mikrofilmy.

Większość artykułów była utrzymana w jednym tonie i bardzo podobnie napisana, jakby dziennikarz nie chciał zbyt zmienić doniesień telegraficznych. Zdjęcie z aresztu przedstawiało młodego Peake'a: chuda twarz, zapadnięte policzki, grzywa długich, skudlonych włosów... i dziki wzrok, jak u złapanego w pułapkę zwierzęcia. Obraz Muncha do kwadratu.

Pod lewym okiem nabrzmiał mu ogromny siniak, prawa część twarzy spuchła. Stawiał opór przy aresztowaniu? Gazety o tym nie wspominały.

Okazało się, że pamięć mnie nie myliła. Ardis zadał swoim ofiarom liczne rany klute i miażdżone – zwłaszcza czaszki – zwłoki okaleczył, dopuścił się kanibalizmu. Z tekstów zaczerpnąłem tylko brakujące imiona i szczegóły.

Scott i Theresa Ardullowie – on trzydzieści trzy lata, ona dwadzieścia dziewięć – byli małżeństwem od sześciu lat. Oboje ukończyli studia rolnicze na uniwersytecie Davisa. Scott był dziedzicem „zamożnego rodu farmerskiego”.

Interesował się uprawą winorośli, ale głównie koncentrował się na brzoskwiniach i orzechach włoskich.

Brittany miała pięć lat, a Justin osiem miesięcy.

Dalej trafiłem na rodzinną fotkę ze szczęśliwszych dni: Scott trzymał za rączkę wiercącą się córkę, Theresa stała obok z niemowlęciem na rękach. Justin miał pulchne policzki, które niczym dwa baloniki sterczały po obu stronach smoczka w ustach. W tle diabelski młyn – zdjęcie musiało pochodzić z jakiegoś wesołego miasteczka.

Scott Ardullo: krzepki blondyn, ostrzyżony najeża, uśmiechnięty od ucha do ucha jak człowiek przekonany, że jest wybrańcem losu. Jego żona była szczupła, przeciętna, z białą przepaską na włosach; wyglądała na osobę, która nie wierzy w szczęśliwe zakończenia bajek.

Nie mogłem spokojnie patrzeć na twarze dzieci.

Zdjęcia Noreen Peake nie znalazłem – tylko relację z tego, jak ją znaleziono, przy stole w kuchni. Moja wyobraźnia uzupełniała ten obraz wonią jabłek, drożdży, mąki.

Nadzorca rancza, Teodoro Alarcon, znalazł ciało pani Peake, a potem całą resztę. Podano mu środki uspokajające.

Gazety nie cytowały jego słów.

Szeryf Treadway, Jacob Haas, powiedział:

„Walczyłem w Korei, ale nawet tam nie widziałem czegoś podobnego. Scott i Terri przyjęli tych

dwoje z dobroci serca i proszę, jak im odpłacono. Ludzkie pojęcie przechodzi”.

Anonimowi mieszkańcy miasteczka opowiadali o dziwactwach Peake’a: mamrotał coś pod nosem, nie kąpał się, włóczył po ciemnych zaułkach, buszował w pojemnikach na śmieci, jadał odpadki. Wszyscy znali jego skłonność do waczenia benzyny i klejów; nikt nie podejrzewał, że może być groźny.

Jeszcze jeden cytat:

„Wszyscy wiedzieliśmy, że jest dziwny, ale nie aż tak – mówił Derrick Crimmins, chłopak z Treadway. – Z nikim się nie kolegował, nikt nie chciał się z nim przyjaźnić, bo Peake brzydko pachniał i dziwacznie się zachowywał, jak jakiś satanista czy coś”.

Nikt więcej nie wspominał o rytuałach satanistycznych, ja zaś ciekaw byłem ewentualnego rozwinięcia tego wątku w gazetach, ale po zamknięciu Peake’a sprawa pewnie ucichła.

Treadway określano mianem „cichej miejsciny farmerskiej”.

„Najgorsze, co się nam przytrafia, to bójki w barze – powiedział szeryf Haas. – Czasem komuś zginie jakiś sprzęt gospodarski. Ale coś takiego nigdy się nie zdarzyło”.

I tyle.

Nikt nie wspominał o pogrzebie Ardullów i matki Peake’a.

Przeglądając cierpliwie gazety, trafiłem na liczącą trzy linijki wzmiankę w późniejszym o dwa miesiące „L. A. Timesie” – dziennik donosił o zamknięciu Peake’a w Starkweatherze.

Posługując się nazwą „Treadway” jako słowem kluczowym nie znalazłem nic ciekawego od czasu morderstwa.

Ciche miasteczko. Wymarłe.

Jak całe miasto może umrzeć?

Czyżby Peake w jakiś sposób zabił ich wszystkich?

Kiedy udałem się na poranną przebieżkę, Milo nagrał mi się na sekretarce:

– Państwo Argentowie, hotel „Flight Inn” przy lotnisku, Century Boulevard, pokój 129, pierwsza po południu.

Pogrzebałem trochę w papierach i wpół do pierwszej wyszedłem z domu. Pojechałem na lotnisko. Century Boulevard to szeroki, smętny pas betonu, przecinający południowe dzielnice Los Angeles; wystarczy skręcić w zjazd na wschód, żeby skończyć w rządzonych przez gang slumsach, gdzie możesz mówić o szczęściu, jeśli tylko ukradną ci samochód. Zjechawszy na zachód, dojeżdża się na

lotnisko, mijając po drodze bezbarwne funkcjonalne hotele, magazyny, prywatne parkingi i piętrzące się bez końca wielopoziomowe skrzyżowania.

„Flight Inn” jak na motel był może trochę za duży, ale na miano pełnoprawnego hotelu też nie zasługiwał: dwupiętrowy, biały budynek z żółtymi rynnami i szyldem przedstawiającym kowbojkę, siedzącą okrakiem na samolocie. Niepozorne wejście, opatrzone neonową tabliczką: „Wolne pokoje”, znajdowało się z boku, po prawej. Dwupoziomowy parking samoobsługowy okalał hotelik; nie widziałem wśród samochodów nikogo z ochrony. Zostawiłem swojego seville’a na dolnym poziomie i skierowałem się do wejścia. W górze z rykiem śmignął olbrzymi boeing 747.

Ustawiona od frontu tablica reklamowa zachwalała ogromne łóżka, kolorowe telewizory i kupony zniżkowe do jakiejś „Złotej gęsi”. W recepcji podłogę wyłożono czerwonym dywanem, a wewnątrz umeblowano głównie automatami do sprzedaży grzebieni, planów miasta i breloczków z postaciami z kreskówek Disneya. Czarnoskóry portier nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, gdy zagłębiłem się w wykładany białą ceramiką korytarz. Drzwi do pokoiów miały kolor czerwony, pod niektórymi stały puste pudełka po tanim jedzeniu na wynos. W dusznym wnętrzu unosił się słonawy zaduch, mimo że do oceanu było stąd bardzo daleko. Pokój numer 129 znajdował się na samym końcu.

Kiedy zastukałem do drzwi, otworzył mi umęczony Milo.

Nic nie wskórał? Czy też miał inny powód?

Mały, ciasny pokoik był zdumiewająco wesoły: dwa osobne łóżka przykryto kwiecistymi narzutami, które wyglądały na nowiutkie, na wezglowiu połyskiwała kalkomania przedstawiająca pływające po stawie kacuszki. Obok stało pseudokolonialne biurko, na nim leżała Biblia, a obok niej książka telefoniczna. Dwa twarde krzesła i dziewiętnastocalowy telewizor na wysięgniku uzupełniały wyposażenie pokoju. W kącie stały dwie czarne, plastikowe walizki. Naprzeciwko łóżka znajdowała się para wyszczerbionych u dołu drzwi ze sklejk; prowadziły do łazienki i garderoby.

Na skraju bliższego łóżka przysiadła kobieta. Z jej pozy emanował paraliżujący ból i smutek. Była dość przystojna, miała nieco ponad sześćdziesiąt lat, lekko falujące włosy koloru słabiułkiej lemoniady, białe, perłowo połyskujące okulary na złotym łańcuszku i zwyczajny, spokojny makijaż. Ubrana była w czekoladową, plisowaną sukienkę z białym pikowanym kołnierzykiem i mankietami. Strój uzupełniały brązowe półbuty i torebka. Z biżuterii moją uwagę zwrócił pierścionek zaręczynowy z maleńkim brylantem, cienka obrączka i złote kolczyki w kształcie muszelek.

Spojrzała na mnie. Mimo zaawansowanego wieku zachowała mocne, zdecydowane rysy twarzy, która była uderzająco podobna do twarzy Claire. Przyszło mi do głowy, że Claire nigdy nie stanie się taką dostojną matroną.

Milo dokonał prezentacji. Oboje z panią Argent jednocześnie powiedzieliśmy, że miło nam się poznać. Na mgnienie oka uniosła jeden kącik ust, ale zaraz zacisnęła wargi – odruchowy uśmiech zgasł błyskawicznie. Uścisnąłem jej suchą, zimną dłoń. Zza drzwi do łazienki dobiegł odgłos spuszczonej wody. Pani Argent z powrotem złożyła ręce na podołku. Obok niej leżała złożona na pół biała, płócienna chusteczka.

Drzwi łazienki otworzyły się i stanął w nich mężczyzna, który ledwie mieścił się w futrynie. Wycierał dłonie w ręcznik.

Nie miał metra siedemdziesięciu wzrostu, ale z pewnością ważył blisko sto osiemdziesiąt kilogramów. Wyglądał jak różowiotkie jajo w białej koszuli z długimi rękawami, szarych spodniach i białych adidasach. Wąską przestrzeń w łazience dodatkowo ograniczała umywalka, obok której musiał się przecisnąć. Wziął głębokie wdech, sapnął donośnie, skrzywił się i w końcu wydostał do pokoju. Twarz poczerwieniała mu z wysiłku. Rzucił zmięty ręcznik na stół i powoli podszedł do nas, kołysząc się na boki jak barka na wzburzonym morzu.

Z bliska ujrzałem, że buty ma lekko przydeptane, a poliestrowe, schludne spodnie trzymają się na szelkach. Przy każdym kroku coś podzwaniało mu w kieszeni.

Pan Argent był mniej więcej z wieku żony. Miał ciemną, kręconą czuprynę, delikatnie zarysowany nos, pełne usta, pulchne policzki i starannie ogolony potrójny podbródek. Piwne oczy, niemal całkowicie zatopione w fałdach tłuszczu, obserwowały otoczenie z niezwykłą uwagą i intensywnością. Mężczyzna przeniósł wzrok na żonę, potem na mnie i podtoczył się bliżej.

Odrzucając w myślach zwały tłuszczu, byłem w stanie domyślić się pod nimi całkiem przystojnego faceta. Parł naprzód, dysząc ciężko, z mozołem. Stanął przede mną, zakolysał się, wyprostował i podał mi rękę grubą jak moje udo. Dłonie miał drobne i suche, a uścisk solidny.

– Robert Ray Argent – wysapał głębokim, wibrującym basem, dudniącym w jego piersi jak w gigantycznym pudle rezonansowym. Wyobraźnia podsunęła mi w tym momencie wizję człowieka pustego w środku i nadmuchanego niczym balon, ale szybko pozbyłem się jej, patrząc, jak z wysiłkiem brnie w stronę łóżka. Każdy jego krok na cienkim dywanie odbijał się echem. Każda kończyna zdawała się dygotać we własnym, niepowtarzalnym rytmie. Pot ściekał mu z czoła. Z trudem powstrzymałem się od wzięcia go pod ramię.

Żona otarła mu czoło chustką.

– Dzięki, kotku. – Musnął ją delikatnie.

– Usiądź, Rob Ray.

Oboje przeciągali głoski w sposób charakterystyczny chyba tylko dla mieszkańców Pittsburgha.

Powoli schylił się i usiadł. Materac zapadł się, sprężyny jęknęły, stelaż ugiął się niemal do poziomu dywanu. Robert Ray Argent rozłożył szeroko nogi, a i tak uda mu się stykały. Wyświetlony materiał spodni napiął się na kolanach i wielkim jak dynia brzuchu.

Argent odetchnął głęboko parę razy, odchrząknął i zasłaniając ręką usta kaszlnął. Jego żona przez chwilę patrzyła niewidzącym wzrokiem na otwarte drzwi do łazienki, po czym wstała, zamknęła je i wróciła na łóżko.

– Słyszałem, że jest pan psychologiem, tak jak Claire – powiedział Argent. Pod pachami rysowały mu się ciemne placki od potu.

– To prawda – przytaknąłem.

Pokiwał głową, jakbyśmy w ten sposób doszli do jakiegoś porozumienia, i z westchnieniem oparł dłoń na brzuchu.

Ernestine Argent podała mu chusteczkę. Wytarł twarz, ona zaś drugą, wyjętą z torebki chustką, osuszyła oczy.

– Właśnie zapoznałem państwa z przebiegiem śledztwa – rzekł Milo.

Pani Argent nie zdołała powstrzymać donośnego szlochu.

– Skarbie... – uspokoił ją mąż.

– Nic mi nie jest, kochanie – odparła niemal bezgłośnie. – Claire uwielbiała psychologię.

Skinąłem głową.

– Była wszystkim, co kiedykolwiek naprawdę mieliśmy.

Rob Ray spojrział na nią. Niektóre części jego twarzy nabrały głębokiego, śliwkowego odcienia, inne były różowe, jeszcze inne białe lub beżowe – krew w różnym stopniu docierała do poszczególnych fałd ciała, tworząc mrowie cętek na jego obliczu.

– Niewiele się panom udało ustalić – powiedział pod adresem Mila. – Jak pan ocenia wasze szansę na znalezienie diabła, który to zrobił?

– Zawsze jestem optymistą, proszę pana. Im więcej powiecie nam państwo o Claire, w tym lepszej będziemy sytuacji.

– Co jeszcze możemy powiedzieć? Wszyscy lubili Claire, była taką miłą osobą...

Pani Argent się rozplakała. Mąż poklepał ją po ramieniu.

– Przepraszam – powiedziała w końcu. – W ten sposób panom nie pomogę. Co was interesuje?

– Zacznijmy może od nakreślenia wstępnych ram czasowych – zaproponował Milo. – Kiedy ostatnio widzieliście państwo Claire?

– W Boże Narodzenie – odparł Rob Ray. – Zawsze przyjeżdżała na święta do domu i miło spędzaliśmy czas w rodzinnym gronie. W zeszłym roku też. Pomagała matce przy kuchni. Mówiła, że tu, w Los Angeles, nie gotuje, bo nie ma czasu. Jadła gotowe dania z puszek albo barów.

Potwierdzał to wygląd kuchni w domu przy Cape Horn Drive.

– Boże Narodzenie – powtórzył Milo. – Pół roku temu.

– Zgadza się.

– Czyli mniej więcej w tym okresie, kiedy Claire porzuciła szpital okręgowy na rzecz Starkweathera.

– Na to wygląda.

– Wspominała coś o zmianie pracy?

Oboje rodzice pokręcili głowami.

– Ani słowa.

Cisza się przedłużała, aż wreszcie pani Argent zabrała głos:

– Nigdy nie mówiła o pracy nic konkretnego, a my nie chcieliśmy wtykać nosa w nieswoje sprawy.

Nic nie wiedzieli. Kątem oka widziałem, jak Milo stara się ukryć niedowierzanie. Rob Ray spróbował usiąść wygodniej na łóżku; jedna noga poruszyła się zgodnie z jego wolą.

– Czy Claire wspominała coś o jakichś kłopotach? – indagował Milo. – O kimś, kto sprawiał jej problemy? W pracy albo w życiu osobistym?

– Nie – odparł Rob Ray. – Z całą pewnością nie miała wrogów.

– A jak się zachowywała podczas tych świątecznych odwiedzin?

– Normalnie. Była w świetnym humorze. Boże Narodzenie to dla nas bardzo szczęśliwy okres. Cieszyła się, że może pobyć trochę w domu, my zaś cieszyliśmy się, że nas odwiedziła.

– Na jak długo przyjechała?

– Na cztery dni, jak zawsze. Parę razy poszliśmy do kina – uwielbiała kino. Byliśmy też na występach rewii łyżwiarskiej; w dzieciństwie Claire sporo jeździła na łyżwach. Ostatniego dnia zrobiła zakupy, trochę nam pomagała... Wiecie, panowie, specjalizujemy się w prezentach i w czasie świąt musimy mieć otwarte.

– Uwielbiała filmy, tak? – wtrąciłem. Joe Stargill też nam o tym mówił.

– Właśnie; wszyscy je lubimy.

– Była szczęśliwa, nie miała żadnych problemów – dodała Ernestine. – Jedno było tylko przykre: że tak rzadko mogliśmy ją widywać. Ale rozumieliśmy, że tego wymaga jej kariera, a nam trudno już się podróżuje. Wiecie, panowie, interesy.

– Kiedy człowiek prowadzi własny biznes, liczy się z każdym groszem – uzupełnił Rob Ray. – Zresztą moja tusza nie ułatwia podróży. Ale mniejsza z tym. Nie ma to nic wspólnego z wizytą

i kłopotami Claire. Nikt nie miał powodu, żeby ją nienawidzić, to musiał być jakiś maniak, który wyrwał się na wolność, pewnie z tego ośrodka, w którym pracowała. – Jego skóra pociemniała, przybierając barwę szkarłatu. Mówiąc, dyszał ciężko, chrapliwie. – Proszę mi wierzyć: jeśli dowiem się, że ktoś naraził ją na niebezpieczeństwo, to... Powiedzmy, że wielu ludzi na tym ucierpi.

– Ależ skarbie... – Żona poklepała go po kolanie, po czym zwróciła się do nas: – Mężowi chodzi o to, że Claire była miła, wielkoduszna i łagodna. Nie sposób było jej nie polubić.

– Wielkoduszna to mało powiedziane – przerwał jej Rob Ray. – W szkole średniej zawsze pierwsza zgłaszała się na ochotnika, żeby pomagać innym: staruszkom w szpitalu, zwierzętom w schronisku – nieważne, zawsze była pierwsza. A najbardziej kochała zwierzęta. Mieliśmy kiedyś psa, małego Scottiego. Wiecie panowie, jak to jest: dzieciaki cieszą się ze zwierzęcia, ale nie chcą brać na siebie odpowiedzialności i wszystko spada na rodziców. Ale nie u nas. Claire zajmowała się wszystkim: karmiła go, sprzątała po nim... Wiecznie próbowała coś naprawiać, chciała nawet składać złamane skrzydełka muchom. Od dawna wiedzieliśmy, że zostanie lekarzem, i choć ja osobiście obstawiałem weterynarię, psychologia też była w porządku. Zawsze miała świetne stopnie... To wszystko nie ma sensu, panie Sturgis. W kostnicy widzieliśmy przecież... Niemożliwe, żeby... To musiał być jakiś wariat. Czy w tym Starkweatherze trzyma się samych szaleńców?

– Tak, proszę pana – odrzekł Milo. – Od tego zaczęliśmy śledztwo, ale jeszcze nie znaleźliśmy tam żadnego tropu, Z tego szpitala się nie wychodzi.

– Pewnie – przytaknął ironicznie Rob Ray. – Zawsze przecież znajdzie się jakiś dupek, który kogoś wypuści. Popełni jakiś głupi błąd, nie? – Łzy zaczęły mu płynąć po galaretowatej twarzy.

– Trudno odmówić panu racji, ale jak już mówiłem: na razie nic z tego. – Milo złagodniał, jakby nagle mu lat ubyło.

– Widzę, że dobry z pana człowiek. Skąd pan pochodzi? To znaczy, skąd byli pańscy rodzice?

– Z Indiany.

Argent pokiwał z zadowoleniem głową.

– Wierzę, że się pan stara.

Nagle z niewiarygodną szybkością podniósł dłoń i plasnął się w twarz, ocierając oczy chusteczką.

– Och, Rob... – I pani Argent też wybuchnęła płaczem.

Milo przyniósł im z łazienki po szklance wody.

– Dziękuję – powiedział Rob Ray. – I bez tego powinienem dużo pić, żeby dbać o smarowanie stawów.

Lekkie wzruszenie ramion wprawilo pokłady tłuszczu w drżenie. Argent wyciągnął koszulę spomiędzy fałdów na brzuchu.

– Mówiliście państwo, że Claire odwiedzała was tylko w święta – przypomniał Milo.

– Tak jest.

– Czy ten zwyczaj powstał po tym, jak przeniosła się do Los Angeles, czy już wcześniej, kiedy studiowała w Cleveland?

– W Los Angeles. Z Case Western przyjeżdżała też na Święto Dziękczynienia, na Wielkanoc, czasem latem.. W wakacje pomagała nam w sklepie.

– Często pisywała do domu od czasu przeprowadzki do L. A?

Cisza.

– Nie mamy w rodzinie głowy do listów – rzekła wreszcie pani Argent. – Wolimy dzwonić. Rozmowy zamiejscowe są teraz takie tanie, w dodatku mamy jeden z tych specjalnych abonamentów.

Przypomniałem sobie rachunki telefoniczne Claire: nie dzwoniła ostatnio do Pittsburgha, chyba że z pracy. A może rodzice stali się dla niej obcy i dołączyli do klubu nieznajomych, których spotykaliśmy w jej życiu na każdym kroku?

– Dzwoniła zatem, nie pisała.

– Właśnie – przytaknęła matka Claire. – Od czasu do czasu.

Milo zapisał coś w notesie.

– Co z jej małżeństwem i rozwodem? – spytał. – Czy jest coś, co powinienem wiedzieć?

Pani Argent spuściła oczy. Jej mąż wziął głęboki, świszczący wdech.

– Poinformowała nas, że wyszła w Reno za mąż – powiedział. – Krótco po ślubie zadzwoniła do domu.

– Przekazała państwu tę wiadomość przez telefon... Była szczęśliwa?

– Sądząc z jej głosu, to raczej tak – przyznała matka. – Przepraszała, że nie dała znać wcześniej, tłumacząc, że to jedna z tych niezwykłych sytuacji: miłość od pierwszego wejrzenia. Mówiła też, że ma miłego męża. Prawnika.

– Nie poznaliście go państwo osobiście, prawda?

– Z pewnością doszłoby do tego, ale krótko byli małżeństwem.

I przez dwa lata nie utrzymywali ze sobą kontaktów.

– Jako mężatka również odwiedzała państwa w Boże Narodzenie, czy tak?

– Nie – odparła pani Argent. – Po ślubie nie. Przyjechała dopiero w zeszłym roku, już po rozwodzie.

– Mówiła, dlaczego rozstali się z mężem?

– Zadzwoiła do nas zaraz po rozwodzie. Mówiła, że rozeszli się jak przyjaciele, bez urazy.

– Naprawdę tak powiedziała? Jak przyjaciele? – upewnił się Milo.

– Może nie dosłownie, ale coś w tym sensie. Próbowiła mnie uspokoić... Cała Claire: dba o wszystkich, tylko nie o siebie.

Zerknęła na męża.

Wiem, że to dziwnie brzmi... Że ani razu nie widzieliśmy go na oczy – rzekł. – Nie było wielkiego wesela, z panną młodą w białej, koronkowej sukni. Rzecz w tym, że Claire zawsze podkreślała swoje pragnienie wolności. To jak... Taka po prostu była. Wystarczyło dać jej trochę swobody, a przynosiła ze szkoły same piątki. Wspaniały był z niej dzieciak... Mieliśmy się z nią kłócić? Choćby nie wiem jak się człowiek starał i tak nie może mieć pewności, co z jego pociechy wyrośnie, prawda? Daliśmy jej wolność i okazało się to dla niej najlepsze.

Prawie nie odrywał ode mnie oczu. Pokiwałem głową.

– Chcieliśmy go poznać – ciągnął. – Męża, znaczy się. Powiedziała, że go przywiezie, ale tego nie zrobiła. Mam wrażenie, że od początku nie najlepiej się im układało.

– Dlaczego tak pan sądzi?

– Bo go nam nie przedstawiła.

– Ale, z drugiej strony, nigdy się nie skarżyła na małżeństwo, prawda? – zauważył Milo.

– Nie mówiła, że jest jej źle z tym człowiekiem, jeśli do tego pan zmierza. A właściwie skąd to pytanie? Podejrzewacie, że mógł mieć coś wspólnego z jej śmiercią?

– Nie, po prostu próbuję się jak najwięcej dowiedzieć.

– Na pewno?

– Z całą pewnością, proszę pana. W tej chwili byłego męża Claire nie ma na liście podejrzanych... Nikogo na niej nie ma, prawdę mówiąc.

– Wiem, że powiedziałby nam pan prawdę, gdyby było inaczej. Rzadko wspominała o mężu w rozmowach, tylko na zakończenie. Na przykład: „Joe was serdecznie pozdrawia” albo coś w tym guście. Wiedzieliśmy, że jest prawnikiem, i to nie adwokatem czy prokuratorem, tylko radcą. Kiedy dzwoniła, zawsze był poza domem, jakby wiecznie pracował. Ona zresztą też miała dużo roboty; takie typowe nowoczesne małżeństwo. Tak pewnie się to skończyło. Mieli dla siebie za mało czasu.

– Przysłała nam zdjęcie – wtrąciła pani Argent. – Ze ślubu, z kaplicy. Wiedzieliśmy przynajmniej, jak jej mąż wygląda. Rudzielec... Pamiętam nawet, jak żartowaliśmy sobie z Robem, że będziemy mieli rude wnuki.

Rozplakała się znowu, opanowała i szeptem przeprosiła.

– Musielibyście ją panowie lepiej znać, żeby zrozumieć – mówił dalej Rob Ray. – Była bardzo niezależna; zawsze umiała sama o siebie zadbać.

– I o innych – odpowiedziałem.

– W rzeczy samej. Dlatego lubiła się czasem odprężyć. Najchętniej chodzi wtedy sama do kina. Albo czyta książkę. Bardzo ceni sobie prywatność, a my ze swojej strony staramy się to uszanować. Większość rzeczy robi zresztą sama... No, chyba że razem wybierzemy się do kina... Oboje przepadamy za oglądaniem filmów.

Nagle użycie przez Argenta czasu teraźniejszego spowodowało, że łzy prawie napłynęły mi do oczu.

Argent chyba również złapał się na tym, bo nagle oklapł, jakby ktoś złożył mu ciężkie brzemię na barki. Wlepił wzrok w kapę na łóżku.

– Miała jakiś ulubiony rodzaj filmów? – spytałem.

– Nie, po prostu musiały być dobre – burknął w odpowiedzi, nie podnosząc głowy. – To nas naprawdę łączyło. Nigdy nie namawiałem jej specjalnie do uprawiania sportu, zwłaszcza że przy moich gabarytach nie wrywałem się do wspólnego biegania. Tym bardziej cieszyłem się, że lubi spokojnie siedzieć i oglądać filmy.

– Od dzieciństwa umiała się sama bawić – uzupełniła pani Argent. – Była taka słodziutka. Zostawiałam ją w kojcu i zajmowałam się domem, a ona godzinami bawiła się zabawkami, które miała pod ręką. Niczym się nie przejmowała, zapominała o bożym świecie.

– Tworzyła sobie własny – powiedziałem.

– Właśnie, panie doktorze – przytaknęła z pośpiesznym, nerwowym uśmiechem. – Trafił pan w sedno. Niczym się nie przejmowała, tylko tworzyła sobie własny świat.

Niczym się nie przejmowała. Drugi raz w ciągu dziesięciu sekund użyła tego sformułowania. Czyżby ślad jakiegoś zaburzenia w rodzinie?

– Prywatność miała być dla niej ucieczką – zasugerowałem.

Rob Ray podniósł na mnie wzrok, w jego oczach błysnęła niepewność. Kiedy próbowałem nawiązać z nim kontakt wzrokowy, spuścił oczy. Żona obserwując go, miała w rękach chusteczkę.

– A wracając do tego, jak się pobrali... – odezwała się. – My z Robem Rayem wzięliśmy ślub

w kościele i wyprawiliśmy huczne wesele. Mój ojciec dwa lata spłacał długi. Wydaje mi się, że tego też chciała nam oszczędzić.

– Troska o innych zawsze dodawała jej zapału – przytaknął Argent. – Chciała pomagać ludziom.

– Czy zanim poznała pana Stargilla, spotykała się z innymi chłopcami? – zagadnął Milo.

– Owszem – przyznała pani Argent. – W szkole średniej. Nie była może jakąś pożeraczką serc, ale na brak zainteresowania nie narzekała. Wiecie, panowie, to wszystko byli miejscowi chłopcy, nic na dłużej. Niejaki Gil Grady zaprosił ją na studniówkę, dziś jest porucznikiem w straży pożarnej.

– Jak to wyglądało później? W college’u i na studiach?

Cisza.

– A po przeprowadzce do L. A?

– Jestem pewna, że kiedy chciała się z kimś umówić, nie miała z tym kłopotów. Urody jej nie brakowało.

I nagle jakaś myśl – zapewne najnowsze wspomnienie widoku córki, jej bladych, zmasakrowanych zwłok na metalowym stole – sprawiła, że pani Argent posmutniała i ukryła twarz w dłoniach.

– Jakoś nie widzę, dokąd ta rozmowa miałaby nas doprowadzić – wtrącił jej mąż.

Milo spojrzał na mnie.

– Proszę mi powiedzieć jeszcze jedno – zwróciłem się do Argenta. – Czy Claire przejawiała jakieś szczególne zainteresowanie sztuką? Malowaniem, rzeźbiarstwem, czymś podobnym?

– Sztuką? – zdziwił się Rob Ray. – Rysowała, jak wiele dzieci w jej wieku, ale nic poza tym.

– Przede wszystkim dużo czytała i chodziła do kina – powtórzyła matka. – Niczym się nie przejmowała, zawsze umiała gdzieś się zaszyć i znaleźć sobie zajęcie.

– Przepraszam panów – przerwał nam Rob Ray. Z wysiłkiem wstał i potoczył się do łazienki. Oczekaliśmy, aż zamknie za sobą drzwi. Zza warstwy sklejki dobiegł nas odgłos płynącej wody.

– Tak bardzo to przeżył – odezwała się pani Argent. Mówiła cicho, pośpiesznie. – Kiedy Claire była mała, inne dzieci naśmiewały się z niego. Okrutne dzieci. To kwestia gruczołów; je mniej ode mnie. – Umilkła na moment, jakby prowokując nas do sprzeczki. – To wspaniały człowiek. Claire nigdy się go nie wstydziła, zawsze traktowała go z najwyższym szacunkiem. Była dumna ze swojej rodziny, niczym się nie... – urwała w pół zdania. Czekałem, co jeszcze powie. Przygryzła wargi, podbródek jej zadrżał. – Tylko on mi teraz został. Martwię się, jak to na niego wpłynie...

Znów rozległ się szum spuszczonej wody, a po chwili drzwi łazienki otworzyły się i pojawiła się w nich olbrzymia głowa Roba Raya. Powtórzyło się trudne wyjście i mozolna wędrówka.

– Nie chcę, żebyście panowie myśleli sobie, że Claire była jakąś dziwaczką, co to nie wychodzi z pokoju – powiedział Argent, kiedy już usadowił się wygodnie na łóżku. – Była po prostu twarda, umiała o sobie zadbać, nie wplątałaby się w nic złego. Z pewnością porwał ją i zabił jakiś szaleniec. – Mówił głośniej, z większą mocą, jakby naładował baterie. – Claire nie była głupia. Umiała o sobie zadbać, musiała umieć.

– Dlatego, że mieszkała samotnie? – podsunąłem.

– Dlatego że... Tak, właśnie. Moja córeczka była bardzo niezależna.

– Ile w nich bólu – zauważyłem później, gdy siedliśmy z Milem w kawiarence „La Tijera”.

– Szkoda gadać, stary. Wyglądają tak pocziwie, ale żyją złudzeniami. Niby taka szczęśliwa, zgrana rodzinka, a tu Claire nie przedstawia im męża, ostatnio nawet nie dzwoni... Odcięła się od nich, Alex. Tylko dlaczego?

– Coś w słowach matki sugerowało, że w rodzinie panował niezły mętlik. Trzy razy powtarzała, że Claire „niczym się nie przejmowała”, jakby podkreślając, że świetnie sobie radziła w trudnej sytuacji. Może rzeczywiście coś się tam działo, ale na razie z pewnością nie chcą o tym mówić; zostały im tylko miłe wspomnienia. Zresztą, co to za różnica?

Milo się uśmiechnął.

– Co to, nagle przeszłość okazuje się bez znaczenia?

– Przeszłość zawsze ma znaczenie w życiu człowieka. Nie musi jednak mieć nic wspólnego ze śmiercią Claire. W każdym razie ja żadnego związku nie dostrzegam.

– Jak powiedział Argent: „szaleniec”.

– Niewykluczone, że ukrywają jakieś wstydlive rodzinne sekrety, ale nie wydaje mi się, żeby próbowali ci utrudniać dochodzenie. Claire od lat z nimi nie mieszkała; sądzę, że Los Angeles powinno bardziej nas interesować niż Pittsburgh czy Cleveland.

Milo zapatrzył się w dal, gdzieś w okolice kasy sklepowej, i skinął ręką na kelnerkę. Poza nami w kafejce przy osobnych stołach siedziało jeszcze tylko dwóch kierowców ciężarówek. Obaj mieli zaczerwienione z niewyspania oczy.

Kelnerka – młoda, usłużna dziewczyna o głębokim głosie – nie dała na siebie długo czekać. Przyjęła zamówienie na kanapki i odeszła, a ja wróciłem do naszej rozmowy:

– Jeżeli dorastała w zaburzonym środowisku, a w dorosłym życiu marzyła jej się cisza i spokój, pusty salon u niej w domu zaczyna nabierać sensu. Tyle że wciąż nie wiem, dlaczego w ten sposób miałyby stać się czyjąś ofiarą.

– Sama tusza taty wystarczy, żeby mówić o zaburzeniu. – Milo zabębnił palcem o zęby. – Wyobraź sobie: dzieci się z niego śmieją, Claire musi sobie jakoś z tym radzić... – Łyknął kawy i wyjrzał

przez frontowe okno. Przelatujący nieopodal odrzutowiec wprawił cały lokal w drżenie.

– Może i tak – zgodziłem się. – Dorastanie u jego boku przyzwyczało ją do dziwnych ludzi. W życiu osobistym umiała jednak wyraźnie wytyczyć granicę i uciec w samotność, jak w dzieciństwie.

Kelnerka podała nam kanapki. Była chyba rozczarowana, gdy Milo oznajmił, że nie chcemy nic więcej. Odgryzł kawałek mięsistej szynki, ja zaś obrzuciłem baczny spojrzeniem mojego hamburgera: był cienki, połyskliwy i miał kolor zaschłego błočka. Odsunąłem go na bok. Jeden z kierowców rzucił drobniaki na blat i wyszedł.

Milo przełknął następne dwa kęsy.

– Ładnie wplątałeś to pytanie o zainteresowania artystyczne – przyznał. – Miałaś nadzieję usłyszeć jakieś wspomnienia z tartaku?

– Czy nie byłoby to przyjemne?

Milo natrafił chyba na jakiś niezjadliwy kawałek, bo trzymając kanapkę na odległość wyciągniętej ręki, przyjrzał się jej ostrożnie, zanim odłożył ją na talerz.

– Niezłą miałem z nimi przeprawę w kostnicy – powiedział. – Patolog starał się jak mógł, żeby jako tako poskładać Claire, ale nie wyglądała najlepiej. Znow zasugerowałem, żeby może darowali sobie oględziny, ale się uparli. Co ciekawe, mamuśka całkiem nieźle zniosła ten widok. Tatuś za to zaczął ciężko sapać, poczerwieniał jak burak i oparł się o ścianę, żeby nie stracić równowagi. Już się bałem, że dorobimy się następnego trupa. Urzędas z kostnicy od początku przyglądał mu się jak jakiemuś cyrkowemu dziwu, a teraz zupełnie szczęka mu opadła. Czym prędzej ich stamtąd zabrałem. Bogu dzięki, że mi nie wykitował.

Zapadła cisza. Nie mogąc wyzwolić się z więzów własnej wiedzy, zacząłem rozmyślać o dzieciństwie Claire. Ucieczka od nie wiadomo czego... Schronienie w samotności... W samotności łatwo się snuje marzenia, wystawia sztuki w teatrze umysłu. Prawdziwym teatrze. Albo kinie.

– Claire uwielbiała filmy – odezwałem się. – I jej starszycy, i Stargill to potwierdzają. Może nie ograniczała się do oglądania? Powiedzmy, że miała ambicje aktorskie i odpowiedziała na ogłoszenie o castingu... To samo, które zaintrygowało Richarda Dadę?

– Tak bardzo lubi filmy, że nagle zniecka postanawia zostać gwiazdą?

– A czemu nie? To Los Angeles. Kto wie, czy nie miała roli w „Krwawej przechadzce”? Miałbyś wtedy związek z Richardem; zabójca poznał oboje na planie filmu.

– Wszystko, czego się o niej dowiedzieliśmy, dowodzi, że miała bzika na punkcie zachowania prywatności. Naprawdę uważasz, że stanęłaby przed kamerą?

– Słyszałem o aktorach, którzy byli chorobliwie nieśmiali. Kiedy wcielali się w innych ludzi, mogli naprawdę poszaleć.

– To możliwe – przyznał z powątpiewaniem Milo. – Poznali jakiegoś świra na planie, a on, nie wiedzieć czemu, postanowił ich zlikwidować... Skąd w takim razie kilkumiesięczny odstęp między zabójstwami?

– Może po drodze zdarzyły się inne, o których nie wiemy?

– Szukałem podobnych spraw – zwłoki w bagażniku, uszkodzenie oczu, rany od piły... Nic nie znalazłem.

– W porządku – poddałem się. – To tylko teoria.

Kelnerka zaproponowała nam deser, ale kiedy Milo odwarknął, że dziękujemy, cofnęła się odruchowo i czym prędzej wróciła za bar.

– Rozumiem ten pomysł z odgrywaniem ról, Alex, ale nie zapominaj, że mówimy o królowej pustych pokojów, o kimś, kto marzy o samotności. Mogę sobie wyobrazić, że sama przed sobą odgrywa jakąś Sharon Gwiazdę, ale co innego iść do kina, a co innego wystąpić w filmie. Do diabła ciężkiego, nie wierzę, żeby nie miało to nic wspólnego ze Starkweatherem! Przecież ta kobieta pracowała z mordercami, na miłość boską! Tymczasem ja mam uwierzyć na słowo, że żaden z nich nie wyrwał się na wolność i jej nie upolował, a w wolnym czasie rozmawiamy sobie o możliwości jej kariery filmowej.

Przytknął dłonie do skroni; wiedziałem, że nadciąga migrena.

Kelnerka przyniosła rachunek i podała nam go, nie zbliżając się zanadto do stolika. Milo wsunął jej dwudziestkę, poprosił o aspirynę i dodał, że może zatrzymać resztę. Uśmiechnęła się i oddaliła pośpiesznie, wyraźnie wystraszona.

Kiedy wróciła z tabletkami, Milo połknął je bez popijania.

– Niech szlag trafi Swiga i nakazy sądowe. Skontaktuję się z wydziałem zwolnień warunkowych. Zobaczymy, co powiedzą o możliwości wyjścia ze Starkweathera i gościach, którym udało się tego dokonać od czasu, gdy Claire zaczęła tam pracować. Potem możemy zająć się filmami, czemu nie? Zaczniemy od wypożyczalni sprzętu, tak jak proponowałeś. – Zmiał w palcach opakowanie po aspirynie i wrzucił do popielniczki. – Masz rację, to jest Los Angeles. Od kiedy to logika miałaby tu coś znaczyć?

Kiedy wyszliśmy na parking, Milo zadzwonił do Sacramento, prosząc o zapisanie rozmowy na konto policji w Los Angeles. Chwilę trwało, zanim uzyskał autoryzację, a potem urzędnicy w nieskończoność przełączali go do kolejnych biur. Co kilkanaście sekund odrzutowiec podchodził do lądowania. Przeształowałem z nogi na nogę, patrząc jak Milo spala kalorie, usiłując nie krzyknąć na ludzi. Wreszcie jego cierpliwość została nagrodzona. Obiecano mu, że akta zwolnień warunkowych zostaną specjalnie dla niego przeszukane w pierwszej kolejności.

– Czyli poczekamy kilka dni, zamiast kilku tygodni – wyjaśnił podchodząc do pobliskiej budki telefonicznej. Wziął do ręki przykutą łańcuchem książkę telefoniczną z okładkami oblepionymi zaschniętą gumą do żucia. – Jedno przynajmniej mi potwierdzili: ze Starkweathera można wyjść. Nie zdarza się to często, ale czasem tak. Kobieta, z którą rozmawiałem, jest tego pewna, bo przed pięciu laty mieli taką sprawę. Gość, który powinien być pod ścisłą kuratelą, wrócił do rodzinnego miasteczka i zastrzelił się u fryzjera.

– To tyle, jeśli chodzi o szczelność systemu – podsumowałem. – Pewnie dlatego Swig tak się denerwował.

– Cały ten system jest głównie wart; ludzie to nie maszyny. Nawet w takich miejscach, jak San Quentin czy Pelican Bay wiecznie są jakieś kłopoty z więźniami. Albo się ich zamknie na cztery spusty, albo zrobią, co zechcą. -

Milo zaczął kartkować książkę. – Proponuję poszukać wypożyczalni i zabrać się w filmowych detektywów.

Większość firm prowadzących tego rodzaju działalność miała swoją siedzibę w Hollywood albo Burbank, pozostałe rozrzucone były po całej dolinie i okolicach Culver City.

– Zaczniemy od Hollywood – oznajmił. – Bo niby skąd?

Krótko po piętnastej jechałem za cywilnym wozem Mila. Zaparkowaliśmy przy Sunset Boulevard. Ruch był straszny.

Wypożyczalnie mieściły się w magazynach w zachodniej części Hollywood. Na Santa Monica Boulevard odkryliśmy ich lokalne skupisko, które pozwoliło nam obskoczyć kilka naraz. Na wzmiankę o „Krwawej przechadzce” i Thin Line Productions właściciele – wyglądający zresztą jak odrzuty z zespołów thrashmetalowych – wybałuszali tylko oczy.

Za siódmym podejściem, przy Wilcox, trafiliśmy do wypożyczalni „Wszystko do filmu”, gdzie kościsty, podobny do małpy człowieczek z grzywą czarnych, sztucznie przedłużanych włosów i kolczykiem w górnej wardze garbił się za sięgającym mu do piersi blatem. Niezbyt przejął się odznaką, którą Milo machnął mu przed nosem. Wyglądał na jakieś dwadzieścia, dwadzieścia jeden

lat, stanowczo za mało, żeby zgrywać takiego dekadenta. Za jego plecami znajdowały się dwuskrzydłowe drzwi z napisem „Obcym wstęp wzbroniony”. Z zaplecza dobiegały krzyki wokalistki, usiłującej przebić się przez dudniące głośno gitarowe akordy; brzmiała jak Joan Jett, a w każdym razie próbowała ją naśladować. Kudłacz za ladą był ubrany w obcisłą czarną koszulkę z napisem „Nie ma mowy o seksie. Chyba że potem zatańczymy” i czerwone dżinsy. Ramiona miał blade i bezwłose, bardziej żyłaste niż umięśnione. Włókniste blizny po nakłuciu w zgięciach łokci sugerowały, że miał już do czynienia z narkotykami, a więc pewnie i z policją.

– Czy pracował pan już w tej wypożyczalni przed dwudziestoma mie siącami? – zagadnął Milo.

Przy „panu” dzieciak uśmiechnął się krzywo.

– Od czasu do czasu – odparł i jakimś cudem zgarbił się jeszcze bardziej.

Do ścian poprzyklejano cenniki sprzętu: wypożyczenie na cały dzień worków z piaskiem, wózków kamerowych, oświetlenia, stelaży do garderoby, blueboksów. Ceny były całkiem niewygórowane – za maszynę do robienia śniegu płacono się czterdzieści pięć dolców dziennie.

– Nie przypomina pan sobie, czy firma Thin Line Productions czegoś u pana nie pożyczała?

Spodziewałem się ziewnięcia, ale Kudłacz odparł:

– Może i tak.

Milo nic nie powiedział.

– Brzmi znajomo... To możliwe. Tak, całkiem możliwe.

– Czy mógłby pan sprawdzić w dokumentach?

– Jasne, zaczekajcie chwilę.

Zniknął za drzwiami na zaplecze, a po chwili wrócił z fiszką w ręku. Minę miał taką, jakby chciał splunąć ze wstrętem.

– Teraz ich już sobie przypominam – dodał.

– Były z nimi kłopoty?

– I to jakie. – Kudłacz wytarł ręce w koszulkę. Ordynarne kółko w górnej wardze odzierało jego twarz z wyrazu urażonej dumy, który starał się zachować.

– Co takiego zrobili?

– Orznęli nas na czternaście kawałków.

– Kupa sprzętu – wtrąciłem.

– Może nie dla Spielberga, ale dla takich dupków to i owszem. Wszystko im daliśmy: mikrofony, rekwizyty, sztuczną krew, filtry, sztuczne oczy, ekspresy do kawy, kubki, stoliki, wszystko, czego potrzebowali, psiakrew. Najdroższy był wózek i dwie kamery. Starocie, żadne szanujące się studio by ich nie tknęło, ale swoje kosztują. Miało być na dziesięć dni. Pierwszy raz do nas przyszedli, więc wiedzieliśmy, że zapuszczamy się na nieznane wody, dlatego zażądaliśmy podwójnego depozytu. Dali nam czek; sprawdziliśmy, miał pokrycie. Spisałem ich z papierów, wszystko zgodnie z przepisami, ale nie dość, że nie zapłacili, to jeszcze ulotnili się ze sprzętem. Zgadnijcie, co się stało, kiedy próbowaliśmy zrealizować czek? – Wyszczrzył zęby w uśmiechu; zdziwiłem się, że są tak nieskazitelnie białe. Coś błysnęło w głębi jego ust: w języku też miał kolczyk. Nie szczekał nim o zęby przy rozmowie, co świadczyło o sporym doświadczeniu. Czyżby u młodszych pokoleń próg bólu nieustannie się podnosił? Czy z tego wynika, że mamy coraz lepszych komandosów?

– Dlaczego odniósł pan wrażenie, że zapuszczacie się na nieznane wody? – spytałem.

– Łazili tu jak ostatnie młoty; widać było, że nie mają pojęcia o tej robocie. Najbardziej wpienia mnie to, że osobiście im doradzałem, jak najlepiej mogą wykorzystać forszę. A oni się ulotnili i wystawili mnie do wiatru.

– Wszystko poszło na pana konto, co?

– Szef powiedział, że skoro to ja zawarłem transakcję, muszę ich znaleźć i odzyskać sprzęt. Gówno znalazłem.

– Cały czas mówi pan „oni” – wtrącił Milo. – O ilu osobach mowa?

– O dwóch, facet i babka.

– Jak wyglądali?

– Dwadzieścia parę, może trzydzieści lat. Ona całkiem, całkiem, blondynka, jasna, jak Marilyn Monroe albo dawna Madonna. Tylko ta miała proste, długie włosy. Niezłe ciało, chociaż bez przesady; twarz w porządku. On był od niej wyższy i starszy, zgrywał równiachę.

– Ile mógł mieć lat?

– Trzydzieści kilka, ona trochę mniej. Nie bardzo się im przyglądałem. Ona prawie się nie odzywała, tylko ten facet.

– Wysoki?

– Twojego wzrostu, ale chudy... Może nie tak jak ja, ale do ciebie też mu było daleko. – Kudłacz uśmiechnął się cierpko.

– Włosy?

– Czarne, długie...

– Jak u pana?

– O takich to sobie mógł co najwyżej pomarzyć. Kręcone, jakby miał trwałą... Do ramion.

– Ona – platynowy blond, on – długie kręcone – zanotował Milo. – Peruki?

– Pewnie. Wiesz, stary, to łatwo poznać.

– Jak byli ubrani?

– Zwyczajnie. Nic specjalnego.

– Jakieś znaki szczególne?

Kudłacz parsknął śmiechem.

– To znaczy? Trzy szóstki na czole? Nie, nic z tych rzeczy.

– Poznałby ich pan, gdyby ich teraz zobaczył?

– Nie wiem. – Kudłacz wysunął język spomiędzy zębów; wyuczony manieryzm zmieniał jego twarz w groteskową maskę. – Raczej nie. Nie zwracałem uwagi na ich twarze, chciałem, żeby jak najlepiej wydali forszę.

– Może jednak udałoby się ich panu rozpoznać?

– A co, macie zdjęcie?

– Jeszcze nie.

– Jak będziecie mieli, to wpadnijcie. Niczego nie obiecuję.

– A te peruki... – zainteresował się Milo. – Nie zaniepokoiły pana?

– Niby dlaczego?

– Może chcieli coś ukryć?

Kudłacz prychnął pogardliwie.

– W tym biznesie każdy ma coś do ukrycia. Nie widuje się już dupencji z naturalnymi piórami, faceci też paradują w perukach i z umalowanymi oczami. Wielkie mi co – może kręcili własny film, sami wszystkim się zajmowali. Niezależne wytwórnie zawsze tak robią.

– Mówili coś o filmie?

– Ja nie pytałem, oni nie opowiadali.

– „Krwawa przechadzka”... – Milo się zamyślił. – Mogła być niezła rzeźnia.

– To prawda. – Kudłacz tracił zainteresowanie rozmową.

– Pożyczyli sztuczną krew.

– Kilkadziesiąt litrów. Wybrałem im najlepszą, jaką mieliśmy, gęstą, elegancką... A oni tak mnie załatwili. Szef nie był zachwycony.

– Nie sądzi pan, że kręcili pornosa?

– Wszystko jest możliwe. Znam większość z tych, co siedzą w porno, ale nie brakuje nowych frajerów, którzy chcieliby się przebić. Chociaż nie wydaje mi się. Nie sprawiali wrażenia napalonych na pornole prawiczków.

– A jak wygląda napalony na pornole prawiczek?

– Nawalony po uszy ecstazy, cały czas pieprzy o wielkiej przygodzie, jaka go czeka... A ci mało mówili. Jak się tak dobrze zastanowić, to oboje prawie się nie odzywali.

– Czy szef zrobił coś poza tym, że kazał ci ich poszukać?

– To znaczy?

– Wypytywał gdzieś o nich? Wynajął gości do ściągania długów?

– Wynajął, ale kiedy nie doczekał się efektów, to zrezygnował. Mieliśmy dobry rok, chyba przeżyje stratę czternastu patoli.

– Często się to zdarza?

– Co, że nas ktoś orźnie? Często to może nie, ale się zdarza. Chociaż rzadko aż na tyle kasy, a poza tym zwykle coś odzyskujemy.

– Ma pan ich teczkę?

– Nie wyrzucałem jej.

– Moglibyśmy ją zobaczyć, panie...?

– Bonner, Vito Bonner. – Kudłacz znów wytarł ręce o koszulkę. – Zajrzę na zaplecze. Orznęli kogoś jeszcze? To dlatego ich szukacie?

– Można tak powiedzieć.

– Rany... Ależ ci ludzie są głupi. Ostrzeżliśmy wszystkie firmy w okolicy, w Burbank i Culver też. – Pasemko czarnych, sztucznych włosów załaskotało go w brodę. Odrzucił je gniewnym gestem. –

Tych z Doliny chyba też, więc jak ktoś im coś potem pożyczył, to sam jest sobie winien.

Siedliśmy w aucie Mila, żeby przejrzeć teczkę z napisem „THIN LINE: KRWAWA PRZECHADZKA. DUŻY DŁUG”. Zaczynało się od listu z agencji Encino, specjalizującej się w znajdowaniu zbiegłych dłużników. Opis długich poszukiwań kończył się stwierdzeniem, że nie wykryto żadnych śladów. Dalej znaleźliśmy prośbę o wypożyczenie sprzętu. Podany w piśmie adres Thin Line prowadził na Abbot Kinney Boulevard w Venice. Mieściła się tam centrala telefoniczna, a adnotacja na marginesie wskazywała, że podany numer jest numerem automatu.

– Kawalek drogi od Hollywood – stwierdziłem. – Zwłaszcza że znacznie bliżej, w Santa Monica, też są wypożyczalnie. Nie chcieli kalać własnego gniazda.

Milo skinął tylko głową, wczytując się w formularz. Podpis u dołu strony był nieczytelny, ale przypięta spinaczem wizytówka głosiła:

Griffith D. Wark PRODUCENT I PREZES *THIN LINE PRODS*

W lewym dolnym rogu numer automatu, w prawym – znaczek przedstawiający starą kamerę filmową.

– Falszywy telefon – rzekł Milo. – Stary numer. Wark... Brzmi jak pseudonim.

– Griffith D. W. – powiedziałem. – Stawiam dziesięć do jednego, że to przeróbka D. W. Griffitha; założę się też, że „W” u Griffitha oznaczało „Wark”. Niezbyt to wyrafinowane, ale nasz Vito się nie połapał.

– Nasz Vito wie pewnie więcej o lampach studyjnych niż o historii kina. – Milo przerzucił stronę. – Potwierdzenie z banku, że czek ma pokrycie: Bank of America, oddział w Panorama City. Rany, tam też byli? – Zerknął na zegarek. – Teraz nie ma już co dzwonić do szefa oddziału. Podjadę do Venice, sprawdzę, czy faktycznie mieli tam lokum, a potem zabiorę te papiery do laboratorium. Może znajdą jakieś stare odciski kogoś z naszej kartoteki. A jutro roześlemy wici po innych wypożyczalniach w całym kraju. Zobaczymy, czy pan Wark oszwabił jeszcze kogoś.

– Spodobał ci się wątek filmowy, co?

– Trzeba pracować z tym, co się ma. A ja już jestem stary pies na skunksy, gdzie cuchnie, tam węszyć.

– Ogłoszenie o castingu też mogło być fałszywe. Gdyby na przykład kazali niedoszłym gwiazdom zapłacić za przesłuchanie.

– Nie zdziwiłbym się. Hollywood to jeden wielki przekręt: image *iiber alles*, nawet jeśli wszystko z pozoru odbywa się legalnie. Jedną z pierwszych spraw, które robiłem jeszcze w wydziale rozbojów, była sprawa... – tu Milo wymienił nazwisko dobrze znanego aktora. – Zaczynał na studiach, kręcił jakieś pseudoartystyczne filmiki na sprzęcie ukradzionym z wydziału reżyserskiego.

Kiedy go dopadłem, pyskował strasznie, nie czuł żadnego wstydu czy skruchy, ale w końcu zgodził się wszystko oddać, a szkoła postanowiła go nie ścigać. Parę lat później oglądam sobie telewizję, patrzę, a ten palant kandyduje do Oscara z jakimś dziełem o reformie więziennictwa i gada takie rzeczy, jakby był świętszy od papieża. A co powiesz o... – Tu padło nazwisko słynnego reżysera. – Wiem ze stuprocentową pewnością, że wkręcił się do wytwórni, roznosząc colę do gabinetów dyrektorów. Trzeba przyznać, że ten Wark znalazł sobie idealny biznes, w sam raz dla psychopaty. Pytanie brzmi: co ma wspólnego jego przekręt z moimi sprawami?

Wróciłem do siebie po szóstej i zastałem już półciężarówkę Robin pod wiatą. W całym domu unosił się cudowny, słonawy aromat rosołu z kury.

Robin stała przy kuchence, mieszając w garnku. Rozpuszczone włosy spływały jej swobodnie na kark, czarny dres podkreślał jeszcze ich kasztanowaty odcień. Rękawy miała podciągnięte do łokci, a na jej twarzy pojawiły się kropelki potu od gorąca panującego w kuchni. Spike przycupnął u jej stóp, dyszał i czekał na ochłapy. Na stole stały dwa nakrycia.

Kiedy ją pocałowałem, Spike warknął gardłowo.

– Nie bądź taki – skarciłem go. – Podziel się.

Zabulgotał jeszcze raz i poszedł do miski z wodą.

– Zastraszenie wroga prowadzi do zwycięstwa – stwierdziłem.

Robin się roześmiała.

– Pomyślałam, że może zjemy coś w domu. Rzadko cię tu ostatnio widuję.

– Świetny pomysł. Przyrządzić coś?

– Nie, chyba że masz ochotę na coś specjalnego.

Zajrzałem do rondla: złocisty rosół bulgotał, odsłaniając chwilami marchewkę, seler, cebulę, skrawki drobiowego mięsa i gruby makaron.

– Nie.

Stanąłem za Robin i objąłem ją w talii, po czym zsunąłem dłonie na biodra. Poczulem, jak się rozluźnia.

– Oto jedna z najwspanialszych męskich fantazji – powiedziałem. – On przypadkiem zastaje ją przy garnkach. A że jest ognistym ogierem...

Robin zaśmiała się, westchnęła lekko i oparła o mnie plecami. Przeniosłem dłonie w górę, na jej piersi, miękkie i swobodne pod cienką tkaniną. Sutki stwardniały pod moimi palcami. Zsunąłem dłoń niżej, pod figi. Robin sapnęła głośno.

– Ech, wy psycholodzy. – Przykryła moją rękę swoją i zepchnęła ją jeszcze niżej. – Za dużo fantazujecie, zamiast wrócić do rzeczywistości.

Rankiem, zaraz po przebudzeniu, moje myśli zaczęły krążyć wokół Claire i twierdzenia jej rodziców, jakoby wybrała psychologię, gdyż chciała pomagać ludziom. Dziwne wobec tego, że specjalizowała się w neuropsychologii, czyli czystej diagnostyce, na badaniach, wykresach i naukowych hieroglifach, unikając zaangażowania w terapię. Prawie nie wychodziła z laboratorium. Na dobrą sprawę w szpitalu okręgowym opiekowała się wyłącznie danymi z eksperymentów.

Do czasu, aż pół roku temu przeszła do Starkweathera. Może jednak Robin miała rację i Claire chciała w ten sposób powrócić do swoich altruistycznych marzeń?

Tylko czemu akurat wtedy i w taki sposób?

Coś mi nie pasowało w tej układance. Czuję się tak, jakbym głowę miał pełną przypadkowo rozrzuconych fiszek. Chodziłem w kółko po gabinecie, starając się zebrać myśli. Robin wzięła Spike'a na spacer i w domu zapanowała nieznośna cisza. Dawno, dawno temu dobrze mi się mieszkało w samotności, lecz miłosne więzy mnie odmieniły. A jakiej miłości doświadczyła w życiu Claire?

Dzwonek telefonu zabrzmiał jak trzask rozbijanej tafli szkła.

– Zacznę od drobiazgów – poinformował mnie Milo. – Joseph Stargill nie jest aż tak bogaty, jak twierdził, ponieważ za część majątku nie spłacił jeszcze kredytów, ale i tak wychodzi na ponad cztery miliony na czysto. Z praktyki radcowskiej ma około stu osiemdziesięciu tysięcy rocznie. Gdyby był żądnym krwi psychopatą albo po prostu serdecznie nienawidził Claire, trzysta pięćdziesiąt kawałków mogłoby być dla niego niezłą motywacją. Znajomy notariusz twierdzi ponadto, że Stargill musiałby się nieźle namęczyć, żeby dostać dom Claire. Nie spisała testamentu, więc większość jej majątku przejmą władze stanowe, a reszta zostanie się rodzicom. Nie znaczy to, że zupełnie skreśliam go z listy podejrzanych. Zamierzam jeszcze poniuchać, czy ostatnio nie wpakował się w jakieś chybione inwestycje. Chociaż na pewno jego pozycja na liście się obniży.

Druga rzecz: żadna inna wypożyczalnia nie została orznięta przez pana Warka i jego Thin Linę. Może nie planował kradzieży sprzętu na wielką skalę, tylko chciał nakręcić film, a potem postanowił zatrzymać kamery i rekwizyty. Nie wpadłem na ślad Warka. Scenariusz „Krwawej przechadzki” nie został zarejestrowany w żadnej gildii scenarzystów, nikt nie słyszał o Thin Linę Productions, nie ma dowodów na to, że film w ogóle ujrzał światło dzienne. Sprawdziłem też w laboratoriach, które prowadzą obróbkę taśm filmowych – jeżeli coś nakręcili, to musieli to gdzieś wywołać. Nic z tego. W Bank of America nie udzielają informacji telefonicznie, muszę podjechać osobiście do Panorama City i okazać nakaz sądowy, żeby pozwolili mi obejrzeć historię rachunku Thin Linę.

– Nie tracisz czasu – przyznałem.

– Ale wciąż nic nie mam. Zaczynam dochodzić do wniosku, że historia z filmem to tylko wątek poboczny całej sprawy, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę trzecią rzecz: oddzwoniła do mnie kobitka

od zwolnień warunkowych, niech ją Bóg błogosławi. Wygląda na to, że jeden facet wyszedł ze Starkweathera siedem miesięcy temu, trzy tygodnie przed tym, jak Claire zaczęła tam pracować. Nazywa się Wendell Pelley. Trochę się rozminęli, ale mógł dowiedzieć się o Claire od kogoś, kto wciąż tam siedzi. Niewykluczone też, że się spotkali. Oficjalnie kontrakt zaczął obowiązywać trzy tygodnie po jego odejściu, ale nie mamy pewności, czy już wcześniej nie odwiedzała szpitala – żeby się rozejrzeć, sprawdzić, czy się jej podoba. Powiedzmy, że przypadkiem natknęła się wtedy na Pelleya. Wiesz, właśnie ma wyjść, więc jest godny zaufania i oprowadzają po oddziałach, jak Hatterson. Sam rozumiesz: ona chce pomagać ludziom i na wejście dostaje taki żywy dowód sukcesów Starkweathera. Mogło jej się spodobać, nie?

– Pewnie, że tak – przytaknąłem. – Tylko że siedem miesięcy oznacza, że Pelley wyszedł miesiąc po zabójstwie Richarda Dady.

– No więc Dadę załatwił ktoś inny; od początku brałem to pod uwagę.

Po głosie Mila poznałem, że nie należy drażnić tej kwestii.

– Co wiesz o Pelleyu? – spytałem.

– Biały, czterdzieści sześć lat, zamknięty dwadzieścia jeden lat temu za zamordowanie własnej dziewczyny i trojga jej małych dzieci. To było w górach, na terenach złotonośnych. Wygląda na to, że Pelley chciał trochę pokopać na własną rękę, ściągnął ją z dziećmi do siebie, żeby żyć w rodzinie, a potem schlał się, doszedł do wniosku, że kobieta próbuje go okraść, i wpadł w szal. Rozpoznano u niego schizofrenię paranoidalną, popartą solidną przeszłością narkotykowo-alkoholową. Nie nadawał się do procesu.

– Dlaczego go wypuścili?

– Wydział zwolnień dostał rekomendację ze Starkweathera. To wszystko.

– Swig zatwierdził tę decyzję. Sporo przemilczał.

– Gnoj jeden. Od początku mi się nie podobał. Trzeba będzie i jemu pogrzebać w papierach, ale na razie moim głównym zmartwieniem jest znalezienie Pelleya.

– A co, zniknął? Goście na warunkowym powinni przecież mieć kuratora i poddawać się losowym testom na narkotyki.

– Zabawne, prawda? Pelley sypiał w zakładzie przechodnim dla byłych pacjentów w pobliżu parku MacArthura. Od miesiąca nikt go tam nie widział. Personel twierdzi, że od razu zawiadomili kuratora. Odezwałem się do niego, ale na razie nie oddzwonił.

– A kogo on z kolei powinien zawiadomić?

– Miejscową policję, ale tam nie mają śladu po zawiadomieniu. To się nazywa system, nie?

– Czy Swig też by się o tym dowiedział?

– Niewykluczone. Jeśli tak, to mamy kolejną rzecz, którą zataił. Chociaż na razie i tak do niczego się nam nie przyda. Nie sądzę, żeby Pelley uciekł do Starkweathera.

– Co dalej? Ogłaszamy alarm w całym stanie?

– Nie, to dobre dla telewizji. Oficjalnie Pelley nie zrobił jeszcze nic złego, więc ani ci ze zwolnień, ani my nie chcemy, żeby prasa się na to rzuciła i wywołała panikę. Jeżeli policja rzeczywiście zostanie zawiadomiona, zdjęcie i opis Pelleya znajdzie się na tablicy ogłoszeń na posterunku. Jeśli sekretariat wykaże nieco dobrej woli, to może fotki trafią też do samochodów patrolowych. Jeżeli Pelley gdzieś coś przeszkobie, a któryś z chłopców zdąży tam na czas, przymkną go, jeśli natomiast nie będzie sprawiał problemów, może mu się udać wtopić w tło.

– Wyszedł na trzy tygodnie przed przejściem Claire do Starkweathera – powtórzyłem. – Możesz mieć rację. Spotkali się i zainteresowała się nim jako pacjentem wyleczonym.

– Przecież nawet wspominała tej pani doktor, że ją to rajcuje: „Tylu szaleńców i tak niewiele czasu”.

– Pelley i Peake mogli poza tym jakoś się porozumieć, coś ich łączyło, więc Peake z nim rozmawiał. Jedno ich łączy: obaj zamordowali rodziny.

– Nie słyszałem o lepszym fundamencie dla serdecznej przyjaźni – rzekł Milo i zaklął.

– Heidi nic nam nie mówiła, że Pelley wyszedł, ale mogła o nim nie słyszeć. Zaczęła pracę jeszcze później niż Claire.

– I tak chciałbym jeszcze z nią porozmawiać. Na razie jest jedyną osobą z personelu, która wykazuje choćby minimum woli do współpracy. Przychodzi na dyżur o trzeciej. Nie będzie mnie w biurze, bo zamierzam pouganiać się za Pelleyem, więc zostawiłem wiadomość i oprócz swojego podałem też twój numer. Nie przeszkadza ci to?

– W porządku. Spróbuję porozmawiać z szefem psychiatrów, tym Aldrichem, co wie o Pelleyu.

– Na razie nie. Muszę zachować dyskrecję. Jeżeli okaże się, że Pelley jest draniem, którego szukamy, ktoś kto go wypuścił, wpadnie w gówno po uszy. Nie ma sensu ich ostrzegać, bo przygotowują sobie linię obrony. Swig skontaktuje się z wujciem senatorem i zbuduje barykadę z papierów.

Sądząc po głosie, Milo był zarazem wściekły i rozradowany.

– Jesteś strasznie naładowany – stwierdziłem.

– Nie wiem, ale jedno mogę ci powiedzieć na pewno: znacznie bardziej podoba mi się to, co teraz robię, niż babranie się w bełkocie Peake’a i biznesie filmowym. Ten świat już znam: niewłaściwy facet wychodzi na wolność, dzieją się złe rzeczy... Moja wiara w gówniane zakończenia znów chyba znajdzie potwierdzenie.

Odgrzałem sobie wczorajszą zupę i zagryzłem ją czerstwą bułką. Rozmyślałem o entuzjazmie Mila w sprawie Wendella Pelleya.

Nie dość, że był poza podejrzeniami w sprawie Dady, to mordując rodzinę użył pistoletu, a nie noża. Czyżby przez te dwadzieścia jeden lat w szpitalu zmienił styl? Poza tym naprawdę urwał się z zakładu przechodniego.

Milo tymczasem opierał się na tym, czego najbardziej nienawidził, na teorii. Gdyby umiał spojrzeć na sprawę z dystansu, może jego entuzjazm trochę by osłabł. Nic nie mówiłem, postanowiłem zachować wątpliwości dla siebie. Prowadząc terapie nauczyłem się jednego: najważniejsze jest właściwe wyczucie czasu.

Telefon z centrali zadzwonił o trzeciej dwadzieścia trzy. Spodziewałem się usłyszeć Heidi Ott, ale telefonistka oznajmiła:

– Dzwoni doktor Hertzlinger ze szpitala okręgowego. Chodzi o doktor Argent.

– Proszę łączyć.

W słuchawce pstryknęło.

– Doktor Delaware? Tu Mary Hertzlinger. Dzwoniłam do detektywa Sturgisa i od kogoś na posterunku dostałam pański numer.

– Pan Sturgis musiał wyjechać i prosił, żebym odbierał za niego wiadomości. O co chodzi?

– Kiedy wyszliście od nas, panowie, złapałam się na tym, że nie mogę przestać myśleć o Claire. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy źle się nie wyraziłam. Chodzi mi o o dziwne zdanie: „Tylu szaleńców i tak niewiele czasu”. Pytaliście, panowie, czy Claire była zdenerwowana, a ja odpowiedziałam, że nie, że nawet się uśmiechała. Im dłużej jednak się nad tym zastanawiam, tym wyraźniej widzę, że ta uwaga kompletnie do niej nie pasuje. Claire nie miała zwyczaju żartować, nigdy nie okazała choćby śladu poczucia humoru. Nie chcę jej obgadywać – była po prostu z natury bardzo poważną osobą. Staram się nie analizować ludzkiej natury w życiu prywatnym, ale wie pan, jak to jest. Anomalie mnie intrygują.

– Mnie też. Ryzyko zawodowe.

Doktor Hertzlinger zaśmiała się krótko.

– Kojarzą mi się ze stresem.

– Myśli pani, że Claire była spięta w związku ze zmianą pracy?

– To tylko domysły. Rzecz w tym, że rzuciła to zdanie tak, jakby wielokrotnie je wcześniej ćwiczyła, jakby powtarzała wyuczoną lekcję. Prawdę mówiąc, to było dziwne posunięcie, prawda? Miała u nas spokojną pracę, doktor Theobald ją cenił... A ona po prostu zebrała rzeczy i wyniosła się

do takiego Starkweathera? Nigdy wcześniej nie pracowała z pacjentami, że o psychotycznych mordercach nie wspomnę. To nie ma sensu.

– Może miała dość pracy naukowej i chciała pomagać ludziom bezpośrednio.

– Ale dlaczego w Starkweatherze? Komu tam można pomóc?

– Twierdzi pani zatem, że bała się tego, co chce zrobić, ale nie zmieniła decyzji?

– Owszem, chociaż to również brzmi absurdalnie, prawda? Skoro tak się tym denerwowała, to po co tam szła? Założę się, że gdyby poszła do doktora Theobolda i oznajmiła mu, że zmieniła zdanie i chce zostać, przyjąłby ją bez gadania, z otwartymi ramionami; była świetną specjalistką. Trudno mi to wyjaśnić. W każdym razie starałam się wrócić pamięcią do tego dnia, gdy wynosiłyśmy pudełka do auta – jak się wtedy zachowywała, o czym rozmawiałyśmy... Niewiele pamiętam, ale coś jednak sobie przypomniałam: powiedziała, że zostawia część szpargałów w szafce w pokoju i że wróci po nie wieczorem. Siedziałam wtedy w biurze do późna, ale Claire się nie pojawiła. Nigdy już się nie pojawiła. Poszłam więc dziś sprawdzić – i rzeczywiście: w kącie stoją dwa kartony, podpisane jej nazwiskiem, zamknięte, ale nie zaklejone, więc zajrzałam do pierwszego z nich. Mam nadzieję, że nic złego się nie stało?

– Nie, nie – uspokoiłem ją. – Znalazła pani coś ciekawego?

– Głównie kserokopie artykułów z prasy fachowej: publikacje Claire i kilka prac związanych z jej studiami nad alkoholizmem. Poza tym znalazłam plastikową torebkę z wycinkami z gazet, a właściwie kserokopiami wycinków. Przejrzawszy je wiedziałam od razu, że muszę zadzwonić do pana Sturgisa: wszystkie dotyczyły masowego morderstwa, którego dokonano przed szesnastu laty...

– Rodzina Ardullów – przerwałem jej. – Ardis Peake.

Cisza. A po chwili:

– Już wiecie.

– Peake siedzi w Starkweatherze. Był pacjentem Claire.

– Mój Boże... To znaczy, że Claire zainteresowała się nim, kiedy jeszcze pracowała u nas, może nawet ze względu na niego zmieniła pracę... Tylko po co?

– To dobre pytanie. Gdzie są teraz te wycinki?

– Mam je przed sobą. Palcem ich już nie tknę, do drugiego pudełka nawet się nie zbliżam. Możecie, panowie, przysłać kogoś, żeby je odebrał dziś przed ósmą albo jutro od siódmej rano.

– Dziękuję pani, za telefon również. Jak tylko złapię pana Sturgisa, o wszystkim mu opowiem.

– A ten Peake... Nadal przebywa w zamknięciu?

– Tak.

– Czyli to nie on. – Doktor Hertzlinger odetchnęła z ulgą. – Zaczęłam trochę czytać o tym, co zrobił... Nieważne, powiedziałam wszystko, co chciałam.

– Mam jeszcze pytanie. Czy Claire wspominała kiedyś, że uwielbia chodzić do kina?

– Przy mnie nie. A dlaczego pan pyta?

– Z tego, co wiemy, była to jej ulubiona rozrywka.

– Chyba nie jestem zaskoczona... Jasne, świetnie to rozumiem: zagubiona w świecie fantazji.

– Wyglądała na osobę, która ma bogate fantazje?

– Wyglądała na osobę uzależnioną od bogatych fantazji. Bo widzi pan, ona nie miała – nie chcę być okrutna, ale taka jest prawda – nie miała raczej żadnego prawdziwego życia.

Zainteresowała się Peakiem przed zmianą pracy.

To był jej projekt: próba rozwinięcia jego zdolności do komunikacji werbalnej.

Tak przynajmniej twierdziła. Co ją w nim zaintrygowało? Coś w psychice? Czy tylko zbrodnia?

Trzymała wycinki razem z artykułami.

Czy to znaczy, że uważała je za równoprawne dane naukowe?

No i dlaczego specjalistka od alkoholizmu, wychowana w Pittsburghu, po studiach w Cleveland, miałaby się zainteresować zbrodnią, którą przed szesnastu laty popełniono w małej kalifornijskiej miejscinie?

Miejscinie, której już nie ma.

Treadway – miasto, które zniknęło. Cała społeczność przepadła bez śladu. Jaką rolę w jego losach odegrało morderstwo Ardullów?

Krwawa przechadzka Peake'a... Nie mogłem otrząsnąć się z tych myśli. Claire, naukowiec, wpada na trop...

Za dwadzieścia czwarta, kiedy Heidi Ott wciąż się nie odzywała, sprawdziłem, czy nie ma dla mnie żadnych wiadomości i pojechałem do biblioteki.

Najpierw skserowałem i jeszcze raz przejrzałem wygrzebane poprzedniego dnia doniesienia o morderstwach. Nie doznałem olśnienia, więc przeszukałem archiwum, podając jako hasła „Ardullo” i „Ardis Peake”. Cofnąwszy się w czasie, znalazłem pięć adekwatnych artykułów; wszystkie pochodziły z „L. A. Timesa”.

24 października 1929

ARDULLO POPROWADZIŁ ZESPÓŁ INDIAN DO ZWYCIĘSTWA Red Schoen, dziennikarz sportowy „Timesa”

Dwa rekordowe biegi z piłką, jakie w czwartej kwarcie spotkania wykonał Henry „Byk” Ardullo, dały Indianom ze Stanford zwycięstwo 21 do 7 nad Niedźwiedziami z Uniwersytetu Kalifornia w dramatycznym meczu, który odbył się w niedzielę.

Ardullo, cieszący się zasłużoną sławą dzięki precyzyjnym podaniom, tym razem udowodnił, że ma charakter w nogach. Niedościgniony, niby boski posłaniec Merkury, przebiegł raz siedemdziesiąt, a za drugim razem aż osiemdziesiąt dwa jardy, osiągając bez przeszkód pole punktowe. Zgromadzony na trybunach tłum urządził mu owację na stojąco; ponoć wysłannicy drużyn profesjonalnych, którzy bacznie śledzili gwiazdorski sezon Ardulla, i tym razem przyglądali się jego grze. Nie dziwny się więc, jeśli o „Byka” „upomni się wielki świat, może jeszcze zanim opuści uczelniane mury. Najważniejsze jednak – zwłaszcza dla dzielnych absolwentów Pało Alto – jest to, że Czerwonoskórzy mają już prawie pewne miejsce w finale Rose Bowl.

8 grudnia 1929

GWIAZDA FUTBOLU WYŁĄCZONA Z GRY PRZEZ KONTUZJĘ Red Schoen, dziennikarz sportowy „Timesa”

Henry „Byk” Ardullo doznał podczas wczorajszego treningu złamania kości udowej i opuścił boisko na noszach.

Ardullo, najlepiej punktujący quarterback ligi uniwersyteckiej zachodniego wybrzeża, miał być kapitanem drużyny Indian w zbliżającym się finale Rose Bowl, gdzie ich przeciwnikiem będzie drużyna Uniwersytetu Kalifornia. Lekarze, opiekujący się kontuzjowanym zawodnikiem, ogłosili, że złamanie oznacza dla niego koniec kariery sportowej.

12 sierpnia 1946

GRUPA FARMERÓW TWIERDZI, ŻE BEZ ZWIĘKSZENIA ZATRUDNIENIA IMIGRANTÓW NIE DA SIĘ WYŻYWIĆ MIESZKAŃCÓW STANU John M. D'Arcy, dziennikarz „Timesa”

Przedstawiciele związku kalifornijskich plantatorów owoców spotkali się w tym tygodniu w Waszyngtonie z wiceministrem rolnictwa Clementem W. Chasem, aby zażądać złagodzenia praw imigracyjnych w celu dopuszczenia swobodniejszego zatrudniania pracowników najemnych z Meksyku.

Affiliated Agricultural Network utrzymuje, że zaostrzenie praw imigracyjnych podniesie wynagrodzenie za pracę do pułapu, który „groźbowym naruszeniem interesów konsumentów krajowych”, jak powiedział prezes AAN Henry Ardullo, hodowca orzechów i brzoskwiń w Treadway w Kalifornii.

„Ci ludzie zarabiają u nas dziesięciokrotnie więcej niż w Meksyku, a ich praca ma dla nas nieocenioną wartość – mówi Ardullo. – Podejmują się prac, których nikt inny nie chce wykonywać, toteż amerykańscy robotnicy nie ucierpią na ich zatrudnieniu. A przy okazji gospodynie domowe mogą zakupić w sklepie najlepsze, najpyszniejsze owoce, jakie kiedykolwiek rosły na Ziemi – i to za cenę, przy której nie pozostaje nic innego, jak zdrowo się odżywiać”.

Antyimigracyjne grupy nacisku są przeciwne zmianom. Wiceminister Chase obiecał, że rozważy sprawę i wkrótce wyda stosowne zarządzenie.

14 stycznia 1966

TRZEBA OPRZEĆ SIĘ POKUSIE SPRZEDAŻY ZIEMI – MÓWIĄ SADOWNICY Stephen Bannister, dziennikarz działu ekonomicznego „Timesa”

„Farmerzy nie powinni dać się skusić ofertą sprzedaży ziemi, mimo wysokich cen tutejszych terenów – powiedział nam jeden z największych sadowników, Kern County. – Stawką w tej grze jest bowiem przyszłość gospodarstw rodzinnych”.

„Perspektywa uzyskania szybkich korzyści jest naprawdę kusząca. Bóg jeden wie, jak ciężki jest dziś los farmera, odkąd rząd wprowadza ciągle nowe i nowe ograniczenia – mówi Henry Ardullo, hodowca orzechów włoskich i brzoskwiń z Treadway w Kalifornii, były prezes Affiliated Agricultural Network, grupy zrzeszających niezależnych plantatorów. – Farmy zaś są duszą naszego stanu. Kalifornia jest spichlerzem Ameryki. Jeżeli dla łatwego zysku obetniemy rękę, która nas karmi, co zostawimy w spadku naszym dzieciom? Pola golfowe i kluby tenisowe są śliczne, ale trawą nikogo się nie nakarmi”.

Ardullo wypowiedział się w ten sposób w hotelu „Fairmont” w San Francisco. Na imprezie z cyklu kampanii wyborczej Partii Republikańskiej wystąpił w towarzystwie senatorów, Williama Grebena i Rudy’ego Torresa, oraz przedsiębiorcy budowlanego, Sheridana Kraffta.

5 marca 1975

HENRY ARDULLO, GWIAZDA FUTBOLU UNIWERSYTECKIEGO, PREZES ORGANIZACJI FARMERSKICH

W ubiegłą środę na swoim ranczu w Treadway, w Kalifornii, zmarł Henry „Byk” Ardullo. Za młodu zasłynął jako znakomity quarterback drużyny Uniwersytetu Stanforda, w której pobił lalka rekordów podań i biegów. W 1930 roku otrzymał bakalaureat w dziedzinie nauk ekonomicznych. Powszechnie spodziewano się, że zostanie gwiazdą w zawodowym futbolu amerykańskim, lecz poważna kontuzja gwałtownie przerwała jego karierę.

Po ukończeniu studiów włączył się do pracy w rodzinnej firmie – plantacji orzechów włoskich i brzoskwiń, założonej przez ojca, Josepha (Giuseppe) Ardulla, który w 1883 roku przybył do Kalifornii z Neapolu. Najpierw pracował jako sprzedawca owoców w San Francisco, z czasem zaś zainwestował dochody w posiadłości ziemskie w okolicach Treadway (Kern County), gdzie zasadził setki drzewek zakupionych w Anglii, Portugalii i we Włoszech.

Po śmierci Josepha Ardulla w 1941 roku syn przejął firmę Ardullo AA Fruit i przekształcił ją w spółkę BestBuy Produce. Dalej skupował ziemię, tworząc olbrzymi majątek rodowy pośrodku dolnego odcinka doliny. W 1946 roku został wybrany na stanowisko prezesa Affiliated Agricultural Network, zawiązanego po wojnie związku plantatorów niezależnych. Reprezentował interesy AAN w Waszyngtonie; przedstawił między innymi petycję o zwiększenie limitu zagranicznych pracowników najemnych, zatrudnianych na terenie stanu, i wywalczył przychylną dla farmerów decyzję. Był członkiem Kiwanis, Izby Handlowej Treadway oraz Ligi Farmerów; aktywnie wspierał działania Partii Republikańskiej. W latach 1953-1956 był również lokalnym przewodniczącym United Way.

W 1933 roku ożenił się z koleżanką ze Stanforda, Katherine Ann Stethson, córką właściciela dużego sklepu w Pało Alto. Katherine zmarła w 1969 roku, a starszy syn dziewięć lat wcześniej zginął podczas wspinaczki górskiej w Nepalu. Henry Ardullo pozostawił tylko jednego potomka – drugiego syna, Scotta Stethsona Ardulla, zamieszkałego w Treadway, wiceprezesa BestBuy Produce.

Farmy są duszą naszego stanu.

Dopiero atak szału jednego wariata doprowadził do realizacji najgorszego scenariusza Henry’ego Ardulla.

Unicestwiona rodzina; całe miasto wymazane z mapy. Najpierw wygasły zbędne sentymenty, a potem wysoka cena ziemi dokonała dzieła zniszczenia.

Smutne to, ale nie widziałem związku z Claire ani demonami szepczącymi Peake'owi do ucha.

Może była spokrewniona z Ardullami? Chociaż... Rodzice o niczym nie wspominali, a przecież nie mieli powodów, żeby zataić przeszłość. Cóż, ludzie często działają na podstawie ukrytych motywów. Znalazłem automat przy drzwiach czytelnicy i zadzwoniłem do „Flight Inn”. Poprosiłem o przełączenie do pokoju państwa Argentów.

– Słucham? – usłyszałem znajome dudnienie głosu Roba Raya.

– Pan Argent? Mówi doktor Delaware.

– Ach, to pan. Witam.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałbym jeszcze o coś zapytać.

– Ma pan szczęście, że jeszcze nas pan złapał. Właśnie wychodzimy. Wracamy do domu.

– Będę się streszczał. Czy macie państwo krewnych w Kalifornii? Może jakichś plantatorów?

– Plantatorów? Nie.

– Czy mówi coś panu nazwisko Ardullo?

– Również nie. Miałem nadzieję, że może poczyniliście panowie jakieś postępy, skoro pan dzwoni. Skąd te pytania?

– Ardulloowie byli obiektem zainteresowania Claire: dużo o nich czytała, zbierała wycinki prasowe.

– Byli? Czy to znaczy, że coś im się stało?

– Niestety tak: zostali zamordowani szesnaście lat temu. Claire chyba zaciekała ta tragedia.

– Zamordowani. Cała rodzina? – Omal się nie zakrztusił z wrażenia. – No i co... To znaczy, co to ma wspólnego z Claire? Nie znam ich, nigdy o nich nie słyszałem. Musiała się nimi interesować z... zawodowej ciekawości. Przy pracy. Naprawdę musimy już iść. Do widzenia panu.

– Życzę miłego lotu.

– Z pewnością będzie miły – przytaknął Argent. – Przynajmniej wyrwę się z tego ohydneho miasta.

Jego złość nie dawała mi spokoju; czułem się jak ostatni głupiec i natręt. Co właściwie miałem nadzieję osiągnąć w ten sposób? Co wielkie pieniądze i sprzedaż ziemi mają wspólnego ze śmiercią Claire?

Teraz, kiedy już trochę ochłonałem, doszedłem do wniosku, że istnieje proste wytłumaczenie,

dotyczące gromadzenia wycinków: planując przejście do Starkweathersa, Claire uruchomiła jakąś wyszukiwarkę w archiwum, podając nazwę szpitala, i natknęła się na opis krwawej jatki, jaką urządził Peake. Znalazłszy się w nowej pracy, obejrzała go sobie z bliska, przekonała się, że prawie nie kontaktuje – i podjęła wyzwanie.

„Tyłu szaleńców i tak niewiele czasu”.

Po latach spędzonych w laboratorium była spragniona rzetelnej pracy klinicznej; chciała osobiście zapoznać się z obłąkanymi mordercami. Może nawet opublikowałaby przypadek Peake’a, gdyby tylko udało jej się coś osiągnąć.

Wkroczyła w świat szaleństwa, ale wciąż powątpiewałem – mimo entuzjazmu Mila dla Wendella Pelleya – czy jakoś łączyło się to z jej śmiercią. Od początku czułem w głębi ducha, że to ktoś nieźle poukładany – potwornie wypaczony, ale nie chory – poderżnął jej gardło, wepchnął ją do bagażnika i uciekł z garścią gotówki. Portmonetki wciąż nie znaleziono. Podobnie jak żadnych innych śladów.

Może był to ten sam człowiek, który przeciął na pół Dadę, a może nie. Psychologia zaburzeń potrafiłaby wyjaśnić wszystkie podobieństwa; psychopaci nie są wcale tacy oryginalni. Kiedy człowiek wystarczająco często styka się ze złem, przyzwyczajają się do jego smrodu.

Nie ma mowy o głosach w głowie. Może Pelley był na tyle zdrowy, żeby zabić Claire, może nie. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że ktoś tu morduje z zimną krwią.

Dla zabawy. Seryjnie.

Nie pozostało mi nic innego, jak wrócić do domu i zająć się ogródkiem. Wyplewiłem grządki, przyciąłem drzewka, nakarmiłem rybki i odłowiłem liście ze stawu.

Tuż przed piątą zadzwoniła Heidi Ott. Była niezwykle ożywiona.

– Doktorze, to pan? To nie do wiary, ale Peake znów się odezwał! I tym razem Swig nie zarzucił mi, że histeryzuję, nagrałam to na kasetę!

19

Ciuch. – Słucham, Ardis? Szum pustej taśmy. Zerknąłem na zegarek: dwadzieścia dwie sekundy.

– Co mówiłeś? Powiedziałeś coś, Ardis... Chcesz ze mną porozmawiać, prawda? Prawda, Ardis?

Trzydzieści dwie sekundy.

– Ardis? Otwórz oczy... Proszę cię, otwórz oczy.

Minuta. Dziewięćdziesiąt sekund, sto... Heidi Otto dała nam uniesionym palcem znak, żebyśmy cierpliwie czekali.

Dochodziła północ, ale oczy wciąż błyszczały jej z podniecenia. Siedzieliśmy we troje z Milem w pokoju przesłuchań na posterunku – gorącej, cuchnącej lizolem klitce, w której trzy osoby mieściły się z najwyższym trudem. Heidi zebrała włosy w kitkę i podpięła je klamerką. Przyjechała na policję prosto ze Starkweathera – w kieszeni na piersi miała jeszcze szpitalny identyfikator. Taśma przewijała się w maleńkim, czarnym dyktafonie sony.

– Jeszcze chwilę – szepnęła Heidi i zabębniła palcami w metalowy blat stołu.

– Dobrze, Ardis – zabrzmiał jej głos z taśmy. – Może jutro.

Trzydzieści trzy sekundy. Odgłos kroków.

– Ciuch.

– Ciuch, Ardis? Jaki ciuch? Ubranie?

Dwadzieścia osiem sekund.

– Ardis?

– Ciuch ciuch.

– O co chodzi?

– Ciuch ciuch, pif paf.

– Ciuch ciuch, pif paf? Co to znaczy, Ardis?

Piętnaście sekund.

– Ciuch ciuch, pif paf, Ardis? Czy to jakaś gra?

Osiemnaście sekund.

– Ardis? Co to jest ciuch ciuch, pif paf?

Trzydzieści sekund. Czterdzieści. Pięćdziesiąt.

– Co to znaczy, Ardis?

Osiemdziesiąt trzy sekundy. Pstryk.

– W tym momencie przestał zwracać na mnie uwagę – rzekła Heidi. – Nie chciał już otworzyć oczu. Oczekałam jeszcze chwilę, ale wiedziałam już, że nic więcej z niego nie wyciągnę.

– „Ciuch ciuch, pif paf” – powtórzył Milo.

Heidi się zarumieniła.

– Wiem, że to głupio brzmi. Pewnie nie powinnam się tak podniecać, ale przynajmniej coś powiedział, prawda? Odezwał się do mnie! Może będzie dalej mówił.

– Gdzie trzymałaś dyktafon? – spytałem.

– W kieszeni. – Wskazała zawieszoną na oparciu krzesła niebieską kamizelkę myśliwską. – Wczoraj też próbowałam, ale nic z tego nie wyszło.

– „Ciuch ciuch, pif paf” – rzekł znowu Milo. – „Złe oczy doktor A. w pudełku”.

– Też staram się znaleźć jakiś związek. – Nagle na twarzy Heidi odbiło się całe nagromadzone ostatnio zmęczenie. – Tragicie przez mnie czas, panowie. Przepraszam.

– Nie, wprost przeciwnie – uspokoił ją Milo. – Dziękuję, że starasz się nam pomóc. Chciałbym zatrzymać tę taśmę.

– Nie ma sprawy.

Wyjęła kasetkę i podała ją Milowi, po czym schowała dyktafon do kieszeni kamizelki. Wzięła z krzesła torebkę i wstała. Milo podał jej rękę na pożegnanie.

– Dzięki – powiedział. – Naprawdę dziękuję. Wszystko może się przydać.

– Chyba tak... – Heidi wzruszyła ramionami. – Mam dalej nagrywać?

– Nie chcę, żebyś naruszała regulamin.

– Nie słyszałam, żeby zakazywano w nim nagrywania rozmów z pacjentami.

– Wiesz, Heidi, nagrywanie wszelkich rozmów bez zgody rozmówcy jest nielegalne. Więźniowie automatycznie tracą prawo do takiej prywatności, ale nie wiem, jak to jest w przypadku pacjentów Starkweathera.

– No dobrze, w takim razie dam sobie z tym spokój. – Jeszcze raz wzruszyła ramionami i podeszła do drzwi. – Dziwne to, nie? Żeby takich ludzi jeszcze chronić. Oto kolejny powód, dla którego mam już dość tej roboty.

– To znaczy?

– Swigowi gęba się nie zamyka, kiedy rozczuła się nad nimi i mówi, że przecież też są ludźmi. Sęk w tym, że nie znajduję w sobie dość współczucia dla nich, a wołałabym pracować z ludźmi, na których mi zależy. Dobrze przynajmniej, że nie wychodzą ze szpitala.

– A właśnie... – wtrącił Milo. – Jeden z nich został zwolniony.

Zaciśnięte na rączce torebki palce zbieleły.

– Nigdy o tym nie słyszałam. Kiedy?

– Zanim zaczęłaś pracę.

– Kto to był? Jak się nazywał?

– Wendell Pelley.

– Nie znam go – przyznała. – Podejrzewacie go? W związku z zabójstwem Claire?

– Nie, na razie nie. Po prostu staram się uwzględnić wszystkie możliwości. Gdybyś dowiedziała się czegoś o Pelleyu, byliśmy ci bardzo zobowiązani. Szczególnie ciekawi nas to, czy przyjaźnili się z Peakiem.

– Mogę spróbować... Przynajmniej dopóki tkwię w Starkweatherze.

– Czyli jeszcze dwa tygodnie.

– Właśnie. Jeżeli jednak mogę się do czegoś przydać... Czy sugeruje pan, że gadanie Peake'a odnosi się właśnie do tego Pelleya? Że się porozumieli? Pelley przesyła mu wiadomości, a ten przekazuje je dalej?

– Przykro mi, ale mam za mało danych, żeby teoretyzować, Heidi. Po prostu sprawdzam wszystkie ślady.

– Zrobię, co w mojej mocy. – Odruchowo szarpnęła koński ogon i z zatroskanym wyrazem twarzy otworzyła drzwi.

Odprowadziliśmy ją do wyjścia na parterze. Jej samochód stał przy krawężniku, częściowo oświetlony blaskiem latarni – stary, poobijany chrysler z naklejką na zderzaku: „Wspinacze zawsze są na haju”.

– Jaka jest najwyższa góra, którą zdobyłaś? – zapytał Milo.

– Wspinam się raczej na sztucznych ścianach, a nie w górach. Im są gładsze i bardziej pionowe, tym lepiej. – Uśmiechnęła się. – Nikomu pan nie powie? Najlepsza była ściana elektrowni przy granicy z Nevadą. Zrobiliśmy ją o trzeciej nad ranem, a potem na spadochronach zlecieliśmy na dół.

– Adrenalina kipi w żyłach.

– O, tak. – Heidi zaśmiała się, wskoczyła za kierownicę i odjechała.

– Mała komandoska w akcji – powiedziałem. – Chyba znalazła sobie nowe źródło adrenaliny.

– Strasznie jest nakręcona, nie uważasz? No, ale przynajmniej chce współpracować... Co powiesz o ostatnim monologu Peake'a?

– Jeżeli kryje się w nim jakieś głębsze psychologiczne przesłanie, to zupełnie mi umknęło.

– „Ciuch ciuch, pif paf” – prychnął Milo. – Jak lokomotywa.

Wróciliśmy do pokoju zajmowanego przez wydział rozbojów i zabójstw. Ponad połowę biurka Mila zajmowało olbrzymie pudło po zapakowanych na wynos pączkach z Dunkin' Donuts.

– Nie powinieneś wracać do Robin? – zdziwił się Milo.

– Uprzedziłem ją, że to trochę potrwa.

Przejrzał notatki sporządzone w pokoju przesłuchań.

– Heidi, nasza mała alpinistka... Szkoda tylko, że wszystko, czego się dowiedziała, jest pewnie funta kłaków warte. „Ciuch ciuch, pif paf”. Co będzie dalej? Peake zacytuje nam coś z książeczek dla dzieci?

Milo przetarł oczy, złożył papiery na biurku w schludny stos, wyrównał go kciukami.

– Uważasz, że źle zrobiłem, prosząc ją, by wywiedziała się coś o Pelleyu?

– Nie, pod warunkiem, że umie zachować dyskrecję.

– Nie ma tego złego, co by na gorsze nie wyszło. Świć się o tym dowie i zapieni. Nie może narobić hałasu, bo naraziłby się opinii publicznej.

– Wiesz, gdzie się podziewa Pelley?

– Zero wiadomości. Lokalna policja z Ramparts rzeczywiście dostała informację od kuratora, więc coś się potwierdziło. Poza tym kurator niewiele nam pomógł. Obłożony jest setkami spraw, tak że Pelley był po prostu jednym z wielu. Nie sądzę, żeby umiał go rozpoznać.

Podał mi wyjętą z kieszeni, złożoną na czworo kartkę papieru: policyjny list gończy za

podejrzany. Do rysopisu Pelleya dołączono tak ciemne i zamazane zdjęcie, że miałem wątpliwości, czy komuś się na coś przyda. Ja widziałem tylko okrągłą, gładko ogoloną twarz o jasnej skórze, zdecydowanych ustach i nieokreślonych rysach oraz jasne, przeredzone włosy. Ścigany za niezgłoszenie się do kuratora w terminie.

– Dzięki temu mają go znaleźć? – Odłożyłem kartkę na biurko.

– Wiem, wiem, nie jest to mistrzowskie zdjęcie, ale przynajmniej szukają. Ja też trochę się rozejrzałem: pojeździłem po okolicy, zajrzałem do parku MacArthura, potem do Lafayette’a, zwiedziłem ciemne zaułki, parę nielegalnych knajp i innych podejrzanych miejsc. Byłem też w zakładzie przejściowym – mieści się w starej kamienicy, prowadzi go jakiś Koreańczyk. Był ze mną szczery, przyznał, że pracował w pomocy społecznej w Seulu, ale ledwie mówi po angielsku. Pilnuje pacjentów i ze cztery razy do roku robi im losowe testy na branie leków. Doradztwo ogranicza się do wypytywania ich, czy dobrze im się wiedzie. Paru widziałem na własne oczy; nie wyglądali mi na szczególnych bystrzaków. Co do Pelleya, to Koreańczyk pamiętał tylko, że był spokojny, cichy i nie sprawiał kłopotów. Rzecz jasna żaden z pensjonariuszy nie miał nic do powiedzenia na jego temat. – Milo wziął z pudełka czerstwego pączka z cynamonem. – Teraz może być tysiące kilometrów stąd. Niewiele lepiej poszło mi zgłębianie inwestycji Stargilla. W funduszu powierniczym Newport nie chcieli ze mną gadać, a w dodatku dali Stargillovi znać, że węższą. Zadzwoił do mnie wściekły, więc tłumaczę, że chcę go oczyścić z podejrzeń. Może sam zapozna mnie ze swoim portfelem inwestycyjnym. Jeśli wszystko w nim gra, sprawa będzie zamknięta. Powiedział, że przemyśli sprawę, ale głowę dam sobie uciąć, że nie zamierza tego robić.

– Coś ukrywa?

– Albo strzeże swojej prywatności. Każdy ma do niej prawo, nie? Nawet goście, którzy gotują i zjadają małe dzieci. Każdy, poza tymi, którzy trafiają na metalowe stoły, gdzie jakiś facet w białym kitlu zdejmuje im skórę z twarzy, rozcina brzuch i grzebie w bebechach. Wtedy nie ma mowy o prywatności.

Śpiąca Robin nie poruszyła się, kiedy o pierwszej nad ranem wśliznąłem się do łóżka. Wizje zbrodni Peake'a i przeświadczenie, że na niewiele zdała się Milowi moja współpraca, przez długi czas nie dawały mi zasnąć. Serce waliło jak oszalałe, mięśnie miałem ciągle napięte, ale w końcu zmusiłem się do spowolnienia oddechu i zapadłem w niespokojny letarg. Nawet jeżeli miałem jakieś niepokojące sny, nie zachowałem z nich żadnych wspomnień, tylko nogi bolały mnie potwornie, jakbym całą noc przed czymś uciekał.

O dziewiątej rano siedziałem już przy stole, popijałem kawę i jednym okiem śledziłem spektakl, który w Los Angeles uchodzi za wiadomości telewizyjne. Błażeńsko uśmiechnięte gadające głowy przedstawiały najnowsze plotki ze świata show-biznesu, nowinki z prac kretyńskiej rady miasta, aktualne zagrożenia zdrowotne – tego dnia poszło akurat o truskawki importowane z Meksyku. Zanosilo się na to, że wszyscy zginiemy w mękach, kiedy skręcą nam się od nich kiszki. Z czasów, kiedy zajmowałem się terapią dzieci, zapamiętałem, że takie wiadomości straszą skuteczniej niż najgorsze horrory.

Miałem właśnie wyłączyć telewizor, kiedy uśmiechnięta od ucha do ucha blondynka rzuciła zachęcająco:

– A teraz wracamy do dzisiejszego wypadku kolejowego.

Relacja zajęła trzydzieści sekund. Nie zidentyfikowany mężczyzna znalazł się na torach tuż za wschodnią granicą miasta, dokładnie na trasie przejazdu pustego pociągu pasażerskiego. Maszynista zauważył go i uruchomił hamulec bezpieczeństwa, ale nie zdążył zatrzymać składu.

Ciuch ciuch.

Zadzwoiłem do Mila.

Od razu podniósł słuchawkę.

– Wiem, wiem, słyszałem. Pociąg nie wyhamował. Może to nic takiego, a może powinniśmy czcić Peake'a jako proroka, zamiast trzymać go pod kluczem. Ponieważ i tak nie mam nic lepszego do roboty, więc zadzwoniłem do patologów sądowych. Facet nazywał się Ellroy Lincoln Beatty, był Murzynem i miał pięćdziesiąt dwa lata. Notowany za jakieś drobne sprawy – kradzieże, pijaństwo, zakłócanie porządku... Jedno tylko mnie ruszyło: przez pewien czas leczył się w szpitalu psychiatrycznym w Camarillo. Dawno, trzynaście lat temu, kiedy jeszcze zajmowali się takimi pacjentami. Nie widać związku ze Starkweatherem, ale cholera wie. Wypadek podpada pod wydział Newton. Chciałbym, żeby Manny Alvarado prowadził tę sprawę, ale odkąd odszedł na emeryturę, zastępuje go jakiś młody bubek, który nie lubi oddzwaniać do ludzi. Pomyślałem, że w drodze na lunch podskoczę do kostnicy. Jeżeli masz ochotę mi towarzyszyć, zapraszam. Jeśli zgłódniejesz, razem coś potem przekąsimy... Duży, krwisty stek.

– Właściwie tylko głowa i kończyny dolne – oznajmił pomocnik patologa, niski, krępy Latynos nazwiskiem Albert Martinez. Nosił krótko przycięte włosy i bródkę, a na nosie grube okulary, które powiększały i rozjaśniały mu oczy. Na szyi miał zawieszony złoty krzyżyk ręcznej roboty, który w niewytłumaczalny sposób kojarzył mi się z dziełami sztuki bizantyjskiej.

Biuro patologa zajmowało kremowy, piętrowy, utrzymany w idealnym stanie budynek we wschodniej części miasta, nieopodal szpitala okręgowego. Od dawnego biura Claire dzieliło nas dosłownie kilka przecznic. Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi, ale spoczawszy w kostnicy, zatoczyła pełny krąg.

– Reszta ciała przypomina siekane mięso – ciągnął Martinez. – Osobiście uważam, że to cud, że w ogóle coś mamy. Myślę, że pociąg grzmotnął go z prędkością dobrych osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Wnętrze kostnicy było chłodne, nieskazitelnie czyste i pozbawione wszelkiej woni. Puste metalowe stoły z ociekaczami, zwieszające się z sufitu mikrofony i ściana stalowych drzwiczek stanowiły całe jej wyposażenie. Każdy uczeń rozpoznałby to miejsce, tak często pokazywane w telewizji, że przestało robić wrażenie. Tylko że rzadko pokazywano, co znajduje się w szafkach za drzwiczkami. Telewizyjne trupy były nienaruszone, czyste, bezkrwawe – jak rekwizyty filmowe.

Od czasów praktyki po studiach nie zaglądałem do kostnicy i teraz też mi się tu nie podobało.

– Jak go zidentyfikowaliście? – zaciekawił się Milo.

– W kieszeni miał identyfikator z opieki społecznej – wyjaśnił Martinez. – Na kończynach dolnych zachowały się strzępy spodni i tak się złożyło, że kieszeń była cała. Poza tą kartą znaleźliśmy tylko kilka dolców. Ale najciekawsze jest to, że wciąż czuć od niego alkohol, mimo że zmieszany z płynami ustrojowymi. To naprawdę dziwne. Pamiętam tylko jeden podobny wypadek – kobieta zmarła w połogu. Wypiła chyba ze dwie butle wina i wykitowała na stole porodowym. Nawet płyn owodniowy miała czerwony jak wino, rozumiecie? Prawie purpurowy. Nawaliła się po uszy jakimś tanim bełtem. Dziecko oczywiście nie przeżyło... Dla niego to chyba nawet lepiej.

Martinez odruchowo musnął dłonią krucyfiks na szyi.

– Na kiedy planujecie sekcję Beatty’ego?

– Trudno powiedzieć, jak zwykle mamy opóźnienie. Dlaczego pan pyta?

– Jego śmierć może mieć coś wspólnego z pewną sprawą. Mówi pan w każdym razie, że był w sztok pijany?

– Żeby tak od niego zalatywało? O, tak, podejrzewam, że grubo ponad normę. Napruł się pewno, wlaź na tory, zdrzemnął i bum! – Martinez się uśmiechnął. – No i jak, nadaję się na detektywa?

– A co to za różnica? I tak ma pan fajniejszą pracę.

Martinez zachichotał.

– Z tymi torami naprawdę należałoby coś zrobić. Nie ma przy nich płotu, nie ma barierek.. Wychowałem się w tamtej okolicy. Często bawiliśmy się na torach, ale wtedy pociągi tamtędy nie kursowały. A pamiętacie ubiegły miesiąc? Tego malucha, co wlaźł na tory, wracając ze szkoły? Niedaleko od miejsca, gdzie rozjechało Beatty’ego. Dzieciaka w ogóle nie dało się rozpoznać. Powinni postawić tam ogrodzenie... Macie panowie coś jeszcze do mnie?

– Chciałbym obejrzeć zwłoki.

– Poważnie? Po co?

– Żeby traktować go jak zmarłego człowieka.

Martinez złapał krzyżyk mocniej w dwa palce.

– Jak człowieka, tak? No to oglądanie go w takim stanie nie jest chyba najlepszym pomysłem.

– Bardzo śmieszne – rzekł Milo.

Martinez w milczeniu otworzył drzwiczki jednej z szafek, wysunął długą metalową szufladę i podniósł białe prześcieradło.

Twarz zmarłego była szara i, ku mojemu zdumieniu, prawie nienaruszona, jeśli nie liczyć zdartej skóry na lewym policzku. Dokładniej rzecz biorąc – ciemnoszara, gdyż za życia Ellroy Beatty był czarnoskóry. Cztero-, może pięciodniowy siwy, kręcony zarost pokrywał jego brodę i policzki, na głowie kłębiła się masa zmierzwionych, siwiejących włosów. Oczy miał otwarte, mętne, suche i nieobecne, jak u każdego zmarłego, usta pokrywała zakrzepła, różowawa skorupa. Jakimkolwiek człowiek byłby intelektualistą, po śmierci zawsze wygląda głupio.

Od szyi w dół nie było nic – głowa została gładko odcięta od reszty ciała i sterczały z niej tylko strzępy tchawicy, tętnic i włókien mięśniowych. Pół metra dalej leżał owinięty w białe płótno pakunek, zawierający – jak bez potrzeby wyjaśnił Martinez – „kończyny dolne” ofiary.

Milo długą chwilę przyglądał się popielatej twarzy i oczom, w których do niedawna przebłyskiwała świadomość Ellroya Beatty’ego. Teraz były nieruchome i puste.

Ciekaw byłem, ile razy Milo odwiedzał już to miejsce.

– W porządku? – zapytał Martinez, gdy wtem drzwi się otworzyły i wszedł przez nie mężczyzna mniej więcej w wieku Beatty’ego, wysoki, brodaty, przygarbiony i mocno opalony. Na rękach miał rękawiczki, na buty naciągnął papierowe kapcie, włosy podtrzymywała mu elastyczna siatka, a pod szyją dyndała mu swobodnie maska chirurgiczna.

Rzucił nam przelotne spojrzenie, przeniósł wzrok na trzymaną w prawej ręce fiszkę i skierował się do jednej z szafek, dwa rzędy dalej.

Nagle, ujrzawszy twarz Ellroya Beatty’ego, poczerwieniał z gniewu.

– Co tu się dzieje, do cholery?

– O co chodzi, doktorze Friedman? – zdziwił się Martinez.

– Kto pociął mojego denata?

– Pańskiego denata?

– Tak właśnie powiedziałem. Głuchy jesteś, Albercie? – Friedman odwrócił się do Mila. – A pan skąd się tu wziął, u licha?

– Z policji.

– Słyszałem, że sprawę prowadzi Willis Hooks.

– Nie. Hooks pracuje w Centralnym, a to jest sprawa Newton. Zajmuje się nią Robert Aguilar.

– Co takiego?! – ryknął Friedman i dźgnął palcem w fiszkę. – W papierach jak byk stoi: „Rejon centralny, Hooks”. Od kiedy pracuje pan w policji, panie Aguilar?

– Nazywam się Sturgis, doktorze. Jestem z rejonu zachodniego.

Friedmanowi na moment odebrało mowę.

– Jasny gwint... – Podszedł do blatu, na którym leżał Beatty. – Jedno panu powiem, ktoś tu mać. Miałem zrobić denatowi sekcję, a tu proszę, obcięto mu głowę! Poza tym, co on robi w tej szufladzie? Powinien być tam! – Friedman machnął fiszką.

– Nie przenosiliśmy go, doktorze Friedman – zaproponował Martinez. – Od razu go tu złożono. Poza tym nikt mu nic nie obcinał, on od początku...

– Co ty mi tu pieprzysz, Albercie?! Co ty pieprzysz? Kula nie może człowiekowi urwać głowy! Kule nie...

– To jest Beatty, rozjechany przez...

– Wiem, kto to jest, Albercie! – Friedman cały czas wywijał swoją kartką. – Beatty, Leroy. Postrzał w głowę. Przywieziony w nocy.

– Ellroy Beatty? poprawił go Marttnez.

– Leroy, Albercie. Czarno na białym. – Doktor podsunął fiszkę Martinezowi pod nos. – Sprawa numer dziewięćset siedemdziesiąt jeden tysięcy sto trzydzieści dwa. Przywieziony – trzecia szesnaście rano.

Martinez odgarnął prześcieradło z nóg Beatty’ego i odczytał zawieszoną na palcu metkę:

– Ellroy Beatty, przejechany przez pociąg. Przywieziony – trzecia czterdzieści dwie rano. Numer sprawy – dziewięćset siedemdziesiąt jeden tysięcy sto trzydzieści pięć.

Friedman spojrział na twarz zmarłego, potem na swoją fiszkę. Porównał numery na szufladach, wybrał jedną z nich i otworzył.

W środku znajdowało się nagie, nienaruszone ciało.

Było tak samo zszarzałe, jak Ellroy Beatty.

I miało taką samą twarz.

Wszyscy czterej zaniemówiliśmy.

Porównałem spokojnie twarze denatów i zacząłem dostrzegać drobne różnice. Leroy Beatty miał trochę mniej włosów, ale gęściejszy zarost – siwiuteńką brodę z prawdziwego zdarzenia. Nie widziałem na jego twarzy żadnych zadrapań, za to na prawej żuchwie rysowała się nabrzmiała blizna, zapewne po starej ranie od noża.

Równiutki, osmalony otwór pośrodku czoła wyglądał zbyt niewinnie, żeby dopatrzeć się w nim przyczyny zgonu. Pod wpływem strzału zniekształceniu uległy rysy twarzy denata, nos obrzmiał, pod oczami zarysowała się opuchlizna. Gałki oczne miał całe czerwone od krwi, jakby za długo wpatrywał się w ogień piekielny.

Friedman również spoglądał to na jedno ciało, to na drugie.

– Bliźniaki – stwierdził Martinez. – Bracie Ellroy, przedstawiam ci brata Leroya.

– Nie wygłupiaj się, Albercie – zbeształ go Friedman. – O co tu chodzi?

– Dobre pytanie – zauważył Milo.

Zebranie wszystkich faktów zabrało nam dwie godziny. Doktor Friedman zdążył już dawno wyjść, narzekając wciąż pod nosem, że musi pracować z niekompetentnymi durniami.

Siedzieliśmy z Milem w sali konferencyjnej nad kostnicą. Najpierw zjawił się detektyw Robert Aguilar z Newton – młody, przystojny, z błyszczącymi od brylantyny włosami i wypielęgnowanymi paznokciami. Miał na sobie szary, prążkowany garnitur, szyty na miarę i dopasowany do wysportowanej sylwetki. Mówił krótkimi zdaniami, trochę chyba za szybko; starał się zachować pozory luzu, ale nie bardzo mu to wychodziło. Milo mówił mi, że Aguilar jest nowy w branży, chyba nie prowadził wcześniej żadnej sprawy.

Ostatni zjawił się Willis Hooks z rejonu centralnego. Zawarłem z nim znajomość przed laty, kiedy pracował w południowo-zachodnim nad serią zabójstw ludzi niepełnosprawnych. Dzięki naszej współpracy poznałem wtedy trochę ten nowy paskudny świat.

Hooks był postawnym Murzynem. Miał czterdzieści kilka lat, prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, gładko ogoloną głowę, szczęki buldoga i gęste, oklapnięte wąsy. Niebieska bluza, w której przyszedł na spotkanie, wyglądała na nim trochę workowato, jak to czasem bywa u mężczyzn z potężną klatką piersiową. Buty miał mocno przybrudzone.

– Milo – powiedział, zajmując miejsce przy stole. – I doktor Delaware. Cóż za zrządzenie losu, że znów się spotykamy.

Aguilar przysłuchiwał się Hooksowi w milczeniu, próbując chyba zorientować się, w jakim jest nastroju. Chciał wyczuć, po której stronie warto stanąć.

– Zrządzenie losu albo zwykły pech, Willis – odparł Milo.

Hooks zaśmiał się chrapliwie i położywszy dłonie na blacie rozczapierzył palce.

– Willis, przedstawiam ci Roberta Aguilara – ciągnął Milo.

– Z Newton – uzupełnił Aguilar.

– Miło mi – mruknął Hooks. – Pan się zajmuje tym z pociągu?

– Zgadza się. Ellroy Lincoln Beatty, czarny, pięćdziesiąt dwa lata.

– Ja mam Leroya Washingtona Beatty’ego, czarnego, pięćdziesiąt dwa lata. Ciekawe czy są spokrewnieni?

Zanim Aguilar zdążył odpowiedzieć, Hooks mrugnął do niego porozumiewawczo i dodał:

– Mój zginął koło trzeciej nad ranem, plus minus parę minut.

– Mój też.

– Co z tego wynika? – Hooks zwrócił się do Mila: – Ktoś wziął się na Beattych. Warto byłoby sprawdzić, czy nie mieli więcej rodzeństwa. Może znajdą się jeszcze jacyś nieboszczycy o tym nazwisku. Kto wie, czy nie szykuje się masowa zagłada Beattych. W każdym razie powinniśmy ich ostrzec.

Aguilar zmarszczył brwi i zaczął coś notować złotym piórem.

– Ma pan jakiś pomysł? – zainteresował się Hooks.

Młody detektyw podniósł na niego wzrok.

– Notuję przepływ danych.

Hooks odął usta i nastroszył wąsy.

– Znakomicie. Zdradź mi jeszcze, Milo, co ciebie łączy ze sprawą naszych bliźniaków?

– Nie uwierzysz, jak ci powiem.

Wyszliśmy z kostnicy o wpół do pierwszej. Przez Mission Road przewalały się tłumy przechodniów. Pachniało pieczonymi kurczakami.

– Ten tłuszcz... – zachwycił się Milo. – Mniam, mniam. Zjemy coś?

– Nie mam apetytu.

– Cóż za siła charakteru.

Zostawił swój cywilny wóz w strefie zakazu parkowania przed budynkiem, w towarzystwie innych samochodów policyjnych, ja zaś podjechałem na pobliski parking. Białoniebieska furgonetka patologa minęła nas łukiem i wyjechała na ulicę.

– „Ciuch ciuch, pif paf” – powiedział Milo. – Pociąg i pistolet. – Oparł nogę o zderzak auta. – „Złe oczy doktor A. w pudełku”. Za każdym razem Peake bełkocze coś dzień wcześniej. Mógłby pracować w systemie wczesnego ostrzegania przed psychotykami i zgarniać niezły szmal.

– Jeżeli sprawa wyjdzie na jaw, federalni zgarną go jeszcze przed obiadem.

Milo westchnął ciężko.

– Co to wszystko znaczy, Alex?

– Dwóch bezdomnych, pani psycholog i kelner. Ofiary w różnym wieku, obojga płci, biali i czarni. Jeżeli coś je łączy, ja tego nie widzę. Może Wendell Pelley stoi za niektórymi z morderstw, ale na pewno nie załatwił Dady. Jeśli więc włączymy Dadę do naszej mieszanki, mamy więcej niż jednego zabójcę. Podobnie sprawa ma się z braćmi Beatty, jeśli faktycznie zginęli niemal w tym samym czasie.

– Wyśmienicie. Wynika z tego, że po ulicach krąży cała armia psychopatów. Peake mógł też chlapnąć coś na temat Dady, tylko że dopóki Claire żyła, nikomu nie przyszło do głowy go słuchać. Pytanie brzmi: skąd on to wszystko wiedział?

– Nasuwa się tylko jeden logiczny wniosek: Peake ma kontakt z kimś z zewnątrz.

– Z Pelleyem – rzekł Milo. – Albo innym wychowankiem Starkweathera, który znałby takie ciemne zakątki miasta, jak stare tory kolejowe czy uliczka, w której zastrzelono Leroya. Sam mówiłeś, że bimber i choroba psychiczna to złe połączenie. Historia Pelleya pasuje nam do tego obrazka. Pijany niemal do nieprzytomności zastrzelił dziewczynę z dziećmi, a teraz wrócił na ulicę. Bracia Beatty to ofiary w sam raz dla niego.

– Dlaczego wykorzystał pociąg? Czemu obu nie zastrzelił?

– To wariat. Głos, który słyszy w głowie, kazał mu właśnie tak ich załatwić. Ciuch ciuch, psiakrew, a potem pif paf. Najważniejsze, że jest w tym jakiś pomysł.

Nic nie odpowiedziałem.

– Nie podoba ci się pomysł z Pelleyem? – spytał Milo.

– Nie widzę żadnego logicznego związku między Claire i Beattymi, nawet jeśli wyłączyć z rozważań Dade.

– Pracowała z alkoholikami. Powiedzmy, że byli jej pacjentami.

– Nadawali się do szpitala okręgowego, to fakt, tylko że wciąż brakuje mi motywu. Jakoś się to musi wiązać z Peakiem. Pamiętasz te wycinki, które zbierała Claire. Wybrała go, bo chciała się o nim czegoś dowiedzieć, o nim albo od niego. Przejrzałem stare gazety i dowiedziałem się co nieco o Ardullach. Ojciec Scotta był ważną szychą w środowisku plantatorów i za nic nie chciał słyszeć o sprzedaży ziemi pod budowę, chociaż różni chętni latami go do tego namawiali. Potem zmarł, Scotta z rodziną zamordowano i ziemia Ardullów poszła pod młotek. Ciekawe, kto po nich dziedziczył.

– Co takiego? Mamy odbić w zupełnie nowym kierunku? Że niby Ardullów zabito dla zysku, a Peake był cynglem mafii? Daj spokój, Alex, prędzej uwierzę, że Peake potrafi przenikać ściany, kasować ludzi, a potem wracać do przytulnego łóżeczka w wariatkowie.

– Wiem, że Peake zachowuje się nienormalnie, ale duże pieniądze zawsze przydają sprawom nowego wymiaru. Powinieneś chyba zajrzeć do Treadway, a właściwie Fairway Ranch. Może ktoś coś pamięta.

– Co pamięta?

– Morderstwo, cokolwiek. Żeby nic nie przegapić.

– W tej chwili nieprzegapienie niczego oznacza znalezienie Wendella Pelleya.

Milo oparł się o maskę auta i przeniósł wzrok najpierw na budynek kostnicy, a później na pochmurne niebo. Za plecami mieliśmy kontenery na śmieci, stację pomp i zaplecze dwóch zabytkowych budynków szpitala; rzeźbione belki i ozdoby z gipsu pyszniły się u szczytu ścian z kruszącej się cegły. Bardziej przypominały mi wiktoriański Londyn niż współczesne Los Angeles; Kuba Rozpruwacz czułby się tu jak w domu.

– No dobrze – zgodziłem się. – Trzymajmy się faktów. Mogę nawet podsunąć ci motyw. Bracia Beatty zginęli mniej więcej w tym samym czasie, co nadaje morderstwu posmak rytuału, swoistej gry. Osobiście uważam, że ktoś zabił ich dla zabawy, co zresztą pasuje do idei dwóch morderców. Precedensów też nie brakuje: Leopold i Loeb, Bianchi i Buono, Bittaker i Norris. Co więcej, moglibyśmy w ten sposób podłączyć śmierć Dady do pozostałych: kumpel Pelleya zabił go, zanim Pelley wyszedł ze Starkweathera, co nastąpiło już w miesiąc później, a więc w sensie psychologicznym sprawa była jeszcze całkiem świeża. Niewykluczone, że słuchając opisu zabójstwa

Pelley tak się rozochocił, że wrócił do dawnego fachu.

– Tym drugim może być jakiś świr z zakładu przechodniego, Alex. Widziałem tych gości; nie są to członkowie elitarnego klubu. Dobra, wracam do swoich zajęć. Czas wykazać się większą aktywnością: popatroluję trochę Ramparts, zaliczę parę melin, podzwonię do innych rejonów i okolicznych miasteczek – może narozrabiali z kumplem jeszcze w innej okolicy. Chociaż miejsca, w których zabito Beatty, świadczą o tym, że wolą działać na swoim podwórku. Co zresztą jest całkiem sensowne: nie mając samochodu, nie mogą się daleko przemieścić.

Jego słowa coś mi przypomniały.

– Kiedy pierwszy raz rozmawialiśmy o Dadzie, podkreślaliśmy, że zabójca prawdopodobnie nie miał własnego auta – zauważyłem. – Jeździł pewnie autobusem. Tak samo domniemany koleżka Claire.

– Masz rację, szalenciec z autobusu. Mówiłeś, że na pewno wygląda zupełnie zwyczajnie. Dalej tak sądzisz?

– Właściwie tak. Wszystkie cztery morderstwa starannie zaplanowano i przeprowadzono. Ten, kto zabił Dadę i Claire, wykazał się zdrowym rozsądkiem i nie ukradł samochodów. Zgładzenie braci Beatty w jedną noc podnosi poziom złożoności zadania, więc jeśli Pelley ma z tym coś wspólnego, nie wykazuje pewnie objawów psychozy, przynajmniej takich, które dałoby się zauważyć. Nie zapominaj, że wypuścili go ze szpitala, czyli musiał prezentować się sensownie.

– Kiedy zabija, robi to porządnie. Od razu lepiej się poczułem.

Milo pokręcił głową i sięgnął do klamki wozu.

– Czyli o Treadway zapominamy, tak? – upewniłem się.

– A nie chcesz?

– Te wycinki nie dają mi spokoju, Milo. Nie mam pojęcia, jaką rolę odgrywa w tym Pelley, ale wiem, że coś łączyło Peake'a z Claire. Znalazła, go, zrobiła z niego swojego osobistego pacjenta... A on przewidział jej śmierć. Szesnaście lat temu wykłuł oczy Brittany Ardullo, oczy Claire zostały uszkodzone. Wygląda to tak, jakby próbował połączyć te zbrodnie, cofnąć się w czasie i przeżyć zabójstwo Ardullów jeszcze raz.

– Bracia Beatty mieli oczy w porządku.

– Ale Richard nie. Za wiele tu zmiennych do rozważenia, za dużo klocków, które do siebie nie pasują. Tylko Peake je łączy. Jeżeli zrozumiemy jego psychodynamikę, jego historię, może zbliżymy się do Pelleya czy innego maniaka.

Milo otworzył drzwi.

– Zwyczajnie mam na to czasu, Alex, ale jeżeli chcesz się tam przejechać, nie ma sprawy;

doceniam twoje starania. Zadzwoń nawet do Bunker Protection i zobaczę, czy da się ich nakłonić do współpracy. A tymczasem zapoluję na świrów tutaj, na miejscu.

– Powodzenia.

– Powodzenie nie ma tu nic do rzeczy. – Milo zdjął rękę z klamki i poklepał mnie po ramieniu. – Złośliwy ze mnie drań, co? Przepraszam. Za mało sypiam, a za dużo energii marnuję na próżno.

– Tylko nie przesadz.

– I tak cię przepraszam, szczerza skrucha dobrze robi na serce. I dzięki, że poświęcasz tej sprawie tyle czasu. Naprawdę jestem ci wdzięczny.

– Najlepiej mi podziękujesz, jak dostaniesz piątkę i posprzątasz w pokoju. Milo się roześmiał. Za głośno, stanowczo za głośno. Ale może tego właśnie było mu trzeba.

Trzydzieści kilometrów na północ od Los Angeles okolica pustoszeje. Wpadłem na chwilę do domu. Zgarnąłem i przejrzałem w pośpiechu skserowane w bibliotece artykuły, łyknąłem kawy i wróciłem za kółko. Pomknąłem na północ. Neony barów szybkiej obsługi na dobre zniknęły dwadzieścia kilometrów za miastem, na autostradzie towarzyszyły mi już tylko platformy z sianem, wlokące się najwolniejszym pasem samochody kempingowe i wozy firm obsługujących przeprowadzki. Rzadko trafiało się jakieś zwyczajne auto.

Ostro cisnąłem pedał gazu, mijając brunatne wzgórza., podobne do zmiętych fałd koca, zagajniki karłowatych dębów, sosen i kalifornijskich drzewek pieprzowych, a od czasu do czasu łączki z pasącymi się końmi. Upał wciąż dawał się we znaki, pojawiło się jednak mnóstwo uroczych obłoczków – lśniące jak satyna lawendowoszare smużki snuły się po niebie, jakby ktoś rozwiesił nad światem starą suknię weselną.

Po lekturze artykułów wytypowałem wstępnie trzy osoby do rozmów: Teodora Alarcona – nadzorcę, który znalazł ciała, szeryfa Jacoba Haasa oraz jedyne wymienionego z nazwiska mieszkańca Treadway, który powiedział coś o Peake’u – Derricka Crimminsa. Nie znalazłem adresu Alarcona ani Crimminsa, ale udało mi się ustalić, że Haas mieszka w Fairway Ranch. Zadzwoiłem pod wygrzebany w książce telefonicznej numer i mocny, męski głos automatycznej sekretarki poinformował mnie, że Jake’a i Marvelle nie ma wprawdzie w domu, ale mogę śmiało zostawić im wiadomość. Powiedziałem więc, że zamierzam złożyć w miasteczku wizytę, występując z ramienia policji Los Angeles, i że byłbym szczerze zobowiązany, gdyby szeryf Haas mógł poświęcić mi chwilę czasu.

Autostrada się rozdzieliła. W prawo odchodziła od niej droga dla ciężarówek, w którą skręciła większość pojazdów. Na poboczu aż roiło się od ostrzeżeń o radarowej kontroli szybkości, ale nie kończąca się, prosta jak strzała droga była zbyt kusząca. Z nogą na gazie i stu czterdziestoma kilometrami na liczniku minąłem Saugus, potem Castaic, przemknąłem zachodnim skrajem lasu Angeles Crest, wjechałem na przełęcz Tejon i przekroczyłem granicę Kem County.

Niedługo po jedenastej zjechałem z autostrady i uzupełniłem zapas paliwa. Patrząc na mapę wiedziałem, jak dojechać do Fairway Ranch, ale postanowiłem skonsultować się jeszcze z sennym pracownikiem stacji benzynowej.

– Tam mieszkają sami staruszkowie – powiedział. Miał może z dziewiętnaście lat, włosy przystrzyżone na zapałkę, opaloną i pryszczatą twarz, a w lewym uchu cztery kolczyki.

– Jadę z wizytą do babci – odparłem.

Zmierzył wzrokiem mojego seville’a.

– Ładne miejsce. Dużo zamożnych ludzi. Lubią grać w golfa.

Półciężarówka na olbrzymich kołach z nalepką Radiohead na zderzaku, zaparkowana nieopodal pojemników na śmieci, musiała należeć do niego. Była świeżo wywoskowana. Zmrużył oczy, taksując mój samochód. Staram się o niego dbać, ale jeżeli wóz jest z 1979 roku, to nie wszystko da się zrobić.

– Kiedyś było tu w okolicy jeszcze inne miasteczko – powiedziałem. Chłopak spojrzał na mnie tępo. – Treadway – dodałem. – Farmy, rancza, sady brzoskwińowe i orzechowe.

– Tak? – mruknął obojętnie. – Niekiepski wóz.

Podziękowałem mu i ruszyłem dalej. Skręciłem w wąską drogę, biegnącą w stronę Tehachapi – góry wyglądały wspaniale, wysokie, ostre, ustawione w kilku pasmach w sposób tak doskonały, że żaden natchniony artysta lepiej by tego nie wymyślił. Niższe wzgórza miały brunatną barwę, wyższe partie znaczył dokładnie ten sam odcień szarości, który znałem już z martwych twarzy braci Beatty. Najbardziej odległe granie rozmywały się w delikatnie purpurowej mgiełce – niby zimowe kolory, a tymczasem upał panował tu jeszcze gorszy niż w Los Angeles. Słońce przepalało chmury jak bibułę.

Droga pięła się stromo w górę. Znalazłem się w terenie subalpejskim i nie bardzo mogłem sobie wyobrazić, gdzie w okolicy mogłyby znajdować się pola uprawne. Po piętnastu kilometrach natknąłem się na drogowskaz „Osiedle Fairway Ranch”, który skierował mnie w lewo, wprost na wrzynającą się w granitowe ściany przełączkę. Następna tabliczka: „Stromy zjazd – zmniejsz prędkość” pojawiła się za późno. Pędziłem już w dół jak w wagoniku kolejki górskiej w wesołym miasteczku.

I to przez dobre trzy kilometry. Na dnie doliny zastałem płaską szachownicę w różnych odcieniach zieleni, a w jej środku lśniąca niczym brylant błękitne jezioro, tak idealnie bezkształtne, tak perfekcyjne, że od razu znać po nim było rękę ludzką. Dwa pola golfowe tuliły się do wody z obu stron, oddzielone od reszty doliny rzędami zielonkawych drzewek pieprzowych z pióropuszcami liści. Pyszniące się czerwonymi dachami domy o kremowych ścianach rozmieszczono według starannie przemyślanego schematu i porozdzielano trapezami zieleni. Całe osiedle miało może z osiem kilometrów średnicy i było okolone jasną linią, jakby nakreśloną ręką dziecka, które boi się wykroczyć poza wytyczoną granicę.

Podjechawszy bliżej ujrzałem, że biała linia jest w istocie metrowej wysokości ogrodzeniem z drewnianych belek. Sto metrów dalej napotkałem kolejny znak „Osiedle”, identyczny jak pierwszy, któremu tym razem towarzyszyła tabliczka agencji ochrony.

W ogrodzeniu nie było bramy, lecz po prostu luka, przez którą droga prowadziła wprost do osiedla. Znaki nakazywały zmniejszenie prędkości do dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę oraz szczególną ostrożność ze względu na wolno poruszające się elektryczne wózki golfowe. Posłusznie zwolniłem i pełzłem powoli naprzód wśród łąnów doskonale zielonej trawy. Napotkałem dalsze drzewka pieprzowe o spletanym, pofalowanym koronach. U ich stóp pieniały się wielobarwne niecierpki.

Po trzystu metrach czekał mnie widok dalszych tabliczek i drogowskazów, tym razem przybitych

do огоłoconego z gałęzi pnia solidnego drzewa – prawdopodobnie orzecha, który nie pasował do planów Fairway Ranch.

Na pomocy znajdowało się pole golfowe „Balmoral”, na południu „Biały Dąb”, Jezioro Zwierciadlane leżało wprost przede mną, centrum rekreacyjno-hotelowe „Górski Szczyt” było dalej na pomoc, a ośrodek sportowy w Orzechowym Zagajniku – dalej na południe. Pośrodku ciągnęła się Piccadilly Arcade.

Inne strzałki wskazywały drogę do sześciu, jak się domyślałem, dzielnic osiedla: Chatham, Cotswold, Sussex, Essex, Yorkshire i Jersey.

Góry pięły się pod niebo zaledwie jakieś cztery, pięć kilometrów stąd, a zdawało się, że są jeszcze bliżej. Żywe kolory i idealna widoczność szczegółów dowodziły, że powietrze jest krystalicznie czyste.

Minąwszy drzewo z drogowskazami, dotarłem do niedużego, sześciennego budyneczku o zaokrąglonych narożnikach i tynku nachalnie udającym suszoną w słońcu glinę. I znów hiszpańska dachówka.

Zatrzymałem się, zostawiając silnik na luzie, i rozejrzałem się dookoła. Otaczały mnie hektary trawy i drzewek pieprzowych, tylko gdzieś dostrzegłem kępy drzew brzoskwiniowych o charakterystycznie zwiniętych liściach, a także samotne pnie, które z koloru i faktury kory przypominały „drogowskaz” i w przeszłości również należały do orzechów. Dziś sterczały smętnie, pozbawione liści, kwiatów i owoców, uschnięte i z przyciętymi koronami.

Wyobraziłem sobie woń nawozów, zgrzyt sprzętu ogrodniczego i zbieraczy, posuwających się wolno nasłonecznionymi rzędami drzew – i przypomniałem sobie upór Henry’ego Ardulla, który nie chciał sprzedać ani piędzi ziemi.

W oddali widziałem skupisko domków. Wyglądały jak kostki cukru z czerwonymi pokrywkami; ani śladu cegieł, szalowanych drewnem ścian czy choćby muru pruskiego.

Sussex, Essex... Angielskie nazwy, a architektura wzięta żywcem z południowego zachodu Stanów. W Kalifornii ucieczka od logiki uchodziła czasem za wolność.

Usłyszałem, jak gdzieś w pobliżu ktoś uruchamia samochód. Jasnoniebieski, czterodrzwiowy ford z czarnymi kołami stał przy następnym sześciennym domku, a teraz wolno ruszył z miejsca. Zatrzymał się przy moim samochodzie. Na drzwiach miał wymalowaną tarczę i dwie skrzyżowane strzelby, a pod nimi napis: „BP Inc. Agencja ochrony”; żadnego koguta na dachu, żadnej broni na widoku.

Za kierownicą siedział wąsaty młodzik w błękitnym mundurze i lustrzanych okularach przeciwsłonecznych.

– Dzień dobry panu – powiedział i uśmiechnął się lekko.

– Dzień dobry. Przyjechałem do Jacoba Haasa. Mieszka przy Charing Cross Road.

– Charing Cross – powtórzył, przeciągając głoski, żeby dać sobie więcej czasu na obejrzenie mnie. – To daleko, w Jersey.

Powstrzymałem się od zapytania go, czy bliżej Atlantic City, czy Newark i ograniczyłem się do „dziękuję”. Odchrząknął.

– Jest pan tu nowy?

– Pierwszy raz przyjechałem.

– Pan Haas to pana krewny?

– Znajomy. Był tu przed laty szeryfem, kiedy jeszcze miasteczko nazywało się Treadway.

Chłopak zawahał się i mruknął:

– W porządku.

W jego oczach dostrzegłem ten sam brak zainteresowania, co u dzieciaka ze stacji benzynowej. Jemu też nazwa „Treadway” nic nie mówiła. Nie miał pojęcia o historii tej okolicy. A kto właściwie miał? Przeniosłem wzrok w dal za jego plecami, ku brzoskwiniom i orzechom, drewnianym pomnikom przeszłości; one jedne pamiętały dawne, farmerskie czasy. Nie miałem co szukać śladów krwawej zbrodni na ranczu Ardullów. Jeżeli nie zastanę Jacoba Haasa albo jeśli nie będzie chciał się ze mną spotkać, stracę tylko czas. A zresztą nawet gdyby zgodził się porozmawiać, czego właściwie miałem nadzieję się dowiedzieć?

Telefon w samochodzie strażnika zabzyczał cicho. Chłopak odebrał, pokiwał głową i odezwał się do mnie:

– Jersey jest na samym końcu. Musi pan dojechać do jeziora i skręcić w prawo. Tam zobaczy pan drogowskaz na pole golfowe „Białe Dąb”. Dalej już pan trafi.

Ruszyłem i przez chwilę obserwowałem go jeszcze w lusterku wstecznym, kiedy zawrócił na trzy i skierował się w stronę „Balmoralu”.

Piccadilly Arcade było małym centrum handlowym, leżącym na wschód od biura agencji ochrony: sklep spożywczy, poczta, bankomat, pralnia chemiczna, dwa sklepy z odzieżą, w których przeważały stroje golfowe i welurowe dresy. Na tabliczce przed jednym z nich informowano, że wieczorem odbędzie się pokaz filmu „Top Gun”.

Jadąc do Jersey, minąłem po drodze znakomicie wyposażone budynki użyteczności publicznej: klub i hotelik z kortami tenisowymi i basenami.

Wszystkie domy lepiej się prezentowały na odległość. Dzielnice różniły się od siebie wielkością budowli. Essex zamieszkiwali zamożniejsi obywatele Fairway Ranch. Mieszkali w piętrowych minihacjendach lub dwupoziomowych domach, stawianych na działkach wielkości znaczka

pocztowego. Na podjazdach roiło się od cadillaców i lincolnów, na dachach stało parę anten satelitarnych, w okolicy posadzono sporo drzew i krzewów. Cała dzielnica miała wspaniały widok na jezioro. Przy domach kręcili się dziarscy starszacy w sportowych ubraniach. Położone dalej od wody Yorkshire było skupiskiem pseudoglinianych domków, połączonych po cztery i pięć – uboższym w drzewa i kwiaty, ale i tak nieskalanym.

Drzewka pieprzowe – twarde, odporne na suchy klimat, eleganckie – zasłoniły mi później jezioro. Przed laty zwożono je ciężarówkami do doliny San Fernando, gdzie rozpleniły się w poszyciu i przyczyniły do wyginięcia miejscowych dębów. Jersey objawiło mi się trzysta metrów dalej.

Składało się ze zgromadzonych na parkingu wielkich przyczep kempingowych, identycznych, białych, czystutkich, obsianych dookoła trawą i kwiatami. Na obrzeżach parkingu rosło parę drzew. Jersey nie miało dostępu do jeziora, ale roztaczał się stąd wspaniały widok na góry.

Nieliczni ludzie, których napotkałem, również wyglądali na krzepkich i zdrowych, choć może bardziej prowincjonalnych niż w Essex. Obok przyczep stały chevrolety, fordys, małe japońskie autka, nieliczne wozy terenowe. Ulica, która przecinała Jersey na pół, była świeżo wyasfaltowana. Żadnych zbędnych ozdób, ale dzielnica robiła wrażenie schludnej i zadbanej; znakomite miejsce dla zadowolonych z życia emerytów.

Zostawiłem samochód na jednym z dziesięciu miejsc dla gości i bez kłopotu znalazłem Charing Cross Lane – odchodziła od głównej drogi, pierwsza po prawej.

Na przybitej nad drzwiami tabliczce, Jacob i Marvelle Haasowie wypalonymi w drewnie literami oznajmiali światu, że są właścicielami „Szczęśliwego Wędrowca”. Przed przyczepą stały dwa samochody – buick skylark i półciężarówka datsun, więc miałem nadzieję, że kogoś jednak zastanę. Właściciele zaopatrzyli swój domek na kółkach w liczne udogodnienia: zielone płócienne markizy nad oknami, dębowe drzwi – na oko ręcznie zdobione – z betonowymi schodkami, donice z geranium i kaktusami na dachu. Obok nich stało puste akwarium z zapomnianym węglowym filtrem do wody. Mosiężna kołatka do drzwi miała kształt cocker spaniela, któremu z szyi zwieszał się wianuszek z muszelek.

Podniosłem pieska i go puściłem. Uderzył w drzwi.

– Chwileczkę! – dobiegł mnie głos ze środka przyczepy.

Mężczyzna, który mi otworzył, był młodszy, niż się spodziewałem, ba, młodszy od wszystkich mieszkańców Fairway Ranch, których dotąd widziałem. Miał najwyżej sześćdziesiąt lat i bystre, stalowoszare oczy. Takiego samego koloru włosy zaczesywał do tyłu. Ubrany był w białą dzianinową koszulę z krótkimi rękawami, niebieskie dzinsy i czarne mokasyny. Miał szerokie bary, ale równie szerokie biodra i opadający znad paska brzuszki psuły mu sylwetkę. Długie, bezwłose i chude ręce kończyły się masywnymi nadgarstkami i dłońmi. Twarz miał Haas pociągłą, trochę piegowatą. Wokół oczu zaznaczały mu się kurze stopki, na kościach policzkowych zaś połyskliwa skóra obwisła lekko.

– Doktor Delaware – powiedział tym samym mocnym głosem, który powitał mnie na sekretarce.

Tylko czujny wyraz twarzy za bardzo mi do niego nie pasował. – Odebrałem pańską wiadomość. Jestem Jacob Haas.

Podaliśmy sobie ręce. Uścisnął moją dłoń lekko, jakby z niechęcią, ledwie dotknął moich palców. Cofnął się za próg.

– Proszę wejść.

Znalazłem się w wąskim przedpokoju, z którego wchodziło się do małej kuchenki. Cicho szumiał podwieszony przy oknie klimatyzator. W przyczepie nie było może zbyt chłodno, ale najgorszy upał nie miał do wnętrza przystępu. Na podłodze leżał ciemnoszary, afrykański dywan. Nigdzie nie widziałem tak typowych dla przyczep mieszkalnych oprawnych w ramki sentencji czy mebli z sękatą sosny – sofa o białym bawełnianym obiciu, dwa fotele do kompletu, mosiężny stolik ze szklanym blatem i niebieskobiała chińska ławka ogrodowa dopełniały obrazu pokoju. Po ławce piał się pęd dyni, zasadzony w ciemnobłękitnej wazie.

Na ścianach barwy bladłososiowej wisiały reprodukcje Picassa. Czarny, lakierowany regał zajmowały stosy tanich książek i magazynów ilustrowanych. Poza tym znalazł się na nim trzydziestopięciocalowy telewizor, magnetowid, wieża i czarny, wąski stojak na kompaktki: „Cztery pory roku”, Duane Eddy, Everly Brothers, Tom Jones, Petula Clark.

Rock and roli w sam raz dla emerytów.

W pokoju pachniało ciastkami z cynamonem.

– Marvelle Haas – przedstawiła się kobieta, siedząca na sofie. Wstała i podała mi rękę. – Bardzo miło mi pana poznać.

Ubrana była w niebieską koszulkę polo, białe spodnie i sandały. Wiekiem dorównywała chyba mężowi, miała może więcej zmarszczek, ale i zgrabniejszą figurę. Krótkie, kręcone włosy farbowała na ciemnorudy kolor.

– Dobrze się panu jechało z Los Angeles? – Uścisk dłoni miała solidny.

– Bardzo miła przejażdżka. To śliczna okolica.

– Kiedy się tu mieszka, jeszcze łatwiej ją docenić. Napije się pan czegoś?

– Nie, dziękuję.

– W takim razie już mnie nie ma. – Pani Haas cmoknęła męża w policzek i położyła mu rękę na ramionach – chyba w opiekuńczym geście. – Tylko nie rozrabiajcie, chłopcy.

– Nie ma w tym nic śmiesznego. Jedź ostrożnie, skarbie.

Szybkim krokiem, kołysząc biodrami, Marvelle wyszła z przyczepy. Kiedyś musiała być piękna... i wciąż była.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Haas jak gdyby skurczył się w sobie. Wskazał mi jeden z foteli, sam usiadł na drugim.

– Postanowiła wpaść z wizytą do siostry w Bakersfield – wyjaśnił, kiedy też usiadłem. – Nie chciała być przy tej rozmowie.

– Przykro mi, że...

– To nie pańska wina. Ona po prostu unika nieprzyjemnych sytuacji. – Haas założył nogę na nogę, przeczesał palcami włosy i obrzucił mnie taksującym spojrzeniem. – Sam nie jestem pewien, czy mam ochotę na tę rozmowę, ale czuję się w obowiązku pomóc policji.

– Doceniam to, szeryfie. Mam nadzieję, że nie sprawię panu przykrości.

– Dawno już nikt nie tytułował mnie „szeryfem”. – Haas się uśmiechnął. – Zaraz po tej sprawie z Ardullami zacząłem sprzedawać polisy ubezpieczeniowe; teść mnie zatrudnił. Dwa lata później szeryf przestał być potrzebny, bo i miasto zniknęło.

– Jak do tego doszło?

– Grupa kapitałowa BCA Leisure wykupiła te tereny. To jedna z tych międzynarodowych korporacji, japońsko-indonezyjsko-brytyjska. Za partnera mają firmę budowlaną w Denver. Wtedy po prostu skupowali ziemię na prawo i lewo.

– Właściciele się nie sprzeciwiali?

– Nikt nawet nie pisał. Życie farmera nie jest łatwe, a w Treadway tylko dwie rodziny wiodły dzięki sdom przyzwoity żywot – Ardul Iowie i Crimminsowie. Razem mieli dziewięćdziesiąt procent ziemi. Pozostali byli im potrzebni, żeby interes się kręcił, czasem coś od nich dzierżawili... Kiedy więc ci dwaj sprzedali swoje sady, dalej poszło szybko. Posada szeryfa i tak była dla mnie wtedy zajęciem na pół gwizdka. Wyniosłem się do Bakersfield, mieszkaliśmy z teściami. Prowadziłem im księgowość.

– Kiedy pan tu wrócił?

– Przed pięciu laty. – Haas znów się uśmiechnął. – Ile można wytrzymać z teściami? Atak poważnie, postanowiłem spakować manatki, kiedy uznałem, że na starość jestem już zabezpieczony. A Bakersfield zaczęło się upodabniać do Los Angeles. Myśleliśmy o tym, żeby wynieść się z Kalifornii, może do Nevady, ale wtedy trafiła się nam ta przyczepka. Możemy mówić o szczęściu, bo mieszkania w Fairway długo nie stoją puste. Postanowiliśmy spróbować. Powietrze jest tu przecudne, ryby biorą jak złoto, czasem można obejrzeć jakiś film, zakupy robi się na miejscu... Pół roku i tak spędzamy w rozjazdach, więc takie małe lokum jest dla nas w sam raz. Nie, nie jeździmy z tą przyczepą; jest osadzona na solidnych fundamentach, jak prawdziwy dom. Wolimy latać samolotami. A to do Vegas, jeśli dzieje się akurat coś ciekawego, a to na Alaskę albo do Kanady. W tym roku wypuściliśmy się jeszcze dalej, do Londynu, na wystawę kwiatów w Chelsea. Marvelle uwielbia kwiaty. Anglia to piękny kraj. Tam naprawdę wiedzą, co to znaczy zieleń.

Haas był spokojny, zrelaksowany. Wcale nie miałem ochoty skierować rozmowy na interesujące mnie tory. Postanowiłem zacząć wprost:

– Mówił pan o Ardullach i Crimminsach. Jedna z gazet, w której czytałem o morderstwie, cytowała wypowiedź niejakiego Derricka Crimminsa.

– To syn Carsona Crimminsa, młodszy. Carson miał dwóch synów – jego i Carsona Juniora, czyli Cliffa. Pamiętam ich obu, jak z bandą innych dzieciaków kręcili się wokół domu Ardullów po morderstwie. Nie przypominam sobie, żeby Derrick udzielał wywiadu, ale wcale mnie to nie dziwi. Zawsze był pyskаты. Niech mi pan powie, dlaczego policja przysłała mi psychologa, który chce porozmawiać o Potworze? Tylko nie chcę słyszeć, że ma pan mu wystawić opinię, bo zamierzają go wypuścić na wolność.

– Nic z tych rzeczy – uspokoiłem go. – Jest pod kluczem i nie zanosi się na to, żeby w najbliższym czasie ktoś go chciał zwolnić. Widziałem go. Jest w fatalnym stanie.

– W fatalnym stanie... – zamyślił się Haas. – Jak warzywko?

– Prawie.

– No, tyle dobrego. Powinien być martwy, a nie... Wszyscy mieli go za wioskowego głupka, ja zresztą również. Traktowaliśmy go życzliwie i litościwie. To chyba w metropoliach narodziło się kłamstwo, że mieszkańcy małych miasteczek są uprzedzeni i nietolerancyjni. Potwora spotkało u nas więcej dobrego, niż mógłby oczekiwać w Los Angeles. Nie tylko jego samego – jego matkę również. Byli parą włóczęgów, bez grosza przy duszy, kiedy się tu zjawili. I od razu ktoś ich przygarnął.

Haas umilkł, jakby czekał na komentarz. Pokiwałem tylko głową.

– Noreen nie była wcale uroczą dziewczyną, a synalek raczej nie poprawiał jej wizerunku. Ale nie dalibyśmy im umrzeć z głodu.

– Co pan ma na myśli? Była nieprzyjazna ludziom?

– Nie, ale miła też nie. Niechlujna, z wiecznie opuchniętą twarzą, jakby po nocach nic, tylko płakała. Próbował człowiek do niej zagadać, to tylko zwieszała głowę i mamrotała coś pod nosem. Nie była taką wariatką, jak Ardis, ale na mój gust oboje byli niedorozwinięci, on trochę bardziej, ona mniej. Ardullowie naprawdę okazali im ogromną życzliwość, biorąc ich do siebie. Owszem, matka umiała gotować, ale Terri Ardullo też nieźle radziła sobie w kuchni. Przemawiała przez nich najczystsza dobroć. Dzięki nim Peake'owie odzyskali ludzką godność.

– Mówi pan zatem, że Scott i Terri byli dobrymi ludźmi.

– Solą tej ziemi. Scott był fajnym facetem, ale to ona żyła ideami; bardzo religijna, zaangażowana w życie społeczności... Kościół powstał zresztą na ziemi ofiarowanej pod budowę przez Henry'ego Ardulla, ojca Scotta.

Stary Henry był katolikiem, ale kiedy wziął sobie za żonę Kathy, prezbiteriankę, zmienił wyznanie

i zbudował dla niej kościół. Naprawdę przykro było patrzeć, jak go rozbierają. Henry z kumplami zbudowali go własnymi rękami. Był śliczny, malutki, szalowany białymi deskami, rzeźbiony, z ozdobną wieżyczką, którą specjalnie zamówili u jakiegoś Duńczyka z Solvangu. Dom Ardullów też budził podziw: dwa piętra, biały szalunek, ogromny kamienny ganek i dookoła sady. Orzechy i brzoskwinie hodowali na handel, ale na tyłach domu mieli jeszcze mały zagajnik drzewek cytrusowych. Kiedy kwitły, zapach niósł się aż do drogi. Pomarańcze i cytryny rozdawali sąsiadom. Dom Crimminsów był prawie równie wielki, ale urządzone z mniejszym smakiem. Stał po przeciwnej stronie doliny. – Haas zapatrzył się gdzieś w dal. – Pamiętam Scotta jeszcze jako dziecko – biegał po sadach, zawsze roześmiany... Cały ich dom promieniał szczęściem. Byli bogaci, ale rozsądni.

Szeryf wstał, wyjął z lodówki butelkę z przegotowaną wodą i nalał sobie szklanekę.

– Na pewno nie chce się pan napić?

– Chętnie, poproszę.

Postawił dwie szklanki na stole; swoją opróżnił w dwóch łykach.

– Trzeba uzupełniać ubytek płynów – wyjaśnił. – Inaczej wyschnie człowiek na wiór. Przydałby się mocniejszy klimatyzator.

Jeszcze raz podreptał do kuchni, wypił następną szklanekę. Przesunął palcem po krawędzi szkła. Zapiszczało.

– Jeszcze mi pan nie powiedział, co pana tu sprowadza.

Zacząłem od sprawy morderstwa Claire; nie zauważyłem, żeby skojarzył jej nazwisko. Kiedy wspomniałem o bełkotliwych wypowiedziach Peake'a, rzekł:

– Wierzyć mi się nie chce, że z tego powodu przyjechał pan aż tutaj.

– Prawdę mówiąc nie mamy w tej chwili innych śladów, panie Haas.

– Mówił pan przecież, że Peake jest w fatalnym stanie. Dlaczego tak się przejęliście tym, co powiedział? Mniejsza z tym. Do czego ja miałbym się panu przydać?

– Chciałbym, żeby powiedział mi pan wszystko, co pan pamięta. O Peake'u i o tamtej nocy.

Złożył gwałtownie ręce. Palce mu poczerwieniały, gdy je zacisnął w pięści, a paznokcie przybrały odcień świeżej śmietany.

– Całymi latami robiłem wszystko, żeby o tej nocy zapomnieć. Pan zaś nie bardzo ma chyba powody, żeby kazać mi jeszcze raz przez to przechodzić.

– Bardzo pana przepraszam. Jeżeli to dla pana za duże...

– Ależ mi się pić chce! – Haas poderwał się z fotela. – Jakbym miał cukrzycę, cholera!

Wrócił zrezygnowany na fotel. – Wszystko rozegrało się w nocy, ale dopiero nad ranem znaleźliśmy ciała – rzekł. – Dowiedziałem się o wszystkim jako drugi. Ted Alarcon, jeden z nadzorców w majątku Ardullów, zadzwonił do mnie. Chcieli rano jechać ze Scottem do Fresno, oglądać jakiś sprzęt ogrodniczy. Scott miał po niego podjechać, a kiedy się spóźniał, Ted zatelefonował do niego do domu. Nikt nie odbierał, więc przyjechał na miejsce, żeby się rozejrzeć.

– Drzwi były otwarte?

– Tu nikt nie zamykał nocą drzwi na klucz. Ted doszedł do wniosku, że Scott zasnął, więc postanowił wejść na piętro i zapukać do sypialni. To też świadczy o tym, jakim człowiekiem był młody Ardullo, skoro meksykański nadzorca wiedział, że może wejść do jego domu i go obudzić. Po drodze na górę mijał kuchnię i wtedy to zobaczył. Zobaczył ją. – Haas zwilżył językiem wargi. – Bóg jeden wie, skąd wziął tyle siły, żeby po tym jednak zajrzeć na piętro.

– Gazety pisały, że poszedł śladem krwawych odcisków stóp.

– Nie był mięczakiem; walczył w Wietnamie, niejedno widział na własne oczy.

– Nie wie pan, gdzie mógłbym go znaleźć?

– Na cmentarzu. Przed paru laty zmarł na raka. – Szeryf uderzył się w pierś. – Miał dopiero pięćdziesiąt lat. Owszem, palił, ale tamten wstrząs z pewnością zrobił swoje.

Haas wyprostował się na fotelu, jakby chciał podkreślić własną znakomitą kondycję.

– Ted zajrzał do sypialni, obejrzał pokoje na piętrze i zadzwonił do pana – przypomniałem.

– Leżałem jeszcze w łóżku. Słońce dopiero co weszło, a tu dzwoni telefon i w słuchawce słyszę dyszenie i chrapliwy bełkot. Nic nie rozumiem. Marvelle pyta, co się dzieje, aż wreszcie rozpoznaję głos Teda. Nadal jednak nie wiem, o co mu chodzi. „Pan Scott!” – powtarza. „Pani Terri!”. – Haas pokręcił głową. – Wiedziałem tylko, że stało się coś złego. Kiedy dotarłem na miejsce, Ted siedział na schodkach w kahiży wymiocin. Miał śniadą skórę, a tamtego ranka był błydy jak ściana. Spodnie i buty miał umazane krwią, tak że z początku miałem wrażenie, że to on popełnił jakieś szaleństwo. Zwymiotował jeszcze raz. Jakoś udało mu się stanąć na nogi, ale zaraz omal nie upadł – musiałem go podtrzymać. A on nic, tylko płakał i machał w stronę domu.

Szeryf złożył nogi razem i zapadł się głębiej w fotelu.

– Wszedłem do środka z bronią w rękę. Nie chciałem zatrzeć śladów, więc starałem się uważać, gdzie stawiam nogi. W kuchni paliło się światło i zobaczyłem Noreen Peake na krześle... To znaczy, nie mogłem jej rozpoznać, ale wiedziałem, że to ona. Może po ubraniu... – Machnął szybko ręką. – Znalazłem odciski kowbojskich butów Teda, a obok nich drugie, tenisówek. Nie miałem pojęcia, czy ktoś gdzieś w domu się nie czai, więc chodziłem na palcach, po cichutku. Światło było włączone we

wszystkich pokojach, w których... Jakby chciał się pochwalić tym, co zrobił. Scott i Terri leżeli w łóżku przytuleni... Wbiegłem w korytarz, znalazłem ich córeczkę... Szeryf jęknął słabo, jak dawno nie oliwiony mechanizm.

– Ludzie z FBI mnie przesłuchali i spisali zeznania. Niech pan powie swoim przełożonym w policji, żeby je dla pana znaleźli.

Skinąłem głową.

– Jak pan trafił do baraku Peake’a?

– Po śladach krwi, przecież to oczywiste. Odciski stóp były coraz słabsze, ale prowadziły do tylnych schodów i wyjścia. Tu kropelka, tam smuga, a gdzieniegdzie krwawe ślady butów – widziałem je jeszcze ze dwadzieścia metrów dalej na ścieżce, po czym zniknęły. Nie wiedziałem, że osobą, której szukam, jest Peake. Skojarzyłem tylko, że powinienem wrócić do baraku. Tenisówki stały zaraz za progiem. Sprzedawczyni ze sklepu przemysłowego mówiła, że parę tygodni wcześniej Peake próbował je podwędzić. Kiedy go na tym przyłapała, wybełkotał coś przeprasząco i dał jej jakieś pieniądze, więc pozwoliła mu zatrzymać buty.

W oczach Haasa zapaliły się złe ogniki.

– W tym właśnie sęk: wszyscy chcieli być dla niego tacy mili. Wałęsał się po okolicy, jak wylękniony przyglup. Nigdy wcześniej nie mieliśmy w Treadway prawdziwych przestępców, to i nie dziwota, że nikt się na nim nie poznał. Tylko w spokojnym miasteczku taki gość, jak ja, mógł zostać szeryfem, i to na pół etatu. Głównie pomagałem ludziom przy drobnych naprawach, odwiedzałem tych, którzy nie mogli o własnych siłach wyjść z domu, pilnowałem, żeby nikt po pijanemu nie wsiadał do samochodu... Bardziej przypominało to robotę ludzi z opieki społecznej. Aten Peake... On zawsze był jakiś dziwny, a my – łatwowierni.

Widząc, jak szeryfowi trzęsą się ręce, postanowiłem dać mu chwilę wytchnienia.

– Co się stało z miejskim archiwum, kiedy Treadway przestało istnieć? – zagadnąłem.

– Wywieźli je w pudełkach do Bakersfield, ale nic pan tam nie znajdzie, ot, mapy, plany zagospodarowania... W ogóle niewiele tego jest. Traci pan czas, doktorze. Radzę panu, niech pan wraca do Los Angeles i powie przełożonym, że nie ma co zawracać sobie głowy tymi psychologicznymi głupotami. Grunt, że Peake siedzi.

Haas spojrzał odruchowo na przegub dłoni, ale nie miał na nim zegarka. Wstał, znalazł go na półce z książkami, założył i sprawdził godzinę.

– Dziękuję, że poświęca mi pan czas – powiedziałem. – Mam jeszcze tylko kilka pytań. W gazetach napisano, że Peake spał, kiedy go pan znalazł.

– Jak nie... – Wargi mu zadrżały. – Boże święty, chciałem powiedzieć „Jak niemowlę”. Tak, spał. Leżał na plecach, ręce miał złożone na piersi, twarz całą we krwi. I chrapał. Najpierw wydawało mi się, że też nie żyje, ale z bliska zorientowałem się, że to nie jego krew. Od razu założyłem mu

kajdanki. – Szeryf otarł pot z twarzy. – I ta szopa. Widywałem ją już wcześniej, ale nigdy nie zaglądałem do środka. Cuchnęło w niej jak w chlewie. Nieliczne rzeczy należące do Peake’a leżały porozrzucane na podłodze: resztki jedzenia, robactwo, butelki po winie, puszki z farbą, tubki z klejem, gazetki pornograficzne, które nie wiem skąd ściągnął, bo tego śmiecia w Treadway się nie sprzedawało... Wiem, nikt nie pamiętał, żeby Peake wyjeżdżał z miasta, ale tak musiało być. Zwoził też sobie prochy. Miał u siebie pełno najróżniejszych pigułek: fenobarbital, środki pobudzające, uspokajające. Najbliższa apteka, która realizowała recepty, znajdowała się w Tehachapi, ale tam nie sprzedali takich leków. Musiał je zdobyć gdzieś na ulicy. Taka szmata jak Peake wszystko sobie załatwi.

– Był tamtej nocy pijany albo odurzony?

– Musiał być. Jak już go skułem, wrzasnąłem mu do ucha i podstawiłem gnata pod nos, ale i tak nie mogłem go dobudzić. Przychodził do siebie i tracił przytomność, uśmiechał się jak kretyn, a potem zamykał oczy i odpływał w nicość. Ledwie się powstrzymałem, żeby na miejscu go nie zastrzelić. Za to, co zrobił... co znalazłem w tej jego szopie. – Haas spuścił wzrok. – Na kuchence. Wziął nóż, ten sam, którym zabił dziewczynkę, wyjął dzieciaka z kojca...

Haas poderwał się jak oparzony.

– Nie, do diabła! Nie chcę do tego wracać! Za dużo się namęczyłem, żeby wymazać te obrazy z pamięci. Do widzenia, doktorze. Do widzenia i ani słowa więcej.

Podbiegł do drzwi i otworzył je przede mną. Jeszcze raz podziękowałem mu, że zechciał ze mną porozmawiać.

– Nie ma za co.

– Jeszcze jedno... Kto odziedziczył majątek Scotta i Terri?

– Mieli krewnych rozsianych po całym stanie. Jej rodzice pochodzili z Modesto, jego rodzina ze strony matki mieszkała w San Francisco. Prawnik, który prowadził tę sprawę, wspominał coś o ponad dwudziestu osobach, ale podobno obeszło się bez kłótni. Nie obchodziło ich za bardzo, co dostaną, tak byli przybici sposobem, w jaki pieniądze do nich trafiły.

– Pamięta pan może nazwisko tego prawnika?

– Nie. A co to, kurczę, za różnica?

– Z pewnością żadna – przyznałem. – Matka Scotta też już nie żyła.

– Od lat. Zmarła na serce. Dlaczego pan pyta?

– Staram się być dokładny.

– To się panu udało.

Szeryf zaczął zamykać drzwi.

– Panie Haas? – spytałem jeszcze. – Czy mieszka tu ktoś, kto byłby skłonny ze mną porozmawiać?

– Co takiego? – Szeryf nie krył swojego wzburzenia. – Jeszcze panu mało?

– Skoro już tu przyjechałem, chciałbym wykorzystać wszystkie możliwości. Był pan przecież stróżem prawa; wie pan, jak to jest.

– Nie, nie wiem. I nie chcę wiedzieć. Nie ma tu już nikogo z dawnych mieszkańców Treadway. Fairway to miejsce, w którym starsi ludzie szukają ciszy i spokoju; tylko ja tu zostałem. Dlatego mieszkam w przyczepie.

Zaśmiał się niewesoło.

– Nie wie pan przypadkiem, gdzie mógłbym znaleźć Derricka...

– Crimminsowie też się wyprowadzili, tak jak wszyscy. Kiedy stary Carson z żoną sprzedali ziemię, przenieśli się na Florydę. Słyszałem, że kupili sobie jacht, żeglowali trochę... Nic więcej nie wiem. Jeżeli wciąż żyją, to mają już swoje lata. Przynajmniej on.

– Miał młodszą żonę?

– To była jego druga żona.

– Jak się nazywała?

– Nie pamiętam – odpowiedział Haas pośpiesznie. Zbyt pośpiesznie. Przymknął drzwi tak, że została tylko dziesięciocentymetrowa szpara. Połówka twarzy, którą widziałem, była bardzo ponura. – ClifT Crimmins też nie żyje. Miał wypadek motocyklowy w Vegas, pisali o tym w gazetach. Bawił się w motocross, jeździł samochodami terenowymi, skakał ze spadochronem, pływał na desce... Lubił wszystko, co wiązało się z szybkością i niebezpieczeństwem. Obaj z bratem byli tacy sami. Para zepsutych dzieciaków, które zawsze muszą znajdować się w centrum zainteresowania. Carson kupował im wszystko, na co mieli ochotę.

W ten sposób podniosłem u człowieka poziom stresu. Nie ma to jak być psychologiem.

W dodatku żaden cel nie uświęcił środków.

Czy Haas naprawdę był poruszony, kiedy wspomniałem o drugiej pani Crimmins, czy też działałem już na niego jak płachta na byka i wszystko, co bym powiedział, wywołałoby u niego szybsze bicie serca?

Wracając do samochodu, doszedłem do wniosku, że pierwsza możliwość jest jednak bardziej prawdopodobna. Niemożliwe, żeby zapomniał imię jednej z najbogatszych kobiet w miasteczku. A więc coś w osobie pani Crimmins go drażniło... Też mi coś. Może jej nienawidził albo ją kochał,

albo pożądał jej i nie mógł mieć. Jego reakcja nie miała pewnie związku z interesującą mnie sprawą.

Zwłaszcza, że nie bardzo wiedziałem, co naprawdę mnie interesuje.

Tracę czas.

Poranek jeszcze się nie skończył, ja zaś czułem się nikomu niepotrzebny i bezużyteczny. Haas twierdził, że nikt z dawnego Treadway nie mieszka już w okolicy, może nawet mówił prawdę. Nie mogłem jednak przestać o nim myśleć... Było coś niepokojącego w jego sposobie bycia. Dlaczego najpierw zgodził się ze mną spotkać, zaczął rozmowę po przyjacielsku, a potem wykonał taki zwrot?

Makabryczne migawki z przeszłości?

Ale skoro już tu jestem... Wyczerpałem wprawdzie główne źródła informacji na temat morderstwa Ardullów, ale w małych miasteczkach wychodzą lokalne gazety, więc może jakiś dziennik w Treadway opisywał tę sprawę bardziej szczegółowo. Archiwum przewieziono do Bakersfield. Haas mówił, że nic w nim nie ma, lecz w bibliotekach miejskich czasem doceniano wagę starych papierów.

Kiedy wsiadałem już do wozu, niebieski sedan Bunker Security przejechał przez plac dla przyczep i zatrzymał się obok mnie. Za kierownicą siedział inny strażnik, ale też młody i z sumiastym wąsem. Może taki przyjęli oficjalny wizerunek w tej agencji.

Gapił się na mnie, nie okazując zdziwienia. Kumpel musiał go uprzedzić, że tu jestem.

– Miłego dnia – powiedziałem.

– Miłego dnia – odparł.

Opuściłem Fairway Ranch z szybkością trzykrotnie przewyższającą obowiązujące ograniczenie.

Ze stacji benzynowej w Grapevine zadzwoniłem w parę miejsc i dowiedziałem się, że główne archiwum i biblioteka Kern County nazywa się Beale Memoriał.

Trzy kwadransy później dotarłem do Bakersfield. Bibliotekę znalazłem bez trudu. Mieściła się w modernistycznym, liczącym sobie dziesięć lat budynku piaskowej barwy w sympatycznej dzielnicy. Z tyłu znajdował się parking na dwieście samochodów, a w środku – pachnące świeżością atrium. Wszędzie panowała atmosfera fachowości. Kiedy poinformowałem uśmiechniętą bibliotekarkę, czego szukam, skierowała mnie do sali historii lokalnej imienia Jacka Maguire'a, gdzie następną miła kobieta zajrzawszy do komputera oznajmiła:

– Mamy dwadzieścia roczników czegoś takiego, jak „Treadway Intelligencer”. Na papierze, nie na mikrofilmach.

– Mógłbym je przejrzeć?

– Wszystkie?

– Jeśli to nie problem...

– Zaraz sprawdzę.

Zniknęła na zapleczu, by w pięć minut później wrócić z wózkiem, na którym stały dwa średniej wielkości pudła kartonowe.

– Ma pan szczęście, że to tygodnik i to w dodatku niezbyt gruby – stwierdziła. – Oto całe dwadzieścia roczników. Proszę ich stąd nie wyciągać. Ma pan czas do szóstej. Życzę przyjemnej lektury.

Obeszło się bez uniesionych w zdziwieniu brwi i natrętnych pytań. Niech Bóg błogosławi bibliotekarzy i bibliotekarki. Przesunąłem wózek bliżej biurka.

Rzeczywiście, „Intelligencer” okazał się pismem niezbyt obszernym. Miał siedem wydrukowanych na zielonkawym papierze kartek, toteż drugi karton był w połowie pusty. Egzemplarze – najstarszy pochodził ze stycznia 1962 roku – spięto w pliki po dwanaście sztuk i popakowano w plastikowe torebki. Wydawcą i redaktorem naczelnym w jednej osobie był Orton Hatzler, sekretarzem redakcji Wanda Hatzler. Zanotowałem oba nazwiska i zatopiłem się w lekturze.

Druk był rzadki, a zdjęcia zaskakiwały całkiem przyzwoitą jakością. Na pierwszej stronie prognoza pogody – nawet w Kalifornii farmerzy przejmują się pogodą. Dalej doniesienia o szkolnych potańcówkach, klęsce urodzaju, projektach naukowych, działalności klubu nowoczesnego rolnika, wycieczkach skautowskich, opisy radosnych festynów Kern County („Lars Carlson po raz kolejny nie miał sobie równych w konkursie jedzenia ciasta z brzoskwiniami!”). Druga strona niewiele różniła się od pierwszej, na trzeciej zaś zamieszczano telegraficzny skrót wiadomości z zagranicy oraz wstępniaki; Orton Hatzler zdecydowanie popierał wojnę w Wietnamie.

Często pojawiała się w tekstach nazwisko „Byka” Ardulla, głównie w związku z przywództwem w AAN. Zdjęcie z balu dobroczynnego we Fresno przedstawiało potężnej postury mężczyznę o twarzy buldoga i krótko przystrzyżonych, siwiejących włosach, który górował wyraźnie nad wiotką, subtelną, ciemnowłosą kobietą – jego żoną. W genetycznej loterii Scottowi przypadła sylwetka ojca i delikatne rysy matki.

Scott odziedziczył też po ojcu zamiłowanie do sportu. Pierwszy raz natknąłem się na jego nazwisko w podpisie grupowego zdjęcia drużyny futbolowej. Gracze występujący w meczu gwiazd Kern County uśmiechali się do obiektywu, klęcząc przy słupku bramki. Scott grał w szkolnej drużynie Tehachapi i spisywał się całkiem nieźle.

Nie znalazłem żadnego zdjęcia Terri Ardullo, co zresztą mnie nie zdziwiło. Nie pochodziła przecież z Treadway, lecz z Modesto.

Regularnie natrafiałem też na wzmianki o Carsonie Crimminsie, drugim wielkim bogaczem z Treadway. Wywnioskowałem z nich, że z początku był sprzymierzeńcem Henry’ego Ardulla w bojach o farmy rodzinne, ale na początku lat siedemdziesiątych zmienił kurs, skarżąc się na niskie

ceny orzechów i rosnące koszty prowadzenia gospodarstwa. Ogłosił też publicznie gotowość sprzedaży ziemi „poważnemu kontrahentowi, który najwięcej zapłaci”.

W gazecie nie było jego zdjęć; nie zamieszczono też żadnego komentarza „Byka”. „Intelligencer” unikał opowiadania się po jednej ze stron.

Marzec 1969: cały numer poświęcony pogrzebowi Katherine Stethson Ardulló. W artykule wspominkowym była mowa o „postępującej chorobie” i wzmianka o śmierci najstarszego syna, Henry’ego Juniora. Tekst uzupełniały stare zdjęcia z rodzinnego archiwum oraz świeże fotografie Henry’ego i Scotta, stojących ze zwieszonymi głowami nad grobem.

Dziesiątego sierpnia 1974 roku Orton Hatzler rozwodził się w żalobnym tonie nad rezygnacją Nixona.

W grudniu tegoż roku silne mrozy zniszczyły znaczną część upraw Crimminsów i Ardullów. Ardullo powiedział wtedy: „Trzeba podchodzić do sprawy filozoficznie; są lata chude, są i tłuste”. Carson Crimmins nie skomentował strat.

Marzec 1975: śmierć Henry’ego „Byka” Ardulla, numer wspominkowy rozszerzony o dwie strony. Samotny Scott na cmentarzu. Carson Crimmins: „Nie zawsze się zgadzaliśmy, ale był porządnym człowiekiem”.

Czerwiec 1976: zapowiedź małżeństwa Crimminsa z Sybil Noonan z Los Angeles. „Jak wszyscy zapewne pamiętają, panna Noonan jest aktorką, lepiej znaną pod pseudonimem Cheryl Norman, a pana C. poznała podczas rejsu na wyspy Bahama. Ceremonia zawarcia związku małżeńskiego odbyła się w hotelu »Beverly Wilshire« w Beverly Hills. W roli drużny wystąpiła siostra panny młodej, Charity Hernandez, w roli drużbów zaś synowie pana C. – Carson Junior i Derrick. Młoda para spędza miesiąc miodowy na Kajmanach”.

I dwa zdjęcia. Pierwszy raz mogłem sobie obejrzeć Carsona Crimminsa, i to pod krawatem. Na pierwszej fotografii kroił z żoną czteropiętrowy tort. Wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat, był wysoki, lekko przygarbiony i łysy. W drobnej twarzy uwagę przyciągał przede wszystkim potężny nos, sięgający aż do ledwie rysującej się górnej wargi. Cieniutkie, jak narysowane ołówkiem wąsy, nadawały Crimminsowi wygląd filmowego gangstera. Małe, ciemne oczy spoglądały lekko w lewo, w przeciwną stronę, niż znajdowała się jego żona. Crimmins uśmiechał się z wysiłkiem – przywodził na myśl czujną sowę w smokingu.

Druga pani Crimmins – ta, na wspomnienie której Jacob Haas mrużył oczy i podnosił głos – dobiegała czterdziestki. Była niska, miała szerokie ramiona i obfite ciało, wciśnięte w opiętą, jedwabną suknię ślubną bez rękawów. Sprawiała wrażenie mocno opalanej. Na szczycie grzywy platynowych włosów miała zatknięty spiczasty diadem. Gruba warstwa szminki i cienia do powiek, wydatny biust, masa białych zębów odsłoniętych w promiennym, szczerym uśmiechu – to była prawdziwa miłość, choć niewykluczone, że kamień szlachetny w pierścionku zaręczynowym miał swój udział w szczęściu Sybil.

Drugie zdjęcie przedstawiało państwa młodych w towarzystwie synów Crimminsa. Z lewej stał

Carson Junior, który miał wtedy jakieś siedemnaście lat. Haas twierdził, że Derrick był od brata młodszy, ale patrząc na tę fotografię raczej bym się tego nie domyślił. Obaj chudzi, długonodzy, z wydatnymi nosami, wąskimi ustami i nieco ptasimi – jak u ojca – rysami twarzy. Ogólnie prezentowali się lepiej niż stary Crimmins. Mieli ostrzej zarysowane podbródki i szersze barki. Carson dorównywał ojcu wzrostem, Derrick już go przerósł. Carson miał na głowie szopę blond loków, Derrickowi proste i ciemne włosy sięgały do ramion. Żaden z chłopców chyba nie dzielił radości ojca – spoglądali w obiektyw ponuro jak większość nastolatków i bandytów z kartotek policyjnych.

Kwiecień 1978: na pierwszej stronie relacja z wizyty, jaką na zaproszenie Carsona Crimminsa złożyli w Treadway przedstawiciele firmy Leisure Time Development. Scott Ardullo skomentował ten fakt następująco: „To wolny kraj i człowiek może sprzedać wszystko, co do niego należy. Może jednak zamiast tego wykazać trochę silnej woli i wytrwać przy tradycji farmerskiej”. Nie znalazłem dalszych artykułów na ten temat.

Lipiec 1978: ślub Scotta Ardullo i Theresy McIntyre. Suknia ślubna „ręcznie haftowana, została sprowadzona z San Francisco i przypominała białe morskie fale, z trzymetrowym trenem, kaskadą belgijskiej koronki i mnóstwem pereł”. Terri nie odsłaniała nadmiernie biustu, suknia miała długie rękawy i zakrywała dekolt.

Wziąłem się do następnego pliku gazet.

Pół roku po wizycie przedsiębiorców budowlanych nadal nie natrafiłem na żadne wzmianki o sprzedaży ziemi, toczących się negocjacjach czy ofertach innych przedsiębiorstw.

Czyżby zabiegi Crimminsa poszły na marne, bo Scott zaparł się, a nikt nie chciał kupować tylko połowy ziemi?

Nawet jeśli tak było, Crimmins oficjalnie o tym nie wspominał. W lipcu 1978 roku wyjechali z Sybil na Bahamy. Z tego rejsu pochodziły jej zdjęcia w świetnie eksponowanym kwiecistym bikini, z zimnym drinkiem w ręku. W tekście napisano między innymi, że „zabawiała współpasażerów piosenkami z filmów i broadwayowskiej klasyki”.

Do stycznia 1980 roku nie wydarzyło się nic ciekawego, później zaś natrafiłem na relację z „Noworocznego balu dobroczynnego Ligi Farmerów” we Fresno, w zajezdzie „Silver Saddle”.

Większości ludzi na zdjęciach nie znałem, dopiero u dołu czwartej strony mignęły mi znajome twarze: Scott Ardullo tańczył z jakąś kobietą.

Nie z żoną. Trzymał w ramionach Sybil Crimmins. Długie blond włosy opadały jej na odsłonięte, opalone ramiona. Sybil była w czarnej sukni bez ramiączek. Piersi z trudem mieściły się jej w ciasnym gorsecie, kiedy tuliła się do wykrochmalonej koszuli Scotta. Spomiędzy splecionych palców ich dłoni błyszczał ogromny brylant w jej pierścionku. Patrzyli na siebie i w oczach Scotta dostrzegłem coś dziwnego, co nie pasowało do wizerunku młodego, rzetelnego biznesmena: niezwykle żar, blask, cień zaślepienia.

Głupie zauroczenie.

Może za dużo wypił albo dawno nie tańczył z nikim oprócz własnej małżonki i zapomniał już, jak to jest poczuć na szyi ciepły oddech innej kobiety... Albo też huczne przyjęcie pozwoliło obojgu okazać uczucie, którym do tej pory musieli cieszyć się w ciemnych, dusznych pokoikach.

Pewnie dlatego Jacob Haas tak się denerwował, mówiąc o Sybil Crimmins. Scott, którego tak podziwiał, miałby szlajać się z platynowądzirąż Los Angeles?

Miałem wrażenie, że sama fotografia emanuje ciepłem; mówiła więcej niż tysiące słów. Na dobrą sprawę dziwiłem się, że „Intelligencer” w ogóle ją zamieścił.

W numerze o trzy tygodnie późniejszym przeczytałem wstępniak, który po części wyjaśniał tę kwestię:

Dokonawszy dogłębnej analizy własnych odczuć Jak również będąc wielokrotnym świadkiem – naocznym, dodam – znojów i triumfów ludzi szlachetnych (niektórzy dodaliby pewnie „i niepoprawnie romantycznych „), którzy zmagają się z przeciwnościami losu oraz bardziej od nich złośliwymi czynnikami rządowymi, nasza gazeta musi wreszcie powodować się instynktem samozachowawczym i opowiedzieć się po stronie racjonalizmu.

Ci, co w czepkach się rodzą, mogą śmiało i słusznie perorować sobie o abstrakcyjnych ideałach w rodzaju „świętości gospodarstw rodzinnych”. Jednakże dla większości mieszkańców, dla tych twardych ludzi, których codzienna, mozolna praca sprawia, że ziemia nasza daje wspaniałe plony, a gałęzie uginają się od owoców, sprawa przedstawia się zupełnie inaczej.

Zwyczajny John Smith, zamieszkały w Treadway – a idę o zakład, że i w każdej innej rolniczej osadzie – haruje dzień w dzień za ustaloną stawkę i nie ma olśniewających perspektyw na przyszłość. Zazwyczaj dom i skrawek podwórka są wszystkim, co ma, a czasem i ten majątek jest zadłużony w jakiejś wielkiej instytucji finansowej. John Smith chętnie snułby plany na przyszłość, ale za bardzo pochłania go teraźniejszość. Kiedy więc szczęście uśmiecha się do niego, oferując podwyżkę cen ziemi w okolicy, a co za tym idzie – szansę realnego zysku, nie możemy potępiać go za to, że próbuje wykorzystać tę szansę, by zapewnić rodzinie ten sam komfort i poczucie bezpieczeństwa, które wybrańcom należą się rzekomo z racji pochodzenia.

Przychodzi czas, kiedy zdrowy rozsądek i prawa jednostek muszą przeważać. Najlepiej ujął to pan Carson Crimmins na ostatnim oficjalnym obiedzie:

„Postęp jest jak samolot odrzutowy: albo dajesz mu się porwać i lecisz wraz z nim, albo zostajesz na pasie startowym, ryzykując, że zdmuchnie cię na bok”.

Ci, którym los dał urodzić się w zamożniejszych rodzinach, lecz poskąpił wizjonerskiej natury, powinni sobie to przemyśleć. Czasy się zmieniają i zmian tych nie można powstrzymać. Historia naszego wspaniałego kraju opiera się na trzech fundamentach: wolnej woli, własności prywatnej i samowystarczalności.

Ci, którzy zaprzeczają głosowi przyszłości, mogą znaleźć się w przeklętym stanie, zwanym stagnacją.

Czasy się zmieniają. Odważni i mądrzy zmieniają się wraz z nimi.

Zawsze wasz, O. Hatzler

Oto Scott Ardullo znalazł się w redakcyjnej niełasce. Ale czy owo feralne zdjęcie nie powinno na równi z nim dyskredytować Carsona Crimmins'a?

Szukałem odpowiedzi Scotta na krytyczny wobec niego wstępniak, ale nic nie znalazłem. Albo nie zwracał sobie tym głowy, albo „Intelligencer” nie zgodził się opublikować jego listu.

Pięć tygodni później Orton i Wanda Hatzlerowie zniknęli ze stopki redakcyjnej, na ich miejscu zaś pojawiło się wypisane ozdobną czcionką inne nazwisko:

Sybil Crimmins WYDAWCA, REDAKTOR NACZELNY, GŁÓWNY REPORTER

„Intelligencer” skurczył się do trzech stron, drukowanych na różowym papierze, szmatławym jak tanie ulotki z supermarketów. Skończyły się zdjęcia i doniesienia ze świata, a ich miejsce zajęły obszerne recenzje filmów – na oko przepisane słowo w słowo z innych gazet – ledwie zrozumiałe relacje z lokalnych wydarzeń i amatorskie dowcipy rysunkowe, bez wyraźnego sensu, za to z ogromnym podpisem: „Derrick C”.

Trzy ledwie zapisane stroniczki nie zawierały dużo więcej treści także rok później, kiedy nagłówek krzychał wielkimi literami:

KRWAWA JATKA NA RANCZU ARDULLÓW! SZCZUROŁAP PEAKE ARESZTOWANY!

Sybil Norman Crimmins, wydawca, redaktor naczelny, główny reporter

Dla Treadway wybiła najczarniejsza godzina, a przynajmniej tak się wydawało, gdy nadzorca Best Buy Produce, Teodoro „Ted” Alarcon wezwał na ranczo Ardullów szeryfa Jacoba Haasa, który znalazł tam ślady niewiarygodnej masakry. Najpierw natknął się na zwłoki kucharki, panny Noreen Peake, którą spotkał potworny, nieludzki koniec z rąk prawdziwego demona zła. Na piętrze znalazł dalsze zwłoki: właściciela rancza, Scotta Ardulla (który przejął gospodarstwo po ojcu, zwanym „Bykiem „), jego żony Terri i ich pięcioletniej córki imieniem Brittany. To było coś potwornego, ale i tak wciąż brakowało czwartego członka rodziny, maleńkiego Justina. Wszyscy pamiętamy, ile się wycierpiała Terri przy porodzie, toteż cieszylibyśmy się, gdyby nic mu się nie stało.

Lecz makabra trwała. Szeryf Haas poszedł po krwawych śladach i trafił na tyły domu, gdzie mieszkał syn Noreen Peake, Ardis. Tam też znalazł Justina. Odrobina wyczucia nie pozwala nam

zagłębiać się w szczegóły zbrodni, niech więc wystarczy stwierdzenie, że ten, kto coś takiego zrobił dziecku, musi być potworem, z którym sam szatan nie mógłby się równać. Niedobrze się człowiekowi robi.

Ardis Peake był pijany i oszołomiony mnóstwem różnych narkotyków. Na ranchu zajmował się łapaniem szczurów i polowaniem na wszelkiego rodzaju szkodniki. Dysponował więc zapewne wszelkimi możliwymi truciznami i narzędziami zbrodni, nie wiemy jednak na razie, czym potraktował tych biednych ludzi.

To doprawdy nie do wiary, że taka tragedia zdarzyła się w takiej małej, spokojnej osadzie, jak nasza. Świat chyba z wolna wariuje. Weźmy taką rodzinę Mansona: napadli na ludzi, którym zdawało się, że są bezpieczni, bo mają pieniądze i solidnie zabezpieczone domy. A ta dzisiejsza muzyka: nikt już nie śpiewa o miłości, tylko o świństwach. Jest coraz gorzej.

Dlatego chyba ufajmy Bogu, bo tylko On nas ochroni.

Szeryf Haas wezwał na miejsce FBI i policję z Bakersfield, gdyż na co dzień nie zajmuje się takimi sprawami. Mówił wprawdzie, że służył w Korei, ale czegoś podobnego w życiu nie widział.

Z moich źródeł wynika, że Ardis Peake zawsze dziwnie się zachowywał. Czasem ludzie starali się mu pomóc. Wiem, że moi synowie, Cliff i Derrick, także próbowali zainteresować go sportem, teatrem, innymi rzeczami, byle tylko wywabić go z tej skorupy, w której się zamknął. Doszli do wniosku, że musi być strasznie samotny. Całymi dniami siedział sam, wachał klej i farby. Moi informatorzy twierdzą też, że był za bardzo zamknięty w sobie, żeby przyjaźnić się z innymi ludźmi. Cierpi zapewne na jakąś poważną chorobę psychiczną.

Dlaczego nagle zrobił coś tak strasznego?

Czy kiedykolwiek się tego dowiemy?

Wszyscy kochali Ardullów, którzy mieszkali wśród nas od zawsze i ciężko pracowali, nawet wówczas, gdy wiadomo było, że ceny owoców są za niskie, żeby opłacało się je hodować. Harowali jednak, bo wierzyli w sens tego, co robiaj byli solą tej ziemi, kochali swoją pracę.

JAK COŚ TAKIEGO MOGŁO SIĘ WYDARZYĆ TUTAJ, W TREADWAY?! W AMERYCE???!

Wygląda na to, że takie są skutki załamania psychicznego.

Nie znam odpowiedzi na te pytania, ale jestem tylko dziennikarką, a nie jasnowidzem.

Szkoda, że nie rozumiemy wszystkich Bożych zamysłów. Dlaczego każe dzieciom tak cierpieć? Dlaczego ludzie tak wariują?

Pytania, pytania, pytania bez końca...

Kiedy poznam odpowiedzi, nie omieszkać wam o tym napisać.

S. N. C.

Nie dotrzymała słowa. To był ostatni numer „Intelligencera”.

Wróciwszy do pokoju katalogów, przejrzałem mikrofilmowe kopie gazet wychodzących w San Francisco, Bakersfield i Fresno, szukając w nich doniesień o morderstwie Ardullów. Nie znalazłem nic, czego nie znałbym już z dzienników wydawanych w Los Angeles.

Publikowany w Modesto „Bee” zamieścił wspomnienie o Terri McIntyre Ardullo. Opisywał jej śmierć jako „przedwczesną”, ale ani słowem nie wspominał o morderstwie. Biografia była krótka: skautka, wolontariuszka Czerwonego Krzyża, ukończyła z wyróżnieniem szkołę średnią w Modesto, należała do Klubu Hiszpańskiego i Towarzystwa Szekspirowskiego, ukończyła studia na uniwersytecie w Davis.

Jej rodzice, Wayne i Felice McIntyre, przeżyli ją, podobnie jak dwie siostry – Barbara McIntyre i Lynn Blount. Znalazłem jakiegoś Wayne’a McIntyre w książce telefonicznej Modesto i, czując się jak ostatnia świnia, wykręciłem jego numer. Odebrała starsza kobieta. Wyjaśniłem, że prowadzę poszukiwania krewnych rodu Argentów z Pensylwanii w nadziei na zorganizowanie pierwszego zjazdu rodzinnego w Scranton.

– Argentowie? To czemu do nas pan dzwoni?

– Pani nazwisko znalazłem na liście, którą wydrukował mi komputer.

– Naprawdę? W takim razie chyba się pomylił. Nie jesteśmy spokrewnieni z żadnymi Argentami. Przykro mi.

Ani śladu złości czy niechęci w głosie.

Wciąż nie miałem pojęcia, co w osobie Peake’a zaciekało Claire.

Wyobraziłem sobie Ardisa, jak siedzi u siebie w izolatce, krzywi twarz, podryguje nerwowo, kołysze się jak autystyczne dziecko. Między neuronami przebiegają przypadkowe impulsy, i Bóg jeden wie, w jaki wzór układają się w zaćmionych płatach czołowych.

Drzwi się otwierają i do pokoju wchodzi uśmiechnięta kobieta.

Nowa lekarka, pierwsza osoba, która od szesnastu lat okazuje mu choćby cień zainteresowania. Klęka obok niego, mówi coś kojącym głosem, chciałaby mu pomóc... Tylko że on nie chce jej pomocy. Robi się zły.

Schowają w pudełku. Złe oczy.

Wziąłem na warsztat gazety z Miami, szukając czegoś o Crimminsach i po raz kolejny tego dnia natrafiłem na wspomnienie pośmiertne: Carson i Sybil Crimminsowie zginęli przed dwunastu laty, kiedy ich jacht eksplodował u południowych wybrzeży Florydy. Wraz z nimi zginął również jeden

członek załogi, ale gazety nie podawały jego nazwiska. Carsona określono mianem „przedsiębiorcy i handlarza nieruchomości”, Sybil zaś „byłej aktorki”. Nie zamieszczono zdjęć.

Następnie w „Las Vegas Sun” znalazłem adnotację o wypadku motocyklowym pod Pimm w Nevadzie, w którym dwa lata później zginął Carson Crimmins Junior. Ani słowa o młodszym z braci, Derricku. Fatalnie się złożyło, bo przecież raz już wypowiadał się publicznie i może nakłoniłbym go do rozmowy.

Niegdysiejszy wydawca „Intelligencera” doczekał się klepsydry i biografii na ostatniej stronie „Evening Outlook”, wydawanego w Santa Monica. Zmarł w tym właśnie nadmorskim kurorcie – a więc dziesięć kilometrów od miejsca, w którym mieszkam – „z przyczyn naturalnych” w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat. Mszę odprawiono w kościele prezbiteriańskim, zamiast kwiatów wdowa – Wanda Hatzler – prosiła o datki na rzecz American Heart Association.

Może wciąż mieszkała w Santa Monica? Gdybym ją odszukał, o co pytać? Dokopałem się już wojny finansowej, jaką Crimminsowie toczyli z Ardullami, zabawiłem się w Sherlocka Holmesa, wnioskując z jednego zdjęcia, że doszło też do rywalizacji całkiem innego rodzaju... Nic jednak nie wskazywało na to, żeby rzeź Ardullów miała inną przyczynę, aniżeli żądza krwi u jednego szaleńca.

Zastanawiająca była właśnie gwałtowność tego ataku; z kultury azjatyckiej przyswoiliśmy sobie nawet specjalne słowo na określenie takiego stanu – amok.

Właśnie amok Peake’a przyciągnął do niego Claire Argent, która teraz już nie żyła. Nie żyło również trzech mężczyzn... Peake zaś przepowiedział śmierć dwóch z nich. Prorok zagłady, zamknięty w szpitalnej celi. Coś musiało ich łączyć.

Darowałem sobie przeglądanie periodyków i zapytałem komputer o Wandę Hatzler i Derricka Crimminsa. Zdobyłem tylko jeden adres: Derek Albert Crimmins, 154. Zachodnia, Nowy Jork. Zadzwoiłem z automatu i odbyłem trwającą półtorej minuty, chaotyczną rozmowę z człowiekiem, który – sądząc z głosu i specyficznej gwary – był bardzo stary, spokojny i czarny.

Znalazłem również kogoś o nazwisku W. Hatzler w Santa Monica, lecz, niestety, bez dokładnego adresu. Kobięcy głos, który powitał mnie na automatycznej sekretarce, również zdradzał podeszły wiek, ale brzmiał żywo i mocno. Nagrałem podobny komunikat, jak w wypadku Jacoba Haasa i zapowiedziałem, że pod wieczór wpadnę.

Przed wyjazdem z Bakersfield zadzwoniłem do Mila. Nie było go w biurze, nie odbierał też komórki. Droga numer 5 zakorkowała się zaraz za Newhall: na wschodniej jezdni zdarzył się wypadek i jadący drugą jezdnią na południe ciekawscy blokowali ją skutecznie. Migające czerwone światła sygnalizowały obecność kilku samochodów policyjnych i karettek, zaparkowanych w poprzek drogi. Nad miejscem zdarzenia kołowały śmigłowce prasy i telewizji. Przewrócona ciężarówka dokumentnie blokowała pobliski wjazd na autostradę, a u jej przednich kół leżała poskręcana, bezkształtna masa w barwach chromu i czerwieni.

Policjanci z drogówki poganiali jadących, ale siłą bezwładności i tak poruszaliśmy się w żółwym tempie. Włączyłem radio, o wypadku było już głośno. Dwóch motocyklistów pokłóciło się, zaczęła

się gonitwa, zjazd z rampy i nieoczekiwana zawrotka, po której ścigający wpadł pod ciężarówkę. Jako przyczynę wypadku podawano „obłąd drogowy”. Tak jakby przypięcie etykiety mogło tu coś zmienić.

Powrót do Los Angeles zajął mi ponad dwie godziny i kiedy dojechałem do West Side, niebo przybrało odcień węgla drzewnego, a krawędzie chmur zaróżowiły się bladym szkarłatem. Zrobiło się za późno na odwiedzin u starszej pani. Na rogu Sunset i La Brea dolałem benzyny i zadzwoniłem do Wandy Hatzler.

Tym razem odebrała osobiście.

– Proszę przyjeżdżać, czekam na pana.

– Nie za późno na wizytę?

– Nie jest pan chyba rannym ptaszkiem, co?

– Nie, faktycznie nie jestem.

– To dobrze. Ranne ptaszki powinno się zagonić do dojenia krów.

Dałem znać do domu, że wrócę późno. Robin nagrała wiadomość, że zostaje do ósmej w Studio City, prowadząc jakieś naprawy podczas sesji nagraniowej. Idealna synchronizacja hiperaktywnych małżonków.

Pojechałem do Santa Monica.

Wanda Hatzler mieszkała przy Yale Street w różowo tynkowanym domku z zielonym dachem. Okalający go trawnik porastała gęsto lawenda, dzika cebula, tymianek i różne gatunki kaktusów. Spomiędzy zarośli sterczała tabliczka informacyjna firmy specjalizującej się w systemach alarmowych. Posesja nie była okolona płotem.

Zanim skończyłem parkować wóz przy krawężniku, pani Hatzler wyszła przed dom. Była wysoka, miała bez mała metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie ramiona i długie ręce. Włosy, których koloru po ciemku nie potrafiłem rozpoznać, nosiła krótko przycięte.

– Doktor Delaware? – upewniła się. – Wanda Hatzler. – Podała mi rękę; miała szorstką dłoń. – Ładny ma pan samochód. Mieliśmy kiedyś fleetwooda, dopóki Orton nie przestał prowadzić, a mnie znudziło się finansowanie koncernów paliwowych. Na wszelki wypadek wołałabym, żeby pokazał pan jakiś dokument. Zapraszam.

Wnętrze domu było przytulne, jasne, i zagracone – głównie krzesłami w co najmniej trzech odcieniach brązu. Ściany pokrywała jesionowa boazeria, a wisiały na nich reprodukcje prac Georgii O’Keeffe i kalifornijskie pejzaże olejne, utrzymane w brunatnobłotnej tonacji. Pozbawione drzwi framugi prowadziły do kuchni, gdzie na blacie siedziały laleczki w ludowych strojach, niczym w malutkim, ciasnym przedszkolu. Obok stała stareńka dwupalnikowa kuchenka, na niej zaś grzał się

rondel. Unosił się z niego zapach, który obudził we mnie wspomnienia z dzieciństwa – chłodny wieczór i zupa jarzynowa z puszek... Z trudem odpędziłem myśli o eksperymentach kulinarnych Peake'a.

Wanda Hatzler zamknęła za nami drzwi.

– Proszę się rozgościć.

Wybrałem jedno z krzeseł; gospodyni na razie nie siadała. Była ubrana w ciemnozielony pulower wycięty pod szyją w serek, wciągnięty na biały golf. Stroju dopełniały luźne szare spodnie i brązowe mokasyny. Czerń jej włosów gęsto znaczyły stalowoszare pasemka. Na oko mogła mieć równie dobrze siedemdziesiąt, jak i osiemdziesiąt pięć lat. Twarz miała szeroką, o oklapniętych jak u basseta policzkach, pomarszczoną niczym używany papier śniadaniowy. Niebieskozielone oczy przyciągały całą moją uwagę; pani Hatzler nie uśmiechała się, lecz wyczytałem w jej twarzy ślad rozbawienia.

– Napije się pan czegoś? Coli zwykłej, dietetycznej, może rumu?

– Nie, dziękuję.

– A może ma pan ochotę na zupę? Właśnie odgrzewam.

– Też dziękuję.

– Uparty z pana gość. – Wyszła do kuchni, nalała sobie kubek zupy, po czym wróciła do pokoju i usiadła naprzeciwko mnie. Podmuchała na zupę i upiła łyk. – Treadway... Co to była za dziura. Czemu na miłość boską tak pana interesuje?

Opowiedziałem jej o Claire i Peake'u, podkreślając aspekt nieudanej terapii i pomijając wątek proroczych objawień. Nie wspominałem też o innych morderstwach.

Odstawiła kubek na stolik.

– Peake? Zawsze miałam wrażenie, że jest niedorozwinięty, ale w życiu bym go nie podejrzewała o takie mordercze skłonności. Nie znam się na tym. Psychologii uczyłam się tylko na uniwersytecie Sarah Lawrence, na kursie wstępnym, wieki temu.

– Założę się, że sporo pani wie.

– Dlaczego? – Uśmiechnęła się. – Bo jestem stara? Niech się pan nie czerwieni, przecież to prawda – jestem stara. – Dotknęła dłonią pobrużdżonego policzka. – Ciało nie kłamie, czy to nie Samuel Butler tak powiedział? Może zresztą sama to wymyśliłam... Mniejsza z tym, obawiam się, że niewiele panu pomożę w sprawie Peake'a. Nie zwracałam na niego uwagi. Tak, teraz pan sobie pójdzie, szkoda. Byłam ciekawa tego spotkania.

– Chciała pani porozmawiać o Treadway?

– Raczej popsioczyć na Treadway.

– Jak długo tam państwo mieszkaliście?

– Za długo; nigdy nie znosiłam tej nory. W tym czasie, kiedy miało miejsce morderstwo, pracowałam w Bakersfield, w izbie handlowej. Nie jest to żadna metropolia, ale przynajmniej namiastka cywilizowanego świata; mieli na przykład chodniki. Wieczorami pomagałam mężowi składać gazetę, czy jak to nazwać. – Napila się zupy. – Czytał pan tego szmatławca?

– Przejrzałem całe dwadzieścia roczników.

– Boże... Gdzie je pan znalazł?

– W bibliotece w Bakersfield.

– Chyba rzeczywiście się pan stara. – Pani Hatzler pokręciła głową. – Dwadzieścia lat, Orton byłby zszokowany. Dobrze wiedział, do czego się zniżył.

– Nie lubił dziennikarstwa?

– Wprost przeciwnie, najchętniej prowadziłby „New York Timesa”. Prawdziwy chłopak z Dartmouth. „Intelligencer” – czy to nie zalatuje sentymentami ze wschodniego wybrzeża? Niestety, poglądy polityczne sytuowały Ortona na prawo od McCarthy’ego, co po wojnie nie było najlepiej widziane. Poza tym miał mały problem. – Udała, że wychyla kieliszek. – Czysty rum; polubił go podczas służby na Pacyfiku. Chociaż i tak dożył osiemdziesięciu siedmiu lat. Miał raka podniebienia, wyzdrowiał, dostał białaczki. Nastąpiła remisja, to zapadł na marskość wątroby, ale i tak walczył z nią jeszcze długie lata. Kiedy lekarz zrobił mu rentgen wątroby, nazwał go cudem medycyny. Orton był ode mnie sporo starszy. – Zaśmiała się, dopiła zupę i poszła po dolewkę. – Robiąc „Intelligencera” miał poczucie, że sięgnął dna. Zaczynał karierę w „Philadelphia Inquirerze” i od tego czasu do końca życia staczał się po równi pochyłej. Treadway stało się ostatnim przystankiem na tej drodze.

Kupiliśmy za grosze miejscowego szmatławca i pogodziliśmy się z życiem pełnym udręki i łagodnej nędzy. Rety, ależ nienawidziłam tej miejsciny; dookoła sami głupcy. Tak chyba przejawia się darwinizm społeczny – mądrzejsi emigrują do miast i tylko debile zostają na miejscu i się rozmnażają. – Znów parsknęła śmiechem. – Orton nazywał to zjawiskiem dodatniego cofania się. Postanowiliśmy się nie rozmnażać.

Powstrzymałem się od spojrzenia na zgromadzone w kuchni laleczki.

– Zostałam tam tylko z jednego powodu – kochałam mojego męża. Był bardzo przystojny, nawet przystojniejszy niż pan. I bardzo męski.

Założyła nogę na nogę i... czyżby zatrzepotała rzęsami?

– Z tego, co słyszałem, Ardullowie nie wyglądali mi na durniów.

Machnęła lekceważąco ręką.

– Wiem, wiem. Stary Henry studiował w Stanford. Przypominał o tym przy każdej okazji, nie dodawał tylko, że dostał się na uniwersytet dzięki futbolowi. Wszyscy go lubili, ja nie bardzo. Przy powierzchownej znajomości potrafił być przemiły – jeden z tych typków, którym wydaje się, że na ich skinienie kobiety rzucają im się do stóp, i zaczynają pozować na Galahada. Nadmierna pewność siebie nie przydaje mężczyźnie atrakcyjności, zwłaszcza kiedy nie ma podstaw. A „Bykowi” brakowało prawdziwego ognia; był uparty i dążył prosto do celu jak koń z kłapkami na oczach. Wystarczyło raz nadać mu kierunek, żeby już z niego nie zbiegł. A ta jego żona: subtelna, wydelikaccona, jak żywcem wyjęta z czasów królowej Wiktorii; wiecznie chorowała. Brałam ją zawsze za hipochondryczkę, a tu nagle zaskoczyła mnie i naprawdę na coś umarła. – Wanda Hatzler wzruszyła ramionami. – Tak to bywa, jak człowiek jest złośliwy. Czasem się pomyli i w serce zaczynają mu się sączyć paskudne wyrzuty sumienia.

– A co pani powie o Scotcie?

– Był mądrzejszy od ojca, ale też żaden z niego geniusz. Dostał w spadku ziemię, hodował owoce w odpowiednich porach roku... Nie trzeba do tego Einsteina, prawda? Nie, żeby śmierć Scotta mną nie wstrząsnęła; jego i jego biednej żony – była taka miłutka. I lubiła czytać. Zawsze byłam zdania, że odziedziczyła po przodkach nieprzeciętny intelekt. – Usta Wandy Hatzler zadrżały. – Najgorszy los spotkał te dzieciaczki. Niedługo przed morderstwem sprzedaliśmy z Ortonem gazetę i przeprowadziliśmy się tutaj. Kiedy Orton przeczytał o całej sprawie w „Timesie”, najpierw się porzygał, a potem zasiadł przy biurku i napisał artykuł, jakby wciąż był dziennikarzem. Potem podał go, znów zwymiotował, całą noc pił daiquiri i na dwa dni stracił przytomność. Kiedy się obudził, nie miał czucia w nogach. Cały dzień przekonywałam go, że jeszcze żyje. Był okropnie rozczarowany; biedaczysko, postanowił sobie, że zapije się na śmierć. Popępiał błąd, traktując cały świat śmiertelnie serio... Chociaż może w pewnych sytuacjach człowiek nie ma innego wyjścia. Nawet ja się popłakałam, z żalu za dziećmi. Nigdy nie przepadałam za dziećmi, przerażały mnie swoją delikatnością. Bałam się, że taka duża dziewczyna jak ja nie radziłaby sobie zbyt dobrze z ich kruchymi ciałkami. Mogłabym im zrobić krzywdę. Wiadomość o tym, co zrobił Peake, tylko potwierdziła moje obawy. Potem długo jeszcze cierpiałam na bezsenność.

Podniosła kubek z zupą jakby wznosiła toast.

– Dawno o tym nie myślałam, obawiałam się, że rozdrapywanie starych ran sprawi mi ból, ale teraz, jak o tym myślę, to gdyby nie dzieci, wszystko byłoby nawet zabawne. Dwadzieścia lat mieszkaliśmy na piętrze nad redakcją gazety, namawialiśmy ogłoszeniodawców do współpracy, braliśmy dodatkowe etaty, byle tylko mieć co do garnka włożyć. Orton pomagał ludziom w księgowości, a ja uczyłam niewiarygodnie głupie dzieci angielskiego i pisałam komunikaty prasowe dla bałwanów z izby handlowej.

– Niewiele miała pani styczności z Peakim.

– Znałam go z widzenia. Skryty chłopak, włóczył się po ulicach, grzebał w śmieciach... Nigdy nie zamieniliśmy nawet dwóch zdań. To miłe uczucie pamiętać takie rzeczy; w starej maszynerii jest jeszcze odrobina oleju. Co jeszcze pana interesuje?

– Crimminsowie...

– Kretyni. – Siorbnęła zupy. – Gorski od Ardullów. Nowobogackie prymitywy. Carson przypominał Henry'ego, był durny, myślał tylko o pieniądzach, lecz brakowało mu uroku „Byka”. Oprócz orzechów włoskich Crimminsowie hodowali też cytryny i Orton mawiał, że Carson wygląda, jakby w dzieciństwie dostawał je do ssania. Nic nie sprawiało mu przyjemności... Wy, psychologowie, macie na to swoje określenie.

– Anhedonia.

– Właśnie. Powinnam była zapisać się na kurs psychologii dla zaawansowanych studentów.

– ASybil?

– Dziwka; poleciała na jego forszę, duma blondyna. Żywcem wyjęta z kiepskiego filmidła.

– Chodziło jej o pieniądze Crimminsa?

– Przecież nie o urodę. Poznali się w czasie rejsu po Karaibach. Jezusie, co za koszmarny schemat. Gdyby Carson miał choć odrobinę oleju w głowie, od razu wyskoczyłby za burtę.

– Miał z nią kłopoty?

Chwila ciszy.

– Była prymitywna.

– Twierdziła, że jest aktorką.

– Tak jak ja sułtanem Brunei.

– Jakiego rodzaju problemy sprawiała?

– Och, wie pan, do wszystkiego się mieszała. Od momentu pojawienia się w miasteczku chciała wszystkim rządzić. Chciała stać się gwiazdą.

Próbowała nawet uruchomić kółko teatralne. Zmusiła Carsona, żeby w jednej ze stodół zbudował jej scenę i nakupowała mnóstwo sprzętu. Orton tak się śmiał, jak mi o tym opowiadał, że mało sztucznej szczęki nie zgubił. „Zgadnij, kto się do nas wprowadził, Wando? – mówił. – Jean Harlow, jakaś gówniana Jean Harlow”.

– Z kim miała nadzieję występować na tej scenie?

– Z miejscowymi wieśniakami. Próbowała też wciągnąć w to synów Carsona. Jeden z nich, nie pamiętam nawet który, umiał trochę rysować, więc kazała mu się zająć scenografią. Ortonowi wspomniała, że obaj chłopcy to „urodzeni gwiazdorzcy”. Pamiętam, jak przyszła do redakcji z ogłoszeniem o castingu. – Pani Hatzler nachyliła się w moją stronę i mówiła dalej piskliwym,

dziewczęcym głosem: – „Powiadam ci, Wando, wszędzie jest pełno utalentowanych ludzi. Każdy umie być twórczy, trzeba mu tylko pokazać, jak ma tworzyć”. Miała nadzieję, że i Carsona namówi do współpracy, a dla niego zwykle dobre zachowanie było szczytem możliwości aktorskich. A wie pan, co chciała wystawić? „Nasze miasto”. Gdybym podejrzewała, że ma mózg, mogłabym uznać ten zamiar za ironiczny. Sztuka powinna się raczej nazywać „Nasze wysypisko”. Wszystko się posypało, na przesłuchania nie stawiała się ani jedna osoba. Carson tego dopilnował. Na dzień przed opublikowaniem ogłoszenia zapłacił Ortonowi podwójną stawkę, byleśmy tylko wstrzymali druk.

– Miał tremę?

Wanda Hatzler się roześmiała.

– Powiedział, że to strata czasu i pieniędzy. Poza tym potrzebował tej stodoły, żeby mieć gdzie zwozić siano.

– Czy często tak było, że Crimmins po prostu kupował wszystko, czego chciał?

– Pyta pan, czy Orton dawał się przekupić, kiedy miał do czynienia z władzą? Absolutnie tak. – Przyglądała zmięty pulower. – Nikt nie miał złudzeń: Carson i „Byk” rządili miasteczkiem niepodzielnie; chciałeś z nimi dobrze żyć, włączałeś się do gry. Kiedy Henry zmarł, Scott zajął jego miejsce. Trudno nawet powiedzieć, żeby Treadway było miastem z prawdziwego zdarzenia. Przypominało raczej podzielone między dwóch lordów hrabstwo, w którym wszyscy graliśmy rolę feudalnych chłopów, balansując na cienkiej linii między łaską i niełaską możnowładców. Orton też padł ofiarą ścierających się wpływów, tak że pod koniec lat siedemdziesiątych postanowiliśmy wynosić się, gdzie pieprz rośnie, w dowolny sposób, byle dalej. Orton dochrapał się emerytury, a i ja miałam lada dzień dosłużyć się własnej. W dodatku dostałam skromną rentę po ciotce. Wystarczyło sprzedać wyposażenie drukarni i samą gazetę. Orton zaczął w tej sprawie rozmowy ze Scottem, ponieważ myślał, że łatwiej się z nim dogada, ale Scott o niczym nie chciał słyszeć. – Uderzyła się pięścią w pierś i zrobiła minę goryla. – Ja farmer, ja nic innego nie robić. – Kłapki na oczach i ośli upór miał po ojcu. Orton udał się więc do Carsona, który, ku jego zdumieniu, powiedział, że się zastanowi.

– Orton się zdziwił, bo Carson był z natury leniwy, czy tak?

– A poza tym wszyscy wiedzieli, że myśli tylko o tym, jakby tu samemu wyrwać się z Treadway. Rok w rok powtarzały się plotki, że sprzedaje ziemię.

– Jak długo trwał taki stan rzeczy?

– Całe lata. Kłopot w tym, że Scottnie zamierzał pozbyć się sadów, a połowa doliny nikomu nie była do szczęścia potrzebna. Orton zasugerował Carsonowi, że prowadzenie gazety pewnie zainteresuje Sybil, która może przestałaby rozrabiać. – Wanda Hatzler pstryknęła palcami. – I udało mu się.

Rozumiałem teraz nagły przypływ przychylności „Intelligencera” wobec Crimminsów.

– Co ma pani na myśli mówiąc, że Sybil rozrabiała?

– A jak pan sądzi? – Uśmiechnęła się krzywo.

– Widziałem ją na zdjęciu z jakiejś potańcówki ze Scottem.

Uśmiech najpierw zbladł, a potem rozkwitnął na nowo, szeroki i szczery.

– Ach, to zdjęcie... Równie dobrze mogliśmy dać ich rozebraną fotkę. Orton, dżentelmen w każdym calu, w ogóle nie chciał go zamieścić, ale schlał się tej nocy do nieprzytomności, więc sama złożyłam gazetę.

Odetchnęła głęboko.

– I co się stało? – spytałem.

– Oficjalnie nic. Podejrzewam, że napięcie w gronie zainteresowanych mogło nieco wzrosnąć. Terri Ardullo zawsze imponowała mi swoim twardym charakterem, ale nie zaczęła ganiać Sybil z siekierą w garści. Ardullowie w życiu nie zgodziliby się na publiczne pranie brudów. Carson zresztą też.

– A co na to feudalni chłopci?

– Do mnie nic nie doszło. Nie opłaca się antagonizować szlachty, jeśli człowiek chce mieć co jeść. Poza tym wszyscy już o Scotcie i Sybil wiedzieli.

– Ich romans był tajemnicą poliszynela?

– Od paru miesięcy, a na pewno od czasu, jak Sybil nie powiodło się wystawienie sztuki. Mam wrażenie, że chciała jak najszybciej zagrać nową rolę. – Pani Hatzler pokręciła głową. – Słabo się z tym kryli. Zawsze najpierw Scott wyjeżdżał z miasta swoją półciężarówką, a w jakąś godzinę potem znikał pontiac tej suki. Wracała pierwsza, zazwyczaj z zakupami, czasem zaglądała do sklepików, żeby pokazać, co kupiła. A potem, oczywiście, zjawiał się Scott. To żałosne. Jak oni w ogóle mogli myśleć, że uda im się całą sprawę ukryć?

– Zatem Carson też o wszystkim wiedział.

– Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej.

– I nie reagował? Nie próbował im przeszkodzić?

– Był znacznie starszy od Sybil. Może jej nie wystarczał i nie martwił się zbytnio, że od czasu do czasu ktoś inny się nią zajmie. Pewnie dlatego dał się przekonać Ortonowi, że warto znaleźć jej jakieś zajęcie. Oczywiście wykorzystaliśmy go niecznie. Czytał pan tę szmatę pod jej redakcją?

– Ledwie da się coś zrozumieć.

– Łaskawy z pana młodzian. To był ubaw.

– A co mi pani powie o Jacobie Haasie?

– Dobroduszny, ale głupi. Zanim został u nas szeryfem, pracował w Bakersfield jako księgowy. Dostał tę robotę dzięki temu, że służył w Korei. W college’u uczęszczał na kursy policyjne, nikomu się nie naraził...

– Czyli nie stał ani po stronie „Byka”, ani Carsona?

– Czyli nie wsadzał im dzieciaków do więzienia.

– A mógł?

– Scotta nie, ale małych Crimminsów na pewno; taka para zepsutych do szpiku kości gówniarzy. Carson kupił im szybkie wozy, więc ścigali się nimi po Main Street. Wszyscy wiedzieli, że piją i ćpają, więc chyba tylko przypadkiem nikogo nie zabili. Jeden z nich zapłacił za swoją lekkomyślność kilka lat później – rozbił się na motorze.

– Mieli na sumieniu coś jeszcze poza jazdą po pijanemu?

– Ogólnie paskudne usposobienie. Robotników sezonowych traktowali jak śmiecie, naprzykrzali się ich córkom, a kiedy sezon się kończył, zmieniali front i wracali do naszych dziewczyn. Pamiętam, jak kiedyś późno w nocy skończyłam przygotowywać gazetę i wyszłam zaczerpnąć świeżego powietrza. Nagle przecnicę dalej z piskiem opon hamuje jakiś samochód, taki podrasowany, pomalowany. Od razu wiedziałam czyj. Otworzyły się tylne drzwi, ktoś wyleciał ze środka i wóz odjechał. Człowiek poleżał na chodniku ze trzy sekundy, a potem pozbierał się i wolno ruszył przed siebie środkiem ulicy. Podeszłam do niego i patrzę, a to mała Meksykanka. Miała najwyżej z piętnaście lat, nie знаła ani słowa po angielsku, twarz miała całą opuchniętą od płaczu, a ubranie wymięte i podarte. Próbowałam z nią porozmawiać, ale tylko pokręciła głową, wybuchnęła płaczem i uciekła. Kawalek dalej ulica kończyła się i zaczynały pola.

– Czyje?

Zmrużyła oczy.

– Zaraz, niech no się zastanowię... Na północy rosła lucerna Scotta.

– A więc Cliff i Derrick nie ponieśli konsekwencji?

– Nie.

– A jak im się żyło z macochą?

– Pyta pan, czy z nią sypiali?

– Niezupełnie, wyobraźnia aż tak mnie nie poniosła.

– Dlaczego nie? Nie ogląda pan telewizji?

– Twierdzi pani, że Sybil...

– Nie, nic takiego nie twierdzą. Po prostu głośno myślę. Ona była dziwką, a oni młodymi chłopami na schwał. Szczerze mówiąc, a nie cierpię być szczerą, nigdy nie natrafiłam na ślad tak wstrętnych związków, ale... Jak się dogadywali? Kto by kochał macochę? Tym bardziej, że Sybil nie była typem kochanej mamusi.

– Udało jej się jednak wciągnąć ich do swojego teatryku.

– Jednego tak, tego który rysował.

– Derricka – dopowiedziałem. – Pisała o tym w „Intelligencerze”. Ale przecież zepsuty nastolatek nie robiłby czegoś, co go nie rajcuje.

Pani Hatzler na chwilę umilkła.

– To prawda... Musiał to lubić. Czemu tak pan wypytuje o Crimminsów?

– Nazwisko Derricka pojawiło się w jednym z artykułów o morderstwie. Wypowiadał się na temat dziwactwa Peake’a. Poza Haasem tylko on jeden zgodził się na ujawnienie nazwiska, więc doszedłem do wniosku, że Warto go poszukać.

– Gdyby go pan znalazł, proszę go ode mnie nie pozdrawiać. Nie dziwię się, że skorzystał z nadarzającej się okazji, żeby ponabijać się z Peake’a. Uwielbiali go z bratem męczyć, co tylko potwierdza ich wredny charakter.

– Jak to męczyć?

– Normalnie, jak rozpuszczone dzieciaki; naśmiewali się z niego, poszturchiwali go... Nieraz widziałam, jak z bandą kolegów, której zresztą przewodzili, zbierali się w zaułku za redakcją. Peake też się tam czasem kręcił, grzebał w pojemnikach na śmieci, szukał farby czy czego tam... Crimminsowie nudzili się i szukali jakiejś rozrywki. Otaczali go, śmiali się, popychali, wsadzali mu papierosy do ust, ale ich nie zapalali... Ostatnim razem miałam nawet tego dość. Wypadłam na uliczkę i zbluzgałam ich równo, więc się rozbiegli. Nie sądzę, żeby Peake był mi wdzięczny, nawet na mnie nie spojrzał, po prostu odwrócił się i odszedł. Nigdy więcej nie zwracałam sobie nim głowy.

– Jak reagował na ich zaczepki?

– Stał jak słup, jak ja teraz. – Pani Hatzler otwarła usta i zapatrzyła się w dal. – Jakby myślami był zupełnie gdzie indziej.

– Nie złościł się?

– Nie. Przypominał mi zombi.

– Czy zatem zdziwiła się pani, dowiedziawszy się o jego gwałtownej agresji?

– Raczej tak – przyznała. – Dziś byłabym pewnie mniej zaskoczona. Jak to się mówi: cicha woda brzegi rwie. Nigdy nie wiadomo, co w kim siedzi.

– Ma pani jakiś pomysł, dlaczego zabił Ardullów?

– Był wariatem. To pan jest psychologiem. Dlaczego szaleńcy zachowują się tak, a nie inaczej?

Zacząłem jej dziękować i chciałem zbierać się do wyjścia, gdy zatrzymała mnie skinieniem ręki.

– Interesuje pana moja teoria? – zapytała. – Miał pecha, znalazł się w niewłaściwym miejscu w nieodpowiednim czasie. To tak jakby wyszedł na jezdnię i wpadł pod autobus. – Usta jej zadrżały.

– Nie jest łatwo żyć tak długo. Ciągle czekam, aż coś mi się przytrafi, ale wciąż mam szczęście. Czasem dostaję szału. Mija kolejny dzień, i ta rutyna... – Jeszcze jedno machnięcie. – Dobrze, do widzenia. Niech mnie pan zostawi. I tak panu nie pomogłam.

– Przeciwnie, bardzo mi pani pomogła...

– Niech pan da spokój. – Złapała mnie za rękę. Jej skóra była w dotyku sucha, zimna i tak gładka, że aż zdawała się sztuczna. – Proszę jedno zapamiętać, doktorze: szczęście też może być przekleństwem. Człowiek wie, że coś się musi popsuć, lecz nie ma pojęcia kiedy.

Kiedy po ósmej wieczorem wyszedłem od Wandy Hatzler, Wilshire zmieniło się już w uroczą strugę światła pod perłowocząrnym niebem. Głowa mi pękała od opowieści i nowych faktów. Wyglądało na to, że w Treadway znalazło się miejsce dla nienawiści i intryg, których wcześniej nawet nie podejrzewałem. Tyle że wciąż nie znalazłem związku z Claire Argent. Na koniec pracowitego dnia postanowiłem sprawdzić, czy nie było do mnie telefonów. Zadzwoiłem do firmy prowadzącej dla mnie usługę telefonicznej sekretarki.

Było czego posłuchać. Robin zapowiadała, że nie wróci do domu przed dziesiątą. Pewien wyjątkowo wredny adwokat z Encino chciał się ze mną skonsultować w paskudzącej się sprawie o opiekę nad dzieckiem. Wiedział, że pracuję tylko na zlecenie sądu, niejako wolny strzelec, a w dodatku do tej pory nie zapłacił mi za zeszłoroczne zlecenie. Wszyscy żyją złudzeniami.

Piąta wiadomość pochodziła od Mila: „Wpół do ósmej będę w biurze. Odezwij się”.

– Pański kolega detektyw był chyba zirytowany – dodała telefonistka.

Podjechałem na posterunek, zameldowałem się na portierni i poczekałem, aż strażnik zadzwoni do wydziału rozboju i zabójstw. Cały czas mijali nas umundurowani policjanci; nikt nie zwracał na mnie uwagi, gdy przeglądałem portrety aktualnie poszukiwanych. W chwilę później otworzyły się drzwi na schody i wypadł z nich Milo, odgarniając włosy z czoła.

– Wyjdźmy się przewietrzyć – zaproponował, nie tracąc czasu na zatrzymywanie się przy mnie. Marynarkę miał koloru zsiadłej owsianki, a na prawej klapie zielonkawą plamę. Ciasno zawiązany krawat uwierał go w szyję, tak że przypominał modela pozującego do plakatu Tygodnia Walki ze Stresem.

Ruszyliśmy chodnikiem wzdłuż Butler Avenue. W kwaśnym, suchym i gorącym powietrzu marzyłem o czymś zimnym do picia.

– Nie wiem nic o Pelleyu – zastrzegł się zaraz na wstępie Milo. – Więc nawet nie pytaj. Cały dzień zajęli mi bliźniacy Beatty. Brat Leroy opowiadał ludziom, że grał w filmie.

– Jakim ludziom?

– Kumplom spod budki z piwem. Byliśmy dziś z Willisem Hooksem w miejscu, gdzie zginął – to niedaleko sklepu z alkoholem, koło którego zwykle się kręcił w towarzystwie innych amatorów taniego bełta. Paru twierdziło, że Leroy przechwalał się, jakoby miał zostać gwiazdą filmową.

– Dawno?

– Pojęcie czasu jest tym klientom trochę obce, ale mówią coś o trzech, może czterech miesiącach. Leroy zapowiadał też, że i brata ściągnie do filmu. Ponoć kiedy reżyser dowiedział się, że trafili mu się bliźniacy, obiecał im wyższą stawkę. Pijaczkowie uznali, że się przechwala, bo kiedy się naprał,

często mu się to zdarzało. Mało tego, nie chcieli mu wierzyć, że w ogóle ma brata bliźniaka. Nigdy im nie wspominał o Ellroyu.

– Chwalił się po zakończeniu zdjęć?

– Nie. Po tygodniu wrócił roztrzęsiony i nie chciał o tym mówić. Jeśli nawet dostał jakąś kasę, to nikt jej na oczy nie widział. Kumpie podejrzewają, że wpadł w ciąg i wszystko przepił.

– Albo pan Griffith D. Wark znalazł kogoś innego.

Miałem zamęt w głowie; elementy układanki z wolna zaczynały do siebie pasować, łączyć się w całość...

– Myślałem już o tym – rzekł Milo. – Nikt nie widział, żeby jakiś wysoki biały zagadywał Leroya.

– Czy goście, z którymi pijał Ellroy, mają coś do powiedzenia na temat filmu?

– Na razie Aguilar nie znalazł żadnych jego znajomych. Ellroy chyba z natury był mniej towarzyski od brata. Mieszkał samotnie przy torach. Jeden z konduktorów widywał go tam od czasu do czasu, jak włóczył się bez celu po okolicy. Uznał go za wariata, bo Ellroy często mówił sam do siebie. – Milo podrapał się po nosie. – No i oto wątek filmowy wraca jak bumerang. Jeżeli nawet uznamy go za wspólny dla Dady i bliźniaków, Claire nadal do niego nie pasuje. Poza tym może, że lubiła chodzić do kina. Jak ja mam to powiedzieć jej rodzicom? Żule nie rozpoznali jej na zdjęciu, ale to nic dziwnego, bo i czego miałyby szukać w jakiejś melinie? Wieczorem wybieram się do tej knajpy w Toluca Lake, gdzie Dada robił za kelnera. Nazywa się „Dębowa beczka”. Nie wiem, czego się spodziewam, ale może okaże się, że Claire się tam stołowała. Wark prawdopodobnie oboje tam właśnie spotkał. Nawiasem mówiąc miałeś rację: „W” u D. W. Griffitha oznaczało właśnie „Wark”. Sprawdziłem to. Skurczybyk uważa się za geniusza kina. Takich porąbanych spraw najbardziej nie cierpię. Po co Wark, czy kim tam jest, miałby likwidować własnych aktorów?

– Cięcia w budzecie?

– Lepiej nie podsuwać tego pomysłu wielkim wytwórniom. A tak poważnie: o co w tym wszystkim chodzi? Jaką rolę miałby odgrywać automat, jakim jest Peake? I jak go do tego zmusić, żeby w ogóle odegrał rolę?

– Może Wark filmuje morderstwa.

– Robi filmy, w których aktorzy naprawdę umierają?

– Właśnie, niekoniecznie zresztą z seksualnym podtekstem. Chronologiczny zapis gwałtownych śmierci, dosłownie krwawa przechadzka, skierowana wyłącznie na czarne rynek. Wyjaśniałoby to, dlaczego scenariusz nie został zarejestrowany i czemu Wark wypożyczył sprzęt pod fałszywym nazwiskiem. Zaoszczędził trochę forsy. Poza tym pasowałoby do tego zróżnicowanie ofiar, sposobów zadania im śmierci i rytualna otoczka. Wiesz, takie krwawe kino autorskie; gość gra Boga, przydziela role, a potem zabija aktorów, kiedy mu przyjdzie na to ochota. Psychopaci mają tendencję do depersonalizacji ofiar. Podejrzewam, że Wark uprawia degradację ostateczną, ogranicza obsadę do

archetypów: Bliźniaki, Aktor i tak dalej. To okrutny i prymitywny sposób myślenia. Dokładnie tak samo dzieci odgrywają swój gniew, tylko że niektóre z nich nigdy z tego stadium nie wyrastają. A jeśli chodzi o Peake'a, to jest w tę sprawę zamieszany tylko dlatego, że Wark tak chce. Dlatego, że łączy ich wspólna przeszłość. Zbrodnia Peake'a silnie wpłynęła na Warka, a teraz, kiedy sam kręci film, chce w proces twórczy włączyć Peake'a. Co więcej, znalazłem kandydata do tej roli; jest nim niejaki Derrick Crimmins.

Opowiedziałem Milowi wszystko, czego dowiedziałem się w Treadway i o Treadway: o ciągnącym się latami konflikcie między Ardullami i Crimminsami, o romansie Scotta i Sybil, o wrednym zachowaniu synów Crimminsa i współpracy Derricka z trupą teatralną Sybil.

– Nie przepadał za macochą, ale pozostawał przy niej. A wiesz dlaczego? Bo cała idea teatru i inscenizacji bardzo silnie do niego przemawiała. Poza tym pasuje do opisu Vita Bonnera, który opowiadał nam o Warku – jest wysoki i szczupły. Wiek też się zgadza. Derrick powinien mieć około trzydziestu pięciu lat.

Milo długo przeżuwał moje słowa. Spacerowaliśmy ciemnymi uliczkami eleganckiej dzielnicy mieszkaniowej. Nasze kroki niosły się echem w nocnej ciszy.

– Nikt z Crimminsów nie żyje, tak? Poza Derrickiem.

– Ojciec, macocha i brat zginęli w wypadkach. Ciekawe, co?

– To znaczy, że Derrick też ma na sumieniu całą rodzinę?

– Aranżowanie wypadków również da się podciągnąć pod inscenizację. Poza tym to nie jest wzorowy obywatel. Wanda Hatzler twierdzi, że obaj z bratem byli zepsuci, brutalni i prawdopodobnie mają parę gwałtów na sumieniu.

Nagle stanąłem jak wryty.

– Co się stało? – zdziwił się Milo.

– Coś mi przyszło do głowy. Szeryf Haas powiedział, że po morderstwie znaleziono Peake'a w baraku, gdzie trzymał mnóstwo różnych prochów, w tym także leki niedostępne bez recepty, jak na przykład fenobarbital. Z apteki w Treadway nic nie zginęło, a nikt z Ardullów nie miał takich recept. Haas był pewny, że fenobarbital kupiono poza miastem, mimo że nigdy nie widziano, żeby Peake opuszczał Treadway. Musiał mieć źródło zaopatrzenia gdzieś dalej. Wanda często widywała Crimminsów, jak z kolegami znęcali się nad Peakiem; nie stawiał oporu, zachowywał się zupełnie biernie. Może Derrick i Cliff podsuwali mu prochy, żeby mieć jeszcze większy ubaw jego kosztem? W noc zabójstwa Peake był oszołomiony lekami, coś w nim pękło i zarznął Ardullów, bracia zaś zdali sobie sprawę, że pośrednio się do tego przyczynili. Ktoś inny na ich miejscu byłby przerażony, ale Crimminsowie mieli aż nadto powodów, żeby nienawidzić Scotta. Za nic nie chciał pozbyć się ziemi, przez co ich ojciec nie mógł sprzedać swojej. Poza tym Scott sypiał z ich macochą, więc właściwie mogli być zadowoleni z dzieła Peake'a, przypisywać sobie pośrednio zasługę za to, co się stało. Zainscenizowana scena rozegrała się dalej zgodnie z ich zamierzeniami: ziemię sprzedano,

rodzina się wzbogaciła. Dla dzieciaka, który już wtedy przejawiał silne skłonności aspołeczne, byłaby to spora frajda. A parę lat później Derrick spróbował działań bardziej bezpośrednich i wysadził w powietrze jacht ojca i macochy. Co więcej, znów mu się upiekło.

– Chyba że łódź naprawdę eksplodowała przez przypadek, ktoś inny nafaszerował Peake’a, Wark nie jest Derrickiem, a Derrick jak każdy przeciętny playboy żłopie egzotyczne drinki w Palm Beach i zapewnia sobie raka skóry.

– Oczywiście – przyznałem. – Ale skoro już się sprzecząmy, przedstawię ci jeszcze inną wersję wydarzeń. Udział Cliffa i Derricka w morderstwie Ardullów nie był pośredni, lecz nader znaczący. Specjalnie karmili Peake’a prochami i podsycali jego złudzenia; popchnęli go do zabicia Scotta i reszty rodziny. Byli z natury agresywni i dominujący, Peake zaś bierny i miękki. Mogli wyczuć, że ma żal do Ardullów i umiejętnie go wygrać. Może nawet nie spodziewali się, że dojdzie do masowego mordu i kiedy Peake wpadł w szal, z początku się przestraszyli. Ale tylko z początku – potem przyszło oszołomienie, a jeszcze później – zadowolenie.

Milo potarł pięściami oczy.

– Coś ty przeszedł w dzieciństwie, że teraz masz takie pomysły?

– Miałem za dużo wolnego czasu.

I ojca alkoholika, matkę w wiecznej depresji, piwnicę, w której mroku spędzałem całe godziny, starając się odciąć od hałasów w domu i wykreować własny świat...

– No, no, no...

– Czy nie warto byłoby chociaż dowiedzieć się, gdzie mieszka Derrick, w jakiej jest sytuacji finansowej i czy figuruje w waszej kartotece?

– Jasne – powiedział Milo. – Tak zrobimy.

Wróciliśmy na posterunek, gdzie od razu zasiadł do komputera. Derrick Crimmins nie był poszukiwany żadnym listem gończym, nie miał żadnego wyroku, nie figurował w sporządzonym przez FBI spisie zbrojczyków i chyba nie zajmował celi w żadnym kalifornijskim więzieniu. Po telefonie do biura rejestracji pojazdów wiedzieliśmy też, że na nazwisko Crimminsa nie jest zarejestrowany żaden samochód.

Tak samo z Griffithem D. Warkiem. Znaleźliśmy kilku Crimminsów, ale żaden nie miał na imię Derrick.

– Jutro sprawdzę w ubezpieczeniach – rzekł Milo. – Przejrzę nawet świadectwa zgonu, żebyś wiedział, że zależy mi na rozwiązaniu tej sprawy. Dlaczego właściwie jacht Crimminsów zatonął?

– Wiem tylko, że stało się to u południowych brzegów Florydy. Brat Cliff rozbił się natomiast w Pimm, w Nevadzie.

Milo zapisał coś w notesie i z wysiłkiem wstał.

– Wark Warkiem, ale jak udaje mu się skontaktować z Peakiem?

– To nie takie trudne, jeśli na przykład pracowałby w Starkweatherze.

Milo się skrzywił.

– Czyli trzeba przejrzeć akta personelu u naszego dobrego przyjaciela, pana Swiga... Jeżeli „Krwawa przechadzka” rzeczywiście jest zapisem wielu morderstw, to czy myślisz, że Crimminsowi uda się ją sprzedać?

– Nie wiem. Może chce tylko puścić ją w obieg dla zabawy? Jeżeli jest tym Derrickiem, o którym myślę, to odziedziczył fortunę i nie potrzebuje pieniędzy, a wtedy wszystko okaże się tylko wyjątkowo ohydny zbrodniem.

– Grą.

– Zawsze uważałem, że morderstwa mają w sobie coś z gry.

– Szkoda, że nie jesteś kretynem, bo bym bez namysłu odrzucił twoje durne fantazje... Dobra, wracamy na ziemię. „Dębowa beczka”.

– Jeśli chcesz, mogę ci towarzyszyć.

Milo zerknął na zegarek.

– A co z ogniskiem domowym?

– Jest za gorąco, żeby palić w kominku. Zresztą jeszcze przez parę godzin dom będzie świecił pustkami.

– Jak chcesz. Ty prowadzisz.

Toluca Lake jest uroczym zakątkiem, wciśniętym między pomocną krawędź Hollywood i Burbank. Główną ulicę stanowi wschodnia odnoga Riverside Drive, przy której stoją drobne sklepiki. Większość zachowała jeszcze oryginalne fasady z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Małe domki w ogródkach sąsiadują z rozległymi posiadłościami ziemskimi. Kiedyś mieszkał tu Bob Hope, dziś również Toluca Lake nie narzeka na brak gwiazd, zwłaszcza tych, które przejawiają sympatię dla republikanów. W studiach Burbank i wśród okolicznych wzgórz nakręcono całe mnóstwo westernów, niedaleko znajduje się między innymi centrala NBC.

Skrecając z Riverside w lewo lub w prawo trafia się w zaciszne zaułki, na których nocą panuje cisza i porządek. Parkowanie na nich jest możliwe wyłącznie za okazaniem identyfikatora, a nad wszystkim czuwają policjanci. Restauracje są tu przestronne, oświetlone przyćmionym blaskiem lamp i serwują dania owej nieokreślonej kuchni kontynentalnej – kiedyś specjalności Los Angeles,

od niedawna zaś praktycznie nie istniejącej na zachód od Laurel Canyon. Siwe włosy gości nie wywołują złośliwych uśmiechów u kelnerów, martini nie są chwilowym szaleństwem w stylu retro, a barów z pianistami nie brakuje.

Zdarza mi się występować przed sądem w Burbank, toteż odwiedzam czasem Toluca Lake. Nieodmiennie przychodzą mi wtedy na myśl idealne przedmieścia wielkiego miasta, znajome ze starych, czarnobiałych filmów: modernistyczne meble, duże samochody, ciemna szminka u kobiet, znany aktor z niewzruszonym spokojem popijający whisky po długim dniu na planie...

Byłem już w paru restauracjach przy Riverside Drive, ale do „Dębowej beczki” los zawiódł mnie pierwszy raz. Okazała się utrzymaną w nowoczesnym stylu stertą otynkowanych cegieł, przycupniętą na południowo-wschodnim rogu ulicy, słabo oświetloną latarniami. Powyżej daszku nad wejściem mienił się dyskretną zielenią neonowy kufel i antałek. Parking, który rozmiarami dwukrotnie przewyższał restaurację, świadczył o tym, że zbudowano ją na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Nikt nie parkował klientom samochodów. Na asfaltowej patelni było mnóstwo miejsc dla aut, z czego może co czwarte zajęte: lincolny, cadillaki, buicki, następne lincolny...

W dębowych drzwiach frontowych połyskiwała szyba z bąbelkowego szkła. Wszedłszy nadzialiśmy się na ażurową przesłonę, oddzielającą salę od drzwi. Obeszliśmy ją i znaleźliśmy się w małej szatni, która przylegała do sali koktajlowej: czterech facetów siedziało przy barze, a nad regałem pełnym butelek migał telewizor. Leciały wiadomości, ale głos wyłączono. Powietrze było lodowate, przesycone nazbyt delikatnymi dźwiękami fortepianu, światło zaś tak słabe, że z trudem rozróżniałem kolory. Z półmroku wyłoniła się jednak w końcu zielona marynarka szefa kelnerów.

Był wysoki, miał co najmniej siedemdziesiąt lat, wypomadowane siwe włosy i klasyczne, rzymskie rysy twarzy. Nosił okulary w czarnych ramkach. Przed nim, na dębowym postumencie, leżała pustawa książka gości, w której zapisywano rezerwacje. Główna sala, po lewej, była zasłonięta i słyszałem tylko brzęk srebrnych sztućców i szmer rozmów. Pianista przetwarzał właśnie „Lady Be Good” w małego menueta.

– Dobry wieczór panom – przywitał nas starszy kelner z oszczędnym uśmiechem. Mówił wyraźnie, lecz z lekkim włoskim akcentem. – A, to pan, detektywie – rzekł, gdy podeszliśmy bliżej. – Miło mi znów pana widzieć.

Na złotej plakietce miał wygrawerowane imię: „Lou”.

– Pamięta mnie pan – stwierdził Milo z chyba nie udawaną serdecznością.

– Ma się tę pamięć. Poza tym rzadko zagląda tu ktoś z policji. Tym razem przyszedł pan coś zjeść?

– Raczej się napić.

– Tędy, proszę. – Tym słowom towarzyszył zamaszysty ruch ręki. – Czy sprawa Richarda posunęła się do przodu?

– Chciałbym, żeby tak było... Skoro już o tym mówimy, czy widział pan tu kiedyś tę kobietę?

Milo wyciągnął zdjęcie Claire jak magik kartę z rękawa.

– Skoro już o tym mówimy – Lou się uśmiechnął – naprawdę zamierza pan coś wypić, czy tylko wyciągnąć nowe informacje?

– Piwo, jeśli w ogóle podajecie coś takiego.

Tym razem Lou szczerze się roześmiał i wziął fotografię do ręki.

– Przykro mi, ale jej nie znam. Dlaczego pan pyta? Była znajomą Richarda?

– Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć. Niech mi pan powie, czy od czasu mojej ostatniej wizyty przypomniał pan sobie może coś ciekawego?

– Nie. – Kelner oddał zdjęcie. – Richard był dobrym, spokojnym i rzetelnym chłopakiem. Nie zatrudniamy raczej „tak zwanych”, ale na nim się nie zawiedliśmy.

– „Tak zwanych”? – zdziwiłem się.

– Tak zwanych aktorów, tak zwanych reżyserów... To wszystko śmiecie; wydaje im się, że mają za wysokie kwalifikacje, żeby cokolwiek robić i wyświadczać człowiekowi przysługę, jeśli w ogóle raczą się pojawić w pracy. W dziewięciu przypadkach na dziesięć nie potrafią zanieść na salę tacy z pieczywem albo wdają się w pyskówki ze stałymi klientami, a ja muszę łagodzić sprawę. – Sięgnął do tyłu i poprawił sobie marynarkę. – Wolimy starszych, zawodowców, z klasą. Takich jak ja. Ale Richard, jak na takiego młokosa, był niezły, grzeczny. Mówił „proszę pana” i „proszę pani” zamiast „wy”... Miły, przemiły chłopak, dlatego go przyjąłem, mimo że chciał zostać aktorem. Poza tym tak mnie prosił, twierdził, że bardzo pilnie potrzebuje pieniędzy, a ja wyczułem w nim uczciwego człowieka. Sumienny, nie mylił zamówień, nie było na niego skarg... Chodźmy, chodźmy, przyniosę panom drinka.

Łukowato wygięty, ogromny bar z lakierowanego drewna orzechowego miał mosiężny blat i był wykończony czerwoną skórą. Przed nim stały czerwone stołki na mosiężnych nogach. Czterech ubranych w sportowe marynarki jegomościów w średnim wieku miało już dobrze szkliste oczka. Jeden nosił krawat, pozostali rozpięte pod szyją koszule, z kołnierzykami wyłożonymi na szerokie klapy. Siedzieli z dala od siebie, wpatrzeni w wysokie szklanki na tekturowych podkładkach. Od czasu do czasu sięgali do miseczek pełnych orzeszków, oliwek, prażonej papryki, kawałków kielbasy i różowych, zwiniętych krewetek, nabitych na czerwone plastikowe wykałaczki.

Barman dobiegał chyba sześćdziesiątki, miał śniadą cerę, szopę włosów i twarz rzeźbionego w kamieniu bożka z Wyspy Wielkanocnej. Wraz z parą klientów patrzył przez chwilę, jak Lou prowadzi nas do baru, ale zaraz wszyscy stracili nami zainteresowanie.

Lou zarządził:

– Hernando, podaj panom...

– Grolscha – odpowiedział Milo. Ja wziąłem to samo, Lou zaś dodał:

– Dla mnie sauterne, to specjalne. Ale odrobinę.

Hernando nalał piwo i wino, po czym wrócił na swoje miejsce pośrodku baru.

– Mieliście klienta o nazwisku Wark? – spytał Milo.

– Work?

– W-A-R-K – przeliterował mój przyjaciel. – Trzydzieści parę lat, wysoki, chudy, ciemne włosy, prawdopodobnie kręcone. Podaje się za producenta filmowego.

W oczach kelnera błysnął wesoły ogień.

– Dużo tu takich, co się podają, ale żadnego Warka sobie nie przypominam.

Milo łyknął piwa.

– A może niejaki Crimmins? Derrick Crimmins. Mógł tu bywać z młodszą od siebie kobietą o długich blond włosach.

– Czy te wszystkie „może” i „mógł” odnoszą się do sprawy Richarda?

– Może.

– Przykro mi, Crimminsa też nie kojarzę. Mamy też klientów bez rezerwacji, więc nie znam wszystkich nazwisk.

– To musiało być jakieś osiem, dziewięć miesięcy temu. Nawet w pańskiej doskonałej pamięci nie wszystko zapisuje się na tak długo.

Lou zrobił urażoną minę.

– Jeżeli chce pan, żebym sprawdził w księgach gości, z przyjemnością to uczynię, ale od razu na wstępie oświadczam, że takie dziwne nazwiska na pewno bym poznał. – Zamknął oczy. – Wysoki i chudy, tak? I Richard go obsługiwał?

– Niewykluczone.

– Wie pan... Przypomina mi się taki jeden jegomość. Nie powiedział, jak się nazywa, tylko wparował do środka i czekał, aż znajdę mu stolik. Był sam, bez dziewczyny. Zapamiętałem go, bo sprawiał problemy. Tak zajął Richarda, że inni jego klienci musieli czekać na zamówione dania. Poskarżyli się pomocnikom, ci z kolei mnie, więc musiałem wziąć sprawę w swoje ręce. Jest jeszcze jeden powód, dla którego cała sytuacja okazała się warta uwagi. To był jedyny raz, kiedy miałem jakiś kłopot z Richardem. Nie żeby pyskował, nic z tych rzeczy; to wina tego gościa. Cały czas zagadywał Richarda i chłopak biedny nie wiedział, co robić. Pracował u nas dopiero od kilku tygodni. Wszystkim kelnerom wbijamy do głów, że klient ma zawsze rację, więc wyobrażacie sobie, panowie, jak się musiał poczuć. No więc wkroczyłem do akcji. Starłem się być miły, grzeczny, ale

klient wcale grzeczny nie był. Patrzył na mnie tak... Wiecie, panowie, jakby dziwił się, kim niby jestem, że śmiem mu zwracać uwagę, jak się ma zachowywać.

– Czy Richard nie mówił potem, o czym rozmawiali?

– Richard nie, ale ten facet owszem. Rzucił coś jakby: „Znajomość ze mną może mu otworzyć drzwi do wielkiej kariery. Co pan sobie myśli, że chłopak chce tu pracować przez resztę życia?”. Richard obsługiwał akurat ludzi przy innym stoliku, ale kątem oka obserwował sytuację i wiedziałem, że nie podziela entuzjazmu tego gościa. Próbowałem podać mu wino na koszt firmy, ale bluznął coś tylko, rzucił pieniądze na stół i wyszedł. Nawet nie spojrzał na rachunek. Richard nie dostał dużego napiwku... Klient zamówił sałatkę cesarską, cielęcinę z parmezanem i ciastko czekoladowe.

– A co grał pianista?

– Pewnie „Za dużo gadasz”. – Lou uśmiechnął się szeroko i wzruszył ramionami. – Po prostu mam szczęście. Nigdy nie nawalała mi pamięć, nie musiałem popijać żadnych geriawitów czy wyciągów z miłorzębu. Prawdę mówiąc, czasem wcale nie jest to zabawne. Miałem na przykład dwie żony, o których wolałbym zapomnieć. – Uśmiechnął się. – Jeśli macie zdjęcie tego Warka, powiem wam, czy to on.

– Jeszcze nie mamy. Mógłby go pan opisać?

– Metr osiemdziesiąt pięć, może siedem, wzrostu, chudy, ubrany na czarno, tak jak wszyscy „tak zwani” w dzisiejszych czasach. Rety, jakby się na pogrzeb wybierał.

– Włosy?

– Długie, ciemne i proste, jakby peruka... Jak się tak dłużej nad tym zastanowić, to pewnie faktycznie była peruka. Duży nos, drobne oczka, cienkie usta. Nie był przystojny. Wyglądał, jakby wiecznie był głodny, rozumie pan? Poza tym mocno opalony, jakby smażył się pod kwarcówką.

– Często tu bywał?

– Tylko ten jeden raz. Jest jeszcze coś, co może się panu przydać. Widziałem jego wóz. To chevrolet corvette, starszy model, taki z wysokimi błotnikami. Żółty jak taksówka. Widziałem go, bo kiedy klient wyszedł, uchylilem drzwi, żeby sprawdzić, czy naprawdę odjedzie. Twierdzi pan, że miał coś wspólnego ze śmiercią Richarda? A to sukinsyn!

– Tego nie wiem. – Milo dopił piwo. – Bardzo nam pan pomógł, dziękuję. Czy jest tu dziś ktoś jeszcze, kto mógłby go pamiętać?

Lou przesunął palcem po krawędzi kieliszka. Nie tknięte przez niego sauterne miało kolor płynnego złota.

– Może Angelo... Zaraz sprawdzę. Chcecie panowie dolewkę?

– Nie, dziękujemy. Nie zerknął pan przypadkiem na rejestrację tego samochodu, co? Żeby tak choć parę cyfr...

– Ha! Niepoprawny optymista, co? Jak w tej piosence... Chyba zaraz każę ją Doris zagrać.

Angelo był niski, łysy i dorównywał wiekiem Lou. Z zaczerwienioną twarzą uwijał się między dwoma dużymi stolikami. Kiedy szef go wezwał, zmarszczył brwi i cieniutkie wąsiki ułożyły się na jego twarzy w odwróconą literę „V”. Mamrotał coś pod nosem. Milo rozmawiał już raz z nim – dawno temu, na początku sprawy Dady – ale Angelo ledwie pamiętał tę rozmowę. Usłyszawszy o sprawiającym kłopoty facecie w czerni wzruszył tylko ramionami.

– To dotyczy Richarda – przypomniał mu Lou.

– Richard był w porządku.

– Czy może nam pan o nim coś więcej powiedzieć? – zagadnął Milo.

– Był w porządku – powtórzył Angelo. – Mówił, że zostanie gwiazdą, będzie grał w filmach... Muszę wracać do pracy, bo wszyscy psioczą, że w sosie jest za mało grzybów.

– Pogadam z kucharzem – zapowiedział Lou.

– Świetny pomysł – przytaknął Angelo i odszedł.

– Przepraszam za niego, ale żona mu choruje – wyjaśnił Lou. – Niech mi pan zostawi wizytówkę, to zadzwonię po przejrzaniu ksiąg.

– Spotkanie w „Dębowej beczce” mogło być formą wstępnego przesłuchania Dady – zauważyłem, gdy wracaliśmy już do domu. – Richard odpowiada na ogłoszenie o castingu, a Wark proponuje spotkanie w miejscu pracy, żeby obejrzeć go „w środowisku naturalnym”. Jak myśliwy namierzający zwierzynę. Nie musiał też dzięki temu mieć lokalu na casting.

– Coś za łatwo Richard dał się nabrać.

– Chciał zostać gwiazdą.

Milo westchnął.

– Kręcone włosy w peruce, proste... Paskudnie to wygląda. Wystarczyłoby teraz znaleźć pana W. i uciąć sobie z nim pogawędkę.

– Mamy przynajmniej samochód chevrolet: żółta corvette rzuca się w oczy.

– W biurze rejestracji nie odnotowują kolorów, tylko markę, model i rok produkcji. Fakt faktem, że jest od czego zacząć, pod warunkiem, że nie był kradziony... i że w ogóle go zarejestrowano. Wysokie zderzaki – to jakieś lata siedemdziesiąte. – Usiadł prosto w fotelu. – Wyjaśniałoby to też, dlaczego Richarda pochowano w jego własnym wozie – te samochody nie mają bagażników.

– Jest jeszcze jedna osoba, którą należałoby się zainteresować – znajoma blondynka. Pasuje do teorii z drugim kierowcą. Czeka w pobliżu, aż Wark porzuci volkswagena, odbiera go i odjeżdżają. Znikają bez śladu i nie ma powodu, żeby łączyć ich z Richardem.

– Każdy producent filmowy musi mieć swoją laskę, prawda? Rany, ale w jej przypadku nie mamy nawet fałszywego nazwiska. – Milo wyjął cygaro i uchylił okno, ale zaraz rozkaszał się i zrezygnował z palenia. Zamknął oczy, przez co jego twarz przybrała wygląd pośmiertnej maski. Jechałem Riverside na zachód. Milo nie odezwał się aż do Coldwater Canyon, kiedy to zmartwiony otworzył oczy.

– Coś nie tak? – zapytałem.

– Nie, dręczy mnie ten wątek filmowy. Po tylu latach czyszczenia stajni wreszcie trafiłem do show-biznesu.

Rankiem Milo się nie odezwał, więc spokojnie zjedliśmy z Robin śniadanie przy plaży w Santa Monica. O jedenastej wróciła ze Spikiem do warsztatu, ja zaś odbyłem rozmowę z wyjątkowo wrednym adwokatem z Encino. Wysłuchałem fragmentu jego wazeliniarskiej gadki, a potem wyjaśniłem, że nie zamierzam z nim współpracować. Najpierw chyba posmutniał, potem zrobił się niegrzeczny, aż wreszcie rzucił słuchawkę. Trochę poweselałem.

Dwie sekundy później rozmawiałem już z moją telefoniczną sekretarką:

– Podczas poprzedniej rozmowy dzwoniła do pana jakaś pani Racano z Myers Beach na Florydzie.

Najpierw przypomniałem sobie wybuch na jachcie Crimminsów, a potem rozpoznałem nazwisko. Doktor Harry Racano był profesorem Claire. Dwa dni wcześniej zatelefonowałem do Case Western, gdzie podano mi jego numer. Wykręciłem go. W słuchawce odezwał się ostry, kobiecy głos.

– Pani Racano?

– Tak, to ja, Eileen.

– Mówi doktor Alex Delaware z Los Angeles. Dziękuję, że się pani odezwała.

– Nie ma za co – odparła ostrożnie. – Mary EUn z Case mówiła mi, że pytał pan o Claire Argent. Co się stało, na miłość boską?

– Claire została porwana i zamordowana. Na razie nikt nie wie dlaczego. Poproszono mnie o konsultację w tej sprawie.

– Dlaczego uznał pan, że Harry w czymś panu pomoże?

– Staramy się dowiedzieć o Claire jak najwięcej, a nazwisko pani męża pojawiło się w jednej z jej publikacji. Pracownicy naukowcy często nieźle znają swoich studentów.

– Harry był promotorem jej pracy dyplomowej. Oboje interesowali się alkoholizmem. Claire czasem odwiedzała nas w domu... Miła dziewczyna, bardzo spokojna. Nie mogę uwierzyć, że ktoś ją zabił.

Mówiła coraz szybciej. Czyżby coś ją zdenerwowało?

– Tutaj również prowadziła badania nad alkoholizmem – powiedziałem. – Jednakże na kilka miesięcy przed śmiercią nagle zwolniła się z pracy i przyjęła posadę w szpitalu imienia Starkweathera – to ośrodek stanowy dla chorych psychicznie przestępców.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Pani Racano?

– Nic o tym nie wiedziałam. Odkąd Claire wyjechała z Cleveland, urwał się nam kontakt.

– Czy Claire przejawiała zainteresowanie psychotycznymi mordercami?

Westchnienie pani Racano zabrzmiało jak potężne trzaski zakłóceń na linii.

– Rozmawiał pan z jej rodzicami?

– Tak.

– I nie... Ależ oczywiście, że o niczym nie wspomnieli. Panie doktorze Delaware, wydaje mi się, że powinien pan to wiedzieć.

Podawała mi garść podstawowych faktów. Resztę znalazłem sam w bibliotece, w wychodzącej w Pittsburghu „Post-Gazette” sprzed dwudziestu siedmiu lat – chociaż mogłem sięgnąć po dowolny inny duży dziennik. Sprawa była głośna.

MŁODY MĘŻCZYŻNA W NAPADZIE SZAŁU MORDUJE RODZINĘ Zaalarmowani przez zaniepokojonych sąsiadów policjanci weszli dziś rano do jednego z domów w zachodniej części miasta, gdzie znaleźli zwłoki czworga członków zamieszkującej go rodziny. W piwnicy ukrywał się młody mężczyzna, który najprawdopodobniej jest winien morderstwa.

James i Margaret Brownlee wraz z dziećmi – Carlą (5 lat) i Cooperem (2 latka) – zginęli od ran kłutych i miażdżonych, zadanych kuchennym nożem i tłuczkiem do mięsa. James Brownlee (lat 35) był kierownikiem dostaw w firmie Purity Bottled Waterjego żona zaś (lat 29) zajmowała się prowadzeniem domu. Oboje wstawali wcześniej rano i, jak twierdzą sąsiedzi, mieli usystematyzowane życie. Toteż kiedy wczoraj do południa pan Brownlee nie wyszedł do pracy, a przed domem nie pojawił się też nikt z rodziny, sąsiedzi wezwali policję.

Podejrzany, Denton Ray Argent (lat 19), zlany krwią, siedział w kucki przy piecu i wciąż ścisnął w dłoniach narzędzia mordu. Argent, któryż rodzicami i młodszą siostrą mieszkał trzy domy dalej,

od kilku lat miał w sąsiedztwie opinię dziwaczalego odludka. Nie skończył nawet szkoły średniej.

„Miał jakieś czternaście lat, kiedy zaczął dziwaczeć – powiedziała nam kobieta, która odmówiła przedstawienia się. – Wcześniej też nie był zbyt towarzyski, ale cała rodzina jest spokojna; trzymają się raczej na uboczu. Ale on, kiedy dorósł, przestał o siebie dbać. Wyglądał jak ostatnia fleja. Włóczył się po ulicach, mówił do siebie, machał rękoma. Wiedzieliśmy, że coś jest z nim nie w porządku, ale nikt nie podejrzewał, że tak się to skończy”.

Doniesienia o tym, jakoby Denton Argent pracował przez krótki okres jako ogrodnik u rodziny Brownlee, nie zostały potwierdzone. Argent został przewieziony do więzienia centralnego, gdzie oczekuje na przesłuchanie i śledztwo.

Wpisawszy nazwisko Dentona Argenta do komputera, znalazłem kilka dalszych opisów samej zbrodni, a potem gazety umilkły. Dopiero po miesiącu na trzeciej stronie trafiłem na notkę następującej treści:

MORDERCA RODZINY ODEŚLANY DO SZPITALA Podejrzany o wielokrotne morderstwo Denton Argent został zbadany przez trzech wyznaczonych przez sąd psychiatrów i uznany za niepoczytalnego i niezdolnego do uczestnictwa w procesie. Argenta oskarżono o zabicie państwa Brownlee oraz dwojga ich małych dzieci. Sprawa ta zaszokowała nie tylko spokojną na co dzień dzielnicę Oakland, ale i całe miasto. Badali go specjaliści wskazani zarówno przez obronę, jak i przez prokuratora.

„Sprawa jest jasna – twierdzi zastępca prokuratora okręgowego Stanley Rosenfeld, który oskarża. – Argent cierpi na zaawansowaną schizofrenię i nie ma kontaktu z rzeczywistością. Jego proces byłby kompletnie pozbawiony sensu”.

Rosenfeld dodał również, że Argent zostanie osadzony w szpitalu dla psychicznie chorych na czas nieokreślony.

„Gdyby kiedyś odyskał zdrowie, zawlecemy go do sądu”.

Tydzień później:

RODZINA MORDERCY NIE ZAMIERZA SIĘ PRZEPROWADZAĆ – I MILCZY Rodzice Dentona Argenta, podejrzanego o poczwórne morderstwo, nie planują wyprowadzić się z Chestnut Street, gdzie trzy domy dalej ich syn zabił czteroosobową rodziną.

Argent (lat 19) został uznany za niepoczytalnego i niezdolnego do uczestnictwa w procesie, w którym byłby oskarżony o zabicie Jamesa i Margaret Brownlee oraz dwojga ich małych dzieci – Carli (lat 5) i Coopera (2 latka). Rodzice domniemanego mordercy – Robert Ray i Ernestine Argentowie, właściciele miejscowego sklepiku z pamiątkami i prezentami – odmówili kontaktów

z prasą, lecz zdaniem sąsiadów nie chcą „uciekać przed skutkami tego, co zrobił Denton”. Zamknęli sklep na trzy tygodnie, później jednak otworzyli go i działają normalnie, mimo że interes nie kwitnie już ponoć tak, jak dawniej. Wśród sąsiadów przeważa sympatia i współczucie dla nieszczęsnych rodziców.

„To przyzwoici ludzie – powiedział nam ich inny sąsiad, Roland Danniger. – Wszyscy wiedzieliśmy, że Denton jest jakiś dziwny. Może powinni byli bardziej mu pomóc, ale przecież nie podejrzewali, że dostanie amoku, prawda? Jeśli kogoś mi w tej sytuacji naprawdę żal, to młodszej siostry Dentona. Zawsze była samotnikiem, ale teraz to już w ogóle jej nie widzimy”.

Pan Danniger miał na myśli Claire (lat 12), siostrę Argenta, która odeszła ze szkoły i podobno kontynuuje naukę w domu.

I pięć lat później:

MORDERCA RODZINY ZMARŁ W SZPITALU Administracja szpitala stanowego w Fairview podała dziś, że wskutek ataku epilepsji zmarł przetrzymywany tam seryjny morderca Denton Argent.

Pewnego ranka przed pięciu laty Argent (lat 24) w napadzie szału wymordował całą rodzinę sąsiadów. Po stwierdzeniu niepoczytalności umieszczony został w zakładzie dla psychicznie chorych, gdzie przebywał od tego czasu i nie sprawiał żadnych kłopotów. Atak, który prawdopodobnie był skutkiem nie rozpoznanej uprzednio choroby bądź też długiego leczenia farmakologicznego, sprawił, że zamknięty w izolatce Argent w środku nocy stracił przytomność, a następnie udławił się własnymi wymiocinami. Dopiero rano pracownicy znaleźli ciało. Administracja szpitala utrzymuje, iż śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych.

– Claire opowiedziała o tym Harry’emu dopiero na ostatnim roku studiów – powiedziała Eileen Racano. – To był dla nas wstrząs. Ileż biedactwo się wycierpiało, całe życie z takim brzemieniem.

– Jak doszło do tego, że zaczęła o tym mówić?

– Przygotowywała właśnie ostateczną wersję pracy. To dla każdego studenta trudny okres, ale mąż miał wrażenie, że Claire męczy się szczególnie.

W ogóle pisanie publikacji szło jej z trudem, a że była perfekcjonistką, wciąż poprawiała i ulepszała poprzednie wersje. Skarżyła się Harry’emu, że boi się, iż obleje egzamin ustny.

– A czy naprawdę istniało takie niebezpieczeństwo?

– Miała doskonałe stopnie i porządnie zrobione badania.

Niewypowiedziane „ale” zawisło w powietrzu.

– Wtedy jeszcze nie rozstrząsano kwestii natury osobistej.

– To znaczy, że pani mąż miał zastrzeżenia odnośnie osobowości Claire.

– Uważał ją za uroczą młodą osóbkę, ale... zbyt zamkniętą w sobie. W dodatku dorastanie w cieniu takiego koszmaru, z którym, zdaniem Harry'ego, nie poradziła sobie do końca, mogło jej w przyszłości przysporzyć problemów.

– Jak to dokładnie było? – spytałem. – Proszę mi opowiedzieć, w jaki sposób o wszystkim się dowiedział.

– Któregoś ranka zastał Claire w laboratorium. Wyglądała fatalnie. Na pierwszy rzut oka dało się poznać, że pracowała całą noc. Harry zainteresował się, dlaczego dziewczyna tak się katuje. Ona zaś odparła, że nie ma innego wyjścia, bo koniecznie musi zdać egzamin, że inaczej nie ma po co żyć. Harry rzucił jakąś uwagę w stylu: „Przecież na studiach życie się nie kończy”, a Claire zapłakana wyjaśniła mu, że nic nie rozumie, że dla niej liczy się tylko zawód psychologa, że musi, że jest inna od reszty studentów... Kiedy zapytał, co przez to rozumie, opowiedziała mu, a potem skuliła się roztrzęsiona na krześle. Harry dał jej swoją marynarkę i odczekał, aż dziewczyna się uspokoi. Od tego czasu trochę zbliżyliśmy się do Claire, zaczęliśmy zapraszać ją czasem na kolację... Harry był cudownym człowiekiem i studenci go uwielbiali. Jeszcze przez długie lata po odejściu z uczelni dostawał od nich listy i kartki, a niektórzy nawet odwiedzali go w domu. Claire jednak nigdy nie dała znaku życia. Po tym jednym epizodzie jeszcze bardziej zamknęła się w sobie. Harry nie mógł jej zmusić, żeby zdecydowała się na terapię, ale usilnie ją do tego namawiał. Obiecała, że to zrobi, ale chyba nie zrobiła.

– Zdała egzaminy, odebrała doktorat i poszła własną drogą.

– Niech mi pan wierzy, jej przypadek nie dawał Harry'emu spokoju. Zastanawiał się nawet, jak ją zatrzymać u siebie. Chciał, żeby oblała egzamin. Naprawdę był w rozterce, doktorze Delaware. Wiedział jednak, że ze względów etycznych nie ma innego wyjścia, jak ją wypuścić. Claire spełniała wszystkie wymogi, żeby zrobić doktorat, a Harry wiedział, że jeśli upubliczni jej sprawę, dziewczyna nikomu już w życiu nie będzie umiała zaufać. Zabawna rzecz, na ustnym Claire była modelowym okazem pewnej siebie studentki, uroczej i opanowanej jakby nigdy nic. Harry uznał, że jej lepsze samopoczucie wzięło się z faktu, iż zdecydowała się poszukać pomocy. Wystarczyło jednak, żeby dostała dyplom do ręki, a zupełnie wyłączyła nas ze swojego życia. Nawet kiedy rozpoczęła tu, w Case Western, praktyki, nie odezwała się. Słyszeliśmy jeszcze, że po roku znalazła sobie pracę w Los Angeles, na co Harry stwierdził, że Claire wybiera się na Dzikie Zachód. Nie mógł przestać o niej myśleć. Zastanawiał się, czy nie powinien był zmusić jej, żeby zwalczyła gotujące się w niej poczucie winy.

– Czowała się winna tego, co zrobił jej brat?

– Wiem, to nieusprawiedliwione poczucie winy, ale Harry tak właśnie uważał, a prawie nigdy się nie mylił. Sądził, że wybierając neuropsychologię, Claire próbuje uciec od przeszłości: testy, cyfry, praca laboratoryjna bez konieczności zgłębiania uczuć. Ciekaw był, czy do końca na tym poprzestanie, a teraz widzę, że jednak porzuciła swoją specjalność.

– Jej brat zmarł na padaczkę. Czy pani mężowi nie przyszło na myśl, że zainteresowanie neuropsychologią było dla Claire szansą wyjaśnienia, czy zbrodnia Dentona nie miała podłoża organicznego?

– O tym również wspominał. Bał się tylko, że pewnego dnia taki mechanizm obronny zawiedzie. Nie znalazłszy prostych odpowiedzi, Claire musiała poczuć się rozczarowana. Harry był nie tylko neuropsychologiem, lecz także znakomitym terapeutą. Poza prowadzeniem badań nad alkoholizmem działał też w ruchu Matki Przeciw Pijanym Kierowcom, pomagał rodzinom ofiar wypadków spowodowanych pod wpływem alkoholu. Starał się uświadomić studentom znaczenie równowagi emocjonalnej.

– Ale Claire nie wzięła sobie jego słów do serca.

– Ta, którą znaliśmy, nie. Była jakaś taka... odległa. Jakby chciała się za coś ukarać.

– Wjaki sensie?

– Praca, praca, jeszcze raz praca, bez wytchnienia, żadnych stanowisk na wydziale, żadnej przyjaźni ze studentami. Założyłabym się, że kolacje u nas w domu były w jej życiu najważniejszym wydarzeniem towarzyskim. Wystarczyło zobaczyć, jak urządziła swój pokój, doktorze Delaware. Studenci nie mieszkają po królewsku, to fakt, ale przynajmniej starają się jak najlepiej wykorzystać to, co uniwersytet im oferuje. Pewnej wyjątkowo zimnej nocy odwiedziłam ją z Harrym do domu – i byliśmy wstrząśnięci. W pokoju stało łóżko, biurko i jedno krzesło. Powiedziałam mężowi, że przypomina mi to celę więzienną, na co on stwierdził, że Claire może symbolicznie próbować dzielić los brata.

Wiedziałem już, dlaczego Claire nie opowiadała Stargillowi o rodzinie. Rozumiałem też, dlaczego Rob Ray i Ernestine pogodzili się z tym, że Claire prawie o nich zapomniała – uczucie wstydu musiało być zbyt silne.

„Niczym się nie przejmowała”...

Przyszło mi już na myśl, że rodzina była cokolwiek zwichrowana, ale nie zapuściłem się w wyobrazeniach aż tak daleko.

Podobnie jak wielu ludzi, którzy decydują się pomagać innym, Claire próbowała przede wszystkim sama się wyleczyć. Z początku ostrożnie, trzymała się na dystans, ukryta bezpiecznie za murem konkretnych danych i pracy laboratoryjnej. Pracowała dla Myrona Theobolda, który przecież porzucił psychoanalizę na rzecz biochemii. „Lubię uważać się za dyrektora z ludzką twarzą... Nie interesuje mnie życie prywatne moich ludzi; nikomu nie matkuję”.

Zaczepiła się u Theobolda na dłużej, bo przy nim mogła pozostać bezpiecznie obca.

A potem coś się zmieniło.

Profesor Racano podejrzewał, że ucieczka w pracę nie wystarczy – i się nie pomylił. Claire

zaczęła wreszcie szukać odpowiedzi. Zaczęła z charakterystycznym dla siebie, akademickim dystansem od przejrzenia gazet w bibliotece w poszukiwaniu doniesień o zbrodniach podobnych do tej, jaką popełnił jej brat.

Dlaczego akurat w tym momencie życia? Może coś osłabiło jej pancerz ochronny... Tylko rozwód przychodził mi do głowy, tak jakby małżeństwo z Joe Stargillem było kolejną – niestety, nieudaną – próbą powrotu do normalnego życia.

Przypomniałem sobie, jak się poznali: wieczór w Marriotcie, szybki, impulsywny, tak samo jak późniejszy ślub w Reno. Tymczasem wszystko można powiedzieć o Claire, ale z pewnością nie to, że działała w pośpiechu. Najprawdopodobniej nie zdawała sobie sprawy z motywów, które ją do tego pchnęły. Wybierając wiecznie skoncentrowanego na sobie syna alkoholików mogła zachować bezpieczną skorupę prywatności, którą otaczała się od wczesnej młodości. Mogła liczyć na męża, że, skupiony na własnych problemach, nie będzie mieszał się do jej spraw.

Przypadkowy podryw, niesamowity seks – pozory fizycznej bliskości bez brzemienia wścibstwa partnera. Stargill opisywał ich związek jak niezależne funkcjonowanie dwojga kolegów z pokoju.

Claire podjęła desperacką próbę ożywienia swojego życia – i domu, lecz kiedy Stargill się wyprowadził, ogołociła wnętrze ze sprzętów. Nie żeby zerwać z przeszłością, lecz po to, by wrócić do więziennej celi.

Wymierzała sobie karę, dokładnie tak, jak przewidywał profesor Racano. Nieświadomie starała się naśladować beznadziejną egzystencję brata, który na zawsze zdeformował jej osobowość w wieku dorastania.

Miała dwanaście lat, gdy wymordował rodzinę Brownlee, a pewnie znacznie wcześniej zorientowała się, że z Dentonem coś jest nie tak – i że może być niebezpieczny. Czy winiła się za to, że nikomu o tym nie wspomniała?

Czy raczej wstydziła się, że jest spokrewniona z monstrem?

Argentowie nie chcieli się wyprowadzić z domu. Pozostanie wśród tych sąsiadów musiało być dla nich koszmarem – dla nich i dla wszystkich w okolicy. Czy już do końca dzieciństwa Claire spotykała się z niechęcią kolegów i koleżanek?

Kiedy Denton zmarł, miała siedemnaście lat i nadal mieszkała w rodzinnym domu. Początek i koniec okresu dorastania znaczyły urazy, wstyd i poczucie straty, a późniejsze lata – przede wszystkim poszukiwanie własnej tożsamości. Jak to wszystko wpłynęło na poczucie własnego, ja” u Claire?

Czy odwiedzała brata w szpitalu, czy raczej rodzice zakazali jej wszelkich z nim kontaktów? Czy zamierzała z nim porozmawiać o tym, co zrobił? Czy chciała zrozumieć zdarzenia, które wymykały się logice?

Jeżeli tak w istocie było, śmierć Dentona przekreśliła te nadzieje.

A jednak po latach i tak postanowiła poszukać odpowiedzi na dręczące ją pytania. Wiadomość o zabójstwie Ardullów była dla niej jak wybawienie.

Podobieństwo obu zbrodni zmroziło mi krew w żyłach. Mogłem sobie tylko wyobrażać, co czuła Claire przewijając mikrofilm w bibliotece, gdy w osobie Ardisa Peake'a znalazła sobowtóra Dentona.

Najpierw odczuła wstrząs, a później ohydne zrozumienie, empatię w najgorszym możliwym wydaniu. I wreszcie przebłysk ulgi, gdy uświadomiła sobie, że oto trafia jej się szansa znalezienia odpowiedzi.

Wiedząc to, co teraz wiedziałem, nie dziwiłem się już ani przenosinom Claire do Starkweathera, ani jej zainteresowaniu Peakiem.

„Tylu szaleńców i tak niewiele czasu”.

W istocie nie miała wyboru; tańczyła podyktowany zasadami psychologii taniec bólu, który mógł się skończyć tylko w jeden sposób.

– Bez powodzenia – rzekł Milo. – W czym?

– We wszystkim. Nie znalazłem ani samochodu, ani żadnego adresu Warka albo Derricka Crimmina. W ubezpieczeniach nie znają takiego Warka, a Crimmins ostatnią składkę wpłacił dziesięć lat temu, na Florydzie. Dalej nie mogłem sprawy pociągnąć, bo masę czasu strawiłem w sądzie. Od trzech różnych sędziów próbowałem wydebić zezwolenie na kontrolę listów i telefonów Peake’a, ale nic z tego; prorocтва nie zrobiły na nich żadnego wrażenia. Trzeci wręcz mnie wyśmiał i radził skontaktować się z chiromantą.

Dochodziła piąta po południu. Przed chwilą Milo zajechał do mnie do domu, a teraz buszował w lodówce. Schylił się, żeby zajrzeć na najniższą półkę. Pod za ciasną tweedową marynarką rysował się kanciasty kształt służbowego rewolweru.

– Związek Claire z Peakiem też nie miał dla nich znaczenia? – spytałem.

Milo pokręcił głową, wyjął majonez, musztardę i opakowanie solonej wołowiny, o którym zdążyłem zapomnieć, po czym ze skrzynki na chleb wyciągnął dwa kawałki równie wiekowego pieczywa kukurydzianego. Złożywszy cienką kanapkę wgrzył się w nią i usiadł przy stole.

– Słowo „bełkot” zrobiło dziś furorę – stwierdził. – Podobnie jak „majaczenie psychotyka”. Wszyscy zgodnie twierdzą, że w najlepszym wypadku Peake mógł być naocznym świadkiem zbrodni, a że stan jego umysłu wyklucza znaczącą naoczność, całe moje uzasadnienie legło w gruzach.

Odgryzł następny okazały kawał kanapki.

– Wcale nie lepiej poszło mi z ujawnieniem konta Warka w Bank of America. Fikcyjna osoba, która tylko teoretycznie ma związek – i to nader odległy – z zabójstwem, którego dokonano osiem miesięcy temu, nie wystarczy.

– Mamo! Jak dorosnę, zostanę policjantem! – powiedziałem.

Milo uśmiechnął się drapieźnie.

– Przejdźmy do weselszych nowin: Wendell Pelley nie jest już podejrzanym, przynajmniej nie w sprawie braci Beatty. Wendell Pelley nie żyje od ponad tygodnia, więc w „ciuch ciuch, pif paf” nie mógł uczestniczyć. Sześć dni temu jego ciało znaleziono na wysypisku śmieci w Lennox. Zastępca szeryfa przypadkiem przeczytał moje zawiadomienie o poszukiwaniach i do mnie zadzwonił. Wysypisko jest nieźle zorganizowane, więc udało im się dokładnie ustalić, kiedy i skąd przywieziono zwłoki Pelleya. Był w pojemniku wystawionym za pralnią przemysłową, który odebrano trzy dni przed odkryciem ciała. Robactwo już sobie nieźle podjadło, co sugeruje, że trafił do pojemnika jeszcze wcześniej. Na ciele nie ma żadnych ran, jakby gość po prostu zasnął i dał się wywieźć ze śmieci.

– Mogli go na wysypisku sprasować na śmierć?

– Nie, zauważyli go, a właściwie jego resztki, zanim włączyli kompresję odpadków. Zmarł z niedożywienia i odwodnienia; zagłodził się sukinsyn na śmierć. Rozmawiałem już z tym Koreańczykiem z zakładu przejściowego. Przyznał, że już przed ucieczką Pelley niewiele jadł. Ważył pewnie z pięćdziesiąt pięć kilo. Koreańczyk nikogo o tym nie informował, bo Pelley nie sprawiał kłopotów.

– I my mówimy o umartwianiu się. Czy Pelley dotarł z Ramparts do Lennox na piechotę? To kawał drogi.

– Szedł pewnie jakimiś ciemnymi zaułkami przez niezbyt sympatyczne dzielnice, aż wreszcie znalazł sobie miejsce na spoczynek, zwinął się w kłębek i umarł.

– Nikt mu w tym nie pomógł?

– Nic na to nie wskazuje, Alex. Stwierdzono ewidentne samobójstwo. Czytałem raport i też nie mam wątpliwości: odwodnienie, wychudzenie, niski poziom hemoglobiny... Badanie wątroby ujawniło, że od dawna niedojadał. Wszystkie kości miał całe, kręgosłup i czaszkę również, żadnych obrażeń – tylko robaki go napoczęły.

Milo przeniósł wzrok na resztkę kanapki, zawahał się, po czym pochłonął ją jednym kęsem. Otarł twarz z potu i wziął sobie piwo.

– Pomyśl, jakie to uczucie, Alex. Musisz się czuć jak ostatnia szmata, żeby chcieć umrzeć w śmietniku.

– Na mordercę Claire by się nadawał.

– Gdyby udało mi się wykazać, że spotkali się choć raz osobiście, może bym to pociągnął. Ale teraz, kiedy facet nie żyje? Poza tym odkąd nie pasuje do Dady i Beatty, mój entuzjazm dla jego osoby znacznie osłabł. Z początku dałem się ponieść, ale cytując pana Dylana, „za dużo tej nicości”.

Przyniósł sobie z lodówki jabłko i zaczął je żarłocznie gryźć.

– Może trochę się rozchmurzysz, jak mnie posłuchasz – rzuciłem. – Wydaje mi się, że wiem, dlaczego Claire zainteresowała się Peakiem.

Opowiedziałem Milo o rzezi, jakiej dokonał Denton Argent. Patrzyłem, jak żuje coraz wolniej, a kiedy skończyłem, odłożył nie dojedzone jabłko na stół.

– Jej własny brat... – powiedział. – Nie słyszałem o tej sprawie.

– Ja też nie. Minęło dwadzieścia siedem lat.

– Byłem wtedy w Wietnamie... Co w takim razie chciała osiągnąć, czepiając się Peake'a?

– Na poziomie świadomym kierowała się zapewne chęcią zrozumienia gwałtownych zachowań u psychotyków. Usprawiedliwiał ją fakt, że była psychologiem i naukowcem. Wydaje mi się jednak, że w istocie starała się zrozumieć, co zniszczyło jej rodzinę i odebrało dzieciństwo.

– I Peake mógł jej to wyjaśnić?

– Nie – przyznałem. – Ale też nikomu nie przyznałaby się, że to właśnie interesuje ją najbardziej.

– Zbliżyła się zatem do Peake’a i próbowała przekonać go, żeby powiedział coś o tym, co zrobił.

– Może nie tylko próbowała go przekonać; tylko ona mogła się do niego przebić, bo tylko ona miała dla niego dość czasu. Zależało jej na nim. Może jej się udało i powiedział coś, przez co znalazła się w niebezpieczeństwie?

– Na przykład?

– Że nie działał sam, że to bracia Crimminsowie nim pokierowali. Albo wciąż jest w kontakcie z Derrickiem i ostrzegł go, że Claire wtyka nos w nie swoje sprawy. Crimmins uznał, że trzeba się jej pozbyć. Stąd Peake wiedział o morderstwie Claire na dzień przed jej śmiercią.

– Jeżeli naprawdę o nim wiedział – zauważył Milo. – „Złe oczy doktor A. w pudełku” to jeszcze nie dowód, o czym zresztą trzykrotnie mi dziś przypominano. – Złapał jabłko za ogonek i zakręcił nim szybko. – To bardzo odważny pomysł, Alex. Sam nie wiem. Cały czas zakładamy, że Peake jest w stanie z kimś rozmawiać i że tylko udaje warzywko.

– Otepienie umysłowe nie musi być u niego wyłącznie skutkiem psychozy, lecz także działania leków. Jeżeli tak właśnie jest, to sądząc po poważnych dyskinezach i małej, niezmiennej dawce tioridazyny, Peake ostro reaguje nawet na niewielkie ilości neuroleptyków. A teraz powiedzmy, że Claire trochę z nim eksperymentowała, zmniejszyła dawkę, żeby ułatwić mu normalne funkcjonowanie – i udało jej się.

– Po cichu prowadziła własne doświadczenia, tak?

– Miała silną motywację. Rzuciła niezłą pracę, byle tylko znaleźć się blisko niego. Jeżeli doszła do wniosku, że częściowe odstawienie tioridazyny pomoże go rozruszać, to czemu miałaby nie spróbować? Zracjonalizowała sobie całą sprawę, że to dla jego własnego dobra, skoro psychiatrzy przesadzają z lekami. Oczywiście wiązało się z tym ryzyko, że zacznie się zachowywać agresywnie, ale czuła się chyba dość pewnie, żeby sobie z nim poradzić.

– Heidi też z nim pracowała – przypomniał Milo. – Myślisz, że niczego nie zauważyła?

– Heidi nie jest osobą wysoko kwalifikowaną, ani pod względem medycznym, ani psychologicznym. Claire mówiła jej tylko to, co chciała powiedzieć. A zmiany były zapewne subtelne. Peake od czasu do czasu wybełkotał parę zdań i koniec, w dodatku tylko w odpowiedzi na sugestie Claire. Ona zaś spędzała z nim sporo czasu sam na sam i umyślnie go prowokowała. Wiedziała, czego chce – otworzyć okno do świata zbrodni Peake’a, a przez analogię i Dentona. Nawet jeśli Peake odezwałby się do Heidi, nie miałaby pojęcia, o co mu chodzi, i niewiele by ją to

obchodziło. Potraktowałaby jego słowa jak bredzenie psychotyka, tak samo jak „złe oczy”, przynajmniej do czasu wiadomości o śmierci Claire.

– A od kiedy Claire zabrakło, Peake znów dostaje pełną dawkę.

– I osuwa się w otchłań niezrozumienia.

– Dobrze, spróbuję to wszystko ogarnąć... Peake coś tam chlapie, Claire orientuje się, że nie był jedynym winnym w sprawie Ardullów. W tym momencie włączamy Warka, który utrzymuje kontakt z Peakiem...

– Pracując w Starkweatherze – podpowiedziałem.

– Czekaj, czekaj, już sobie to układam... Peake się budzi, może faktycznie jest bardziej agresywny, a w każdym razie wściekły na Warka. Zaczyna mu grozić: „Jest taka lekarka, która naprawdę się mną interesuje. Powiedziałem jej, że zrobiłeś ze mnie potwora. Uwierzyła i teraz mnie stąd wyciągnie”. Claire nie musiała tego naprawdę powiedzieć, ale Peake uwierzyłby we własne złudzenia. Jest w końcu obłąkany, nie?

Pokiwałem głową.

– Tyle że dla starego biednego Potwora to strasznie złożona przemowa.

– Chyba, że symuluje.

– Wspomniałem o tym na samym początku, ale twierdziłeś, że to mało prawdopodobne.

– Zmienił się kontekst tych rozważań.

Milo zerwał się z krzesła i zaczął spacerować nerwowo po pokoju, na przemian zapinając i rozpinając marynarkę.

– Jeżeli Wark czuł się zagrożony, dlaczego nie zabił Peake’a?

– A po co? Znów podają mu pełną dawkę – pełną albo podwyższoną, jeżeli ktoś eksperymentuje z nim w drugą stronę – i Peake nie stanowi poważnego zagrożenia. Dożyje końca swoich dni w izolatce, dyskiinezy późne będą się nasilać, aż wreszcie któregoś dnia neurony mu się w mózgu przepalają i sanitariusz znajdzie go martwego na podłodze. Tak jak było z Dentonem.

– Czy Claire naprawdę mogłaby odstawić mu prochy, tak żeby nikt tego nie zauważył?

– Z tego, co widziałem, personel w Starkweatherze ma sporo swobody. Doktor Aldrich był niby oficjalnym przełożonym Claire, ale niewiele wiedział o przypadkach, którymi się zajmowała. Swig też. Pod tym względem Starkweather przypominał pracę u Theobolda – nikt Claire nie niepokoił, nikt się nie wtrącał. Do takiego stylu działania nawykła od dziecka.

– W takim razie wproszę się tam ponownie i dobiorę się do akt personelu – uznał Milo. – A Swig

jak nie rozwinie przede mną czerwony dywan.

– Możesz go postraszyć opinią publiczną: postarasz się o nakaz, media coś wyniuchają... Nie musi wiedzieć, że sędziowie są ci niechętni. Poproś o spotkanie z pacjentami z grupy Claire, to zabrmi rozsądnie. A kiedy już się tam znajdziesz, spróbuj połączyć to z grzebaniem w kartotece pracowników.

Milo zrobił kilka dalszych rundek po pokoju.

– Jeszcze jedno – bracia Beatty. Po co Crimmins-Wark miałyby opowiadać Peake'owi, że zamierza ich zabić? Jeżeli przez Peake'a znalazł się w niezręcznej sytuacji, powiedzenie mu o tym nie wchodziłoby w grę.

– To dobre pytanie – przyznałem. – Wróćmy zatem do początku i załóżmy, że w dalszym ciągu współpracują, kontynuują tradycje związku, który zakończył się pierwszą krwawą przechadzką Peake'a. Dobrze się przy tym bawią, filmując śmierć kolejnych ofiar. – Poczulem lodowaty skurcz w żołądku. – Właśnie coś mi przyszło do głowy... Te rany oczu... Czym jest obiektyw kamery?

Milo usiadł obok mnie.

– Okiem.

– Wszystkowidzącym okiem. Niewidzialny, wszechwiedzący reżyser w roli boga. Motywem morderstw jest walka o władzę, aktorzy są kukielkami. Obserwować można tylko z jednej strony; ja widzę, ty nie. Nie potrzebujesz oczu.

– Dlaczego w takim razie oczy Beattych zostawił w spokoju?

– Może dlatego, że i bez tego byli upośledzeni? Wiecznie pijani.

– Chore to, ale wracamy do wariatkowa. Może wynajmę sobie tam pokój... Jutro się tym zajmę. Przydasz mi się, może coś ci się rzuci w oczy. Na razie porozglądam się jeszcze za Crimminsem, sprawdzę gdzie i kiedy ostatnio występował pod własnym nazwiskiem, dowiem się czegoś o tych wypadkach w rodzinie.

Uderzył się dłonią w pierś i aż się skrzywił.

– Nic ci nie jest? – zaniepokoiłem się.

– To przez bąbelki. – Milo z wysiłkiem wstał. – Następnym razem daj mi coś mniej szkodliwego.

Połyskliwe ściany miały różowobrzoskwiniowy kolor, który jakimś cudem prezentował się paskudnie. Dwanaście szkolnych ławek z oblepionej jasną okleiną płyty ustawiono w dwóch rzędach po sześć. Ścianę przed nimi niemal w całości zajmowała idealnie czysta, czarna tablica z zaokrąglonymi rogami. W pobliżu nie było ani kawałka kredy, tylko dwie miękkie gąbki.

Pod nią stało przyśrubowane do podłogi dębowe biurko z pustym blatem. Na prawej ścianie wisiały dwie mapy świata, zwykła i plastyczna. Obok plakaty podpowiadały, jak zachowywać się przy stole i prawidłowo odżywiać, jakie są podstawowe zasady demokracji, jak wyglądają duże i małe litery alfabetu, jakich prezydentów miały dotychczas Stany Zjednoczone.

Wszystkie plakaty umocowano taśmą klejącą, nie pinezkami.

Flaga amerykańska w kącie była cała z plastiku – zarówno płachta, jak i drzewce, też zresztą przybite na stałe do ściany.

Z pozoru normalna klasa w szkole, tyle że odziani w stroje koloru khaki uczniowie z trudem mieścili się w małych ławkach.

Było ich sześciu.

Z przodu siedział starzec o pięknych, siwozłoty włosach; uroczy dziadunio z reklamy lekarstwa na zatwardzenie. Za nim miejsca w ławkach zajmowali dwaj kolorowi po trzydziestce: jeden Mulat masywnie zbudowany, w okularach jak denka butelek i słabym zarostem, drugi chudy Murzyn, o twarzy jakby ciosanej w onyksie i oczach, których błysk przypominał myśliwego, patrolującego swój rewir.

Na początku drugiego rzędu siedział chudy chłopak w wieku dwudziestu paru lat, o zapadłych policzkach, smutnych oczach i wyblakłych ustach. Poszarzałe pięści przyciskał mocno do skroni, niemal oparłszy brodę na blacie. Pozlepiane w strąki włosy wymykały mu się spod szarej włóczkowej czapki, którą z przodu naciągnął prawie na oczy, przez co wyglądał, jakby miał stanowczo za małą głowę.

Nad nimi górował siedzący z tyłu Chet, który bez chwili przerwy ziewał, przeciągał się, węszył i grzebał sobie palcami w ustach. Był tak ogromny, że musiał siedzieć bokiem, wyciągnawszy długie jak u żyrafy nogi w przejście między ławkami. Spodnie skrywały paskudną bliznę na nodze. Od razu rozpoznał mnie i Mila. Mrugnął, pomachał nam, prychnął i rzekł:

– Stary bracie co się trzęsie piecze pieczona Alaska i Juneau znasz ciepłą zimną cnotkę nie kichaj na mnie bratku zwyczajny homo odpieprz się.

Chudy Murzyn posłał mu złowrogie spojrzenie.

Kiedy pierwszego dnia spotkaliśmy się z Chetem, Frank Dollard nie wspomniał o tym, że olbrzym

wchodził w skład prowadzonej przez Claire grupy. Dzisiaj właściwie w ogóle się nie odzywał, tylko stał w kącie i piorunował pacjentów wzrokiem.

Ostatni mężczyzna w klasie był niskim, bladym i ogolonym na łyso Latynosem. Miał drobny wąsik i mimo że w sali panował chłód, pocił się obficie. Bez przerwy zacierał ręce, wykręcał głowę na wszystkie strony, oblizywał się.

Typowe objawy dyskinetyczne. Popatrzyłem po innych, czy też zdradzają ślady przyjmowania neuroleptyków: dziaduniowi ręce się trochę trzęsły, ale złożyłem to na karb jego podeszłego wieku, może rozdziawione szeroko usta Mulata, chociaż równie dobrze mógł właśnie zapaść w letarg, czy śnić coś na jawie...

Frank Dollard przeszedł niespiesznie pod tablicę i stanął za biurkiem.

– Dzień dobry panom – rzekł.

Jego głos nie brzmiał ani trochę milej niż kwadrans wcześniej, kiedy z założonymi na piersi rękoma witał nas przy bramie.

– Znowu tu przyjeżdżacie – stwierdził, nie kwapiąc się do otwarcia kłódki.

– To miejsce nas przyciąga, Frank – odparł Milo.

Dollard prychnął.

– Co właściwie macie nadzieję osiągnąć?

– Rozwiązać zagadkę morderstwa.

Milo musnął dłonią kłódkę.

Dollard niespiesznie dobył z kieszeni kółko z kluczami, znalazł ten właściwy, wsunął go do zamka i ostro przekręcił. Kłódka puściła. Potem jeszcze długą chwilę trwało, zanim schował klucze i wreszcie nas wpuścił.

Uśmiechnął się kwaśno.

– Tak jak mówiłem, co właściwie macie nadzieję osiągnąć?

Nie czekając na odpowiedź, przyglądził wąsy i ruszył w stronę gmachu szpitala. Dziedziniec rozciągał się przed nami jak ogromna płachta pakowego papieru.

Ruszyliśmy za naszym przewodnikiem. Szedł szybciej niż my, tak że dzielący nas dystans się powiększał. Żar lał się z nieba, blask słońca oślepiał. Pacjenci gapili się na nas tępo. Gdyby któryś zaszedł nas od tyłu, Dollard nic by nam nie pomógł.

Trzech sanitariuszy pełniło straż na dziedzińcu – dwóch Latynosów i potężnie zbudowany biały,

w niczym nie przypominający Derricka Crimmins.

Dollard otworzył furtkę po drugiej stronie podwórza i zatrzymał się przed szpitalnym gmaszyskiem. Zamiast wejść do środka, potrząsnął tylko kluczami.

– Nie spotkacie się teraz z panem Swigiem – oznajmił. – Nie ma go.

– A gdzie jest? – zainteresował się Milo.

– Załatwia jakieś sprawy. Powiedział, że możecie na piętnaście minut spotkać się z grupą treningu podstawowych umiejętności. To wszystko.

– Dzięki, że poświęcasz nam tyle czasu, Frank – rzekł aż nazbyt ugodowo Milo. – Przepraszamy za kłopot.

Dollard schował klucze do kieszeni. Popatrzył na kręcących się po dziedzińcu pacjentów i kłapnął zębami.

– Ci faceci są jak tresowane zwierzęta – powiedział. – Nie można im za bardzo różnicować bodźców. Przychodząc tu, naruszacie ich rytm życia, a w dodatku to, co robicie, jest bezcelowe. Przecież powiedziano wam jasno: nikt od nas nie miał nic wspólnego ze śmiercią doktor Argent.

– Bo nikt stąd nie wychodzi.

– Między innymi.

– Wendell Pelley został zwolniony.

Dollarda na moment zatkało.

– Co to ma do rzeczy!

– Jakiś świr wychodzi na wolność, parę tygodni potem jedna z jego lekarek ginie i to nie ma nic do rzeczy?

– Doktor Argent nie zajmowała się Pelleyem, podejrzewam, że nigdy go nie widziała.

– Dlaczego wypuszczono go ze szpitala?

– Musiałby pan o to zapytać lekarzy.

– A ty nie masz żadnego pomysłu, Frank?

– Nie płacami za pomysły.

– Za pierwszym razem też tak mówiłeś, ale obaj wiemy, że wciskasz nam kit. Co takiego zrobił Pelley, że stąd wyszedł?

Dollard poczerwieniał i przybrał bojową postawę, a potem nagle się roześmiał.

– Chyba raczej, czego nie zrobił. Nie zachowywał się jak wariat, i to już od bardzo dawna.

– Cudowne ozdrowienie?

– Moim skromnym zdaniem facet w ogóle nie był psychotykiem, tylko pijaczną. Nie chcę twierdzić, że kogoś oszukał. Ludzie, którzy byli tu, kiedy go przywieźli, mówili, że szalał. Miał halucynacje, rzucał się na wszystkich, musieli go przez jakiś czas trzymać w kaftanie. Ale już jakiś miesiąc czy dwa później objawy ustąpiły i nie występowały nawet po zmniejszeniu dawki leków. Dlatego właśnie uważam, że Pelley ostro tankował, a u nas się odtruł.

– No to dlaczego nie odesłano go do sądu na proces?

– W tamtym okresie wystarczyło, że popełniając zbrodnię był niepoczytalny. Nic mu nie mogli zrobić.

– Szczęściarz.

– Czyja wiem? I tak spędził tu ponad dwadzieścia lat, pewnie więcej, niż dostałby odsiadki. Zresztą nie sam alkohol wchodził w grę, Pelley długo pracował w kopalni i pewnie zatrzał sobie organizm jakimiś metalami ciężkimi. Albo zwariował tylko na krótko, wyszalał się, trafił do nas i mu przeszło. W każdym razie nie podawaliśmy mu nigdy neuroleptyków, tylko czasem jakieś antydepresanty. Kiedy przez dwadzieścia lat kręcił się po oddziale i nie miał żadnych objawów, ktoś pewnie uznał, że nie ma sensu go tu dłużej trzymać.

– Antydepresanty – powtórzył Milo. – Był przygnębiony, prawda?

– Czemu tak was interesuje? Sprawia jakieś problemy, teraz, po wyjściu?

– Tylko sam sobie, Frank. Zagłodził się właśnie na śmierć.

Usta Dollarda drgnęły.

– Nigdy za dużo nie jadał... Gdzie go znaleźli?

– Na wysypisku śmieci.

– Na wysypisku... – Dollard zamyślił się, jakby próbował sobie wyobrazić tę scenę. – Zabrzmiał to rozczulająco, ale nie był złym człowiekiem. Kiedy z nim rozmawiałem, mówił, że naprawdę czuje skruchę i wyrzuty sumienia za to, co zrobił swojej dziewczynie i dzieciakom. Nie chciał wychodzić na wolność. Oczywiście nijak go to nie usprawiedliwia, ale... – Wzruszył ramionami. – A, do diabła, na każdego przyjdzie pora.

– Który z lekarzy go prowadził?

– Aldrich. Na pewno nie Argent.

– Jesteś pewien, że nie miał z nią kontaktu?

– Pewien jestem tylko śmierci i podatków. – Dollard parsknął śmiechem. – A co do pańskiego następnego pytania, nie mógł również spotkać się z Peakiem. Pelley mieszkał na oddziale B, Peake od początku na C.

– A na dziedzińcu? – wtrąciłem.

– Nigdy nie widziałem żadnego z nich na dziedzińcu. Peake nie rusza się na krok ze swojego pokoju.

– Z kim wobec tego mógł mieć styczność?

Doilard spiorunował mnie wzrokiem.

– Odpowiedziałem na to pytanie, kiedy byliście tu poprzednio, doktorze. Z nikim. To automat. – Spojrzał na zegarek. – Tracę czas. Skończmy już z tym.

Odwrócił się i ruszył wydeptaną ścieżką z boku gmachu. Skręciliśmy w prawo, a dotarłszy do zachodniego skrzydła, ujrzeliśmy trzy niskie, beżowe budynki, smażące się w bezlitosnym słońcu.

Napis na tabliczce głosił: „Aneksy A, B i C”. Z tyłu rozciągało się następne brunatne podwórko, równie ogromne, jak główny dziedziniec, lecz puste i z zamkniętą furtką. Dalej była już tylko siatka ogrodzenia i gęsty las - nie eukaliptusowy zagajniczek, jak przy bramie, lecz gęsty, mroczny las sosnowy albo cedrowy.

– Dokąd prowadzi ta dróżka? – zapytał Milo.

– Donikąd.

– Myślałem, że szpital ma tylko jeden budynek.

– To nie budynki, lecz aneksy – wyjaśnił Dollard z uśmiechem. Szybko minęliśmy aneks A: podwójne drzwi, ciemne plastikowe okna, ani żywego ducha w środku. Na zamiecionym do czysta betonowym patio wystawiono parę plastikowych ławek. Pokrzykiwania dobiegające z głównego dziedzińca tylko podkreślały panującą przy aneksach ciszę: nie słychać było śpiewu ptaków, bzyczenia owadów, szumu samochodów.

Aneks B również świecił pustkami. Nagle jakiś dziwny niepokój kazał mi zerknąć przez ramię za siebie. Główne gmazysko Starkweathera, osłonięte teraz przed porannym słońcem, poczerniało jak wykute w węglu. Kątem oka dostrzegłem jakieś poruszenie i przez ułamek sekundy zakręciło mi się w głowie.

Nie zatrzymując się, jeszcze raz się obejrzałem – nic. A jednak przez tę krótką chwilę zdawało mi się, że budynek przechyla się w moją stronę, jakby usiłował się wyrwać z fundamentów. Teraz znów wyglądał jak należy – solidny, niewzruszony, z rzędami ciemnych, pustych okien.

Dollard pośpiesznym krokiem podążył do aneksu C. Przystanął przy drzwiach i skinął głową dwóm sanitariuszom, pełniącym straż przed wejściem. Byli czarni, więc żaden z nich nie pasował do opisu Warka. Sprawdzili nasze dokumenty, po czym cofnęli się i dali nam przejść. Dollard swoim kluczem otworzył drzwi, pchnął je i wszedł szybko do środka. Wzmocnione blachą skrzydło niemal wyrznęło Mila w twarz.

– Dzień dobry panom – rzekł Dollard po raz drugi tego ranka.

Żaden z pacjentów mu nie odpowiedział.

– Złożymy teraz ślubowanie – oznajmił i znudzonym tonem zaczął recytację. Nikt nie wstał z miejsca, chociaż Chet, Dziadunio i chudy Murzyn przyłączyli się do Dollarda.

– Witam patriotów – rzucił na zakończenie.

– Urodzony w Stanach – odparł Chet. – Szczyt poranka dla was poranka Elektra zelektryfikowała wszystkie jony trzeba wszystko wygładzić wyprasować francuskie mankiety żakiety pobili Rodneya Kinga stary.

Murzyn spojrzał na niego i z niesmakiem pokręcił głową, poza nim jednak nikt nie zwracał uwagi na majaczenie olbrzyma. Staruszkowi ręce zadrżały może nieco wyraźniej.

– No dobrze. – Dollard przysiadł na krawędzi biurka. – Dawno się już nie spotykaliście, chłopaki, ponieważ doktor Argent już u nas nie pracuje, ale...

– Pieprzyć ją – przerwał mu spocony Latynos. – W dupsko.

– Paz – skarcił go Dollard. – Uspokój się.

– Pieprzę ją. Najpierw poświęca nam trochę uwagi, a potem nas olewa.

– Tłumaczyłem wam już, Paz, że nie rzuciła pracy, tylko...

– Pieprzę ją – upierał się Paz. Krople potu skapywały mu z brody. Wyglądał tak, jakby lada chwila miał wybuchnąć płaczem. – Wszystko się, kurwa, spieprzyło... To nie fair. – Popatrzył po kolegach z grupy, ale żaden nie zwracał na niego uwagi. – Pieprzę ją – dodał słabym głosem. – Przecież ludzi nie można tak kurewsko traktować.

– Pieprzę cię – oznajmił pogodnie Chet. – Pieprzę wszystkich i wszystko Kamasutra wypiek precli chyba czas się tu zabawić miłość oralna doustna higiena ustna.

– Pieprzę ją – rzucił smutno Paz i zamknął oczy. Pierś unosiła mu się i opadała w rytm oddechu, coraz wolniej i wolniej, aż wreszcie wyglądał, jakby zasnął.

– Nocna noc – rzekł Chet. – Pieprzyć wszystkich równość praw i odpowiedzialności i demokracji wolność przed Bogiem wolno jedzie na bladym koniu...

– Dość – wszedł mu w słowo chudy Murzyn cichym, ale spokojnym, niemal ojcowskim głosem.

– Słuszna uwaga, Jackson – rzekł Dollard i zwrócił się do Cheta: – Dość tego, olbrzymie.

Chet, z przekrwionymi oczami i masą okruchów w brodzie, wcale się tym nie przejął. Zaśmiał się wysoko, piskliwie, naśladując rzenie konia.

– Dość to za dużo nigdy dość chyba że oto paradoks więc dość może być czymkolwiek zależnie od wymiaru...

– Stary – przerwał mu Jackson, prostując się na krześle. – Wszyscy wiemy, że chodziłeś do szkoły i jesteś geniuszem, ale już wystarczy. Jasne? – Wyszczrzył drapieźnie zęby.

– Nie jestem geniuszem tylko genusem rodzajem gatunkiem...

– Tak, tak, tak. Mama, syn i Duch Święty – zgodził się z nim Jackson. – Naprawdę, starczy już. W porządku? – Uśmiech coraz bardziej upodabniał go do wygłodniałej pantery.

– Tak tak tak bracie ty wiesz kto tak tak tak to mi w smak a ty...

Murzyn pochylił się do przodu.

– Chet – rzekł z naciskiem Dollard.

– Chet – powtórzył Jackson.

– Chet – zachichotał Chet. Uderzył otwartą dłonią w blat, a potem sięgnął pod stół i podciągnął spodnie, odsłaniając okaleczoną nogę. Pogładził się po ledwie osłoniętej skórą kości.

– Zakryj ją – polecił mu Dollard.

Jackson wyłączył się z rozmowy i tępo gapił w sufit. Miły Dziadunio przebierał palcami i uśmiechał się słodko.

Paz głośno zachrapał.

Chet dalej gaskał się po nodze. Kiedy się uśmiechał, stroszył żółtą brodę.

Znowu rozległo się chrapanie Paza.

– Zakryj ją – powtórzył Dollard.

Chet zaśmiał się i zrobił, co mu kazano.

Mulatowi głowa opadła bezwładnie na pierś; chyba też zasnął. Kiedy Dziadunio zorientował się, że mu się przyglądam, posłał mi uprzejmy uśmiech. Policzki miał delikatnie zaróżowione, a włosy zaczesane równo i precyzyjnie.

Jedynym, który dotąd nawet się nie poruszył, był blady, szczupły chłopak w wełnianej czapce. W dalszym ciągu opierał głowę na przyciśniętych do skroni dłoniach.

– Posłuchajcie, ci panowie są z po-lic-ji – rzekł Dollard. – I chcą zadać wam kilka pytań na temat doktor Argent.

Tylko Dziadunio i Chet śledzili wzrokiem Mila, który w tym momencie podszedł do biurka. Dollard chwilę jeszcze stał obok niego, jakby nie chciał oddawać mu pola, a potem usunął się na bok.

– Po-lic-ja – powtórzył Chet. – Dobry człowiek żandarm ma prawo nosić dwa pistolety ma strzec społeczeństwa przed mętami śmieciami świętami i cieciami urodzony w Stanach! Sam byłem w po-lic-ji po-li-ty-ce Poe Edgar Alan tyce ćwiczyłem z komandosami i Chuck Yeager i Annabel Lee i Bobby McGee...

– Świetnie – uciął Milo. – Potrzebna nam wasza pomoc. Chodzi o doktor Argent...

– To Żydzi to zrobili – przerwał mu chrapliwy szept.

Wełniana Czapeczka. Nie poruszył się, a jego twarz była równie ożywiona, co kłoda drewna.

– Masz rację – przyznał Chet. – Karol Marks gwałt rewolucja obalił Semitów semiotyków antybiotyków nie Fleming nie był Żydem tylko Szkotem...

– To Żydzi to zrobili – powtórzył Wełniana Czapeczka.

– Wystarczy, Randall – wtrącił się Dollard.

– Może Kuba Rozpruwacz maluje na murach Żydzi tego nie zrobili czy coś w tym stylu podwójnetrójne zaprzeczenie alternatywny wszechświat systemu równoległe paralelne paralelogramy dwunastościany nigdy nie wiadomo co może się stać...

– Randall jest rasistowskim durniem – stwierdził Jackson. – Gówno wie. I ty też gówno wiesz. – Obnażył zęby w uśmiechu i zaczął obgryzać paznokcie.

Dollard posłał nam wściekłe spojrzenie: patrzcie, coście narobili!

– Randall to skurwiel i rasista – dodał Jackson.

Randall nie zareagował. Paz i Mulat spali twardo.

– Jeszcze jedno słowo, Jackson, i trafisz do izolatki – zagroził Dollard.

Jeszcze przez chwilę Jackson kręcił się niespokojnie, ale milczał.

– Kończcie – rzucił Dollard pod naszym adresem.

Milo spojrział na mnie; stanąłem obok niego.

– Doktor Argent z wami pracowała, prawda?

– Czy byłby pan tak uprzejmy, żeby powiedzieć nam, co właściwie przydarzyło się tej biednej kobiecie? – zapytał grzecznie Dziadunio.

– Już to przerabialiśmy, Holtzmann – przypomniał mu Dollard.

– Zdaję sobie z tego sprawę, panie Dollard. Została zamordowana, prawdziwa tragedia. Może jednak znając szczegóły zbrodni, moglibyśmy okazać się bardziej przydatni dla panów policjantów.

Spokojny głos, wesołe oczy, mówi do rzeczy... Za co tu trafił?

– Znacie już wystarczająco dużo szczegółów.

Paz otworzył oczy i zaraz znów je zamknął. Ktoś puścił bąka. Smród niósł się po sali, by po chwili rozpląnąć się w powietrzu.

Randall poruszył minimalnie głową i mocniej wbił pięści w skronie. Czapkę miał okropnie brudną. Kiedy zsunął rękę trochę niżej, dostrzegłem, że skórę na skroniach ma zaczerwienioną i delikatnajak na świeżej ranie.

– Może jest coś... – zacząłem.

– Jak zginęła? – przerwał mi Dziadunio Holtzmann. – Ktoś ją zastrzelił? A jeżeli tak, to z jakiej broni: krótkiej czy długiej?

– Nie została zastrzelona – rzekł Dollard. – To wszystko, co powinniście...

– W takim razie zadźgana?

– Jakie to ma znaczenie, Holtzmann?

– Wie pan, jeśli mamy być pomocni...

– Sposób jest zawsze kluczową wskazówką profil psychologiczny pismo odręczne jeśli można tak powiedzieć i posiedzieć...

– Czy została zasztyletowana? – Holtzmann pochylił się nad ławką, tak że blat wpił mu się w pierś.

– Holtzmann, nie ma najmniejszego powodu, żebyś...

– Zadźgali ją! – wykrzyknął staruszek. – Rozpruli aż do kości. Alleluja! – Rozpiął rozporek, obnażył się i zaczął onanizować. Wyśpiewywał przy tym dźwięcznym barytonem: – Zadźgana, zadźgana, zadźgana, chwała im! Pociąć sukę na strzępy!

Dollard złapał go za barki i popchnął ku drzwiom.

– Wy też wychodźcie – rzucił pod naszym adresem. – Koniec widzenia.

Gdy przekraczaliśmy próg. Chet krzyknął jeszcze:

– Zaczekajcie już wiem *cherchez lafemme cherchez lafemmel*.

Dollard zamknął drzwi aneksu i przekazał Holtzmanna sanitariuszom. Ten uśmiechał się słabo, ale chyba dalej był podniecony; penis wisiał mu z rozporoka.

– Schowaj go – polecił mu wyższy z sanitariuszy. – Ale już.

Holtzmann posłuchał go, po czym opuścił bezwładnie ręce.

– Miło mi było panów poznać – rzekł, przemieniając się znów w Dziadunia. – Panie Dollard, jeżeli czymś uraziłem...

– Ani słowa więcej, do ciężkiej cholery! – skarcił go Dollard i zwrócił się do sanitariuszy: – Nie wypuszczajcie ich, dopóki nie załatwię sprawy z tymi dwoma. Przyślę wam Millsa do pomocy.

Holtzmanna popchnięto pod ścianę i kazano mu stanąć plecami do nas.

– Nie waż się ruszyć, staruszkule – ostrzegł go sanitariusz i wyciągniętą ręką wskazał drzwi. – W środku wszystko w porządku? – spytał Dollarda.

– Chet Bodine gada jak nakręcony i Jackson trochę się z nim drażnił. Z Randallem zresztą też, bo znów wygaduje te swoje bzdury o rasie aryjskiej.

– Poważnie? – Sanitariusz się uśmiechnął. – Dawno już tego nie było. Myślałem, że mamy spokój.

– Właśnie – przytaknął Dollard. – Coś musiało ich bardzo zdenerwować.

– Świetny sposób wydawania pieniędzy podatników – stwierdził, gdy wróciliśmy pod główny budynek szpitala.

– Chciałbym zobaczyć się z Peakiem – poinformował go Milo.

– A ja chciałbym przelecieć Sharon Stone.

– Frank, zaprowadź mnie do Peake'a.

– Jasne, tak po prostu: weź i zaprowadź. Co ty sobie do cholery... – Pohamował się i zachichotał. – Do tego potrzeba zezwolenia, detektywie. A pana Swiga, jak już mówiłem, nie...

– Zadzwoń do niego.

– Bo co? Bo pan mi tak każe?

– Bo za godzinę wrócę tu z posiłkami i nakazem aresztowania cię za utrudnianie pracy policji. Moi przełożeni zrobili się przy tej sprawie bardzo cięci, Dollard. Może Swig zdoła cię ostatecznie jakoś wybronić, ale ponieważ na razie go tu nie ma, sam będziesz musiał przez to wszystko przejść. Sprawdzenie w centralnym rejestrze przestępców... Wiesz, jak to wygląda; byłeś przecież gliną.

Twarz Dollarda przybrała kolor surowego steku, kiedy wycedził:

– Nie ma pan nawet pojęcia, w jak głębokie gówno się pan pakuje.

– Mam pewien pomysł, Frank. Zabawimy się w grę z mediami. Zjawi się tu banda kretynów w wozach transmisyjnych. A wiesz, jak naświetlę im sprawę? Policja stara się rozwiązać zagadkę morderstwa, które przyprawiłoby widzów o szybsze bicie serca, a ty robisz, co możesz, żeby utrudnić jej działanie. Podsunę też opowiadkę o tym, jak to miejscowi geniusze uznają seryjnego mordercę za zdrowego, wypuszczają go na wolność, a on udowadnia siłę swojej psychiki, zagrzebując się w koszu na śmieci. Kiedy całe to szambo szeroko się rozleje, wujek senator chyba Swigowi nie pomoże, prawda? A co dopiero tobie, Frank?

Dollard nerwowo zagryzł usta. Kopnął w ziemię.

– Dlaczego pan to robi?

– O to samo chciałem cię zapytać, Frank. Zmiana twojego stosunku do nas bardzo mnie zastanawia. Jesteś byłym gliną; szczerze mówiąc spodziewałem się po tobie innego zachowania. Zdumiewasz mnie. Zastanawiam się, czy nie powinienem się tobą bliżej zainteresować.

– Może się pan interesować do woli – odparł Frank, chociaż bez przekonania. Zmrużył powieki i zapatrzył się w niebo. – Niech pan robi, co do pana należy.

– Skąd ta zmiana, Frank?

– Nie doszło do żadnej zmiany. Za pierwszym razem byłem uprzejmy, za drugim tolerancyjny, a teraz po prostu burzycie rytm codziennego życia szpitala. Sami spójrzcie, co się porobiło z tymi facetami.

– Morderstwo też burzy rytm codziennego życia.

– Cały czas powtarzam: zabójstwo doktor Argent nie ma nic... Nieważne. Czego pan ode mnie chce, do cholery?

– Zaprowadź mnie do Peake'a. Potem zobaczymy.

Dollard znów grzebnął stopą w ziemi.

– Pan Swig jest na poważnym spotkaniu, na którym ważą się losy naszego budżetu i nie wolno mu...

– Kto go zastępuje?

– Nikt. Tylko pan Swig ma prawo zatwierdzania odwiedzin pacjentów.

– W takim razie zostaw mu wiadomość. Masz pięć minut na decyzję, potem zabieramy się stąd i zaczyna się zupełnie inna zabawa. Kiedy ostatnio miałeś zdejmowane odciski?

Dollard znów wzniósł oczy do nieba. Z podwórza dobiegł czyjś skowyt.

– W porządku – rzekł Milo. – Doktorze, idziemy.

Dollard odczekał, aż ujdziemy dziesięć kroków.

– Mam to w dupie – powiedział. – Daję wam dziesięć minut z Peakiem. Potem wynocha.

– Nie, Frank, nic nam nie dajesz. Sam wezmę to, co zechcę.

Weszliśmy do środka. Milo pierwszy dopadł drzwi, mając już dość maszerowania w rytmie niespiesznych kroków Dollarda. Lindeen Schmitz siedziała przy biurku i rozmawiała przez telefon. Próbowwała się uśmiechnąć do Mila, ale Dollard spiorunował ją wzrokiem.

W milczeniu wjechaliśmy windą na oddział C. W korytarzu zastaliśmy czterech nieruchawych pacjentów, dalej, w dyżurce, pielęgniarki gawędziły wesoło. Ze świetlicy dobiegł nas wybuch chrapliwego śmiechu.

Dollard podszedł ciężko do drzwi pokoju Peake'a i zajrzał przez judasz. Włączył światło. Zmarszczył brwi, odblokował obie zasuwki i uchylił ostrożnie drzwi. Zajrzał do wnętrza.

– Nie ma go – stwierdził, niby zirytowany, ale przede wszystkim zaskoczony.

– No proszę... Ten, co nigdy nie wychodzi z pokoju – zakpił Milo.

– Właśnie tak, nigdy.

– Może ogląda telewizję – zasugerowałem.

Przeszliśmy do świetlicy, żeby obejrzeć siedzących w niej pacjentów. Dwudziestu z górą facetów w khaki gapiło się w ekran. Z głośników leciał nagrany śmiech – oglądali serial komediowy – w świetlicy jednak nikt się nie śmiał. Peake'a nie było.

Wróciliśmy na korytarz. Czerwony na twarzy Dollard płonął gniewem dogmatyka, któremu ktoś wykazał błąd w dogmatach.

– Zaraz zrobię z tym porządek.

Ruszył do dyżurki, gdy suchy szelest zatrzymał go w miejscu.

Szur szur... szur szur... szur szur... jak dźwięk werbla, wybijającego rytm wolnego tańca. Chwilę później zza rogu dyżurki wynurzył się Peake.

Szur... Szmer papierowych kapci na wykładzinie.

Heidi Ott prowadziła Peake'a za łokieć. Oczy miał na wpół zamknięte, a trójkątna głowa podskakiwała mu przy każdym kroku jak łąpek maskotki na półce w samochodzie. W bezlitosnym świetle jarzeniowym nieliczne włosy i zarost na jego głowie i twarzy przywodziły na myśl przypadkowo rozrzucone węgry. Czaszkę miał głęboko pobrużdżoną i szedł schylony nisko, jakby kręgosłup odmówił mu posłuszeństwa i tylko ręka szepczącej mu słowa otuchy Heidi powstrzymywała go przed upadkiem.

Nie zwrócili na nas uwagi. Dopiero kiedy Dollard się odezwał, Heidi podniosła głowę. Włosy

miała upięte w kok, twarz prawie bez wyrazu. Jeżeli Peake wyglądał jak inwalida, ona byłaby jego nawykłą do cierpienia córką.

Zatrzymali się. Peake się zachwiał i otworzył oczy, ale w dalszym ciągu nie zdawał sobie sprawy z naszej obecności. Głowa opadła mu na ramię, język wysunął się spomiędzy warg, zwinął i chwilę trwał bez ruchu, by zaraz zniknąć.

– Co tu się dzieje? – spytał Dollard.

– Poszliśmy na spacer. Myślałam, że trochę wysiłku fizycznego dobrze mu zrobi.

– Na co? – Dollard założył ręce na piersi i oparł kciuki na masywnych bicepsach.

– Coś się stało, Frank?

– Nie, zupełnie nic. To tylko oni znów go chcą zobaczyć. Byłoby miło, żeby mogli go znaleźć tam, gdzie powinien się znajdować.

– Przepraszam. – Heidi posłała mi przelotne spojrzenie. – Nie wiedziałam, że nie wolno mu wychodzić.

– Na razie mu wolno. Zaprowadź go z powrotem do pokoju. – Dollard odwrócił się do Mila. – Róbcie swoje. Za kwadrans wracam.

I odszedł ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Heidi uśmiechnęła się niepewnie, jak nastolatka zawstydzona wybuchem ojca.

– Dobrze, Ardis, koniec przechadzki.

Peake otworzył szerzej jedno oko – puste, niewidzące. Oblizął wargi, wysunął język i wzruszył ramionami.

– Nikomu nie chce się go wyprowadzać – wyjaśniła Heidi. – Myślałam, że to pomoże... Sami panowie wiecie.

– Wymusi reakcje werbalne – podpowiedziałem.

Wzruszyła ramionami.

– Pomysł wydawał mi się niezły. Chodź, Ardis, wracamy.

Skierowała go do pokoju, podprowadziła do łóżka i pomogła mu usiąść.

Peake siadł nieruchomo i na długą chwilę zapadła cisza. Z początku nawet nie drgnął, a potem wróciły niezborne ruchy języka i powiek. Nie udało mu się jednak na dłużej otworzyć oczu.

– Moglibyście panowie zgasić światło? – poprosiła Heidi. – Chyba mu przeszkadza.

Pstryknąłem przełącznikiem i w pokoju zrobiło się szaro. Peake oblizywał się i kręcił głową. Znajomy odór – mieszanina zgnilizny i spalonego drewna – stał się bardziej natarczywy, jakby nasza obecność w izolatce wywołała nie mile powitanie.

– Czemu Frank tak się pieniał? – Heidi zwróciła się do Milo. – Czy coś się stało?

– Jest w złym humorze. Czy Peake powiedział coś od czasu, kiedy ostatni raz go nagrałaś?

– Nie, przykro mi, ale nic z tego. – Pokręciła głową. – Próbowałam. Właśnie dlatego uznałam, że trochę ruchu...

Peake przechylił głowę i zakotłosał się na łóżku.

Milo dał nam znać, żebyśmy się od niego odsunęli i stanęli bliżej drzwi.

– Nie rozwinął zatem myśli zawartej w „ciuch ciuch, pif paf”?

Oczy Heidi rozszerzyły się ze zdziwienia.

– Czy to naprawdę coś znaczy?

Milo wzruszył ramionami.

– A czy w ogóle wypowiedział kiedyś inne słowo... Nazwisko?

– Jakie nazwisko?

– Wark.

Heidi powtórzyła je z namysłem.

– Nie brzmi jak nazwisko... Prędzej jak szczeknięcie.

– Czyli mógłby je chlapanąć, a ty uznałabyś, że zwyczajnie bełkocze?

– Może... Ale nie, nigdy tego nie mówił. – Sięgnęła odruchowo ręką, żeby poprawić kucyk, ale musiała się zadowolić pogłaskaniem koka. – Wark... Nie. A dlaczego pan pyta? Kto to jest?

– Być może jego znajomy.

– On nie ma znajomych.

– Stary znajomy – uzupełnił Milo. – Dalej nagrywasz?

– Kiedy tylko mogę... Czemu Frank chodzi taki spięty?

– Nie lubi, kiedy mu się mówi, co ma robić.

– Ach tak... Zmusiliście go do rzetelnej pracy.

– Co, nie lubi pracować?

Zawahała się. Wyjrzała przez judasz na zewnątrz.

– Może to nieprawda, ale słyszałam, że wylali go z policji za to, że spał na służbie albo coś w tym guście.

– Kto ci to powiedział?

– Takie chodzą słuchy. Poza tym straszny z niego seksista; traktuje mnie jak istotę gorszego gatunku. Sami widzieliście... Co może być złego w tym, że zabiorę na spacer kogoś, kto nigdy nie opuszcza pokoju? Inni pacjenci oglądają telewizję, więc nie muszę się teraz nimi zajmować.

– Czy Frank przysparza ci na oddziale kłopotów? – zaciekawilem się.

– Właściwie nie, to tylko kwestia tego, jak się do mnie odnosi. Swig go lubi, więc Dollard nie musi za bardzo się starać. – Heidi zerknęła na Peake'a, który cały czas kołysał się na łóżku i poruszał językiem. – Peake miałby mieć kumpla? Z dawnych czasów?

– Trudno w to uwierzyć, co?

– Bardzo. Nigdy nie widziałam, żeby z kimś rozmawiał.

– Nie dostaje poczty?

– Nie przypominam sobie. Poza tym nigdzie nie dzwoni; w ogóle nie opuszcza pokoju.

– Nie opuszczał – powiedziałem. – Do dzisiaj.

– No tak... Chciałam pomóc. Co takiego zrobił ten Wark? Co w ogóle się dzieje?

– Prawdopodobnie nic takiego – rzekł Milo. – Po prostu sprawdzamy wszystkie możliwości. Wiesz, jak to jest, kopie się dwadzieścia studni, żeby w jednej znaleźć odrobinę wody.

– Trochę to dla mnie za wolne, bez urazy.

– Nie przypomina skakania ze spadochronem z elektrowni.

Uśmiechnęła się.

– Mało co może się z tym równać.

Wyszliśmy z pokoju Peake'a i Heidi zamknęła za nami drzwi na klucz.

– Gdzie mógłbym przejrzeć listę personelu? – spytał Milo.

– Pewnie w biurze. A czemu pan pyta?

– Chciałbym sprawdzić, z kim jeszcze powinienem porozmawiać.

– Jeśli chce pan rozmawiać o Peake’u, to jestem jedyną osobą, która się na coś przyda. Teraz, po śmierci Claire, nikt inny się nim nie interesuje.

– Ile czasu z nim spędzała? – zapytałem.

– Hmm, trudno powiedzieć... Długo u niego siedziała. Widywałam, jak na mojej zmianie przychodziła do niego na całą godzinę. Prawie codziennie... Taka już była, zaangażowana.

– Wobec wszystkich pacjentów?

– Nie. To znaczy, spędzała ze swoimi pacjentami na pewno więcej czasu niż inni lekarze, ale Peake był... Wyjątkowo ją intrygował.

– A skoro już mowa o innych... Poznaliśmy właśnie pacjentów z grupy treningu podstawowych umiejętności. Rzeczywiście, bardzo słabo funkcjonują. Nie wiesz przypadkiem, jak ich dobierała?

– Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, byłam tylko pielęgniarką, asystentką. Pilnowałam jej, załatwiałam sprzęt i leki. Szczerze mówiąc, zajęcia w tej grupie donikąd nie prowadziły. Miałam wrażenie, że Claire bardziej ich obserwuje, niż uczy. Spotkaliśmy się tylko siedem razy, zanim ją... – Heidi pokręciła głową i pogłaskała się po koku. – Są takie chwile, że szokuje mnie to, co się z nią stało.

– Wie pani coś o tych facetach z grupy? Za co tu trafili?

– Zaraz, niech no pomyślę... Ezzard Jackson, chudy Murzyn, zabił żonę: związał ją i podpalił dom, w którym mieszkali. Tak samo Holtzmann, ten staruszek, którego w życiu byście nie podejrzewali, że jest zdolny do jakiegoś okrucieństwa. Poćwiartował zwłoki żony i ułożył je w zamrażarce, opisując tak, jak robią to rzeźnicy: schab, boczek, polędwica... Randall zastrzelił własnych rodziców: trzymał z neonazistami i zdawało mu się, że ojciec i matka uczestniczą w syjonistycznym spisku... Kto tam dalej... Mulat, Pretty. Monroe Pretty. Zabił czworo własnych dzieci – utopił je jedno po drugim w wannie. Sam Paz, ten Meksykanin, zvariował na weselu brata – zastrzelił jego samego, ich matkę i paru niewinnych ludzi, razem chyba sześć osób. Ten olbrzym, Chet Bodine, prowadził żywot pustelnika. Zabił jakichś turystów.

„Tylu szaleńców i tak niewiele czasu...”

– Poza Chetem wszyscy mordowali członków własnych rodzin – zauważyłem.

– Claire nie wybrała Cheta – dodała Heidi. – Dowiedziawszy się, że taka grupa powstaje, zapytał ją, czy mógłby się przyłączyć. Dużo mówi, więc doszła do wniosku, że może korzystnie wpłynąć na innych, i się zgodziła. Ma pan rację. Nigdy mi to nie przyszło do głowy, ale najwyraźniej interesowali ją mordercy rodzin.

– Tylko dlatego? – wtrącił Milo.

Heidi wyjęła jedną z podtrzymujących kok spinek i zaraz wsunęła ją z powrotem na miejsce.

– Prawdę mówiąc nie sądzę, żeby miało to jakieś głębsze znaczenie. Takich, co pozabijali żony czy dzieci, w Starkweatherze nie brakuje. Przecież kiedy komuś odbija, od tego się najczęściej zaczyna, nie? Peake też najpierw zabił matkę. Przynajmniej tak mówiła mi Claire.

– Co jeszcze opowiadała ci o Peake’u?

– Mówiła tylko o tym, co zrobił. – Heidi podrapała się po nosie. – Zabił własną matkę i rodzinę, u której mieszkali. Co to ma wspólnego z jej śmiercią?

– Pewnie nic. Będiesz dalej pracować z Peakim?

– Chyba tak, jeśli pan chce... Nie, żebym miała jakieś znaczące osiągnięcia.

– Tylko nie wpakuj się w kłopoty, Heidi. Doceniam to, co dla nas robisz. Dziękuję ci.

– Nie ma za co.

Przygryzła wargę.

– Coś nie tak?

– Mówiłam już panu, że doszłam do wniosku, iż czas się stąd wynieść. Właściwie czekam już tylko na rozwiązanie sprawy Claire.

– Żałuję, że nie mogę ci obiecać, że to już niedługo, Heidi – rzekł Milo. – Tymczasem, skoro mamy pod ręką doktora Delaware, może on spróbowałby pogadać z Peakim.

– Jasne – zgodziła się. – Spróbować nie zawadzi.

Zamykaniu się drzwi towarzyszył syk systemów hydraulicznych.

Stanąłem w pół drogi do łóżka, obserwując bacznie Peake’a. Jeżeli nawet zdawał sobie sprawę z mojej obecności, nie okazywał tego.

Patrzyłem, jak gimnastykuje język, przewraca oczami i trzepocze powiekami.

Stojąc bez ruchu, zawieszony w powodzi słabego światła, poczułem się tak, jakbym tracił wszelki kształt i ciężar. Przyzwyczailem się już do panującego w izolatce smrodu. Nie spuszczaając oczu z rąk Peake’a, przysunąłem się bliżej. Po dłuższej chwili obserwacji jego dyskinez wydało mi się, że dostrzegam w nich pewną regularność.

Wysunięcie języka, cofnięcie, ruch głową zgodnie z biegiem wskazówek zegara, a potem

w przeciwnym kierunku. Cała sekwencja trwała około dziesięciu sekund. Peake powtarzał ją więc mniej więcej sześć razy na minutę, nie przestając się kołysać na łóżku.

Zacząłem dostrzegać inne szczegóły.

Łóżko było nie posłane i wyglądało tak, jakby nikt nigdy go nie ścielił. Peake zagrzebał ręce w wymiętej, przepoconej poszwie koca. Palce lewej dłoni zacisnął pod spodem, na prześcieradle, tak że prawie ich nie widziałem.

Te same dłonie, które wyrządziły tyle złego... Znalazłem się już o kilkanaście centymetrów od łóżka. Stałem bezpośrednio nad Peakiem.

Nie zauważyłem najmniejszej zmiany w jego zachowaniu. Uklęknałem i znalazłem się na takiej wysokości, żeby spokojnie spojrzeć mu w oczy. Były zamknięte. Zauważyłem, że z całej siły zaciska powieki. A przecież jeszcze nie tak dawno temu, przy Heidi, miał je na wpół otwarte. Czyżby w odpowiedzi na tę odrobinę stymulacji, jaką był spacer? Teraz zaś, po powrocie do izolatki, znów się wycofał?

Gdzieś z dołu dobiegło mnie ciche stukanie. Spuściłem wzrok na jego stopy – nagie, bo nie wiedzieć kiedy zzuł papierowe kapcie.

Dwie chude, blade, przerośnięte stopy, o nienaturalnie długich palcach, które bębniły w podłogę, wybijając rytm szybszy niż dyskinetyczny taniec tułowia.

Ciało całe w ruchu, choć bez śladu udziału wolnej woli, jak u marionetki.

I te zamknięte oczy... Znajdowałem się tak blisko, że widziałem zaczepione na rzęsach drobinki ropy.

– Ardis – powiedziałem.

Taniec trwał.

Spróbowałem jeszcze raz. Na próżno. Po kilku chwilach jeszcze raz:

– Ardis, nazywam się doktor Delaware. Chciałbym porozmawiać z tobą na temat doktor Argent.

Nic.

– Claire Argent.

Brak odpowiedzi. Powtórzyłem to imię i nazwisko. Peake wciąż miał zamknięte oczy, ale pod powiekami coś się poruszyło, jakby na przemian zaciskał je i rozluźniał. Kilka okruszków ropy odlepiło się od rzęs i spadło mu na pierś.

Reakcja na moje słowa? Czy raczej przypadkowe ruchy?

Przysunąłem się bliżej. Gdyby w tej chwili chciał mnie pocałować – albo wydrapać mi oczy – nie miałby z tym najmniejszego kłopotu.

– Ardis, przyszedłem do ciebie w sprawie doktor Argent.

Następny tik, drgnienie powiek, jakby pod przypominającą pergamin skórą przebiegła delikatna fala.

Z pewnością celowa reakcja; na pewnym poziomie Ardis był w stanie się skoncentrować.

– Byłeś dla doktor Argent bardzo ważny.

Tik, tik, tik.

– A ona była ważna dla ciebie, Ardis. Dlaczego?

Powieki zadrżały mu, jak żabie udko pod napięciem. Zacząłem odliczać czas sekwencjami późnych dyskiinez: jedna PD, dwie PD... Dziesięć PD.

Dwanaście.

Dwie minuty. Koniec.

W moim subiektywnym odczuciu upłynęły z pewnością więcej niż dwie minuty. Wcale się nie nudziłem, ale czas mi się dłużył. Ciekaw byłem, ile zajęła Peake’owi rzeź, której dokonał w domu Ardullów. Spali twardo, czy też zdążyli się już obudzić? A może trwali jeszcze w jakimś pośrednim stanie półświadomości i do końca wydawało im się, że śnią tylko jakiś potworny koszmar?

Znów wymieniłem nazwisko Claire. Powieki Peake’a drgnęły, ale na tym się skończyło.

Wróciłem pamięcią do jego zdjęcia z aresztu; oczy Peake’a zdradzały czyste przerażenie... Coś mi w istocie przypominały. W dzieciństwie widziałem pewnego wyjątkowo agresywnego, wrednego psa, który żadnemu innemu nie przepuścił, ale kiedy rakarz zapędził go wreszcie w kozi róg, skulił się i zaczął skomleć jak szczenię...

Jaka cześć przemocy wypływa w istocie ze strachu wobec świata? Czy wszelkie zło bierze się z tchórzostwa?

Doszedłem do wniosku, że nie; morderca Claire chciał mieć władzę, chciał dominować.

Chciał się bawić.

Czy Peake dobrze się bawił, urządzając sobie „krwawą przechadzkę”? Kiedy na niego teraz patrzyłem, nie potrafiłem sobie wyobrazić, że w ogóle coś może go cieszyć.

Pomysł, że ten chodzący szkielet obciął głowę własnej matce, a potem z zakrwawionym nożem w garści zakradł się po schodach do sypialni, by zadać śmierć czworgu niewinnym ludziom, był tak

nieprawdopodobny...

Jak to, że uroczy pan Holtzmann poćwiartował żonę i schował mięso do zamrażarki.

W takim miejscu logika nic nie znaczyła.

– „Złe oczy doktor A. w pudełku” – powiedziałem.

Powieki ani drgnęły.

– „Ciuch ciuch, pif paf”.

Nic.

Jeszcze raz. Brak reakcji.

Zatem wracamy do początku: Claire.

– Doktor Argent.

Nic. Czyżbym jakoś go wyłączył?

– Doktor Argent opiekowała się tobą, Ardis.

Pięć PD, sześć... Tik.

– Dlaczego zginęła, Ardis?

Jedenaście, dwanaście... Tik, tik, tik.

– A Wark? – Czternaście... – Griffith D. Wark.

Szesnaście, siedemnaście... Nic.

– „Krwawa przechadzka”.

Kompletny bezruch powiek.

Może te ruchy nic nie znaczyły, ja zaś przypisywałem sens przypadkowym impulsom w neuronach mózgu Peake’a.

Wszyscy żyjemy złudzeniami...

Zdając sobie sprawę, że drugi raz mogę się z Peakim nie spotkać, postanowiłem próbować dalej. Jak najprościej.

Przysunąłem usta do jego ucha.

– Doktor Argent – wyszeptalem. – Claire Argent.

Powieki drgnęły mu spazmatycznie. Odsunąłem się z bijącym sercem. Peake zamarł w bezruchu; przez dłuższą chwilę obeszło się bez PD. Otworzył lekko oczy, odsłaniając skrawki poszarzałych białek. Patrzył na mnie? Czy mnie widział? Nie byłem tego pewien. Zamknął oczy.

– Doktor Argent opiekowała się tobą.

Nie poruszył powiekami, za to ścięgnią szyi napięty mu się, gdy odwrócił głowę w moją stronę. Znowu odruchowo się cofnąłem.

Nie patrzył na mnie, ale zwracał się w moim kierunku, jakby chciał... nawiązać kontakt. Otworzył szeroko usta, ale zamiast wysunąć język, wydał gulgoczący odgłos, jakby się krztusił. Nagle jego głowa wystrzeliła w przód niczym łeb atakującego węża. Zatrzepotał powiekami.

Patrzyłem przerażony – i zafascynowany – jak podnosi głowę. Szyję miał tak napiętą, że uniesiona ku górze drobna żuchwa zdawała się fizycznie wydłużać.

Cofnąłem się jeszcze o krok, gdy powoli, z mozołem zaczął podnosić rękę.

I otworzył oczy, szeroko, wytrzeszczył je i wlepił wzrok w sufit.

Jakby tam było niebo, a on... modlił się do kogoś.

Zagulgotał, zakrztusił się jeszcze raz. Zastanawiałem się, jak głęboko w przetyk cofnął mu się język.

Poniósł rękę, niby w pokornej prośbie...

Zakaszłał prawie bezgłośnie i zaczął tak jak przedtem kręcić głową na boki – szybciej, gwałtowniej, jak epileptyk. Zapadnięta pierś zafalowała gwałtownie, mnie zaś przyszedł na myśl Denton Argent, który zmarł w swojej celi. Może powinienem coś zrobić?

Peake jednak na razie nie miał kłopotów z oddychaniem. Atak mu nie groził. Po prostu rozpoczynała się inna sekwencja ruchów.

Zaczął się szybciej kołysać. Chude pośladki uniosły się z materaca, gdy pochylił się w przód i wypiął pierś.

Składając się w ofierze.

Opuścił prawą rękę na wysokość twarzy i włożył sobie cztery palce do ust. Wyjął język, który zaczął się miotać jak wyrzucona na piasek ryba – dygotał, zwijał się, poruszał na boki...

Wróciły początkowe objawy dyskinetyczne: wysunięcie języka, chwila przerwy, cofnięcie. Pośladkami wciąż nie dotykał materaca, a stopy ledwie opierał o podłogę. Ciekaw byłem, czy

odczuwa, jak niewygodna jest taka pozycja; czy w ogóle czuje ból.

Nagle wszystko się skończyło. Peake spuścił głowę, z powrotem oparł ręce o łóżko i wrócił do starych PD...

Jedna, dwie, trzy...

Siedziałem przy nim jeszcze pięć minut, szepcząc i przekonując, ale nic nie wskórałem.

Przestał reagować na nazwisko Claire. Miałem nadzieję, że nowe słowa pobudzą go do kolejnego wybuchu.

– Bracia Beatty – powiedziałem. – Ellroy. Leroy.

Nic.

– „Ciuch ciuch, pif paf”.

Bez skutku.

– Jeden zastrzelony, drugi wpadł pod pociąg.

Jakbym rozmawiał z głuchym.

Ale na „Argent” wtedy zareagował. Wiedziałem, że choć wiele nie osiągnę, potrzebuję jeszcze trochę czasu. Dalej. Jedna PD, dwie PD...

– Ardullowie – wyszeptałem.

Bez zmian.

– Ardullowie, Terri i Scott... – Tak, tak, tak, znów go miałem: powieki drgały mu teraz w opętańczym rytmie, znacznie szybciej niż przedtem, jakby gałki oczne wirowały mu z niewiarygodną prędkością.

– Terri i Scott Ardullo.

Peake otworzył oczy.

I wbił we mnie wzrok. Świadomie.

Chciał coś zrobić. Tylko co? Na razie patrzył na mnie. Nie poruszał się. Zwrócił na mnie uwagę?

Odniosłem sukces, ale czułem się teraz tak, jakby skorpion wędrował mi po kręgosłupie.

Przeniosłem wzrok na jego ręce. Te ręce. Zaciśnięte na pościeli. Wyczekiwałem nagłego ruchu.

– Scott i Terri Ardullowie – powtórzyłem.

Patrzył na mnie.

– Scott i Terri. Brittany i Justin.

Patrzył na mnie.

– Brittany i Justin.

Peake zamrugał: raz, dwa, sześć razy, dwadzieścia, czterdzieści; jakby dostał drgawek.

Drżenie powtarzało się z hipnotyczną regularnością. Poczułem, że mnie wciąga. Uważaj, patrz na ręce...

Znów podniósł ramiona. Przeszył mnie strach i natychmiast się cofnąłem.

Nie zwrócił na to uwagi.

I wstał.

Zachwiał się, ale utrzymał na nogach. Wydał mi się o wiele silniejszy niż na korytarzu, w objęciach Heidi.

Przyglądał mi się natarczywie. Z wolna zacisnął dłonie w pięści.

Wyprostował się.

Zrobił krok w moją stronę.

Udało ci się, Delaware! Pełny sukces!

Kolejny krok. Zacząłem planować strategię obrony. Co mógł mi zrobić – bezbronny, wychudzony, słaby?

Następny krok naprzód. Wyciągnął ręce, jakby chciał mnie objąć.

Cofnąłem się pod drzwi.

Peake otworzył usta, ale zamiast wysunąć język, mozolnie próbował złożyć je do krzyku, uformować jakieś słowo...

Wreszcie spomiędzy wąskich, prawie niewidocznych warg wy dobył się piskliwy, suchy dźwięk. Cichy, ulotny, łagodny, a jednak zagrzniał mi w uszach jak grom.

Peake znów podniósł ręce, wolno, bardzo wolno, a kiedy uniósł je na wysokość ramion, zamachał nimi jak ptak – nie drapieźca, raczej smukły, delikatny... żuraw.

Nagle odwrócił się do mnie plecami i – wciąż machając rękoma, udając lot – pokuśtykał w kąt pomieszczenia. Oparł się plecami o ścianę i pochylił głowę w prawo, w dół. Nad nim ostrzegawczo

sterczały metalowe uchwyty.

Oczy miał wciąż otwarte, a właściwie wytrzeszczone – białka były okolone różowymi obwódkami. Łzy wzbierały w nim przez chwilę, aż pociekły po zapadniętych policzkach.

Skrzyżował nogi w kostkach, tak że stał tylko na palcach prawej stopy, przez co jeszcze bardziej upodobnił się do ptaka... Nie, teraz chodziło o co innego.

Peake przyjął pozę, którą nie sposób z czymś pomylić.

Jego ciało utworzyło krzyż.

Ukrzyżowany na niewidzialnym rusztowaniu.

Łzy płynęły Peake'owi po twarzy, jego ciałem wstrząsały spazmy – każdy kolejny brutalnie targał nim, jakby na chwilę przejmował kontrolę nad słabym ciałem i wytrząsał je jak mokrego kociaka.

Płaczący Chrystus.

Stał tak bez ruchu. Po prostu stał. Od jak dawna już u niego siedziałem? Zniecierpliwiony, wściekły Dollard zapewne lada moment każe mi wyjść.

Minęło pięć minut, ale Dollard się nie pojawił.

Peake stał pod ścianą. Łzy, choć bardziej skąpe, wciąż spływały mu po policzkach.

Znajomy smród powrócił, wszystko mnie swędziało. Zmysły wracały do normy. Chciałem się stąd wydostać.

Zastukałem w stalowe drzwi, ale rozległo się tylko słabe, stłumione dudnienie. Czy słychać je na korytarzu? Siedząc w środku, nie słyszałem nic z tego, co działo się poza pokojem. Judasz otwierał się tylko od zewnątrz. Deprywacja sensoryczna; ciekawe, jaki miała wpływ na już uszkodzone umysły?

Zapukałem ponownie, tym razem głośniej. I nic.

Ukrzyżowany Peake ani drgnął, jakby niewidzialne gwoździe podtrzymywały go w tej pozycji. Kiedy usłyszał imiona ofiar, rozplakał się. Bardziej żałował ich czy siebie? A może czuł coś, czego nigdy nie będę w stanie zrozumieć?

Wyobraziłem sobie, jak wchodzi do kuchni w domu Ardullów, gdzie zastał matkę przy pracy, pomyślałem o tym, ile siły wymagało od niego odcięcie jej głowy... A potem na piętro, z kijem bejsbolowym Scotta w rękach.

I dzieci...

Ich imiona sprawiły, że przybrał pozę Chrystusa.

Pozę męczennika.

Nie czuł za grosz skruchy?

Miał się za ofiarę?

Nagle uderzyła mnie absurdalność i próżność moich wysiłków. Oto staram się wydrzeć informacje osobie o umyśle tak chorym, że bez wysiłku łączy pojęcia grzechu i zbawienia. Komu to potrzebne?

Czy Claire próbowała podobnie stymulować Peake'a? I w jakiś sposób ciekawość przyczyniła się do jej śmierci?

Wąski pokój robił się dla mnie za ciasny, jakby ściany zbliżały się do siebie. Stałem pod drzwiami, wcale nie dość daleko od bladej, ukrzyżowanej postaci.

Strumyczek łez prawie wysechł.

Peake płakał nad sobą.

Potwór, spokojny w swym cierpieniu.

Bardzo wolno obrócił głowę i lekko ją podniósł. Spojrzał na mnie. W jego oczach pojawił się błysk, którego wcześniej nie dostrzegałem.

Pewność podjętego zamiaru.

Skinął głową, w pełni świadomie, jakby potwierdzał, że dzielimy jakąś tajemnicę.

Przycisnąłem się jeszcze mocniej do drzwi, gdy nagle za moimi plecami otworzyła się pustka i poleciałem do tyłu.

– Przepraszam! – wykrzyknęła Heidi. – Powinnam była otworzyć judasz i pana ostrzec!

Złapałem równowagę, odetchnąłem głęboko i uśmiechnąłem się, usiłując przybrać spokojny wyraz twarzy. Milo przyglądał mi się bacznie, a wraz z nim Dollard i trójka lekarzy – Aldrich, Steenburg i Swenson, wszyscy w sportowych koszulach, jakby dopiero przed chwilą zesli z pola golfowego. Byli śmiertelnie poważni.

Przymykając drzwi, Heidi zerknęła do izolatki i pobladła.

– Co on robi? Co się dzieje?

Pozostali przepchnęli się do drzwi i z rozdziawionymi ustami popatrzyli na Peake'a, który tymczasem wrócił do pozy Chrystusa, spuściwszy głowę. Nie płakał już.

– Parę minut temu wstał i tak właśnie stanął – wyjaśniłem.

– No, no... – mruknął Aldrich. – Robił to już wcześniej, Heidi?

– Nie, nigdy dotąd nawet nie wstawał z łóżka. – W głosie dziewczyny brzmiało autentyczne przerażenie. – Doktorze Delaware, czy naprawdę sam się poruszył?

– Tak.

Steenburg i Swenson spojrzeli po sobie.

– To ciekawe – powiedział Aldrich tonem tak poważnym, że aż śmiesznym. Starał się udawać eksperta w sprawie, o której nie miał zielonego pojęcia.

– Co pan mu powiedział, że tak się zachował? – zapytał Dollard.

– Nic – odparłem.

– Nie rozmawiał pan z nim?

– O co chodzi? – wtrącił Milo. – Przez jakiś czas facet uważał się za roślinę, teraz ewoluuje i jest Chrystusem.

Dollard i lekarze posłali mu nienawistne spojrzenia.

– Zaawansowana psychoza jest chorobą – rzekł Aldrich. – Nie wypada się z niej śmiać.

– Przepraszam – zgodził się Milo.

– Czy Peake rozmawiał kiedyś z tobą na tematy religijne, Heidi? – zainteresował się Swenson.

– Nie, i to właśnie staram się panom uprzytomnić. Peake prawie wcale się nie odzywa.

Swenson zamyślił się, złożywszy dłonie na sprzączce paska.

– Rozumiem... Więc to coś zupełnie nowego.

– Niech się pan lepiej przyzna, co mu pan naopowiadał. – Dollard skinął na mnie głową. – Musimy to wiedzieć na wypadek, gdyby zaczął odreagowywać.

– Uważasz, że mogą być z nim kłopoty, Frank? – spytał go Aldrich.

– Ci dwaj to jeden wielki kłopot. Co i rusz tu przychodzą, niepokoją pacjentów, nagabują Peake'a... Pan Swig pozwolił im tylko na kwadrans rozmowy z grupą treningu podstawowych umiejętności i zakazał dopuszczać ich do Peake'a. – Dollard pokazał na drzwi. – Proszę tylko spojrzeć, nie wiadomo, co taki facet może wymyślić. I po co to wszystko? Nie mógł przecież mieć nic wspólnego z doktor Argent. Ja im to powtarzałem, pan im powtarzał, pan Swig również...

– Jaki jest cel pańskiej wizyty w szpitalu? – zwrócił się Aldrich do Mila.

– Prowadzę śledztwo w sprawie zamordowania doktor Argent.

Aldrich pokręcił głową.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Dlaczego próbuje pan przesłuchać Peake'a?

– Prawdopodobnie przewidział śmierć doktor Argent.

– Przewidział? O czym pan mówi, na miłość boską?

Milo streścił mu istotę sprawy.

– W pudełku... – powtórzył Aldrich i odwrócił się do Heidi. Steenburg i Swenson zrobili to samo.

– Kiedy ci to powiedział?

– Na dzień przed morderstwem.

– Kim on jest, wyrocznią? – nie wytrzymał Steenburg. – Proszę, dość tego. Teraz znów jest Chrystusem; czy tylko ja jeden nie dostrzegam tu związku ze sprawą?

– Przynajmniej jest oryginalny – zauważył Swenson. – To znaczy, względnie oryginalny. Nie miewamy ostatnio wielu Chrystusów; Elvisów nie brakuje, ale z Jezusami jest krucho. Może to skutek oddziaływania naszej bezbożnej kultury.

Nikt się nie uśmiechnął, Swenson się jednak nie poddawał:

– Zawsze możemy z nim zrobić to, co Milton Erickson robił ze swoimi Jezusami: dać mu do ręki narzędzia stolarskie i kazać coś naprawić.

Aldrich zmarszczył brwi i Swenson spuścił oczy.

– Chciałbym wyjaśnić jedną rzecz – rzekł Aldrich. – Czy to owa domniemana... wypowiedź sprowadza tu pana ponownie?

– Jestem tu, ponieważ staram się rozwiązać zagadkę morderstwa, doktorze Aldrich – odrzekł Milo.

– Niech i tak będzie... – Aldrich zajął do izolatki. Peake nie ruszył się z miejsca. Lekarz zamknął drzwi.

– Spowodowali też zamieszanie w grupie treningu podstawowych umiejętności – dodał Dollard. – Hermann Randall jest strasznie nabuzowany; siedzi u siebie w pokoju i wykrzykuje nazistowskie hasła. Nie wiem, czy nie należałoby mu zwiększyć dawki leków.

– Doprawdy? – zdziwił się uprzejmie Aldrich. – Może spotkamy się po lunchu i przejrzymy historię choroby pana Peake'a – zaproponował Heidi. – Chciałbym się upewnić, że nie nastąpiła jakaś regresja.

– Chyba wręcz przeciwnie – wtrąciłem. – Peake wykazuje zwiększoną ruchliwość i reakcje emocjonalne.

– Jakie reakcje emocjonalne?

– Rozpłakał się, doktorze Aldrich.

Lekarz ponownie zajął do pokoju Peake'a.

– No, teraz z całą pewnością nie płacze, tylko sterczy tam na jednej nodze i z całą pewnością wygląda jak pacjent w regresji, jeśli nie w stanie katalepsji.

– Czy wchodziłoby w grę zmniejszenie dawki neuroleptyków? – spytałem.

Aldrich wybałuszył na mnie oczy.

– A dlaczegoż mielibyśmy to zrobić?

– Mógłby się rozwinąć werbalnie.

– Tego nam właśnie trzeba – zauważył Swenson. – Rozwiniętego Chrystusa.

Ze świetlicy wynurzyło się niemrawo kilka postaci w strojach barwy khaki. Spojrzały i zaczęły podążać w naszą stronę. Swenson i Steenburg wyszli im naprzeciw i pacjenci natychmiast zawrócili, skupili się przy wejściu do świetlicy i po chwili zniknęli w środku.

– Dziękuję za pańskie spostrzeżenia, doktorze – powiedział do mnie Aldrich. – Niemniej jednak wraz z panem Sturgisem musicie niezwłocznie opuścić teren szpitala. Obowiązuje panów zakaz dalszych kontaktów z panem Peakim i innymi chorymi, o ile nie uzyskacie zezwolenia ode mnie lub od pana Swiga osobiście. Musimy się pośpieszyć – dodał pod adresem Swensona i Steenburga. – Mamy rezerwację na pierwszą.

Kiedy tym razem szliśmy przez dziedziniec, Dollard utrzymywał jeszcze większy dystans od nas niż poprzednio. Wielki Chet od razu ruszył w naszym kierunku; gestykulował, śmiał się i szarpał za włosy jak dzieciak.

Dollard próbował go powstrzymać wyciągniętą ręką.

– Nie zbliżaj się! – krzyknął.

Olbrzym stanął jak wryty, skrzywił się i wyrwał sobie garść włosów z głowy. Wypuścił je z ręki i żółte loki spłynęły łagodnie na ziemię jak płatki kwiatu. Wyraz jego twarzy zdawał się mówić: Patrz, co przez ciebie zrobiłem.

– Idiota – burknął Dollard.

Chet zmrużył oczy.

Dollard dał znak dwóm sanitariuszom, którzy natychmiast zjawili się przy nim. Na ich widok Chet zamarł i po chwili zaczął się od nas oddalać. Zrobił cztery kroki i obejrzał się w naszą stronę.

– Wspomnijcie moje słowa! – zagrzemiał. – *Cherchez la femme Champs Elysees!* Dollard otworzył nam furtkę, a potem zatrzasnął ją za nami i odszedł bez słowa.

– Chyba mu dopiekliśmy – stwierdziłem, kiedy czekaliśmy na wydanie pistoletu Mila i mojego noża.

– Aż człowiek zaczyna zachodzić w głowę, dlaczego, prawda?

Wsiedliśmy do wozu. Milo wyjął telefon i wybrał numer policji w Hemet. Zapaliłem silnik, ale zostawiłem go na luzie, dopóki Milo rozmawiał. Siedzenia rozgrzały się jak patelnia, więc przestawiłem klimatyzację na arktyczne zimno. Milo z pięć razy czekał, aż przełączą go do następnej osoby, za każdym razem zachowywał spokój i wesoły nastrój, ale wyglądał tak, jakby właśnie

połknął żywcem ślimaka. Powietrze wewnątrz auta zrobiło się chłodniejsze. Czując lodowaty podmuch na twarzy, patrzyłem na przesiąkniętą od potu koszulę Mila.

Wreszcie odłożył słuchawkę.

– W końcu przebiłem się do kogoś, kto chciał ze mną rozmawiać – rzekł z ulgą. – Heidi miała rację, z Dollarda był kawał obiboka. Ignorował wezwania w swoim rewirze, bez zezwolenia brał urlop, wpisywał sobie fałszywe nadgodziny. Nie udowodnili mu nic na tyle poważnego, żeby go ukarać... Pewnie nawet nie chcieli, łatwiej było kazać mu odejść.

– Kiedy to się stało?

– Cztery lata temu. Z policji przyszedł prosto do Starkweathera. Gość, z którym rozmawiałem, zażartował nawet, że wariaci to wymarzeni podopieczni dla Dollarda. Żaden się nie poskarży, kiedy on zaniedba obowiązki.

– Swig go lubi – zauważyłem. – Nieźle to świadczy o samym Swigu.

– Wszyscy oni tacy sami.

Wyjechaliśmy z parkingu. Powietrze nad asfaltem drżało z gorąca.

– Co takiego zrobiłeś, że Peake zaczął się zachowywać jak w jasełkach?

– Wymieniłem imiona i nazwisko Ardullów. Najpierw zareagował na nazwisko Claire – zeszytniał i gałki oczne zaczęły mu nerwowo drgać. Kiedy szepnąłem mu do ucha „Brittany” i „Justin”, zerwał się z łóżka, podbiegł do ściany i stanął tak, jak go potem widzieliście. Wydawało mi się, że jest pogrążony w letargu, ale widzę, że kiedy chce, potrafi poruszać się bardzo szybko. Gdyby się na mnie rzucił, dałbym się zaskoczyć.

– Czyli nie jest tak do końca warzywkiem. Może to cwany drań, który wszystkich dookoła robi w jajo. Właściwie to nawet sensownie brzmi, kiedy człowiek sobie przypomni, jak Peake załatwił swoją matkę. Siedzi sobie kobiecina, obiera jabłka, a gdy on zachodzi ją od tyłu, ona nie ma pojęcia, co ją czeka.

– Ardullów też zaskoczył – dodałem. – Szeryf Haas twierdził, że w Treadway nie zamykali na noc drzwi do domów.

– Wzorcowy koszmar, żywcem wzięty z jakiegoś krwawego filmidła. Przed nami pojawił się eukaliptusowy zagajnik, niczym wielki szary niedźwiedź, w którego paszczy znikła droga.

– Naprawdę płakał? – zapytał Milo.

– I to obficie – przytaknąłem. – Ale chyba nie ze skruchy. Kiedy odwrócił się do mnie i spojrzał mi w oczy, dostrzegłem w jego twarzy coś jeszcze – żal nad samym sobą. Jezusowa poza zresztą do tego pasuje, jakby Peake uważał się za męczennika.

– Porąbany skurczybyk.

– Może dźwięk imion dzieci obudził w nim wyjątkowe silne wspomnienia. Przypomniał sobie, że nie działał sam, że zebrał cięgi za coś, w co wrobili go Crimminsowie. I to właśnie chciał powiedzieć Claire. Przy mnie nawet nie próbował mówić, ale gdyby zmniejszyć mu dawkę...

Milo podsunął dłonie pod dmuchawę zimnego powietrza.

– Jak myślisz, dlaczego Dollard tak się na nas wpienił?

– Nie podobało mu się, że wróciliśmy; musi mieć coś do ukrycia.

Milo nic nie powiedział. Wyjechaliśmy spomiędzy drzew i słońce rozbłysło ostro na przedniej szybie. Drzewa migotały w falującym powietrzu. Niemal czułem, jak upał próbuje się nam przegryźć do wnętrza samochodu.

– A jeżeli to jakiś przekręt w szpitalu? – zasugerowałem. – Niewłaściwe zarządzanie funduszami, handel trudno dostępnymi lekami... Claire odkryła cały proceder i w ten sposób wystawiła się na niebezpieczeństwo. Peake też mógł coś o tym wiedzieć. Usłyszał, że ktoś zamierza skrzywdzić Claire i „prorokując” próbował ją ostrzec.

Opuściliśmy wreszcie teren szpitala, kierując się ku magazynom i ohydny dziedzińcom przed nimi. Zastanowiło mnie, jak daleko ciągnie się gęsty las na tyłach szpitalnych aneksów; stąd, gdzie się teraz znaleźliśmy, nie było widać wysokich, mrocznych drzew.

– Jak Peake miałby się o tym dowiedzieć? – spytał z powątpiewaniem Milo.

– Ktoś się wygadał. Wszyscy uważają go za roślinkę, która nic nie widzi, nie słyszy, nie przyswaja. To, co dziś widziałem, przekonało mnie, że nie majaracji. Jeżeli Dollard rzeczywiście jest zamieszany w jakiś szemrany proceder, mógł powiedzieć albo zrobić coś, co Peake zauważył i zapamiętał.

– Myślisz, że jest aż tak nieostrożny?

– A ile spraw udało ci się doprowadzić do końca tylko dlatego, że ktoś był nieostrożny?

– Peake ostrzega Claire. Czyli co, nagle staje się bohaterem?

– Może na pewnym poziomie czuł się z nią związany, doceniał to, że poświęca mu tyle czasu.

– Czemu w takim razie ostrzegł Heidi?

– Claire tego dnia nie przyszła do pracy, więc Peake zrobił, co mógł najlepszego – powiedział jej asystentce. Nie potrafił wyrazić tego jaśniej, bo musiał przewyciężyć ogłupiający wpływ tioridazyny i własne problemy neurologiczne.

– Wszyscy traktują go jak tapetę, on zaś tymczasem chłonie informacje.

– Przez szesnaście lat naprawdę funkcjonował jak tapeta na ścianie; nic dziwnego, że uspił czujność personelu. Niewykluczone, że to dlatego Dollard tak się zdenerwował, ujrawszy go w roli Chrystusa. Nagle zdał sobie sprawę, że Peake może coś wiedzieć. Zdenerwował się i nie chce, żebyśmy wracali do szpitala. Sam widziałeś, jak na nas pluł przy Aldrichu. A ten dał się wciągnąć w te gierki. Zresztą, kto wie, czy sam nie jest członkiem spisku?

– Co to, gang pracowników?

– Jak już sam zauważyłeś: to przedsiębiorstwo nie działa idealnie. W każdym razie Dollard ma, czego chciał. Jeżeli wrócimy do Starkweathera, to tylko z nakazem sądowym w garści.

– „Złe oczy doktor A. w pudełku” – powiedział Milo. – Tak jakby Peake wiedział, że ktoś zamierza wyłupić Claire oczy, a ją samą gdzieś zamknąć. Zgodzę się, że Dollard mógł się przed kimś wygadać na temat Claire, ale ogólnikowo, a nie ze wszystkimi szczegółami.

Na te wątpliwości nie miałem gotowej odpowiedzi. Milo wyjął notes, coś w nim zapisał i zamknął oczy; wyglądał, jakby spał.

Wjechaliśmy na autostradę. Nadepnałem mocniej pedał gazu, przeskoczyłem na szybszy pas, a dojechawszy do skrzyżowania, skręciłem w drogę numer dziesięć na zachód. Minęliśmy stare budynki z cegły na skraju centrum, które ku ogólnemu zdumieniu ocalały z wielkiego trzęsienia ziemi. Na jednym z nich namalowano – paskudnie zresztą – ogromny plakat filmowy. Jakiś przerośnięty biocybemetyczny glina strzelał z knykci dłoni jak z pistoletu. Gdyby to było takie proste...

– Dollard w roli oszusta – odezwał się Milo. – Nasz pan Wark jako jego wspólnik. Co z Richardem i braćmi Beatty? Co oni mieliby wspólnego z przekretem w Starkweatherze?

– Nie wiem, ale jeżeli Wark i Crimmins to rzeczywiście jeden i ten sam człowiek, jego obecność w szpitalu ma sens pod innym względem – tak samo jak Claire, przybył tam zwabiony osobą Peake’a. Zbrodnia, którą popełnił Peake, zrobiła na nim wrażenie, a jeżeli nie mylę się i to on szesnaście lat temu podsunął Peake’owi narkotyki, mógłby maczać palce w handlu prochami. Dollard szmugluje leki i przekazuje je Warkowi, który z kolei sprzedaje je na ulicy. Kiedy Vito Bonner zadzwonił do banku, żeby potwierdzić czek, Wark miał na koncie dość pieniędzy na wypożyczenie sprzętu. Wobec tego ma jakieś źródło gotówki. Poza tym działając na zewnątrz, idealnie nadaje się na mordercę Claire. Dollard daje mu cynk i podaje adres Claire, który znajduje się w aktach personelu. Wark zakrada się do niej, zabija ją w zachodniej dzielnicy i ukrywa ciało w wozie. Nikt nie wpadnie na to, żeby łączyć jej zgon z pracą w Starkweatherze. Co nam wszyscy w szpitalu powtarzają? Że to nie miało nic wspólnego z jej pracą. Rozglądałem się dziś po ludziach, czy ktoś pasowałby do rysopisu Warka. Jedyń dostatecznie wysoki i chudy facet to Aldrich, ale jest za stary, a poza tym wątpię, żeby Wark przebrał się za lekarza – za duże ryzyko. Sęk w tym, że w szpitalu pracuje pewnie ponad setka ludzi, a my do tej pory widzieliśmy góra dwadzieścia osób.

– W dodatku nie mamy dostępu do akt personelu. – Milo uderzył lekko pięścią w deskę rozdzielczą auta. Bez zamachu; wiedziałem, że miał ochotę grzmotnąć znacznie mocniej.

– Spróbujmy innej drogi – zaproponowałem. – Załóżmy, że faktycznie początkowo to obecność

Peake'a zwabiła Warka do Starkweathera. Ponieważ jednak potrzebował pieniędzy, postanowił zatrudnić się w szpitalu. Musiał tylko ograniczyć się do funkcji, która nie wymaga zbyt długiego przeszkolenia. Odpadają nam stanowiska lekarzy, psychologów, wykwalifikowanych pielęgniarek i farmaceutów, a zostają proste, niżej znajdujące się w hierarchii pozycje: kucharz, dozorca, ogrodnik, pielęgniarz. Przyszły producent filmowy, którego gwiazda chwilowo nie błyszczy, uznałby zapewne trzy pierwsze profesje za urągające jego godności, natomiast pielęgniarz ma pewną rangę i można by go podciągnąć pod „prawie lekarza”. A pielęgniarze muszą mieć licencję władz stanowych. Rada lekarska ma ich aktualny spis.

Milo z wolna się rozpromienił.

– Warto spróbować – uznał.

Naścienne malowidło filmowe nie dawało mi spokoju.

– Jest i inny powód, dla którego Wark chętnie zatrudniłby się w Starkweatherze. Jeżeli uważa się za mistrza mrocznego kina, to skąd czerpać pomysły do krwawych scenariuszy, jeżeli nie ze szpitala psychiatrycznego? W ten sposób rozwiązałyby się też zagadka Richarda i Beatty'ch: stanowią część teatryku, który prowadzi Wark.

– Czyli znów filmowanie prawdziwych zgonów... Wszędzie węższymi ten wątek.

– Sam powiedziałaś, że czasem kopie się dwadzieścia studni...

Milo rozmasował sobie skronie.

– Dobra, dość tego gadania. Czas coś naprawdę zrobić. Rano zadzwoniłem do Miami i Pimm; sprawdzimy, czy ktoś stamtąd się odezwał. Trzeba poprosić radę lekarską o tę listę pielęgniarzy, chociaż żebyśmy mogli z niej skorzystać, Wark musiałby się na nią wpisać jako Crimmins albo pod innym, łatwo kojarzącym się nazwiskiem. – Potarł dłonią twarz. – Marne szansę.

– Lepsze takie niż żadne.

– Czasem mam wątpliwości...

O drugiej byliśmy już w biurze Mila na posterunku. Był piątek i mało kto siedział przy swoim biurku. Milo kazał mi wziąć krzesło nieobecnego Dela Hardy'ego, z którym przed laty tworzyli zespół, połączeni wzajemnym szacunkiem i wspólnym poczuciem wyobcowania. Del był pierwszym murzyńskim detektywem, który dostał zlecenie, obejmujące tereny na zachód od La Brea. Teraz miał mnóstwo czarnoskórych kolegów po fachu, Milo zaś wciąż pozostał odludkiem. Nie wiem, czy to wystarczyło, żeby ich rozdzielić, czy też więcej do powiedzenia miała druga żona Dela, obnosząca się ze zdecydowanymi poglądami na wszystkie aspekty życia. Milo nigdy o tym ze mną nie rozmawiał.

Zadzwoiłem z telefonu Dela do stanowej rady psychiatrów i oczekując na połączenie, słuchałem durnej melodyjki. Biurko Mila świeciło pustkami, jeśli nie liczyć przyklepionej do metalowego blatu karteczki z wiadomością – zerwał ją, przeczytał i uniósł brwi w wyrazie zdumienia.

– Oddzwonili z Orlando na Florydzie – rzekł. – Niejaki Castro, jak piszą, „z przyjemnością porozmawiałby o Derricku Crimminsie”.

Wybrał numer, rozluźnił krawat i usiadł. Nagrany na taśmie głos, należący do osoby bliżej nieokreślonej płci, poinformował mnie, że mam czekać na zgłoszenie się operatora. Milo zgarbił się nad biurkiem.

– Moje nazwisko Sturgis. Chciałbym rozmawiać z detektywem Castro. Czołem, dzięki, że się pan odezwał... Serio? To ciekawe. Proszę posłuchać, czy mógłbym włączyć na linię jeszcze jedną osobę? Naszego konsultanta psychologicznego... Tak, czasem tak... Owszem, przydaje się. – Milo osłonił dłonią mikrofon i szepnął: – Rozłącz się i wykręć mój wewnętrzny.

W słuchawce odezwał się głos z taśmy, dziękując mi za cierpliwość, ale rozłączyłem się, przestawiłem aparat na tryb telekonferencji i się przedstawiłem.

– George Castro – rozległo się z drugiej strony. – Jesteśmy gotowi?

– Tak – odparł Milo. – Doktorze Delaware, detektyw Castro mówił mi właśnie, że czekał na okazję porozmawiania z kimś o Derricku Crimminsie.

– I to od dawna – wtrącił Castro. – Kontakt z wami to dla mnie jak Boże Narodzenie w środku lata. Prawdę mówiąc doszedłem już do wniosku, że Crimmins nie żyje i prawie o nim zapomniałem.

– Dlaczego?

– Jego nazwisko nigdy nie pojawiała się na listach ściganych przestępców, które przeglądałem. Cóż, wygląda na to, że prawdziwe bandziory nie poddają się tak łatwo, a z Crimminsa był kawał drania. Wyłgał się z potrójnego morderstwa.

– Zabił swoich rodziców – odpowiedział Milo.

– Właśnie, do spółki z bratem, Cliffem. Cliff był starszy, za to Crimmins bardziej cwany. Dobrali się jak w korcu maku. Działali tak sprytnie, że nigdy na serio nie groziło im aresztowanie. Stali się moim przekleństwem; od tamtej pory ich sprawa nie daje mi spokoju. Niech pan powie, macie coś na niego?

– Nic konkretnego – odrzekł Milo. – Na razie nawet go nie znaleźliśmy. Wygląda na to, że jest zamieszany w oszustwo i morderstwo.

– To nasz chłopak, jak nic. Ech, to naprawdę dawne czasy... Byłem wtedy nowy w Miami Beach. Najpierw przez rok pracowałem w wydziale oszustw, później trafiłem do zabójstw. Rok wcześniej wyprowadziłem się z Brooklynu – na południu zawsze świeci słońce – ale nie zastanawiałem się, co nazwisko Castro może znaczyć na Florydzie. – Głos w słuchawce ucichł, jakby jego właściciel czekał na wybuch śmiechu. – Tymczasem naprawdę jestem Portorykańczykiem, nie Kubańczykiem. Mniejsza z tym. Na północy prowadziłem parę naprawdę paskudnych spraw, w Bed-Stuy, Crown Heights, Nowym Jorku... Jednak żadne szumowiny tak nie działały mi na nerwy, jak tych dwóch – zabili rodziców dla kasy... To znaczy ojca i macochę. Sprawę przejęła straż przybrzeżna, bo jacht wyleciał w powietrze na morzu, jakiś kilometr od brzegu, ale myśmy prowadzili dochodzenie na lądzie. Od początku było jasne, że coś tu śmierdzi. Ktoś podczepił domowej roboty bombę do zbiornika paliwa, z łodzi zostały trociny. Zginęły trzy, nie dwie osoby: stary Crimmins, jego żona i jakiś mały Kubańczyk, którego wynajęli, żeby ich pilotował. Chcieli połowić marliny, a tu bum! Znaleźliśmy tylko kawałeczki kości.

– Crimminsowie sami zajmowali tę bombę?

– Raczej nie. Mieliśmy kilka teorii na ten temat, zwłaszcza że w okolicy nie brakuje gości, którzy mają jakieś doświadczenie z materiałami wybuchowymi: lokalna mafia, handlarze narkotyków, emigranci z Kuby. Wysłuchawszy dziesiątek alibi, zawężiliśmy krąg podejrzanych do pięciu, sześciu drani, ale kiedy ich przymknęliśmy, nie pisnęli ani słówka. Nikomu też nagle nie przybyło pieniędzy na koncie. Szczególnie bacznie przyglądałem się takiej dwójce Dominikańczyków, którzy dla niepoznaki prowadzili własną pralnię chemiczną. Siedzieli już w areszcie w związku z niemal identycznym wybuchem w magazynie ubrań, ale mimo ściągnięcia wszystkich informatorów, nic się nie dowiedzieliśmy. A to znaczy, że w grę wchodził gruby szmal.

– Bracia mieli pieniądze?

– I to sporo, po pięćdziesiąt kawałków rocznie. W tamtych czasach można było zlecić likwidację człowieka za sto dolców; od tysiąca do pięciu tysięcy brali ludzie, którzy znali się na rzeczy, a za piętnaście patyków dostawał człowiek prawdziwego zawodowca. Przejrzeliśmy konta bankowe obu chłopaków, znaleźliśmy obiecujące wypłaty w okresie na kilka tygodni przed eksplozją, ale nic z tego nie wynikło, bo taki już mieli styl życia. Stary dawał im pięćdziesiąt tysięcy na początku roku, a oni wypłacali z tego tyle, ile chcieli – po cztery, pięć kawałków miesięcznie. I wydawali co do centa. Nie zauważyliśmy więc żadnej zmiany. Wynajęli cwane go prawnika, który dopilnował, żeby nie trafiło nam się ani jedno słówko za dużo.

– Od razu skoncentrowaliście się na nich ze względu na możliwość dziedziczenia?

– No jasne. Pierwsze przykazanie: leć za zapachem miodku. Kiedy macochy zabrakło, stali się jedynymi spadkobiercami starego i spodziewali się paru ładnych milionów. W dodatku mieli takie idealne alibi: obaj byli wtedy daleko poza miastem. I od razu nas o tym poinformowali. Najpierw chwila udawanego żalu, a potem: „I pomyśleć, że my w tym czasie jeździliśmy sobie w Tampa na motorach”. Pokazali nam nawet kwity za wpisowe do wyścigu, w którym startowali – przygotowani na wszystko. I te uśmiešky, które świadczyły, że mają mnie za nic. Bo nie pierwszy raz się wtedy spotkaliśmy. Poznałem ich, pracując jeszcze nad przekrętami, przed wydziałem zabójstw. To też obudziło moją czujność. Crimminsowie już wcześniej rozrabiali, kanciarze. Tak jak mówiłem, oszustwo i morderstwo idealnie mi do nich pasuje.

– Na czym polegał ich przekręt? – zainteresował się Milo.

– Nic szczególnego: jeździli po plaży, zabierali do wozu staruszków i wywozili ich gdzieś na bagna, tłumacząc, że w tym miejscu ma powstać osiedle domków letniskowych. Potem jechali z takim dziadkiem do banku, kazali mu wypłacić z kasy zaliczkę, wręczali mu lipny akt własności i znikali. Wykorzystywali takich starszych ludzi, którzy czasem nawet nie zdawali sobie sprawy, że ich orznięto. A wypłaty nie były duże – po pięćset, sześćset dolców – więc żaden bank się nie niepokoił. Wszystko się skończyło, kiedy w sprawę wmieszał się syn jednej ze starszych pań, miejscowy chirurg. Poszedł z nią na plażę i kazał jej wskazać Derricka.

– Bracia poszli siedzieć?

– Gdzie tam – mruknął Castro ze złością. – Nawet nie postawiono im zarzutów. A dlaczego? Bo tatuś wynajął adwokata, tego samego cwaniaka, który później bronił braci w sprawie wysadzenia jachtu w powietrze. Słabym punktem oskarżenia okazała się możliwość identyfikacji sprawców. Adwokat twierdził, że świetnie by się ubawił, przesłuchując tych wszystkich staruszków. U większości uwiad starczy posunął się zbyt daleko, żeby w ogóle nadawali się na świadków. Prokurator okręgowy wolał nie ryzykować ośmieszenia. Część kasjerów bankowych potwierdziła, że zidentyfikuje Crimminsów, ale jak przyszło co do czego, okazało się, że nie są tego pewni, tym bardziej, że bracia przebierali się, nosili peruki, sztuczne wąsy, okulary... Czysta głupota, bo dla dziadków równie dobrze mogli udawać Fidela. Nie mogliśmy również udowodnić, że to Crimminsowie spisywali fałszywe akty własności – prymitywne, drukowane na powielaczu świstki papieru. Właściwie amatorszczyzna taka, że boki ze śmiechu można by zrywać, gdyby przekręt nie był tak okrutny. Skończyło się na tym, że ich stary wypłacił odszkodowania i sprawę zamknęto.

– Ile zapłacił za te odszkodowania?

– Ze sześć, siedem tysięcy. Niby nic wielkiego, ale pamiętajcie, że wszystko rozegrało się w miesiąc, a Crimminsowie mieli niewiele ponad dwadzieścia lat. To mnie najbardziej przeraziło, tacy młodzi, a już z zimną krwią wycięli taki numer. Z doświadczenia wiem, że niebezpieczne dzieciaki trafiają się w każdym przedziale wiekowym, ale zwykle potrzeba paru lat, żeby któryś z nich wyrósł na takiego wyrachowanego zawodowca. Nie byli wcale przesadnie bystrzy, żaden nie poszedł do college'u, po prostu wałęsali się po plaży. Cliff sprawiał wręcz wrażenie matołka. Sęk w tym, że mieli dryg do naciągania ludzi, a poza tym odrobinę szczęścia. Wystarczyłaby jedna

wiarygodna identyfikacja i poszliby siedzieć albo przynajmniej dostali wyrok w zawieszeniu. – Castro zaśmiał się gorzko. – Farciarze. A jak głupio się tłumaczyli: wielkie nieporozumienie, zramolali dziadkowie nie są w stanie odróżnić fikcji od rzeczywistości, nikt nie traktował poważnie sprzedaży ziemi... Wszystko to było im potrzebne do filmu o oszustwach, który kręcili. Pokazali nam nawet szkic scenariusza, jednostronicowy stek bzdur o szybkich wozach i fałszowanych zakładach, coś jak skrzyżowanie „Żądła” z „Mistrz kierownicy ucieka”. Mówili, że sprzedadzą film do Hollywood. Wygląda na to, że faktycznie trafili do Kalifornii.

– Derrick trafił – sprostował Milo. – Cliff zginął niedługo po ojcu i macosze w wypadku motocyklowym pod Reno.

– Rany... – zafrasował się Castro. – To ci dopiero!

– Prawda?

– Już mówiłem, z zimną krwią. Zawsze wydawało mi się, że w tej dwójce to Derrick jest mózgiem. Cliff lubił się zabawić: przystojniejszy od Derricka, opalony, pies na dziewczyny, świetnie jeździł na nartach wodnych... No i kochał motocykle, miał ich całą kolekcję. Derrick zresztą też, więc na pewno wiedziałby, jak zaaranżować wypadek. Wydawało mi się, że łatwiej będzie złamać Cliffa, więc chciałem ich rozdzielić i wygrać przeciwko sobie nawzajem, ale ten prawnik nie pozwolił mi się do nich zbliżyć. Nigdy nie zapomnę, jak ostatni raz z nimi rozmawiałem. Zadaję pytania, staram się być grzeczny, oni patrzą na adwokata, a ten mówi, że nie muszą mi udzielać odpowiedzi. Śmieją się pod nosem, a kiedy zbieram się do wyjścia, Derrick upiera się, żeby odprowadzić mnie do drzwi. Ogromny, stary dom, tony mebli i wszystko niedługo będzie ich. Uśmiechnął się do mnie na pożegnanie, jakby mówił: „Obaj znamy prawdę, ale mam cię w dupie”. Pocieszałem się tylko tym, że nie zarobili na tej sprawie tyle, ile im się wydawało.

– Ile dostali? – spytał Milo.

– Po osiemdziesiąt kawałków, głównie ze sprzedaży domu. Miał mocno obciążoną hipotekę i po spłaceniu podatku od nieruchomości, prowizji, takich tam miłych drobiazgów, nie zostało tego wiele. Wydawało im się, że stary siedzi na wielkich pieniądzach, ale władował się w parę chybionych inwestycji – w handlu ziemią, nawiasem mówiąc, zabawne, prawda? Spekulował. Spieniżył nawet swoje polisy ubezpieczeniowe, żeby mieć na zabezpieczenie kredytu. Z aktywów zostały mu potem tylko meble, dwa trzyletnie cadillaki, komplet kijów i elektryczny wózek do golfa oraz biżuteria żony – w połowie tanie rekwizyty do filmów, a w połowie nowe rzeczy, które tracą na wartości od chwili, kiedy wynosisz je ze sklepu. Druga ciekawostka, to łódź. Na nią stary Crimmins żadnych pożyczek nie brał. Kochał ją chyba, zawsze dbał o nią i nie zalegał z opłatami za hangar. Sądząc ze zdjęć, prezentowała się nieźle. Stary w całym domu miał pełno spreparowanych rybich łbów. – Śmiech Castro zadudnił jeszcze głośniejszy. – Jacht był wart minimum pięć dych, na czysto, a oni wysadzili go w powietrze. Ale powiedzcie, panowie, co Derrick u was wyczyniał.

Milo streścił mu sytuację w paru zdaniach.

– Nieźle – przyznał detektyw. – Takie paskudne morderstwo to zupełnie inna historia... Ale brzmi sensownie. Ujdzie mu to na sucho, to się facet uzna za Boga.

– Z tego, co my wiemy, wynika, że Derrick nieprowadzi zbyt wystawnego trybu życia – ciągnął Milo. – Nie znaleźliśmy samochodu zarejestrowanego na jego nazwisko, adresu w żadnej lepszej okolicy. Podejrzewamy nawet, że pod fałszywym nazwiskiem ima się różnych nisko płatnych zajęć. Wynikałoby z tego, że tych osiemdziesięciu patyków w nic nie zainwestował.

– Pewnie że nie. Wydał bez opamiętania, jak każdy socjopata.

– Ostatni ślad z ubezpieczenia pochodzi z czasów, kiedy jeszcze mieszkał w Miami. Nie pracuje zatem jako Derrick Crimmins. Ma pan jakiś pomysł, czym mógłby się przez te lata zajmować?

– Nic a nic. Obaj bracia wyjechali z miasta dziewięć, może dziesięć miesięcy po morderstwie, zniknęli bez śladu. Sprawę oficjalnie otwarto, ale tak naprawdę nikt się nią nie zajmował. W wolnym czasie próbowałem śledzić, gdzie wydają kasę, odwiedzałem kluby, w których bywali... Któregoś dnia zadzwonił do mnie znajomy z urzędu hrabstwa, prosiłem, żeby dał mi znać, kiedy sprawa domu ostatecznie się wyjaśni. To wtedy dowiedziałem się, jak niewiele dostaną. Do przekazu podali adres w Utah, Park City. Poszedłem tym tropem i znalazłem skrytkę pocztową. Była już zima. Myślę, że postanowili, korzystając z przyływu kasy, pojechać na nartach.

– Oszustwa, morderstwa, filmy – powtórzyłem. – Brak potwierdzonego adresu. Sprawa chyba jasna, to on, nie?

Milo pokręcił z niedowierzaniem głową. Rozmowa z detektywem Castro mnie pobudziła, jego zaś, nie wiedzieć czemu, przygasła.

– O co chodzi? – spytałem.

– O nic... najpierw załatwił rodziców, potem brata, pewnie dla tych drugich osiemdziesięciu tysięcy. Zło w czystej postaci.

– Dla tego, co zostało z osiemdziesięciu tysięcy – poprawiłem go. – Castro chyba słusznie sądził, że szybko wydawali gotówkę... Może Derrick trochę szybciej.

– Derrick manipulator... Arogancki i dominujący, tak jak mówiłeś.

– I zarozumiały. Właściwie słusznie. Co i rusz robi złe rzeczy, które uchodzą mu na sucho. W dodatku mógł już mieć wprawę w eliminowaniu całych rodzin.

– Masz na myśli Ardullów – stwierdził Milo. – Popchnęli Peake'a do tego, żeby... Wygląda na to, że miałeś słuszne podejrzenia, co?

– Daj spokój. Musimy go znaleźć. Jeszcze raz spróbuję zadzwonić do rady psychiatrycznej.

– W porządku tymczasem sprawdzę, co słychać w Pimm i Park City. Może i tam szykował jakiś przekręt z nieruchomościami.

– Jeśli cię to interesuje, mam parę innych pomysłów, gdzie szukać.

– To znaczy?

– Aspen, Telluride, Vegas, Tahoe... Ten chłoptaş lubi się zabawić, takie miejsca go przyciągają.

Milo znów chyba stracił zapał.

– Sprawdzenie tego potrwa tygodnie – rzekł. – A tymczasem mamy go pod bokiem; zatruwa moje miasto, a ja nie mogę go przyskrzynieć.

Po kilku rozmowach telefonicznych ustaliłem, że licencje pielęgniarzy psychiatrycznych przyznawano na okres od trzynastu do dwudziestu czterech miesięcy. Owszem, dałoby się sprawdzić konkretne nazwisko, ale nikt nigdy nie żądał przesłania całej listy. Wreszcie znalazłem człowieka, który zgodził mi się ją przefaksować. Upłynęło jeszcze dwadzieścia minut, zanim wstęga papieru zaczęła wysuwać się ze stojącego pod ścianą, smętnie wyglądającego aparatu.

Czytałem nazwiska w miarę, jak się pojawiały, strona po stronie: ani śladu Crimmins, ani śladu Warka.

Inny pseudonim?

Griffith D. Wark. Podsywał się pod mistrza kina; manipulant, pretensjonalny, arogancki, a przy tym dziwnie dziecinny, uprawiający żalosne gierki.

Uważał się za jednego z wielkich. Fakt, że nigdy nie udało mu się niczego wyprodukować, był przykrym dysonansem, ale to samo dałoby się powiedzieć o licznych modnych gadzinach, które zasiadały przy stolikach w najlepszych knajpach Hollywood.

Psychopaci nieźle sobie radzą z dysonansami.

Psychopaci byle czego się nie boją.

„Krwawa przechadzka”.

„Złe oczy doktora A. w pudełku”.

Węże w ludzkiej skórze charakteryzuje jeszcze jedna cecha, brak im głębi uczuciowej, muszą udawać człowieczeństwo. Pożądają wzorców. I powtarzalności.

Wark mógł zatem ściągnąć do współpracy innych wielkich reżyserów. Nie byłem ekspertem, ale kilka nazwisk od razu przyszło mi do głowy: Alfred Hitchcock, Orson Welles, John Huston, John Ford, Frank Capra... Przejrzałem listę pielęgniarzy. Nic.

Ale przecież „Wark” było drugim imieniem D. W. Griffitha. Jak brzmiało drugie imię Hitchcocka?

Zadzwoiłem do biblioteki uniwersyteckiej i wyjaśniłem, jakiej informacji potrzebuję. Bibliotekarka pewnie bardzo się zdziwiła, ale realizowanie niezwykłych próśb należało do jej

obowiązków i, niech ją Bóg błogosławi, nie sprzeczała się ze mną.

Pięć minut później przedyktowała mi spis, o który prosiłem: Alfred Joseph Hitchcock, John Huston (brak drugiego imienia), Frank Capra (bdi), George Orson Welles, John (bdi) Ford – prawdziwe nazwisko Sean Aloysius OTeeney.

Podziękowałem jej i wróciłem do listy przysłanej z rady psychiatrycznej: ani jednego Capry, czterech Fordów, jeden Hitchcock, żadnego Hustona ani OTeeneya... Brak oczywistych przeróbek Hitchcocka i Forda... I wtedy znalazłem.

G. W. Orson.

Zaprosił geniusza do współpracy.

Wszyscy żyjemy złudzeniami.

Obywatel Śmieć – rzekł Milo, ujrzawszy zakreślone przeze mnie nazwisko – G. W. Orson uzyskał licencję przed dwudziestu dwoma miesiącami – poinformowałem go. – Właściwie nie dowiedziałem się nic więcej, poza adresem, który podał na zgłoszeniu.

– South Shenandoah, przy Osiemnastej... – mruknął Milo, biorąc ode mnie karteczkę z adresem. – To w zachodniej części miasta, ledwie o parę przecznic od centrum handlowego, gdzie znaleziono Claire.

– Centrum jest dość daleko od jej domu, nie miała więc powodu, by jeździć tam na zakupy. Chyba że przyjechała z kimś.

– Z Crimminsem? Sugerujesz, że coś ich łączyło?

– A czemu nie? Załóżmy, że i Wark, i Orson to pseudonimy Crimminsa. Nie mamy na razie listy pracowników, ale skoro jest licencjonowanym pielęgniarzem, możemy dalej założyć, że pracuje – lub w przeszłości pracował – w Starkweatherze. Tam spotkał Claire i coś między nimi zaiskrzyło. Pamiętaj, że mieli wspólne zainteresowania: filmy i Ardisa Peake’a. Kiedy mu powiedziała, że chce się zająć Peakiem, postanowił dowiedzieć się czegoś więcej, a gdy odkrył, że Peake przekazuje jej informacje, które mogą stanowić zagrożenie, postanowił obsadzić ją w „Krwawej przechadzce”.

– Zabił ją, sfilmował i wyrzucił. To brzmi logicznie – teraz muszę tylko znaleźć dowody. Schodziłem całe centrum handlowe, pokazałem zdjęcie Claire wszystkim sprzedawcom, którzy w dniu jej śmierci byli w pracy. Nikt jej nie pamięta, samej ani z kimś. Niewiele to znaczy, bo centrum jest ogromne. Wrócę tam jeszcze, jeżeli zdobędę jakoś zdjęcie Crimminsa. Tymczasem może uda nam się pogadać z nim osobiście. – Milo pomachał karteczką z adresem. – To nam pomoże. Sprawdźmy najpierw, czy zarejestrował na to nazwisko samochód.

Po telefonie do biura rejestracji pojazdów pokręcił głową.

– W całym stanie nie ma samochodu, który by należał do G. W. Orsona.

– Mieszka w Los Angeles, ale nie ma legalnego samochodu. To wystarczy, żeby był podejrzany. Sprawdź inne przekreślane nazwiska reżyserów.

– Później. – Milo schował adres do kieszeni. – Tu mamy rzeczywisty trop. Sprawdźmy go.

Okolica była cicha, rzadko zadrzewiona i pełna parterowych domków, przycupniętych na kieszonkowych parcelach, których stan zmieniał się: od maniakalnie porządnym po kompletnie zaniedbane. Ptaki świergotały, psy szczekały, mężczyzna w podkoszulku jak na zwolnionym filmie kosił trawę przed domem. Śniada kobieta z dzieckiem podniosła na nas wzrok. W jej oczach pojawił się najpierw lęk, a zaraz potem ulga – cywilny samochód Mila nie wyglądał podejrzanie.

Przed laty dzielnicę nękała plaga przestępstw i biali mieszkańcy uciekali z niej w przyspieszonym tempie. Ceny nieruchomości przestały rosnać, a potem zaczęły spadać i w efekcie powstał kwartał zamieszkały przez przedstawicieli różnych ras, przejawiających z tego powodu coś na kształt niepewnej dumy.

Miejsce, które przed dwudziestu dwoma miesiącami Griffith Wark nazywał domem, okazało się bladezielonym bungalowem w stylu hiszpańskim, stojącym na równo skoszonym trawniku. W samym jego środku sterczała wbita w ziemię tabliczka z napisem „Do wynajęcia”. Na podjeździe stał nowy model oldsmobile’a, cutlass. Milo przejechał jeszcze kawałek i odczytał tablicę rejestracyjną wozu:

– TBL Properties, adres na Wilshire, przy La Brea.

Zawrócił i zaparkował przed zielonym domkiem. Stara, powykrzywiana magnolia na sąsiednim trawniku rzucała cień na oldsmobile’a. Do pnia drzewa ktoś przybił niewyraźne zdjęcie przedstawiające psa, mającego w sobie coś z rottweilera. Szcherzył zęby w psim uśmiechu. Podpis brzmiał: „Nie widzieliście Buddy’ego?”. Dalej był numer telefonu i wypisany na maszynie komunikat: „Buddy zaginął przed tygodniem, jest w trakcie leczenia. Za odnalezienie psa nagroda w wysokości stu dolarów”. Z nie wyjaśnionych przyczyn Buddy wydał mi się nagle znajomy; wszystko w okolicy coś mi przypominało.

Obeszliśmy niski mur z obitym tynkiem, wydzielający z podwórza małe patio, i podeszliśmy do domku. Drzwi frontowe lśniły w słońcu i ostro pachniały; ktoś musiał je niedawno polakierować. W oknie wisiały białe firanki.

Milo zastukał błyszczącą, mosiężną kołatką.

Rozległy się kroki i starszy, skośnooki mężczyzna otworzył nam drzwi. Był już dobrze po sześćdziesiątce, opalony, w jasnobrązowej koszuli z podwiniętymi do łokci rękawami. Strój uzupełniały bawełniane spodnie podobnej barwy i białe tenisówki. W niepokojący sposób przypominał mi pacjentów ze Starkweathera; całą siłą woli zmusiłem się do rozluźnienia zaciśniętych pięści.

– Słucham? – rzekł. Włosy miał siwe, przerzedzone, oczy zaś przenikliwe jak skalpel chirurga. W ręku trzymał zmiętą szarą szmatę.

Milo mignął mu odznaką.

– Chcieliśmy porozmawiać o George’u Orsonie.

– A, o nim... – Na twarzy mężczyzny pojawił się zmęczony uśmiech. – Nie dziwię się. Proszę, wejdźcie panowie.

Podążyliśmy za gospodarzem do niedużego, pustego salonu. Obok znajdowała się równie pusta kuchnia – tylko na wyłożonym brązową glazurą blacie leżało opakowanie zawierające sześć rolek papieru toaletowego. W kącie stała szczotka i szmata na kijku, przywodzące na myśl umęczonych zawodników, którzy dopiero co odpadli z maratonu tanecznego. Widać było, że w domu od dawna

nikt nie mieszka, chociaż stare zapachy gotowanego mięsa, pleśni, tytoniu wciąż zalegały we wnętrzach i walczyły z mydłem, amoniakiem i lakierem z drzwi.

Bungalow był pusty, ale i tak pełen życia w porównaniu z domem Claire.

Siwowłosa mężczyzna podał nam rękę na powitanie.

– Len Itatani – przedstawił się.

– Pracuje pan u właściciela domu? – spytał Milo.

– Sam jestem właścicielem – odparł Itatani z uśmiechem i podał nam dwie wizytówki:

TBL Properties, Inc.

LEONARD J. ITATANI,

PREZES

– Nazwa firmy pochodzi od imion moich dzieciaków: Tom, Beverly, Linda – wyjaśnił. – Co takiego przeskrobał Orson?

– Czyżby miał pan z nim jakieś kłopoty?

– Wyłącznie. – Itatani rozejrzał się po pokoju. – Przepraszam, że nie ma nawet gdzie usiąść. Mam za to wodę butelkowaną, jeśli chcielibyście się panowie napić... Trochę za gorąco na sprzątanie, ale w lecie najwięcej się wynajmuje, więc chcę zrobić tu porządek.

– Nie, dziękujemy – odparł Milo. – O co chodziło z tym Orsonem?

Itatani wyjął chusteczkę higieniczną z kieszeni na piersi i otarł szerokie czoło; ja nie zauważyłem na jego skórze ani kropelki potu.

– Był zwyczajnym nierobem. Najpierw zalegał mi z czynszem, a potem w ogóle przestał płacić. Sąsiadka skarżyła mi się, że Orson handluje narkotykami, ale nic na ten temat nie wiem. I tak niewiele mogłem zrobić. Opowiadała, że po nocach przyjeżdżają tu różne samochody, chwilę postoją, a potem zabierają się z powrotem. Kazałem jej zadzwonić na policję.

– Zadzwoniła?

– Będziecie musieli panowie ją o to zapytać.

– Która to sąsiadka?

– Z tej strony, następny dom. – Itatani wskazał na południe.

Milo wyciągnął notes.

– Czyli nie rozmawiał pan z Orsonem o handlu narkotykami – rzeki.

– W końcu uznałem, że muszę poruszyć i tę sprawę; wcześniej rozmawialiśmy tylko o czynszu. Zostawiałem mu wiadomości pod drzwiami, bo nie podał mi do siebie żadnego telefonu. Właściwie powinno mi to dać do myślenia. – Itatani znowu wytarł suche czoło. – Nie chciałem go spłoszyć gadaniem o narkotykach, dopóki był mi winien pieniądze. Już miałem pójść z tym na policję, aż pewnej nocy nagle się wyprowadził. Ukradł mi meble. Miałem zaliczkę i depozyt, ale nie wystarczyły na pokrycie szkód: przypalone papierosami stoliki nocne, popękane płytki w łazience, wgniecenia w podłogę; pewnie od tych kamer.

– Jakich kamer?

– Filmowych. To wielkie i ciężkie maszyny. Poza tym miał masę różnego sprzętu w pudłach. Ostrzegałem go, żeby nie zniszczył podłóg, obiecał, że będzie uważał. – Itatani się skrzywił. – Musiałem odnowić prawie sto metrów kwadratowych dębowej podłogi. Część desek nadawała się tylko do wymiany. Zabroniłem mu też kręcić tutaj filmy, nie chciałem, żeby prowadził u mnie jakiś podejrzaný interes.

– To znaczy?

– No, wie pan... Taki gość, co to niby robi filmy, ale mieszka w takiej dzielnicy. Od razu pomyślałem, że kręci coś dla dorosłych, a nie chciałem, żeby robił to tutaj, więc postawiłem sprawę jasno: to ma być dom mieszkalny, a nie okazjnie wynajęte, tanie studio. Orson twierdził, że nie zamierza tu pracować, że ma układ z jakimś profesjonalnym studiem, a u mnie chce tylko przechowywać sprzęt. Jakoś nie do końca mu uwierzyłem. Jeśli miałby kontrakt z którymś dużym studiem, to tu by nie mieszkał. Od początku mi się nie podobał. Nie miał referencji, od jakiegoś czasu działał ponoć na własną rękę, realizował swoje projekty – a kiedy go pytałem, co to za projekty, odpowiadał, że krótkometrażówki i zmieniał temat. Ale na początek pokazał mi żywą gotówkę. Wiecie, panowie, połowa roku, dom od dawna stał pusty... Uznałem, że lepszy wróbel w garści...

– Kiedy zaczął go wynajmować?

– Jedenaście miesięcy temu. Pomieszkał pół roku i orznął mnie na czynszu za ostatnie dwa miesiące.

– Wyprowadził się przed pięcioma miesiącami – rzekł Milo. – Miał pan od tego czasu innych najemców?

– Oczywiście. Najpierw dwójkę studentów, a potem jakiegoś fryzjera. Z nimi też nie układało mi się najlepiej, więc im wypowiedziałem.

– Czy Orson mieszkał sam?

– Z tego, co wiem, to tak. Widywałem go czasem z kobietami, ale nie wiem, czy któraś się tu wprowadziła. Co zrobił, że się nim interesujecie?

– Mamy do niego parę spraw – odparł wymijająco Milo. – Jak wyglądały te kobiety?

– Jedna była taką typową gwiazdką rock and rolla: blond włosy, nastroszone, gruby makijaż. Poznałem ją, kiedy przyjechałem upomnieć się o zaległy czynsz. Powiedziała, że jest przyjaciółką Orsona, a on sam wyjechał ponoć kręcić coś w plenerze. Obiecała przekazać mu wiadomość.

– Ile miała lat?

– Dwadzieścia kilka, może trzydzieści. Trudno to powiedzieć przy takiej warstwie pudru. Nie stawiała się, nic z tych rzeczy. Powiedziałbym wręcz, że była grzeczna. Miała przekazać Orsonowi, że byłem, ale kiedy potem przez tydzień nic się nie działo, znów wpadłem z wizytą. Nikogo nie zastałem. Zostawiłem wiadomość i znów upłynął tydzień. Wreszcie Orson przysłał mi czek, ale bez pokrycia.

– Pamięta pan z jakiego banku?

– Santa Monica Bank, oddział przy Pico Boulevard. Konto zostało zamknięte; otworzył je tylko na tydzień. Przyjechałem trzeci raz i zajrzałem przez okno, sprzęt stał na swoim miejscu. Mogłem wtedy zgłosić się na policję, ale wiedziałem, że tylko stracę czas wnosząc skargę. Bo wygrana sprawa to jedno, a odbiór pieniędzy – drugie. No więc dalej zostawiałem wiadomości. Orson oddzwaniał, ale robił to zawsze późno w nocy, kiedy wiedział, że nie będzie mnie w domu. – Itatani strzelił palcami. – „Przepraszam, byłem w rozjazdach”, „Musieli się pomylić w banku”, „Podeślę panu czek bankierski”. Po miesiącu miałem już dość, ale Orson tymczasem zniknął.

– A co z tą drugą kobietą?

– Nie spotkałem jej, kiedyś po prostu widziałem ich razem w samochodzie... Właśnie, w jego samochodzie. Miał żółtego chevroleta corvette, szpanerski wóz. I na niego starczyło mu pieniędzy. Tę drugą babkę widziałem mniej więcej w tym samym okresie, jakieś pięć, sześć miesięcy temu. Wpadłem tu po czynsz, ale nikogo nie zastałem. Zostawiłem więc wiadomość i wsiadłem do wozu. Nie zdążyłem jeszcze dojechać do następnej przecznicy, gdy spostrzegłem samochód Orsona. Zawróciłem, on zaś zaparkował i wysiadł, ale musiał mnie zobaczyć, bo zaraz z powrotem wskoczył za kierownicę. Minęliśmy się z dużą szybkością. Zamachałem, ale nawet nie zwolnił. Siedziała obok niego, brunetka. Ponieważ wcześniej poznałem już blondynkę, pomyślałem sobie, że czynszu to nie ma z czego płacić, ale stać go na utrzymanie dwóch kobiet.

– Uznał pan, że brunetka też jest jego dziewczyną.

– Środek dnia, on ją przywozi do siebie do domu...

– Co jeszcze może nam pan o niej powiedzieć?

– Nie miałem za bardzo okazji się jej przyjrzeć. Chyba trochę starsza od blondynki... Nic nadzwyczajnego. Kiedy nasze samochody się mijały, patrzyła przez okno prosto na mnie. Nie uśmiechała się, ale pamiętam, że miałem wrażenie, że jest zdziwiona – jakby nie wiedziała, czemu

Orson próbuje uciekać... Nie, naprawdę nic więcej nie potrafię o niej powiedzieć. Była brunetką i już.

– Czy może pan zatem opisać samego Orsona?

– Wysoki, chudy, zawsze ubrany w czerń. Miał takie czarne buty, kowbojskie, na obcasie, przez co wydawał się jeszcze wyższy. No i ogolony na zero, naprawdę stylowo, jak w Hollywood.

– Na zero?

– Był łysy jak kolano.

– Ile miał lat?

– Po trzydziestce, bliżej czterdziestu.

– Kolor oczu?

– Tego nie wiem. Zawsze kojarzył mi się z sępem: wydatny nos, małe oczka... Chyba brązowe, ale głowy nie dałbym sobie uciąć.

– A ile lat mogła mieć ta kobieta z samochodu?

Itatani wzruszył ramionami.

– Widziałem ją dosłownie przez dwie sekundy.

– Ale była starsza od blondynki?

– Chyba tak.

Milo podał mu zdjęcie Claire z akt personalnych szpitala okręgowego. Itatani obejrzał je dokładnie, pokręcił głową i oddał fotografię z powrotem.

– Owszem, to mogła być ona, ale pewności nie mam. Kim ona jest?

– Prawdopodobnie współniczką Orsona. Widział ich pan razem około pięciu, sześciu miesięcy temu, tak?

– Niech pomyślę... Bliżej pięciu, na krótko przed tym, jak się wyniósł. – Itatani jeszcze raz otarł czoło. – Sądząc z tych pytań, facet musiał wam naprawdę podpaść.

– Dlaczego tak pan uważa?

– Bo poświęcacie mu mnóstwo czasu. Zdarzały mi się już włamania do innych domów, napady rabunkowe. Zawsze kończyło się na spisaniu raportu. Wiedziałem, że z tym gościem coś jest nie tak.

Dalsze nalegania Mila nic nie dały. Itatani nie znał więcej szczegółów. Później poszliśmy się obejrzeć po domu: dwie sypialnie i łazienka, wszystko wypchnione mydłem. Świeża farba na ścianach, nowe dywany w przedpokoju, a w mniejszej sypialni wymieniono deski.

Milo podrapał się po twarzy. Wszelkie fizyczne ślady obecności Warka dawno zostały zatarte.

– Czy Orson przechowywał w domu jakieś narzędzia elektryczne? – zapytał.

– W garażu – odrzekł Itatani. – Cały warsztat sobie zrobił. Trzymał tam zresztą też dodatkowe wyposażenie do filmów: reflektory, kable, różności.

– A jakich narzędzi używał?

– Normalnych: miał wiertarkę, jakiś młotek, cęgi, piłę elektryczną. Mówił, że czasami sam buduje sobie scenografię.

Podwójnej szerokości garaż z płaskim dachem – stanowczo za duży na tak niewielki domek – zajmował jedną trzecią maleńkiego podwórca.

Zwróciłem na to uwagę Itataniemu. Otworzył metalowe drzwi i podniósł je do góry.

– Dawno temu postanowiłem go rozbudować – wyjaśnił. – Wydawało mi się, że łatwiej będzie wynająć wtedy dom.

Ściany wyłożono od wewnątrz tanią imitacją dębiny. Podłoga była goła, cementowa, a z jednego ze wsporników sufitu zwieszała się jarzeniówka. W nozdrza uderzył mnie odór środka dezynfekującego.

– Tutaj też pan posprzątał – zauważył Milo.

– Od tego zacząłem – przytaknął Itatani. – Fryzjer trzymał tu koty, wbrew umowie zresztą, bo ta nie przewidywała sprowadzania zwierząt do domu. Wszędzie porozstawiał kuwety z piaskiem i słupki do drapania. Całymi dniami musiałem tu wietrzyć, ale... – Wciągnął powietrze przez nos. – W końcu mi się udało.

Milo przeszedł się po garażu. Obejrzał dokładnie najpierw ściany, potem podłogę i zatrzymał się w lewym rogu pomieszczenia. Dał mi znać, żebym się zbliżył. Itatani podszedł za mną.

Na posadzce widniała bezkształtna, brunatna plama o średnicy około dwudziestu centymetrów.

Milo uklęknął, przysunął twarz do ściany i wskazał nam coś jeszcze. Tego samego koloru plamki widniały na panelach pseudoboazerii, prawie niewidoczne na brązowym tle.

– Kocie siki – rzekł Itatani. – Trochę mi się udało zmyć.

– A jak wyglądały, zanim zaczął je pan zmywać?

– Były ciut ciemniejsze.

Milo wstał z kolan i ruszył wolno wzdłuż tylnej ściany garażu. Zatrzymał się ze dwa metry od nas i coś zapisał w notesie. Znalazł następną plamę na podłodze, tym razem mniejszą.

– Co się stało? – spytał Itatani.

Milo nie odpowiedział.

– Co się stało? Chyba nie... Pan...

Nagle Itatani zaczął się pocić.

Milo zadzwonił po ekipę z dochodzeniówki, przeprosił Itataniego, że sprawiamy mu tyle kłopotu, i zakazał mu zbliżać się do garażu. Z samochodu przyniósł rolkę żółtej taśmy klejącej i zagroził nią wjazd.

– Wydaje mi się jednak, że to tylko ślad po kotach – rzekł jeszcze raz Itatani i wrócił do swojego oldsmobile’a.

Poszliśmy z Milem odwiedzić sąsiadkę, o której wspominał Itatani. Mieszkała w podobnym, niby kolonialnym domu. Na wycieraczce widniał napis „Odejdź stąd”, a zza drzwi dobiegała nas głośno nastawiona muzyka poważna. Nikt nie zareagował na dźwięk dzwonka i dopiero po kilku solidnych stuknięciach drzwi uchyliły się odrobinę. W szparze pojawiło się jedno niebieskie oko, skrawek bladej cery i rozmazane, czerwone usta.

– Co jest? – zachrypiał starczy głos.

– Policja, proszę pani! – odkrzyknął Milo.

– Proszę się wylegitymować.

Milo pokazał odznakę. Niebieskie oko zbliżyło się do szczeliny. Źrenica skurczyła się, gdy padło na nią światło dzienne.

Rozległo się rozkazujące „bliżej!” i Milo niemal wepchnął odznakę w szparę w drzwiach. Oko mrugnęło. Minęło jeszcze kilka sekund i drzwi się otworzyły.

Kobieta była niska i chuda. Wyglądała na co najmniej osiemdziesiąt lat. Włosy miała ufarbowane na kruczoczarny kolor i poskręcane w loki w stylu Marii Antoniny, które mnie osobiście przywodziły na myśl serdelki. Wybielona pudrem twarz kojarzyła mi się z podstarzałą kurtyzaną, a wizerunku dopełniał czarny jedwabny szlafrok w złote gwiazdki, trzy sznury grubych bursztynowych koralików i kolczyki z olbrzymimi perłami. Rozbrzmiewająca w tle muzyka była ciężka i agresywna – Wagner, Briickner albo inny ulubiony klasyk miłośników parad wojskowych. Zagrzmiała perkusja. Kobieta obrzuciła nas nienawistnym spojrzeniem. Za jej plecami mignął mi ogromny biały fortepian, zastawiony piramidami książek.

– Czego chcecie? – zapytała, przekrzykując orkiestrę. Głos miała równie miły, co zgrzyt żwiru na szkle.

– Chodzi nam o George’a Orsona – odparł Milo. – Czy mogłaby pani ściszyć muzykę?

Kobieta zakłęta półgłosem i zatrzasnęła nam przed nosem drzwi, by po jakiejś minucie znów je otworzyć. Muzyka rzeczywiście brzmiała ciszej, lecz wcale nie cicho.

– Orson. Kawał gnoja. Co, zabił kogoś? – Odwróciła się i przelotnie spojrzała w lewo, gdzie Itatani wysiadł właśnie z auta i stał na trawniku przed swoim domkiem. – Szlag by trafił tych wiecznie nieobecnych właścicieli, zupełnie nie dbają o to, komu wynajmą chałupę. Co ten drań zrobił?

– To właśnie próbujemy ustalić, proszę pani.

– Nie wciskajcie mi kitu. Co on zrobił? – Z rozmachem oparła dłonie na biodrach. Jedwab zaszeleścił i szlafrok rozchylił jej się pod szyją, odsłaniając upudrowaną, starczą szyję, fragment kościstej klatki piersiowej i zakończenia obojczyków, sterczące jak gałki z kości słoniowej. Szminka na ustach kobiety miała jaskrawy kolor tętnicznej krwi. – Chcecie się czegoś dowiedzieć, to nie wciskajcie mi kitu.

– Pan Orson jest podejrzany o kradzież narkotyków, pani...

– Panno – poprawiła go. – Panno Sinclair. Nazywam się Marie Sinclair. Też mi niespodzianka, najwyższy czas, żebyście się wreszcie zorientowali. Przez cały czas, jak ten śmieć tu mieszkał, samochody tylko przyjeżdżały i odjeżdżały, przyjeżdżały i odjeżdżały, na okrągło, noc w noc.

– Dzwoniła pani na policję? – zapytał Milo.

Wyglądało na to, że Marie Sinclair zaraz go uderzy.

– Jezusie Nazareński, dzwoniłam tylko sześć razy. Ci wasi tak zwani funkcjonariusze obiecywali, że podjadą, sprawdzą... Jeśli tak się stało, to faktycznie zrobili dużo dobrego.

Milo coś sobie zanotował.

– Co takiego robił jeszcze Orson, co pani przeszkadzało?

– Jakby mało było tych samochodów, kręcących się w tę i we w tę. Ja tu próbuję ćwiczyć, a przez firanki ciągle mi przeświecają reflektory. O, tam. – Wyciągniętą ręką wskazała okno od frontu, zasłonięte koronkową firanką.

– Co pani ćwiczyła?

– Grę na fortepianie. Daję lekcje, gram recitale.

Panna Sinclair rozprostowała białe, kościste palce. Paznokcie miała polakierowane na czerwono,

żeby pasowały do szminki, ale krótko obcięte.

– Kiedyś pracowałam w radiu – ciągnęła. – Na żywo, w starym dobrym RKO. Osobiście znałam Oscara Levanta... Co to był za wariat! Też ćpun, ale przynajmniej geniusz. Byłam pierwszą pianistką w „Coconut Grove”, grałam w Mocambo, zostałam zaproszona do Iry Gershwin na przyjęcie na Roxbury Drive. Ależ miałam tremę; obaj, i George, i Ira mnie słuchali. Wtedy zdarzali się ludzie wielcy, dziś zostały same karły...

– Orson powiedział panu Itataniemu, że jest reżyserem filmowym.

– Pan Itacośtam ma w nosie, komu wynajmuje dom. – Panna Sinclair prychnęła lekceważąco. – Kiedy ten dureń się wyprowadził, najpierw zamieszkała tam jakaś dwójka brudnych dzieciaków, mówię panom – prawdziwe śwynie – a potem jakiś pedał od kosmetyków. W czasach, kiedy kupowałam ten dom...

– Czy kiedy Orson tu mieszkał, widziała pani, żeby kręcił filmy w domu pana Itataniego? – wszedł jej w słowo Milo.

– Pewnie, drugi Cecil B. DeMille... Nie, nigdy. Tylko te samochody, na okrągło. Ja tu próbuję ćwiczyć, a te cholerne reflektory świecą mi w okno jak...

– Ćwiczy pani po nocach?

– A czemu by nie? Tego też dziś prawo zabrania?

– Nie, proszę pani. Ja tylko...

– Posłuchaj no. – Zdjęła rękę z bioder. – Jestem nocnym markiem, chociaż to nie twój interes. Dopiero co wstałam, chociaż to też nie twój interes. Tak mi już zostało po latach pracy w różnych klubach. – Panna Sinclair wyszła na ganek i zbliżyła się wojowniczo do Mila. – Nocą toczy się prawdziwe życie, ranek jest dla frajerów. Ranne ptaszki powinno się ustawić pod ścianą i rozstrzelać.

– Czyli przede wszystkim skarżyła się pani na ruch samochodowy, kiedy Orson tu mieszkał, tak?

– Ruch narkotykowy. Kto wie, co takiemu śmieciowi trzeba, żeby wyciągnął spluwę? Bałwan jeden z drugim na pewno nie umie prosto strzelać. Cały czas słyszy się o kolorowych i meksykańskich dzieciakach, które padają ofiarą strzelanin. Mogłabym sobie siedzieć przy fortepianie, grać Chopina, a tu bum!

Zamknęła oczy, stuknęła się wyprostowanym palcem w czoło i szarpnęła głową. Czarne loki podskoczyły. Kiedy otworzyła oczy, pałały wewnętrznym ogniem.

– Czy udało się pani przyjrzeć uważnie któremuś z gości Orsona? – nie ustępował Milo.

– Gości, ha! Nie, nawet nie próbowałam. Nie chciałam ich oglądać, nie chciałam nic wiedzieć. Reflektory mi wystarczyły, a wyście palcem nie ruszyli, żeby przestały mi tak świecić. I nie życzę

sobie dobrych rad, że można przecież odwrócić fortepian tyłem do okna. Mój Steinway ma ponad dwa metry długości i inaczej ustawiony nie zmieściłby się w pokoju!

– Ile samochodów przyjeżdżało nocą do pana Orsona, panno Sinclair? Tak przeciętnie.

– Pięć, sześć, dziesięć; nie wiem, nie liczyłam. Tyle dobrego, że często gdzieś wyjeżdżał.

– Jak często?

– Bardzo, z połowę czasu, może więcej, spędzał poza domem. Bogu niech będą dzięki za te małe błogosławieństwa.

– Czy próbowała z nim pani osobiście porozmawiać o tych reflektorach?

– Co takiego? – zaskrzeczała panna Sinclair. – Żeby wyciągnął pistolet? Mówimy o prawdziwym draniu. Wy to macie załatwiać, po to was wzywałam. Ale żeście się napracowali.

– Pan Itatani mówił nam, że Orson urządził sobie w garażu warsztat. Słyszała pani stamtąd odgłosy piłowania lub wiercenia?

– Nie. A skąd to pytanie? Myślicie, że przyrządzał tam prochy? Albo ciął je w kostki, czy co tam się z tym gównem robi?

– Wszystko jest możliwe, proszę pani.

– Nie, nie wszystko – warknęła. – Oscar Levant nie wstanie już z grobu. Rak, który zżerał mózg genialnego George'a Gershwina... Nieważne, tracę tylko czas. Nie słyszałam, żeby coś tam wiercił albo piłował. W ogóle nic nie słyszałam, bo za dnia, kiedy śpię, nastawiam muzykę na cały regulator. Mam jeden z tych programowanych odtwarzaczy, na sześć płyt, zmieniają się i powtarzają automatycznie. Inaczej nie mogłabym zasnąć; muszę zagłuszyć te cholerne ptaki, samochody, cały ten dzienny harmider. Najbardziej mnie denerwował wtedy, kiedy się budziłam. Te światła. Ja tu próbuję ćwiczyć gamy, a te cholerne reflektory świecą mi prosto na klawiaturę.

– Rozumiem panią. – Milo pokiwał głową.

– Z pewnością. Szkoda tylko, że tak późno.

– Czy może nam pani jeszcze o czymś opowiedzieć?

– Nie. Nie wiedziałam, że czeka mnie taki egzamin.

Milo wyjął zdjęcie Claire.

– Widziała ją pani w towarzystwie Orsona?

– Nie. Wygląda mi na nauczycielkę. To ją właśnie zabił?

Dziesięć minut później na miejscu zjawili się chłopcy z dochodzeniówki. Wymęczony Itatani siedział w oldsmobile’u, Marie Sinclair wróciła do domu, w pobliżu zaczęli się natomiast kręcić inni sąsiedzi. Milo poszedł ich wypytać, a ja towarzyszyłem mu, gdy pukał do kolejnych drzwi. Niczego nowego się nie dowiedzieliśmy. Jeżeli George Orson handlował narkotykami, tylko Marie Sinclair to zauważyła.

Przebiła pani Leiber okazała się właścicielką Buddy’ego, psa z ogłoszenia na drzewie. Zdziwiła się i była rozczarowana, że nie zjawiliśmy się u niej po to, by przeprowadzić dochodzenie w sprawie jego zaginięcia. Jej zdaniem Buddy został uspijony, chociaż otwarta boczna furtka sugerowała też inne rozwiązania.

Milo obiecał jej, że będzie miał oczy szeroko otwarte.

– Buddy jest taki słodziutki – rozczuliła się pani Leiber. – Odważny, ale nie złośliwy.

Wróciliśmy do zielonego domku. Ekipa policyjna rozpakowywała jeszcze sprzęt. Milo pokazał plamy w garażu szefowi grupy, czarnoskóremu Merriweatherowi, który schylił się i niemal przytknął nos do podłogi.

– Całkiem możliwe – przyznał. – Chociaż zdążyła się już mocno rozłożyć. Zdrapiemy ją. Jeżeli to faktycznie krew, uda nam się pewnie określić grupę. Z DNA będzie jednak kłopot.

– Sprawdźcie tylko, czy to krew.

– To mogę zrobić od razu.

Patrzyliśmy, jak pracuje; w ruch poszły gąbki i próbówki, rozpuszczalniki i inne reagenty. Po dziesięciu minutach Merriweather oznajmił:

– Krew. Zero Rh plus.

– Richard Dada miał taką samą – zauważył Milo.

– Czterdzieści trzy procent ludzi jama – odparł Murzyn. – Podrapię jeszcze trochę tutaj, potem w domu. Zajmie nam to sporo czasu, ale może przynajmniej znajdziemy coś ciekawego.

Wróciliśmy do samochodu. Milo ponownie zadzwonił do biura rejestracji pojazdów, prosząc o sprawdzenie, czy żaden wóz nie był zarejestrowany pod adresem Shenandoah. Nic z tego.

Dodał ostro gazu – bardziej chyba dając upust frustracji, niż się spiesząc – i z piskiem opon ruszyliśmy spod krawężnika. Zwolnił, zanim wyjechaliśmy na Pico.

Przy Doheny zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle.

– Grupa krwi Richarda – powiedział. – To niepłacenie czynszu może mieć związek z tym, że Dada został przecięty na pół, a Claire nie. Kiedy Orson ją załatwił, nie miał już warsztatu do dyspozycji, nie miał też czasu ani miejsca, żeby wszystko zorganizować jak należy... Pozostają jeszcze te

kradzione kamery; musi je gdzieś trzymać. Trzeba sprawdzić przechowalnię. Miło by było, gdyby Itatani zidentyfikował Claire jako brunetkę z samochodu.

– Jeżeli faktycznie jeździli razem na zakupy do tego centrum handlowego. Dlatego potem ją tam zostawił. Jakie tam są sklepy?

– Montgomery Ward, Toys'R'Us, parę barów, Stereos Galore. Claire znaleziono na tyłach Stereos.

– Myślisz, że sprzedają tam kamery?

Milo zerknął w lusterko i wbrew przepisom zawrócił.

Parking przed centrum handlowym był gęsto zastawiony samochodami, tak że musieliśmy podjechać na sam skraj i zaparkować przy La Cienega. Sklep Stereos Galore zajmował dwa poziomy budynki, wyłożone szarą, gumowaną wykładziną i podzielone brązowymi przegrodami. Dziesiątki telewizorów bezgłośnie przekazywały obraz; z mrugających światłami studiów odsłuchowych dudniły kłójące się ze sobą rytmy; sprzedawcy w szmaragdowozielonych kamizelkach zapoznawali oszołomionych klientów z najnowszymi zdobyczami techniki. Dział fotograficzny i filmowy znajdował się na górnym poziomie, na końcu sklepu.

Jego kierownikiem był niski, śniady, wymizerowany mężczyzna nazwiskiem Albert Mustafa. Miał idealnie wypielęgnowany wąsik i okulary o szklach tak grubych, że brązowe źrenice oczu zdawały się leżeć całe kilometry za nimi. Zaprowadził nas do względnie spokojnego zakątka działu, za gablotę z wystawionymi w kolorowych pudełkach filmami. Gumowane podłogi nieco tłumili dobiegającą z dołu kakofonię dźwięków. Marie Sinclair czułaby się tu jak w domu.

Zdjęcie Claire Argent nie wywołało u Mustafy żadnej reakcji, Milo spytał go więc, czy pamięta, żeby ktoś dokonywał dużych zakupów.

– Pół roku temu? – upewnił się Mustafa.

– Pięć, sześć miesięcy – przytaknął Milo. – Na nazwisko Wark, Crimmins albo Orson. Interesuje nas duży zakup sprzętu wideo i filmowego.

– Co to znaczy „duży zakup”?

– A za ile przeciętnie sprzedajecie?

– Nie ma czegoś takiego, jak przeciętna. Aparaty fotograficzne kosztują od pięćdziesięciu do prawie tysiąca dolarów. Zwykłą kamerę wideo dostaniecie za trzy stówki, ale można sięgnąć na górną półkę, a wtedy wchodzi w grę poważne pieniądze.

– Prowadzicie komputerowy rejestr sprzedaży, prawda?

– Musimy.

– Czy dzielicie klientów na kategorie w zależności od tego, ile u was wydają?

– Nie, proszę pana.

– Nie szkodzi. Czy mógłby pan sprawdzić zakupy sprzętu wideo na sumę powyżej tysiąca dolarów w okresie od czterech do sześciu miesięcy wstecz? Proponuję zacząć od tego dnia. – Tu Milo podał datę ostatniego spotkania Itataniego z Orsonem.

– To chyba nielegalne, proszę pana – rzekł Mustafa. – Powinienem uzyskać pozwolenie z centrali.

– Czyli skąd?

– Z Minneapolis.

– Centrala pewnie jest już zamknięta.

– Obawiam się, że tak, proszę pana.

– Niech pan chociaż sprawdzi ten jeden dzień, panie Mustafa.

– Naprawdę, wolałbym tego nie robić.

Milo przyglądał mu się bez słowa.

– Nie chcę stracić pracy, chociaż... Powinniśmy pomagać policji. Ten jeden dzień, dobrze.

Osiem zakupów płatnych kartą kredytową, z tego dwa na ponad tysiąc dolarów. Żadna z kart nie była wystawiona na Crimmins, Warka, Orsona ani Argent; nazwiska nie przypominały też przekreślonych nazwisk wielkich reżyserów. Milo spisał je wraz z numerami kart. Mustafa obserwował go nerwowo.

– A co z zakupami za gotówkę? Czy również macie rejestr?

– Tylko tych, którzy wykupują przedłużoną gwarancję albo podają nam swój adres, żebyśmy mogli im wysłać reklamówki.

Milo postukał w klawiaturę komputera.

– Może cofniemy się o parę dni? – zaproponował.

– To zły pomysł – odparł Mustafa, ale zrobił to, o co go prosiliśmy.

Przez cały tydzień nie znaleźliśmy nic ciekawego.

Mustafa wcisnął klawisz i ekran poczerniał. Zanim Milo zdążył mu podziękować, kierownik zostawił nas samych.

W pokoju wydziału rozbojów i morderstw zjawilo się kilku nowych detektywów. Przyciągnąłem sobie krzesło do biurka Mila i słuchałem, jak dzwoni do ubezpieczeń społecznych i urzędu skarbowego. Posunięcie okazało się podwójnie trafione. Po pierwsze, George Orson otrzymywał zwroty nadpłaconego podatku; po drugie, pracował w szpitalu stanowym imienia Starkweathera.

– Czeki z urzędu skarbowego szły na Pico 10500; to strefa komercyjna, stawiam dziesięć do jednego, że znajdziemy tylko skrytkę pocztową – rzekł Milo. – Poza tym to blisko miejsca, w którym znaleziono Richarda... Dobra, chyba coś mamy. Potrzeba mi tylko szczegółów. Sprawdzę, czy dalej pracuje w Starkweatherze.

– Co z recepcjonistką, Lindeen? – zasugerowałem. – Ona cię lubi. To chyba ten męski zapach policjanta.

– Jasne, prawdziwy ze mnie macho. – Milo się skrzywił. – Właściwie, czemu nie? – Podniósł słuchawkę. – Halo, Lindeen? Cześć, mówi Milo Sturgis... Zgadza się... Drepczę trochę w miejscu. Co u ciebie? Rany, świetna sprawa... Jasne, że słyszałem. Brzmi nieźle, przynajmniej coś się człowiekowi udaje rozwiązać... Eee, no nie wiem, czy mam coś do... Naprawdę tak myślisz? No dobrze, jak tylko znajdę trochę czasu po zamknięciu sprawy doktor Argent... Niestety, nie. A skoro już o tym mowa, czy pracuje jeszcze u was niejaki George Orson, pielęgniarz? – Milo przeliterował nazwisko. -

Nic takiego, ale słyszałem, że mógł się przyjaźnić z Claire... Wiem, że nie miała, ale ktoś inny podsunął mi jego nazwisko. Podobno pracował w Starkweatherze i znali się z Claire... Nie? – Zmarszczył brwi. – Byłabyś tak miła? Świetnie. – Odsunął słuchawkę od ust i zwrócił się do mnie. – Mówi, że nazwisko brzmi znajomo, ale nie kojarzy go z twarzą.

– Setka pracowników – przypomniałem. – Czego chciała w zamian?

Milo już miał mi odpowiedzieć, gdy z powrotem przysunął sobie mikrofon.

– Jestem, jestem... Naprawdę? Kiedy? Zostawił jakiś adres do korespondencji? – Milo trzymał w pogotowiu długopis, ale na razie nic nie zapisywał. – W takim razie jak długo u was pracował? – Tym razem coś zanotował. – A nie wiesz, dlaczego zrezygnował? Nie, tego bym o nim nie powiedział, po prostu sprawdzamy każdy trop... A kiedy to jest? O, to niedługo. Chciałbym, ale dopóki sprawa się nie wyjaśni, będę raczej... Słucham? Tak, dobrze. Obiecuję... Będzie świetnie. Mnie też. Dzięki, Lindeen. A, jeszcze jedno, nie zwracaj tym głowy panu Swigowi. Mam wszystko, czego było mi trzeba. Jeszcze raz dziękuję.

Rozłączył się.

– W zamian za tę przysługę mam wygłosić pogadankę w klubie miłośników zagadek kryminalnych, do którego należy – wyjaśnił. – Inscenizują scenki tajemniczych morderstw, dają nagrody tym, którzy

rozwiążą zagadki, jedzą chrupki. Chciała, żebym przyszedł w przyszłym miesiącu, ale udało mi się przesunąć występ na wielką świąteczną fetę.

– Będiesz Świętym Mikołajem?

– Bardzo śmieszne.

– Mówię ci, to ten męski zapach.

– Dobra, następnym razem wezmę prysznic... A co do Orsona, zaczął pracować na etacie w szpitalu piętnaście miesięcy temu, a po dziesięciu rzucił robotę.

– Pięć miesięcy temu – policzyłem. – Czyli miesiąc po tym, jak zatrudnili Claire. Mieli masę czasu, żeby się poznać.

– Brunetka w samochodzie. Trzysekundowe spotkanie z Itananim to niewiele, ale w tej sytuacji... może już coś. Z akt wynika, że pracował głównie na czwartym piętrze, z symulantami – idealnie dobrał sobie kompanów, co? Brał jednak nadgodziny także niżej, na zwyczajnych oddziałach szpitalnych, więc miał dostęp do Peake'a. Nie sprawiał żadnych kłopotów, oszedł na własną prośbę. Brakuje w aktach jego zdjęcia, ale Lindeen ma wrażenie, że mogłaby go rozpoznać – ponoć miał jasnobrązowe włosy. Albo kobieta za bardzo stara się nam pomóc, albo gość naprawdę ma sporą kolekcję peruk.

– Lubi przebieranki. Jest producentem, reżyserem i aktorem w jednej osobie. Pięć miesięcy... Czyli wkrótce po zamordowaniu Richarda Dady. Orson w tym czasie zlikwidował warsztat przy Shenandoah i spakował maszynę. Stara się być w ciągłym ruchu. Oszczędza na czynszu, bo kantując właściciela, odczuwa dreszczyk emocji.

– A ten jego związek z Claire... Czy myślisz, że mógł nie ograniczać się do wspólnego zainteresowania Peakiem?

– Któż to wie? Castro twierdzi, że w Miami Crimmins nie działał zbyt subtelnie, ale miał sporo czasu, żeby się w tej sztuce podszkolić. Claire przez swoje umiłowanie prywatności była pewnie samotna i wrażliwa, a wiemy skądinąd, że potrafiła przejąć inicjatywę, kiedy przychodziło do seksu. Może patologię interesowały ją nie tylko z zawodowego punktu widzenia, a może Orson obiecał dać jej rolę w filmie.

Milo przetarł zmęczone oczy i głęboko westchnął.

– Dobra, czas sprawdzić ten adres przy Pico.

– Ma jeden słaby punkt – stwierdziłem, gdy wychodziliśmy z budynku. – Stosuje sztywną, dziecianną technikę. Pamiętasz ten scenariusz przekrętu w Miami? Założę się, że tutaj też coś takiego napisał. Poza tym lubi trzymać się w bezpiecznej strefie, blisko domu: Claire zostawił w wozie, niedaleko jednego mieszkania, Richarda w pobliżu drugiego. Uważa się za czarodzieja, ale zawsze wraca w znajome ramy.

– Prawidłowy odruch, jak na mistrza show-biznesu.

Mailbox Heaven. Na północno-wschodnim krańcu wąskiego, zapuszczonego deptaka na zachód od Barrington znaleźliśmy ciasny lokalik, wypełniony mosiężnymi skrytkami i pachnący mokrym papierem. Z zaplecza wyszła do nas młoda, rudowłosa kobieta. Oczy jej błyszczały, a na widok odznaki Mila rozpromieniła się jeszcze bardziej. Jej zdaniem policja była „spoko”.

Już ponad rok temu ktoś inny wynajął skrytkę George’a Orsona. Nie zachowały się żadne dokumenty z tamtej transakcji.

– Bez szans – stwierdziła kobieta. – Nie trzymamy takich rzeczy długo. Nasi klienci pojawiają się i znikają, tak już jest.

Wróciliśmy do auta Mila. Po drodze na posterunek mijaliśmy okolicę, w której znaleziono volkswagena Dady: małe warsztaty, mechanika pojazdowa, podwórka zawalone częściami zamiennymi – kolejny park przemysłowy, czystszy i mniejszy niż bezludna strefa na drodze do Starkweathera.

Bezpieczna strefa...

Zaparkowaliśmy przy krawężniku i nie wychodząc z wozu, przyglądaliśmy się mężczyznom, którzy z zakasnymi rękawami przenosili i przeciągali sprzęt albo objali się i palili papierosy. Park nie miał ogrodzenia, a po nocy nikt nie pilnował mrocznych, pustych przestrzeni, co czyniło z nich idealne miejsce na porzucenie zwłok. Zadudniła przejeżdżająca ciężarówka z platformą wyładowaną aluminiowymi rurami. Biały, poznaczony na bokach plamami rdzy samochód z zaopatrzeniem zatrąbił i ludzie zaczęli ustawiać się w kolejce po wątpliwej proweniencji meksykańskie żarcie.

Panował tu bezustanny hałas, w którym zaczynałem wyróżniać poszczególne elementy: syk i stukot sprężarek, brzęk metalu o beton, triumfalny skowyt pił wrzynających się w drewno...

Towarzyszyłem Milowi, gdy odwiedzał jeden sklep za drugim. Wszędzie spotykaliśmy się z przejawami nudy, lęku, nieufności, a czasem otwartej wrogości. Wypytywaliśmy o wysokiego, chudego łysielca o ptasiej twarzy, który mógł pracować przy cięciu drewna; mógł też nosić perukę – czarną albo brązową, o włosach kręconych lub prostych; pytaliśmy o żółtego chevroleta corvette i starego volkswagena garbusa. Straciliśmy dwie godziny po to tylko, żeby nałykać się cuchnącego chemikaliami powietrza.

Milo odwiózł mnie na posterunek, skąd sam wróciłem do domu. Nie wiedzieć czemu, moje myśli krążyły wokół zaginionego psa z wyszczerzonymi wesoło zębami.

Jakże różne bywają wieczory...

Minęła ósma. Siedzieliśmy z Robin na tarasie i zajadaliśmy się pizzą, za sklepienie mając bezgwiezdne, purpurowe niebo. Po upalnym dniu pozostało akurat tyle ciepła, by wieczór był

łagodny i kojący. Panowała litościwa cisza.

Robin przyjechała do domu zaledwie przed godziną. Czułem się winny, że wróciłem do Starkweathera o niczym jej nie mówiąc, więc czym prędzej zdałem relację z pracowitego dnia.

– Nie musisz się spowiadać – uspokoiła mnie. – Grunt, że wróciłeś w jednym kawałku.

Wyglądała na zmęczoną i poszła odmoczyć się w wannie, ja zaś podjechałem na Westwood po pizzę. Wziąłem półciężarówkę i bardzo głośno nastawiłem sobie Satrianiego. Nie bardzo zwracałem uwagę na ruch uliczny, szczerze mówiąc mało rzeczy w ogóle mnie interesowało. Wróciwszy do domu wypłem parępiw, które bynajmniej nie powiększały napięcia. Robin wyszła z kąpieli odświeżona i obserwowanie jej, jak zмага się z drugim kawałkiem pizzy, wydawało mi się świetnym sposobem spędzania czasu.

Czułem się już naprawdę świetnie, gdy cywilny samochód Mila zajechał pod dom.

Od blasku reflektorów natychmiast rozboleła mnie głowa. Tego dnia świetnie rozumiałem Marie Sinclair.

Samochód stanął, Spike zaszczekał, Robin zamachała przyjaźnie. Ja nawet nie drgnąłem.

Milo wystawił głowę przez okienko po stronie pasażera.

– Przepraszam! – krzyknął. – To nic pilnego. Zadzwoń do mnie jutro, Alex. Spike rozszczekał się na całego i teraz przywodził już na myśl obrażonego ogara. Robin wstała i wychyliła się przez poręcz tarasu.

– Nie wygłupiaj się – skarciła Mila. – Chodź na górę. Razem coś zjemy.

– Nie ma sensu – odparł. – Tak słodko sobie gruchacie, przyda wam się chwila prywatności.

– Właź na górę, młody człowieku. Ale już.

Spike popędził po schodach w dół, pomknął do samochodu, ustawił się przy drzwiach i, gdy tylko Milo wysiadł, zaczął na niego skakać.

– Jak mam to rozumieć? – zapytał Milo. – Ma mnie za przyjaciela czy za wroga?

– Za przyjaciela – odrzekłem.

– Jesteś pewien?

– Psycholog nigdy nie jest niczego pewien. My tylko wyciągamy wnioski z rozkładu prawdopodobieństwa.

– To znaczy?

– Jak ci nasika na buty, to znaczy że się pomyliłem.

Z początku Milo twierdził, że właśnie najadł się kanapką, ale półtora piwa później z zainteresowaniem zaczął przyglądać się pizzy. Podsunąłem mu ją. Wziął sobie cztery kawałki.

– Może to nawet zdrowo – powiedział. – Przyprawy oczyszczają organizm.

– Pewnie, to zdrowa żywność – przytaknąłem. – Odtruj się trochę.

Po czterech kawałkach przyszła kolej na piąty. Spike leżał zwinięty w kłębek u stóp naszego gościa i łakomie pożerał kawałki, które Milo dyskretnie, lewą ręką zrzucał mu na podłogę. Zachowywał przy tym twarz pokerzysty, sądząc, że ja i Robin niczego się nie domyślamy.

– Macie ochotę na deser? – zaproponowała Robin.

– Nie rób sobie kłopotu... – zaproponował Milo, ale tylko poklepała go po głowie i weszła do domu.

– Co takiego mało pilnego cię tu sprowadza? – zapytałem.

– Dowiedziałem się co nieco na temat kont bankowych George'a Orsona – w Glendale, Sylmar, Northridge i w centrum. Wszędzie działał tak samo, deponował gotówkę na tydzień, a potem zaraz po wypisaniu czeków wycofywał wkład.

– Jakich czeków?

– Na razie nie udało mi się do nich dotrzeć. Po pewnym czasie – chociaż nikt nie potrafił mi powiedzieć jak długim – czek bez pokrycia niszczy się, a dane przekazuje do centralnego komputera.

– W Minnesocie.

– Z całą pewnością. Ci ludzie są uzależnieni od biurokracji, sami nie chcą sobie pomóc.

– Glendale, Sylmar, Northridge i centrum – powtórzyłem. – Wszędzie go pełno. Może po prostu dużo jeździ samochodem, co pasowałoby do wizerunku gościa, co morduje dla frajdy. Ktoś go pamięta?

– Nikt, zupełnie nikt. Wszystko jest w papierach, policja została zawiadomiona, ale nikomu nie chciało się poszukać podobnych spraw. Dalej, w laboratorium mają już wyniki próby leukocytovej plamy w garażu. Przesłałem im próbki krwi Richarda do porównania. Poza tym w całym domu nic się nie udało znaleźć – pan Itatani za bardzo przykładał się do sprzątanía. Gdzie są ci wszyscy leniwi właściciele, kiedy człowiek najbardziej ich potrzebuje?

Spike wydał z siebie odgłos przypominający skrzeczenie żaby. Lewa ręka Milla poruszyła się pod stołem i za chwilę rozległo się mlaskanie.

– Na koniec jeszcze jedno, uroczą i towarzyską panną Sinclair rzeczywiście skarżyła się policji na nocny ruch wokół domu. Skarg było kilkanaście, siedem razy wysłano radiowóz, ale policjanci

widzieli tylko jakieś auta na podjeździe, ani śladu narkotyków. Rozmawiałem z jednym sierżantem – jego zdaniem Sinclair to typowa choleryczka. Upomniałem go, żeby tak się nie wyrażał, ale wygląda na to, że jej ulubionym zajęciem jest zrzędenie. Kiedyś zadzwoniła na policję o drugiej nad ranem, żeby poskarżyć się na drozda, który siedział na drzewie i gwizdząc, celowo – jej zdaniem – fałszował, żeby nie mogła grać na fortepianie. W raporcie postanowiłem nie wnikać w jej stan psychiczny i nazwałem ją „obserwatorką z sąsiedztwa”, ale ci nie zazdroszczę. Warn, psychologom, nigdy pracy nie zabraknie.

– Szkoda, że pani Leiber nic nie widziała.

– Kim jest pani Leiber?

– Właścicielką zaginionego psa.

– Ach, to ona. Chodziło jej tylko o psa.

– Nie mogę przestać o nim myśleć.

– A konkretnie?

– Jego pysk wciąż staje mi przed oczami. Nie wiem, czemu tak się dzieje. Mam wrażenie, jakbym już go gdzieś widział.

– W swoim poprzednim wcieleniu?

Roześmiałem się, gdyż uznałem, że powinienem to zrobić. Milo podsunął Spike’owi podłużny kawał mozzarelli.

Robin podała mrożoną kawę i lody czekoladowe i skończywszy pizzę, Milo przyłączył się do nas przy deserze. Niedługo potem osunął się miękko w fotelu, przymknął oczy i zwiesił głowę na bok.

– Ach... – westchnął. – Te rozkosze życia.

I wtedy odezwał się jego pager.

To Swig – oznajmił Milo, wróciwszy z kuchni. – Ktoś mu powiedział o Peake’u udającym Chrystusa i teraz Swig grozi, że pożałujesz, jeśli choćby na krok zbliżysz się do szpitala – próbowałem zgadywać.

– Wprost przeciwnie. Osobiście zaprosił mnie do Starkweathera. Natychmiast.

– Po co?

– Nie chciał powiedzieć, dodał tylko „natychmiast”. Nie brzmiało to jak rozkaz – raczej jak uprzejma prośba. Było tam nawet jakieś „proszę”.

Spojrzałem na Robin.

– Baw się dobrze – rzuciłem pod adresem Mila.

– Daj spokój, proszę – zaproponowała Robin. – Nie dasz rady zasnąć i będziesz całą noc nerwowo spacerował po domu. – Po czym zwróciła się do Mila: – Zaopiekuj się nim. Niech już nie pije piwa.

Milo podniósł dłoń jak do przysięgi. Pocałowałem Robin na dobranoc i pobiegliśmy do samochodu.

Wyjechałem na Glen i pomknęliśmy na południe.

– Chciałeś oszczędzić Robin szczegółów? – spytałem. – Czy też Swig naprawdę nic ci nie powiedział?

– To drugie, ale szczegółów też jej oszczędziłem: – Swig był przerażony.

Dziesiąta wieczór. Nocny mrok okazał się litościwy dla przemysłowej pustyni. Strażnik ze służby ochrony szpitala czekał na nas przy skrócie z głównej drogi, bawiąc się latarką. Kiedy podjechaliśmy bliżej, poświecił na naszą tablicę rejestracyjną i pośpiesznie zamachał, żebyśmy jechali dalej.

– Prosto – powiedział. – Czekają na was.

– Kto czeka?

– Wszyscy.

Strażnik w budce przy bramie na nasz widok od razu podniósł szlaban. Wjechaliśmy na teren szpitala.

– Nie każą nam oddawać broni? – zdziwiłem się. – Czyżby przyszedł czas na czerwony dywan na powitanie?

– Coś za łatwo nam idzie – przyznał Milo. – Nie cierpię takich sytuacji. Na parkingu czarnoskóry, szpakowaty pielęgniarz wskazał nam najbliższe wolne miejsce. Milo mruknął:

– A teraz pewnie mam mu dać parę groszy.

– Hal Cleveland – przedstawił się pielęgniarz, gdy wysiedliśmy z wozu. – Zaprowadzę panów do pana Swiga.

Nie czekając na naszą reakcję, ruszył pospiesznym krokiem w stronę ogrodzenia. Tak samo jak Dollard – pędził przodem, zerkając od czasu do czasu za siebie, czy za nim nadążamy.

– Co się stało? – zapytał go Milo.

Cleveland pokręcił tylko głową.

– Pan Swig wszystko panom wyjaśni.

Po zmierzchu dziedziniec świecił pustkami i wyglądał całkiem inaczej niż za dnia. W świetle latarni ziemia wyglądała jak zmrożona; przybrała błękitnoszary odcień i miejscami była pokryta delikatnymi wyłobieniami, jak napoczęte lody. Cleveland prawie truchtem przeprowadził nas do drzwi. Dobrze się czułem, idąc przez podwórze bez obawy, że jakiś psychotyk mnie dopadnie, lecz i tak odruchowo oglądałem się za siebie.

Cleveland szybkim gestem otworzył wewnętrzną furtkę. Główny gmach szpitala prawie wcale się nie zmienił, po ciemku był szary i brzydki, a zmatowiałe plastikowe okna przypominały zapraszające, złowieszcze paszczęki. Przy drzwiach stał kolejny strażnik, z pałką i pistoletem. Pierwszy raz ujrzałem na terenie szpitala umundurowanego człowieka – do tego z bronią. Odstąpił na bok, gdy podeszliśmy, i Cleveland czym prędzej przeprowadził nas obok puściuteńkiego biurka Lindeen i wystawy mosiężnych pucharów kręglarskich. Zagłębiwszy się w pogrążony w ciszy korytarz, mineliśmy gabinet Swiga i wszystkie następne biura, aż trafiliśmy prosto do windy. Szybko i bez przeszkód wjechaliśmy na oddział C. Cleveland stał w kącie i bawił się kluczami.

Drzwi windy otworzyły się i ujrzelśmy następnego pielęgniarza – był potężnie zbudowany, gruby i brodaty. Cofnął się, żeby nas przepuścić, Cleveland zaś zjechał samotnie na dół.

Nowy przewodnik zaprowadził nas za podwójne drzwi. W połowie korytarza, przed drzwiami pokoju Peake'a, ujrzelśmy Williama Swiga. Drzwi izolatki były zamknięte i pilnowane przez dalszych dwóch mundurowych. Pielęgniarz zostawił nas z nimi.

Ani śladu mężczyzn w strojach barwy khaki. Ciszę mącił tylko szum klimatyzacji.

Na nasz widok Swig pokręcił gwałtownie głową, jakby chciał zaprzeczyć okrutnej rzeczywistości. Miał na sobie niebieską koszulkę polo, dzinsy i adidasy. Pojedyncze kosmyki na czubku głowy sterczały mu we wszystkich kierunkach. Jarzeniowe światło podkreślało kontrast pieprzyków na jego

twarzy z bladą cerą – ciemne punkty niczym kropki alfabetu Braille’a tworzyły na jego obliczu czytelny komunikat.

Czytelny i jednoznaczny – przerażenie.

Otworzył drzwi pokoju Peake’a, skrzywił się i dramatycznym gestem zaprosił nas do środka.

Krwi nie było dużo – ot, jeden szkarłatny zawijas na podłodze. Wił się w naszym kierunku z prawego kąta przy ścianie naprzeciw wejścia, jakiś metod miejsca, w którym Peake udawał Chrystusa.

Poza tym w pokoju nic się nie zmieniło – nie posłane łóżko, stalowe pierścienie w ścianie, odór spalenizny przemieszany z inną wonią, słodką i metaliczną.

Peake zniknął bez śladu.

Krwawa plama kończyła się – a właściwie zaczynała – na środku pomieszczenia. Jej źródłem było leżące w tym miejscu ciało.

Krępy mężczyzna leżał na brzuchu; kraciasta koszula, niebieskie džinsy, sportowe buty, gęste i szorstkie siwe włosy. Ręce rozrzucił na boki, tak że wyglądał, jakby odpoczywał. Miał potężne przedramiona, których skóra przybrała już zielonkawoszary odcień.

– Dollard – stwierdził Milo. – Kiedy?

– Nie wiemy – odrzekł Swig. – Znaleźliśmy go przed dwoma godzinami.

– A pan zadzwonił do mnie dopiero trzy kwadranse temu?

– Najpierw musieliśmy sami przeprowadzić poszukiwania – wyjaśnił Swig i skubnął pieprzyk na twarzy. Skóra wokół znamienia poróżwiała.

– I co?

Dyrektor spuścił wzrok.

– Nie znaleźliśmy go.

Milo nie skomentował jego odpowiedzi.

– Proszę posłuchać, musieliśmy najpierw działać sami. Właściwie nie jestem nawet pewien, czy w ogóle powinienem po pana dzwonić. To jurysdykcja szeryfa... A na dobrą sprawę nasza własna.

– Czyli właściwie wyświadczył mi pan przysługę.

– Interesował się pan Peakiem. Próbuję tylko współpracować.

Milo uklęknął i obejrzał szyję Dollarda.

– Jedno poprzeczne cięcie – stwierdził. – Czy ktoś go ruszał?

– Nie, niczego nie dotykaliśmy.

– Kto go znalazł?

Swig wskazał jednego z trzech pielęgniarzy.

– Bart.

Wymieniony z imienia mężczyzna zrobił krok do przodu – młody Chińczyk o delikatnej budowie ciała i przerośniętych ramionach kulturysty. Na zdjęciu na identyfikatorze przypominał wylęknionego dzieciaka. B. L. Quan, pielęgniarz, drugi stopień specjalizacji.

– Niech mi pan o tym opowie – poprosił go Milo.

– Pacjenci byli pozamykani w pokojach – zaczął Quan. – Nie sprawiali nam kłopotów, ale podczas zebrań personelu zawsze tak robimy.

– Jak często odbywają się te zebrania?

– Każda zmiana spotyka się dwa razy w tygodniu.

– W jakie dni.

– To zależy od zmiany. Dzisiaj wpół do siódmej było zebranie grupy, która pracuje od jedenastej do siódmej. Jest piątkowy wieczór, czas na podsumowanie tygodnia. Zamykamy pokoje na klucz, a sami idziemy tam. – Wskazał wejście do świetlicy.

– Nikt nie robi obchodu oddziału?

– Jeden z nas zostaje tutaj. Zmieniamy się. Nigdy nie mieliśmy z niczym problemów, bo przecież pokoje zamykamy na cztery spusty.

Milo przeniósł wzrok na ciało Dollarda. Quan wzruszył ramionami.

– Dollard robił dziś obchód.

Quan skinął głową.

– Ale jego pager się nie odezwał.

– Zgadza, się.

– Dlaczego w takim razie zaczął go pan szukać?

– Zebranie się skończyło. Ja zostawałem dziś na następną zmianę i miałem z nim porozmawiać o niektórych pacjentach. Powinien przekazać mi informacje – jakie dostają leki, na co mam uważać, takie drobiazgi. Nie zjawił się na czas, więc pomyślałem, że zapomniał.

– Czy to było dla Franka typowe? – zaciekał się Milo. – Takie zapominanie?

Quan się zmieszał i posłał Swigowi pytające spojrzenie.

– Proszę się nie przejmować, bardziej już go pan nie wkopie – zapewnił go Milo.

– Czasami – bąknął Quan.

– Czasami co?

Quan poruszył się niespokojnie. Milo popatrzył znacząco na Swiga.

– Powiedz wszystko, co wiesz – polecił Swig chrapliwie. Zatarł palce i pociągnął się za drugi pieprzyk.

– Czasami Frank zapominał o różnych rzeczach, dlatego za bardzo się tym razem nie przejąłem – rzekł Quan. – Potem, kiedy poszedłem zebrać karty choroby, zauważyłem, że jednej brakuje: karty Peake’a. No więc zajrzałem do jego pokoju.

– Udało się panu znaleźć kartę?

– Nie.

– Co było dalej?

– Nic. Znalazłem Franka, stwierdziłem, że Peake zniknął, zamknąłem drzwi i ogłosiłem alarm trzeciego stopnia. Właściwie nic się nie zmieniło, bo i tak trzymaliśmy pacjentów pod kluczem. Potem zjawił się pan Swig, sprowadziliśmy na oddział strażników i zaczęliśmy poszukiwania. Gdzieś przecież musiał się schować, bo inaczej to bez sensu.

– Co jest bez sensu?

– Zniknięcie Peake’a. W Starkweatherze nikt tak po prostu nie znika.

Milo poprosił o klucz do pokoju Peake’a, a gdy Swig dał mu swój, zamknął drzwi, po czym oddalił się poza zasięg głosu i z komórki zadzwonił do szeryfa. Długo rozmawiali. Żaden z pielęgniarzy i strażników się nie poruszył.

Z początku cisza się pogłębiała, lecz już po chwili to wrażenie minęło. Rozległy się pierwsze, sporadyczne stukania w drzwi, stłumione szuranie, delikatne jak tupot myszy. Potem doleciały nas krzyki i jęki, nasilając się i narastając nierównymi falami głosu, jaki tylko zaniepokojeni ludzie potrafią z siebie dobyć.

Chór krzyków. Strażnicy i pielęgniarze spojrzeli po sobie, Swig zaś zdawał się niczego nie zauważać.

– Cholera jasna – mruknął brodaty pielęgniarz. – Zamknijcie się, psiakrew.

Swig odszedł w głąb korytarza. Nikt nie próbował uciszyć pacjentów.

Ci zaś coraz głośniej zawodzili i bębnilo w drzwi cel.

Wiedzieli. Nie mam pojęcia skąd, ale wiedzieli.

Milo schował telefon do kieszeni i wrócił do nas.

– Szeryf zaraz nam tu przyśle dochodzeniówkę – oznajmił. – Radiowozy przeszukają okolicę w promieniu dziesięciu kilometrów od szpitala. Proszę powiedzieć strażnikom przy bramie, żeby wpuścili ludzi szeryfa.

– Powinniśmy raczej zachować dyskrecję, przynajmniej do czasu... – zaczął Swig. – To znaczy, dowiedzmy się najpierw, co się stało, a potem przejdziemy do...

– A jak pan sądzi, co się stało, panie Swig?

– Peake zaskoczył Franka i poderżnął mu gardło. Frank to kawał chłopca, więc inaczej jak przez zaskoczenie Peake nic by nie działał.

– Czym go zabił?

Brak odpowiedzi.

– Nic panu nie przychodzi do głowy?

– Pielęgniarki są nie uzbrojeni – stwierdził Swig.

– Teoretycznie.

– Teoretycznie i praktycznie. Z oczywistych powodów przestrzegamy surowych...

– Ma pan te swoje przepisy, też perfekcyjny system – Milo nie dał mu skończyć zdania. – Proszę mi w takim razie powiedzieć, czy lekarze i pielęgniarze muszą tak jak my oddawać broń przy bramie?

Swig milczał.

– Panie Swig?

– To byłoby niewykonalne. Sama liczba...

Milo przeniósł wzrok na trójkę pielęgniarzy, lecz żaden nie zdradził się podejrzanym gestem. Brodacz odpowiedział mu hardym spojrzeniem.

– Czy mam rozumieć, że broń oddają wszyscy poza członkami personelu?

– Personel wie, że nie wolno wносить broni na teren szpitala.

Milo wyjął z kabury pod marynarką służbowy rewolwer. Zaczepił palec wskazujący o kabłąk i pomachał Swigowi bronią.

– Doktorze Delaware... – powiedział.

Wyjąłem z kieszeni szwajcarski scyzoryk. Strażnicy obserwowali nas w napięciu.

– Dziś nikt nas nie sprawdzał – wyjaśnił Milo. – Coś mi się widzi, że system czasem zawodzi.

– Proszę posłuchać... – Swig podniósł głos. Odetchnął głęboko. – Dzisiaj mamy wyjątkową sytuację, kazałem strażnikom nie utrudniać panom wjazdu. Byłem w pełni świadomy...

– Jest pan gotów się założyć, że Dollard nie miał przy sobie noża, którym go zamordowano?

– Frank był człowiekiem godnym zaufania.

– Mimo że zdarzało mu się zapominać o różnych rzeczach?

– Nic o tym nie wiem.

– Już pan wie. Powiem panu coś na temat Franka. Wydalono go z policji w Hemet za niedopełnienie obowiązków służbowych – ignorowanie wezwań, fałszowanie rejestru nadgodzin...

– Nie miałem o tym...

– Może są więc i inne rzeczy, o których nie ma pan pojęcia.

– Proszę posłuchać... – powtórzył Swig, ale nie dodał nic więcej, tylko pokręcił głową i spróbował przygłodzić wzburzone włoski. Grdyka zafalowała mu gwałtownie. – Szkoda słów; pan i tak zdania nie zmieni.

Milo zwrócił się do pielęgniarzy:

– Gdybym panów zrewidował, coś znajdę?

Cisza.

Przeszedł na drugą stronę korytarza. Bart Quan rozstawił szerzej nogi, jakby szykował się do bójki, dwaj pozostali mężczyźni skrzyżowali ręce na piersi. Taką samą postawę przyjął wczoraj Dollard, gdy chciał pokazać, że się nas nie boi.

– Niech im pan powie, żeby nie stawiali oporu – rzekł Milo do Swiga.

– Róbcie, co wam każe – polecił Swig.

Milo szybko i wprawnie obszukał pielęgniarzy. U Quana nic nie znalazł, podobnie jak u tego, który do tej pory się nie odzywał – starszego mężczyzny o smutnych oczach. Za to z kieszeni spodni brodacza wyjął scyzoryk z kościaną rękojeścią.

Otworzył ostrze – dziesięć centymetrów starannie naostrzonej stali. Obejrzał je z podziwem.

– Steve – odezwał się Swig.

– Kurwa mać – mruknął brodacz. Twarz drgnęła mu nerwowo. – Jak się pracuje z takimi zwierzętami, to człowiek musi zadbać o własne bezpieczeństwo.

– Gdzie go pan kupił? – spytał Milo, wciąż oglądając uważnie nóż. – W sklepie z artykułami gospodarstwa domowego?

– Na wystawie noży – wyjaśnił Steve. – Nie używałem go od ostatniej zimy, jak byłem na polowaniu.

– Ustrzelił pan coś?

– Łosia. Smaczny był.

Milo złożył nóż i schował go do kieszeni.

– To mój nóż – upomniał się Steve.

– Dostanie go pan z powrotem, jeśli jest czysty.

– Kiedy? Chciałbym dostać pokwitowanie.

– Uspokój się, Steve – skarcił brodacza Swig. – Porozmawiamy później.

Nozdrza pielęgniarza się rozszerzyły.

– Dobra, później. O ile w ogóle będę chciał zostać w tym bagnie.

– Twoja wola, Steve, ale na razie nasz stan ci płaci, więc słuchaj: przejdź się po oddziałach A i B i sprawdź, czy wszystko gra. Zrób pełny obchód, sprawdź wszystkie drzwi, zajrzyj przez judasze. I żadnych przerw, póki nie dam ci znać.

Brodacz posłał Milowi jeszcze jedno nienawistne spojrzenie i oddalił się ciężkim krokiem. Skręcił w prawo za dyżurką.

– Dokąd on idzie? – zaciekawił się Milo.

– Do windy dla personelu.

– Przy pierwszej wizycie nie widzieliśmy tam żadnej windy.

– Drzwi do niej są nie oznakowane, wstęp ma tylko personel. Powinniśmy dalej szukać – stwierdził Swig. – Czy mogę zwolnić tych strażników?

– Oczywiście.

– Ruszajcie.

– Dokąd? – zdziwił się jeden z mundurowych.

– Wszędzie, do cholery! Zaczynjcie od terenu za ogrodzeniem, od północy i południa. Sprawdźcie, czy nie chowa się gdzieś po krzakach. – Bart i Jim, przeszukajcie jeszcze raz piwnicę – rzucił Swig pod adresem dwóch pozostałych pielęgniarzy. – Potem kuchnię, pralnię i wszystkie magazyny. – Wyszczekiwał rozkazy jak urodzony generał. – Sprawdźcie, czy wszystko jest pozamykane, tak jak przy pierwszym przeszukaniu.

Kiedy wszyscy się rozeszli, Swig zwrócił się do Mila:

– Wiem, co pan sobie myśli, że jesteśmy bandą cywilnych oferm. Ale pierwszy raz, odkąd zarządzam szpitalem, zdarzyło się coś, co może wyglądać na ucieczkę. Z zasady...

– Są ludzie, dla których zasady są wszystkim – przerwał mu Milo. – Mnie interesują wyjścia.

Przeszliśmy się po oddziale. Milo sprawdził wszystkie drzwi, a przy niektórych pokojach prosił Swiga o otwarcie judasza i zaglądał do środka. Dobiegający z wewnątrz hałas słabł wówczas na chwilę.

– Nie widać stąd całego pokoju – zauważył.

– Sprawdziliśmy wszystkie – odparł Swig. – Od tego zaczęliśmy. Wszystko się zgadza.

– A ta nie oznakowana winda dla personelu... – wtrąciłem. – Rozumiem, że pacjenci też o niej wiedzą.

– Nie opowiadamy im o niej, ale przypuszczam, że...

– Wspominam o niej dlatego, że wczoraj spotkaliśmy tu Heidi Ott, która prowadziła Peake'a z tego właśnie kierunku. Peake po raz pierwszy od niepamiętnych czasów opuścił izolatkę. Mógł zobaczyć, jak ktoś wsiada do windy, i wpaść na pomysł, żeby ją wykorzystać. Czy zatrzymuje się na wszystkich piętrach?

– Tak.

- Ktoś ją sprawdził?
- Sądzę, że tak.
- Sądzi pan? – Milo zmroził go spojrzeniem.
- Kazałem szukać wszędzie.
- Kazał pan też nie nosić broni.
- Jestem pewien, że... Do diabła, sam ją panom pokażę.

Winda miała brązowe drzwi, nieco tylko szersze od drzwi pokoi pacjentów. Strzegły ich dwa zamki. Na panelu nie było głośnika interkomu. Swig przekręcił klucz w górnym zamku, szczęknęła zasuwka i naszym oczom ukazał się kolejny brązowy prostokąt – drzwi wewnętrzne. Bez klamki, za to z zamkiem na środku. Otwierało się go tym samym kluczem. Ruch ręki Swiga pobudził do działania maszynę, od której dudnienia zdrząły ściany. Z boku, niespełna metr od nas, znajdowały drugie drzwiczki. Miały pół metra szerokości i nieco ponad dwa razy tyle wysokości.

– Skąd przyjedzie winda? – zapytał Milo.

– Tego nie da się powiedzieć. Wolno jeździ, ale zaraz powinna tu być.

– Kiedy pierwszy raz tu byliśmy, Phil Hatterson zadzwonił na górę, porozmawiał z kimś i ten ktoś spuścił nam windę – powiedziałem. – Z tą nie można tak zrobić.

– Nie można – zgodził się Swig. – Komunikator głównej windy znajduje się w dyżurce, gdzie zawsze siedzi przynajmniej pielęgniarz, który pilnuje podawania leków pacjentom. Do jego obowiązków należy też nadzorowanie przejazdów między piętrami.

– Czy Frank Dollard pełnił czasem tę służbę?

– Z pewnością. Personel rotacyjnie wymienia się zadaniami.

– Skoro windą steruje się zdalnie, co decyduje o tym, na którym piętrze ma się zatrzymać?

– Klucz musi pozostać w zamku do czasu, aż winda przyjedzie. Kiedy osoba uprawniona, czyli z kluczem, jedzie do góry, może wyłączyć blokadę i sterować windą normalnie, wciskając guziki.

– Czyli po odblokowaniu niczym się nie różni od zwykłej windy? – Właśnie. Tyle że nie można jej odblokować bez klucza, a tylko pracownicy mają klucze.

– Czy wymieniacie czasem zamki?

– Jeśli są jakieś kłopoty...

– Ale kłopoty się wam nie zdarzają – uzupełnił Milo.

Swig skrzywił się odruchowo.

– Nie mam na myśli aż takich kłopotów – odparł. – Wystarczy, że ktoś zgłosi zaginięcie klucza i wymieniamy wkładki w zamkach.

– Niezłe zamieszanie – dorobić tyle kluczy.

– Za to na co dzień nie mamy tu zamieszania.

– Kiedy ostatnio wymienialiście zamki, panie Swig?

– Musiałbym to sprawdzić.

– Ale chyba nie jakoś niedawno, boby pan pamiętał.

– Do czego pan zmierza?

– Jeszcze jedno, na każdym oddziale są takie same podwójne drzwi – rzekł Milo. – Każde z nich trzeba osobno otwierać.

– Zgadza się, to prawdziwy labirynt. I o to chodzi.

– Ilu potrzeba kluczy, żeby pokonać ten labirynt?

– Kilku, może kilkunastu... Nie liczyłem.

– Czy jest jakiś klucz uniwersalny?

– Ja go mam.

Milo wyciągniętą ręką wskazał klucz sterczący z wewnętrznych drzwi windy.

– To ten?

– Tak. Drugi egzemplarz spoczywa w sejfie w archiwum, na parterze. Tak, sprawdzałem, jest na swoim miejscu. Nikt nie próbował się do niego dostać.

Drzwi otworzyły się ze zgrzytem. Klatka windy była mała, jaskrawo oświetlona i pusta. Milo zajrzał do środka. – A to co? Pokazał leżący na podłodze śmieć.

– Chyba jakiś papier – odparł Swig.

– Taki, z jakiego robi się kapcie dla pacjentów?

Swig pochylił się nad podłogą.

– Całkiem możliwe... Ale nie widzę na nim krwi.

– A spodziewał się jej pan?

– Przecież Peake poderżnął Frankowi gardło...

– Ale w pokoju nie było krwawych śladów butów, co oznacza, że Peake czysto załatwił sprawę i odskoczył po przecięciu Frankowi gardła. Nieźle, jak na wariata.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– W co?

– W to, co pan też zauważył, że Peake nagle wykazał taką koordynację.

– Proszę zamknąć tę windę i nikogo do niej nie wpuszczać. Kiedy zjawią się ludzie z dochodzeniówki, niech najpierw zdejmą ten papier.

Swig wykonał polecenie, Milo zaś wskazał mniejsze drzwiczki. – Co to jest?

– Zsyp na śmieci. Prowadzi prosto do piwnicy.

– Jak winda towarowa w restauracji.

– Identycznie.

– Nie widzę jednak żadnego zamka. Jak się go otwiera?

– W dyżurce jest dźwignia.

– Proszę nam ją pokazać.

Swig otworzył drzwi dyżurki: trzy przezroczyste ściany i czwarta murowana, zastawiona zamkniętymi na klucz stalowymi szafkami. Pomieszczenie na pierwszy rzut oka przypominało olbrzymią budkę telefoniczną.

– Leki i inne specyfiki – wyjaśnił Swig, pokazując na szafki. – Zamknięte.

Rozejrzałem się po pokoju. Nie było w nim zwykłych biurek, tylko wbudowany w ścianę plastikowy blat, a na nim telefon, mała ręczna centralka i mikrofon interkomu. W przedniej ścianie znajdowała się piętnastocentymetrowej długości szczelina, zaopatrzona w przesuwaną, metalową tackę.

– Jest na tyle wąska, żeby nie dało się włożyć ręki – rzekł Swig z dumą, choć niepewnym tonem. – Pacjenci ustawiają się w kolejce i dostają leki, nie ma miejsca na przypadkowe wpadki.

– Gdzie ta dźwignia? – przypomniał mu Milo.

Swig sięgnął po omacku pod blat i coś z trzaskiem przeskoczyło. Wróciliśmy pod windę. Zsypano otworzył się od góry, tworząc mały, metalowy baldachim.

– Chudzielec by się precisnął. – Milo włożył głowę do środka, węsząc. – A Peake do otyłych nie należał.

– Dajże pan spokój... – zachnął się Swig.

– Co jeszcze znajduje się w piwnicy?

– Pomieszczenia gospodarcze: kuchnia, pralnia, spiżarnia, magazyny. Proszę mi wierzyć, wszystko dokładnie przeszukaliśmy.

– Czy tamteży dostarczane jest zaopatrzenie?

– Tak.

– Czyli macie tam rampę dla samochodów.

– Tak, ale...

– Skąd pewność, że Peake nie siedzi w którymś z kontenerów z brudną bielizną?

– Stąd, że już dwa razy sprawdzaliśmy piwnicę. Może sam pan tam zajrzeć.

Milo zabębnił palcami w drzwi windy.

– Czy jeździ też na czwarte piętro? Tam, gdzie trzymacie symulantów?

– Przypadki tysiąc trzysta sześćdziesiąt osiem. – Swig poczuł się chyba urażony. – Tak.

– A czy główna winda też tam kursuje?

– Nie. Czwarte piętro ma własną, oddzielną windę. Ekspresową, prosto na górę.

– To jest i trzecia winda... – zadumał się Milo.

– Tylko dla czwórki, ze względów bezpieczeństwa. Tych z tysiąc trzysta sześćdziesiąt osiem ciągle nam przywożą i wywożą. Ciągłe używanie głównej windy powodowałoby zrozumiałe kłopoty natury logistycznej. Autobus więzienny wysadza ich na tyłach kompleksu, przy recepcji dla tysiąc trzysta sześćdziesiąt osiem. Później załatwia się papiery i przewozi ich prosto na czwarte, bez przystanków. Nie mają kontaktu z resztą szpitala.

– Poza windą dla pracowników.

– Nie jeżdżą windą dla pracowników.

– Teoretycznie.

– Praktycznie też nie.

– Skoro zależy wam na odizolowaniu czwartego piętra, po co instalować tam windę służbową?

– Tak już zaprojektowano szpital. To zresztą całkiem sensowny pomysł, nie uważa pan? Gdyby na górze coś się stało i personel potrzebowałby wsparcia, możemy im przysłać posiłki.

– Wolną windą służbową. A często coś się na górze dzieje?

– Rzadko.

– A konkretnie?

Swig potarł pieprzyk.

– Raz, dwa razy w roku... Jakie to ma znaczenie? Mówimy o chwilowym zamieszaniu, a nie o buncie – kiedy na przykład któryś z tysięcy trzysta sześćdziesiąt osiem za bardzo stara się nas przekonać, jaki z niego wariat. Zdarzają się też bójki. Niech pan nie zapomina, że wielu przysłanych na obserwację przestępców to członkowie gangów.

Swig prychnął pogardliwie. Każda społeczność dzieli się na kasty.

– Zajrzyjmy na to czwarte piętro – zaproponował Milo. – Tylko wejdźmy przez recepcję. Niech nikt nie waży się tknąć tego kawałka papieru.

– Nawet jeśli to rzeczywiście kawałek kaptura któregoś z pacjentów, to nie znaczy, że pacjentem tym był Peake – mruknął Swig. – Wszyscy mają takie... – Stał jak wryty. – Co ja wygaduję? Przecież to winda służbowa.

– Macie mnie pewnie za biurokrate, którego to wszystko gównem obchodzi – stwierdził Swig, gdy jechaliśmy windą na dół. – A ja wybrałem taką pracę, bo chcę pomagać ludziom. Adoptowałem dwie sieroty.

Wysiedliśmy na parterze, wyszliśmy głównym wyjściem i w ślad za Swigiem obeszliliśmy gmach z lewej strony – z tej, której nigdy nie widzieliśmy i o której nikt nam nie opowiadał.

Prowadziła nas idealnie utrzymana, betonowa ścieżka. Zainstalowane na krawędzi dachu reflektory zalewały czteropiętrową budowlę powodzią światła, a regularnie rozmieszczone zaciemnione okna upodabniały ją do gigantycznego wafla.

Trafiliśmy do drugich drzwi wejściowych, identycznych jak główne, tak jakby budynek miał dwa fronty.

Na tabliczce przy wejściu farbą wymalowano napis „Przyjęcia i diagnozy”. Przy wejściu stał

strażnik. Z boku, jakieś dziesięć metrów od nas, znajdował się niewielki parking, oddzielony od dziedzińca ogrodzonym siatką przejściem, które przywodziło mi na myśl olbrzymi wybieg dla psów. W tej chwili parking świecił pustkami, ogrodzona ścieżka zaś skręcała i niknęła w mroku – niewidoczna z dziedzińca, niedostępna z głównego wejścia. Istniała więc jeszcze jedna droga do szpitala, o której nic dotąd nie wiedzieliśmy.

Dalej po prawej niczym świetliki migały latarki – nieopodal nie używanego podwórka, które widzieliśmy poprzedniego dnia, idąc do aneksu na spotkanie z grupą treningu podstawowych umiejętności. W ciemności majaczyły niewyraźnie zarysy aneksów, były jednak nie oświetlone i z tej odległości nie potrafiłem rozróżnić żadnych szczegółów. Poszukiwania prowadzono chyba nieco dalej, już na tyłach aneksów, pod samym lasem.

– Ile dróg prowadzi na teren szpitala? – zapytałem.

– Dwie – odparł Swig. – A właściwie jedna. Ta, którą panowie przyjechaliście.

– A to po co? – Wskazałem parking.

– Tylko dla autobusów więziennych. Prowadzi tam specjalna droga wzdłuż wschodniej granicy terenu szpitala. Kierowcy autobusów mają specjalne karty kodowe; nawet personel nie ma prawa wstępu bez mojego zezwolenia.

– A z tej strony? – Pokazałem mu migoczące w oddali latarki. – Tam rośnie sosnowy las. Jak z tamtej strony można się tu dostać?

– Nie można. Od zachodu nieprzerwanie ciągnie się ogrodzenie. Swig postąpił krok do przodu i skinął głową strażnikowi, który posłusznie odsunął się na bok.

Sekretariat miał identyczne wymiary jak biuro Lindeen. Z przodu stało podobnej wielkości stalowoszare biurko – puste, jeśli nie liczyć stojącego na blacie telefonu. Ścian nie zdobiły trofea sportowe ani błyskotliwe slogany. Odpowiednikiem Lindeen był pielęgniarz o byczym karku i małej głowie, przykucnięty pod ścianą za stalowym meblem. Na widok Swiga odłożył czytaną gazetę i wstał.

– Działo się coś? – spytał Swig.

– Wszystko pozamykane, proszę pana, tak jak pan sobie życzył.

– Zabieram tych panów na górę.

Swig poprowadził nas przez pusty korytarz do windy. Podczas szybkiej jazdy na czwarte piętro przez krótkofalówkę zapoznał się z postętami poszukiwań.

Drzwi otworzyły się przed nami.

– Kontynuujcie – warknął Swig i schował nadajnik do kieszeni. Pod jego pachami ciemniały plamy potu; niebieska żyłka pulsowała mu za uchem.

Dwie pary dwuskrzydłowych drzwi, nad każdymi napis: „P&D, WSTĘP WZBRONIONY”. Tu wzbroniony, a gdzie nie?

W miejscu dyżurki ziała pustka – cały oddział składał się z jednego korytarza z mnóstwem niebieskich drzwi. Inny był również stosunek liczby strażników do liczby więźniów, gdyż piętro patrolowało dwunastu barczystych jegomościów.

Milo zapytał, czy mógłby zajrzeć do jednej z cel.

– Tu też sprawdziliśmy wszystkie pokoje – odrzekł Swig.

– Jedną chciałbym mimo to zobaczyć – upierał się Milo.

Na okrzyk Swiga: „inspekcja!” od razu podbiegło do nas trzech pielęgniarzy.

– Detektyw Sturgis chciałby zobaczyć na własne oczy przypadek tysiąc trzysta sześćdziesiąt osiem. Proszę otworzyć drzwi.

– Które? – spytał największy z pielęgniarzy, Samończyk o niemożliwym do wymówienia nazwisku i cichym, chłopięcym głosem.

– Proszę wybrać.

Samończyk podszedł do pierwszej celi z brzegu, zajrzał przez judasz, a potem otworzył zamek i uchylił drzwi. Wsadził głowę do środka i otworzył je na oścież.

– Oto pan Liverwright.

Pokoik był wysoki i ciasny – taki sam, jak Peake’a. W ścianie tkwiły podobne uchwyty, na łóżku zaś siedział nagi muskularny, młody Murzyn. Zerwaną z cienkiego materaca pościel podarł na strzępy. Zmięta granatowa piżama leżała na podłodze obok niebieskich kapci z papieru, a właściwie jednego kapcia – z drugiego pozostała kupka confetti. Znałem ten odcień błękitu – w więzieniu okręgowym stroje takie nosili zwykli przestępcy.

Zbliżywszy się do drzwi, poczułem potworny smród – u stóp więźnia wysychał na podłodze kopczyk świeżego kału, obok połyskiwały kałuże moczu. Ściana za łóżkiem była poplamiona na brązowo.

Na nasz widok mężczyzna uśmiechnął się szeroko, zachichotał piskliwie i zaczął się onanizować.

– Posprzątajcie tu – polecił Swig.

– Sprzątamy – odparł pielęgniarz. – Dwa razy dziennie. Bardzo się starał wykazać. – Pokazał Liverwrightowi dwa palce złożone w „V”, znak zwycięstwa, i zaśmiał się. – Tak trzymaj, stary!

Liverwright na chwilę znieruchomiał, ale zaraz zagadał i wrócił do przerwanej zajęcia.

– Wal śmiało, tylko go sobie nie złam – dodał Samończyk.

– Proszę zamknąć drzwi – rzekł Swig. – I natychmiast tam sprzątnąć.

Pielęgniarz zamknął drzwi i wzruszył ramionami.

– Tym facetom wydaje się, że wiedzą, na czym polega obłąd, ale przeginają – dodał pod naszym adresem. – Za dużo filmów się naoglądali.

Odwrócił się i zamierzał odejść, gdy Milo zapytał:

– Kiedy ostatnio widział pan George’a Orsona?

– Orsona? Nie wiem, ale jakiś czas już go tu nie było.

– A dzisiejszej nocy?

– Nie. A skąd miałby się tu wziąć? Od miesiący u nas nie pracuje.

– O kim panowie rozmawiacie? – zaciekawiał się Swig.

– Wpadał z wizytą, odkąd rzucił tę pracę? – indagował pielęgniarza Milo.

– Hmm... Chyba nie.

– A jakim właściwie był facetem?

– Zwyczajnym. – Samończyk uśmiechnął się do Swiga. – Chętnie bym jeszcze pogadał, ale mam jakieś gówna do sprzątnięcia.

Oddalił się wolno.

– Kim jest George Orson? – zapytał Swig.

– Jednym z pańskich byłych pracowników. – odrzekł Milo, przyglądając się dyrektorowi czujnie.

– Nie mogę wszystkich znać osobiście. Dlaczego pan o niego pyta?

– Bo znał pana Peake’a. W dawnych, dobrych czasach.

Swig miał do nas mnóstwo pytań, ale Milo nie był skory do zwierzeń. Kiedy zjechaliśmy windą prosto do piwnicy, z rozmysłem zarządził obchód kuchni, spiżarni, pralni i magazynów. Wszędzie lekko cuchnęło zgnilizną, na każdym kroku spotykaliśmy strażników i pielęgniarzy, których w poszukiwaniach wspomagali odziani na pomarańczowo dozorczy. Kucharze w białych fartuchach odprowadzili nas spojrzzeniami. W kuchni na widoku znajdowały się stojaki z nożami. Przyszedł mi na myśl Peake, jak przechodzi tędy i postanawia przypomnieć sobie dawne, dobre czasy.

Milo znalazł cztery położone na uboczu schowki. Sprawdził drzwi do nich – były pozamykane na klucz.

– Kto poza personelem klinicznym ma klucze? – zapytał.

– Nikt.

– Ci ludzie też nie? – Wskazał dozorców.

– Ani oni, ani nikt, kto nie jest bezpośrednio zaangażowany w opiekę nad pacjentami. Od razu uprzedzę następne pytanie, pracownicy spoza kliniki wchodzą frontowym wejściem, tak samo jak wszyscy inni. Strażnicy sprawdzają ich dokumenty.

– Nawet jeśli rozpoznają twarz?

– Tak działa nasz system.

– Czy personel kliniczny zabiera klucze do domu?

Swig nie odpowiedział.

– Tak czy nie?

– Tak. Zdawanie dziesiątków kluczy każdego dnia prowadziłoby do bałaganu. Jak już powiedziałem, zmieniamy zamki. Jeśli nawet nic się nie wydarzy, to co roku wymieniane są wkładki.

– Co roku... – powtórzył Milo. Wiedziałem, co mu chodzi po głowie – George Orson odszedł z pracy pięć miesięcy temu. – Kiedy to przypada?

– Będę musiał sprawdzić. O co konkretnie panu chodzi?

Milo go wyprzedził i ruszył przodem.

– Obejrzyjmy jeszcze rampę.

Dwadzieścia metrów odkrytej, betonowej przestrzeni, opatrzonej sześciorgiem metalowych, pordzewiałych drzwi.

– Jak się je otwiera? – spytał Milo dozorcę, ten zaś wskazał mu skrzynkę z przełącznikami na tyłach pomieszczenia. – A na zewnątrz jest oddzielny wyłącznik?

– Zgadza się.

Milo paroma długimi krokami pokonał dzielącą go od skrzynki odległość i wcisnął guzik. Drugie drzwi od lewej podniosły się i wyszliśmy na rampę, wyniesioną na jakieś dwa metry ponad ziemię. Było przy niej dość miejsca, by jednocześnie rozładować trzy, może nawet cztery spore ciężarówki.

Milo zszedł na dół – pokonawszy pięć stopni zniknął w mroku, ale słyszałem, jak chodzi i się rozgląda. Po chwili wdrapał się z powrotem na górę.

– Dokąd prowadzi droga dla samochodów dostawczych? – zagadnął Swiga.

– Do drugiego wjazdu, tego samego, którym przyjeżdżają autobusy z więzienia.

– Wydawało mi się, że to droga przeznaczona tylko dla autobusów?

– Wtedy miałem na myśli ludzi, tylko więźniowie są tamtędy przywożeni – wyjaśnił Swig.

– Spory ruch tu macie.

– Wszystko jest pod kontrolą. Każdy kierowca zostaje zatwierdzony i na żądanie ma okazać dokumenty. Co piętnaście metrów drogę przegradza brama, a karty kodowe zmieniamy co miesiąc.

– Mają karty kodowe... Czyli jeżeli okażą dokumenty, mogą sami otwierać bramy, tak?

– To bardzo znaczące Jeżeli”. Niech pan posłucha, nie jesteśmy tu po to, żeby krytykować system zabezpieczeń, mamy znaleźć Peake’a. Proponuję zwracać baczniejszą uwagę na...

– Acoz pielęgniarzami? – przerwał mu Milo. – Czy mogą przyjeżdżać tą drogą?

– W żadnym wypadku. Czemu tak się pan tego uczeplił? I co ma z tym wszystkim wspólnego ten wasz Orson?

Od zachodniego ogrodzenia usłyszeliśmy jakieś pokrzykiwania. Niektóre świetlne punkciki – latarki – zaczęły się powiększać.

Zespół poszukiwawczy zmierzał w naszą stronę. Milo ponownie zeskoczył z rampy i tym razem poszedłem w jego ślady. Swig zawahał się, ale ostatecznie pozostał na rampie. Kiedy stanąłem obok Mila, zaczynałem już rozróżniać ludzkie sylwetki za latarkami – biegło do nas dwóch mężczyzn.

Jednym z nich okazał się Bart Quan, drugim – jakiś strażnik w mundurze.

Nagle Swig znalazł się obok nas. Dyszał ciężko.

– Znaleźliśmy dziurę w ogrodzeniu – oznajmił Quan. – Od zachodu. Ktoś przeciął siatkę.

Zrobiliśmy sobie prawie kilometrowy spacer. Dziurę w siatce wycięto na wielkość dorosłego człowieka, a potem z powrotem starannie skrecono druty; dostrzeżenie jej w ciemnościach wymagało niezwykle bystrego oka.

– Kto ją odkrył? – spytał Milo.

Mundurowy towarzysz Quana podniósł bez słowa rękę. Był młody, szczupły, śniady. Milo zerknął na jego identyfikator.

– Jak pan na nią trafił, panie Dalfen?

– Sprawdziłem zachodni kraniec terenu.

– Znalazł pan coś jeszcze?

– Na razie nie.

Milo skierował latarkę Dalfena na ogrodzenie.

– Co jest po drugiej stronie?

– Bity trakt – odrzekł Swig. – Właściwie trudno mówić o drodze.

– Dokąd prowadzi?

– Na wzgórze.

Milo rozkręcił druty, odgiął siatkę i przykucnięty przeszedł przez dziurę.

– Ślady opon – stwierdził. – Czy są tu jakieś szlabany albo posterunki?

– To już nie jest teren szpitala – przypomniał Swig. – Gdzieś musimy postawić granicę.

– A co jest na wzgórzach?

– W tym sęk, że nic. Zupełnie nic. I to przez dobre pięć, sześć kilometrów. Władze okręgu regularnie wycinają drzewa i krzewy, żeby nie było gdzie się schować, a z helikoptera wypatrzylibyśmy tam każdego.

– O wilku mowa – zauważył Milo.

Zanim jeszcze śmigłowce na dobre rozpoczęły patrolowanie okolicy, na miejsce dotarło dziewięć samochodów ludzi szeryfa i furgonetek dochodzeniówki. Swig jeszcze bardziej się najeżył, ale nic nie powiedział. Stał z boku, w kącie, i tylko od czasu do czasu mamrotał coś cicho do krótkofalówki.

Na końcu przyjechało dwóch policyjnych detektywów ubranych po cywilnemu. Patolog obejrzał Dollarda, przeszukał mu kieszenie – były puste. Milo naradzał się z lekarzem. Specjaliści zabrali skrawek papieru z windy i wpakowali go do foliowej torebki.

– Wygląda jak kawałek pantofla – rzekł Swig.

– Jakiego pantofla? – zainteresował się jasnowłosy detektyw, facet po trzydziestce, nazwiskiem Ron Banks. Milo wyjaśnił mu, o co chodzi.

– W takim razie trzeba teraz znaleźć Kopciuszka – rzekł partner Banksa, korpulentny, starszy,

z sumiastym wąsem. Nazywał się Hector De la Torre i w przeciwieństwie do Banksa, który zachowywał śmiertelną powagę, uśmiechnął się. Mimo ponurych okoliczności już na wstępie przypomniał Milowi, że się spotkali. – Na imprezie u Musso i Franka, po zamknięciu sprawy Lisy Ramsey. Mój partner przyjaźni się z kobitką, która ją prowadziła.

– Z Petrą Connor?

– W rzeczy samej.

Banks chyba się zawstydził.

– Na pewno bardzo go to obchodzi, Hectorze – rzekł, a pod adresem Mila dodał: – Może więc zjechał tą windą na dół.

– Pacjenci nie mają do niej wstępu, więc na dobrą sprawę nie ma powodu, żeby znalazł się w niej kawałek papierowego kaptura. Zginęły klucze Dollarda, co oznacza, że Peake mu je zabrał. Reszta personelu była wtedy na zebraniu, więc mógł bez przeszkód zjechać do piwnicy, znaleźć wyjście i zwać. Inna możliwość – strzęp papieru przykleił się komuś do podeszwy.

– Nie było w windzie śladów krwi? – spytał Banks.

– Ani kropelki, całą krew widzieliście w izolatce.

– Czyste cięcie, jak na podejrzenie gardła.

– Patolog twierdzi, że trudno nawet mówić o cięciu, tak jakby Peake raczej nakłuł tętnicę. Krew pociekła tylko z szyi, zamiast trysnąć fontanną. Niewiele brakowało, żeby rana nie była śmiertelna – gdyby ktoś od razu pomógł Dollardowi, facet miałby szansę przeżyć. A tak doznał szoku, stracił przytomność i leżąc wykrwawił się na śmierć. Krew w większości zebrała się pod ciałem.

– Wyływała pod niskim ciśnieniem – dodał Banks.

– Przebicie tętnicy – rzekł De la Torre. – To się nazywa mieć pecha.

– Peake nie jest specjalnie umięśniony – zauważył Milo.

– Wystarczająco, żeby tak pchnąć – odparł De la Torre. – Kto przeciął ogrodzenie? Skąd Peake miałby wziąć narzędzia?

– Oto jest pytanie – przyznał Milo. – Może Dollard zginął od noża, który miał przy sobie, na przykład szwajcarskiego scyzoryka z mnóstwem narzędzi. Ale Peake nie mógł o tym wiedzieć, chyba że Dollard naprawdę go zlekceważył i pokazał mu nóż. Bo alternatywa jest oczywista, Peake miał współnika.

– I co, mamy do czynienia z przemyślanym planem ucieczki? – zdziwił się Banks. – Sądziłem, że ten facet to wariat.

– Wariaci też miewają przyjaciół – rzekł z przekąsem Milo.

– Właśnie – przytaknął De la Torre. – Zajrzyj na zebranie rady miejskiej.

– Ma pan jakieś podejrzenia, kto mógłby być tym współnikiem?

Milo spojrzał na Swiga.

– Proszę poczekać na nas w biurze – powiedział.

– Nie ma mowy. Jako dyrektor ośrodka, sprawuję tu jurysdykcję i muszę wiedzieć, co się dzieje.

– Wszystkiego się pan dowie – zgodził się Milo. – Jak tylko coś ustalimy, pierwszego pana poinformuję, tymczasem jednak...

– Tymczasem jednak muszę być...

Swig nie dokończył zdania, gdyż rozległ się brzęczyk pagera. Zarówno on sam, jak i Milo, Banks i De la Torre sięgnęli do pasa.

– To mój – odezwał się Banks i odczytał wiadomość z wyświetlacza. Wyjął telefon, przedstawił się, chwilę posłuchał, a potem zapytał: Kiedy? Gdzie? – Na dany znak De la Torre podał mu notes. Banks przytrzymał telefon pod brodą i coś zapisał.

Spokojny, niewzruszony pokiwał głową i się rozłączył.

– Kiedy pan po nas zadzwonił, kazałem chłopcom w biurze mieć oko na wszystkie psychopatyczne zbrodnie w okolicy – rzekł. – Nie jest to może blisko, ale pod psychopatię się załapuje. Na piątce, nieopodal Valencii, znaleziono zamordowaną kobietę. – Banks zajrzał do notatek. – Biała, wiek od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu lat, rozliczne rany klute tułowia i twarzy, strasznie pokiereszowana. Patolog twierdzi, że zginęła nie dalej niż dwie godziny temu, co by się zgadzało, jeżeli nasz chłoptaş ma wóz do dyspozycji. Ślady opon wskazują, że tak jest. Zwłoki nie zostały tam podrzucone. Jest mnóstwo krwi, tak że prawie na pewno tam właśnie zginęła.

– Jakie ma rany twarzy? – spytał Milo.

– Pocięte wargi, nos, oczy. Facet, który ją widział, mówi, że ktoś poczyna sobie wyjątkowo brutalnie. Wszystko pasuje, nie?

– Oczy... – powtórzył Milo.

– Mój Boże – wyszeptał Swig.

– Znaleziono ją na drodze numer pięć, tak? – powiedziałem. – Na kierunku północnym?

– Owszem – przyznał Banks i wszyscy spojrzeli na mnie zaintrygowani.

– To droga do Treadway – wyjaśniłem. – On wraca do domu.

Ostatnia nowina dobiła Swiga – skurczył się i zgarbił, jak młody chłopak, któremu przypadła w udziale praca starca. Milo nie zwracał na niego uwagi, bez przerwy konferując przez telefon. Najpierw połączył się z drogówką, potem zawiadomił o sytuacji szeryfów miasteczek w pobliżu Treadway i ostrzegł Bunker Protection. Ci ostami musieli sprawić mu trochę kłopotu, bo kiedy się rozłączył, trzasnął klapką aparatu z taką siłą, że omal jej nie złamał.

– Dobra, zobaczmy, czego się dowiemy – rzekł do Banksa i De la Torre, a pod adresem Swiga dodał: – Proszę mi wydać akta osobowe George’a Orsona.

– Są na dole, w archiwum.

– W takim razie tam właśnie się teraz udamy.

Archiwalne skarby kryły się za jednymi z nie oznakowanych drzwi obok gabinetu Swiga. Pokój był ciasny, całkowicie zastawiony czarnymi szafkami. Teczka Orsona znajdowała się tam, gdzie powinna. Milo otworzył ją, a ludzie szeryfa czytali mu przez ramię.

Brakowało zdjęcia, ale opis George’a Orsona pasował idealnie do Derricka Crimmins: metr osiemdziesiąt osiem wzrostu, siedemdziesiąt pięć kilogramów, trzydzieści sześć lat. Jako adres do korespondencji podano skrytkę pocztową na rogu Pico i Barrington. Nie było numeru telefonu.

– Co ten facet ma właściwie na sumieniu? – zagadnął Banks.

– Całą serię oszustw, a prawdopodobnie także zabójstwo rodziców i brata.

– Nie do wiary... – stęknął Swig. – Jeżeli go zatrudniłszy, papiery musiał mieć w nienagannym porządku. Władze stanowe zdejmują odciski palców...

– Nic mi nie wiadomo o tym, żeby kiedykolwiek został aresztowany, więc odciski palców na niewiele się zdadzą – zauważył Milo, przerzucając strony. – Kurs pielęgniarski ukończony w Orange Coast College... Na razie nie ma sensu iść tym tropem, bo mało nas obchodzi, czy fałszował dokumentację szkoleń. Czy po zwrocie kluczy powinno zostać jakieś pokwitowanie? – zapytał Swiga.

– Akta są w porządku, więc musiał zdać klucze. Wszelkie odstępstwa od zasad...

– ...Są natychmiast wyłapywane przez system, wiem. Oczywiście nawet jeśli je zdał, to biorąc pod uwagę, że mógł je zabierać do domu, miał niejedną okazję, żeby dorobić sobie własne.

– Każdy klucz jest wyraźnie oznakowany „Nie kopiować”.

– Rany... Rzeczywiście można się przestraszyć – przyznał De la Torre.

Swig oparł się o najbliższą szafkę.

– Nie mieliśmy powodu, żeby się czymś takim przejmować. Istniało tylko ryzyko, że ktoś włamie się do nas z zewnątrz. Dlaczego wciąż się pan czegoś czepia, zamiast go szukać? Po co miałby tu wracać?

– Pewnie polubił atmosferę tego miejsca – odrzekł Milo. – Albo odpowiada mu nowa klimatyzacja. – Podniósł wzrok na wbudowaną w środek sufitu kratkę. – A co z przewodami wentylacyjnymi? Nie są przypadkiem na tyle szerokie, żeby ktoś się nimi przecisnął?

– Nie, nie, nie – zaprzeczył Swig w nagłym przyływie pewności siebie. – Z całą pewnością nie. Wzięliśmy to pod uwagę planując instalację i użyliśmy wąskich przewodów – mają piętnaście centymetrów średnicy. Były z nimi problemy techniczne, dlatego tyle to trwało... Chodzi mi tylko o Peake'a. Czy mamy dalej szukać?

– A są powody, żeby zaprzestać poszukiwań?

– Skoro zabił tę kobietę na autostradzie, to jest już daleko stąd.

– A jeżeli jej nie zabił?

– No właśnie... Muszę iść, dopilnować poszukiwań.

– Oczywiście. Proszę robić, co do pana należy.

Na dworze świetliki latarek wciąż tańczyły swój chaotyczny taniec, od czasu do czasu oślepiane tnącymi mrok szperaczami śmigłowców. Milo krzyknął na strażnika, żeby wyprowadził nas poza teren szpitala.

Z przysłanymi przez szeryfa detektywami spotkaliśmy się ponownie na parkingu, przy aucie Mila. Biała furgonetka patologa jeszcze nie odjechała, podobnie jak i reszta wozów policyjnych oraz groszkowozielony sedan, który musiał należeć do Banksa i De la Torre.

– Jaką mamy teorię? – zapytał Banks. – Ten Orson, czy jak tam naprawdę się nazywa, zakradł się do szpitala i uwolnił Peake'a? A motyw?

Milo wyciągnął rękę w moim kierunku.

– Motyw jest na razie niejasny – odparłem. – Może mieć coś wspólnego z dawną zbrodnią Peake'a, bo Crimmins i Peake znają się od lat. Udział Crimminsa w tamtej masakrze jest niewykluczony – a teraz powiedziałbym nawet, że bardzo prawdopodobny. Albo namówił Peake'a do zabicia Ardullów, albo zadziałał bardziej subtelnie.

W kilku słowach opisałem długoletni zatarg między Ardullami i Crimminsami.

– Forsa – stwierdził De la Torre.

– Po części tak, ale na pieniądzech sprawa się nie kończy. Źródłem konfliktu była walka o władzę, pragnienie dominacji i umiłowanie inscenizacji. Orson, czyli Derrick Crimmins, uważa się za artystę. Wydaje mi się, że morderstwo jest dla niego wielkim osiągnięciem twórczym. Wiemy, że pracuje nad filmem zatytułowanym „Krwawa przechadzka”. Co najmniej trzy związane z jego powstaniem osoby nie żyją, a zapewne na tym nie koniec. Sądzę, że Crimmins przewidział jakąś rolę i dla Peake’a, ale na razie nie potrafię powiedzieć jaką. Teraz zaś uznał, że czas wprowadzić go na scenę.

– To wariat – stwierdził De la Torre.

– Co ty powiesz, Hectorze. – Banks obejrzał się przez ramię na dziedziniec szpitala. – Czyli Crimmins też jest obłąkany, tak? Zatrudnili tu psychotyka?

– Crimmins jest klasycznym przypadkiem psychopaty – odparłem. – Zdrowy na umyśle, ale przeżarty złem. Niektórzy psychopaci nie wytrzymują napięcia i pękają, ale rzadko się to zdarza. Ogólnie rzecz ujmując – nie umie sobie życia poukładać: pieniądze przepuszcza błyskawicznie, nie potrafi długo wytrwać w żadnej robocie, podejmuje się prac, które uważa za poniżające, i gdzieś w głębi duszy jest z tego powodu wściekły. Daje upust tej wściekłości, atakując innych, ale jest przy tym w pełni świadomy tego, co robi. Zachowuje środki ostrożności: zmienia nazwiska i adresy, robi przekręt za przekrętem. To bardzo racjonalne działania.

– Zachowuje się racjonalnie – powtórzył De la Torre – tylko po prostu lubi zabijać. – Podkreślił mocno węża, aż się skrzywił. – Dobra, wróćmy do tego Peake’a. Z tego, co pan mówi, wynika, że to typowy przykład obłąkanego mordercy, który w szpitalu przemienił się w żywą roślinkę, bo za bardzo szprycowali go lekami. Jeżeli jednak miałby współuczestniczyć w ucieczce, musiałby mieć znacznie lepiej poukładane w głowie niż warzywo. Czy myśli pan, że udawał wariata?

– Ci z czwartego piętra cały czas tak robią – mruknął Milo.

– I rzadko im się udaje – uzupełniłem. – Peake jest prawdziwym schizofrenikiem. W jego wypadku to nie jest kwestia albo-albo, tylko raczej problem natężenia psychozy. Na optymalnym poziomie tioridazy na może mu rozjaśniać umysł – nawet na tyle, żeby współpracował przy ucieczce. Zresztą obecność samego Crimminsa nie jest tu bez znaczenia, odegrał przecież w życiu Peake’a nader znaczącą rolę. Bóg jeden wie, jakie fantazje obudziło jego pojawienie się na oddziale.

– Przypomniawszy sobie dawne, dobre czasy – rzekł Milo. – Jak na jakimś przeklętym zjeździe rodzinnym. Kiedy Crimmins zaczął tu pracować, z miejsca zwrócił uwagę na niedociągnięcia systemu. To dla niego frajda. Założę się, że w parę tygodni dorobił sobie klucze do wszystkich drzwi w szpitalu. Wiemy, że odrabiał nadgodziny na oddziale Peake’a, czyli mógł wpadać tam, kiedy chciał, nie budząc podejrzeń. Wystarczyło, że przypiął sobie identyfikator. – Pokręcił głową. – Dla Peake’a musiał być symbolem wybawienia.

– Crimmins już raz nad nim zapanował – ciągnąłem. – Wie, że Peake jest z natury bierny. Podsuwa mu nóż. Nikt nie szuka broni w izolatce, bo przecież Peake od szesnastu lat nie jest w stanie normalnie funkcjonować. Potem daje mu znać, że czas działać. Peake zarzyna Dollarda i opuszcza oddział windą służbową. Dollard był idealnym celem ataku, bo nie przejmował się nadmiernie przepisami. A jeżeli był zamieszany w handel lekami z Crimminsem, ten miał dodatkowy powód,

żeby go sprzątnąć. Pytałeś Swiga, czy Dollard miał dostęp do szafek z lekami, więc to samo chodziło ci po głowie. Zresztą może Crimmins przeniknął na oddział i osobiście załatwił Dollarda? Przychodząc w porze zebrania wiedział, że tylko z nim będzie miał do czynienia.

– Jaki handel lekami? – zainteresował się Banks.

Milo objaśnił mu naszą teorię, popartą samochodami na podjeździe, które tak denerwowały Marie Sinclair.

– Czy może być coś lepszego niż prochy prosto z apteki? Dollard działa w szpitalu, Crimmins na ulicy. To dlatego Dollard tak się denerwował, kiedy co i rusz wracaliśmy do Starkweathera – bał się, dureń jeden, że odkryjemy interesy, jakie prowadzi na boku. Zdradził się ze swoimi obawami Crimminsowi, ten doszedł do wniosku, że nie może mu dłużej ufać i wydał wyrok. Crimmins ma wprawę w załatwianiu niejasnych spraw, a Dollard zaczynał się łamać.

– To brzmi... Bardzo ciekawie – rzekł Banks.

– Z braku faktów muszę trochę koloryzować – przyznał Milo.

– Mniejsza o szczegóły – ciągnąłem. – Możemy się domyślać, że Crimmins zwiózł Peake’a na dół służbową windą. Podejrzewam, że wszedł na teren szpitala dziś wieczorem przez tę dziurę w siatce, przeszedł przez dziedziniec na tyłach, może schował się w jednym z aneksów – nie byłoby to trudne, bo cały czas stoją puste. Podejście pod szpital od strony wzgórz również nie nastrecza kłopotu. Crimmins ścigał się kiedyś na motocyklach terenowych, mógł sobie ściągnąć taki motor albo wręcz samochód.

– Gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla waszej ofiary? – spytał Banks. – Tej Argent?

– Mogła wpaść na trop afery z lekami – wtrącił Milo. – Albo dowiedzieć się od Peake’a czegoś, czego nie powinna.

– Albo była zamieszana w tę sprawę.

Cisza.

– Dlaczego Peake miałby zacząć wygłaszać prorocтва? – zapytał De la Torre.

– Dlatego, że nadal jest psychotykiem – odparłem. – Crimmins popełnił błąd, odsłaniając się przed nim. Liczył na to, że Peake będzie trzymał gębę na kłódkę. Nie zapominajmy, że przez szesnaście lat ani pisał na temat zabójstwa Ardullów i dopiero ostatnio coś – zapewne opieka Claire – sprawiło, że trochę się otworzył, zaczął mówić i ujrzał się w roli ofiary, męczennika. Kiedy wspomniałem mu o Ardullach, przybrał pozę ukrzyżowanego. Mógł więc stanowić dla Crimminsa zagrożenie. Kto wie, czy Crimmins nie przeznaczył mu roli ofiary.

– Raczej nie, jeżeli to on posiekał tę kobietę na międzystanowej.

– W tym przypadku jedno nie wyklucza drugiego.

Banks przyglądał klapy marynarki i podniósł wzrok na śmigłowce: poszukiwania prowadzono teraz dalej na zachodzie.

– Jest jeszcze coś – przypomniał sobie Milo. – Ogrodzenie przecięto jakiś czas temu, końcówki drutów zdążyły się utlenić.

– Crimmins przeciwiczył tę rolę – wyjaśniłem. – Tak jak każdą inną, bo w ten właśnie sposób postrzega życie – jako jedno wielkie przedstawienie. Przyszedł odpowiednio wcześniej i przygotował sobie scenę.

– Co za ironia losu – rzekł Banks. – W takim miejscu pozwala się ludziom brać klucze do domu.

– Nie żeby miało to wielkie znaczenie – zauważył De la Torre i zwrócił się do Mila: – Widział pan kiedyś więzienie o zaostrzonym rygorze, w którym nie byłoby narkotyków i broni? Może poza domem mojej teściowej.

– Nieludzkiej natury niektórych nie da się powstrzymać – powiedział Banks. – Mówi pan, że Crimmins i Peake wracają teraz do swojego rodzinnego miasteczka? Po co?

– Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to ciąg dalszy przedstawienia. Powrót do domu jest elementem scenariusza. Nie rozumiem tylko, dlaczego Crimmins miałby zostawić tę kobietę na autostradzie? Zupełnie jakby chciał zwrócić naszą uwagę na Treadway. Może nie funkcjonuje już tak dobrze, a może całkowicie się mylę – Peake nie miał współnika w ucieczce i wszystkich nas wykiwał. Jest wyrachowanym, chciwym krwi potworem i będzie zabijał przy każdej sposobności.

Banks zajrzał do swoich notatek.

– Mówił pan, że w morderstwie Ardullów mogło chodzić o pieniądze. Dlaczego w takim razie zginęły i dzieci?

– Zniszczyłeś mi rodzinę, ja zniszczę twoją – jest w tym jakaś sprawiedliwość, prymitywna i pokręcona, ale zawsze. Derrick wszystko sobie zaplanował, ale w wieku dwudziestu lat zabrakło mu odwagi i zimnej krwi, żeby samemu dokonać masakry. Wtedy to na scenie pojawił się Peake – wioskowy wariat, który mieszka u Ardullów – i wszystko zagrało. Derrick i Cliff zaczęli spędzać z nim coraz więcej czasu, podsuwając mu świerszczyki, prochy, alkohol, klej, farbę... Psychopata nie jest zdolny do refleksji nad samym sobą, ale świetnie wyczuwa patologię u innych. Może zatem Derrick dostrzegł załążki gwałtu u Peake'a i tak się ustawił, żeby je wykorzystać do swoich celów. Nic nie ryzykował. Gdyby Peake nie zadziałał, nikt by się nie dowiedział, że bracia próbowali nim manipulować. Gdyby nawet coś powiedział, to kto by mu uwierzył? On jednak dał sobą pokierować – i Derrick zebrał obfite żniwo. Staremu Crimminsowi udało się wreszcie sprzedać ziemię, rodzina się wzbogaciła i przeprowadziła na Florydę, gdzie bracia mogli przez jakiś czas grać beztrudnych playboyów. To się nazywa pozytywne wzmocnienie. Dlatego właśnie twierdzę, że Peake ma ogromny wpływ na Crimminsa.

– Wtedy Derrick się nie martwił, że Peake zacznie śpiewać, ale teraz sytuacja się zmieniła – mówił dalej Milo. – Ktoś chciał go słuchać.

– Niewykluczone, że Claire była zamieszana w handel prochami, ale dopóki nie znajdziemy na to dowodów, możemy przyjąć, że zginęła, bo dowiedziała się od Peake’a, że nie działał sam. Uwierzyła mu, uwierzyła w niego, bo przede wszystkim zależało jej na znalezieniu wytłumaczenia dla tego, co zrobił jej brat. I symbolicznym odkupieniu jego winy.

– Symbolicznym... – mruknął De la Torre. – Skoro podejrzewała Crimminsa, to po co pakowała mu się do samochodu?

– Może związała się z nim, zanim Peake coś chlapanął. Crimmins pozował na mistrza kina, upartego niezależnego filmowca, który próbuje zgłębić tajniki ludzkiego szaleństwa czy coś w tym guście. Swoją wytwórnę nazwał nawet „Thin Linę”, cienka linia, jakby miał na myśli granicę między poczytalnością i obłędem. Mógł ją poprosić, żeby została jego konsultantem merytorycznym. Facet miał dryg do oszustw i wierzę, że Claire mogła dać się nabrać.

– Zapomniałeś o jeszcze jednej rzeczy – zauważył Milo. – Jeśli nawet Peake coś jej powiedział, to mówił o Derricku Crimminsie, a ona poznała George’a Orsona.

Zatkało mnie.

– Masz rację... O wszystkim mu powiedziała, sama wydała na siebie wyrok śmierci.

– Obrażenia oczu, tak jak u dzieci Ardullów. Tylko on naprawdę widzi, on i nikt inny. – Milo przejechał dłonią po twarzy. – Chyba że po prostu lubi chlastać ludziom oczy.

– Prawdziwe wcielenie zła – rzekł cicho Banks. W jego głosie dało się wyczuć napięcie. – A my nie wiemy, gdzie go szukać.

Helikoptery przeskoczyły jeszcze dalej na zachód. Białe snopy światła przeczesywały wzgórza i to, co leżało za nimi.

– Szkoda paliwa – uznał De la Torre. – Facet na pewno ma wóz.

Milo wraz z zastępcami szeryfa jeszcze przez jakiś czas gdzieś wydzwaniali – właściwie gdyby ubrać ich w lepsze garnitury, to wyglądałoby jak maklerzy na tropie wielkiej forsy. Ich wysiłki przyniosły jednak mierny wynik, Peake rozplątał się bez śladu. Milo spojrzął na zegarek.

– Dziesiąta pięćdziesiąt. Jeżeli dziennikarze mają pod ręką skaner radiowy, to za dziesięć minut usłyszymy o wszystkim w wiadomościach.

– Co nie byłoby takie złe – zauważył Banks. – Może ktoś go widział?

– Wątpię, żeby Crimmins pozwolił mu się pokazywać – powiedziałem.

– Jeżeli w ogóle są razem.

– Chłopcy z drogówki powiedzieli mi, że zwłoki ofiary trafiły już do kostnicy – rzekł Milo. – Chyba tam zajrzę.

– Doskonale. Wymieńmy się numerami telefonów – zaproponował Banks. – Będziemy w kontakcie.

– Dobra. Pozdrów Petrę.

– Nie ma sprawy. – Banks spiekl raka. – Jak tylko ją zobaczę.

Kiedyś Milo pędziłby przez eukaliptusowy zagajnik na złamanie karku, teraz jednak jechał najwyżej trzydzieści na godzinę, z włączonymi długimi światłami, i rozglądał się uważnie na boki.

– To idiotyzm – mruknął wreszcie. – Wiem, że to niemożliwe, żeby kręcili się gdzieś w pobliżu, a mimo to odruchowo ich szukam.

– Siła przyzwyczajenia – skomentowałem.

Zaśmiał się głośno.

– Zawsze znajdziesz jakiś zgrabny eufemizm.

– No dobrze, przeistaczasz się w psa. Pod wpływem służby upodabniasz się do ogara.

– No nie, psy mają lepszy węch. Dobra, podrzucę cię gdzieś.

– Nie ma mowy. Jadę z tobą.

– Po co?

– Siła przyzwyczajenia.

Przykryte prześcieradłem zwłoki leżały na stole pośrodku pokoju. Nocny dyżur pełnił człowiek nazwiskiem Lichter, brzuchaty, siwowłosy i zadziwiająco mocno opalony. Dokumenty wypełnił detektyw z drogówki, niejaki Whitworth.

– Rozminęliście się z nim panowie o kilka minut – rzekł Lichter. Śniada skóra sprawiała, że kojarzył mi się z aktorem, któremu kazano grać pracownika kostnicy. Czyżbym już na każdym kroku dostrzegał zjawy z Hollywood?

– Gdzie stąd pojechał? – spytał Milo.

– Wrócił na miejsce zbrodni. – Lichter oparł się o stół i obrzucił prześcieradło łagodnym spojrzeniem. – Właśnie miałem jej znaleźć jakąś szufladę.

– Strzał w tył głowy? – odczytał Milo z raportu.

– Skoro tak napisali...

Milo odsłonił twarz zabitej, a raczej to, co z niej zostało. Głębokie rany przecinały ją we wszystkich kierunkach, spod rozoranej skóry przezierały kości, mięśnie i ścięgna. Oczy przypominały dwie przerośnięte maliny. Gęste włosy – jasnobrązowe w miejscach, gdzie nie pokrywała ich zakrzepła krew – rozsypały się na blacie. Smukła szyja, poplamiona krwią, ale nietknięta; tylko twarz została zmasakrowana. A oczy... Cięcia utworzyły na powierzchni gałek szkarłatną siatkę, makabrycznie podobną do kratki opiekacza. Spod posoki gdzieś tam przezierały piegi. Żołądek podszedł mi do gardła.

– Rany... – jęknął zasmucony Lichter. – Jeszcze jej nie oglądałem.

– Czy panu też wydaje się, że to skutki strzału w głowę?

Lichter pośpiesznie podszedł do stojącego w kącie biurka i wziął do ręki plik spiętych zszywką papierów. Zaczął je przeglądać.

– Tu też tak piszą – rana postrzałowa potylicy. Kuli nie wydobyto. Założył rękawiczki i wrócił do nas. Ostrożnie przekrzywił głowę zabitej, pochylił się nad nią i zmrużył oczy.

– Proszę spojrzeć.

Z tyłu czaszki widniał okolony czerwoną obwódką otwór. Krawędzie miał osmalone, a na szyi widniały czarne punkciki.

– Proch wbity pod skórę – rzekł Lichter. – Ja tu tylko przenoszę trupy, ale to chyba oznacza strzał z bliska, nie? – Delikatnie ułożył głowę na blacie. Popatrzył na nią smętnie. – Może ktoś najpierw ją zastrzelił, a potem pociął? I to chyba siekierą albo maczetą. Widać, że ostrze było grube, prawda? Może nie będę się już wymądrzał, tylko patologowie mają prawo do własnej opinii.

– Kto dziś w nocy jest na dyżurze?

– Doktor Patel. Musiał wyjść, ale lada chwila wróci i nas oświeci.

Lichter chciał już przykryć zwłoki, ale Milo przytrzymał prześcieradło.

– Strzał w głowę, a potem liczne cięcia – powiedział. – Na poboczu autostrady.

– Proszę mnie nie cytować – zastrzegł się Lichter. – Nie wolno mi tak spekulować.

– Ale wydaje mi się, że pana domysły są słuszne. Teraz musimy się tylko dowiedzieć, kim była.

– O, to już wiemy. Od razu na miejscu zdjęli jej odciski – bez trudu, bo palce miała całe. Detektyw Whitworth powiedział, że znalazł ją w kartotece. Proszę chwilę poczekać.

Lichter wrócił do biurka i przejrzał jakieś inne papiery.

– Była notowana, chyba za narkotyki... O, jest: Hedy Lynn Haupt, biała kobieta, lat dwadzieścia sześć, aresztowana dwa lata temu na podstawie paragrafu jedenaście tysięcy trzysta pięćdziesiąt jeden i pół, posiadanie kokainy na własny użytek lub na sprzedaż... Znam ten numer na pamięć, bo mnóstwo takich ludzi tu trafia. Jest też adres.

Milo trzema krokami pokonał dzielącą ich odległość i wziął od Lichtera dokumenty.

Hedy Haupt – powiedziałem w myślach, pochylając się nad ciałem.

Zbliżywszy twarz na odległość paru centymetrów od zmasakrowanej głowy, poczułem słodki, metaliczny zapach krwi, siarczany odór uwolnionych gazów i jakąś lekką, kwiatową woń... perfumy.

Skóra kobiety przybrała ten niepowtarzalny, szarzielony odcień – przynajmniej w miejscach, gdzie nie pokrywała jej rdzawa skorupa zakrzepłej krwi.

Pod wpływem obrażeń jej twarz była nie do rozpoznania; usta umazane krwią, górna warga przecięta na pół... ale jej ogólny zarys wyglądał znajomo. Piegi na nosie i czole, ucho, które nie zostało posiekane na kawałki – popielata muszelka.

Odgarnąłem prześcieradło: kraciasta bluzka, dzinsy, zwarte, wysportowane ciało – tego wrażenia nawet śmierć nie potrafiła zatrzeć. Z kieszeni na piersi coś wystawało, półkole białej, elastycznej materii. Gumka do kucyka.

– Chyba wiem, kto to jest – oznajmiłem.

Milo odwrócił się natychmiast i spojrzał na mnie.

– Hedy Haupt, czyli Heidi Ott. Wiek się zgadza, włosy też, wzrost również... Spójrz na szczękę, ten sam mocny zarys. Tak, jestem pewien. To ona.

Milo przysunął swoją twarz do mojej; poczułem woń potu i starego tytoniu.

– Rany boskie... Jeszcze jedna aktorka?

– Pamiętasz, co krzyczał Chet? Najpierw na spotkaniu, a potem kiedy szliśmy przez dziedziniec? *Cherchez la femme*, czyli „szukajcie kobiety”. Może coś nam chciał powiedzieć; może należy słuchać psychotyków.

Milo chciał jeszcze obejrzyć ciało i dokładnie zapoznać się z dokumentacją wypadku, ja zaś uznałem, że nie mam ochoty ani na jedno, ani na drugie. Wyszedłem, kupiłem w automacie wrzącą, ohydłą kawę i wypilem ją w poczekalni. Kawa niespecjalnie pomogła mi na żołądek, ale przynajmniej nogi mi się rozgrzały.

Siedziałem i myślałem o Heidi, zabitej i okaleczonej na drodze międzystanowej numer 5.

Wszyscy ludzie, których los zetknął z Peakiem i Crimminsem, byli odrzucani jak śmieci. Wyjątkowe okrucieństwo.

Potwory.

Nie, mimo przezwiska, jakie prasa nadała Peake'owi, obaj byli ludźmi; zawsze w ostatecznym rozrachunku chodzi o ludzi.

Wyobraziłem ich sobie, połączonych węzłem, którego natury wciąż nie potrafiłem pojąć, jak śledzą ofiarę, strzelają, masakrują.

Dzieło Crimminsa, najstraszliwszy z możliwych film dokumentalny. W imię czego powstawał? Ile jeszcze ofiar mieliśmy odkryć w mieście?

Donośny odgłos szybkich kroków wyrwał mnie z zamyślenia. Nienagannie uczesany Hindus, mężczyzna po czterdziestce, minął mnie bez słowa i zniknął w kostnicy; zapewne doktor Patel. Znalazłem automat telefoniczny i zadzwoniłem do domu. Robin spała i w słuchawce odezwała się automatyczna sekretarka. Powiedziałem jej, żeby się nie martwiła, bo nie będzie mnie kilka godzin. Dopilem kawę; trochę ostygła, ale wciąż smakowała jak prażona tektura w sosie z cykorii.

Heidi. Notowana za narkotyki... Moje myśli pobiegły w zupełnie nowym kierunku.

Jakbym założył nowe okulary i uzyskał świeże spojrzenie na życie... Z otwartych drzwi kostnicy wypadł Milo. Ocierając czoło z potu wymachiwał kartką papieru, zapisaną pośpiesznym, drobnym pismem. U szczytu kartki widniał znaczek w kształcie konturu ciała – kartka z pamiątkowej papeterii patologa.

– Mam domowy adres Heidi – rzucił Milo. – Jedziemy.

Skierowaliśmy się do windy.

– Gdzie mieszkała? – spytałem.

– W zachodniej części Hollywood, Orange Grove 1300.

– To całkiem blisko parku Plummera, gdzie się z nią wtedy spotkaliśmy.

– I całkiem blisko mojego domu, do cholery! – Milo niecierpliwie wcisnął guzik windy. – No chodźże tu, szybciej!

– Kto prowadzi dochodzenie? Ludzie szeryfa czy drogówka?

– Drogówka zajęła się samym morderstwem. Rozmawiałem z Whitworthem, który jest na miejscu. Powiedział, że możemy śmiało rozejrzeć się po domu. On zostaje, aby mieć pewność, że znajdą każdy najmniejszy fizyczny ślad na drodze, zanim ruch się nasili.

– Zastrzelili ją i tak porznęli na autostradzie?

– Na zjeździe, bardzo szerokim, ciemnym i wystarczająco odległym, żeby nikt ich nie przyłapał.

– Crimmins zna tę drogę, wychował się przecież w Treadway. Ale to i tak ogromne ryzyko.

– To znaczy, że sytuacja wymyka mu się spod kontroli. Może faktycznie zaczyna się sypać, tak jak mówiłeś, to psychotyk. Zabójstwo Ardullów nie było najlepiej pomyślane; Peake zostawił przecież wyraźne, krwawe ślady. Może Crimmins też powoli pęka.

– Nie wiem... Crimmins to urodzony strateg. Plan ucieczki świadczy o tym, że wciąż działa bardzo sprawnie.

– Co ja ci mam powiedzieć? – Milo wzruszył ramionami. Gdy winda zatrzymała się na naszym piętrze, wskoczył do środka.

– Patolog powiedział coś ciekawego?

– Kula tkwi w czaszce, zamierzają teraz wydobyć. Chcesz, żeby podwiózł cię do domu?

– Nie ma mowy.

– Wyglądasz na wykończonego.

– Ty też nie jesteś wypoczęty.

Parsknął suchym, wymuszonym śmiechem.

– Chcesz gumę do żucia?

– A odkąd to nosisz przy sobie gumę?

– Nie noszę. Ten asystent, Lichter, mnie poczęstował. Mówił, że daje paczuszkę wszystkim glinom, którzy się u niego zjawiają. Za rok przechodzi na emeryturę i ma chęć na odchodnym szerzyć wśród bliźnich dobry humor i świeży oddech.

Na dworze powietrze było nagrzane, gęste i przesycone wonią benzyny. Mimo nocnej pory hałas,

dobiegający z autostrady, wcale nie przycichł. Karetki na sygnale wyjeżdżały ze szpitala okręgowego i wracały z chorymi, ulicą przemykali włóczędzy, pijaczkowie i obywatele w białych kitlach, którzy wcale lepiej nie wyglądali. Nad nami, po wiadukcie śmigały samochody, błyskając światłami. A kilka kilometrów dalej na północ autostrada międzystanowa była wystarczająco spokojna, żeby kogoś na niej dyskretnie zabić.

Wyobraziłem sobie samochód, który nagle zjeżdża na pobocze – ale nie żółtego chevroleta corvette, raczej coś większego, żeby zmieściły się trzy osoby.

Crimmins z Peakiem i Heidi. Na przejażdżce.

Heidi w roli zakładnika? Czy pasażera?

Wyrok za narkotyki.

Przypomniałem sobie spotkanie w parku.

Moja koleżanka z pokoju śpi, więc nie mogłam zaprosić panów do siebie.

Czy na Orange Grove będzie na nas czekać żywa koleżanka? Czy tylko...

Wróciłem myślami do morderstwa na autostradzie. Heidi wysiada z samochodu, zaskoczona pyta Crimminsa, o co chodzi... Albo inaczej – jest związana, zakneblowana i przerażona.

Crimmins każe Peake'owi ją wyprowadzić. Heidi jest silna, ale z łatwością sobie z nią radzą. Wyprowadzają ją daleko od drogi, na skraj zjazdu, gdzie wszystko spowija ciemność.

Czas na ostatnie słowo skazanej czy nie?

To bez znaczenia.

Bum! Oślepiający blask i potworny ból.

Co słyszała umierając? Przejeżdżającą w pobliżu ciężarówkę? Świst wiatru? Dudnienie krwi pod czaszką?

Upada na ziemię. Crimmins daje Peake'owi znak i ten podchodzi bliżej.

Z nożem.

Na wezwanie.

Kamera... Akcja!

Cięcie.

Żołądek wyczyniał mi dziwne harce, gdy wsiadaliśmy do auta. Chciałem wszystko poukładać

sobie w głowie, coś zrozumieć, zanim porozmawiam z Milem. Zapalił silnik, dodał gazu i przemknął przez parking kostnicy. Skręcił w lewo, w Mission.

W Orange Grove, czyli Pomarańczowym gaju, chyba nigdy nie rosły żadne drzewka cytrusowe – była to po prostu jedna z wielu ulic w Los Angeles, pełna małych, identycznych domków. Ten, do którego jechaliśmy, przycupnął za dawno nie strzyżonym żywopłotem z fikusa. Zielony mur nie sięgał jednak asfaltowego podjazdu, toteż bez przeszkód mogliśmy zajrzeć na podwórko i obejrzeć garaż. Nigdzie ani śladu samochodu.

Zaparkowaliśmy auto trzydzieści metrów dalej i pieszo wróciliśmy pod dom. Zatrzymałem się przy krawężniku, Milo zaś z bronią w ręku pobiegł na tyły budynku. Mimo ciemności rzucały się w oczy płyty obłazącej z drewnianych ścian farby. Koloru nie potrafiłem rozpoznać, ale wyglądał mi na odcień beżowego. Między oklapłym gankiem i żywopłotem rozciągał się kwadratowy spłachetek wysuszonego trawnika. Poza tym na terenie posesji nie rosły żadne krzewy.

Milo wrócił do mnie z rewolwerem w garści.

– Chyba pusty – powiedział, dysząc ciężko. – Od kuchni da się łatwo wejść, tak że zaraz tam idę. Czekać, aż cię zawołam.

Minęło pięć minut, dziesięć, dwanaście; maleńka latarka Mila błyskała zza osłoniętych okien jak robaczek świętojański. Wreszcie otworzyły się drzwi frontowe i Milo pomachał, że mogę wejść.

Założył przez ten czas rękawiczki. Szedłem za nim, gdy kolejno włączał światła i z mroku wyłaniała się skąpa przestrzeń mieszkalna. Najpierw z grubsza rozejrzeliśmy się po całym domu: pięć małych, zaniedbanych izdebek, w tym rozsypująca się toaleta. Brudnożółte ściany, spękane szare żaluzje, pozlepiane taśmą klejącą.

Nijakie meble, wynajęte razem z mieszkaniem, stały wszędzie, gdzie tylko zostało choć trochę miejsca. Cały dom był bowiem zastawiony nowiutkimi kartonami, w większości jeszcze nie rozpakowanymi i opatrzonymi drukowanymi naklejkami „OSTROŻNIE” albo „GÓRA”: telewizory, wieże, aparatura wideo, kamery, komputery, kasety, kompakty, dyskietki, naczynia, sztuce, drobny sprzęt domowy. A także całe stopy kaset wideo i filmów Fuji – materiału wystarczyłoby na sfilmowanie tysiąca przyjęć urodzinowych.

W kącie większej sypialni stał stosik mniejszych pudełek, wciśnięty tuż obok nie posłanego, dwuosobowego materaca. Sądząc po etykietach, zawierały dyktafony marki Sony, takie same jak ten, na którym Heidi nagrywała majaczenie Peake’a.

– W garażu jest sprzęt filmowy – rzekł Milo. – Wózki do kamer, wysięgniki, reflektory, cała masa złomu, który nawet nie wiem, jak się nazywa. Całe tony wyposażenia, tak że stos sięga prawie pod sam sufit. Nie widziałem tam wprawdzie piły taśmowej, ale może być schowana głębiej. Potrzeba będzie masy ludzi, żeby się przez to przekopać.

– Wciągnęła ją ta zabawa – przyznałem, ale Milo zniknął w łazience i mi nie odpowiedział. Na

dźwięk wysuwanych szuflad poszedłem do niego i ujrzałem, jak wyjmuje coś z szafki pod umywalką.

Białe, połyskliwe pudełko po butach. Przy rurach odpływowych stało jeszcze kilka identycznych pudeł.

Milo zdjął pokrywkę – w środku znajdowały się białe, plastikowe buteleczki, ułożone w eleganckich rządach w styropianie. Wyjął jedną z nich.

– Fenobarbital – przeczytał na głos.

Pozostałe buteleczki w tym pudełku nosiły takie same etykiety, ale w pozostałych pudłach panowała większa różnorodność: chlorpromazyna, tioridazyna, haloperidol, kłozapina, diazepam, alprazolam, węglan litu.

– Piękna próbka łakoci dla ćpuna – rzekł Milo. – Coś na poprawienie nastroju, coś na pogorszenie, parę środków uniwersalnych... – Obejrzał dno pudełka. – Pieczętka Starkweathera jak byk.

– Świeże leki, w oryginalnych opakowaniach – zauważyłem. – To podbija cenę.

Nagle coś przyszło mi do głowy. Milo grzebał jeszcze w pudełku, ale chyba czymś się zdradziłem, bo zwrócił na mnie uwagę.

– Co się stało?

– Dawno powinienem był się tego domyślić. Ten pies, który zaginął, Buddy... Ciągle o nim myślę, bo gdzieś go już widziałem. Tego dnia, kiedy spotkaliśmy się z Heidi w parku, minął nas wysoki, ubrany na czarno facet ze skundlonym rottweilerem na smyczy. Przeszedł obok naszej ławki, a Heidi zwróciła na niego uwagę, obserwowała go. To on był jej „koleżanką”, która rzekomo miała spać. Splatali nam psikusa. Od początku bawili się z nami w kotka i myszkę. To tyle, jeśli chodzi o spostrzegawczość. Na niewiele nam się teraz przyda.

– Nie przesadzaj – mruknął Milo, zapisując nazwy i ilości lekarstw w notesie. – To ja jestem detektywem, a na tego psa w ogóle nie zwróciłem uwagi.

– Crimmins ukradł go pani Leiber. Zabrał jej go, bo taki miał kaprys, bo nadarzyła się okazja. Chciał mieć poczucie władzy.

– Tu nie ma żadnych śladów obecności psa. – Milo przestał notować. – Ani psiego żarcia, ani nawet miski.

– Właśnie.

– Heidi... – powiedział nagle zmęczonym głosem.

– To rzuca nowe światło na jej opowieści – zauważyłem. – I na proroctwa Peake’a. Rzekome proroctwa.

Milo ścisnął mocniej długopis, nie odrywał ode mnie wzroku.

– Kolejny przekręt.

– Z pewnością. Jedynym dowodem na to, że Peake coś powiedział, były słowa Heidi.

– „Złe oczy doktor A. w pudełku, ciuch ciuch, pif paf”.

– Samo nagranie to też fałszywka. – Zaprowadziłem Milo do głównej sypialni i pokazałem mu pudełka z dyktafonami. – Na taśmie słyszeliśmy tylko mamrotanie, kompletnie niezrozumiałe. Każdy mógł tak bełkotać, ale teraz już wiemy, kto to naprawdę był.

– Crimmins.

– Nagrywał ścieżkę dźwiękową. George Welles Orson. Tak jak mówiłem, ma się za twórcę kina artystycznego – producent, reżyser i aktor w jednej osobie.

Milo zaklął szpetnie.

– Zamordował Claire – ciągnąłem. – Potem podsunął nam Peake’a jako rzekomego proroka, żeby ubarwić fabułę. Może naprawdę myślał, że w przyszłości uda mu się wykorzystać ten materiał. Napisze scenariusz i sprzeda go w Hollywood. Tymczasem my potraktowaliśmy go serio, więc szczerze się uśmieł, że oto znów udało mu się okpić prawo, tak jak wcześniej na Florydzie, w Nevadzie i w Treadway. Dlatego po wyeliminowaniu braci Beatty ponownie zastosował tę sztuczkę i znów wykorzystał do tego celu Heidi. Nic nie ryzykował; wszystkie jego działania, w które zamieszany jest Peake, są pozbawione ryzyka. Od prawie dwudziestu lat nikt nie słyszał, żeby Peake mówił, wobec czego nikt nie zaprzeczy, że to jego głos rozbrzmiewa z taśmy. Przy pierwszym spotkaniu Heidi uprzedziła nas, że zamierza zmienić pracę, dzięki czemu zostając w szpitalu, niejako wyświadczyła ci przysługę. Natychmiast zyskała niezwykłą wiarygodność, przecież policja osobiście poprosiła ją o współpracę. Od tej pory nikt nie widział nic podejrzanego w jej spotkaniach z Peakiem.

– Może poza Chetem.

– *Cherchez la femme* – przyznałem. – Chet pewnie coś zauważył, coś w zachowaniu Heidi go zaniepokoiło. Może zaczęła inaczej traktować Peake’a, a może widział, jak podkradała lekarstwa z dyżurki albo odbierała swoją dolę od Dollarda. Ale któż zwracałby uwagę na majaczenia Cheta? Heidi mogła więc swobodnie działać dalej jako wtyczka Crimminsa. Pracowała w Starkweatherze przede wszystkim dlatego, że on tak chciał. Przyszła do szpitala tuż po tym, jak się zwolnił, i dostawała od niego kolejne zadania. Współpracowała z Dollardem przy szmuglowaniu leków, pilnowała, żeby Dollard ich nie oszukał i asystowała Claire, żeby na bieżąco meldować Crimminsowi o postępach jej pracy z Peakiem. On z kolei musiał przecież rozmawiać z Claire o Peake’u – ich związek opierał się na tej wspólnej fascynacji.

– *Cherchez la femme* – powtórzył Milo. – Crimmins kolekcjonuje kobiety. – Powiódł wzrokiem po kartonach z towarem. – Jeżeli dziś w nocy razem jechali na północ, to prawdopodobnie Heidi

była zamieszana w ucieczkę Peake'a. Jako wtyczka w szpitalu mogła ją bardzo ułatwić, prawda? Kiedy wczoraj się z nią widzieliśmy, spacerowała z Peakim nieopodal służbowej windy. Próba generalna przed dzisiejszą nocą?

– Z pewnością. Musieli z Crimminsem zaplanować próby, bo Peake bez względu na swój obecny stan psychiczny – od szesnastu lat siedział w zamknięciu i nie mogli mu ufać bez zastrzeżeń. Niewykluczone też, że zbliżając się do rozwiązania zagadki, zmusiłeś ich do przyspieszenia realizacji planu. Przecież tego samego dnia pytałeś Heidi, czy Peake nie wspominał o Warku. Zawahała się z odpowiedzią – pewnie zaskoczona, że odkryliśmy ten pseudonim – ale zaraz odzyskała zimną krew. Powiedziała, że Wark brzmi zabawnie i wcale nie przypomina nazwiska. Odwróciła naszą uwagę od Warka, podsuwając nam w zamian Dollarda, zwolnionego z policji za niedopełnienie obowiązków. Dlaczego? Bo Dollard zaczął im przeszkadzać, a od początku był przeznaczony do odstrzału. Crimmins i Heidi postanowili upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, pozbyć się Dollarda i uwolnić Peake'a. Idźmy dalej. Heidi powiedziała coś o Dollardzie, a potem wróciła do Warka i zaczęła nas wypytywać, kim był, czy naprawdę przyjaźnili się z Peakiem... Czemu tak ją to zainteresowało? Chciała wysondować, co naprawdę wiemy, a my daliśmy się podejść, bo uważaliśmy ją za sprzymierzeńca.

– Niezła aktorka.

– Opanowana młoda dziewczyna. Pewnie zaraz po naszym wyjściu zadzwoniła do Crimminsa i dała mu znać, że namierzamy jego *alter ego*. Postanowił działać.

– Opanowana... Nieszczególnie jej się ten spokój opłacił.

– Opanowana, ale i lekkomyślna zarazem. Wyrok za posiadanie koki nie zniechęcił jej do podkradania leków ze szpitala. Skłonność do igrania z niebezpieczeństwem sprawiła też, że zainteresowała się Crimminsem. Sama nam mówiła, że lubi ryzyko – wspinaczkę, skakanie ze spadochronem. Sama ci napomknęła, że to nielegalne. Pomyśl tylko, przyznała się przed gliną do popełnienia przestępstwa. Z uśmiechem na ustach; kolejna mała gierka. Zagrożenie jądniem i pewnie przede wszystkim dlatego związała się z Crimminsem. Castro mówił nam, że Derrick i Cliff byli ryzykantami. Myślę, że Derrick poznał Heidi w jakimś klubie sportów ekstremalnych.

– Wspólna pogoń za adrenaliną – mruknął Milo. – Potem pierwsze wrażenie osłabło, więc zaczęli szukać nowych podniet.

– W zbrodniach Crimminsa obecny jest wprawdzie wątek korzyści majątkowych, ale od początku twierdziłem, że głównym motywem jest dreszczyk emocji, jaki wtedy czuje. Crimmins uwielbia tworzyć własne, pokręcone światy, które może w pełni kontrolować. Pisze scenariusz, obsadza aktorów i traktuje ich jak pionki w grze, pozbywa się, gdy odegrają swoją rolę. Dla psychopaty takie życie to istny raj. Heidi kierowała się podobnymi motywami, ale nie była szalona. Traktowała wszystko jak wielką przygodę, lecz popełniła błąd, uznając się za współniczkę, podczas gdy w rzeczywistości była tylko kolejną statystką Crimminsa. Zdziwiła się pewnie niepomiernie, kiedy Crimmins zjechał na pobocze i kazał jej wysiąść.

Nie było mi zbyt wesoło, ale nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

– O co chodzi? – zdumiał się Milo.

– Wiesz, co mi przyszło do głowy? Gdyby Crimmins miał więcej szczęścia i przebił się do Hollywood, pewnie do żadnej tragedii by nie doszło.

Milo powiódł wzrokiem po pokoju. Ja również się rozejrzałem: ciasno, ciemno, puste ściany. Heidi i Crimmins zupełnie co innego rozumieli pod pojęciem wystroju mieszkania: okrutne zagadki, krwawe sceny, zrodzone w zakamarkach umysłu...

– Spróbujemy odtworzyć przebieg ucieczki, po kolei – zaproponował Milo. – Dwie osoby przedostają się na teren szpitala: Crimmins wchodzi od tyłu, przez dziurę w siatce, Heidi zaś wjeżdża normalnie, główną bramą, jak co wieczór. Udaje się prosto na oddział C, do izolatki i przygotowuje Peake'a do ucieczki. Wszyscy pielęgniarze są na cotygodniowym zebraniu, tylko Dollard zostaje na straży. Heidi zwabia go do pokoju Peake'a – to nic trudnego, wystarczy powiedzieć, że Peake źle się poczuł albo zaczął wariować i znów udaje Chrystusa. Dollard wchodzi i zamyka za sobą drzwi, to standardowa procedura w takich wypadkach. Idzie obejrzyć Peake'a, ten zaś albo się na niego rzuca, albo nie. Nieważne, bo to Heidi dopada Dollarda i podrzyna mu gardło. Albo odwraca jego uwagę i pozwala Peake'owi ciąć... Sprawdza, czy nikt nie kręci się po korytarzu, po czym prowadzi Peake'a do służbowej windy. Nie ma przy niej licznika pięter, więc nikt nie zauważy, dokąd jedzie. Zjeżdżają do piwnicy i wychodzą.

– Crimmins zaś czeka ukryty w jednym z aneksów albo w okolicy – mówiłem dalej. – Spotykają się i wspólnie z Heidi wyprowadzają Peake'a przez dziurę w ogrodzeniu. Heidi wraca i opuszcza szpital tą samą drogą, którą przybyła – przez główną bramę. Crimmins z Peakiem docierają tymczasem do wzgórz, gdzie mają schowany samochód albo motor terenowy. Peake nie jest w szczytowej formie, ale Crimmins jako doświadczony wspinacz dobrze zna wzgórzka i bez trudu holuje go ze sobą. Gdyby przyjąć, że to Heidi raniła Dollarda, wyjaśniłoby się też, dlaczego zamiast czystego cięcia znaleźliśmy na jego szyi tylko ukłucie. Była silna i pozbawiona skrupułów, ale jeżeli nigdy wcześniej w ten sposób nie zabijała, zabrakło jej doświadczenia. Trzeba sporego samozaparcia, żeby poderznąć komuś gardło. Poza tym należy pamiętać, że krew z rany może trysnąć szeroko, a Heidi na pewno nie chciała sobie zaplamić ubrania. Trzeba było umiejętnie przejechać nożem po szyi ofiary i w porę odskoczyć; mogę sobie wyobrazić, jak Crimmins udziela jej wskazówek. Skończyło się na tym, że ledwo przebiła Dollardowi tętnicę. Upadł, więc uznała, że nie żyje, on zaś wykrwawiał się powoli, w szoku. Znów dopisało im szczęście, bo nikt w porę nie znalazł Dollarda.

– Coś za dużo tego szczęścia na jednego Crimminsa.

– Za każdy grzech otrzymuje nagrodę. To dlatego nie przestaje grzeszyć.

– Ale mała rana może równie oznaczać, że to Peake ciachnął Dollarda. Po tylu latach w izolatce ma pewnie zanik mięśni.

– Nie, jeżeli założymy, że to on tak zmasakrował Heidi; do zadania takich ran, jakie widzieliśmy na jej twarzy, potrzeba sporej siły. Jak ci się wydaje – siekiera?

– Patel mówił, że albo siekiera, albo jakiś tasak. Pewnie masz rację... Heidi pocięła Dollarda, a Peake ją.

– Zdanie się na Heidi miało dla Crimminsa jeszcze jedną zaletę, nie musiał ukrywać broni w izolatce i martwić się, że ktoś ją znajdzie. Pielęgniarze mają przy sobie noże, sam widziałeś.

Milo zadzwonił do Rona Banksa. Opowiedział mu o lekach i skradzionym sprzęcie, a także o roli Heidi w całej sprawie.

– Tak, na to wygląda... Powęszę jeszcze trochę po jej domu, ale to jest Hollywood, więc może mi pan podesłać paru swoich ludzi, żeby wszystko sfilmowali. Proszę im powiedzieć, że na nich czekam, opisać, jak wyglądam... Żeby nie było nieporozumień. Dzięki. Macie coś nowego? To fakt, czasem można się zanudzić na śmierć... Chyba tak, dalej tam jest... Whitworth. Michael Whitworth.

Po tym telefonie Milo rozpoczął rzetelne przeszukanie domu. W szafie w sypialni znaleźliśmy niebieskie dżinsy, bluzki i żakiety małych i średnich rozmiarów oraz męskie dżinsy – osiemdziesiąt pięć w pasie, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, duże koszulki z krótkimi rękawami, swetry i koszule – wszystko czarne.

– Nie ma to jak w domu – rzekł Milo i poświecił latarką na podłogę. Trzy plastikowe pudła pełne zmiętej bielizny i skarpet stały obok sterty podniszczonych adidasów i kilku par brudnych buciorów na grubej podeszwie. W kącie znaleźliśmy cztery oliwkowe paki wielkości małych poduszek, z mnóstwem pasków, opatrzone napryskanymi przez szablon oznaczeniami wojskowymi. Dalej leżał akwalung, para nart i skrzynka azotynu amylu, często używanego jako łagodny środek pobudzający. Obok stało pudełko sztucznych włosów: zawierało cztery damskie peruki – długą blond, krótką nastroszoną blond, kruczoczną i kręconą marchewkową – i trzy męskie tupeciki, czarne – dwa kręcone i jeden o prostych włosach. Wszystkie miały metki ze sklepu z akcesoriami do charakteryzacji przy Hollywood Boulevard.

– Zabawki – rzekł Milo. – Widziałeś jakieś atrakcyjne tereny wspinaczkowe w okolicy Treadway?

– Za osiedlem piętrzą się góry Tehachapi, ale co innego spacer po wzgórzach, a co innego prawdziwa wspinaczka. Z Peakiem u boku Crimmins wiele nie zdołała, bo nawet jeżeli Peake tylko udawał roślinkę, to żaden z niego Hillary. Poza tym jeżeli Crimmins wraca do Treadway, to raczej z powodów psychologicznych. Myślę, że będzie się trzymał blisko domu.

– Jakie powody psychologiczne masz na myśli?

– To wszystko ma jakiś związek z masakrą Ardullów, nie wiem, może chce ją na nowo zainscenizować do filmu. Od nowa rozpisac na role i jeszcze raz przeżyć swój wielki triumf. Kiedy mieszkał w Treadway, miasteczko było praktycznie podzielone na pół między Ardullów i Crimminsów. Wanda Hatzler mówiła mi, że Meksykanka, którą bracia wyrzucili z samochodu, uciekła na pomoc, na pola Ardullów. To trochę zawęża obszar poszukiwań.

– Tak, tylko dokąd uda się Crimmins? Do Ardullów, bo tam doszło do morderstwa, czy do domu

ojca?

– Nie wiem. Może ani tu, ani tam.

– Co dziś znajduje się na miejscu ich rancz?

– Domy, obiekty sportowe, jezioro...

– Duże rezydencje? Takie, że mogłyby się Crimminsowi kojarzyć z dworkiem Ardullów?

– Aż tak dokładnie się tam nie rozglądałem, ale to duże, nowoczesne osiedle. Nie wiem, czy jego widok coś Crimminsowi przypomni.

– Jest gdzie się schować?

– To dość odsłonięty teren – dwa pola golfowe, jezioro... Gdyby włamali się komuś do domu, ukryją się bez trudu, ale nawet jeśli Crimminsowi coraz bardziej odbija, nie sądzę, żeby zrobił takie głupstwo... Raczej szukałbym czegoś poza granicami osiedla, u stóp Tehachapi. Jeśli Derrick włóczył się w dzieciństwie po okolicy, może mieć jakąś ulubioną kryjówkę.

Milo zadzwonił do Bunker Protection i znów miałem wrażenie, że z najwyższym trudem zachowuje spokój.

– Debilne gliny do wynajęcia – powiedział, rozłączywszy się. – Nic się nie dzieje, nikt podejrzany nie przejeżdżał, tu czas na ziewnięcie... Dobra, czas obejrzeć ten pałac do końca.

Druga sypialnia, ta, którą zajmowali Heidi z Crimminsem, była bardzo wąska – ledwie zmieściło się w niej dwuosobowe łóżko i dwie tanie szafki nocne – i również pozbawiona wszelkich osobistych akcentów. W górnej szufladzie prawej szafki znaleźliśmy na wpół pełne pudełko tamponów, trzy czekoladki „Godiva” w złotych papierkach, dwa batony i woreczek z marihuaną. Dolną część szafki zajmowała damska bielizna, pusta butelka po wodzie mineralnej i pergaminowa koperta z białym proszkiem.

– Jedenaście tysięcy trzysta pięćdziesiąt jeden i pół nie zrobiło na niej wielkiego wrażenia – zauważyłem.

– To było jej pierwsze wykroczenie, więc dostała pewnie coś w zawieszeniu. Jeśli w ogóle ją skazali.

– A to tylko dodało jej pewności siebie. Koka i środki pobudzające też zrobiły swoje.

Milo zajrzał pod materac, obejrzał poszewki i otworzył szafkę Crimminsa: paczka miętusów, dwie zafoliowane prezerwatywy, dwa płaskie opakowania zapalek i cienka książka w miękkiej, papierowej oprawie, zatytułowana „Jak znaleźć sławę i pieniądze w Hollywood: pisanie scenariusza”.

Książkę wydała oficyna Hero Press, jako adres do korespondencji podając skrytkę pocztową w Lancaster, w Kalifornii. Na stronie przedtytułowej można było przeczytać, że Hero Press wydało także „Zakup nieruchomości na kredyt”, „Handel opcjami i towarami na kredyt”, „Uruchom własny interes na kredyt” oraz „Jak dożyć 120 lat: ziołowa recepta na długowieczność”.

– Ktoś wreszcie nabrał naszego spryciarza – rzekł Milo i uklękawszy, otworzył drzwiczki szafki.

Ze środka wyjął czarny, plastikowy segregator. Otworzył go na pierwszej stronie.

U góry widniał napis:

KRWAWA PRZECHADZKA SCENOPIS FILMU FABULARNEGO D. Griffith Crimmins***

*** PREZES DGC PRODUCTIONS, THIN LINE PRODUCTIONS, MENADŻER, REŻYSER, PRODUCENT I AUTOR ZDJĘĆ

Następna strona była upačkana i zatłuszczona, zawierała zaś kilka skreślonych długopisem, lekko biegnących ku górze wersów. Pismo wyglądało niezwykle – ostre, kanciaste litery przywodziły na myśl hieroglify.

Sprzęt – nie ma spr. Jasne.

Casting: rozpowiadać? Dać ogł? Kogoś poderwać? Efekty specjalne: jakiś kant, blef.

Nauczyć się kamery czy użyć wideo? Czy warto tracić czas?

Wideo spisuje się całkiem dobrze.

Tytuły: Krwawa przechadzka. Krwawy spacer. Krwawa łaźnia. Wielki spacer.

Tytuły alternetywne: 1. Potwór wraca. 2. Pojmanie potwora. 3. Nieustraszony mściciel – sprawiedliwość dla wszystkich. 4. Sobota czternastego. 5. Powrót potwora. 6. Horror z ulicy Palmowej. 7. Maniak 8. Psychodramat. 9. Zbrodnia doskonała. 10. Geniusz i obłęd. 11. Cienka linia, czyli kto ocenia, który z nas jest wariatem, a który nie.

– Znowu scenariusz, tak jak na Florydzie – powiedziałem. – Czyta się to jak pamiętnik dwunastolatka. Spójrz na trzeci tytuł: „Nieustraszony mściciel”. Fantazja o nadczołowieku. Uważa się za tego, co podejmuje ryzyko, za bohatera, który ocali świat przed Peakiem.

Milo pokręcił głową, mówiąc:

– Jedenastkę wykorzystał ostatecznie jako nazwę firmy... Kto ocenia, który z nas jest wariatem, dupku? Ja. A ty nim jesteś. – Przewrócił stronę. Następna była pusta. – Chyba skończyły mu się pomysły. Z takim intelektem na pewno dostałby pracę w którejś z wielkich wytwórni.

Światło w pokoju gwałtownie się zmieniło – coś przeświecało żółto zza żaluzji.

Reflektory. Pod domem, na podjeździe, zatrzymał się samochód.

Przypomniałem sobie zrzedliwą Marie Sinclair; każdego czasem warto słuchać.

Milo błyskawicznie pogasił światła w pokoju, odłożył skoroszyt na miejsce i wyjął rewolwer.

Reflektory wozu zgasły, a silnik pracował jeszcze chwilę na wolnym biegu, po czym umilkł. Rozległ się szmer i trzask otwieranych, a potem zamykanych drzwi auta. I kroki na podjeździe.

Coraz cichsze.

Milo przebiegł przez dom, dopadł do drzwi frontowych i coś do mnie powiedział.

Później wyjaśnił mi, że było to: „Nie ruszaj się”, ale mój mózg nie przyswoił jego słów i deptałem mu po piętach.

Uchylił drzwi, wyrzwał na zewnątrz, otworzył je na oścież i rzucił się biegiem przed siebie.

Na podjeździe stał cytrynowożółty chevrolet corvette.

Obiegliśmy żywopłot – jakiś mężczyzna oddalał się ulicą. Szedł swobodnie, wymachując ramionami.

Był wysoki, szczupły i miał ogromną głowę – stanowczo za dużą. Musiał być w jakiejś czapce.

Milo rzucił się za nim w pogoń, zmniejszył dzielący ich dystans i ryknął:

– Stać! Policja! Nie ruszać się! Stać! Stać!

Obcy się zatrzymał.

– Ani kroku dalej! Ręce na kark!

Mężczyzna posłusznie podniósł ręce.

– Kładź się na chodniku, twarzą do dołu! Ręce na kark! Na głowę, dalej, dalej!

Brak sprzeciwu. Kiedy przybysz się położył, czapka zsunęła mu się z głowy. Milo błyskawicznie wyjął kajdanki i wykręcił mu ręce na plecy. Poszło jak po maśle. Wreszcie szczęście i do nas się uśmiechnęło.

– Gdzie Peake? – zapytał ostro Milo.

– Kto? – wysoki, zdradzający napięcie głos.

– Peake. Nie chrzań głupot, Crimmins...

– Kto...

Celując mu w tył głowy, Milo rzucił mi latarkę.

– Poświeć mu na twarz – polecił. – Podnieś głowę! – rozkazał obcemu, ale zanim ten zdążył zareagować, Milo szarpnął go za włosy do góry. Mężczyzna stęknął z bólu. Obszedłem ich i poświeciłem mu latarką w twarz.

Była szczupła, okolona długimi blond włosami, które trochę zmierzwiły się pod furażerką. Czapka leżała dwa metry od nas na chodniku.

W kilku sąsiednich domach pozapalały się światła, ale na ulicy panował spokój. Milo chwycił mężczyznę za brodę, ja zaś zaświeciłem w blade, wylęknione oczy. Słabo zarysowany podbródek porastał meszek młodzieńczego zarostu.

Facet miał pryszczę na twarzy.

Trądzik.

Złapaliśmy dzieciaka.

Nazywał się Christopher Paul Soames i miał przy sobie dokumenty, które to potwierdzały: ewidentnie sfałszowaną kartę identyfikacyjną stanu Kalifornia oraz legitymację uczniowską Bellflower High sprzed trzech lat. Był wtedy w drugiej klasie, miał krótsze włosy i gładszą skórę. Następnego lata wyleciał ze szkoły, bo, jak powiedział „była do niczego, a ja dostałem robotę”.

– Gdzie? – spytał Milo. Wciągnął tymczasem chłopaka na trawnik za żywopłotem i wywrócił mu kieszenie na lewą stronę.

– W Luckym.

– Co tam robiłeś?

– Nosiłem paczki.

– Jak długo pracowałeś?

– Dwa miesiące.

– A potem?

Kajdanki nie pozwoliły Soamesowi wzruszyć porządnie ramionami. W kieszeni miał dwudziestodolarowy banknot, niedopałek skręta i zgniecioną torebkę orzechowych M&M, nie miał za to prawa jazdy.

– Ale umiem prowadzić. Brat mnie nauczył, zanim poszedł do wojska. Teraz służy w piechocie morskiej.

– Ładny wózek – zauważył Milo, wskazując chevroleta corvette.

– Ładny... Może mi je pan zdjąć?

– Opowiedz mi wszystko jeszcze raz, Chris.

– A mógłbym przynajmniej wstać z tej trawy? Jest wilgotna i tyłek mi moknie.

Milo podniósł go za pasek i zaciągnął na ganek. Przesłuchanie trwało już blisko dziesięć minut. Żaden wóz szeryfa jeszcze się nie zjawił. Soames poruszył ramionami.

– To boli. Niech mnie pan puści. Nic nie zrobiłem.

– Nie ukradłeś samochodu?

– Ale skąd, przecież już mówiłem.

– A nie było tak, że znalazłeś w wozie adres właściciela i przyjechałeś go oskubać?

– Gdzie tam.

– Skąd masz kluczyki?

– Ten gość mi je dał, już mówiłem.

– Ale nie wiesz, jak się gość nazywa.

– Nie wiem.

– A on tak po prostu dał ci kluczyki do swojego samochodu.

– Właśnie. – Soames pociągnął nosem. Kościste kolana zatrzęsły się pod nim.

– Gdzie wydarzyła się ta historia jak z bajki?

– Na rogu Ivar i Lexington, mówiłem przecież.

Ciemne zaułki Hollywood. Chłopak miał zapadnięte policzki, które zdawały się krzyczeć, że za dużo Hollywood się naoglądał.

– Podeszedł do ciebie, tam, na rogu, i wręczył ci kluczyki – rzekł Milo.

– Zgadza się.

– Co robiłeś na skrzyżowaniu Ivar i Lexington?

– Nic. Kręciłem się.

– A on podjechał samochodem i...

– Nie, podeszedł do mnie. Samochód stał gdzie indziej.

– Gdzie?

– Parę przecznic dalej.

– Wzięłeś go za klienta, co szuka dupy.

– Nie, nie zajmuję się tym gównem... Tak było.

– Jak ten gość wyglądał, Chris?

– Nie wiem.

– Dał ci kluczyki do swojego auta, a ty nawet nie wiesz, jak wyglądał.

– Było ciemno... Tam zresztą zawsze jest ciemno... Niech się pan sam tam przejdzie i popatrzy.

– Gość, którego nie znasz, którego nawet twarzy dobrze nie widzisz, wręcza ci kluczyki do swojego samochodu i prosi, żebyś go odprowadził pod dom. Daje ci za to dwadzieścia dolców.

– Właśnie.

– Dlaczego miałby to zrobić?

– Niech go pan zapyta.

– Ciebie pytam, Chris.

– Miał drugi wóz.

– Ach tak... Za pierwszym razem jakoś zapomniałeś mi o tym powiedzieć.

– On... To znaczy ja... – Soames umilkł.

– O co chodzi, Chris?

– O nic.

– Te dwie dychy dostałeś między innymi za to, że będziesz trzymał buzię na kłódkę, prawda?

Cisza.

– A wspominał coś o tym, że zapłaci za ciebie kaucję, jeśli cię przymkną za kradzież takiego wozu?

Cisza.

Milo przyklęknął na jedno kolano i zajął Soamesowi w twarz.

– Co będzie, jeśli powiem, że ci wierzę, Chris? – zagadnął. – Więcej, ja nawet opiszę ci tego faceta: wysoki, chudy, z wielkim ptasim nosem. Ubrany na czarno, włosy też ma czarne albo jasnobrązowe. Peruka.

Soamesa zatkało.

– Jak mi idzie? – spytał Milo.

Chłopak spuścił oczy.

– Powiem ci coś jeszcze: miałeś farta, Chris, bo ten facet to kawał drania i mogłeś się wpakować w niezłe bagno.

Soames się skrzywił. Jedną z dziurek w nosie miał zalepioną zaschniętą wydzieliną, oczy

zaropiałe, a jego ubranie cuchnęło brudem i starocia z jakimś metalicznym posmakiem.

– Naprawdę paskudne bagno, Chris.

– Pewnie.

– Myślisz, że cię nabieram, Chris? A skąd miałbym wiedzieć, jak wygląda? Dlaczego siedziałbym u niego w domu?

Kolejne ograniczone wzruszenie ramion.

– Współudział w morderstwie, Chris.

– Pewnie.

– Pewnie, na sto procent. Ten facet lubi zabijać, lubi, kiedy ofiary cierpią.

– Akurat.

– Po co miałbym cię okłamywać, Chris?

– Lepiej... On... lepiej, żeby mnie pan okłamywał.

– Ale tego nie robię.

Łzy napłynęły chłopakowi do oczu. Broda zaczęła mu drżeć.

– Wiesz coś, czego ja nie wiem, Chris?

– Lepiej, żeby mnie pan okłamywał – jęknął Soames. – Pozwoliłem mu zabrać Suzy.

Susanna Galvez, Latynoska, czarne włosy, brązowe oczy, metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, pięćdziesiąt dwa kilogramy. Czternaście lat i siedem miesięcy. Półtora roku temu na posterunku w Bellflower spisano raport o jej zaginięciu.

– Rodzice podejrzewają, że dziewczyna przebywa ze swoim chłopakiem – rzekł Milo, chowając telefon do kieszeni. – Biały, włosy blond, oczy niebieskie, metr osiemdziesiąt, może osiemdziesiąt pięć wzrostu, sześćdziesiąt pięć kilo, przedstawia się jako Chris. Nazwisko nieznane. – Zwrócił się do Soamesa: – To co, panie Bezimienny, uciekła z panem z domu mając dwanaście lat?

– Teraz ma czternaście.

Milo złapał go za klapy.

– Jeżeli chcesz, żeby dożyła piętnastych urodzin, gadaj, co wiesz, Chris. I to już, głupi gnojku.

– Dobra, w porządku. Widywałem go już wcześniej, ale go nie znam. Serio, facet. Nie szukał dupy,

tylko kręcił się w pobliżu. Nigdy mi nie mówił, jak się nazywa.

– Nie nazywa się i jeździ po okolicy chevroletem corvette.

– Nie, nie, corvette dziś widziałem pierwszy raz. Tak to jeździł tym drugim wozem, czarnym jeepem. Faceta nazywaliśmy Suzy Marilyn, bo jest wysoki i wygląda tak niesamowicie, jak Marilyn Manson.

– Czego szukał, kiedy tak krążył?

Soames pociągnął nosem. Milo wytarł mu nos, a potem znów ujął go pod brodę i spojrzał mu w oczy.

– Czym się zajmuje?

– Czasami różni ludzie – ale ja nie – kupują od niego prochy. Pigułki. Ma różne zakazane piguły, takie na receptę. To nie dla mnie ani nie dla Suzy. Widziałem go parę razy, jak sprzedawał je innym gościom. Ma dziewczynę, blondynkę z nastroszonymi włosami, razem handlują...

– Co się wydarzyło dziś w nocy?

– Włączyliśmy się z Suzy... Nie wiem, która była. Nie mamy zegarków i gówno nas czas obchodzi. Zjedliśmy parę hamburgerów w Go-Ji i wracaliśmy już tam, gdzie nocujemy. To taka pusta parcela, zawsze tam sypiamy, w namiocie. A tu przychodzi Marilyn i mówi, że chce, żebym mu odstawił samochód do domu. Wie, że jestem porządny i że można mi zaufać. Mam podjechać pod dom, schować kluczyki do skrzynki pocztowej i wrócić autobusem do Hollywood. Dwadzieścia dolców płatne z góry i jeszcze pięćdziesiąt jutro, na spotkaniu w Go-Ji.

– O której macie się jutro spotkać?

– O dziesiątej. Będzie czekał na parkingu, da mi pięć dych i odda Suzy.

– Jak to „odda”?

– Nie wiem – jęknął Soames.

– Zabrał ją, tak po prostu, i nie powiedział nawet po co?

– Pożyczył ją.

– Do filmu, prawda? Jak ci się wydaje, jakie filmy kręci?

Soames zeszywniał i się rozpłakał. Milo potrząsnął nim mocno.

– Co dalej, Chris?

– Nic, to wszystko! Myśli pan, że może zrobić jej krzywdę?

– Na pewno, więc lepiej się zastanów, geniuszu. Czy powiedział, dokąd ją zabiera?

– Nie wiem! Rany, nie wiem! O Boże, o Boże... – jęczał Soames. – Jak się dogadaliśmy na temat samochodu, on spojrzał na Suzy i powiedział, że jest taka śliczna i że mógłby dać jej rolę w filmie, który robi. Jest producentem. Nie powiedział gdzie. Pomyślałem, że jej ojciec mnie zabije.

– Dlaczego?

– Przez ten film... No, wie pan.

– Myślałeś, że kręci jakieś porno.

– Nie, wtedy bym nie... Ten gość powiedział: „Nie martw się: nic się jej nie stanie. To tylko film”.

– Jaki film? Oddałeś mu dziewczynę i o nic nie zapytałeś?

– Ja... Zaczy on... Chyba mówił coś o thrillerze, że Suzy ma zagrać główną rolę i że akcja toczy się w nocy, tak, w nocy, bo to thriller... no, na pewno thriller. Miał nam – to znaczy jej – zapłacić sto dolców.

– Oprócz tych pięćdziesięciu?

– No.

– Hojny gość.

– Mówił, że to duża rola.

– I obiecał, że wypłaci ci wszystko co do centa, tak?

– To była nasza wspólna kasa. Jesteśmy ze sobą, ale Suzy pieniądze się nie trzymają. Ja jestem bardziej odpowiedzialny.

W końcu doczekaliśmy się przybycia ludzi szeryfa. Milo przekazał im Soamesa i razem pobiegliśmy do auta.

Od razu ruszyliśmy na pomoc.

– Dwa samochody to dwaj kierowcy – powiedziałem. – Przed ucieczką Crimmings i Heidi umówili się na spotkanie gdzieś w Hollywood. Ale Crimmings wiedział, że ona tej nocy nie przeżyje i będzie mu potrzebny drugi kierowca. Na większości ulic w Hollywood obowiązują ograniczenia parkowania, a na ryzyko mandatu nie mógł sobie pozwolić. Poza tym corvette rzuca się w oczy.

– Dlaczego miałby powierzyć odstawienie samochodu takiemu durniowi jak Soames?

– Dureń durniem, ale spisał się na medal, nie? Crimmings zna się na ludziach. Zresztą może mu już

na samochodzie nie zależało.

– Tak po prostu? Zostawił samochód? Dlaczego miałby się go pozbywać?

– Bo dzisiejsza noc oznacza dla niego początek nowej epoki w życiu. A pieniądze do niego nie przemawiają – nigdy nie przemawiały. Ledwie coś zarobił, od razu przepuszczał. Dorastał wśród szybkich zabawek; łatwo przyszło, łatwo poszło, łatwo kupić nową. Kradnie sprzęt filmowy, więc podwędzić inny wóz to nie problem. Jeep też nie jest zarejestrowany na żadne znane nam nazwisko. Nie wiadomo, czy Crimmins nie trzyma gdzieś całej flotyli samochodów.

– Superkryminalista. Nieustraszony mściciel.

– Spójrzmy prawdzie w oczy, Milo. Nie trzeba być geniuszem, żeby przestępstwa w Los Angeles uchodziły człowiekowi na sucho.

Milo burknął coś pod nosem i skręcił w prawo w Sunset. Zamknąłem oczy i rozparłem się wygodnie w fotelu, dokładnie znając drogę, którą jechaliśmy. W chwilę później poczułem, że ostro skręcamy i otworzyłem oczy w samą porę, by dostrzec znak: droga numer sto jeden, kierunek północny. Ruchu prawie nie było, a do skrzyżowania z międzystanową piątką mieliśmy dosłownie kilka minut. Milo wdepnął mocniej na gaz – sto czterdzieści, sto sześćdziesiąt...

– Susanna Galvez – rzekł. – Pani Hatzler mówiła ci chyba, że Cliff i Derrick lubili Meksykanki.

– Właśnie, nostalgia... Chce przeżyć na nowo dobre, dawne czasy.

Nietrudno było znaleźć miejsce, w którym zginęła Heidi Ott. Różowe sygnały drogówki były widoczne z odległości kilometra, niczym spadłe gwiazdy na horyzoncie. Nieco bliżej napotkaliśmy rządę czerwonych pachołków, oddzielający cały prawy pas ruchu. Milo wjechał między nie, pokazał odznakę umundurowanemu policjantowi i pozwolił się bacznie obejrzeć. Dwa radiowozy drogówki, jeden motor i smukły, przerobiony harley davidson stały na zjeździe.

– W porządku – rzekł funkcjonariusz.

– Gdzie znajdę Mike’a Whitwortha? – spytał jeszcze Milo.

– To on.

Funkcjonariusz wskazał kciukiem potężnego mężczyznę po trzydziestce, stojącego przy skraju jezdni. Oddzielony żółtą taśmą obszar tonął w powodzi blasku kilku lamp łukowych. Po drugiej stronie zjazdu, na granicy jezdni i nie utwardzonego pobocza, widniał wykreślony na asfalcie obrys zwłok – naturalnej wielkości wzór znaczka papeterii z kostnicy. Jak to życie naśladuje sztukę...

Whitworth stał tuż poza granicą wytyczoną pachołkami. Był młody, wysportowany, ale w tej chwili chyba przede wszystkim zmęczony. Zaczerwienioną, dziecianną buzię zdobił mały blond wąsik, a włosy miał przystrzyżone tak krótko, że nie dało się określić ich koloru. Był ubrany w skórzaną marynarkę koloru masła orzechowego, białą koszulę, ciemny krawat, szare spodnie i wysokie czarne buty. Pod pachą trzymał kask motocyklowy.

Milo przedstawił nas i Whitworth podał rękę najpierw jemu, potem mnie. Pokazał na ziemię, gdzie widniało kilka rubinowych plam. Największa miała kilkadziesiąt centymetrów średnicy.

– Znaleźliśmy też strzępy ścięgien i odłamki kości, zapewne z nosa. Często zdarza, nam się widzieć krew, pakować w plastik różne paskudztwa, ale takie obrażenia... – Whitworth pokręcił głową.

– Podejrzewamy, że ci, którzy ją zabili, właśnie planują kolejne morderstwo – rzekł Milo i w kilku zdaniach streścił Whitworthowi dzieje Derricka Crimmins’a, ucieczkę Peake’a, prawdopodobną rolę Heidi i opowieść Christophera Soamesa o zaangażowaniu Suzy Galvez do filmu.

– Są w Tehachapi?

– Tak przypuszczamy. Góry są zaraz obok jego rodzinnego miasteczka, które dziś nazywa się Fairway Ranch. Znasz je?

– Nigdy o nim nie słyszałem – przyznał Whitworth. – Mieszkam w Altadenie i zwykle pracuję bliżej miasta. To za Grapevine czy jeszcze przed?

– W Grapevine się do niego skręca – odparłem.

– Crimmins ma prawdopodobnie jakieś doświadczenie wspinaczkowe – ciągnął Milo. – Peake nie, a jeśli w dodatku mają dziewczynę, nie porwą się na żaden Everest. Nie wiadomo, czy nie poprzestaną na samym osiedlu; wystarczy włamać się do czyjegoś domu. Prywatni gliniarze, którzy pilnują Fairway, mówią, że nic takiego się nie stało, ale to mnie jakoś nie przekonuje. Jeżeli Crimmins i Peake są w górach, to pewnie trzymają się nisko, u podnóża, gdzie mają jakąś kryjówkę, nie wiem – jaskinię czy coś podobnego. W każdym razie musimy się tam rozejrzeć.

– Kim są ci gliniarze-prywaciarze i o co chodzi?

– Bunker Protection, firma z Chicago. Za każdym razem, kiedy staram się ich przekonać, że mają się czym martwić, nie chcą mnie słuchać. Nic, tylko wciskają mi taki propagandowy kit: tu nigdy nic złego się nie dzieje.

– Aż w końcu się coś stanie – zauważył Whitworth i pogładził sprzączkę od pasa. – Dobra, ruszajmy. Nie wiem, czyja to jurysdykcja, ale nic mnie to nie obchodzi. – Zerknął jeszcze na obrys ludzkiej sylwetki na asfalcie. – I tak już kończymy, więc tych czterech ludzi mogę wam dać od razu. Zadzwońię po posiłki, powinny tu dotrzeć za niecałe pół godziny. Mam motor, bo kiedy przyszło wezwanie, byłem już po służbie. Pojadę sam i spotkamy się na miejscu. Jeśli chłopcy z Bunkra będą kręcić nosami, zdobędziemy przewagę liczebną. Śmigłowiec się przyda?

– Jak sądzisz? – zapytał mnie Milo. – Czy hałas i światła mogą go powstrzymać, czy raczej nakręcić?

– Zależy, co ma w scenariuszu.

– W scenariuszu? – zdziwił się Whitworth.

– Realizuje założenia napisanej przez siebie fabuły. Kłopot z przewidywaniem jego reakcji na bezpośrednie zagrożenie jest taki, że nie znamy jego przeciętnego poziomu podniecenia.

– Podniecenia? Czy to ma coś wspólnego z seksem?

– Nie, raczej z ogólnym stanem psychicznym. Psychopaci funkcjonują na niższym poziomie niż większość z nas: mają wolniejsze tętno, podwyższoną oporność skóry, wysoki próg bólu – do czasu, aż napięcie zacznie narastać. Wtedy do wybuchu wystarczy byle iskierka. Jeżeli dopadniemy Crimminsa, kiedy będzie jeszcze w miarę spokojny, czyli na etapie planowania, może podkulić ogon i uciec albo po prostu się poddać. Jeśli jednak spotkamy go w szczytowym momencie akcji, równie dobrze może się pokusić o nieprzeciętne zakończenie.

– Ile lat ma ta dziewczyna? – spytał Whitworth – Czternaście.

– Oczywiście nie wiemy nawet, czy już jej nie załatwił.

– Daj znać, żeby śmigłowce były w pogotowiu – poprosił Milo. – Przydadzą się też jeszcze ze dwa, trzy wozy. Wjedziemy do Fairway po cichutku, bez kogutów, bez syren. Gdzie siedzą strażnicy z Bunker Protection? – zapytał mnie.

– Mają stróżówkę zaraz za wjazdem na teren osiedla.

– Dobrze, spotkamy się przy bramie. Alex, opisz mu drogę. Tylko ty jeden byłeś tam osobiście.

Ludzie w błękitnych koszulach nie byli zachwyceni. Trzech zdumionych strażników zastaliśmy w pseudokolonialnej stróżówce. Mieli świeżo odprasowane koszule. Z radia sączyła się cicha muzyka.

Budynek był schludny i czysty, zarówno z zewnątrz, jak i w środku. Miał przytulne wnętrze: czyściutką kuchenkę, dębowy stół z czterema krzesłami do kompletu, wieszak z trzema niebieskimi kapeluszami. Na stole wałały się resztki meksykańskiego zarcia na wynos. Obok nie dokończonego burrito leżała rozłożona gra planszowa i trzy małe pojemniczki – niebieski, pomarańczowy i brązowy. Ten ostatni w połowie wypełniały plastikowe trójkąci.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Kiedy w towarzystwie Mila i Whitwortha wszedłem do środka, strażnicy zerwali się z krzesel i odruchowo sięgnęli po pistolety, których nie mieli przy pasie. Pod przeciwległą ścianą stała metalowa szafka z napisem „BRON”, a obok niej widniała plakietka ze skrzyżowanymi karabinami: logo Bunker Protection.

Teraz wszyscy już znajdowaliśmy się na dworze i upajaliśmy brzoskwińowym aromatem powietrza. Ku mojemu zdziwieniu niebo było całkowicie bezgwiezdne. Strażnicy nie spuszczały wzroku z radiowozów drogówki, które zablokowały wjazd do osiedla. Za szybami majaczyły niewyraźnie sylwetki kierowców.

Kiedy wjeżdżaliśmy do Fairway Ranch, Milo obrzucił biały płot lekceważącym spojrzeniem.

– Nie ma bramy – mruknął. – Mogli swobodnie przejechać.

W chwilę później dołączył do nas Mikę Whitworth na harleyu i w podobny sposób skomentował wjazd na teren osady.

– Więc nie szukaliście ich jeszcze – rzekł Milo do najwyższego ze strażników, który miał na identyfikatorze wypisane „E. Cliff” i najgłośniejsz protestował, póki Milo nie pogroził mu palcem.

– Nie – odparł. – Jest druga rano i nie będziemy budzić mieszkańców. Nie ma potrzeby.

– A zorientowałby się pan, że taka potrzeba zachodzi? – spytał Whitworth.

– Z całą pewnością – odrzekł Cliff, dodając gromkie „proszę pana”.

Whitworth podszedł do niego, tak jak Milo, wykorzystując przewagę fizyczną do zrobienia należytego wrażenia.

– Przy takiej organizacji służby, każdy się tu może dostać... – rzekł. – To „E” oznacza Eda?

Cliff próbował się uśmiechnąć.

– Eugene. – Cofnął się. – Nie, nie każdy. Ze stróżówki wszystko widać.

– Pod warunkiem, że żaluzje są odsłonięte.

– Zwykle są.

– A ja zwykle jestem uroczym facetem – wtrącił Milo i także zbliżył się do Cliffa. – Do jakiej kategorii zaliczyłby pan dwóch morderców, którzy mogli tędy przejeżdżać? Do atrakcji sportowych? Czy może artystycznych?

– Nie ma pan powodu, żeby tak niegrzecznie nas traktować. Nawet przy zaciągniętych zasłonach widzielibyśmy przecież światła samochodu.

– O ile kierowca je włączył... Wiem, większość kierowców tak robi.

– Nie ma powodu..

Milo zrobił jeszcze jeden krok do przodu. Cliff miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ale był chlerawy i wyglądał jak jelonek, który stawia czoło parze niedźwiedzi. Obejrzał się przez ramię na pozostałych dwóch strażników, ale ci stali jak wrośnięci w ziemię.

– Mamy powody, żeby przeszukać osiedle, przyjacielu – powiedział z naciskiem Milo. – Natychmiast.

– Przykro mi, proszę pana, ale jeśli chodzi o pańską jurysdykcję... – Cliff urwał, gdy Milo przysunął nos na odległość centymetra do jego twarzy. – Muszę przynajmniej dostać zezwolenie z centrali – dodał już mniej bojowo.

– W Minneapolis? – Milo się uśmiechnął.

– W Chicago – wyjaśnił drugi strażnik nosowym głosem. Na plakietce widniało nazwisko „L. Bonaface”.

– Dzwon – zgodził się Milo. – A tymczasem chciałbym zobaczyć mapę Fairway Ranch.

– Nie mamy mapy.

– Jak to? Żadnej?

– Takiej prawdziwej, ze współrzędnymi, to nie mamy. Tylko plan sytuacyjny.

– Rany boskie, to nie jest wyprawa na biegun, więc dajcie mi ten plan. Zanim zaczniecie gdzieś dzwonić.

– Przynies mu plan – polecił Cliff Bonaface’owi, ten zaś zniknął na chwilę w stróżówce, by wziąć z niej kilka luźnych kartek papieru.

– Mam tu cały plik – oznajmił.

Milo rozdał mapy – jednostronicowe, prymitywnie naszkicowane diagramy komputerowe: sklepy, pola golfowe, Jezioro Zwierciadlane w samym środku, angielskie nazwy ulic wydrukowane gotykiem. I ani śladu gór na wschód od osiedla.

– Oprócz pól golfowych teren nie jest zbyt rozległy – zauważył Whitworth. – To dobrze. Poza tym dzieli się na sześć dzielnic, a ja mam pięciu ludzi; ze mną akurat szóstka. Jak wam się podoba moja karma?

– Karma jest dla tych, co w nią wierzą – rzekł Milo. – Ale masz rację, zacznijcie od pól golfowych, potem trzeba obejrzeć budynki użyteczności publicznej i obrzeże jeziora, a na końcu odwiedzić wszystkie domy mieszkalne. Te, przy których stoi jakiś jeep albo podobny samochód, mają pierwszeństwo. Jeżeli zauważycie w samochodzie jakiś sprzęt filmowy, bądźcie bardzo ostrożni. Jeśli nie mylimy się sądząc, że Crimmins chce coś nakręcić, mogą go zdradzić światła.

– Z jego notatek wiemy, że zastanawiał się, czy uczyć się obsługi kamer filmowych, czy raczej poprzestać na wideo – wtrąciłem. – Nie jest tytanem pracy, więc raczej obstawiałbym to drugie wyjście, co z kolei oznacza, że wystarczy mu filmowanie z ręki, niemal po ciemku. Wątpię, żeby kręcił się po polach golfowych; są za bardzo odsłonięte.

– Zakładając, że w ogóle tu jest – mruknął Cliff.

– Na razie zakładam, że macie elektryczne wózki golfowe – rzekł Whitworth.

– Oczywiście, ale one należą...

– Rekwiruję je. Rozejrzycie się po górach? – zwrócił się Whitworth do Mila.

– Jeśli uda mi się do nich dotrzeć, to tak. Będziemy utrzymywać łączność przez radio.

– Jak chcesz się tam poruszać?

– Macie może coś z napędem na cztery koła?

Strażnik nie odpowiedział.

– Jakieś kłopoty ze słuchem, Eugene?

– Jest jeden samuraj. Stoi za sklepem ze sprzętem golfowym, razem z wózkami. Trzymamy go tak na wszelki wypadek.

– Jaki wypadek?

– Gdybyśmy musieli wyjechać w teren... Jakby nam się jakiś staruszek zawieruszył. Do tej pory nigdy nie mieliśmy kłopotów. Nie używamy go, tak że nie wiem, czy gumy nie siadły i czy jest benzyna w baku..

– To nadmuchajcie opony i dolejcie paliwa. Sprowadźcie go tutaj.

Cliff nie zareagował.

Milo obnażył zęby w uśmiechu.

– Bardzo ładnie cię o to proszę, Eugene.

– Rusz się! – warknął Cliff i Bonaface ruszył biegiem po wóz.

Milo zapytał Whitwortha, kiedy możemy się spodziewać przybycia śmigłowców.

– Będzie tylko jeden, z Bakersfield. Za pięć, dziesięć minut.

– Czy jest droga z Fairway w góry, Eugene?

– Trudno to nazwać drogą...

– Ale można?

Cliff wzruszył ramionami.

– Ma ze trzysta metrów długości. Z początku miała być traktem spacerowym, ale miejscowi za spacerami nie przepadają. Donikąd nie prowadzi, po prostu się kończy, a dalej są już tylko kamienie i piach. – Uśmiechnął się półgębkiem, ale po namyśle postanowił się nie wychylać i zasłonił usta ręką.

Whitworth odciągnął nas od niego.

– Ta Ott została zastrzelona, czyli są uzbrojeni – przypomniał nam. – My mamy kamizelki kuloodporne, a wy?

– Jedną tak – odrzekł Milo. – Moją. Zostajesz tutaj – powiedział do mnie.

– Chętnie – odparłem. – Radzę ci się jednak zastanowić. Mamy zakładnika i dwóch porywaczy o kompletnie różnych profilach psychicznych.

Żadnego z nich za bardzo nie rozumiemy. Jestem twoim najlepszym ekspertem od Crimmins'a i Peake'a.

– To fakt – przyznał Whitworth. – Chyba znajdzie się zapasowa kamizelka.

Milo zmroził go wzrokiem.

– Nie zamierzam wam nic doradzać... – wycofał się Whitworth.

– Bywałem już w gorszych opałach – uspokoiłem Mila, wiedząc, o czym myśli. W zeszłym roku pewna tajna operacja poszła nam fatalnie i nie przestał się winić za klęskę. Cały czas powtarzałem

mu, żeby przestał traktować mnie jak inwalidę.

– Robin mnie zabije – powiedział.

– Tylko wtedy, gdy coś mi się stanie. Na razie chodzi przede wszystkim o Suzy Galvez.

Milo zadarł głowę i zapatrzył się w niebo, a potem przeniósł wzrok na wysokie, czarne, nieporuszone góry.

– Dobrze – zgodził się wreszcie. – Jeżeli dostaniesz kamizelkę. Whitworth pobiegł do jednego z radiowozów i przyniósł mi pękaty, czarny pakunek. Założyłem kamizelkę – skrojono ją na człowieka postury Mila i na mnie przypominała olbrzymi fartuch kuchenny.

– Stylowe to – stwierdził Milo. – Dobra, do roboty.

– Jest jedno miejsce, które należałoby od razu sprawdzić – powiedziałem Whitworthowi. – Przyczepa Haasów, Jacoba i Marvelle Haasów. Jacob był szeryfem w Treadway i aresztował Peake’a po masakrze. Stanowi silne ogniwo łączące go z przeszłością.

– Mieszka tu?

– Niedaleko, w Jersey. – Wyciągnąłem rękę na południe. – Przy Charing Cross Road.

– Daj mi dokładny adres – rzekł Whitworth do Cliffa. – Albo mnie tam zaprowadź.

Cliff postukał się w pierś.

– Jak to? Nie mam kamizelki.

Whitworth wyglądał tak, jakby zaraz miał go wdeptać w ziemię.

– Podprowadź mnie na pięćdziesiąt metrów od przyczepy, a potem znikaj.

– Co to, mam dla was pracować?

Ręka Whitwortha wystrzeliła do przodu i przez chwilę miałem wrażenie, że uderzy Cliffa. Cliff również w to uwierzył, bo zrobił unik i zasłonił się przed ciosem, Whitworth zaś przyglądał swoją rekrucką fryzurę i oddalił się w stronę motocykla. Ze skrzynki na bagażniku wyjął następną kamizelkę i sam ją założył.

Broda Cliffa drżała nerwowo, ale zmusił się do pogardliwego uśmiechu.

– Brygada antyterrorystyczna w akcji – mruknął.

– Uważasz, że to zabawne? – zapytał Milo.

– Uważam, że to strata czasu. I zaraz dzwonię do Chicago. – Cliff zrobił krok w stronę stróżówki,

przystanął, czekając na sprzeciw, nie doczekał się go i odszedł. Trzeci strażnik poszedł w jego ślady. Dziesięć kroków dalej Cliff zatrzymał się i obejrzał przez ramię. – Pamiętajcie, tu mieszkają staruszkowie. Możecie kogoś przyprawić o zawał, a oni płacą kupę kasy, żeby żyć spokojnie.

– No i popatrz, co im z tego przyszło – powiedział Milo. – Wystarczy trochę bezrozumnej przemocy i szlag trafia spokojny żywot.

Samurai był niebieski, hałaśliwy i pozbawiony dachu. Dorobiona do karoserii rama biegła łukiem ponad przednimi siedzeniami. Bonaface zostawił włączony silnik i wysiadł z samochodu.

– Jest pół baku – poinformował nas. – Ale niech mnie diabli wezmą, jeśli zdecydowałbym się nim jechać. Hałasuje jak cholera, a światła ma takie, że go na kilometr widać.

Milo obejrzał opony.

– Gumy są w porządku – uspokoił go Bonaface. Miał gładko ogoloną, zaróżowioną twarz, blond włosy, małe rysy i duże, błękitne oczy. – Za bardzo rzuca się w oczy; na waszym miejscu bym go nie brał.

– Znasz okolicę? – Milo się wyprostował.

– Niezupełnie. Wychowałem się w Piru, ale góry wszędzie są takie same: masa kamieni i dziur, w sam raz, żeby poharatać podwozie.

– Czy tutaj u podnóża gór są jakieś jaskinie?

– Nigdy się tam nie zapuszczałem, ale pewnie tak. Kim są ci faceci, których szukacie? I co mieliby tu robić?

– To długa historia – odparł Milo, sadowiąc się za kierownicą i ustawiając sobie fotel. Usiadłem obok niego.

– Pojedziecie na światłach? – zapytał Bonaface i odwrócił się poirytowany na dźwięk swojego nazwiska. To Cliff wołał go ze stróżówki. – Dupek – mruknął i z uśmiechem popatrzył na moją kamizelkę. – Za duża jest na ciebie – stwierdził.

Przejechaliśmy przez środek osiedla, obok łagodnie zakręcającego północnego pola golfowego „Balmoral”, ogrodzonego trzyipółmetrowej wysokości siatką. Jechaliśmy powoli, starając się zarazem nie robić hałasu, co nie było łatwe, bo na pierwszym biegu nasz samuraj wył najgłośniej.

Słyszałem ciche pomruki wózków golfowych, ale nie widziałem ani jednego. Z rzadka tylko jakieś ledwie rysujące się w mroku cienie przesuwały się po przystrzyżonej trawie. Tak jak i samuraj, miały wyłączone reflektory. Wiktoriańskie latarnie płonęły, dziwnym, pomarańczowobłotnistym blaskiem, z ledwością wyławiając nas z bezdennej czerni.

Dojechaliśmy do końca drogi, czyli do rzędu drzewek pieprzowych, posadzonych na brzegu jeziora. Na tutejszej wilgotnej glebie rosły wspaniale. Mizerne światło księżycowego rożka prześwietlało liście jak srebrzystą koronkę. W prześwitach między drzewami widzieliśmy czarną, nieruchomą, połyskliwą tafłę wody, podobną do olbrzymiego szkła wyjętego z okularów słonecznych.

Milo zatrzymał auto, kazał mi się nie ruszać i wysiadł, zgarnawszy do jednej ręki latarkę, a do drugiej rewolwer. Podszedł do linii drzew, rozejrzał się, odchylił jakąś gałąź, żeby mieć lepszy widok, aż w końcu zagłębił się w szary gąszcz. Siedziałem w wozie, z roztargnieniem pocierając kciukiem kolbę karabinu, który Milo rzucił mi na kolana. Nie słychać było żadnych zwierząt, powietrze ani drgnęło, jakbym został zamknięty w hermetycznym pojemniku. W innych okolicznościach mógłbym nawet się odprężyć, ale dziś cisza ta kojarzyła mi się wyłącznie ze śmiercią.

Bardzo długo siedziałem sam w ciemnościach, gdy wtem dobiegające zza drzew skrobanie zmroziło mi krew w żyłach. Zanim jednak zdążyłem się poruszyć, pojawił się Milo. Schował broń do kabury.

– Jeżeli nawet gdzieś tam są, to ja ich nie widzę – rzekł i popatrzył zdziwiony na karabin, który nieświadomie wycelowałem mu w pierś.

Rozluźniłem ręce i broń osunęła mi się na kolana. Milo siadł za kierownicą. Kiedy ruszyliśmy z miejsca, odezwał się ponownie:

– Za drzewami wszystko widać jak na dłoni; po drugiej stronie rośnie tylko jakieś zielsko. Nigdzie nie zauważyłem ani jeepa, ani żadnego innego samochodu. Nikt niczego nie filmuje. – Uśmiechnął się smętnie. – Chyba że zdjęcia powstają pod wodą i będziemy mieli nową wersję „Potwora z Czarnej Laguny”. Niewykluczone, że przyjechali tu, zrobili, co mieli zrobić – utopili dziewczynę – i się zwinęli. Albo w ogóle tu nie przyjechali.

– Chyba jednak przyjechali – zaoponowałem. – Inaczej, po co mieliby zabijać Heidi na drodze do Fairway? Poza tym przecież Crimmins zapłacił Soamesowi, żeby ten odprowadził mu samochód do domu, ze dwa, trzy kilometry od Hollywood. Jeżeli zamierzały zostać w mieście, mógł przecież sam

odstawić jeepa i w pół godziny wrócić na piechotę do swojego żółtego cacka. Po co potrzebowałby Soamesa, gdyby nie planował wyrwać się z domu?

- Myślisz, że wiąże z Soamesem jakieś plany? Szykuje mu sympatyczne zdjęcia próbne?
- Pewnie, jutro rano. Ale to jeszcze nie powód, żeby powierzać mu samochód.
- Dlaczego zabił Heidi?
- Dlatego, że przestała mu być potrzebna i dlatego, że mógł to zrobić.

Milo przygryzł wargę, zmrużył oczy i zwolnił do piętnastu kilometrów na godzinę. Na mapie znaleźliśmy dróżkę dojazdową, okalającą od południa pole „Biały dąb” i prowadzącą na tyły osiedla. Latarnie były tu rozmieszczone coraz rzadziej, co ograniczało widoczność do przyprowadzających o rozpacz subtelnych odcieni szarości.

Milo przegapił dróżkę i dojechaliśmy do tablicy oznaczającej początek Jersey. We wszystkich przyczepach światła były pogaszone. Pamiętałem, że nowa ulica, dzieląca Jersey na pół, jest świeżo wyasfaltowana; w ciemnościach rozciągała się przed nami ciemna, gładka i tak perfekcyjnie wykreślona, jakby istniała tylko na ekranie komputera. Znowu pojawiło się więcej latarni, głęboki pomarańcz mieszał się z czernią – w Fairway każda noc przypominała Halloween.

- To tu mieszkają Haasowie? – zapytał Milo.
- Pierwsza uliczka w prawo. Mogę ci pokazać ich dom.

Jechaliśmy wolno wzdłuż rzędów przyczep.

– Tam jest parking dla gości, dziś w nocy pusty... To właśnie jest Charing Cross. Przyczepa Haasów jest czwarta od skraju ma betonowy ganek, a na podjeździe stoi buick skylark i półcięzarówka datsun.

Milo zatrzymał się dwie przyczepy od domu szeryfa. Obok datsuna stał tylko harley Mike’a Whitwortha.

Światła się nie paliły, Whitwortha nie było w zasięgu wzroku i kątem oka widziałem, że twarz Mila tężeje. Wtedy właśnie policjant wynurzył się zza przyczepy i podszedł do motocykla.

- Mike? – odezwał się Milo scenicznym szeptem. – To ja, Milo.

Whitworth stanął jak wryty, odwrócił się w naszą stronę, przyjrzał nam uważnie i podszedł bliżej.

- Przejeżdżaliśmy tędy, więc postanowiłem cię odwiedzić.

Jeśli nawet poczuł się urażony, że go sprawdzamy, to nic nie dał po sobie poznać.

- Nikogo nie ma w domu. Nic ciekawego. Na stole leży parę nie przeczytanych listów, pewnie

z ostatnich dwóch, trzech dni.

– Nie ma też jednego z aut – dodałem. – Mają rodzinę w Bakersfield, więc pewnie wybrali się w odwiedziny.

– Mamy powody, żeby się włamać? – spytał Whitworth.

Milo pokręcił przecząco głową.

– Mnie też się to nie podoba – ciągnął Whitworth. – Dobra, sprawdzę, czy któryś z moich chłopców miał więcej szczęścia. Wybieracie się już w góry?

– Prosto stąd – odparł Milo.

Whitworth obrzucił spojrzeniem mroczne szczyty, ledwie widoczne na tle aksamitnie czarnego nieba. Przecież na wsi niebo powinno aż roić się od gwiazd; co się stało?

– Za dnia chyba jest tu prześlicznie – zauważył Whitworth i kopnął starter harleya. – Poradzicie sobie sami?

– Dobrze by było. Wystarczająco trudno będzie nam ich podejść w tej bryce. – Milo pomachał telefonem. – Będziemy w kontakcie.

Whitworth skinął głową, jeszcze raz zerknął ku Tehachapi i z cichym pomrukiem silnika odjechał.

Milo zawrócił i przejechaliśmy przez Jersey z powrotem. W jednej z przyczep zapaliły się światła, ale na razie udało nam się nie zwrócić na siebie uwagi. Samochód toczył się wolno. Milo zdjął nogę z gazu i rozglądał się za dróżką dojazdową – i omal znów jej nie przegapił.

Była nie oznakowana i zaczynała się od luki w szpalerze drzew, w której ledwie mieścił się jeden samochód. Milo wyrzucił na luz, wysiadł i skierował światło latarki na ziemię.

– Twardy grunt, pewnie zwietrzały kamień... Ale są ślady opon. Ktoś tu był.

– Jakoś niedawno?

– Diabła tam, nie mam pojęcia. Nie jestem tropicielem.

Wrócił za kółko i zjechaliśmy z głównej drogi. Trakt, którym się posuwaliśmy, był nie oświetlony, od pomocy ograniczony siatką, od południa zaś nasypem, wysadzonym czymś, co wyglądało i pachniało jak oleandry. Nasz samochód jechał znacznie poniżej krawędzi nasypu, jakbyśmy zagłębiali się w tunel.

Mimo napędu na cztery koła wozem rzucało na wszystkie strony. Każda nierówność gruntu wprawiała ramę pojazdu w wibracje, a głowa Mila podskakiwała niebezpiecznie blisko biegnącego górą pałaka. Przez prawie kilometr nic się nie zmieniało – z jednej strony towarzyszyło nam ogrodzenie, z drugiej gąszcz krzewów – a potem nagle droga się skończyła i znaleźliśmy się na

otwartym terenie, jakbyśmy wypadli ze zsyphu.

Szarość ustąpiła miejsca kompletnej czerni. Nie widziałem za szybą absolutnie nic i podziwiałem Milo, że jest w stanie w takich warunkach prowadzić auto. Tym bardziej że kierownica szarpała mu się w rękach coraz gwałtowniej. Zrywane kołami kamyki bębniły nam w podwozie jak w werbel, na przemian z większymi odłamkami skał, które dudniły głęboko i donośnie, niczym końskie kopyta. Samurajem zakołysało, gdy opony zaczęły tracić przyczepność na żwirze, szkielet wozu jęczał rozpaczliwie.

Po następnym podskoku Milo wyrznął głową w belkę, zaklął i zahamował.

– Nic ci się nie stało? – zapytałem.

Potarł czubek głowy.

– Gdybym miał tu mózg, byłby kłopot. Co ja robię najlepszego? Tak się przecież nie da jechać, widzialność jest zerowa i wystarczy jeden większy kamulec, a bryka się wywróci i poskręcamy karki.

Zaciągnął hamulec ręczny, stanął na siedzeniu i wyjrzał ponad przednią szybę.

– Nic nie widzę – stwierdził. – Kompletnie.

Wziąłem od niego latarkę, wysiadłem i stanawszy plecami do gór, osłoniłem dłonią szkło. W tak przytłumionym świetle usiłowałem obejrzeć grunt. Był zbity, twardy, wysadzany ostrymi kamykami i porośnięty wyschniętym na pieprz zielskiem, na którym odcisnął się jodełkowaty wzór.

– Ślady prowadzą dalej – powiedziałem.

Milo przykucnął obok mnie.

– Taaak... Ktoś pojechał sobie poszaleć, w starym kalifornijskim stylu. – Zaśmiał się cicho. – Niby tacy wariaci, ale założę się, że jechali tędy na światłach, przynajmniej postojowych, a ja poruszam się po omacku, jak ślepiec. Nawet bez świateł musimy bardzo uważać, na odsłoniętym terenie naszą maszynę słysząc pewnie aż w Tehachapi. – Wstał i spojrzał w stronę gór. – Jak sądzisz, daleko są?

– Ze trzy kilometry, może cztery. Sugerujesz, że dalej powinniśmy iść na piechotę?

– Nie mamy wyboru. A dasz radę? Dobra, nie było pytania. Pewnie, że dasz radę. W końcu to ty uważasz bieganie za dobrą zabawę.

Zadzwoił do Whitwortha, a kiedy nie udało mu się z nim połączyć, cofnął się o trzydzieści metrów i spróbował ponownie. Bez skutku. Wyłączył aparat i schował go do kieszeni wraz z kluczami do wozu. Do drugiej kieszeni trafiła latarka, a potem Milo wziął sobie karabin, a mnie wręczył rewolwer.

– Oddaję cywilowi własną spluwę... – Pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Nie byle jakiemu cywilowi.

– Tym gorzej. Dobra, pozbędę się jeszcze tego... – Jednym szarpnięciem rozwiązał krawat i cisnął go na siedzenie. – I tego – dodał, wrzucając do samochodu marynarkę. Ja również się rozebrałem.

Zaczęliśmy iść, starając się nie zgubić śladów opon.

W butach na skórzanej podeszwie, kompletnie nie nadających się do takiej zabawy, szliśmy naprzód, kierując się jedynie mdłym zarysem ostrych szczytów, które widziałem w pełnej krasie odwiedzwszy Fairway Ranch za dnia. Księżyc świecił słabiutko, jakby ręka dziecka wymazała go gumką, tak że upodobił się do cieniutkiej bibuły. Zawieszony wysoko ponad górami widmowy sierp sprawiał wrażenie, jakby uciekał z naszej Galaktyki. Resztki światła, które docierały na ziemię, ledwie oświetlały wierzchołki Tehachapi.

Brak punktów odniesienia w przestrzeni sprawiał, że czułem się, jakbyśmy wchodzili do wielkiego jak cały nasz świat ciemnego pokoju. Przy każdym kroku niemal kręciło mi się w głowie.

Drobnymi krokami, na sztywnych nogach poruszałem się naprzód, czując przetaczające mi się pod butami kamyczki. Większe, ostrzejsze odłamki, czepiały się skórzanych podeszew jak pasożyty, próbując przegryźć się do wewnątrz. W miarę, jak kamyki rosły, kontakt z nimi stawał się coraz bardziej bolesny. W końcu przestałem się tym przejmować, ale wciąż nie wiedziałem, gdzie się znajduję. Kilkakrotnie potknąłem się i omal nie upadłem, ale machając rozpaczliwie rękoma, zdołałem utrzymać równowagę. Dwa metry przede mną obciążony karabinem Milo cierpiał jeszcze gorsze katusze; nie widziałem go, ale słyszałem, jak ciężko dyszy. Co chwilę sapanie cichło, by zaraz powrócić – szybsze, głośniejsze, niczym spracowane serce, które stara się nadgonić pominięte uderzenia.

Przez dziesięć minut nie posunęliśmy się chyba zbyt do przodu. Nie widzieliśmy żadnych świateł, w ogóle nic nie widzieliśmy, tylko ciemny skalny mur. Zacząłem się zastanawiać, czy nie pomyliłem się, podejrzewając Crimminsę, że chce wrócić na starą scenę. Miał w garści czternastoletnią dziewczynkę, a my maleńkimi kroczkami zmierzaliśmy w nicość.

Co jednak nam pozostało?

Trzy razy robiliśmy przerwę na szybki, ryzykowny rzut oka na ziemię w świetle latarki – ślad ciągnął się nieprzerwanie. Pojawiały się coraz większe głązy, wbite głęboko w ziemię, niczym meteoryty. Na razie jednak żaden z nich nie zagroził nam drogi.

Posuwaliśmy się żałośnie wolno, powłócząc nogami jak starcy i wściekłym milczeniem kwitując niemożność orientacji w terenie. Wreszcie księżyc wyświadczył nam przysługę, oświetlając fałdy i pęknięcia w granitowym podłożu, ale dalej widziałem najwyżej na pół metra do przodu i każdy krok wymagał pełnej koncentracji i napięcia mięśni, które odczuwałem aż w kości ogonowej. Udało mi się z czasem oswoić z ciemnością – udawałem, że nic nie ważę i swobodnie płynę ponad ziemią. Dogoniłem nawet sapiącego Mila, gotów podtrzymać go, gdyby miał upaść.

Sto metrów, dwieście... Góry urosły mi gwałtownie w oczach. Tak jakbym jadąc samochodem na

chwilę spuścił drogę z oczu i właśnie pakował się na drzewo.

Doszedłem do wniosku, że od wschodniej granicy Fairway do Tehachapi jest nie więcej niż dwa i pół kilometra – za dnia dystans w sam raz na spokojny spacer po lesie, teraz zaś spocony dyszałem ciężko, ścięgni Achilleś miałem ponaciągane jak struny fortepianu, a ramiona drżały mi z bólu, udręczone dziwną, przygarbioną pozycją, którą przyjąłem, żeby zachować równowagę.

Milo zatrzymał się i odczekał, aż się z nim zrównam.

– Widziałeś coś?

– Nic. Przepraszam.

– Za co?

– Za moją teorię.

– Jest najlepsza ze wszystkiego, co mamy. Tak się tylko zastanawiam, co zrobimy, kiedy dotrzemy do końca drogi i przekonamy się, że nic tam nie ma. Wracamy? Czy raczej powinniśmy poszukać ciała?

Nic nie powiedziałem.

– Mam mnóstwo kamieni w butach – oznajmił Milo. – Poczekaj, wytrząsnę je.

Zrobiliśmy kilka tysięcy kroczków i od gór dzielił nas niespełna kilometr. Tehachapi przesłaniały nam większość pola widzenia, pozostawiając tylko wąziutki skrawek nieba. Kontury kamiennych ścian nabrały wyrazistości. Rozróżniałem już żyły skalne i pęknięcia – ciemnoszare na ciemnoszarym tle, z czarnym niebem z tyłu.

Nagle dostrzegłem coś jeszcze.

Małeńki biały punkt, piętnaście, może dwadzieścia metrów na lewo od szlaku.

Przystanąłem i zmrużyłem oczy, żeby lepiej widzieć. Punkcik zniknął. Czyżby istniał tylko w mojej wyobraźni?

Milo go nie zauważył; słyszałem jego powolne, miarowe kroki.

Ruszyłem za nim, ale po chwili znów ujrzałem to samo zjawisko: biały krąg na skałach, w jednej chwili okrągły, potem owalny, z początku biały, później szary i niknący z wolna.

Oko.

To oko.

Milo zatrzymał się, dogoniłem go. Staliśmy tak bez ruchu wpatrzeni w stok góry.

Krąg znów pojawił się w tym samym miejscu, przeskoczył trochę dalej i zniknął.

– To kamera – szepnąłem. – Może dziewczyna wciąż żyje.

Chciałem pobiec jej na ratunek, ale Milo wiedział o tym i złapał mnie za ramię.

– Nie wiemy nawet, co to światełko oznacza – wyszeptał pośpiesznie. – Nie możemy się zdradzić. Fajnie byłoby dostać posiłki. Ostatni raz spróbuję złapać Whitwortha, później będzie za duże ryzyko.

Wyjął telefon i wybrał numer, ale tylko pokręcił głową i wyłączył aparat.

– W porządku, idziemy. Cicho i powoli, nawet gdyby miało ci się wydawać, że w życiu nie dotrzemy na miejsce. Jeżeli będziesz chciał mi coś powiedzieć, klepnij mnie w ramię, ale nie odzywaj się, dopóki nie znajdziemy się w sytuacji awaryjnej.

Ruszyliśmy.

Krążek światła pojawił się i zniknął, w tej samej okolicy, po lewej. Na czym się koncentrował? Pragnąłem się tego jak najprędzej dowiedzieć. Wcale nie chciałem się tego dowiedzieć.

Trzymałem się blisko Mila, starając się zgrać własne kroki z jego ruchami. Zdawało mi się, że tupiemy przeraźliwie, o wiele, wiele za głośno.

Stopy mnie bolały, a milczenie tylko wzmagало ból. Cały świat zamilkł.

Nieme kino.

Przez głowę przepływały mi obrazy: nerwowe, rwane ruchy postaci, kobiety w gorsetach, mężczyźni z wąsami jak morsy, wykrzywiający się przesadnie do wtóru pośpiesznej fortepianowej muzyki. Plansze z białymi napisami w ozdobnych ramkach: „Interesuje pana rzeźbiarstwo? Zaraz panu pokażę, co to znaczy rzeźbić”.

Uspokój się, bałwanie. Skup się.

Pięćdziesiąt metrów do gór. Czterdzieści, trzydzieści, dwadzieścia.

Milo stanął i wyciągnął przed siebie rękę.

Na skale znów pojawiła się biała plamka, tym razem zaopatrzona w ogon, niczym ślizgający się po kamieniach wielki biały plemnik.

Nadal nic nie słyszeliśmy, a dotarliśmy już do zimnej, skalnej ściany. U jej stóp rosły niskie, suche krzaki.

Trzymając przed sobą karabin, Milo zaczął wolniutko przesuwać się w lewo. Rewolwer ciążył mi

w dłoni.

Krąg światła zmaterializował się nad naszymi głowami – biały, wyraźny, podrygiwał chwilę, by znów zgasnąć.

Wreszcie jakiś dźwięk, niski, natarczywy.

Błysk. Terkot. Pstryk.

Włączyć. Wyłączyć.

Żadnych odgłosów szamotaniny czy ludzkich głosów – tylko oznaki działania mechanizmu.

Posuwaliśmy się pod ścianą nie zauważeni przez nikogo i dopiero gdy znaleźliśmy się w odległości dwudziestu metrów, zobaczyłem ją – wysoką, postrzępioną formację skalną, rząd ostro zakończonych głazów, wyrastających jak stalagmity z podłoża; sterczały gęsto, nachodząc na siebie i wzajemnie się przesłaniając. Miały od trzech do blisko sześciu metrów wysokości.

Stanowiły naturalną osłonę dla studia w plenerze.

Dźwięki kamery stawały się coraz głośniejsze. Przyciśnięci do skały podpełzaliśmy bliżej i usłyszeliśmy coś jeszcze – ciche, niezrozumiałe słowa.

Milo zatrzymał się, wyciągnął rękę i zgiął ją, wskazując szereg głazów. Skalny parawan robił się wklęsły, ciągnąc się dalej nieprzerwanym półokręgiem. Nigdzie nie widzieliśmy nawet najmniejszej luki między kamieniami, co oznaczało, że wejście znajduje się na drugim, pomocnym końcu.

Ruszyliśmy do przodu cal po calu, opierając się dłońmi o ścianę, która zakrzywiała się wyraźnie, zasłaniając nam widok. W tych warunkach każdy krok wymagał niezachwianej wiary w sukces.

Zrobiliśmy ich dwanaście, zanim Milo znów przystanął.

Coś wystawało poza obrys skał – jakiś przysadzisty, metaliczny kształt.

Tył samochodu. Zza granitowej ściany dobiegł nas terkot, potem jakieś mamrotanie i śmiech.

Powoli zbliżyliśmy się do auta i przykucnęliśmy, prawie nie oddychając. Chromowane litery układały się w napisy „Ford” i „Explorer”. Karoseria miała barwę czarną lub granatową. Tylny zderzak był upaprany błotem. Samochód nie miał tablicy rejestracyjnej, a częściowo zdarta naklejka na zderzaku zachęcała: „Spełniajcie przypadkowe dobre uczynki”.

Jedna trzecia samochodu wystawała spoza skał, przód zaś znajdował się po wewnętrznej stronie kamiennego łuku. Milo wyprostował się, żeby przez tylną szybę zajrzeć do wnętrza pojazdu, ale tylko pokręcił głową – była przyciemniona. Kucnął więc, ujął mocniej karabin i przesunął się do drzwi od strony kierowcy. Czekał, celując do przodu, skąd mogło nadejść niewiadome niebezpieczeństwo.

Przysunąłem się do niego i obaj przycisnęliśmy się do nadwozia forda.

Mieliśmy stąd częściowy widok na polankę, zalaną światłem zainstalowanego na słupie reflektora. Pomarańczowy kabel przedłużacza łączył reflektor z szarym akumulatorem. Lampa była skierowana nieco w dół, tak że światło nie sięgało pięciometrowych ścian okalających scenę. Dwunastometrową, w przybliżeniu okrągłą, szarą scenę. Przy krawędzi widniała sterta sporych głazów, jakby znacząc miejsce, w którym skała się rozstała.

Naturalny amfiteatr, który Derrick Crimmins najprawdopodobniej odkrył w młodości, planując z bratem wystawienie Bóg wie jakich dzieł.

W dawnych, dobrych czasach, kiedy projektował scenografię dla swojej macochy i zasmakował w inscenizacji.

Tego wieczoru jednak okazał się minimalistą. Na polance znajdował się tylko jeden reflektor, pudło ze sprzętem, kilka odłożonych na bok kaset do kamery wideo i trzy składane plastikowe krzesła.

Pierwsze z lewej stało dość daleko – dobre pięć, sześć metrów – od pozostałych. Siedziała na nim młoda, śniadoskóra dziewczyna o przeciętnej urodzie. Ręce i nogi miała związane grubym sznurem, włosy zaplecione w mysie ogonki. Różowa dziecięca piżamka stanowiła cały jej kostium. Policzki miała umazane różem, a zastygłe w bezruchu usta podkreślone czerwoną szminką. Szeroki skórzany pas nie pozwalał jej ruszyć się z krzesła, ściskając ją boleśnie w talii i zmuszając do wypchnięcia klatki piersiowej w przód. Nie, to nie był zwykły pas, lecz szpitalny, taki sam, jakich używano w Starkweatherze.

Dziewczyna zwiesiła głowę na prawe ramię. Ogniste sińce znaczyły jej twarz i piersi, a od nosa do brody ciągnęła się strużka zakrzepłej krwi. W usta wciśnięto jej błyszczącą czerwoną kulę z gumy, przez co jej twarz przybrała komiksowy wyraz niepomiernego zdziwienia. Tylko oczy nie szły z nim w parze – wytrzeszczone, nieruchome, oszalałe z przerażenia.

Patrzyła prosto przed siebie, nie chcąc widzieć, co dzieje się obok, po lewej.

Na środkowym krześle siedziała następna porwana kobieta – w średnim wieku, ubrana w bladozieloną, rozdartą sukienkę. Rozdarcie było świeże, postrzępione i odsłaniało białą bieliznę, obwisłe blade ciało, błękitne żyłki. Kobieta miała rudobrazowe włosy i identyczne siniaki i zadrapania jak dziewczyna obok. Jedno oko zniknęło pod purpurową opuchlizną. W ustach kobiety tkwiła taka sama gumowa piłka.

Drugie oko miała nienaruszone, ale również zamknięte.

Przytknięty do jej lewej skroni pistolet był mały, kanciasty i błyszczący.

Obok, na ostatnim krześle, siedział Ardis Peake, który trzymał ten pistolet w ręce. Z miejsca, w którym się znajdowaliśmy, widzieliśmy tylko połowę jego ciała. Długie, białe palce zaciskały się kurczowo na cynglu. Peake był ubrany w szpitalny strój ze Starkweathera i białe, na oko zupełnie nowe, kapcie. Ogromne. W sam raz na przerośnięte stopy.

Dreńczył rudowłosą kobietę, ale nie wyglądał, jakby sprawiało mu to przyjemność. Również miał zamknięte oczy.

Czy sprawiało mu to taką rozkosz, że pogrążył się w słodkich marzeniach?

Mężczyzna z kamerą – ręczną, matowoczną, wielkości średniej książki w twardej oprawie – szturchnął go. Umocowana na kamerze lampa świeciła kremowobiałym światłem.

Peake się nie poruszył, więc kamerzysta dał mu mocniejszego kuksańca. Peake uniósł powieki, obliznął usta i przewrócił oczami. Człowiek z kamerą przycupnął tuż przed nim, uwieczniając każde najmniejsze poruszenie. Peake oklapł ponownie i kamerzysta opuścił kamerę. Obiektyw był przez chwilę skierowany do góry i promień światła z lampy pląsał po skałach, do czasu, aż mężczyzna poruszył się i plamka zniknęła.

Milo zacisnął mocno szczęki i przesunął się odrobinę, żeby ogarnąć wzrokiem całą scenę. Przemieściłem się wraz z nim.

Na polanie nie było nikogo więcej. Kamerzysta stał plecami do nas, wysoki, szczupły, z małą, ogoloną na łyso głową, która lśniła od potu. Miał na sobie czarną jedwabną koszulę z podwiniętymi do łokci bufiastymi rękawami, czarne dżinsy, i przykurzone czarne buty na gumowej podeszwie. Prawą kieszeń spodni przecinała na skos naszywka producenta, a z lewej zaś wystawała chromowana kolba drugiego pistoletu.

Posunęliśmy się jeszcze odrobinę i zamarliśmy w bezruchu, gdy żwir zachrząścił nam pod stopami. Kamerzysta nie zareagował – mamrotał pod nosem, złorzeczył na Peake'a i szturchającami próbował pobudzić go do działania.

Manipulował nim.

Posadził go prosto na krześle i ujął jego twarz w dłonie, starając się nadać jej określony wyraz, a potem poprawił pistolet w jego dłoni.

Pistolet, który był przyklejony do ręki.

Paski przezroczystej taśmy mocowały pistolet do długich palców Peake'a. Cała wyciągnięta ręka Peake'a była usztywniona taśmą i oparta na specjalnie w tym celu ustawionym statywie.

Peake został zmuszony do przyjęcia takiej pozy.

Milo zmrużył oczy i uniósł karabin do ramienia. Wycelował, ale zawahał się, gdy kamerzysta nagle się poruszył.

Człowiek z kamerą odwrócił się częściowo w naszą stronę i czegoś dotknął – jakiejś nici, biegnącej ukośnie w dół przez mroki nocy.

Cieniutka nylonowa żyłka wędkarska była w ciemnościach prawie niewidoczna. Łączyła spoczywający na spuście pistoletu palec Peake'a z wbitym w ziemię drewnianym kołkiem.

Zwisała luźno, ale jedno szarpnięcie sprawiłoby, że Peake pociągnąłby za cyngiel i strzelił starszej kobiecie w skroń.

Efekty specjalne.

Kamerzysta przesunął czubkiem palca po żyłce i cofnął się o krok. Ręka, w której Peake trzymał broń, ani drgnęła, lecz poza tym jego ciało było całe rozedrgane. Nagle dał się ponieść fali objawów dyskinetycznych: zaczął oblizywać wargi, kręcić głową, mrugać. Palce mu zadrżały i żyłka brzęknęła donośnie.

Zadowolony człowiek z kamerą wycelował obiektyw w kobietę, potem zrobił zbliżenie pistoletu. I znów skadrował jej twarz, czekając na satysfakcjonujące ujęcie.

Peake znieruchomiał, żyłka zwisała luźno. Kamerzysta zaklął i kopnął go w piszczel, ale Peake nie zareagował. Osunął się bezwładnie na krzesło.

– Dalej, kutasie! – rozległ się niski, rozdrażniony głos. – Zróbże to wreszcie!

Peake oblizwał wargi. Nogi zaczęły mu drżeć, reszta zaś ciała pozostała nieruchoma.

– Dobrze! Trzęś tak kolanami... Nie przestawaj, psycholu jeden!

Peake nie reagował na obelgi, jakby myślami był zupełnie gdzie indziej.

Kamerzysta podszedł do jego krzesła i spoliczkował go. Rudowłosa kobieta otworzyła zdrowe oko, wzdrygnęła się i zaraz je zamknęła.

Mężczyzna z kamerą cofnął się, kręcąc cały czas zbliżenie Peake'a, któremu głowa opadła w tył, podskoczyła i z kącika ust pociekła strużka śliny.

– Co za pieprzona marionetka – mruknął kamerzysta.

Na dźwięk jego głosu kobieta jęknęła. Schyliła się i zacisnęła kurczowo powieki, starając się odciąć od rzeczywistości, ale zajęty Peakiem mężczyzna nie zwracał na nią uwagi.

Na scenie nic poza tym się nie poruszało. Śniadoskóra dziewczyna mogła nas zobaczyć, ale po jej twarzy nie przemknął ani cień zrozumienia. Siedziała ślepo wpatrzona w jeden punkt – narkotyki, strach, albo jedno i drugie.

Milo wycelował w tył głowy kamerzysty i zagiął palec na spuście, ale mężczyzna znajdował się dosłownie centymetry od biegnącej obok żyłki. Gdyby upadł w niewłaściwą stronę, pistolet by wypalił.

Na razie wziął kamerę pod pachę i znów zaczął ustawiać Peake'a, który siedział ze zwieszoną swobodnie lewą ręką i odrzuconą w tył głową. Ślinił się. Sapnął donośnie, zakaszał i się zasmarkał.

Mężczyzna naprzeciw niego poderwał kamerę i zrobił zbliżenie. Spoliczkował Peake'a.

– Ależ z ciebie potwór – powiedział.

Głowa opadła Peake'owi na pierś.

Nie był przywiązany do krzesła, mógł z niego wstać, ale trzymało go w miejscu coś znacznie silniejszego niż więzy.

Kamerzysta zmieniał co chwilę obiekt zainteresowania: Peake, pistolet, kobieta... Wciąż znajdował się niebezpiecznie blisko żyłki.

Peake znów parę razy oblizał się i poruszył głową na boki. Wytrzeszczył oczy – dwa wielkie, białe owale.

– Świetnie, doskonale... Więcej oczu, daj mi więcej oczu.

Kamerzysta mówił coraz głośniej i Milo wykorzystał to, by wyskoczyć z ukrycia i podejść bliżej. Mężczyzna zahaczył prawym udem o żyłkę, napiął ją mocniej, a zauważywszy to roześmiał się. Szarpnął ponownie, obserwując, jak drga ręka Peake'a.

Nic nie stało na przeszkodzie, by ten pociągnął za spust, ale nawet nie kontrolowane dyskiinezy go do tego nie zmusiły.

Czyżby się im opierał?

Znów spuścił głowę na pierś.

– Nigdy nie można liczyć, że ludzie ci pomogą – mruknął kamerzysta i złapawszy Peake'a za ucho szarpnął mu głowę do góry, rejestrując na taśmie jego puste spojrzenie. Przesunął kamerą w dół ciała Peake'a, od poźłobionej bruzdami czaszki po ogromne stopy, bawiąc się jednocześnie żyłką.

Wielkie stopy, jak u maskotki.

Zrozumiałem. Nie miałem szans zgłębić jego natury.

Uniosłem pistolet do strzału, ale nie ruszyłem się z miejsca. Milo centymetr po centymetrze zbliżał się do kamerzysty i w tej chwili znajdował się niecałe pięć metrów za jego plecami. Ostrożnie uniosł karabin do ramienia i wycelował – mierzył w cel doskonale znany snajperom, w miejsce, z którego wychodzi rdzeń kręgowy, w ten obszar mózgu, który steruje podstawowymi procesami życiowymi. Wystarczy jeden celny strzał i człowiek przestaje oddychać.

– Dobra, Ardis, wystarczy tych ujęć ogólnych – oznajmił kamerzysta. – W ten czy w inny sposób, czas załatwić tę cipę.

Rudowłosa kobieta otworzyła zdrowe oko i zobaczyła Mila. Poruszyła ustami, jakby chciała wypluć dławiącą ją kulę i w tej chwili ją rozpoznałem. Była to Marvelle Haas, żona szeryfa.

Listy z ostatnich dwóch, trzech dni. Jeden samochód. Żona sama w domu.

Zaczęła się trząść.

Młodsza dziewczyna patrzyła w przestrzeń nie widzącymi oczyma.

Kamerzysta odwrócił się do Marvelle, stając do nas obu bokiem. Głębokie bruzdy przecinały mu dziobate, opalone policzki, o kilka odcieni ciemniejsze od ogolonej, białej głowy. Głowy nawykłej do noszenia peruk. Miał mały, choć wyrazisty podbródek, i haczykowany nos zarysowany tak ostro, że chyba można by się o niego pokaleczyć. Szczupła twarz, wydatne szczęki, żylasta szyja i przedramiona zakończone dużymi dłońmi o zaniedbanych paznokciach dopełniały obrazu Derricka Crimminsa, który z czasem coraz bardziej upodabniał się do swojego ojca.

Stary Crimmins był zgorzkniałym, chciwym człowiekiem, ale nic nie wskazywało na to, by różnił się czymś od przeciętnej, niedoskonałej istoty ludzkiej.

Przede mną zaś stało prawdziwe monstrum.

A wystarczyłoby rozciąć mu brzuch i wypłynęłyby z niego identyczne jak u innych wnętrzności. O ściany czaszki obija mu się gruda szarej galarety, nie do odróżnienia od mózgu świętego.

Człowiek; zawsze okazuje się, że to tylko człowiek.

Marvelle Haas zamknęła oczy, usiłując coś powiedzieć mimo duszącej kuli w ustach. Udało jej się tylko wydać kilka żalonych skrzeknięć. Milo przykucnął, szykując się do strzału, ale Crimmins nadal znajdował się za blisko żyłki.

– Proszę otworzyć oczy, pani Haas – powiedział. – Pokaż mi oczy, skarbie, no, dalej. Chcę widzieć twoją twarz, kiedy to się stanie.

Sprawdził, czy taśma na ręku Peake'a dobrze trzyma i poprawił lufę pistoletu, tak że celowała prosto w skroń Marvelle Haas. Marvelle jęknęła.

– Daj spokój, potraktujmy to jak zawodowcy.

Crimmins podszedł do niej, odsuwając się nieco od żyłki.

– Kiedyś łowiłem ryby – ciągnął, układając jej włosy i rozchylając sukienkę. Wsunął dłoń pod materiał, ściskając i poszczypując jej ciało. – Popatrz, popatrz, co ja tu złapałem.

Ciągle znajdował się na odległość wyciągniętej ręki od żyłki.

– Wtedy szarpnięcie za żyłkę oznaczało, że coś złowiłem. Teraz będzie oznaczało, że coś odrzucam.

Marvelle odwróciła się od niego, a on przesunął się w lewo, filmując jej twarz.

Dalej, wystarczająco daleko.

– Nie ruszaj się, skurwielu! Opuść ręce! Ręce, już!

Derrick Crimmins znieruchomiał. Odwrócił się. Na jego sowej twarzy odmalował się dziwny wyraz, jakby poczuł się zarazem zaskoczony i zdradzony.

Dopiero po chwili poczerwieniał z gniewu.

– To prywatny plan filmowy – powiedział. – Ma pan przepustkę?

– Opuść ręce, Crimmins! Rób, co ci każę!

– Myślisz, że cię posłucham, dupku?

– Opuść ręce, Crimmins, ostatni raz ci...

– Dobra, wygrałeś – rzekł Crimmins i wzruszył ramionami. Wąskie wargi wykrzywiły się w uśmiechu. – A zresztą...

Rzucił się do żyłki.

Milo strzelił mu prosto w uśmiechnięte usta.

Ford explorer znajdował się na liście samochodów poszukiwanych w Hollywood. Przed dwoma miesiącami skradziono go spod centrum handlowego na rogu Zachodniej i Sunset. W bagażniku znaleźliśmy pięć kompletów tablic, trzy fałszywe dowody rejestracyjne, dwie kamery wideo, kilkanaście kaset, papierki po cukierkach i puszki z oranżadą. Pudło po kole zapasowym było wypchane barbituratami, tioridazyną i metamfetaminą.

Rodzina Hedy Haupt mieszkała w Yumie, w Arizonie. Miejsca pobytu ojca nie udało się ustalić, matka pracowała w opiece społecznej, a jedyny brat był strażakiem w Phoenix. Przez pierwsze trzy lata szkoły średniej w Yumie Heidi zbierała średnio czwórki, świetnie spisywała się natomiast w drużynie lekkoatletycznej i bejsbolowej. Po tym, jak w ostatniej klasie „zaczęła zadawać się z niewłaściwymi ludźmi”, stopnie poleciały na łeb, na szyję i Heidi wydalono ze szkoły. Dostała małą maturę i zaczęła się w Burger Kingu, skąd jednak szybko uciekła. Przez następne osiem lat matka widziała ją dwukrotnie: pierwszy raz przy okazji Bożego Narodzenia przed pięciu laty, drugi – rok temu, gdy na tydzień wpadła do domu w towarzystwie chłopaka imieniem Griff.

– Miałam co do niego złe przeczucia – przyznała się pani Haupt w rozmowie z Milem. – Nie rozstawał się z kamerą i cały czas nas filmował. A ubierał się w same czarne ciuchy, jakby ktoś mu umarł.

Milo z Whitworthem znaleźli taśmy przekopując się przez stopy kradzionych towarów w garażu przy Orange Drive: szesnaście kaset w czarnych plastikowych pudełkach leżało zagrzebane pod sprzętem wartym tysiące dolarów, którego Derrick Crimmins nie chciał – albo nie umiał – nauczyć się obsługiwać.

Szesnaście zapisów śmierci.

Pierwszą ofiarą, którą rozpoznaliśmy, był – oglądany jako czwarty z kolei – Richard Dada: młody, przystojny, z ożywieniem rozprawiał o swoich planach na przyszłość, nieświadomy tego, co go czeka. Cięcie, następna scena: szarpie go za włosy, odchyła mu głowę do tyłu i odsłania gardło do cięcia.

Później ciało zostaje przecięte piłą taśmową. Na filmie widać tylko ręce i czarne rękawy mordercy, który nie pokazuje twarzy. Kamera była ustawiona nieruchomo, dzięki czemu jedna osoba mogła mordować i kręcić. Przy pozostałych nagraniach wykorzystano ruchomą kamerę, toteż zabójców musiało być dwoje. Z automatycznego zapisu czasu wynikało, że Dada zginął o pierwszej w nocy.

Film o Ellroyu Beattym składał się z dwóch części. Pierwsza przedstawiała bezdomnego człowieka, uczipionego butelki z winem i wałęsającego się w pobliżu torów kolejowych. W drugiej, nakręconej cztery miesiące później, Beatty leżał nieprzytomny na tychże torach, po których już pędził ekspres. Kamerzysta nie opanował należycie techniki, kamera podskakiwała mu w rękach i moment uderzenia został zarejestrowany jako rozmazane smugi światła i cienia. Następny był brat Leroy,

również w dwóch odcinkach – najpierw podchmielony z uśmiechem na twarzy opowiadał, że chciałby zostać piosenkarzem bluesowym, potem zaś – po czterech miesiącach – z tym samym uśmiechem przyjął kulę, która wybiła mu w czole dziurę i padł martwy.

Obaj zginęli tej samej nocy – Ellroy wcześniej, gdyż moment jego śmierci był określony rozkładem jazdy, Leroy w dwie godziny po nim.

Gdzieś w połowie stosu kaset znaleźliśmy zapis ostatniego dnia życia Claire Argent. Tak jak inni, była zupełnie nie przygotowana na to, co ją spotkało. Crimmins sfilmował ją na tle pustej, białej ściany. Nie potrafilismy stwierdzić, czy był to salon u niej w domu. Mówiła o psychologii, o tym, że chciałaby zgłębić naturę obłędu, czyniła aluzje do projektu, który wspólnie z kamerzystą mieli niebawem rozpocząć. W tym momencie zmitygowała się, mówiąc:

– Och, przepraszam. Miałam zapomnieć, że filmujesz, prawda?

Kamerzysta nie odpowiedział.

Claire rozwodziła się trochę nad źródłami obłędu u ludzi, przestrzegała przed wyciąganiem pochopnych wniosków, bo nawet psychotycy mogą mieć nam coś ciekawego do powiedzenia. Przyglądała rzęsy – ewidentnie krygując się przed kamerą – i uśmiechnęła się. W pięć sekund później została przyduszona poduszką. Potem następowało długie ujęcie jej znieruchomiałego ciała, zbliżenie brzytwy...

Było tam jeszcze dwanaście nie opisanych filmów. Siedem kobiet: pięć nastolatek – typowych, wypłoszonych dzieci ulicy, i dwie atrakcyjne blondynki po trzydziestce. Pięciu mężczyzn: potwornie wychudzony szesnasto-, może siedemnastoletni chłopak z kocią bródką oraz czterech dorosłych – Azjata, Murzyn i dwóch Latynosów.

W pustym pudełku znaleźliśmy dwie złożone na pół kartki papieru.

Strona tytułowa: Potwór dokonał wyboru. Nic go nie powstrzyma.

Strona druga: Obsada.

Crimmins długo nad tym pracował.

„Pedziowatym aktorem” był najprawdopodobniej Dada, „Starą panną naukowcem” – Claire Argent. Poza tym wymieniano „braci włóczęgów (Potwór znajduje idealną parę)” oraz trzy osoby – „nadętego biznesmena”, „kokainową zdzirę” i „dziewczynę na zakupach” – którym nie odpowiadała żadna z taśm. „Meksykańska laska” pasowała do Suzy Galvez, a „ognista żonka szeryfa” do Marvelle Haas. „Nastoletnim alfonsiem” mógł być dzieciak z bródką, który zginął od ciosu nożem, a potem został poćwiartowany. Jednakże pasował też do „ulicznego śmiecia”, więc pod „alfonsa” podciągnąłem Christophera Soamesa, który miał szczęście, bo nie doczekał się zdjęć próbnych.

U dołu strony widniał dopisek: „więcej? ilu konkretnie?????????????”.

Zadanie zidentyfikowania ofiar przypadło sześciuosobowemu zespołowi, w którego skład weszli

policjanci z Los Angeles i ludzie szeryfa. Po dwóch miesiącach udało się trzy nastolatki dopasować do rysopisów uciekinierek z domu, znalezionych na różnych listach policyjnych. Wszystkie trzy żyły na ulicach Hollywood – Hedy Haupt świetnie by się z nimi dogadała. Dwie pozostałe dziewczyny i chłopak z bródką pozostali bezimienni, podobnie jak młodsza z blondynek – prawdopodobnie „striptizerka” – oraz Murzyn – „czarny ogier”. Role „Meksyka 1” i „Meksyka 2” zagraли Hernando Alas i Sabino Real, kuzyni przybyli do Stanów z Salwadoru w poszukiwaniu pracy. Czekali na potencjalnych pracodawców pod sklepem z farbami w Eagle Rock, który regularnie odwiedzali ludzie poszukujący taniej siły roboczej. Nikt nie pamiętał, kto zabrał Alasa i Reala, ale ostatecznie rodziny dały się przekonać i dokonały identyfikacji.

Naturalizowany Amerykanin z Korei, Everett Kim, handlowiec zamordowany kijem bejsbolowym – „żółtek” – należał do działającego w Glendale klubu spadochronowego, w którym Derrick Crimmins poznał Hedy. Była żona innego z klubowiczów, higienistka z Burbank, nazywała się Allison Wisnowski i wystąpiła jako „pielęgniarka”.

Minęły dalsze cztery miesiące. Nie udało się nikogo więcej zidentyfikować, znaleziono natomiast tylko jedno ciało – jednej z dziewczyn, szesnastoletniej Karen DeSantis. Turyści natknęli się na nie w Bouquet Canyon.

W samochodzie znajdowała się jeszcze jedna taśma, na której z powodu słabego oświetlenia planu filmowego niewiele było widać: Hedy Haupt, alias Heidi Ott, wysiadła z forda uśmiechając się niepewnie. Oddała kamerę komuś poza kadrem, odwróciła się tyłem i wolnym, uwodzicielskim krokiem zaczęła przechadzać się przed obiektywem. Uśmiechnęła się, zerkając przez ramię.

– Jak mi idzie? – zapytała. – Jestem seksy?

A potem jej głowa zniknęła w nagłym rozbłysku światła. Nie miała żadnego przydziału na liście, chociaż Crimmins mógł widzieć ją w roli „kokainowej zdziry”. Zresztą kto wie, czy nie planował wymyślić dla niej innego opisu.

Najpierw tworzył bohaterów, a potem ich mordował.

W kieszeni koszuli miał Crimmins złożoną na czworo stronę tytułową „Krwawej przechadzki”, taką samą, jaką znaleźliśmy w szufladzie szafki nocnej. Na odwrocie widniało kilka akapitów tekstu, skreślonych tym samym ostrym piśmem, co uwagi reżyserskie:

Potwór: połączenie straszliwego zła z obłędem i nadnaturalnymi zdolnościami psychicznymi; umie przepowiadać przyszłość i czytać ludziom w myślach. Jest zamknięty w strzeżonym zakładzie jak Hannibal Leckter, ale nic go nie powstrzyma, tak samo jak Lecktera. Może przenikać przez ściany, teleportować się, gdzie chce i zmieniać swoje ciało jak obcy ze „StarTrek”. Wychodzi, kiedy chce i zabija, kiedy chce. Różnych ludzi. Po prostu lubi to robić, podnieca go to, nie jest cały czas wariatem. Traktuje to jak pracę, jak powołanie. Nikt go nie zrozumie, bo nikt nie może przejść do jego wymiaru. I można go próbować powstrzymać tak samo jak Jazona albo Freddiego Krugera albo Michaela Meyersa.

Tylko Nieustraszony Mściciel może go zatrzymać, bo go rozumie, bo razem się wychowywali i też ma moce psychiczne, ale jest dobry, a nie zły. Kiedyś był dzieckiem, teraz jest menszczyzną, wysoki, muskólarzy i milczoncy, taki prawdziwy John Wayne i Dirty Harry, ale z poczuciem humoru. Prawdziwe Kłamstwa z Jamesem Bondem w roli głównej. Nie marnóje sił, tylko wtedy jak trzeba działać, to działa. Kobiety Go uwielbiają tak samo jak Jamesa Bonda, ale On nie ma dla nich czasu, bo tylko On wie, co Potwór naprawdę potrafi i tylko on może zapobiec Krwawej Przechadzce, ktura inaczej będzie nieunikniona.

Ubiera się na czarno, ale On jest dobry. Trzeba to zrobić inaczej, bardziej twardo. Na koniec zawsze rozgrywka jest między Nim i Potworem, taka wielka bitwa dobra ze złem. Dopiero na samym końcu się dowiemy, co będzie. W ostatniej scenie Potwór ginie najgorszym możliwym śmierciom. Może się spali, a może przemielą go jakaś wielka maszyna do mięsa. Albo kwas. Wkażdzym razem umiera.

A może nie.

Jak dobrze pójdzie, zawsze może być dalszy ciąg.

Co on z tym chciał zrobić, do diabła? – dziwił się Milo. – Pokazać jakiemuś guru z wytwórni filmowej? Wsadził sobie do ust precelka; nie oczekiwał odpowiedzi.

Siedzieliśmy w barze przy Pacific Avenue na południowym skraju Venice, nieopodal Mariny. Z taśmy przygrywał Jimmy Buffet, otaczały nas spalone słońcem twarze i wysmarowane na białe nosy. Klienci gadali o sporcie, pogryzali precle, większość zamawiała piwo z beczki.

Był czwartek i popołudnie spędziłem tak samo, jak wszystkie poprzednie w tym tygodniu. Spotkałem się w Bellflower z Suzy Galvez, starając się z nią porozumieć. Milo zaproponował moje usługi zaraz po tym, jak ją wyratowaliśmy. Pan Galvez, ogrodnik z paskudną blizną, biegnącą od lewego ucha po łopatkę, odmówił.

– Sami zajmujemy się swoimi sprawami – burknął.

Trzy tygodnie później zadzwoniła do mnie pani Galvez. Przemawiała pokornie, jękając się, z lekkim obcym akcentem. Przepraszała bez potrzeby. Suzy wciąż budziła się po nocach z krzykiem, a od dwóch dni moczyła się i ssała kciuk, z czego wyrosła w wieku sześciu lat.

Pojechałem do nich następnego dnia. Dom przypominał brązowe pudełko okolone świeżo pomalowanym białym parkanem. Rośliny w doniczkach zajmowały w nim stanowczo za dużo miejsca. Pan Galvez przywitał się ze mną w drzwiach; wyglądał jak pokryty bliznami, muskularny kocioł parowy. Zbyt mocno uścisnął mi rękę, mówiąc, że podobno znam się na rzeczy. Na pożegnanie wręczył mi mieszany bukiet ze świeżo ściętych kwiatów.

Marvelle Haas uczęszczała ponoć na terapię w Bakersfield; ani ona, ani jej mąż nie odbierali telefonu. Specjalna ekipa wciąż poszukiwała zwłok ofiar, kontaktowała się z policją w innych miastach i stanach, starając się ustalić, ile właściwie osób zamordował Derrick Crimmins. Natrafiono na obiecujące ślady w Arizonie, Oklahomie i w Nevadzie. Materiał dowodowy z wypadku brata Derricka był wątpliwy, ale nazwisko Cliffa Crimminsa i tak dołączono do listy ofiar.

Milo zgarnął następne precelki. Ktoś zamówił następnego budweisera i barman, czarnowłosego Chorwat z czterema koleczykami w lewym uchu, odkręcił kranik. My piliśmy czystą szkocką, osiemnastoletniego macallana. Kiedy Milo zamówił całą butelkę, barman uniósł brwi. Później, kiedy nam polewał, uśmiechał się.

– Po co mu to wszystko było?

– Pytasz poważnie?

– Tak. Chwilowo wyczerpałem pulę pytań retorycznych.

Szkoda mi było, że o to zapytał. Nie mogłem przestać myśleć o tej sprawie, ale wnioski, do

których doszedłem, nadawały się najwyżej do programów telewizyjnych i niewiele miały wspólnego z rzeczywistością.

Milo odstawił szklanę i wbił we mnie nieubłagane spojrzenie.

– Może świetnie się bawił – odparłem. – Albo przygotowywał się do filmu, który w przyszłości zamierzał nakręcić. Albo chciał naprawdę sprzedać komuś te taśmy.

– Nic nam nie wiadomo o rynku, który mógłby je wchłonąć.

– To prawda. – Pociągnąłem łyk szkockiej. – Wyeliminujmy zatem tę ewentualność.

– Wiem, wiem. Każde gówno się sprzeda. Chodziło mi o to, że nie znaleźliśmy żadnych powiązań Crimmins'a z rynkiem takich filmów, a sporo się naszukaliśmy. Nie miał wielkiej kasy, żadnego konta w banku, nie spotykał się z podejrzanymi typkami w czarnych płaszczach, nie dawał ogłoszeń do specjalistycznych gazetek... Nawet komputer, który miał w domu, nie był podłączony do Internetu; podstawowe oprogramowanie, żadnych plików. Nasi specje twierdzą, że Crimmins pewnie go nie używał.

– Był upośledzony pod względem technicznym. Spoko, wideo jest równie dobre, jak normalny film.

– Mam na myśli to, że nie zależało mu na pieniądzach; nakradł kupę sprzętu, ale nawet nie próbował go sprzedać. Podejrzewamy, że żył z handlu narkotykami.

– I z pensji Heidi – dodałem. – Przynajmniej do czasu, aż przestała mu być potrzebna. Brak kont w bankach oznacza, że na bieżąco wszystko wydawali. A że nie żyli jak książęta i nie płacili czynszu, przypuszczam, że gros kasy Heidi wciągała nosem.

– On też; patolog znalazł w organizmie ślady koki. Amfy zresztą także, a poza tym jeszcze czegoś takiego, jak loratadyna.

– Ajntyhistamina, od tego mniej się człowiekowi spać chce. Może Crimmins musiał się szprycować, żeby mieć dość energii na wielki film.

– Na „Krwawą przechadzkę”. – Milo dolał sobie whisky.

– Bez względu na szczegółowe motywy, które zresztą w jego wypadku mogły być różnorakie, postrzegał ten film przede wszystkim jako swoje największe dzieło. Uwielbiał grać rolę twórcy; pierwszy raz stał się Bogiem szesnaście lat temu.

Milo jednym haustem opróżnił szklanę.

– Ty naprawdę uważasz, że Crimmins osobiście załatwił Ardullów.

– Sam albo z bratem, ale bez udziału Peake'a. Jego w to później wrobili. Pewnie nigdy nie uda mi się tego udowodnić, ale fakty przemawiają na moją korzyść. Przypomnij sobie wynik badania krwi

Peake'a – znaleziono tylko śladowe ilości tioridazyny. Heidi też czasem odstawiała mu lekarstwa, tak jak zapewne Claire. Z tym że Claire chciała usłyszeć, co Peake powie jej o zbrodni, którą popełnił. Podświadomie zaś szukała w jego duszy isierki dobra, czegoś, co pozwoliłoby jej zrozumieć brata. Heidi natomiast zależało na tym, żeby Peake był w stanie aktywnie uczestniczyć w ucieczce, a potem – co znacznie ważniejsze – zagrać w filmie. Marvelle i Suzy giną na oczach widzów, Potwór się ujawnia. Ale nie udało się; Peake nie chciał grać. Widziałeś, w jakim był stanie. Na tioridazynie czy bez niej, obojętne – od lat ledwie funkcjonuje. Nawet w najlepszych czasach miał IQ na granicy normy.

Wąchanie kleju i pociąganie z butelki odebrało mu jeszcze parę punktów, neuroleptyki i dyskinezy jeszcze bardziej go otępiły. Nigdy nie był na tyle zdrowy, żeby popełnić wielokrotne morderstwo, nawet tak chaotyczne, jak w domu Ardullów. Nie miał nic wspólnego ze śmiercią Franka Dollarda i Heidi Ott – nie miał motywu i nie miał środków. Tak samo było z Ardullami.

– Ardullowie mieli być klasycznym przykładem zbrodni szaleńca, który wyrwał się spod kontroli i nie potrzebuje motywu.

– Derrick chciał, żeby wszyscy tak myśleli. I udało mu się. Sęk w tym, że każdy ma jakiś motyw, psychotyk czy nie psychotyk. Peake nie jest geniuszem zbrodni, lecz żalosną kreaturą. To Derrick wszystko zaplanował. Walka dobra ze złem, Derrick daje, Derrick odbiera...

Milo nalał sobie następnego drinka.

– Nieustraszony mściciel – mruknął.

– Derrick zaczął w pewnym momencie po części wierzyć we własną propagandę – Peake stał się potworem, a Derrick aniołem zemsty. Ale Peake nie nadaje się na typowego psychotycznego mordercę; nigdy nie miał halucynacji – krwawych ani niewinnych – nigdy też nie zachowywał się w sposób gwałtowny, ani przed masakrą, ani w szpitalu. Jest opóźniony w rozwoju, cierpi na zaawansowaną schizofrenię, ma organiczne uszkodzenia mózgu i pijacką demencję. Crimmins uważał go za marionetkę i miał całkowitą rację – Peake od początku był kukielką w jego rękach. Bracia spili go do nieprzytomności, zabrali mu buty – mimo że byli znacznie od niego wyżsi, Peake ma nieproporcjonalnie duże stopy – po czym jeden z nich przeszedł się po domu Ardullów i dokonał rzezi. Może nie sam, może zrobili to razem.. We dwóch poszłoby im łatwiej i szybciej. Krwawe ślady butów prowadziły do szopy Peake'a; skoro ma się taki dowód, po co dalej szukać? Nie zapominaj, kto prowadził śledztwo. Haas, gliniarz na pół etatu, bez doświadczenia w takich sprawach. A potem na scenę wkroczyło FBI i po fakcie sporządziło profil winnego.

Milo wychylił dwie kolejne szklaneczki szkockiej.

– Jeszcze jedno – ciągnąłem. – Tamtej nocy, mając pistolet przyklejony do ręki, Peake strasznie się męczył z dyskinezami. Cały czas podrygiwał i na dobrą sprawę powinien był przypadkiem pociągnąć za spust. Ale tak się nie stało. Obserwując go miałem wrażenie, że świadomie stawia opór; zmuszał się do zapanowania nad tą ręką.

Milo odepchnął od siebie szklanekę. Zakręcił się na stołku.

– W takim razie jest bohaterem?

– Możesz to rozumieć, jak chcesz.

Następna lufa.

– Co zamierzasz zrobić w tej sprawie?

– A co ja mogę? Tak jak powiedziałeś: nie mam dowodów. Poza tym Peake'a trzeba izolować i wydaje mi się, że Starkweather jest dla niego najlepszym miejscem.

– Starkweather po Swigu... Słyszałem, że wujek załatwił mu robotę w sztabie innego politykiem.

– Swig był przeciętnym człowiekiem, który chciał dokonać cudów. Łatwe rozwiązania nie istnieją.

– Czyli Peake zostaje pod kluczem.

– Tak.

– I będziesz z tym żył.

– A mam wybór? Przypuśćmy, że zrobię z tego aferę i uda mi się go uwolnić. Jakiś dobroczyńca sprawi, że Peake skończy na ulicy jako następny bezdomny wrak. On nie umie o siebie zadbać; nie minąłby tydzień, a byłby martwy.

– Czyli zamykamy go dla jego własnego dobra.

– Tak – zdziwiło mnie nieprzyjemne brzmienie mojego głosu. – Kto powiedział, że życie jest uczciwe?

Milo tylko na mnie popatrzył.

– Tamtego dnia, kiedy rozmawiałem z Peakiem w izolatce, wspomniałem o dzieciach Ardullów, a on się rozplakał. Nie rozumiałem go, myślałem, że płacze nad sobą. A on naprawdę cierpiał, nie tylko dlatego, że wszystko poszło na jego konto. Cierpiał z powodu tego, co się stało. Może coś z tego ujawnił Claire i zdopingował ją do pracy. Albo przeciwnie, nigdy nie doczekała się takiej reakcji z jego strony. Ale jestem pewien, że się nie mylę. Zaraz potem wstał z łóżka i stanął pod ścianą jak Chrystus, żeby dać mi do zrozumienia, że jest męczennikiem, że cierpi za cudze grzechy. Nie rozczulał się nad sobą; pogodził się z tym.

– Dał ci do zrozumienia... Facet ledwie kontaktuje, a ty uważasz, że warto go słuchać?

– Na pewno. Zawsze warto słuchać.

Długo jeszcze siedzieliśmy w milczeniu. Ktoś – nie wiem kto – zastąpił Jimmy'ego Buffeta.

Rzuciłem pieniądze na bar.

– Chodźmy stąd.

Milo z wysiłkiem pozbierał się ze stołka.

– Będziesz go chciał jeszcze zobaczyć? – zapytał.

– Pewnie tak.